

39 709

39 710

W CZELUŚCIACH AFRYKI.

Dodatek do Wędrowca N^o 29.

IN GRAMMATICIS ET ALIIS

MIECZYSLAW KOSSEK

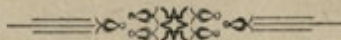
H. M. STANLEY.



W CZELUŚCIACH AFRYKI.

Poszukiwanie, ocalenie i odwrót
EMINA BASZY.

TLUMACZYŁ
BENEDYKT POBÓG.



WARSZAWA.

Nakład Redakcyi „WĘDROWCA”
ulica Chmielna Nr. 9.

—
1890.

CBGIOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5165618

*opisy kode
shyly*

H. M. STANLEY.



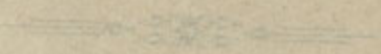
W. CZERWINSKI

Towarzystwo wydawnicze i drukarskie

EMILIA BASSY.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 5 Июля 1890 года.



WARSZAWA

Wydawnictwo Towarzystwa

Emilia Bassy

1890

~~~~~  
Druk. Satoraina Sikorskiego, ulica Chmielna Nr. 9.

HA-64254 (в. 1890) / ТМК

HH-64224 / ТМК



H. M. Stanley.

W CZEŁUŚCIACH

# AFRYKI

OPRACOWAŁ

*Benedykt Filipowicz.*

WARSZAWA

w Drukarni Saturnina Sikorackiego

Chmielna Nr. 9.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI M. WOŁOWSKIEGO

ulica Niecała Nr. 12.

1891.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава. — 13 Сентября 1891 года.



39709

• NH-64224/TM/TMK  
PAN no. 6 143/70

W CZELUŚCIACH AFRYKI.



## OD TŁÓMACZA.

---

Oddając Szanownym Czytelnikom polski przekład ostatniego dzieła Henryka Stanleya, winniśmy dać kilka wyjaśnień. Przedewszystkiem zaś poczuwamy się do obowiązku wyznać, że byliśmy zmuszeni to wiele pod wielu względami zajmujące dzieło znacznie skrócić. Nie uczyniliśmy zaś tego dla braku poszanowania książki wielkiego podróżnika, ale — wyznajemy to otwarcie — na żądanie wielu czytelników *Wędrowca*, którzy pragnąc jak najprędzej poznać całość, żądali, byśmy ustępy, mniej dla ogółu ciekawe, opuścili.

Wypuściliśmy zatem opis olbrzymiego lasu w Afryce Środkowej, sprawozdanie z badań łańcucha gór śnieżnych Ruwencori, oraz źródeł Nilu, a nadto rozdział, w którym Stanley podał charakterystykę Emina baszy.

Wybór nasz padł zaś na te właśnie rozdziały z tej przyczyny, że pragnęliśmy, by „W czeluściach Aryki” była książką, zajmującą wszystkich bez wyjątku czytelników, podczas gdy opisy lasu, roślin, w nim się znajdujących, tudzież badań gór Ruwencori i źródeł Nilu, mogły budzić zainteresowanie tylko u ludzi, zajmujących się żywiej badaniami przyrodniczymi i geograficznymi.

Nasze „W czeluściach Afryki“ jest zatem opisem podróży Stanleya do Emina baszy, i wraz z tymże do Zanzibaru, obrazem strasznych kłopotów i trudów wyprawy ratunkowej, jej bohaterskiego poświęcenia, ofiarowanego tylko dla celów humanitarnych. Niemiała bowiem wyprawa Stanleya nic innego na celu, jak wyswobodzenie Emina baszy i jego Egipcyan z zagrożonej prowincyi, jak ocalenie ich od niechybnej zagłady, lub zamiany w niewolników dzikich Sudańczyków i ich Madiego.

Nie kierowały Stanleym w wyprawie nad jezioro Alberta, ani zamiary zdobycia nowej kolonii dla Anglików, ani wyszukania nowej drogi dla handlu kością słoniową lub innymi artykułami handlu afrykańskiego—ale—jak to Stanley kilkakrotnie z dumą słusznie podnosi—wielka, rzetelna idea humanitarna, pragnienie podania ręki bliźniemu, bez względu na to, że bliźnim owym był Niemiec, tudzież wyzłani i rozpróżniaczeni Egipcyanie.

Gódzi się to przyznać i Stanleyowi i angielskiemu komitetowi ratunkowemu.

Winniśmy jeszcze wytłómaczyć, dlaczego w dziele tem Stanley tak mało zajmuje się opisem zwyczajów i obyczajów krajowców. Celem wyprawy jego było uratowanie Emina baszy — spieszył więc nad jezioro Alberta tak prędko, o ile tylko uczestnikom wyprawy sił starczyło — w pośpiechu tym brakło mu więc czasu na badanie życia i charakteru murzynów. Badania etnograficzne nie były celem jego.

Z tej też przyczyny cała książka jest niejako dziennikiem podróży, okraszonym tu i owdzie mniej lub więcej barwnymi opisami przygód podróżników, ich walk i stosunków z krajowcami.

Warszawa, we wrześniu 1891.

## TREŚĆ.

Od tłómacza.

- Rozdział I. Wstęp.
- " II. Egipt i Zanzibar.
- " III. Morzem do rzeki Kongo.
- " IV. Do Stanley-Pool.
- " V. Ze Stanley-Pool do Jambuja.
- " VI. W Jambuja.
- " VII. Do wodospadów Panga.
- " VIII. Od wodospadów Panga do stacyi Ugarowwy.
- " IX. Od stacyi Ugarowwy do stacyi Kilonga-Longi.
- " X. U Manjemów w Ipoto.
- " XI. Przez las do Pie Mazamboi.
- " XII. Przybycie nad jezioro Alberta i powrót do Ibwiri.
- " XIII. Pobyt w forcie Bodo.
- " XIV. Druga podróż do jeziora Alberta.
- " XV. Spotkanie z Eminem baszą.
- " XVI. Pobyt z Eminem baszą.
- " XVII. O Eminie baszy.
- " XVIII. Pochód po straż tylną.
- " XIX. Przybycie do Banalja i śmierć Barttelota.
- " XX. Smutna historia straży tylnej.
- " XXI. Trzecia podróż do Njanza.
- " XXII. Przybycie do fortu Bodo.
- " XXIII. Uwięzienie Emina baszy i Jephsona.

- „ XXIV. Emin basza i oficerowie egipscy przybywają do obozu Stanleya pod Kavalli.
  - „ XXV. Pochód do Zanzibaru.
  - „ XXVI. Ruwencori i bitwy z Warazurami.
  - „ XXVII. Do jeziora Alberta-Edwarda.
  - „ XXVIII. Przez Ankori do Nilu.
  - „ XXIX. Plemiona pasterskie.
  - „ XXX. Do angielskiej stacyi misyjnej i południowego krańca jeziora Wiktorya.
  - „ XXXI. Od jeziora Wiktorya do Zanzibaru.
-



W miejsce przedmowy.

## LIST DO SIR WILLIAMA MACKINNONA.

---

*Kochany sir Wiliamie!*

Za wielką przyjemność poczytuję sobie ofiarowanie Panu tego dzieła. Niechaj ta książka będzie dla Pana i Komitetu dla dania odsieczy Eminowi baszy, sprawozdaniem z wyprawy, której kierownictwo było mi przez Komitet poruczone.

Ubolewam nad tem bardzo, że nie mogłem dokonać wszystkiego, co zamierzałem w chwili odjazdu z Anglii w Styczniu r. 1887-ego. Ale upadek rządu w prowincyi równikowej włożył na mnie obowiązek przenoszenia tylu starych i schorzałych ludzi w hamakach i ochraniania tylu bezbronnych i osłabłych, że z nielicznego oddziału mężów, gotowych do walki, musieliśmy zamienić się w korpus szpitalny, który wszelkich przygód wyrzec się musiał. Gubernator sam, na pół niewidomy, miał wiele pakunków, Casati był osłabiony tak, że nieść go było potrzeba, zaś orszak ich zaraz po naszym wyruszeniu z powodu starości, chorób i osłabienia, zaledwie był wstanie maszerować.

W swem długim i pełnem przygód życiu wierzyłeś Pan mocno w Boga i publicznie dziękowałeś mi za tyle doznanych dobrodziejstw, pojdziesz Pan za tem lepiej, niż

wielu innych, uczucie, jakie przepelnia mnie teraz, kiedy nie doznawszy szkody ani na życiu, ani na zdrowiu, znajduję się nareszcie pośród cywilizacyi, przebywszy tyle chwil groźnych i trosk pełnych. Kiedy w strasznej dla mnie chwili byłem zmuszony wyznać pokornie, że bez pomocy Boga będę zgubiony, uczyniłem w pustyni leśnej ślub, że wyznam publicznie, iż jemu zawdzięczam ocalenie. Naokoło mnie panowała cisza grobowa; północ była; osłabiony z powodu choroby, leżałem pełen trosk o moich towarzyszy czarnych i białych, których los był dla mnie tajemnicą. W tej biedzie fizycznej i duchowej błagam Boga, aby przywrócił mi moich ludzi. W dziewięć godzin później radowaliśmy się wielce. Przed nami okazała się czerwona flaga z półksiężycem, a pod nią tak dawno utraczona straż tylna.

Następnie wydobyliśmy się z lasu. Zbliżaliśmy się do okolicy, w której gubernator, ideał nasz, miał być obłożony. Wszystko, czego zdołaliśmy dowiedzieć się od schwytanych krajowców, przygotowało nas na zażarte boje z wielkimi wojskami, o których sile i przymiotach nie mogliśmy zasięgnąć wiadomości. Kiedy następnie miryady ludności z Undussumy sehodzić zaczęły z gór, a doliny ożywiły się wojownikami, zdawało się nam, że mamy przed sobą tych, co oblegali Emina baszę. Skoro on mając pod sobą 4000 żołnierzy, o pomoc prosił, cóż mogliśmy zdziałać, rozporządzając zaledwie 173 ludźmi? Poprzedniego wieczoru czytałem napomnienia, udzielone Jozuemu przez Mojżesza. Czy to był skutek słów owych, czy też jakiś głos wewnętrzny mówił do mnie, nie wiem, zdawało mi się jednak, jakobym słyszał wyrazy: „Bądź silny i dobrego ducha; nie bój się, bo Pan, Bóg Twój, jest z Tobą; on cię nie opuści.” Kiedy Masamboni rozkazał nazajutrz uderzyć na nas, w obozie nie było ani jednego tchórze, chociaż poprzedniego dnia czterech ludzi moich uciekało przed jednym krajowcem.

Nie dość tego. W pobliżu zetknięcia się rzek Ihuru i Dui wysłaliśmy w grudniu r. 1888-ego 150 najlepszych ludzi po żywność. Długo nie wracali, a tymczasem 130 ludzi, oprócz niewiast i dzieci, głód marło. Aby ratować ich od śmierci głodowej jak najdłużej, dawaliśmy im na dzień czarkę ciepłej zupy, gotowanej z masła, mleka i wody, a kiedy i te zapasy wyczerpywać się zaczęły, musiałem koniecznie szukać wysłanych ludzi. Być może, że zbłądziwszy, zostali otoczeni przez złośliwych karłów. Oddział mój składał się z 66 ludzi, kilku kobiet i dzieci, którzy byli silniejsi od innych, bowiem znaleźli trochę grzybów; mimo to schudli strasznie. Zaś 51 ludzi, prócz kobiet i dzieci, wynędzniało tak, że tylko dostarczenie żywności, w przeciągu niewielu godzin, mogło ich uratować. Pozostał z nimi mój biały towarzysz z 13 ludźmi, twierdząc, że zapasy żywności pozwolą im obronić się od śmierci głodowej jeszcze przez dni 10; my, wyruszając na poszukiwanie zagubionych, nie mieliśmy nic. W czasie marszu znajdowaliśmy zwłoki mniej lub więcej nadpsute; a widok narażonych na śmierć, umierających i zmarłych wywoływał u mnie takie uczucie słabości, że omal nie uległem. Każdy w obozie był złamany, rozpacz zmuszała wszystkich do milczenia, grobowego rozmyślenia nie przerywał ani jeden głos. Jakże straszną była cisza lasu i nocy. Usnąć było niepodobieństwem. Myślałem ciągle o nieposłuszeństwie, które tyle już kłopotów wywołało! Jeżeli ich spotkam, to... zaim jednakże powziąłem jakiegokolwiek postanowienie, stanęły mi przed oczyma zwłoki na drodze, na śmierć skazani w obozie i zgłodniała w mem pobliżu towarzysze, pomyślałem o 150 ludziach, którzy zbłądzili w lesie i bez nadziei ratunku otoczeni są przez dzikich. Czyż zdziwi to pana, że gorycz w sercu złągodniała i że znowu kłopoty moje powierzyłem Temu, który jedynie mógł nas uratować? Nazajutrz rano spotkaliśmy

naszych wysłanników, zdrowych i silnych, i figi rajskie wiozących. Możesz pan sobie wyobrazić, jaki okrzyk radości wydały dzikie dzieci natury, jak rzuciły się na owoce, jak prędko roznieciły ogień, aby smażyć, piec i gotować, i jak prędko nasyciwszy się, spieszyły do obozu, aby pocieszyć tych, co z panem Bonny pozostali!

Ile razy pomyślę o tem wszystkiem, co tam przeszedłem, nie jestem w stanie uratowanie nas przypisać czemu innemu, jak tylko Opatrzności, która ochraniała nas dla swoich celów. Nie wyratowałyby nas tam cała siła zbrojna Europy, ani wszyscy podróżnicy razem, bo zanimby się tam dostali, śladby po nas nie pozostał.

Tem pokornem i wdzięcznem uczuciem przejęty zaczynam opis przebiegu wyprawy od pierwszego, podanego przez Pana planu, aż do dnia, w którym przed nami okazał się ocean Indyjski, tak czysty i niebieski, jak niebo i kiedy mogliśmy zawołać: „Dzieło skończone“.

Napisałem to, o czem miała dowiedzieć się publiczność, lecz jest jeszcze wiele innych rzeczy, o których ludzie cyniczni, niewierni wiedzieć nie potrzebują. Piszę dla Pana i dla Pańskich przyjaciół i tych, którzy pragną dowiedzieć się czegoś o wnętrzu Afryki, dla tych, którzy zajmują się wszystkiem, co ludzkość obchodzi.

Moją zasadą było, jest i będzie: działać jak najlepiej, wpaść na myśl najlepszą, używać najtrafniejszych wyrazów, o ile pozwalają na to dobre motywa. Skoro powierzona mi została jaka misja, a sumienie moje uznało ją za szlachetną, a ja przyrzekłem wykonać ją wedle sił stwarzam sobie prawo, którego słuchać muszę. A jeżeli towarzysze moi dadzą mi dowód, że prawa tego również słuchają, uważam ich za swoich braci. Z tego powodu czuję się najszcześniejszym mogąc stwierdzić tu nieocenione usługi moich przyjaciół Stairs'a, Jephsona, Nelsona i Parke'a, czterech mężów, którzy obowiązki swoje spełniali tak wy-

bornie, jak tylko byli wstanie. Nie chwaliłem ich w czasie podróży, ale teraz, kiedy uciążliwe marsze już minęły a oni przez cały czas bez szemrania cierpieli i pracowali, czuję, że nie jestem wstanie znaleźć odpowiednich słów na wypowiedzenie wdzięczności, jaką jestem im winien.

Że każdy z tych, który poległ, lub z powodu choroby musiał być odesłanym, jak mi się zdawało, umiał odpowiedzieć pokładanym w nim nadziejom, dopóki był w moim obozie, przyznając z przyjemnością. Nie powątpiewałem nigdy o nikim, dopóki p. Bonny nie zawiadomił mnie o smutnej historii tylnej straży. Mam pozytywne dowody, że major Barttelot i p. Jamésou w czasie kilkomiesięcznego pobytu w Jambuja byli przejęci poczuciem obowiązków, ale nie umiem sobie wytłomaczyć, dlaczego nie postępowali wedle instrukcyj, danych im na piśmie, albo dlaczego Ward, Trouh i Bonny nie wyruszyli naprzód, nie pojmując dlaczego pięciu oficerów, którzy rozporządzali dostatecznymi środkami, nie posuwali się naprzód w kierunku, jaki im wskazałem; dla czego oficerowie, wiedząc, że żyją, odesłali w dół rzeki moje pakunki, pogrążając przez to swego naczelnika w nędzy i dlaczego odesłali żywność europejską, podczas gdy w obozie było 33 ludzi chorych i głodnych; dlaczego p. Bonny pozwolił na odesłanie swej żywności. Oto pytania, które będą dla mnie zawsze zagadką, tajemnicą, której odgadnąć nie umiem.

Po odszukaniu p. Bonny w Banaho nie miałem nigdy powodu być niezadowolonym z wykonania poruczonej mu pracy, a ponieważ przez cały czas pobytu zachowywał się wybornie, tajemnica działalności jego w Jambuja, zaciemnia się dla mnie jeszcze bardziej, gdyż 2000 ludzi, którymi Bonny tam rozporządzał, możnaby cały Sudan zdobyć i rządzić w nim.

To, co w dziele tem opowiedziałem o Eminie baszy, nie odstępuje ani na krok od mojego ideału; jeżeli zaś

różni się czemś od prawdy, nie on temu winien. Jak długo ludzie byli mu wierni, nie był dalekim od ideału; kiedy zaś oni się zbuntowali, przestał być użytecznym jako gubernator. Jeżeli basza nie jest tak olbrzymią postacią, jak ja to sobie dawniej wyobrażałem, nie on winien temu, ani też jego postawa wcale nie wojskowa. Jeżeli basza był w stanie obronić prowincję swoją przez pięć lat, nie można go winić za wybuch szaleństwa i epidemję buntu, które wiernych towarzyszy jego zamieniły w buntowników. W opowiadaniu tem znajdziesz pan dwa ustępy, w których basza przedstawiony jest najbezsronniej; niepowodzenia jego nie umniejszają naszego szacunku dla niego, chociaż nie możemy zrozumieć uczuć jego dla niegodnych buntowników. Jako urzędnik administracyjny, wykazał przymioty najpiękniejsze: był sprawiedliwy, taktowny, wierny i łagodny i kochał krajowców, którzy uciekli się pod jego opiekę a nie można przytoczyć lepszego dowodu poważania, jakie mieli dla niego żołnierze, niżli fakt, że właśnie opinii, jaką zjednał sobie sprawiedliwością i łagodnością, ocalenie życia swego zawdzięcza. Każdą godzinę, którą spoczynkowi wykraadał, przed ostatecznem zrzućeniem go z urzędu, poświęcał celom pożytecznym, któreby zdolne były wiedzę jego wzbogacić, położenie ludzkości polepszyć, dla cywilizacji nowe pola zdobywać. Nie zapominaj pan o tem nawet wówczas, kiedy czytać będziesz o wrażeniach, jakie na nas wywarł.

Podczas gdy my musimy, naturalnie, ubolewać nad tem, że Emin pasza nie wywierał na swoje wojska należytego wpływu, któryby spowodował je do zupełnego posłuszeństwa i wierności, do uważania krajowców za bliźnich, za stróżów i obrońców pokoju i własności, bez których nie ma cywilizacji. inni będą może zdania, że dobrze się stało, iż wypadki wzięły obecny obrót, skoro gubernator nie miał owego wpływu. Murzynów afrykańskich

nie można przekonać, że cywilizacya jest błogosławieństwem, jeżeli równocześnie żołnierstwo uciska ich samowolnie, obchodzi się z nimi w sposób nieludzki, dopuszcza się grabieży i do niewoli zapędza! Zwyczaj uważania krajowców za niewolników datuje się od czasów Ibrahima bazy; należy go jednakże usunąć jak najprędzej, jeżeli obok kolonij wojskowych ma istnieć w Afryce coś, coby miało jaką taką styczność z cywilizacyą. Jeżeli każda miara zboża, drób, koza, owca i krowa, potrzebne dla wojska, będą zapłacone pieniędzmi, lub towarami, wówczas wpływ cywilizacyi będzie niepokonanym, wówczas nawet religia chrześcijańska będzie tam mogła być wprowadzoną.“

Przedmowę swoją kończy wielki podróżnik tłumaczeniem, że tak rzadko pisywał do barona Mackinnona i t. d.

## ROZDZIAŁ I.

---

Długi szereg nieszczęść, jakie pociągnęły za sobą stosunki Anglii do Egiptu, może ocenić tylko jeden Carlyle, który tak ponuremi barwami opisał straszne wypadki rewolucyi francuzkiej. Temat to od początku do końca tak straszny, że nawet Anglicy nie lubią go poruszać. Ci, co kiedykolwiek o wypadkach tych pisali, ograniczali się na obrazie ściśle historycznym. W wyprawie egipskiej znajdujemy tylko jedną chwilę radosną, tę mianowicie, w której nieśmiertelni z pod Abu-Klea i Gubat w pustyni piaszczystej walczyli w zwartym szeregu zdobyli sobie sławę, równą tej, jaka przypadła w udziale lekkiej brygadzie pod Balaklawą. Walki te w znacznej części naprawiły cały szereg błędów, jakich trudno znaleźć w historii całego stulecia. Gdyby ci, co odpowiedzialni są za następstwa wypadków, posiadali tylko cząstkę tej siły woli, wiadomej celu swojego, jaką okazano pod Abu-Kleą, Mahdi byłby obecnie postacią operetkową, ale nie postrachem nowoczesnym, który zatarł wszelkie ślady cywilizacji w Sudanie.

Zanim przystąpię do właściwego przedmiotu niniejszego dzieła, muszę poruszyć wypadki, jakie skłoniły ostat-



niego namiestnika w Sudanie, Gordona, do wołania o pomoc w chwili strasznych kłopotów w pobliżu równika.

Śmiałemu projektowi Kedywa Ismaila zawdzięczamy wszystko to, co spotkało Egipt i Sudan. On to posiadając pięć milionów ludności i wypróżniające się kasy, zapragnął rozszerzyć państwo egipskie do olbrzymich rozmiarów, któreby obejmowało przestrzeń 2½ miliona kilometrów kwadr. i rozciągało się od latarni morskiej w Aleksandryi aż do południowego krańca jeziora Albert, od Massawy aż do zachodniej granicy Darfuru. Do stolicy jego zbiegło się mnóstwo awanturników z Europy i Ameryki, którzy podawali mu najszaleńsze plany i ofiarowywali się objąć kierownictwo nad najdzikszymi przedsięwzięciami. Minęły spokojne czasy, w których panowanie egipskie kończyło się pod Gondokoro, kiedy zjawili się kapitan Speke, Grant i sir Samuel Baker opowiadając o wspaniałych jeziorach i okolicach urodzajnych i bogatych. Ukończenie wojny domowej w Ameryce pozbawiło czynności wielu oficerów, z których wielu dążyło do Egiptu, aby ofiarować nowoczesnemu Faraonowi genjusze swoje i urzeczywistnić jego marzenia o olbrzymim państwie. Przybywali tam także Anglicy, Niemcy i Włosi.

Czytając pilnie roczniki z tego okresu i podziwiając pomysły Kedywa, jego entuzjazm, książęcą hojność w rozdawaniu nagród, jego czyny wojskowe, nagłe rozszerzenie jego państwa na południu, zachodzie i wschodzie, uderzył mnie fakt, że powodzenie jego, jako zdobywcy w Afryce, można porównać ze zwycięstwami Aleksandra W., z tą tylko różnicą, że Aleksander W. sam dowodził swemi wojskami, podczas gdy Kedyw Ismail, przekładając pobyt w zbyt licznych pałacach w Kairze, dowództwo powierzał swoim baszom.

Plan zdobyczy owych wydawał się Kedywowi szlachetnym; prasa europejska wysławiała go pod niebiosa;

oba morza zostały połączone, całe floty handlowe przepływały przez kanał; w okolicach południowych budowano koleje i już nawet zapowiadano budowę kolei do Berberu. Ale w owych pięknych czasach ludność nowego państwa nie uznano nawet za godną przyjrzenia się jej bliżej, uważano ją tylko za środek do napełniania skarbu państwa. Podatki były wyższe, niż kiedykolwiek; baszowie stawiali się coraz chciwsiymi, ustawy surowszemi; handel kością słoniową zmonopolizowano a w końcu, aby powstające już niezadowolenie jeszcze bardziej powiększyć, w całym kraju, podległym Egiptowi, zabroniono handlu niewolnikami. W przeciągu lat pięciu sir Samuel Baker zdobył prowincję równikową, Sennar, zdobyto Darfur i Bahr-el-Gazal, poświęciwszy przy tem mnóstwo ludzi. Śmiałość, jaka przy wykonywaniu tych projektów okazywano, była niezwykłą, prawie tak niezwykłą, jak zupełny brak zdrowego rozumu chłopskiego. Na terytoryum, mającem 1300 kilometrów długości, znajdowały się tylko trzy stacje wojskowe, w kraju, w którym po za wylewami Nilu, tylko wielbłądy utrzymywały komunikację.

W r. 1879-ym Kedyw Izmaïł, który zanadto często wystawiał weksle bankom europejskim i egipskim, dług państwowy zwiększył się do sumy 128 milionów funtów szterl. a przecież nie chciał zastosować się do ograniczeń, jakie nakładały na niego mocarstwa, więc został złożony z urzędu a na jego miejsce powołany został pod protektoratem mocarstw, syn jego Tewfik, obecny Kedyw. Wkrótce potem wybuchł bunt wojskowy, stłumiony przez 13000 wojska angielskiego pod wodzą lorda Wolseleya w bitwach pod Kassassin, Tell-el-Kebir, Kairo i Kafr-ed-Danar.

Wczasie krótkich rządów przywódcy buntu, Arabiego baszy, uczyniono wiele złego przez odwołanie wojsk z Sudanu. Podczas gdy generał angielski pobijał buntowników pod Tell-el-Kebir, Mahdi Mohammed Achmet wy-

ruszył celem osaczenia El Obeid; w dniu 23 sierpnia został jednakże pod Duem ze stratą 4500 ludzi odpartym. W dniu 14-ym załoga z Obeid pobiła go, przyczem stracił podobno 10000 ludzi. O straty te przypawiły Egipcyan szczepy, dla których religia, głoszona przez Mahdiego, była obojętna, ale za to obdzierane przez urzędników egipskich, przez rząd obkładane olbrzymimi podatkami, szczepy, którym zakazano prowadzić handel niewolnikami, tudzież setki karawan handlarzy niewolników, którym generał Gordon i namiestnik jego, Gessi basza, tamowały swobodny przejazd przez Sudan. W dodatku w dniu 11 sierpnia r. 1881-go Mahdi zaczął ludność Sudanu przekonywać o słabości rządu egipskiego.

Od dnia 11-go sierpnia r. 1881 do 4 marca 1883, kiedy Hicks basza, były oficer armii indyjskiej, przybył do Chartumu, jako szef sztabu armii, stojącej tam załogą, wojska rządowe ścigało ustawicznie jakieś fatum; tymczasem armia egipska podniosła rokosz i została pobita, poczem utworzono nową armię pod komendą sir Evelyną Wooda, nie liczącą więcej, niż 6000 ludzi. Hicks basza wiedział o nieobliczonej potędze Mahdiego, o fanatyzmie i nienawiści jego legionów do Egipcyan, o braku karności i tchórzostwie swej armii, a przecież postanowił zdobyć Kordofan i wyruszył przeciwko zwyciężkiemu prorokowi, który wraz z hordami swemi święcił jeszcze tryumf z powodu zwycięstw, pod Obeid i Baza odniesionych. Sztab, a nawet towarzyszące mu osoby cywilne, przepowiadały nieszczęście, mimoto Hicks basza wyruszył na ostatnią wyprawę na czele armii, liczącej 12000 ludzi, 10 armat polowych, 6 armat Nordenfelta, 5500 wielbłądów i 500 koni. Wszyscy wiedzieli, że armia była słabą na duchu, że pomiędzy żołnierzami było wielu chłopów egipskich, wprost z pola przemocą porwanych i w szeregi wielolonych, że wielu z nich sprzyjało Mahdiemu, że oficerowie

byli niezgodni i że w ogóle w wojsku panował nieporządek. Mimoto Hicks basza pomaszzerował na Obeid, stoczył bitwę z Mahdim i został pobitym.

Anglia kieruje obecnie sprawami Egiptu za zgodą młodego Kedywa, którego wyniosła na to stanowisko i w popieraniu jego widziała swój własny interes. Żołnierze angielscy stoją załogą w Egipcie, armia egipska oddaną została pod rozkazy angielskiego generała, zaś policja pod komendę b. angielskiego pułkownika kawalerji: dyplomatyczny agent angielski kieruje polityką zagraniczną, wreszcie prawie wszystkie ważniejsze urzędy państwowe znajdują się w ręku Anglików.

Sudan stał się placem najstraszniejszych i najkrwawszych bojów pomiędzy wojskiem egipskiem, mającem złych dowódców a zwycięzkimi szczepami, zgromadzonemi pod sztandarem proroka. Jeżeli zwycięzki pochód Mahdiego nie będzie rychło powstrzymanym, wówczas kraj ten bogaty będzie straconym. Jasną jest rzeczą, że Anglia, objąwszy ster rządu i interesów egipskich nie może obojętnie patrzeć na sprawy Sudanu. Na wystosowane w parlamencie angielskim pytanie, czy Sudan będzie uważanym za część Egiptu i jeżeli tak się stanie, czy rząd angielski poczyni kroki celem przywrócenia tam porządku, Gladstone odpowiedział, że Sudan nie został w ciągniętym w sferę działalności Anglii, i że rząd nie ma zamiaru przyjmować odpowiedzialności za wypadki w tym kraju.

Los generała Hicksa baszy i jego armii nie był jeszcze wiadomym, lecz już obawiano się nieszczęścia, gdy agent dyplomatyczny, Sir Evelyn Baring, nadsyłał rządowi ostrzeżenia i proponował rozmaite środki celem zapobieżenia katastrofie. „Jeżeli Hicks basza będzie pobitym, Chartum znajdzie się w niebezpieczeństwie; upadek Chartumu zagrozi Egiptowi“.

Lord Granville w listopadzie i grudniu r. 1883 odpowiadał kilkakrotnie, że radzi wycofać wojska z Sudanu do pewnej granicy, że odpowiedzialność za wszelkie działania poza granicami właściwego Egiptu rząd kairski musi przyjąć wyłącznie na siebie; że rząd angielski nie ma wcale zamiaru posyłać do Sudanu wojsk angielskich, ani indyjskich; że wreszcie bezskuteczne usiłowania rządu egipskiego w sprawie zabezpieczenia Sudanu niebezpieczeństwo powiększą.

Sir Evelyn Baring odpowiedział na to, że mimo uciekania się do rozlicznych argumentów, nie był w stanie skłonić ministrów egipskich do wycofania wojsk z Sudanu. Następnie prezydent ministrów egipskich, Cherif basza, zawiadomił lorda Granvillę, że zdaniem Valentina Bakera baszy, środki, jakimi rząd egipski rozporządzał, nie były w stanie stłumić powstania w Sudanie.

Na to lord Granville odpowiedział, że dopóki wojska angielskie będą znajdowały się prowizorycznie w Egipcie, rząd kairski będzie musiał słuchać rady ministrów angielskich. Wskutek tego w dniu 10-ym stycznia r. 1884 nastąpiła zmiana gabinetu w Kairze, a prezydium tegoż objął Nubar basza.

W dniu 17-ym grudnia r. 1883 Valentine Baker udał się do Suakinu, aby rozpocząć tam operacye wojskowe, celem utrzymania komunikacyi pomiędzy Suakinem a Berberem i uspokojenia szczepów. Podczas gdy w Anglii panowało przekonanie, że wojska Bakera poniosą klęskę, a obawiano się tego także i w Egipcie, generał nie przeczuwał niebezpieczeństwa, albo też może postanowił zaglądnąć mu w oczy. W obawie, że bitwa byłaby dla wojsk fatalną, kedyw pisał prywatnie do Bakera baszy: „Ufam pańskiej roztropności i dzielności i mam nadzieję, że zaczepisz pan nieprzyjaciela tylko w chwili pomyślnej dla pana.” Baker posiadał roztropności i dzielności

poddostatkiem; ale następne wypadki wykazały, że w tym razie brakło mu tych przymiotów tak, jak Hicksowi baszy.

Wojsko Bakera składało się z 3746 żołnierzy. W dniu 6-ym lutego r. 1884 wyruszył on z Trinkitat nad wybrzeżem morskiem w kierunku Tokaru; w odległości 10 kilometrów spotkał straż przednią powstańców; wkrótce też uderzyły na siebie oba wojska. Powstańcy okazali tam Egipcyanom najwyższą pogardę, chwyтали ich za gardło i odcinali głowy, zaś wojska egipskie, złamane przestraszeniem, uciekły i wołały dać się zabijać, niż próbować obrony życia; setki z nich porzuciły broń, rzuciły się na kolana i składając ręce, jakby do modlitwy, o litość błagały.

Na 3746 żołnierzy egipskich poległo 2373. Royle, wyborny historyk wyprawy egipskiej, pisze: Baker znał skład swych wojsk, albo przynajmniej powinien był poznać go; takich żołnierzy prowadzić do boju, znaczy tyle, co wywoływać wilka z lasu.

Przechodzimy teraz do generała Gordona, który od r. 1874 do 1876. na liniach, wytkniętych przez Samuela Bakera w Górnym Sudanie, miał krajowców uspokoić, karawany niewolników wytępić, stacye niewolników zniszczyć i panowanie egipskie za pomocą łańcucha fortec posunąć aż do jeziora Albert-Njanza. Został on mianowany generalnym gubernatorem Sudanu, Darfuru i prowincyj równikowych. Pomiędzy osobami, które Gordon zamianował gubernatorami prowincyj, jakeimi zarządzał, był także Edward Schnitzer, żyd-niemiec, ur. w dniu 28-ym marca r. 1840-go w Opolu na Szląsku, który służył dawniej w orszaku Ismaïła Hakki baszy, dawnego generalnego gubernatora w Skutari, w Turcyi, Armenii, Syryi i Arabii. Po śmierci swego protektora udał się Schnitzer do Nissy, gdzie mieszkały jego matka, siostra i krewni

i bawił tam przez kilka miesięcy, zanim wyjechał do Egiptu. Ztamąd wyruszył do Chartumu, gdzie Gordon zamianował go lekarzem, ponieważ uczył się medycyny. Przyjął nazwisko Emina Effendiego Hakima, wiernego lekarza. Wysyłano go jako zawiadowcę obozu i lekarza do Ladó, później w misyi politycznej do króla Mteza, następnie odwołano go do Chartumu, poczem wysłano go znów w podobnej misyi do króla Kabba-Rega w Unjoro, a w końcu w r. 1878-ym otrzymał nominację na beja i gubernatora prowincyi równikowej Hatt-el-Estiva (Aequatoria) z płacą 50 funtów szterl. miesięcznie. Sternika parowca Tow. wschodniego, Luptona, zamianowano gubernatorem prowincyi sąsiedniej, Bahr-el-Ghasal.

Kiedy Gordon w r. 1879-ym dowiedział się o zde-tronizowaniu Ismaila, złożył swój wysoki urząd w ręce kedywa Tewfika i oświadczył, że urzędu tego ponownie nie przyjmie.

W r. 1880-ym przyjął on posadę sekretarza markiza de Ripon, lecz zrzekł się jej w przeciągu jednego miesiąca. W r. 1881-ym był dowódcą wojsk królewskich w St. Mauritius, następnie na Przylądku Dobrej Nadziei.

Ja byłem tymczasem zajęty w Kongo. Rezultat naszej działalności w tym olbrzymim kraju narażał nas na wielką odpowiedzialność. Kiedym znajdował się w Dolnem Kongo, wybuchały nieporządki w Górnem, pojechałem do Górnego, burzyło się w Dolnem Kongo. Prosiłem zatem we wrześniu r. 1882 a następnie znów na wiosnę r. 1883 króla Leopolda, by mianował moim asystentem człowieka tej zasługi, godności i ochoty do pracy, co general Gordon. Niechajby on objął zarząd nad Dolnem albo Górnem Kongo, ja zaś pracowałbym w drugiej części, ponieważ ustawiczne podróże z jednej części kraju do drugiej zmuszały do marnowania drogiego czasu, a komen-danci stacyj lubili bardzo korzystać z mojej nieobecności.

J. Kr. Mość przyrzekł prosić gen. Gordona o pomoc, ale odpowiedź była niepomyślną. Wreszcie na wiosnę r. 1884 otrzymałem od gen. Gordona list z doniesieniem, iż przybędzie pierwszym parowcem pocztowym.

Zdaje się jednakże, że zaraz po wysłaniu listu do mnie i po pożegnaniu z J. Kr. Mością, wezwali go własni rodacy, by pospieszył na pomoc rządowi egipskiemu i załodze, osaczonej w Chartumie. Nie wiem, co się stało, kiedy gen. Gordon został przedstawiony lordowi Wolseleyowi przez lorda Granville, dowiedziałem się jednakże, że gen. Gordon był przekonany, iż może podjąć się powierzonej mu misyi. Co do rozmiaru tej misyi zdania są podzielone. Władze egipskie pragnęły tylko dania odsieczy załodze w Chartumie, a być może, że i lord Granville chciał tylko tego, podczas gdy wszystkie inne załogi miały być pozostawione na los szczęścia, ponieważ ocalenie ich uważano za niemożliwe. To tylko pewna, że lord Granville polecił gen. Gordonowi, aby udał się do Egiptu aby zdał mu sprawę z położenia rzeczy w Sudanie, tudzież wskazał środki, jakie należy przedsięwziąć celem oswobodzenia załogi, tudzież ludności europejskiej w Chartumie. Prócz tego miał wykonać inne zadania, jakieby mu powierzył rząd egipski. Towarzyszyć mu miał pułkownik Stewart.

Po dłuższej konferencji z Evelynem Baring'em otrzymał Gordon instrukcye w imieniu rządu angielskiego. Główna treść ich brzmiała:

1. Zabezpiecz pan odwrot 10 do 15000 europejczyków i załogi Chartumu.
2. Pan wiesz najlepiej, jak i kiedy można to uczynić.
3. Nie zapominaj pan, że głównym celem misyi pańskiej jest wycofanie wojsk z Sudanu.



4. Jeżeli pan uzna, że to możebne, staraj się pomiędzy krajowcami stworzyć związek, któryby zajął w Sudanie miejsce rządu egipskiego.

5. W departamencie skarbu otwarto panu kredyt do summy 100000 funtów szterl.

Gordonowi udało się wlać lepszą otuchę w ministrów egipskich, którzy błagali tylko o wycofanie wojsk z Chartumu. Skoro go zobaczyli i usłyszeli, odetchnęli swobodniej i na jego własne żądanie dali mu tytuł generalnego gubernatora. Udzielony mu ferman upoważniał go do wycofania z Sudanu wojsk, urzędników cywilnych i inne osoby, któreby chciały udać się do Egiptu, zaś po wycofaniu się (co jednak było absolutnie niemożebnem), zorganizować tam rząd. Granville zgodził się na takie instrukcje.

Tymczasem panowało przekonanie, że Gordon miał uczynić to, co mógł, gdyby nie mógł wycofać wojsk z całego Sudanu, to przynajmniej jak najprędzej choćby z Chartumu. Tego mu jednak do dnia 23 marca r. 1884 urzędownie nie doniesiono i wogóle nie wiadomo, czy depezę taką otrzymał kiedykolwiek.

Gen. Gordon wyjechał do Chartumu w dniu 26-ym stycznia r. 1884, przybył zaś tam w dniu 18 ym lutego. Z drogi przesyłał często depeze telegraficzne, zapewniające o wierze w udanie się misyi, zaś konsul Power, korespondent „Timesa”, przesłał swemu pismu telegram następujący: „Ludność Chartumu jest uległą gen. Gordonowi, który ma ocalić załogę i Sudan—co stać się musi koniecznie—pozostawić na zawsze Sudańczykom.”

Prasa angielska sprzyjała gen. Gordonowi i pewną była jego powodzenia. Dokazał on tylu cudów w Chinach, handel niewolnikami w Sudanie stłumił tak skutecznie, zyskał przychylność Sudańczyków tak prędko, że prasa nie wątpiła, iż Gordon na czele swego sztabu euro-

pejskiego i sześciu służących potrafi ocalić skazane na zagładę załogi w Sennar, Bahr el Ghazal i Aequatoria, liczące ogółem 29000 ludzi, oprócz urzędników cywilnych, kobiet i dzieci i że po wykonaniu tego prawdziwie herkulesowskiego zadania potrafi zaprowadzić tam rząd, dobrze uorganizowany.

W dniu 29-ym lutego Gordon telegrafował: „Niema wiele widoków polepszenia się stosunków, owszem szanse pogorszają się”, zaś w dniu 2 marca: „W Chartumie pozostać nie mogę, wysuwa się z rąk moich”, w dniu 16 marca prorokuje: „Wkrótce będziemy obleżeni”, zaś w końcu marca telegrafuje: „Mamy zapasy żywności na pięć miesięcy, jesteśmy obleżeni.”

Prawdopodobnie gen. Gordon nie rozumiał dobrze instrukcyj Sir Evelyuna Baringa, ponieważ pisał: „Żądasz pan wskazania przyczyny, dlaczego chcę zostać w Chartumie. Pozostaję w Chartumie, ponieważ Arabowie nas otoczyli i nie chcą wypuścić.”

Tymczasem opinia publiczna w Anglii żądała wysłania wyprawy celem oswobodzenia Gordona z Chartumu. Żądaniu temu nie uczyniono zadość, ponieważ lord Granville umówił się był z Gordonem, aby wojska angielskie z Sudanu wycofać. Kiedy jednakże wszczęto hałas z tego powodu, a parlament i publiczność dowodziły, że należy ratować dzielnego męża, wówczas Gladstone w dniu 5-ym sierpnia zażądał od Izby gmin przyznania kredytu na odsiecz. Proponowano dwie drogi, któremi wojska pomocnicze miały maszerować do Chartumu: krótszą z Suakinu przez puszcę do Berberu i drugą przez Nil. Gordon uznał tę drugą za lepszą, tę więc wybrano.

Parowiec „Abbas“, na którym znajdowali się: pułkownik Stewart, towarzysz Gordona, Power, korespondent „Timesa“, konsul francuski Herbin i pewna liczba Greków, tudzież Egipcyan, wogóle 44 osób, rozbił się w dniu

18-ym września w czasie próby przedostania się przez katarakty Abu Hammed. Stojący na brzegu Arabowie wezwali rozbitków, by wylądowali spokojnie, ale bez broni. Na ląd wysiedli więc: pułkownik Stewart, Power, Herbin i Hassan Effendi i wszyscy zostali zamordowani w domu, do którego weszli.

W dniu 17-ym listopada Gordon doniósł lordowi Wolseleyowi, który był podówczas w Wadi Halfa, że może trzymać się jeszcze tylko przez dni 40, że wojska Mahdiego znajdują się na południu, południowym zachodzie i wschodzie, lecz niema ich na północ od Chartumu.

W dzień Bożego Narodzenia r. 1884 znaczna część wyprawy była w Korti, ponieważ komendant kazał maszerować jej jak najprędzej. Prawdopodobnie nigdy nie było jeszcze tak licznych szeregów, przejętych tak szlachetną myślą, jak owa wyprawa pod wodzą lorda Wolseleya do Chartumu, z pomocą dzielnemu anglikowi spiesząca.

W d. 30 grudnia część kolumny gen. Herberta Stewarta wyruszyła z Korti z 2099 wielbłędami w kierunku oazy Gakdul. Stanęli tam w przeciągu 46 godzin 50 minut, zaś w 11 godzin później gen. Herbert Stewart wyruszył napowrót do Korti, dokąd przybył w dniu 5-ym stycznia. W d. 12 stycznia Sir Herbert Stewart był znów w oazie Gakdul, zaś w dniu 13-ym o godzinie 2 ej po południu pomaszerował znów w kierunku Abu Klea. W d. 17-ym stoczono słynną bitwę pod Abu Kleą, w której zwycięzcy Anglicy z ogólnej liczby 1800 ludzi, stracili 9 oficerów i 65 żołnierzy, i mieli 85 rannych, zaś przed angielskim czworobokiem poległo 1100 nieprzyjaciół. Gdyby w miejscu tem znajdował się cały oddział angielski, w liczbie 3000 ludzi, w górę Nilu wysłany, wyprawa ta byłaby zwykłym marszem Anglików. Po drugiej bitwie, w dniu 19-ym stycznia stoczonej pod Metämneh, gdzie

poległo 20 anglików, a 60 otrzymało rany, zaś nieprzyjaciel utracił 250 ludzi, zajęto wioskę nad Nilem. W dniu 21-ym przybyły tam cztery statki parowe, należące do gen. Gordona; komendant ich opowiadał, że statki te w pobliżu jednej z wysp czekały przez kilka tygodni na przybycie kolumny angielskiej. Dnie 22 i 23 sir Karol Wilson zużył na wysyłanie rekonensansów, na zbudowanie dwu fortów, na zmianę załogi parowców. W d. 24 dwa parowce, mające na pokładzie tylko 20 żołnierzy angielskich, wyruszyły do Chartumu. W d. 26 przybyło na pokład dwu ludzi z doniesieniem, że w Chartumie staczano bitwy, a w dniu 27 jakiś człowiek krzychał z wybrzeża, że Chartum zdobyto i Gordona zamordowano. Wiadomości te powtórzył nazajutrz inny człowiek. Wilson pojechał dalej, powrócił zaś dopiero wówczas, kiedy przekonał się, że smutna wiadomość była prawdziwą. Całą siłą pary pojechał więc w dół rzeki do Tamanieb, gdzie zatrzymał się na noc. Ztamąd wysłał dwu posłańców celem zebrania wiadomości; jeden z nich przyniósł wiadomość, że Chartum zdobyte zostało w nocy dnia 26 stycznia, wskutek zdrady Faraga baszy, że Gordon został zamordowany, że Mahdi wkroczył nazajutrz do miasta, gdzie modlił się w meczecie, poczem wyszedł z miasta, wydawszy pozwolenie na trzydniowy rabunek w niem.

Sprawozdanie majora Kitchenera o zdobyciu Chartumu opiewało: „Walka w mieście trwała sześć godzin, przyczem wymordowano co najmniej 4000 ludzi. Baszyboźnicy i wojska nieregularne w liczbie 3327 ludzi, tudzież wojska nieregularne Szaigia w liczbie 2330 ludzi, poddały się i zostały rozbrojone, a następnie z zimną krwią wymordowane.“ Pozostałym przy życiu mieszkańcom rozkazano wyjść z miasta; przy wyjściu z bram zrewidowano ich, poczem odprowadzono do Omdurman. Tam kobiety rozdzielono pomiędzy przywódców mahdyków, zaś męż-



H. Stanley.

czyzn obdarto i odpędzono. Zbiegły z Chartumu kupiec grecki opowiada, że miasto zostało zdradzonem przez kupców, a nie przez Faraga baszę.

W ręce nieprzyjaciela wpadły: Darfur, Kordofan, Sennar, Bahr-el-Ghazal i Chartum, wkrótce potem Kasala, tak że z całego Sudanu pozostała wolną od nich tylko prowincya równikowa, której gubernatorem był Emin bej Hakim, wierny lekarz.

Jeżeli naród angielski poczytywał sobie za obowiązek ratować dzielnego rodaka, musiał, naturalnie, zajmować się żywo losem ostatniego gubernatora gen. Gordona, który, dzięki swej roztropnej, na przykładzie Fabiusza Cunktatora wzorowanej polityce, uniknął losu innych załóg w Sudanie.

W d. 16 listopada r. 1884 Emin bej w liście z Ladó donosi misyonarzowi Mackayowi do Ugandy: „Sudan stał się teatrem powstania; od 19 miesięcy nie mam wiadomości z Chartumu, jestem więc przekonany, że albo miasto to zostało zdobyte, albo na Nilu zaprowadzoną została blokada... Donieś pan swoim przyjacielom, a za ich pośrednictwem rządowi egipskiemu, że trzymamy się do dnia dzisiejszego i że nie ruszymy się, póki pomoc nie nadejdzie, albo nie zginiemy.”

Do sekretarza towarzystwa antiniewolniczego, p. Karola H. Allena, pisał Emin bej d. 31 grudnia r. 1885 z Wadelai:

„Już od maja r. 1883 jesteśmy odcięci od świata. Przez rząd zapomniani i opuszczeni, od czasu zajęcia Bahr-el-Ghazal atakowani byliśmy bardzo silnie. Nie wiem, jak mam przedstawić panu podziwienia godną uległość moich czarnych żołnierzy w czasie długiej wojny, która im przynajmniej żadnej nie przyniosła korzyści. Chociaż od długiego czasu brak nam najpotrzebniejszych rzeczy, a ludzie moi nie

otrzymują żołdu, mimo to walczyli dzielnie, a kiedy ostatecznie głód ich wycieńczył, a po 19 dniowej nędzy i cierpieniach wyczerpali siły i zdarli obuwie, przebili się przez nieprzyjaciół i schronili w miejscy bezpieczne" i t. d.

List ten, ogłoszony w „Timesie”, wywołał na mnie i przyjaciół wielkie wrażenie. W kilka dni później rozpoczęliśmy już radzić nad tem, w jaki sposób możnaby przyjść mu z pomocą.

W liście, pisanym d. 31 grudnia 1885 do d-ra R. W. Felkina, Emin basza wyraził zamiar pozbycia się urzędników egipskich; sam chciał pozostać do czasu, w którymby rząd egipski objawił mu swoje życzenia. Pragnął wycofać się z prowincyi, której rząd nie był w stanie utrzymać i Afrykę opuścić.

W liście, pisanym d. 6 lipca r. 1886 do p. Mackaya, pisze Emin:

„Wierz mi pan, że nie spieszno mi opuszczać tych krajów, w których dziesięć lat pracowałem... Wszyscy ludzie moi, a przedewszystkiem czarni żołnierze, są przeciwni marszowi na południe, a następnie do Egiptu i mają zamiar zostać tak długo, póki nie zostaną poprowadzeni na północ. Tymczasem, jak długo nie będzie nam zagrażało niebezpieczeństwo i starczy amunicyi, pozostanę tutaj, dopóki pomoc zkadkolwiek nie nadejdzie.

Na marsz w stronę morza zdecydujemy się tylko w razie ostatecznym. Zresztą mamy dwie marszruty, jedną z Kabba Rega prosto do Karagwe, drugą przez Usongora do stacyi nad jeziorem Tanganika. Mam jednakże nadzieję, że ani jedna ani druga nie będzie mi potrzebną i t. d.“

Dalej pisze Emin bey, że ludzie jego są wierni, że

słuchają jego rozkazów, że jednakże oprócz Egipcyan, żaden z nich nie ma ochoty powracać do Egiptu.

W listach pisanych do sir Ewełyna Baringa d. 25 i 27 września r. 1886 konsul generalny F. Holnwood wyraża swe zdanie co do wysłania wyprawy na pomoc Eminowi baszy. F. Holnwood pisze:

„W listach swych Emin dowodzi mi o swem położeniu do dnia 26 lutego 1886, w którym to dniu zamierzał prowincję opuścić; tymczasem d-r Juncker i p. Mackay zawiadamiają mnie, że znaczniejsza część wiernych poddanych egipskich w liczbie 4,000 nie chce kraju opuszczać; Emin zdecydował się zatem utrzymać na stanowisku i bronić interesów egipskich tak długo, póki pomoc nie nadejdzie... Gdyby kraj Uganda został uwolnionym od tyrana Muanga, wówczas do prowincyi Aequatoria możnaby się dostać z Zanzibaru w przeciągu ośmiu tygodni, a jezioro Albert Njanza możnaby obrać za punkt do dalszych operacyj. Dr. Juncker donosi, że przez kraj na wchód od wodospadów Ripona przejść nie można a przy próbach odnośnych Emin utracił sporo żołnierzy. Jeżeli to jest prawdą, wówczas marsz przez Uganda byłby najlepszym. O ile sędzę, potrzebaby do wyprawy najmniej 1200 tragarzy, prócz tego potrzebna jest eskorta, złożona co najmniej z 500 dobrze uzbrojonych krajowców. Gen. Mathews mówi, że to za mało, ja obstawiam jednakże przy mojem zdaniu“.

Pewien oficer amerykański, pozostający w służbie Kedywa, w liście do p. Portala zwraca uwagę na to, że za pośrednictwem Arabów zanzibarskich możnaby porozumiewać się z Eminem, ale zapasów żywności i amunicyi dostarczyć mu niepodobna; możeby Arabowie mogli mu być pomocni przy odwrocie; najbezpieczniej byłoby wycofać się przez państwo Kongo.



Tymczasem zaczęto radzić nad tem, jaką wyprawa ma obrać drogę, aby dostać się do Emina.

W początkach października r. 1886 sir William Mackinnon i p. Hutton mówili ze mną o wysłaniu odsieczy Eminowi, aby umożliwić mu utrzymanie się. Zdawało się im, że Emin potrzebował tylko amunicyi; podzieliłem to zdanie. W odpowiedzi na to wspomniani panowie oświadczyli, że zbiorą pieniądze na wyprawę. Mówiliśmy o projektach i o marszrucie, przyczem p. Hutton powiedział, że moje pobieżne obliczenia kosztów przewyższają rzeczywiste koszta podróży o 500 funtów szterl.

Co się tyczy marszruty, powiedziałem, że są cztery.

Przeciwko marszowi przez kraj Massai czyniono wiele zarzutów. Drogę tę zna p. Thomson, a sprawozdanie jego o kłopotach, na jakie w drodze powrotnej od jeziora Wiktorya wskutek braku wody i zboża był narażony, brzmiało nader fatalnie. W marszu do jeziora ludzie jego stracili odwagę i uciekali, wskutek czego był zmuszony powracać do Kilima-Ndjaru, pozostawić tam obóz i wrócić nad morze dla zwerbowania innych tragarzy. Gdybyśmy byli na to samo narażeni, byłoby po rozpoczęciu marszu bardzo nieroztropnie wracać choćby o jeden kilometr. Drugą przeszkodą była skłonność Zanzibarczyków do zbiegostwa; a w ostatnich czasach uciekanie od wypraw, idących od wybrzeża, z bronią i towarami, rozpowszechniło się bardzo, nie naraża bowiem na niebezpieczeństwo. Zanzibarczycy robią rzemiosło z uciekania, pobrawszy zaliczkę.

Druga marszruta przez Wiktorya-Njanza i Uganda, z natury najlepsza, jest dla małej wyprawy niemożliwa wskutek wojowniczości mieszkańców Ugandy. Można by jednakże walk uniknąć, rozporządzając dostateczną ilością statków na jeziorze Wiktorya, i mogąc przeprowić się przez nie.

Trzecia marszruta prowadzi przez Msalala, Karagwe, Ankori, Unjoro i jezioro Albert. Każda próba marszu od strony wybrzeża wschodniego narażała na olbrzymie straty w ludziach i towarach; straty w wysokości 50<sup>o</sup>/<sub>10</sub> są nieuniknione, a zbiegostwu zapobiedz niepodobna. Zresztą kraj Karagwe zajęli Wagandowie, a gdybyśmy jednak zdołali przedrzeć się przez Karagwe, będziemy mieli do czynienia z Wanjankorami, którzy rozporządzają 200,000 oszczepów. Marsz przez inny kraj jest niemożliwy.

„Cała sprawa zależy od kwestyi pieniężnej. Kto ma pieniądze, przedostanie się przez każdy kraj. Panowie przeznaczacie małą sumę, wobec tego możliwą jest tylko jedna marszruta przez Kongo. Na rzece tej w górnym biegu jest mało statków. Dlatego radziłbym zakupić 15 łodzi, na których cała wyprawa mogłaby zbliżyć się do jeziora Albert Njanza przynajmniej na odległość 320 kilometrów. Trudno będzie łodzi przenieść z dolnego Kongo do Górnego, możemy jednak łatwo dać sobie z tem radę, jeżeli wyszlemy zaraz agentów dla wynajęcia tragarzy. Potrzeba jednak wyjechać na to pozwolenie Króla Leopolda.

Przedewszystkiem jednakże proszę zbierać pieniądze i wezwać mnie wrazie potrzeby. Jeżeli nie będziesz pan mnie potrzebował, powierz pan Thomsonowi kierownictwo nad wyprawą przez kraj Massai, ja dam na to 500 funtów szterl.”

W połowie listopada sir Mackinnon prosił mnie, bym mu listownie przedstawił swój projekt, pragnie bowiem pomówić o nim z przyjaciółmi.

W kilka dni po wysłaniu listu wyjechałem do Ameryki na seryę odczytów. Już w dniu 11 grudnia otrzymałem telegram następujący: „Londyn. Pański plan przyjęty. Rząd zgadza się na niego. Pieniądze zebrane. Interes pilny. Przyjeżdżaj pan natychmiast. Odpowiedź

Mackinnon“. Na telegram ten, otrzymany w St. Johnsbury, odpowiedziałem: „Dziękuję. Wszystko w porządku. W środę odjadę na „Eiderze“. Przybędę do Southampton d. 22 grudnia. Zwłoka to tylko o jeden miesiąc. Uproś pan rząd, aby przygotował generalnego konsula Holmwooda i ks. Zanzibaru Seyida Bargasza“.

Agent mój był w rozpacz. Słuchacze byli tak łaskawi, przyjmowali mnie wszędzie z owacyami, ale próśby były bezskuteczne — odjechałem z Ameryki, przerwawszy szereg odczytów.

Na Boże Narodzenie byłem w Anglii i zaraz mówiz p. Mackinnonem o wyprawie.

Nie wątpilem ani na chwilę, że droga na Kongo będzie najlepszą. Znam drogę od wybrzeża wschodniego i zachodniego. Mimo to komitet był zdania, że lepiej wybrać drogę od wybrzeża wschodniego.

Składki na koszt wyprawy były następujące:

|                                                                     |      |               |
|---------------------------------------------------------------------|------|---------------|
| Sir William Mackinnon . . . . .                                     | 2000 | funt. szterl. |
| Piotr Mackinnon . . . . .                                           | 1000 | „             |
| John Mackinnon . . . . .                                            | 300  | „             |
| Baronowa Burdett-Coutts . . . . .                                   | 100  | „             |
| W. Burdett-Coutts . . . . .                                         | 400  | „             |
| James S. Jamezon . . . . .                                          | 1000 | „             |
| Hrabina de Noailles. . . . .                                        | 1000 | „             |
| Piotr Denny . . . . .                                               | 1000 | „             |
| Henryk Johnson Younger, członek<br>Tow. geogr. Szkockiego . . . . . | 500  | „             |
| Aleksander L. Bruce . . . . .                                       | 500  | „             |
| Gray, Dawes i S-ka z Londynu . . . . .                              | 1000 | „             |
| Duncan Mac Neil . . . . .                                           | 700  | „             |
| James F. Hutton z Manchesteru. . . . .                              | 250  | „             |
| Sir Tomasz Fowel z Buxton . . . . .                                 | 250  | „             |

do przeniesienia. . 10000 funt. szterl.

|                                      |              |                |
|--------------------------------------|--------------|----------------|
| z przeniesienia . . . . .            | 10000        | funt. szterl.  |
| James Hall z Argyleshire . . . . .   | 250          | „              |
| W. M. Michael z Glazgowa . . . . .   | 250          | „              |
| Król. Tow. geogr. z Londynu. . . . . | 1000         | „              |
| Rząd egipski . . . . .               | <u>10000</u> | „              |
| Razem . . . . .                      | 21500        | funtów szterl. |

Aby fundusze te powiększyć w razie potrzeby, oświadczyłem, że będę z Afryki pisywał listy do dzienników i że honorarium za nie przeznaczam na koszt, jako mój udział.

Czas, jaki na wyprawę był potrzebny, obliczałem jak następuje: przez kraj Massai 18 miesięcy, przez Msalala, Karagwe, Ankori i Urengora do jeziora Albert 20 miesięcy.

Na wyprawę przez Kongo potrzeba:

|                                            |                  |
|--------------------------------------------|------------------|
| Z Zanzibaru do Kongo 1 miesiąc. . . . .    | 1 kwietnia 1887. |
| Marsz do Stanley Pool 1 „ . . . . .        | 1 maja.          |
| Podróż statkiem na Kongo 1 1/2 „ . . . . . | 15 czerwca.      |
| Odpoczynek do. . . . .                     | 25 „             |
| Z Jambuja do Albert Njanza 3 „ . . . . .   | 25 września.     |
| Odpoczynek do. . . . .                     | 9 stycznia 1888. |
| Z Albert Njanza do Zanzibaru 8 „ . . . . . | 8 września.      |
| Na opóźnienia . . . . .                    | <u>3 1/2 „</u>   |
| Razem . . . . .                            | 18 miesięcy.     |

W rzeczywistości zaś cała wyprawa trwała, jak następuje:

|                                      |                  |
|--------------------------------------|------------------|
| Przybycie do Kongo . . . . .         | 18 marca 1887.   |
| „ „ Stanley Pool . . . . .           | 21 kwietnia.     |
| „ „ Jambuja . . . . .                | 15 czerwca.      |
| Odpoczynek do. . . . .               | 28 „             |
| Przybycie do Albert Njanza . . . . . | 13 grudnia.      |
| Powrót do Fort Bodo . . . . .        | 8 stycznia 1888. |

|                                                        |                     |
|--------------------------------------------------------|---------------------|
| Odpoczynek do. . . . .                                 | 2 kwietnia.         |
| Ponowne przybycie do Albert Njanza.                    | 18 „                |
| Odpoczynek do. . . . .                                 | 25 maja.            |
| Powrót do Fort Bodo . . . . .                          | 8 czerwca.          |
| Przybycie do Banalja . . . . .                         | 17 sierpnia.        |
| Ponowne przybycie do Fort Bodo. .                      | 20 grudnia.         |
| Trzecie z rządu przybycie do Albert<br>Njanza. . . . . | 26 stycznia 1889.   |
| Odpoczynek do. . . . .                                 | 8 marca.            |
| Marsz do Zanzibaru (2250 kilom.)                       | 6 mies. 6 grudnia.  |
|                                                        | <u>18 miesięcy.</u> |

W liście z dnia 31 grudnia r. 1886 wezwano mnie do rozpoczęcia przygotowań.

Pierwszy rozkaz, jaki w sprawie wyprawy do Emi-na baszy wydałem, był telegram do mego agenta w Zanzibarze, p. Edmunda Mackenzie, z poleceniem, aby w Bagamoyo wynajął 200 tragarzy do przeniesienia 6 ton ryżu do stacyi misyjnej w Mpuapua, odległej od Zanzibaru o 300 km. Koszta wynosić miały 2700 rupij.

Drugi rozkaz dotyczył zwerbowania 600 tragarzy zanzibarskich i zakupu towarów, które chciałem w czasie marszu zamienić na artykuły spożywcze.

Kazałem ogółem zakupić 28262 yardów (1 yard = 91,4 cm.) płótna itd., prócz tego 3600 funtów pereł szklanych i tonę drutu mosiężnego, miedzianego i żelaznego; dalej 40 osłów jucznych i 10 pod wierzch i tyleż siodeł — za 400 funtów szterl.

Pp. Forrest i S-ka otrzymali rysunki i polecenie budowy łodzi stalowej, długiej na 8½ m., szerokiej na 1,8 m. i głębokiej na 76 cm.; łódź miała być zbudowaną z galwanizowanej stali Siemens'a i być złożoną z 12 części, z których każda ważyłaby 75 funtów.

Z Egiptu wysłano do Zanzibaru 510 karabinów Remingtona, 2000 kilogr. prochu, 250,000 kapsli, i 100,000 nabojów; angielskie ministerjum wojny dostarczyło mi 30,000 nabojów Gatlinga, zaś od pp. Kynock i Spka w Birmingham otrzymałem 35.000 nabojów Remingtona. Pp. Watson i Spka z Londynu dostarczyli 50 karabinów repetierowych Winchestera i 50,000 nabojów, zaś Hiram Maxim swą armatkę, dającą 600 strzałów na minutę. Następnie posłaliśmy do Zanzibaru 100 szufli, 100 motyk, 100 toporów i 100 wielkich noży.

Pp. Burroughs i Welcome z Londynu przysłali nam bezpłatnie środki lecznicze dla zapobiegania chorobom endemicznym, w Afryce panującym. Wyborne namioty sporządziła nam firma John Edgington i Spka w Londynie, zaś pp. Fortnum i Masron dostarczyli nam artykułów spożywczych.

Przy ułożeniu listy towarów i ich zakupie wspierał mnie swą radą Francis de Winton, mój następca w Kongo.

Pierwszym, którego zaangażowałem do wyprawy, był W. Grant Stairs, porucznik korpusu inżynierii, który zgłosił się do mnie listownie. Styl prosty i zwięzły, oferta krótka przemawiała za nim.

Drugim był p. William Bonny, który przedstawił się osobiście. Piers, obwieszona medalami, przemawiała za nim. Przyjeliśmy go jako lekarza asystenta.

Trzecim był John Rose Troup, który służył dobrze już w Kongo. Znał on język Kisuaheli, używany w Zanzibarze. Nie lenił się w pracy i prowadził bardzo porządnie rachunki.

Czwarty z kolei przedstawił się Edmund Musgrawe Barttelot, major 7 pułku fizylierów. Zgłosił się do mnie w towarzystwie jednego z moich znajomych, który go chwalił. Przyjąłem go.

Piątym był kapitan R. H. Nelson, który odznaczył się już w walkach z Zulusami. Już rysy jego przemawiały

za nim. Kapitan był gotów do natychmiastowego podpisania kontraktu.

Szóstym ochotnikiem był A. J. Mounteney Jephson, który dotąd nie odbył żadnej podróży zagranicznej. Członkowie komitetu nie chcieli przyjąć go, ponieważ wyglądał zanadto na pana, ale hrabina de Noailles dała na cel wyprawy 1000 funt. szterl. pod warunkiem, że go przyjmie. Temu argumentowi komitet oprzeć się nie mógł. P. Jephson podpisał kontrakt ręką pewną. Biedny młody Jephson! Po wielu ciężkich doświadczeniach, o których później, powrócił z Afryki!

Jednym z ostatnich był p. James S. Jameson. Odbył on podróże po krajach Maszona i Matebele w Afryce południowej dla polowania na dzikie zwierzęta, dla studyowania ptaków i robienia szkiców. Wydawał się nam za słabym, lecz on oświadczył, że da na cele wyprawy 1000 funt. szterl., jeżeli będzie przyjętym na jej członka. I on podpisał kontrakt.

Kiedy przygotowywaliśmy już wszystko do podróży z Zanzibaru do Wiktorya Njanza, otrzymałem list następujący:

Pałac w Brukselli, 7 stycznia 1887 r.

*Kochany panie Stanleyu!*

Państwo Kongo na tem nie zyska, jeżeli wyprawa do Emina baszy pójdzie przez jego terytorium, Król proponował tę drogę tylko dlatego, abyś pan mógł poświęcić swe usługi wyprawie, co byłoby niemożliwym, gdyby wyprawa miała wyruszyć od strony wybrzeża Wschodniego. Wedle pańskiego obliczenia, wyprawa od strony wybrzeża wschodniego trwałaby 18 miesięcy. J. Kr. Mość sądzi, że naruszyłby swe obowiązki wobec państwa Kongo, gdyby pozbawiał je pańskich usług, które przed upływem tego czasu z pewnością będą potrzebne.

Jeżeli wyprawa wyruszy z Kongo, naówczas państwo to użyje panu swego poparcia pod każdym względem. Państwo odda wyprawie do rozporządzenia całą flotylę, o ile pozwoli na to potrzeby administracyi tego kraju. „Stanley“ jest największym parowcem na Kongo Górnem. Drugi wysłamy w dniu 15 bm. i pospieszymy, o ile się to tylko da, aby parowiec ten mógł wyruszyć ze Stanley-Pool; będzie to cenny statek w naszej flotyli. Zresztą statek misyjny „Peace“ podejmie się niezawodnie transportu bezpłatnie.

Jeżeli wyprawa życzy sobie, możemy ułatwić werbowanie tragarzy ze szczepu Bangala; jesteśmy z nich bardzo zadowoleni, ponieważ są wybornymi żołnierzami i nie boją się Arabów tak, jak Zanzibarczycy, i. t. d.

Przyjmij pan, kochany panie Stanleyu i t. d.  
hr. de Borchgrave.“

Prócz tego otrzymałem od p. Mackinnona notę następującą:

„Otrzymałem miły i krótki list od króla, który pragnie, abyśmy wybrali marszrutę przez Kongo, tudzież nie życzy sobie przerywania stosunku państwa Kongo do pana, którego uważa za główny filar tego kraju. Król prosi mnie, aby wszystkich skłonić do obrania marszruty na Kongo. Tłumaczyłem mu obszernie, co się stało i co się dzieje, jakoteż przedstawiłem trudności, na jakie narazilibyśmy się nie dotrzymując zobowiązań, tudzież w usiłowaniach namówienia rządów angielskiego, egipskiego i sultana Zanzibaru do zmiany udzielonego już pozwolenia. Wspominałem także o zwiększeniu się kosztów, jakie



spowoduje wysłanie 600 żołnierzy, nawet chociażby sułtan pozwolił na to, by ludzie jego jechali do Kongo. Tymczasem przyrzekłem zbadać, czy wszyscy zgadzają się na wybór marszruty przez Kongo.“

W moim dzienniku pod datą 5 stycznia zanotowałem czynności, jakich w dniu tym dokonałem.

Napisawszy do króla Leopolda, odwiedziłem p. Persy'ego Andersona i powiedziałem mu o życzeniach króla. Na pytanie, jakie korzyści przyniosłby wybór tej drogi odpowiedziałem:

1. Pewność, że do Emina dojdziemy.
2. Ułatwienie transportu na rzece Kongo aż na odległość 620 km. od jeziora Albert.
3. Usunięcie podejrzeń niemieckich, jakoby wyprawa nasza miała cel polityczny.
4. Usunięcie obaw rządu francuskiego, który podejrzewa, że wyprawa nasza zaszkodzi misyom francuskim.
5. Gdyby ucierpieli na tem misjonarze francuscy, los ich podzielaliby także i angielscy.
6. Nader rzadkie wypadki i zbiegostwa Zanzibarczyków.

Lord Iddesleigh donosi mi, że poseł francuski otrzymał polecenie, aby zwrócił uwagę na to, że los misyj francuskich byłby zagrożony, gdyby wyprawa obrała kierunek na wschód od jeziora Wiktorya-Njanza. Mam zastanowić się nad tem.

Udałem się do admiralicy i pytałem admirała Sullivana, czy moglibyśmy otrzymać okręt dla przewiezienia wyprawy do Kongo. Odpowiedziano mi, że to zawisło od rozporządzenia rządu.

Napisałem do króla, prosząc o wskazanie, o ile może nam przy przewozie transportów na Górnem Kongo.

8 stycznia. Król w liście swym zaznacza pretensye do mojej służby. Oświadcza, że odda nam wszystkie statki transportowe, prócz tych, które będą rządowi potrzebne. Telegrafowałem do Mackinnona, że klauzula owa mnie niepokoi. Pułkownik de Winton pisał w tym samym duchu.

De Winton pracował ze mną do późnej godziny.

9 stycznia. O. A. Grant, de Winton i ja radziliśmy nad listem króla i odpowiedzieliśmy mu w końcu prosząc, aby oznaczył dokładnie, ile statków nam pożyczycy i na jak długo. Ponieważ od rychłej odpowiedzi zawisło werbowanie Sudańczyków, zatrzymanie parowca pocztowego dla przewozu amunicji itd., wysłaliśmy z listem specjalnego posłańca.

10 stycznia. De Winton otrzymał w admiralicyi przyrzeczenie, że sprawa zatrzymania parowca i wysłania statku rządowego dla transportu naokoło Przylądka Dobrej Nadziei będzie rychło załatwioną.

Generalny pocztmistrz oświadczył mi, że parowiec, jadący do Zanzibaru, zatrzyma w Adenie do chwili nadejścia statku „Navarino“, który w dniu 20ym stycznia odjedzie z Londynu z oficerami i amunicją. Ja wsiądę na pokład „Navarina“ w Suezie, załatwiwszy sprawy wyprawy w Egipcie.

12 stycznia. Wczoraj wieczorem nadeszła odpowiedź! Pp. Guy Dawney, pułkownicy Lewis Pelly i de Winton, tudzież ja, zwołujemy zgromadzenie. Ponieważ odpowiedź jest pomyślną, wyprawa wyruszy z Kongo.

O godz. 2-iej w południe Earl of Iddesleigh doniósł mi, że o godz. 6ej chce widzieć się ze mną, zmarł jednakże nagle o godz. 3ej m. 13.

13 stycznia. Otrzymałem notę od sira J. Pauncefote. Admiralicya nie daje poparcia. Towary szybko napływają. Z baronową Burdett-Contts jeździłem do Guildhall. Otrzymałem dyplom obywatela honorowego City londyńskiego. Śniadanie w Mansion-House.

Telegrafowałem do Brukselli, z zapytaniem, czy król przyjmie mnie w piątek. Odpowiedź brzmiała: Tak, o godz. 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rano.

14 stycznia. Wczoraj wieczorem pojechałem do Brukselli, gdzie widziałem się z królem Leopoldem, i pożegnałem go. Był bardzo uprzejmy. Wieczorem o godz. 8 sej odjechałem do Londynu.

Otrzymałem telegram z Sandringham od ks. Walii z zaproszeniem.

15 stycznia. Telegrafowałem do Zanzibaru z poleceniem, aby odwołano z Mpuapuy tragarzy, niosących ryż. Będzie to kosztowało 2500 rupij.

18 stycznia. Pojechałem z pułkownikiem de Winton do Sandringham dla odwiedzenia J. Kr. Wysokości. Z mapą w rękę miałem dla Ich Kr. Wysokości wykład o marszrucie, wykniętej dla dostania się do Emina baszy. Miałem bardzo uważnych słuchaczy.

19 stycznia. Sir William Mackinnon zgromadził w hotelu Burlington przyjaciół swoich na ucztę pożegnalną dla mnie.

Dziś pożegnałem się z wielu przyjaciółmi.

20 Stycznia. Parowiec „Navarino“ odpłynął dziś z towarami i oficerami wyprawy.

21 stycznia. O godz. 8ej m. 5 wieczorem odjechałem z Londynu do Egiptu. Na dworcu kolejowym zgromadziły się tłumy znajomych, aby jeszcze raz dłoń moją uściśnąć i życzyć mi szczęśliwej podróży.

## ROZDZIAŁ II.

### Egipt i Zanzibar.

27 Stycznia 1887 r., o godzinie 6ej rano przybyłem do Aleksandryi. Dr. T. H. Parke, członek departamentu lekarskiego armii, przybył do mnie do hotelu i prosił o posadę lekarza wyprawy. Było to jedyna posada, nie obsadzona dotąd tak, jakbym pragnął. Przyjąłem go, jakby przez Boga zesłanego, chociaż byłem ostrożny, ponieważ miałem dwa bardzo niemiłe wypadki z lekarzami w Anglii. Parke jest bardzo przystojnym młodzieńcem, nieco zaniedbanym, o bardzo miłej powierzchności. Aby przekonać się, czy myśli na serjo o wyprawie, powiedziałem do niego:

— Jeżeli chcesz pan jechać ze mną do Kairo, pomówię z panem. Nie mam czasu tutaj na wdawanie się w bliższe szczegóły.

O godz. 10ej rano odjechałem do Kairo. Na dworcu spotkałem sir Evelyną Baringa. Pojechaliśmy do jego mieszkania. Tu powiedział mi on szczerze i otwarcie, że są przeszkody. Kedyw i prezydent ministrów, Nubar basza, wątpią o tem, czy marszruta na Kongo jest dobrą. Prof.

Schweinfurth i dr. Junker sądzą, że pomysł ten jest absurdem.

— Cóż, panie Evelynie, spytałem, jak się panu zdaje, czy w Anglii nie ma tak doświadczonych ludzi, jak pp. Schweinfurth i Junker? W komitecie mamy pułkownika Jamesa Granta, towarzysza Speke'a, pułkownika de Winton, b. generalnego administratora w Kongo, pułkownika Lewisa Pelly, b. politycznego reprezentanta w Zanzibarze, p. Guy Dawnay, z ministerjum wojny, sir Johna Kirka, b. generalnego konsula w Zanzibarze, szanownego Horacego Wallera i innych wybitnych a rozumnych ludzi. Nie postanowiliśmy nic bez zgody ministerjum spraw zagranicznych. Rozważyliśmy wszystko, przybyłem zaś tutaj ze stanowczym zamiarem wykonać cały projekt w ten sposób, jak to ułożyłem wspólnie z komitetem.

Następnie przytoczyłem sirowi Ewelynowi motywa, dla których wybraliśmy marszrutę przez Kongo.

Pojechaliśmy do prezydenta ministrów, Nubara baszy, któremu miałem wytłumaczyć to samo. Nubar uznał roztropność i przezorność moją przy zmiąuie programu i zaprosił mnie nazajutrz na śniadanie.

28 stycznia, Kairo. Jadłem śniadanie u Nubara baszy, który zapoznał mnie z Masonem beyem, który w r. 1877 objechał jezioro Albert, z panią Nubarową i jej trzema córkami, z zięciem, Tigranem baszą, i b. sekretarzem poselstwa w Brukselli, p. Fane. W czasie śniadania Nubar basza rozmawiał o różnych rzeczach, a głównie o Egipcie, Sudanie, Afryce i Gordonie. Nie jest on wielbicielem Gordona, owszem jego obwinia o stratę Sudanu. O Bakerze sądził, że jest on wojownikiem dzielnym, pionierem, człowiekiem o wielkiej sile.

Po śniadaniu pokazałem Nubarowi mapę. Zastanawiał się starannie nad wszystkimi kierunkami wyprawy, w końcu przyszedł do przekonania, że przez Kongo

wyruszać najlepiej. Zamierza też przesłać Eminowi piśmienne instrukcje, aby powracał do Egiptu, ponieważ rząd w stosunkach obecnych nie jest w stanie Sudan utrzymać. Pozwala nam flagi egipskiej używać jako sztandaru wyprawy, i oświadcza, że chętnie patrzyłby na powrót Emina z jak największymi zapasami kości słoniowej. Gdybyśmy zaś przywieźli ze sobą kość słoniową, to będzie on miał pretensję do części tych pieniędzy na rzecz rządu egipskiego na pokrycie sumy 10,000 funt. szterl., danej przez tegoż na koszt wyprawy. Dla Emina baszy i wybitniejszych oficerów zamówiono uniformy. Każdemu oficerowi zapewniono należny mu stopień i płacę.

Widziałem się ze Schweinfurthem i Junkerem, którzy uchodzą tu za znawców i miałem z nimi długą i zajmującą rozmowę.

Zdaje się, że Schweinfurth i Junker sądzą, że wyprawa, posiadając kilkaset karabinów Remingtona i armatę Maxima, będzie wojskiem zaczepnem, wedle reguł wojskowych prowadzonem.

Już nazwa naszej wyprawy wskazywała, że byli w błędzie; zaś charakter ludzi, którzy dali pieniądze na nią, wskazuje, że takie mniemanie o wyprawie było fałszywe. Pomoc dla Emina baszy jest celem wyprawy, pomoc ta zaś polega na dostarczeniu mu dostatecznej ilości amunicji, aby był w stanie wycofać się z niebezpiecznego położenia w Afryce środkowej, albo, jeżeli będzie to wolał, utrzymywać się tak długo na swem stanowisku, dopóki będzie uważał to za możliwe.

Trudno spędziewać się wiele po Zanzibarczykach, którzy mają być moimi towarzyszami. Chociażby nawet byli wierni, to przecież trzeba pamiętać o tem, że są nieobeznani z nową bronią, że strzelają bez celu i potrzeby, że brak im karności, że na widok nieprzyjaciela uciekają, że naprawdę są tylko tragarzami, a nie chcą być żołnie-

rzami, — nie dorosli zatem do obowiązków obrony zapasów broni i amunicyi przed nieprzyjaciółmi. Tylko podstępem wojennym zapewniłem sobie ich usługi, kiedy przedsięwzięłem dzieło odkrycia ujścia owej wielkiej rzeki, kiedy opuścił mnie Tippu-Tib, obecnie słynny Arab. Tylko dlatego, że ucieczka była niemożliwą, byłem w stanie wycofać się z wnętrza Afryki przy ich pomocy. W wielu innych wypadkach dał dowód, że pod grozą natychmiastowej śmierci stają się użytecznymi.

Przy tej wyprawie jednakże nie możemy, jak dawniej, na wypadek napotkania nieprzyjaznych plemion, posuwać się na bok, ale musimy dotrzeć do celu i złożyć u stóp Emina baszy amunicję. Nie wystarcza zatem zaopatrzyć tych ludzi w karabiny Remingtona i armaty Maxima, ale trzeba im odciąć drogę do odwrotu, — a wtedy będą się zachowywali jak mężowie, tak, że będziemy mogli być pewni udania się wyprawy, chociażbyśmy nawet tu i owdzie musieli spotkać się z lukami, oszczepami i karabinami.

Informacje moje, co się tyczy Emina baszy, były różne.

Od dra Jankera dowiedziałem się, że Emin basza jest wysoki <sup>1)</sup>, chudy i że posiada wzrok bardzo krótki; mówi językami: tureckim, arabskim, niemieckim, włoskim i angielskim, a prócz tego kilkoma dyalektami afrykańskimi. Zdaje się, że nie zaimponował on Junkerowi przymiotami wojskowemi, ale za to jako urzędnik administracyjny jest bystrym, taktownym i roztroptym. Długie odcięcie od świata odebrało mu odwagę. Mówi, że Egipt nie troszczy się o niego i zapomniał o nim; a Europa nie

---

<sup>1)</sup> Kazaliśmy dlatego zrobić mu długie spodnie, które, jak się następnie okazało, były o 14 cm za długie.

zajmuje się tem; co on robi. Jest Niemcem z pochodzenia i liczy lat około 47.

Wojska jego rozdzielone są na ośmiu stacyach, po 200 do 300 żołnierzy; liczą zaś ogółem 1800 ludzi. Załogi czterech północnych stacyj, wedle ostatnich doniesień, były niezadowolone i zbuntowane. Na radę Emina, aby się połączyli, żołnierze owi odpowiedzieli zarzutami, zaś na projekt wycofania się z Aequatoryi przez Zanzibar, oskarżeniem, że zamierza ich wszystkich sprzedać tam jako niewolników.

Junker niebył w stanie podać mi dokładnie liczby żołnierzy, tudzież znajdujących się przy Eminie baszy Egipcyan, lecz na dalsze pytanie odpowiedział, że liczba tych, którzy wraz z wyprawą zapewne powrócą, wynosi, jak następuje: białych oficerów egipskich 10, czarnych podoficerów 15, białych urzędników (koptów) 20, czarnych z Dongoli. Wadi Halfa itd. 300, razem 345 mężczyz; białych kobiet 22, czarnych 137, razem 159 kobiet; dzieci oficerów 40, dzieci żołnierzy 60, razem 100; w ogóle zatem 604 osób.

Prócz tego żołnierze krajowcy, widząc ogólny odwrót, objawią może życzenie powrotu do Egiptu wraz z przyjaciółmi i towarzyszami. Jakie wrażenie wywrze na nich widok wyprawy, przewidzieć trudno. Na większą część ich wpływ mieć będzie decyzya Emina baszy.

Dzisiaj popołudniu oczekuję powrotu moich ludzi z Wadi Halfa. Mają w cytadeli być uzbrojeni, a we czwartek towarzyszyć mi do Suez. Nazajutrz przybędzie tam zapewne „Navarino”, na którego pokład wsiądziemy i pojedziemy dalej.

Otrzymałem z Londynu telegramy. Dzienniki ogłaszają wiadomości, otrzymane od jakiejś dobrze znanej w Kairo osobistości, która opowiada, że Emin basza po rozpaczliwych walkach utorował sobie drogę przez



Uganda. Odpowiedziałem, że w Kairze nic o tem nie wiadomo.

1 lutego. O godzinie 10<sup>3</sup>/<sub>4</sub> rano odwiedziłem sir Evelyną Baringa, z którym udałem się do Kedywa Tewfika. Jego Wysokość jest bardzo miłym i wyglądał dobrze. Wnętrze pałacu jest piękne, obszerne i pełno tam służby i t. d. Kedyw zaprosił mnie jutro na śniadanie.

Sir Evelyn zaprowadził mnie następnie do biura generała Grenfella, ponieważ Valentine Baker basza wczoraj wieczorem u gen. Stephensona zwrócił uwagę moją na to, aby przekonać się, czy amunicya, dostarczona przez rząd egipski, jest przydatną do karabinów Remingtona; on sam przekonał się, że połowa amunicyi jest złą.

— Wyobraź pan sobie, — mówił — w jakim stanie amunicya znajdować się będzie wskutek wilgoci okolic tropikowych, skoro po upływie roku dojdiesz pan do Emina.

Gen. Grenfell odpowiedział, że amunicyę oglądał, a'e ponieważ Valentine Baker basza wydał o niej tak złą opinię, zbada ją raz jeszcze.

2 lutego. Śniadanie u Kedywa Tewfika. Zapewnia o swoim patriotyzmie i kocha kraj. Jest bardzo szczerym i naturalnym.

Zanim pożegnałem się z kedywem, otrzymałem następujący ferman w tłumaczeniu angielskiem:

Kopia fermanu do Emina baszy.

Dan 8 Gamad Aual 1304 (1 lutego 1887. Nr. 3).

„Podziękowaliśmy już panu i pańskim oficerom za odważną i skuteczną obronę powierzonych panu prowincyj podrównikowych, tudzież za stałość, jakiej dowiodłeś pan wraz z oficerami, będącymi pod pańskimi rozkazami.

„Nagrodziliśmy pana za to, udzielając panu sto-

pień Lewa baszy <sup>1)</sup>). Zatwierdziliśmy również nominacye, jakie pan uznałeś za stosowne udzielić oficerom, będącym pod pańskimi rozkazami. Doniosłem panu o tem w piśmie z dnia 29 listopada r. 1886. Pismo to (nr. 31) otrzymałeś pan zapewne wraz z innymi pismami, wysłanymi do pana przez prezydenta rady ministrów, J. E. Nubara baszę.

„Ponieważ pragniemy oswobodzić pana wraz z pańskimi oficerami i żołnierzami z trudnego położenia, w jakim się znajdujecie, rząd nasz wybrał już środki, za których pomocą pan, oficerowie i żołnierze macie być ocaleni.

„Wydaję dla pana ten rozkaz, ponieważ pod rozkazami pana Stanleya, sławnego i doświadczonego badacza Afryki, którego sława znaną jest w całym świecie, utworzoną została wyprawa ratunkowa, a on zamierza podjąć się tej misyi, aby pana, oficerów i żołnierzy w sposób, jaki będzie uważał za odpowiedni, doprowadzić do Kairo. Rozkaz ten doręczy panu pan Stanley, abyś pan wiedział, co się stać ma. Polecam więc panu, abyś pan otrzymawszy ten rozkaz, zawiadomił oficerów i żołnierzy o moich najlepszych życzeniach. Pozostawiam panu zupełnie wybór, czy masz powrócić do Kairo, czy też pozostać tam z oficerami i żołnierzami.

„Rząd nasz postanowił płacić pensye tak panu, jak oficerom i żołnierzom.

„Ci oficerowie i żołnierze, którzy chcą zostać, mogą to uczynić na własną odpowiedzialność, ale na

---

<sup>1)</sup> General brygady.

przyszłość niechaj nie spodziewają się pomocy od rządu.

„Staraj się pan wyrozumieć dokładnie treść tego rozkazu i zaznajom z nią oficerów i żołnierzy, aby wiedzieli, co czynić mają.

Podpisano: Mehemet Tewfik”.

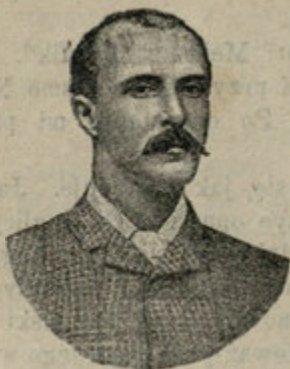
Wieczorem Tigrane basza przyniósł mi pismo Nubara baszy, odwołujące Emina. Po odczytaniu mi pisma, zapieczętowano je.

Rzecz sama przedstawia się, jak następuje. Junker nie wierzy, aby Emin prowincję opuścił. Ci anglicy, co dali składkę na wyprawę, spodziewają się, że on tego nie uczyni, ale nie wypowiadają swego zdania i rozstrzygnięcia kwestyi pozostawiają Eminowi. Rząd angielski wolałby, aby Emin powrócił, ponieważ prowincya jego w obecnych stosunkach jest prawie niedostępną, a Emin sam w tak wielkiem odosobnieniu daje ciągle powód do obaw. W powyższym rozkazie Kedyw poleca Eminowi powrócić w naszym towarzystwie, ale mówi: Możesz uczynić, co ci się podoba. Jeżeli jednakże nie przyjmiesz podanej ci pomocy, nie spodziewaj się wsparcia dalszego od rządu. Pismo Nubara baszy zawiera życzenia rządu angielskiego, zgodne z pragnieniami rządu angielskiego.

3 lutego. Wyjechałem z Kairu do Suezu. Na dworzec kolejowy przybyli Sir Evelyn i lady Baring, generałowie Stephenson, Grenfell, Valentine Baker, Abbate basza, prof. Schweinfurth i dr. Junker życząc im najlepszego powodzenia. Dr. Junker i 61 żołnierzy sudańskich z Wadi Halfa towarzyszyli mi. W Es-Sakasik przyłączył się do nas dr. T. H. Parke, jako nowy członek wyprawy, zaś w Ismailia Giegler basza. W Suezie spotkałiśmy p. Jamesa S. Jameson, przyrodnika wyprawy. Pp. Bonny i Baruti przybędą jutro parowcem „Garonde”.

6 lutego. Jadłem śniadanie u kapitana Beytsa, agen-

TOW ARZYSZE H. STANLEYA.



Kapitan R. Nelson.



Leatnant W. Grant Stairs.



W. Bonny.



Mounteney Jephson.

ta brytyjsko-indyjskiego Tow. żeglugi. O godz. 2ej popołudniu wsiadł z nami na pokład statku „Rob-Roy”, którym popłynęliśmy do portu Suez, gdzie stał na kotwicy przybyły z Londynu parowiec „Navarino”. O godz. 5-ój „Navarino” wyruszył w dalszą podróż do Adenu.

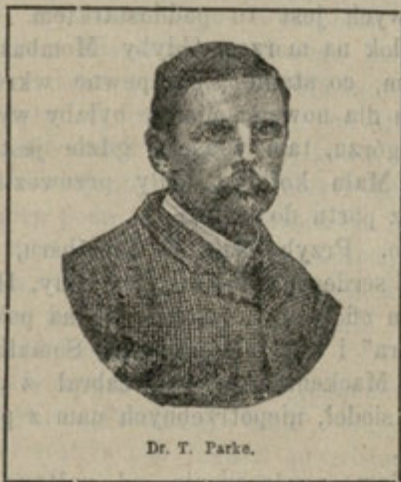
12 lutego. Przybyliśmy do Adenu o godz. 2ej. Przesiedliśmy na inny statek. „Navarino” jedzie do Bombayu, zaś „Oriental” zawiezie nas do Zanzibaru. Na pokładzie tego statku spotkaliśmy majora Barttelota. Wysłałem ztąd następujący telegram:

„Mackenzie. Zanzibar.

Pański telegram zadowolnił mnie. Wynajmij pan natychmiast 20 młodych ludzi do posługi oficerom po cenie niższej, niż otrzymują ludzie starsi. Jedziemy z 8 Europejczykami, 61 Sudańczykami, 2 Syryjczykami i 13 Somalisami. Odpowiednio do tego zao-

patrz pan okręt w żywność“.

Pomiędzy pasażerami w pierwszej kajucie znajdują się oprócz mnie, Barttelot, Stairs, Jephson, Nelson, Parke, Bonny



Dr. T. Parke.

i hr. Pfeil z dwoma towarzyszami, Niemcami, którzy jadą do rzeki Rufidy.

19 lutego. O godz. 3ej popołudniu znaleźliśmy się na wysokości Lamu. Wkrótce potem nadjechał parowiec



„Bagdad“, na którym znajdował się podróżnik austriacki, Dr. Lenz. Chciał on udać się do Emina baszy, lecz skoro mu się to nie udało, przybył do Zanzibaru. Obecnie powraca do domu.

20 lutego. Przybyliśmy do Mombas, gdzie dowiedziałem się, że niedawno Galla'owie i Somalisowie stoczyli pomiędzy sobą krwawą walkę. Pierwsi są przyjaciółmi Niemców, drudzy zaś zaciętymi wrogami tych ostatnich. Mówią, że Portugalia wypowiedziała wojnę Zanzibarowi, czy coś podobnego.

Najlepszy punkt dla osady kupieckiej znajduje się tu na prawej stronie północnego wjazdu na pierwszym wzgórzu wewnątrz portu; wzgórze to skaliste i strome, okręty mogą tu wygodnie towary zabierać i wyładowywać. Palm kokosowych jest tu pod dostatkiem. Ze wzgórza wspaniały widok na morze. Gdyby Mombas został portem angielskim, co stanie się zapewne wkrótce, najlepszym punktem dla nowego miasta byłaby wysepka, położona przy wzgórzu, tam właśnie, gdzie jest stary port portugalski. Mała kolej i muły przewoziłyby towary w wagonach z portu do miasta.

22 lutego. Przybyliśmy do Zanzibaru, gdzie powitał nas nader serdecznie konsul generalny, Holmwood.

Polecilem oficerom, aby udali się na pokład naszego statku „Madura“ i aby tam pilnowali Somalisów i Sudańczyków, zaś Mackenziemu, aby zabrał z „Madury“ 40 osłów i tyleż siodła, niepotrzebnych nam z powodu zmiany marszruty.

Otrzymałem pozdrowienie od sułtana Zanzibaru. Odwiedził mnie słynny Tippu-Tib, Djaffar, syn Tarji Topana, agent jego, tudzież Kandja, reprezentant Tarji.

W czasie ośmioletniej nieobecności mojej, Zanzibar zmienił się nieco. Jest tu telegraf podmorski, wysoka wieża z dzwonnica i nowy pałac sułtana, budynek bardzo

wysoki, tak że widać go zdaleka, nadto posiada szerokie werendy. Budynek celny powiększono. Generał Lloyd Mathews otrzymał nowe koszary; promenadę do „Fiddlers Grave” rozszerzono i zamieniono na drogę dla wozów, ciągnącą się aż do pałacu sultana z tamtej strony Mbueni. Mają tu konie i wozy, słupy do latarni, ustawione w odpowiedniej od siebie odległości i lampy olejne dla oświetlenia drogi w czasie, kiedy Jego Wysokość wraca z wycieczki wiejskiej do miasta.

W porcie stoją: sześć okrętów wojennych niemieckich pod komendą admirała Knorra, okręty wojenne angielskie „Turquoise” i „Reindeer”, 10 parowców handlowych i kilka tuzinów statków arabskich.

23 lutego. Oddałem Jego Wysokości wizytę, tak zwaną państwową. Dla szczególniejszego uczczenia mnie wojska pod dowództwem grubego generała Lloyda Mathewsa ustawione były w dwu szeregach na długość około 300 metrów. Dość dobra muzyka wojskowa powitała nas odegraniem pieśni wojennych; setki mieszkańców przypatrywały się nam z poza szeregów żołnierzy. Idąc z konsulem Holmwoodem wśród tłumów, słyszałem najczęściej słowa: *Ndio huju*. — Tak, to on; z czego domyślałem się, że wśród tłumów znajdowali się moi dawni towarzysze, i pokazywali mi swoim przyjaciołom.

Wizyty takie są prawie wszędzie jednakowe: komenda gen. Mathewsa: „Prezentuj broń”, muzyka, liczne grupy wybitnych arabów pod łukami przedsiönka, wchodzenie po wysokich i szerokich schodach, na których szczyt siedział sultan, uroczysty ukłon, serdeczne uściśnienie dłoni, słowo powitania, uprzejmy ruch ręką jako zaproszenie do wejścia, powolny marsz do tronu, powtórny ukłon na wszystkie strony, sultan siada, na znak, że można pójść za jego przykładem, podają chłodniki, sorbety i kawę, kilka uwag o Europie i pytania wzajemne

o zdrowie. Następuje ceremonjalne pożegnanie, znowu odzywa się muzyka, stentorowym głosem wypowiedziana komenda generała: „Prezentuj broń!” opuszczamy to miejsce, aby zdjąć wizytowy kostyum londyński i obłożyć go kamforą dla ochrony od mólów, do czasu, póki po kilkoletniej podróży po czarnym kontynencie nie ubierzemy go ponownie.

Popołudniu oddałem sultanowi wizytę drugą i wręczyłem mu list rekomendacyjny od p. Mackinona.

Mówiliśmy o naszych interesach, o tem, jak jest niezbędnie potrzebnem szybkie zawarcie umowy z Anglią w granicach traktatu, zawartego pomiędzy Anglią i Niemcami. Skreślanie tu całej rozmowy zaprowadziłoby mnie za daleko. Dość, że otrzymałem od sułtana odpowiedź pożądaną.

— Jeżeli Bóg zechce, będziemy dążyli do umowy. Jak tylko będziesz pan miał papiery, przeczytamy je i bezzwłocznie podpiszemy; na tem się sprawa skończy.

Wieczorem napisałem następujący list do Emina baszy, aby nazajutrz wysłać go przez tajnych posłańców przez Uganda do Unjoro.

Do J. E. Emina baszy

gubernatora prowincyj podrównikowych.

Konsulat brytyjski w Zanzibarze, 23 lutego 1887 r.

Szanowny Panie!

Mam zaszczyt donieść Panu, że po odebraniu pańskich listów, w których prosicie pan usilnie o pomoc i instrukcye, rząd J. W. Kedywa egipskiegouznał za stosowne powierzyć mi zorganizowanie wyprawy, która pójdzie do Wadelai, pospieszy panu z pomocą, jakiej pan zdaniem rządu potrzebujesz, i będzie panu pomocną także i w inny sposób, odpowiednio do pi semnych instrukcyj, jakie oddano mi dla pana.



Przeglądawszy listy pańskie do rządu egipskiego, poinformowałem się dokładnie o naturze potrzeb pańskich, i wskutek tego wyprawa jest tak zaopatrzoną, aby pańskim potrzebom mogła uczynić zadość. Jak przekonasz się pan z pism, wystosowanych do pana przez Jego Wysokość i prezydenta ministrów egipskich, które panu doręczę, uczyniono z przyjemnością wszystko, co potrzebne było dla spełnienia pańskich życzeń. Z tłumaczenia oddanych mi listów przekonuję się, że zadowolnią one pana najzupełniej. Oddano mi do wyprawy przeszło 60 żołnierzy z Wadi Halfa, aby dodali otuchy żołnierzom, będącym pod pańskimi rozkazami i aby potwierdzili treść listów. Maszerujemy pod flagą egipską.

Wyprawa obejmuje 600 Zanzibarczyków i prawie tyłu arabów z Afryki Środkowej.

Jutro odplyniemy z Zanzibaru do Kongo i mamy nadzieję, że 18 czerwca będziemy u kresu spławności Górnego Kongo. Oddalenie od tego punktu, z którego wysiądziemy na ląd, do południowego wybrzeża jeziora Albert, wynosi w prostej linii 620, drogą lądową około 900 kilometrów, tak że na marsz do południowo zachodniego lub południowego wybrzeża jeziora będziemy potrzebowali dni 50.

Jeżeliby statki pańskie miały znajdować się w pobliżu owego punktu, doniesie mi pan zapewne w Kavalli albo w okolicy o miejscu swego pobytu.

Powody, które skłoniły do wybrania tego kierunku, celem dostarczenia potrzebnych panu zapasów, są natury różnej, przeważnie politycznej. Mam także przekonanie, że kierunek ten jest bezpieczniejszym, i zapewnia udanie się przedsięwzięciu, jakoteż nastęrcza mniej trudności dla wyprawy i krajowców.

Muangua jest wielkim nieprzyjacielem od strony południowej i południowo-wschodniej. Wadekowie i inne plemiona wojownicze od strony wschodniej od Fatico tworzą groźną przeszkodę, zaś krajowcy w Kiszakka i Ruanda jeszcze nigdy nie dopuścili obcych do swych terytoryów. W drodze z Kongo nie spodziewam się wielu trudności, ponieważ nie ma tam potężnych naczelników, którzyby byli w stanie marsz nasz powstrzymać.

Oprócz znacznych zapasów amunicyi na pańskie potrzeby, urzędowego pisma rządu egipskiego, licznych listów od pańskich przyjaciół i wielbicieli, wiozę przedmioty uzbrojenia dla pana, tudzież dla oficerów, odpowiednio do ich rangi.

W nadziei, że będę miał przyjemność zastać pana zdrowym i bezpiecznym, tudzież, że nie pana nie skłoni do narażania przedwcześnie życia pańskiego i wolności w sąsiedztwie Ugandy, zanim dostateczne środki, jakie wiozę, pozwolą panu na wymuszenie uszanowania dla pana i jego ludzi, proszę mnie uważać za

życzliwego panu

Henryka M. Stanleya.“

24 i 25 lutego. Przybywszy do Zanzibaru przekonałem się, że agent nasz, p. Edmund Mackenzie, przygotował wszystko tak dobrze, że wyprawa była gotowa prawie zupełnie do wsiadania na okręt. Okręt „Madura“ stał w porcie i był zaopatrzony w żywność i wodę; na pokładzie jego znajdowały się towary zamiennie i zwierzęta juczne. Tymczasem należało załatwić kilka innych spraw, mianowicie naradę ze słynnym Tippu Tibem co do naszego wzajemnego stosunku. Tippu Tib jest obecnie człowiekiem znacznie potężniejszym, niż w r. 1877, kiedy

to towarzyszył karawanie mojej przed podróżą na Kongo. Ciężko zarobiony majątek włożył w broń i proch. Pod sztandarami jego zgromadzili się pragnący przygód arabowie, tak że obecnie stał się nieukoronowanym królem kraju od wodospadu Stanleya aż do jeziora Tanganika i przywodzi kilku tysiącom ludzi, przywykłym do boju i dzikiego życia podrównikowego. Jeżelibym odkrył w nim zamiary nieprzyjazne, trzymałbym się zdaleka od niego, gdyż jeżeliby amunicya, jaką wiozę dla Emina baszy, wpadła w jego ręce, byt państwa Kongo zostałby zagrożonym, a nasze nadzieje zachwiane. Pomiędzy Tippu-Tibem a Muangua, królem Ugandy, był taki wybór, jak między młotem a kowadłem. Tippu - Tib, jako nieprzyjaciel, byłby tak samo niebezpieczny, jak Muangua na czele swych niewolników.

Zaraz więc pierwszego dnia zacząłem badać Tippu-Tiba i doszedłem do przekonania, że był on przygotowany albo walczyć przeciwko mnie, albo oddać się na moje usługi. Wybrałem to ostatnie; przystąpiliśmy więc do załatwienia sprawy. Pomocy jego nie potrzebowałem, chcąc dotrzeć do Emina baszy, ani też wskazania mi drogi do tegoż. Z Wadelai do Kongo są cztery dobre drogi; jedna z nich była w ręku Tippu Tiba, trzy inne były niezależne od niego i jego mirmidonów. Ale dr. Junker powiedział mi, że Emin basza posiada 75 ton (75,000 kilogr.) kości słoniowej. Licząc funt po 8 marek, kość ta przedstawiała wartość 1,200,000 m. Udział rządu egipskiego w kosztach wyprawy do Emina baszy ze względu na zły stan finansów tego kraju, jest znaczny i w kości owej znajdziemy środek napelnienia ponownie skarbu, a jeszcze zostanie nam znaczna suma na pokrycie kosztów, a nawet na piękny podarek dla Zanziberczyków po powrocie z wyprawy.

Dlaczego nie mamy spróbować przynieść tę kość do

Kongo? Chciałem więc dlatego nająć Tippu-Tiba i jego ludzi, aby byli mi pomocni przy transporcie amunicji do Emina baszy i w czasie powrotu w transporcie kości słoniowej. Po długich targach zawarłem z nim układ, na mocy którego Tippu-Tib zobowiązał się dostarczyć mi 600 ludzi po 6 funtów szterl. za drogę od wodospadów Stanleya do jeziora Albert. Ponieważ każdy człowiek może nieść 70 funtów kości, koszta wynajmu ludzi wynosiłyby 13,200 funtów szterl.

Po zawarciu tego kontraktu w obecności angielskiego konsula generalnego, rozpocząłem w imieniu J. K. M. króla Leopolda traktować z Tippu-Tibem o innej sprawie. W grudniu r. 1883 założyłem stację przy wodospadach Stanleya, później różni Europejczycy wzmocnili ją, a p. Binie i porucznikowi szwedzkiemu, Westerowi, udało się zamienić tę stację na dobrze zorganizowaną i znaczną osadę. Następca jego, kapitan Deane, poróżnił się z arabami i będąc zmuszonym do opuszczenia stacji, spalił ją. Celem tej stacji było przeszkodzenie arabom w ich niszczącej działalności poniżej wodospadów raczej taktownością, niż przemocą. Wskutek cofnięcia się urzędników państwa Kongo służy zostały otwarte, a arabowie zaczęli zapuszczać się coraz bardziej w dół rzeki. Ponieważ Tippu Tib był kierującym duchem arabów, zamieszkałych na zachód od jeziora Tanganika, przeto dobrze było spróbować, czy nie udałoby się zapewnić jego pomocy, aby przeszkodzić arabom w niszczeniu kraju. Zamieniwszy w drugim dniu pobytu mego z Zanzibarze depesze z Bruksellą, podpisałem z Tippu-Tibem układ, na mocy którego został on mianowany gubernatorem stacji przy wodospadach Stanleya za stałym wynagrodzeniem, które miał mu wypłacać co miesiąc generalny konsul angielski w Zanzibarze. Obowiązkiem jego była głównie obrona stacji w imieniu państwa Kongo przed arabami i krajowcami. W stacji po-

wiewać będzie flaga państwa Kongo. Przedewszystkiem Tippu-Tib ma zapobiegać na terytoryum stacyi polowaniom na niewolników, tudzież wszystkie większe oddziały podejrzane rozpraszać. Ma on prócz tego powstrzymać się od handlu niewolnikami poniżej wodospadów i zabronić tego swym podwładnym. Dla zapewnienia wykonania tego układu mianowany będzie rezydentem na stacyi oficer europejski. Wyplata pensyi ustanie natychmiast po wykroczeniu przeciwko któremu-kolwiek artykulowi traktatu.

Tymczasem p. Mackenzie wyplacił 620 dorosłym i chłopcom, wynajętym dla naszej wyprawy, zaliczkę na 4 miesiące, ogółem 12415 dolarów, poczem wszystkich odesłano na parowiec, który natychmiast odjechał nieco dalej od wybrzeża. Około północy Tippu-Tib, ludzie jego, tudzież wszyscy, którzy należeli do wyprawy, znajdowali się na pokładzie, tak że o świcie, dnia 25 lutego, okręt odjechał do Przylądka Dobrej Nadziei.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o paparcu, jakiego doznałem ze strony p. Johna Pendera i Tow. Eastern Telegraph. Wszystkie telegramy moje z Egiptu, Adenu i Zanzibaru, obejmujące kilkaset wyrazów, wysyłano bezpłatnie. Ponieważ jeden wyraz z Zanzibaru do Europy kosztuje 8 szylingów, można mieć wyobrażenie o pieniężnej wartości wyświadczonej mi przysługi. Po moim powrocie z Afryki dano mi znów ten przywilej. Ponieważ codziennie wysyłałem kilka tuzinów depeesz, musiałbym za oswobodzenie Emina baszy drogo zapłacić, a karyera moja musiałaby skończyć się na bankructwie, gdyby nie pomoc pp. Pendera i Andersona. Pomiędzy nazwiskami tych, co dali składki na wyprawę, mogę więc słusznie umieścić tych panów. Muszę tu jeszcze wspomnieć, że

panowie ci ofiarowali się pożyczyć mi statek Towarzystwa telegrafu podmorskiego dla przewożenia tragarzy do Kongo, na wypadek, gdyby przy najęciu statku „Madura“ Tow. żeglugi brytyjsko-indyjskiego zaszły jakie trudności.

### ROZDZIAŁ III.

---

Następujący list do jednego z przyjaciół, pisany o kilku ważnych sprawach zastąpi dalsze opowiadanie:

Parowiec Madura, 9 marca 1887.

W pobliżu Przyłądku Dobrej Nadziei.

Mój kochany....

Sułtan Zanzibaru przyjął mnie nader przyjaźnie, co po większej części mam do zawdzięczenia wprowadzeniu przez p. Williama Mackinona i sir Johna Kirke. Dał mi w darze piękną szablę, bogato złotem wykładaną, tudzież wspaniałą pierścion brylantowy, od którego widoku oczy Tippu-Tiba łzami się napelniały. Przy szablach znajduje się złoty pas J. Wysokości, na sprzączce wyryte jest w języku arabskim imię jego. Szabla ta przyda mi się przy spotkaniu z arabami, służyć będzie bowiem za dowód dobrych pomiędzy mną a księciem stosunków; jeżeli zaś spotkamy się z oficerami egipskimi, którzy są zapewne mało wykształceni, szabla ta przekona ich, że nie jesteśmy kupcami.

Dowiedziałeś się pan zapewne z gazet, że zabrałem ze sobą 61 żołnierzy sudańskich. Mają oni jednać dla mnie sudańczyków w Aequatoryi. Mogłoby się zdarzyć, iżby egipcyanie nie uwierzyli, iż przywożę ferman Kedywa i list Nubara: w takim razie sudańczycy mają być żywym dowodem mego zlecenia.

W Zanzibarze wykonałem kilka drobnych zleceń. Jednem z nich było skłonienie sułtana do podpisania koncesyj, o które Mackinon starał się napróżno już oddawna. Ponieważ Niemcy na wschód od Zanzibaru posiadają wspaniałe terytoryum, było rzeczą więcej niż słuszną, aby udział swój otrzymała także i Anglia za opiekę nad Zanzibarem już od r. 1841. Zgadziali się na to i niemcy, jak tego dowodzi niedawne zawarcie ugody niemiecko-angielskiej. Francya otrzymała już olbrzymią przestrzeń w Afryce Zachodniej. Cały świat zgodził się na ukonstytuowanie niezależnego państwa Kongo, za które król Leopold dał milion funt. szterl. I Portugalję, która nigdy nie jest zadowoloną a mało czyni, a i to mało tylko w sposób bardzo małoduszny, mocarstwa również laskawie obdarzyły; tylko Anglia, która wysyłała swych badaczy, jak Livingstone'a, Burtona, Speke'a, Granta, Bakera, Kectha, Johnstona, Thomsona, Eltona itd., nie otrzymała nic, chociaż prawdopodobnie żadne państwo nie zajmowało się tak żywo czarnym kontynentem i nie położyło tyle ofiar na rzecz murzynów, co Anglia. Parowce Anglii, w czasie ostatnich lat 20, wypełniały wzdłuż wybrzeża oceanu obowiązki policyi morskiej celem stłumienia handlu niewolnikami; misyj angielskich pomiędzy Afryką Wschodnią a Zachodnią jest 22. Koncesya, jaką staraliśmy się uzyskać, obejmowała część wybrzeża wschodnio-afrykańskiego, gdzie najważniejszymi miastami są Mombas i Malindi. O ile mi wiadomo, sprawę tę przed-



stawiono J. Wysokości już przed 8 laty, lecz podpisu sułtana niemożna było uzyskać.

Przybywszy do Zanzibaru przekonałem się, że sułtan postarzał się, i że już niedługo żyć będzie <sup>1)</sup>). Anglicy nie mogli wkładać kapitałów w przedsięwzięcia w zastrzeżonej sferze „interesów“, dopókiby koncesya nie została podpisana.

— Jeżeli Bogu się podoba, porozumiemy się, mówił sułtan, o tem wątpić już nie można.

Ale sułtan ma wiele kłopotów politycznych, więc jeżeli sprawa nie będzie rychło ubita, może być za późno.

Druga sprawa dotyczyła Tippu-Tiba. Ten posiadał trzy nienabite granaty Kruppa, które zabrał ze stacyi Wodospady Stanleya do Zanzibaru, aby przyjaciółom pokazać kule, jakimi belgijczycy bombardowali ich osady. Był bardzo rozgniewanym i myślał nad planem zemsty. Zużyłem wiele czasu na ułagodzenie jego gniewu. Kiedy wygadał się, spytałem go spokojnie, czy jest gotów, i powiedziałem mu, że wiem bardzo dobrze, jak on jest potężnym itd. Następnie zauważyłem, że nie jest rzeczą słuszną wszystkim europejczykom i królowi Leopoldowi czynić zarzut z tego, że jakiś oficer na stacyi Wodospady Stanleya rzucił granaty na jego osady. Całe nieporozumienie miało źródło w pochopności jednego młodzieńca, brojącego niewolnicy, która uciekła się pod jego opiekę.

Gubernator państwa Kongo znajdował się w odległości 2400 km, a Tippu-Tib, właściciel osad, w odległości kilkuset kilometrów, w drodze do Zanzibaru. Sprawę tę uważam za następstwo sporu pomiędzy młodym białym

---

<sup>1)</sup> Seid Bargasz umarł w 6 miesięcy później.

a młodym Arabem. Starsi, którzy sprawę tę byliby załatwili zgodnie, byli daleko, ale młodzi, jak zwykle, chcieli sił swoich spróbować.

— Czy wiesz, mówiłem dalej, że stacya ta nabawiła nas wielu kłopotów? Jak sobie przypominasz, posłaliśmy tam Amelota. Zaledwie opuścił stacyę, nie otrzymawszy rozkazu na to, zmarł gdzieś w pobliżu Njangwe. Posłaliśmy szweda Glerupa, ten poszedł za jego przykładem, i pomaszerował w poprzek Afryki; posłaliśmy Deane'a, który znów dla odmiany chciał prowadzić wojnę z Arabami. Ale król Leopold nic tu nie winien. Trudno znaleźć ludzi, którzyby zachowywali się zawsze mądrze i umieli zrozumieć rozkazy. Gdyby król posyłał był Deanego dla prowadzenia wojny z wami, to możesz być przekonany, nie dałby mu tylko 30 ludzi. A teraz słuchaj. Król proponuje ci, abyś sam zawiadował ową stacyą; król będzie płacił ci taką pensyę miesięczną, jak oficerowi europejskiemu. Musisz jednakże spełnić pewne warunki, zanim zostaniesz zamianowany gubernatorem.

Tippu Tib otworzył szeroko oczy.

— Ja? spytał zdziwiony.

— Tak, ty. Lubisz pieniądze daję ci pieniądze. Gniewacie się na to, że tam są biali; jeżeli więc spełnisz swój obowiązek, biali będą tam niepotrzebni, prócz jednego, który będzie posłany tam pod twoje rozkazy, dla przekonania się o tem, że nie wykraczasz przeciwko umowie.

— Jakież to obowiązki?

— Musicie wywiesić flagę państwa Kongo. Musicz pezwolić na pozostanie tam rezydenta, który będzie posyłał królowi raporty. Nie wolno ci zupełnie zajmować się handlem niewolników, ani też pozwalać na prowadzenie tego handlu poniżej wodospadów Stanleya. Tak samo nie wolno tam urządzać polowań na niewolników. Natomiast wolno ci zajmować się handlem kością słoniową,

gumą, gutaperką, bydłem i wszystkimi innymi rzeczami ile ci się tylko podoba. Ale poniżej stacyi nie wolno rabować własności żadnego krajowca. Pensya wypłacaną będzie co miesiąc twemu agentowi w Zanzibarze. Nie odpowiadaj mi natychmiast, ale poradź się najprzód z przyjaciółmi i pomyśl nad tem, co ci ofiaruję. Okręt mój odpływa za trzy dni. Jutro daj mi odpowiedź.

Odpowiedź była pomyslna, konsul generalny spisał więc umowę, którą podpisaliśmy obaj.

Drugą umowę zawarłem z nim o zwerbowanie tragarzy, którzyby przenieśli amunicję od Kongo do jeziora Albert. Gdyby tam nie było kości słoniowej, naówczas pozostaną Tippu-Tibowi dłużnym 3,600 funt. szterl. Ale tam musi być kość słoniowa, ponieważ Emin hasza i dr. Junker zapewniali, że są jej tam wielkie zapasy. Tymczasem dla kości słoniowej nie chcę narażać na niebezpieczeństwo całej wyprawy.

Ze względu na usługi, do których oddania Tippu Tib zobowiązał się uroczyście, zapewniłem jemu i jego 96 towarzyszom wolny przejazd z Zanzibaru do Kongo, wraz z wiktem. Prócz tego zobowiązałem się przewieźć ich wszystkich do wodospadów Stanleya, co pociągnęło za sobą znaczne koszta.

Układ z Tippu-Tibem zapewnia nam swobodny przemarsz z Kongo przez jego terytoryum. Zobowiązawszy sobie Tippu-Tiba, jestem pod pewnym względem spokojnym o zbiegostwo Zanzibarczyków. Teraz już żaden z arabów nie będzie namawiał ich do ucieczki, co czynią zawsze, gdy wyprawa jaka zbliży się do ich terytoryów. Tippu Tib nie może pozwolić obecnie na takie postępowanie.

W dwie godziny po odjeździe z Zanzibaru wybuchło pomiędzy Zanzibarczykami a Sudańczykami nieporozumienie, tak że zdawało się przez chwilę, iż będziemy musie-

li powrócić do Zanzibaru z kilkudziesięciu trupami. Walka wynikła z powodu sporu o miejsce. Sudańczyków umieszczono obok Zanzibarczyków, a ci potrzebowali więcej miejsca, było ich bowiem nierównie więcej. Zanzibarczycy chwycili za drzewo opałowe i rozpoczęli bójkę. Walka trwała sporą chwilę, zanim uwiadomiono mnie o niej. Kiedy spojrzałem przez lukę na walczących, ujrzałem krew, płynącą po ich twarzach. Rozkazów nikt nie słuchał. Musieliśmy zatem wmieścić się pomiędzy walczących i batami zmusić ich do zaprzestania walki. Uspokoiłiśmy ich nareszcie, poczem Zanzibarczyków umieściliśmy na przodzie okrętu, zaś Sudańczyków na tyle. Obmywszy się z krwi i potu, złożyłem oficerom, a zwłaszcza Jephsonowi, Nelsonowi i Bonny'emu życzenia, z powodu odwagi, okazanej w uspokojeniu walczących. Rezultat walki był następujący: 10 złamań ręki, 15 rannych pikami w twarz i w głowę; mniejsze rany na karkach itd.

Dr. Parke miał wiele do czynienia ze szczepieniem ospy wszystkim, znajdującym się na pokładzie. Nauczony dawnem doświadczeniem, przygotowałem spory zapas limfy.

W drodze podzieliliśmy ludzi na 7 kompanij po mniej więcej 90 ludzi.

Agentom moim poleciłem, aby do południowego wybrzeża jeziora Albert wysłali 200 tobołów rozmaitych towarów dla wyprawy; odejdą one w październiku lub listopadzie r. 1887 i przybędą do Msalala w lutym lub marcu r. 1888, ponieważ w tym czasie powinniśmy znajdować się tam właśnie.

Odjechawszy z Adenu, znajdowałem się w towarzystwie moich oficerów i badałem ich. Oto, jak mi się przedstawiają:

Major Barttelot jest trochę zanadto gorliwym i trze-

25 kwietnia. „Stanley” odpłynął dziś z 153 ludźmi pod komendą Barttelota i dra Parkego w górę rzeki.

Udałem się do Kinszassa, aby odwiedzić mego b. sekretarza, p. Swinburne, który jest obecnie zarządcą towarzystwa handlu kością słoniową. On oświadczył mi że jeżeli pomożemy mu w spuszczeniu jego statku na wodę, pożyczycy go nam. Statek „Florida” był mu niepotrzebny do czasu przyjazdu barona Rothkircha z machiną parową. Projekt ucieszył mnie wielce, posłałem więc natychmiast ludzi do roboty.

Nasz maszynista, John Walker, wysłany został do służby przy statku „Henry Reed”.

Dziś zmarł jeden Sudańczyk i jeden Zanzibarczyk.

27 kwietnia. Z ludzi, pozostawionych na różnych stacyach z powodu choroby, powrócili dziś: 13 Zanzibarczyków i jeden Sudańczyk. Powiedzieli, że swoje karabiny i narzędzia inżynierskie sprzedali.

28 kwietnia. Zwinęliśmy namiot i wyruszyliśmy do Kinszassa, abym mógł osobiście dozorować spuszczenia statku „Florida” na wodę. Nader serdecznie przyjęli nas pp. Antoni Greshoff z tow. Holenderskiego i p. Swinburne, z kompanii Sandford.

29 kwietnia. Jesteśmy w obozie pod Kinszassa. Przybyły statki „Stanley” i „Henry Reed”, ciągnąc za sobą statek „En Avant”.

30 Kwietnia. Dziś rano spuszczonego statek „Florida” na wodę, poczem sprowadzono go do przystani Tow. Holenderskiego i przywiązano do „Stanleya”.

Każdy oficer otrzymał plan wsadzenia ludzi na statki, tudzież rozkaz, aby ładowanie statków rozpoczynali według programu.

Następnie wydałem rozkaz następujący:

Kompaniami dowodzą oficerowie:

|                 |          |       |                                  |
|-----------------|----------|-------|----------------------------------|
| major Barttelot | kompania | nr. 1 | Sudańczyków                      |
| kapitan Stairs  | "        | " 2   | Zanzibarczyków                   |
| " Nelson        | "        | " 3   | "                                |
| " Jephson       | "        | " 4   | "                                |
| " Jameson       | "        | " 5   | "                                |
| " Troup         | "        | " 6   | "                                |
| " dr Parke      | "        | " 7   | Somalisów i Zanzibar-<br>czyków. |

„P. Bonny obejmuje nadzór nad zwierzętami żywym i i w razie potrzeby będzie pomagał drowi Parkemu.

„Każdy oficer jest osobiście odpowiedzialny za dobre zachowanie się swojej kompanii i za stan broni i uzbrojenia.

„Oficerowie winni często przeglądać torby z nabojami i czuwać nad tem, aby nie sprzedawano amunicji murzynom, lub arabom.

„Za drobne przewinienia należy wymierzać tylko lekką karę cielesną i to tak rzadko, jak tylko można. Oficerowie powinni być pod tym względem bardzo rozważni i starać się o to, aby zbytnią surowością nie drażnili podwładnych.

„Oficerowie winni pamiętać o tem, że ludzie ci muszą ciężko pracować, że ciężary są znaczne, klimat gorący, marsze utrudzające, a żywność licha i nieobfita. W takich warunkach natura ludzka jest bardzo czuła, a więc nad wymiarem kary należy zastanowić się dobrze i nie karać zanadto srogo, aby nie naruszać cierpliwości. Mimo to należy ludzi przyzwyczaić do karności, i tę ostatnią w razie potrzeby utrzymywać nawet przemocą.

„Poważne wykroczenia przeciwko wyprawie będą sam osądzał.

„Każdy oficer otrzyma na pokładzie statku polecenia, odnoszące się do tego, co ma czynić w każdym dniu.

Winien on dozorować rozdziału żywności, czyszczenia statku, tudzież baczyć, aby nie powstawały bójki, ponieważ one kończą się walkami na noże; prócz tego ma uważać na to, aby zwierzęta otrzymywały regularnie wodę i paszę. W sprawach podrzędniejszego znaczenia należy zwracać się do najstarszego oficera, majora Barttelota“.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Ze Stanley Pool do Jambuja.

Jak to powiedziałem przy opisie wypadków nad Dolnym Kongo, mam zamiar pominąć milczeniem wrażenia, jakie odnosiłem w różnych chwilach w czasie naszej podróży do Jambuja, przebywając około 1700 kilom. Ograniczę się na opowiadaniu wypadków.

Dni przemijały nam prędko. Poranki dostarczały nam codziennie panoramy okolic leśnych, miriadów wysp i szerokich kanałów zacisznych wód, które w świetle słonecznym wyglądały, jak żywe srebro. W ogóle powiedzieć można, że wszystko było nadzwyczaj jednostajnem, tak, że codziennie oglądaliśmy prawie takie same widoki.

Siedząc na krześle na pokładzie statku, zaledwie w odległości 12 metrów od wybrzeża rzeki, za każdym poruszeniem śruby parowca widzieliśmy nowe właściwości roślin wybrzeża, drzew, krzewów, kwiatów i pączków. Charakter roślin mógł nam być obojętnym, albo nieznanym, a przecież patrząc na to wszystko, zapominaliśmy



o tem, że czas upływa zwolna, a nieraz zajmowaliśmy się żywo pojawieniem się ptaka lub ryby. Wspaniałe widoki spokojnych wód, wiecznie zielonych lasów, których każda gałązka, każdy listek, były, jak śmierć spokojne,—krzaki, usłane motylami i owadami, lśniące wody szerokich rzek pozostaną nam przecież dłużej w pamięci, aniżeli burze, które przerywały ciszę przyrody każdego popołudnia.

Od połowy marca do połowy maja panowała pora deszczów, codziennie zatem około godz. 2ej popołudniu niebo zapowiadało nam zbliżanie się groźnej burzy. Słońce kryło się za ciemnymi zwiastunami burzy, a wkrótce potem grzmot przerywał ciszę, uderzały pioruny, i spadał deszcz obfity, poczem następowała noc ciemna.

Natura sprzyjała nam bardzo. Woda w rzece nie była ani za płytką ani za głęboką. W ostatnim razie wskutek gwałtownego prądu napotykalibyśmy na trudności w posuwaniu się naprzód, w pierwszym moglibyśmy osiąść na mieliznie. Płynęliśmy rzeką w odległości 40m. od wybrzeża lewego i mogliśmy widzieć wszystko na odległość 1600 metrów i cieszyć się zmianą barwy i kształtów świata roślinnego, który co do różnorodności, piękności barwy zielonej, bogactwa i woni kwiatów nie ma równego sobie na całej kuli ziemskiej.

Krokodyle nie zaczepiały nas, a krajowcy byli skromni w swych żądaniach, owszem dawali nam kozy, drób, jaja, banany, figi i zadawali nam się przekazami na pana Troupa, który jechał za nami. Stan zdrowia naszego był wyborny.

W dniu 1ym maja rozpoczęliśmy podróż w górę rzeki Kongo na statku „Henry Reed“ i na dwóch innych z Tippu-Tibem i 96 towarzyszami jego, tudzież z 35 naszymi ludźmi. Następnie odpłynął „Stanley“ i towarzysza jego „Florida“ z 336 ludźmi, jakoteż 6 osłami i towarami; w pół godziny później „Peace“ z 135 ludźmi.

Zaledwie jednak ucichły życzenia szczęśliwej podróży, jakie wypowiadali nam ludzie z wybrzeża, kiedy ster nagle pękł w miejscu, w którym prąd wody był bardzo gwałtowny; kapitan kazał zarzucić kotwicę, mimoto jednakże prąd unosił nas w dół rzeki z szybkością 6 węzłów. Musieliśmy powrócić do Kinszassa. Kapitan Whitley i maszynista Dawid Charters naprawili tu ster do godz. 8ej wieczorem.

Nazajutrz mieliśmy więcej szczęścia i dotarliśmy do Kimpoko, gdzie czekały na nas inne statki.

„Peace“ w dniu 3 maja wyjechał naprzód, lecz „Stanley“ wyprzedził nas i stanął w miejscu oznaczonem o 1<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godz. prędkiej. „Henry Reed“, z powodu nieumiejętności swego kapitana, przybył ostatni.

Po rozbiciu obozu, zwykle około godz. 5 popołudniu, każdy oficer odbywał przegląd swych ludzi, którzy następnie musieli postarać się o opał na dzień następny. Była to nieraz praca bardzo trudna i trwała do późna w nocy. Opał dla „Stanleya“ musiało zbierać i znosić 50 ludzi, podczas gdy 12 ludzi drzewo to rąbało. „Peace“ i „Henry Reed“ potrzebowały mniej drzewa.

Do niczego nie przydatny „Peace“ nabawił nas kłopotu jeszcze raz w d. 4 maja. Jestto jeden z najpowszechniejszych statków, jakie zbudowano. Co trzy kwadransy musieliśmy stawać, aby maszynę nasmarować oliwą. Wskutek tego statku straciliśmy siedm dni w Stanley-Pool, i jeden dzień wskutek złamania steru. Już to taki był nasz los, że wszędzie spotykaliśmy przeszkody.

W d. 5 maja przybyliśmy do Msuata. Major i dr. Parke przybyli tam przed czterema dniami i przygotowali mnóstwo opału i kupili sporo żywności, chleba z korzeni manioku i kukurydzy.

D. 6 maja polecilem majorowi i jego towarzyszom aby z ludźmi swymi pomaszerowali do Kwamouth i aby

tam czekali na parowce. „Stanley“ otrzymał rozkaz udania się do Bolobo, i wysadzenia tam swej osady, poczem miał pojechać do Kwamouth i zabrać Barttelota i jego ludzi, podczas gdy my zorganizowaliśmy kompanię w Bolobo.

Nazajutrz ujrzeliśmy „Stanleya“ przy lewem wybrzeżu w pobliżu Tszumbiri i dowiedzieliśmy się, że statek ten został uszkodzony z powodu uderzenia o rafę podwodną. Wraz z maszynistami wszystkich statków przystąpiliśmy więc do naprawy „Stanleya“, przyczem odznaczyli się szczególnie pp. Charters i Walker, obaj Szkoci. Praca to była trudna, ponieważ dno statku, wskutek przedziurawienia, było w części zalane. Naprawa ta trwała trzy dni.

Już d. 10 maja „Stanley“ dopędził astmatycznego „Peace“ i przejechał obok nas równocześnie z „Henry Reed“. W kilka godzin później „Peace“ odmówił zupełnie służby. Musieliśmy zatem przybić do brzegu. W tej chwili oblicze p. Chartersa zajmowało nas więcej, niż wszystko na świecie; słuchaliśmy słów jego, jak ewangelii.

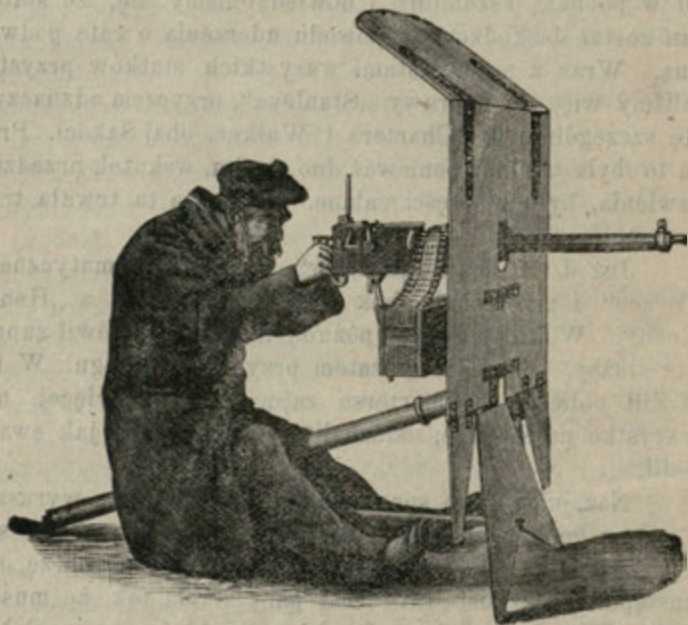
Nazajutrz rano sprobowaliśmy raz jeszcze; wyruszyliśmy o godz. 4ej rano i postanowiliśmy odznaczyć się. Przez godzinę „Peace“ sprawował się bardzo dobrze, ale następnie znów ustawał. Siła pary słabła tak, że musieliśmy zarzucić kotwicę. Około godz. 10ej rano wysłałem p. Warda na łodzi do statku „Henry Reed“ po pomoc. Statek ten przybył około godz. 8ej wieczorem.

D. 12 maja przybyliśmy do Bolobo; „Henry Reed“ ciągnął statek „Peace“ na linie.

Kto przybędzie do Bolobo, głodu obawiać się nie potrzebuje, ponieważ co się tyczy zapasów żywności, jest to jeden z najlepszych portów na Kougo. Tu, w dystryk-

cie, gdzie ludzie mogli odżywić się, musieliśmy podzielić wyprawę na dwie kolumny.

Ponieważ nie mogliśmy wszystkich odwieść naraz do Górnego Kongo, postanowiłem wybrać ludzi najzdrowszych



Armatka Maxima.

i wysłać ich do Jambuja, podczas gdy słabsi, jako oddział majora Barttelota pod komendą pp. Warda i Bonny'ego, mieli pozostać w Bolobo do czasu powrotu „Stanleya“ z Jambuja.

Pamiętaliśmy o wołaniach w Anglii, abyśmy się spie-

szyli, i dlatego staraliśmy się o ile możności przyspieszyć marsz, w nadziei, że tylny oddział połączy się z nami w przeciągu 6 lub 7 tygodni.

Wyszukaliśmy zatem 125 ludzi najsłabszych, pozostawiliśmy ich w Bolobo, aby uleczyli się bananami i rybami, podczas gdy „Stanley“ z majorem Barttelotem, drem Parke i 153 ludźmi pojechał do Kwamouth.

Tu rozstrzygniętą została kwestya, kto ma dowodzić tylną kolumną. Ponieważ stanowisko to było, po mojem, najtrudniejszym, oczy wszystkich zwracały się naturalnie na najstarszego oficera, majora Barttelota. On to prowadził podobno kolumnę, złożoną z 1000 ludzi z Kosseir nad morzem Czerwonem do Kenneh nad Nilem, a prócz tego odznaczył się w Afganistanie i w wyprawie do Sudanu. Jeżeli to było prawdą, naówczas byłby on najodpowiedniejszym na komendanta oddziału tylnego. Gdybym był miał kogo innego odpowiedniego na to stanowisko, byłbym mu je prawdopodobnie powierzył, nie dlatego, że Barttelota nie uznawałem za godnego zaufania, ale ponieważ życzył on sobie iść z oddziałem pierwszym. Ponieważ znałem zdolności i stopień innych panów, których gorliwość była mi znaną, zawiadomiłem majora, że nie mogę przyjmować odpowiedzialności za powierzanie młodemu porucznikowi stanowiska, przynależnego mu z powodu jego stopnia i doświadczenia.

— Gdybyśmy mieli jeszcze jeden taki parowiec, jak „Stanley“, kochany majorze — mówiłem do niego — nie mielibyśmy kłopotu. Z całej wyprawy pozostanie tylko 125 ludzi i część towaru, reszta znajdzie pomieszczenie na statku. Jeżeli jesteś pan w stanie wskazać mi kogoś, któryby był odpowiedniejszym od pana, chciałbym go chętnie poznać. Mam nadzieję, że nie weźmie pan sobie tego tak bardzo do serca. Cóż panu zresztą na tem zależy? Pan, prowadząc kolumnę tylną, będziesz miał pra-

wo do takiego samego uznania, jak my w przedniej. Jeżeli Tippu-Tib będzie mi wiernym, rozłączymy się zaledwie na sześć tygodni; dogonisz nas pan łatwo, ponieważ nas zatrzymywać będzie poszukiwanie i torowanie sobie drogi. Pan pójdiesz za nami drogą wskazaną i będziesz mógł ująć dziennie dwa razy tyle, co my. Jeżeli Tippu-Tib nie połączy się z panem, będziesz panem swej kolumny i będziesz miał tyle do czynienia, że czas szybko ci zejdzie. Na pocieszenie pana powiem ci, majorze, coś jeszcze; czeka nas jeszcze praca wielka, a panu przypadnie w udziale część jej najważniejsza. Powiedz mi pan, kogo chcesz mieć za podkomendnego.

— Wybór pozostawiam panu.

— Nie, wolę, abyś pan sam wybrał sobie za towarzysza przyjaciela, któryby podzielał pańskie nadzieje i myśli. Wszyscy, jak to panu wiadomo, posiadamy pociąg do tego, albo owego.

— To proszę wybrać Jamesona.

— Dobrze, Jameson będzie pańskim towarzyszem. Sam pomówię z nim, a następnie także i z p. Troupem, którego uważam za dzielnego człowieka; pozostawię także przy panu młodego Warda i Bonny'ego. Tak Troup, jak i Bonny mówią językiem Kisuahel'ów i oddadzą panu niemalże usługi.

Po załatwieniu tej sprawy, w dniu 15ym maja flotyła wyruszyła z 511 ludźmi, Tippu-Tibem i jego 90 towarzyszami w górę rzeki.

W d. 16 maja jechaliśmy dobrze, ponieważ „Peace“ został naprawionym, zaś w d. 19ym maja zatrzymaliśmy się przy stacyi misyjnej baptystów w Lukolela.

Następny dzień zużyliśmy na zakupno żywności. Byliśmy bardzo wdzięczni za okazaną nam przez misyonarzy na tej stacyi gościnność.

W d. 24ym maja przybyliśmy do stacyi Aequator

(równikowa), należącej obecnie do Tow. Sanford, którego reprezentantem był p. E. J. Glave, dzielny młodzieniec z Yorkshire. Bawił tu także kapitan Van Gele.

D. 30 maja dotarliśmy do stacyi Bangala. Miejscowość ta została zamienioną na wielką, kwitnącą osadę; załoga jej liczyła 60 ludzi i posiadała dwie armaty Kruppa. Wyrabiają tu wyborne cegły, których zapasy wynoszą 40,000 sztuk. Osada ta przynosi Afryce środkowej zaszczyt pod każdym względem. Naczelnik jej, van Kerkhoven, znajdował się podówczas w Langa-Langa. Niedawno udało mu się wydobyć z niewoli 29 żołnierzy. W czasie ucieczki Deanego z Stanley-Pool żołnierze ci wsiedli do łodzi i popłynęli do Upoto, gdzie krajowcy schwytali ich jako zbiegów.

Oprócz wielu innych dobrych przymiotów, Bangala posiada ten jeden, że nigdy niebrak tam żywności. Stacja posiadała 130 kóz i kilkaset kur, które zaopatrywały oficerów w świeże jaja. Dziesięć akrów roli zielonością swoje wróżyło piękny zbiór ryżu. Oficerowie posilali się winem z palm i bananów, tudzież piwem, warzonem z trzciny cukrowej, które, jak zauważyłem, było bardzo mocne.

W Bangala poleciłem Barttelotowi i Tippu-Tibowi, aby wraz z ludźmi swymi udali się wprost do Stanley-Pool, poprzednio zaś usunąłem z łodzi 35 Zanzibarczyków i zastąpiłem ich 40 Sudańczykami, aby żaden Zanzibarczyk nie wiedział, że Stanley-Pool jest odległe od Jambuja tylko o niewiele dni marszu.

W dniu 12 czerwca przybyliśmy do naszego starego obozu w pobliżu wsi Basoków.

Basokowie byli rodakami Barutiego „prochu strzelniczego“, którego p. Winton w r. 1883 przywiózł do Anglii. Z opieki p. Wintona Baruti dostał się pod moją. Tu znajdowaliśmy się w pobliżu jego wioski rodzinnej i rodaków, z którymi nie widział się przez lat sześć.

Kiedy spostrzegłem, że Baruti przypatruje się bardzo ciekawie swojemu miejscu urodzenia, powiedziałem mu, by zawołał Basoków i wezwał do odwiedzenia nas. Dawniejsze usiłowania moje celem pozyskania zaufania tych mieszkańców lasów były bezowocne, mimoto byłem przekonany, że z czasem uda mi się to. Oddawna zastanawiałem się nad tem, dlaczego mieszkańcy lasów są mniej przystępni, niż mieszkańcy płaszczyn. Probowaliśmy całą godziną mi różnych sposobów, pokazywaliśmy przedmioty pstre i błyszczące, sznury pereł szklanych, zagadywaliśmy ich, uśmiechaliśmy się, jednakże zawsze napróżno; nie chcieli zbliżyć się do nas. Przyczyną tego jest ta okoliczność, że do lasu wygodnie im uciekać, a obcy boją zapuszczać się w lasy bezdrożne. Za najmniejszym zbliżeniem się obcego, krajowiec ucieka w las. Na płaszczynach otwartych krajowiec posiada punkt jakiś, z którego może czynić spostrzeżenia, i upewnić się o charakterze obcego. W lesie natomiast przed krajowcem staje naraz ołcy, przybyły z nieznanych okolic i w niewiadomym celu. W twarzy jednego widać wówczas zdziwienie, u drugiego przestach.

Baruti zawołał na murzynów, poczem łodzie tychże zbliżyły się do nas nieco. Poznał kilku z nich i powiedział im, aby nie obawiali się niczego. Następnie spytał się o kogoś. Dziecy wydali okrzyk, poczem ktoś im odpowiedział, wsiadł do łodzi i podpłynął do nas.

Był to starszy brat Barutiego. Ten pytał się brata, co robił przez sześć lat.

Brat wpatrzył się w Barutiego, ale nie poznał go, — wypowiedział więc swoją wątpliwość.

Baruti wymienił więc najprzód imię ojca, następnie matki, poczem brat zbliżył się do nas.

— Jeżeli jesteś moim bratem, powiedz co takiego, poczem mógłbym poznać cię.



Masz bliźnię na ramieniu — tam, na prawem. Pamiętasz... krokodyl?

To wystarczyło. Młody, barczysty murzyn wydał okrzyk radośny, podzielił się nowiną o odnalezieniu brata swoim rodakom, zaś Baruti poraz pierwszy w życiu łzę uronił. Murzyn zbliżył się do naszego statku, wdarł się nawet na pokład i zapominając o obawie przed nami uścił Barutiego.

Tymczasem reszta łodzi murzynów zbliżyła się do nas zupełnie, by przypatrzeć się lepiej radości braci.

Wieczorem powiedziałem Barutiemu, że wolno mu pozostać we wsi rodzinnej, albo jechać dalej z nami; ale radziłem mu iść z nami, ponieważ życie pomiędzy Basokami, z powodu sąsiedztwa Arabów, jest bardzo niebezpieczne.

Chłopak podzielał moje zdanie i nie chciał powracać do swoich, lecz w dwa dni po przybyciu do Jambuja zmienił przekonanie, gdyż przyszedł w nocy do mego namiotu, zabrał karabin Winchesterowski, dwa rewolwery, naboje, zegarek srebrny, nóż srebrny, pas z torebką do nabojów, trochę pieniędzy i łódź i odплыł w dół rzeki, prawdopodobnie do swej wioski.

Od tego czasu nie słyszeliśmy o nim.

Pokój mu.

W d. 15 czerwca przybyliśmy do wsi Jambuja, leżącej na lewym brzegu rzeki Aruwimi, w odległości 154 kilometrów powyżej złączenia się rzek Kongo i Aruwimi.

---

## ROZDZIAŁ VI.

### W Jambuja.

Znajdujemy się obecnie w odległości przeszło 2000 kilom. od morza. W r. 1883 starałem się porozumieć z mieszkańcami tych wsi, ale udało mi się to tylko na czas krótki. Obecnie mieliśmy przed sobą cel ważny. Przed oczyma stały nam odległe porty nad Nilem i jeziorem Alberta, bronione przez ludzi, którzy trwożliwie wyęźali wzrok patrząc w stronę, z której oczekiwali pomocy, ponieważ w tej chwili posłańcy nasi zanzibarscy zawiadomili ich już zapewne o tem, że zbliżamy się do nich; ale rozdzielała nas jeszcze przestrzeń olbrzymia, oznaczana na najlepszych mapach kolorem białym, jako kraj, zupełnie nieznany.

Kiedy spojrzeliśmy na czarny mur lasu, tam tylko przerywany, gdzie wypływały rzeki, każdemu z nas nasuwały się inne myśli do głowy. Moje skierowały się do celu mej podróży, na gubernatora, który tam pocieszał zapewne swych dzielnych żołnierzy i wyciągniętą ręką

wskazywał kierunek, skąd oczekiwana pomoc na pewno nadejść miała; zaś w dali widziałem bordy maddystów, roznoszące dzikie okrzyki: „Jallah, jallah!” w innej stronie zaś miałem przed oczyma tłumy skazanych na wytępienie murzynów, a pomiędzy nimi a nami kraj nieznan, bez dróg i ścieżek.

Kapitanowie rozdzielali amunicję i otrzymali rozkaz, aby statki były w pogotowiu do wyruszenia w dalszą podróż.

D. 16 czerwca o godz. 6ej rano „Peace” wyruszył w drogę, a kiedy przepływał około „Stanleya”, wydałem oficerom jego rozkaz, aby czekali na mój sygnał. Następnie pojechaliśmy w poprzek rzeki, i próbowaliśmy uspokoić krajowców w ten sposób, że leżeliśmy spokojnie na pokładzie, podczas gdy oni przypatrywali się nam ciekawie z wysokiego brzegu. Nasz tłumacz rozmawiał się z nim. Przez całą godzinę prawiliśmy sobie komplementa, a nareszcie uprosiliśmy ich, aby z najśmielszych towarzyszy przysłali na sam kraj brzegu. Zbliżywszy się do nich, zaczęliśmy rozmowę i nareszcie udało się nam kupić u nich, nóż w zamian za sporą ilość pereł. Osmiełeni tem rozpoczęliśmy rokowania o to, aby za opłatą pewnej ilości sukna, pereł, drutu i żelaza pozwolili nam zamieszkać w ich wsi przez kilka tygodni, lecz napróżno.

Była godz. 9. W gardle mi wyschło, tak wiele mówiłem. Dałem „Stanleyowi” sygnał, aby zbliżył się do nas. Na drugi znak, oba statki dały sygnały i przybiły do brzegu. Zanzibarezy i Sudańczycy ze zręcznością małp wdarli się na stromy brzeg, na którym jednakże nie zobaczyliśmy już ani jednego mieszkańca wioski.

Osada Jambuja składała się z całego szeregu wiosek, utworzonych przez chaty, zbudowane w kształcie kuli wzdłuż brzegu, z kąd był piękny widok na rzekę Aruwimi.

Kompanie udały się na wskazane im kwatery; na wszystkich ścieżkach, prowadzących z wioski, ustawiono strażę. Kilkunastu ludziom polecono narąbać drzewa do budowy palisad, inni zbierali opał, inne znów oddziały wyruszyły celem zbadania obszaru i położenia pól.

Popołudniu brzybyli do nas dwaj krajowcy ze wsi położonej obok Jambuja. Pochodzili oni ze szczepu Baburu, do którego należą mieszkańcy okolic pomiędzy Stanley-Pool a dolnem Aruwimi.

Sprzedali nam kilka bananów, za co otrzymali dobrą zapłatę. Wezwaliśmy ich, aby przynieśli więcej żywności, zapewniając, że nic złego im się nie stanie.

Nazajutrz wysłaliśmy ludzi celem zbierania manioku, inni zaś byli zatrudnieni budową palisad i kopaniem rowu; część robotników zajęta była sypaniem wału dla budowy palisad, druga zbierała opał dla statków, aby te w powrocie do Stanley Pool nie znalazły się w kłopotcie o drzewo.

Wszędzie wrzały życie i praca.

W lesie schwytailiśmy kilku krajowców, którym pokazywaliśmy wszystko, cośmy przywieźli. Następnie daliśmy im pełną garść pereł szklanych, aby rodaków swych zapewniali, że nie potrzebują obawiać się nas.

D. 19 czerwca narąbano tyle drzewa, że „Stanley” był zaopatrzony na sześć dni i mógł wyruszyć w podróż do stacyi równikowej. Podpisałem czek na 50 fantów szterl. dla kapitana, drugi dla maszynisty, na takąż sumę na Ramsona, Bouverie et Comp. Czeki te w ich obecności wręczyłem p. Jamesonowi, zapewniając, że zostaną im wręczone po powrocie do Stanley-Pool, jeżeli przedtem około połowy sierpnia przybędą do Jambuja.

Porucznikowi Liebrechtsowi posłałem piękny prezent jako znak wysokiego poważania.

Nazajutrz rano „Stanley” odjechał z listami do komitetu wyprawy do Emina baszy.

„Peace” pozostał dla towarzyszenia statkowi „Henry Reed”, który oczekiwaliśmy, ponieważ Barttelot, na podstawie wydanych mu instrukcyj, powinien był przybyć lada chwila.

W tak dzikim kraju, jak ten, gdzie ma się wszędzie w pobliskich lasach ludożerców i handlarzy niewolników, należy, naturalnie, obawiać się poważnych wypadków, jeżeli przewidywania nie spełniają się należycie.

Barttelot, jako komendant statku „Henry Reed”, minął ujście Aruwimi w dniu 11 czerwca, aby Tippu-Tiba i jego ludzi dowieść do osady, skąd komendant angielski i jego żołnierze zostali tak sromotnie wypędzeni.

Wprawdzie naczelnik arabów zachowaniem się swoim wzbudzał zaufanie i przyrzekał solennie, że w przeciągu dziewięciu dni po przybyciu do swej osady, na mocy zawartej z nami umowy, przybędzie do Jambuja z 600 tragarzami, więc nie przypuszczałem, aby on mógł być przyczyną spóźnienia się majora. Ale major powinien był 13-go dotrzeć do Stanley Pool, wieczorem d. 14-go być znów u ujścia Aruwimi, a d. 16-go w Jambuja, jeżeli umiał wykonywać rozkazy dosłownie i nie dał się niczem skłonić do opóźnienia.

Obecnie mamy d. 21-go czerwca. Oficerowie byli przekonani, że nie stało się nic złego, ja zaś całemi godzinami stałem na brzegu i patrzyłem przez szkła w dół rzeki.

D. 22-go niepokój mój był tak wielki, że wydałem porucznikowi Stairsowi piśmienny rozkaz, aby z 50 najlepszymi ludźmi i armatką Maxima na statku „Peace” wyruszył w d. 23-im w dół rzeki i odszukał parowiec „Henry Reed” i aby pojechał do Stanley Pool. Gdyby po przybyciu do tej osady zobaczył statek w przystani a na jego przyjazne sygnały nie odpowiedziano mu nale-

życie, miał przygotować się do ataku i parowiec odebrać, a gdyby mu się to nie udało, natychmiast do nas powrócić.

O godz. 5-ej po południu Zanzibarczycy wydali tak pożądaną mi okrzyk: Widać statek!

Barttelot był zdrow, nie przytrafił mu się żaden wypadek, Tippu-Tib statku nie zdobył, Sudańczycy nie zbuntowali się przeciw majorowi, murzyni nie napadli w nocy na śpiący obóz, statek nie rozbił się, owszem był w tak dobrym stanie, jak w chwili wyjazdu ze Stanley Pool. Ale życie w Afryce jest tak niespokojnem, że każdej chwili można paść ofiarą obawy o podobne wypadki

Majora zatrzymały drobne wypadki: walka z krajojcami, nieporozumienie z Tippu-Tibem, własnymi ludźmi i t. d.

W dwa dni później statki „Peace“ i „Henry Reed“ zostały odesłane w dół rzeki do domu. W ten sposób straciliśmy ostatni węzeł, jaki łączył nas ze światem ucywilizowanym.

W tymże dniu napisałem dla majora Barttelota następującą instrukcję. Odpis jej wręczyłem p. Jamesonowi, jako podkomendnemu.

„24 czerwca r. 1887.

Do majora Barttelota.

Szanowny Panie! Jako najstarszemu z oficerów, towarzyszących mi w wyprawie do Emina paszy, przypada panu komenda nad tem ważnem stanowiskiem. Leży to także w interesie wyprawy, abyś pan objął komendę, a to z tego powodu, ponieważ pańska kompania Sudańczyków, składająca się z samych tylko żołnierzy, może być lepiej użytą do służby w tem miejscu, niż w marszu.

Parowiec „Stanley“ w dniu 22 b. m. odpłynął z Jam-buja do Stanley Pool. Jeżeli nie zdarzy się mu jaki wy-padek, w dniu 1-ym lipca przybędzie do Leopoldville. W przeciągu dwu dni następnych włożą nań 500 tobołów naszych towarów, jakie pozostały tam pod nadzorem p. I. R. Troupa. Ten pan wsiądzie na statek, który, jak przypuszczam, wyruszy w podróż dnia 4 lipca, zaś dnia 9 lipca przybędzie do Bolobo. Jeżeli opał będzie przygo-towany, 125 ludzi, znajdujących się obecnie w Bolobo pod komendą pp. Warida i Bonny'ego, wsiądą na statek, po-czem tenże pojedzie dalej. W dniu 19-ym lipca będzie on w Bangala, zaś 31 lipca tutaj. Rzecz naturalna, ni-ski stan wody na rzece w lipcu może opóźnić bieg stat-ku, ale ponieważ do kapitana statku mam wielkie zaufa-nie, możesz pan być pewnym przybycia „Stanleya“ przed 10-ym sierpnia \*).

Nie przybycie tych towarów i ludzi skłania mnie do mianowania pana komendantem tego stanowiska. Ponie-waż spodziewam się przybycia wkrótce 600 tragarzy Tippu-Tiba, mam nadzieję, że po odjeździe „Stanleya“ do Stanley-Pool w sierpniu, zatrzymasz się pan nie dłużej nad kilka dni.

Tymczasem, aż do przybycia naszych ludzi i towa-rów, powinienes pan być bardzo przezornym, jako ko-mendant tego obwarowanego obozu. Chociaż obóz znaj-duje się w dobrym punkcie, dzielny nieprzyjaciel mógłby zdobyć go bez wielkiego trudu, gdyby dowódzca nie po-siadał energii i nie przestrzegał karności. Jestem prze-konany, że uczyniłem dobry wybór, powierzając panu obronę naszych interesów w czasie naszej nieobecności.

---

\*) Z powodu uderzenia o pływające drzewo, „Stanley“ musiał za-trzymać się i przybył dopiero d. 14 sierpnia.

Powierzone panu sprawy są dla wyprawy bardzo ważne. Ludzie, jakich masz pan pod swojemi rozkazami, stanowią więcej niż trzecią część personelu wyprawy, zaś towary, które będą tu nadesełane, są pieniędzmi, potrzebniemi w czasie marszu przez okolice, położone z drugiej strony jezior; prócz tego będzie tam olbrzymi zapas amunicyi i żywności, również bardzo dla nas ważny. Utrata tych ludzi i towarów byłaby pewną zgubą naszą i w takim razie nasz pierwszy oddział musiałby sam prosić o pomoc. Sądzę zatem, że uwzględniając to wszystko, nie będziesz pan szczędził trudu i utrzymasz porządek i karność w obozie, uzupełnisz środki obrony i utrzymasz je w takim stanie, że nawet najgroźniejszy nieprzyjaciel nie zdoła pana pokonać. W tym celu zalecam panu wykopać rów na 6 m. szeroki i na 3 m. głęboki, a prowadzący od rowu naturalnego, przez który płynie strumień, naokoło palisad. Nie zapominaj pan, że napaść mogą na pana nie tylko krajowcy, ale że także arabowie i ich towarzysze mogą wszcząć spór z panem i uderzyć na obóz.

My pójdziemy w kierunku wschodnim, wedle kompasu we wschodnio-południowym. Celem naszego marszu jest południowo zachodni kraniec jeziora Alberta w pobliżu Kawalli. Przybywszy tam, założymy w okolicy obóz warowny, spuścimy łódź naszą na wodę i pojedziemy do Kibiro w Uujero, aby od p. Casati'ego, jeżeli go tam znajdziemy, zasięgnąć wiadomości o położeniu Emina baszy. Jeżeli będzie on przy życiu i w pobliżu jeziora, skomunikujemy się; następne kroki nasze zależeć będą od wiadomości o zamiarach Emina baszy. Przypuszczamy, że zabawimy u niego nie dłużej, jak dni 14.

Będziemy się starali pozostawiać za sobą ślady zapomocą znaków na drzewach i nacinania młodych pni na drodze. W punktach, w których ścieżki krzyżują się, poruszmy ziemię i na ścieżkach, któremi nie pójdziemy, wy-



kopiemy rów na kilka cali głęboki, jakoteż naznaczymy drzewa, jeżeli to będzie możebne.

Jeżeli Tippu-Tib przysze 600 ludzi do niesienia towarów, a „Stanley” przybędzie ze 125 ludźmi, pozostawionymi przezemnie w Bolobo, będziesz pan zapewne czuł się dość silnym, aby wyruszyć z kolumną wraz ze wszystkimi towarami, przywiezionemi przez parowiec i pozostawionemi przezemnie w Jambuja. W tym pożądanym wypadku pójdiesz pan wślad za mną i zapewne spotkamy się wkrótce. Nasze obozy zastanie pan jeszcze zapewne nienaruszone: urządzaj więc pan marsz tak, byś mógł z obwarowań tych korzystać. O lepszych przewodników, niż te obozy, w marszu naszym nie będzie łatwo. Jeżeli w przeciągu dwu dni nie napotkasz pan na taki obóz, będzie to dowodem, że nie idziesz pan moim śladem.

Może Tippu-Tib przysze tylko mało ludzi, tak że towary będą musieli nieść pańscy ludzie. W takim razie pozostawiam panu wybór, bez jakich towarów możesz pan obejść się w marszu. W tym celu musisz pan przejrzeć następującą listę:

1. Amunicya, szczególnie ładunki, bardzo ważna.
2. Perły, drut mosiężny, sukna, w drugiej linii.
3. Paki prywatne.
4. Proch i kapsle.
5. Żywność europejska.
6. Łopaty mosiężne, używane nad rz. Kongo.
7. Artykuły spożywcze (ryż, groch, pieczywo itd.).

Zaopatrzywszy się zatem w liny, wory, narzędzia (nie zapominaj pan nigdy o toporach), musisz rozważyć, ile tobołów z żywnością możesz pan rozdzielić między swoich ludzi, tak byś był w stanie iść dalej, i czy połowa przedmiotów mosiężnych nie mogłaby pozostać. Gdybyś pan mimo to nie mógł wyruszyć w pochód, to lepiej, abyś pan odbywał codziennie dwa marsze po 10 kilome-

trów i towary zabierał za każdą razą po połowie, jeżeli wygodniej panu będzie iść naprzód, zamiast czekać na mnie.

Przy ostatnim odjeździe „Stanleya“ z Jambuja nie zapomnij pan do p. Williama Mackinnona pod adresem pp. Gray, Dawes i Comp., 13, Austin Friars, w Londynie, wysłać sprawozdania o tem, co stanie się podczas mojej nieobecności i po mojem wyruszeniu na wschód; czy będziesz pan słyszał co o mnie, czy będziesz się spodziewał wiadomości odemnie i co pan czynić zamierzasz. Poslij mu pan także dokładny odpis tego rozkazu, aby komitet wyprawy mógł osądzić, czy zastosowałeś się pan do niego i czy to uczynić zamierzasz.

Obecnie załoga pańska składać się będzie z 80 niosących karabiny i z 40 do 50 nadliczbowych. W przeciągu kilku tygodni „Stanley“ przywiezie panu znów 50 niosących karabiny i 75 nadliczbowych pod rozkazami pp. Troupa, Warda i Bonny'ego.

P. J. S. Jamesona mianuję pańskim towarzyszem; prócz tego będziesz pan miał pod swojemi rozkazami pp. Warda i Bonny'ego. W czasie zwykłych robót około obwarowań, tudzież w obozie i w marszu, tylko jeden będzie komendantem, a tym będziesz pan; gdyby jednakże należało uczynić krok bardzo ważny, poradź się pan, proszę, p. Jamesona; skoro zaś będą tutaj pp. Troup i Ward, wciągaj pan ich do rady i pozwól wypowiedzieć im swoje zdanie.

Zdaje mi się, że opisałem tu jasno wszystko to, co, mojem zdaniem, było potrzebne. Pańskie zachowanie się wobec krajowców ma stosować się zupełnie do ich postępowania. Pozwól im pan w spokoju powrócić do sąsiednich wiosek, a jeżelibyś pan mógł przyspieszyć zawiązanie przyjacielskich stosunków zapomocą podarków i t. d., radzę panu uczynić to. Staraj się pan zasięgnąć wiado-

mości co do krajowców i położenia rozmaitych wiosek w pańskim sąsiedztwie i t. d.

Mam zaszczyt być życzliwym panu.

*Henryk Stanley,*  
naczelnik wyprawy”.

Major odszedł, aby przeczytać powyższe pismo i poprosił p. Jamesona o zrobienie kilku odpisów.

Około godz. 2-iej major powrócił i prosił mnie o rozmowę. Oświadczył mi, że pragnąłby pomówić o Tipu-Tibie.

— Chciałbym wiedzieć jeszcze niejedno o tym Arabie. Kiedy przed kilku dniami zostałem zatrzymany w Stanley-Pool, wydałeś pan porucznikowi Stairsowi rozkazy dość energiczne. Domyślam się, że pan podejrzewał owego Araba i dlatego nie pojmuję wogóle, jak możemy wdawać się z takim człowiekiem.

— Dobrze, pomówię z panem chętnie tak o tym, jak i o każdym innym przedmiocie. Przyznam się, że przez trzy dni kłopotalem się bardzo o pana. Dowodziłeś pan statkiem, należącym do obcych ludzi, którym zobowiązaliśmy się zwrócić go w porę. Przy sobie miałeś pan 40 Sudańczyków. Statek był dobrze uzbrojony i w zupełnym porządku. Wiedzieliśmy, jakiego potrzebowałeś pan czasu na powrót, jeżeliby nie zdarzył się panu żaden wypadek. Powinieneś pan był powrócić dnia 16 a najpóźniej 17, a pan powróciłeś tymczasem d. 22-go o godz. 5-iej popołudniu. Nie mamy tu ani telegrafów, ani poczt. Nie otrzymując od pana żadnej zgola wiadomości, zacząłem obawiać się, czy nie zdarzyło się panu co złego. Może statek uderzył o pień, może w nocy napadli na pana krajowcy, jak na Deanego w „A. I. A.“? Może Sudańczycy zbuntowali się, czem grozili już w Lukungu? Może pana zastrzelono, jak niegdyś w Sudanie jeden z pułków sudańskich rozstrzelał wszystkich oficerów europej-

skich? Może zatrzymano pana przemocą, ponieważ Tipu-Tib uległ namowom wrogich Arabów? Może poróżniłeś się pan z Selimem, jak Stairs i Jephson poniżej Stanley-Pool? Jeżeli to się nie stało, to cóż stać się mogło? Czy mógł kto domyślać się czego innego?

— Ależ musiałem —

— Nie mówmy już o tem, kochany majorze. Nie broń się pan. Mówię o tem nie dlatego, aby robić panu wyrzuty, lecz aby odpowiedzieć na pytanie. A zatem co się tyczy Tippu-Tiba. Nie wdawałbym się z nim, gdybym nie był zmuszonym do tego w interesie i pańskim i moim. On rości sobie prawa do tego terytoryum. My bawimy tu, jako jego przyjaciele. Przypuśćmy, że nie zawarliśmy z nim umowy; jak długo w takim razie byłoby nam wolno przygotowywać się do marszu do jeziora Albert, albo jak długo pozwoiłby nam tu pozostać bez odpowiedzi na pytanie, co chcemy czynić na jego terytoryum? Czy mógłby zostawić tu pana samego, wiedząc, do czego ci ludzie są zdolni? Z 80 strzelbami przeciwko trzem, a nawet pięciu tysiącom karabinów? Dziwię się, panie majorze, że pytasz się o to, mimo to, żeś był w Stanley-Pool i widziałeś kilkuset Arabów. Widziałeś pan Tippu-Tiba i prawie sto ludzi jego w drodze z Zanzibaru. Widziałeś pan, jak cieszyli się swą bronią, karabinami winchesterskimi i dubeltówkami. Znasz pan historię bitwy Deana pod Stanley-Pool! Wiesz pan, że Tippu-Tib jest mściwy i że jego siostrzeńcy wolą wojnę, niż pokój. Pan wiesz, że chciał on wytoczyć wojnę państwu Kongo i że my mamy iść przez jego terytoryum. Jakże więc pan, który doszedłeś do stopnia majora, możesz stawiać takie pytania i wątpić o tem, co jest, jak dzień, jasne?

Parowiec „Madura“ stał w porcie zanzibarskim. Władca tego terytoryum, czując się obrażonym, myślał

o zemście na wszystkich białych w Kongo. Czyż byłoby roztropnie pozostawiać tego człowieka z takimi myślami? Ponieważ myślał o wojnie właśnie w chwili, w której ja w misyi humanitarnej musiałem przechodzić przez jego terytoryum, dlatego zależało mi na zawarciu pokoju z nim bardziej, aniżeli Jego Królewskiej Mości.

Zapyta mnie pan zapewne, jaki ma to związek z pańską sprawą? Czy nie mówiłeś pan, że wolisz iść z nami, niżli pozostać tutaj? A czy w instrukcyi nie napisałem panu, że jeżeli Tippu-Tib nie przyprowadzi 600 tragarzy, to lepiej będzie, abyś pan maszerował dalej i zabierał towary w dwu partyach, a nie pozostawał w Jambuja?

Popatrz pan na te notatki — możesz je pan zatrzymać. Dowiesz się pan z nich, co możesz pan zrobić sam, przy pomocy własnych ludzi, a co wówczas, jeżeli Tippu-Tib dotrzyma umowy.

W Bolobo powiedziałeś pan: Na Boga, nie zabawię w Jambuja ani jednego dnia, skoro tylko zgromadzę całą kolumnę moją“.

Popatrz pan do instrukcyi. Jest tam ustęp: „Gdybyś pan nie mógł maszerować, to lepiej, abyś odbywał codziennie dwa marsze po 10 kilometrów”, to znaczy, masz ująć 10 kilom., wrócić się, zabrać drugą połowę towarów i pójść znów naprzód. Tak robiłem nad rzeką Kongo, kiedy z 68 ludźmi zrobiłem 33 podwójnych marszów, aby 2000 tobołów i 5 olbrzymich wozów przemieścić na odległość 85 km., musiałem budować drogi, mosty i t. d. Notatka owa wskaże panu, jaką przestrzeń przeszedłbyś pan w taki sposób w przeciągu sześciu miesięcy.

Dlatego to mój układ z Tippu-Tibem dotyczy panu osobiście. Jeżeli Tippu-Tib dotrzyma umowy, możesz pan na drugi lub trzeci dzień po przybyciu „Stanleya“ z pp. Wardem, Troupem, Bonnym i ludźmi wyruszyć z Jam-

buje i dogonić nas, w przeciwnym razie spotkamy się w czasie powrotu z nad jeziora Albert. Cóż więc wołałbyś pan czynić? Czy z jednego obozu do drugiego marszerować dwa albo trzy razy, czy mieć przy sobie Tippu-Tiba z 600 tragarzami i iść szybko za nami?

— Naturalnie, że wołałbym iść prędko i próbować dogonić pana.

— Pojmujesz więc pan, dlaczego byłem przyjaźnym i hojnym dla Tippu-Tiba?

— Zupełnie.

— Niezupełnie. Jest jeszcze jeden ważny powód. Przypuśćmy, że nie przywiózłbym tutaj Tippu-Tiba, że Arabowie pod Stanley Pool nie byłiby rozgniewani na białych o sprawę Deanego, lub że obawialiby się zaczepić pana. W takim razie udawaliby przyjaźń dla pana, sprzedawaliby panu kozy i żywność, zaś pańskim Zanzibarczykom powiedzieliby, że osada, w której jest poddostatkami ryżu i ryb, znajduje się w odległości tylko 7 dni marszu, a w przeciągu kilku dni namówiliby czwartą część ludzi pańskich do ucieczki, podczas gdy pan czekałbyś spokojnie w Bolobo na przybycie posiłków; inni, dowiedziawszy się o ucieczce towarzyszy, zbiegliby albo wszyscy naraz, albo po dwóch lub trzech, aż nakoniec zostałbyś się pan sam.

Czyż to nie obawa przed zbiegostwem skłoniła mnie do obrania tego kierunku pochodu? Teraz zaś, kiedy Tippu-Tib jest moim przyjacielem i ma wobec mnie obowiązki, dezercyj obawiać się nie potrzebujemy.

Pamiętaj o tem ciągle, kochany majorze. Mimo to wszystko, oddział pański może być zgubionym, jeżeli nie będziesz przezornym. Bądź łagodnym i cierpliwym wobec swych ludzi, są bowiem bardzo drażliwi. A przecież na czele tych ludzi przeszedłem Afrykę w szerz, i założyłem państwo w Kongo.

— Czy sądzi pan, że Tippu-Tib dotrzyma umowy i przyprowadzi 600 ludzi?—spytał major.

— O tem powinienes pan wiedzieć tak, jak ja. Co on mówił w chwili, w której go pan opuszczales?

— Powiedział, że będzie tu w przeciągu dni dziewięciu, jak to już poprzednio zapewniał pana w Bangala. „Inszallah!”—odparł major, naśladując Araba.

— Jeżeli Tippu Tib będzie tu w przeciągu dziewięciu dni, będę to uważał za cud ogromny.

— Dlaczego?—spytał major zdziwiony.

— 600 tragarzy, to liczba wielka. On nie będzie tutaj ani za 15, ani nawet za 20 dni. Z tym człowiekiem trzeba być bardzo roztropnym. To nie Europejczyk który umie dotrzymywać słowa. „Inszallah!” powiedział? A więc jutro—„Inszallah!” znaczy nazajutrz—za 5 albo za 10 dni. Co to jednakże znaczyć będzie dla pana, jeżeli on nie przybędzie za 20 dni? „Stanley” nie przybędzie tu przed 10-ym, a może dopiero w połowie sierpnia, t. j. za 42 dni. Ma zatem dość czasu. Pocóż zatem czekając na parowiec, chcesz pan czekać na 600 ludzi, którzy w obozie pańskim nic nie robią? Ludzie rozpróżnienia myślą o złem. Czekaj pan na niego, dopóki „Stanley” nie wróci, a jeżeli on i wówczas nie przybędzie, to nie przybędzie już wcale.

— Jeżeli zaś wcale nie przybędzie, czeka nas olbrzymia praca.

— Naturalnie, kochany majorze. Ale co byś pan wolał: pozostać tutaj i czekać na nasz powrót od jeziora Alberta, czy iść zwolna naprzód i codziennie coś zyskać?

— Ach, mój Boże! Zostać tu przez kilka miesięcy byłoby fatalnie.

— I ja tak sądzę, i dlatego przygotowałem dla pana to obliczenie. Zapewniam cię, kochany majorze, że gdybym był pewnym, iż pan znajdziesz drogę do jeziora

Alberta, sam objąłbym pańskie zadanie, a panu powierzyłbym komendę nad pierwszym oddziałem, zamiast kłopotać się o pana.

— Ale powiedz mi pan, panie Stanleyu, kiedy mniej więcej możemy spotkać się?

— Bóg to wie. Nikt nie może mi powiedzieć, co jest przed nami, jak daleko ciągną się te lasy, czy są drogi i jakim jest charakter krajowców, czy to ludożercy, dzicy, karli, albo gorylle. Nie mam pojęcia o tem. Za wiadomość o tem dałbym bardzo wiele. Obliczenia, jakie pan ma, opieram na następującej podstawie. W r. 1874-m i 1875-m przebyłem 1150 km. w przeciągu dni 103. Odległość ztąd do jeziora Alberta wynosi około 610 km, w linii prostej; w r. 1874/75 przebyłem przestrzeń 610 km. z Bagamoyo do Winjata w Ituru w przeciągu 64 dni, zaś 610 km. od jeziora Uhimba do Udżidzi w 54 dniach. Były to jednak kraje płaskie i posiadały znośne drogi, podczas gdy ta okolica jest nam zupełnie nieznaną. Czy to las bez końca? W takim razie czekałaby nas straszna praca. Jak daleko las ten sięga? 200? 300? 400 km? Na to niema odpowiedzi. Przypuśćmy, że na pochód do jeziora Albert potrzebuję trzech miesięcy, że przez 14 dni wypoczniemy, i że w przeciągu następujących trzech miesięcy powrócę. Spodziewam się zatem, że jeżeli Tippu-Tib nie przybędzie, spotkam się z panem w końcu października, lub w listopadzie. To wszystko jest na tamtym papierze. Ale to rzecz mniejszej wagi; lecz wszystko należy dokładnie wykonywać. My będziemy posuwali się naprzód, poznamy drzewa, wskazując panu kierunek naszej drogi. Skorzystamy ze wszystkiego; każda ścieżka, prowadząca na wschód, będzie dla mnie dobra. Tamtędy, którądy my będziemy wstanie iść, i pan będziesz mógł przejść; jeżelibyś zaś pan nie mógł, to w jakikolwiek sposób dowiesz się o nas. Czyś pan zadowolony?



— Zupełnie—odparł major. — Mam wszystko tu — mówiąc to, wskazał na czoło — a ten papier będzie mi zawsze wszystko dokładnie przypominał. Chciałbym jednakże pomówić jeszcze o jednej rzeczy; odnosi się ona do czegoś, o czem wspominał mi pan w Londynie.

— Tak? cóż to było takiego?

— Ano... przypomina pan sobie... kiedy ów pan z ministerium spraw indyjskich przedstawił mnie panu? Słowa, jakie pan wówczas wyrzekłeś, brzmiały dziwnie, jakby dowodziły, że ktoś pana przedemną ostrzegął.

— Ale, kochany panie Barttelot, daję panu słowo, że nie przypominam sobie, bym słyszał kiedykolwiek nazwisko Barttelot, zanim pan przyszedłeś do mnie. Ale to mnie zajmuje. Cóż to ja takiego powiedziałem?

— Przypominam to sobie dokładnie. Mówiłeś pan coś o rozwadze. Wyrażenie to słyszałem już dawniej, kiedy generał robił mi wyrzuty za to, że w czasie wyprawy do Sudanu ukarałem jednego z buntowniczych Somalów. Kiedy Somalowie rzucili się na mnie, byłem sam jeden; nie było sposobu zmuszenia ich do posłuszeństwa; przyskoczyłem więc do przywódcy buntu i zabiłem go wystrzałem z rewolweru. Od tej chwili Somalowie byli pokorni, jak baranki. Zdawało mi się, że generał — niebardzo mi życzliwy — opowiadał panu ten wypadek.

— Nie, nie słyszałem o nim nigdy. Zresztą generał nie mógł ostrzegać mnie przed panem, nie wiedząc, że pan masz zamiar wziąć udział w naszej wyprawie. Wyraz „rozwaga“ nasunęły mi rysy twarzy pańskiej. Przyjaciel pański przedstawił mi pana jako wybornego oficera, pełnego odwagi i waleczności, na co ja odpowiedziałem, że przymioty te są rysem, charakteryzującym oficerów angielskich, lecz ja pragnąłbym słyszeć o innym przymiocie, równie cennym w Afryce, a tym jest rozwaga. Człowiek, chętny do boju, może być często użytecznym; ale

przy wyprawie, która musi pracować w atmosferze drażliwej, nie jest on tak użytecznym, jak ten, który wie nie tylko kiedy i jak bić się należy, ale umie być także rozważnym. Są tu tysiące przyczyn, wywołujących właśnie i spory pomiędzy nim a towarzyszymi, pomiędzy jego ludźmi a krajowcami. Pożywienie jest często złe, nieraz niema go wcale, sposób życia jest pędzny, praca ustawiczna, straszny brak wygod, osłabienie muskultów, znużenie z utratą przytomności graniczące i od wszystkiego najgorsza gorączka — wszystko to skłania często podróżnika do przeklinania dnia, w którym poraz pierwszy o Afryce pomyślał. Człowiek niezgodny jest z natury źle usposobiony, jeżeli zatem nie umie trzymać w karchach swe instynkta, znajduje się w każdej minucie w gorącej wodzie i przy każdym uderzeniu pulsu swego natrafia na trudności. Aby być rozważnym, trzeba pamiętać o obowiązkach i stanowisku swoim i nie poddawać się namiętnościom. Oto przymiot, który nie uszczupla odwagi, ale od marnotrawstwa sił przyrodzonych chroni. Ale nie będę prawil panu kazania; pan wie, o co mi chodzi.

A teraz jeszcze słowo o Tippu-Tibie. Widzi pan tę armatkę Maxima z jej groźną paszczą; na Tippu-Tiba patrzę tak, jak na nią. Jest to wyborna broń do obrony, wyrzuca grad kul, ale może stać się nieużyteczną, jeżeli mechanizm jej popsuje się wskutek rdzy lub braku oliwy. W takim razie spuścimy się na karabiny Remingtona lub repetierowe karabiny Winchestera. Jeżeli Tippu-Tib zechce nam pomagać, będzie nieocenionym sprzymierzeńcem, ponieważ wówczas wypełnimy nasze zadanie bardzo dobrze. Jeżeli zaś nie zechce być nam pomocnym, będziemy musieli robić to, co uda się nam przy pomocy naszych ludzi, a dobra wola tłumaczy wiele błędów.

Czy pamięta pan, że Tippu w r. 1876-ym zerwał układ ze mną, powrócił do Njangwe i pozostawił mnie

samego? Pomimo jego szyderstwa, na czele moich mniej więcej 130 ludzi, puściłem się w drogę wdół rzeki Kongo. Mówiłeś pan, że w Lamu spotkałeś podróżnika austriackiego, d-ra Lenza, któremu nie udało się dotrzeć do Emina baszy. Dlaczego mu się to nie udało? Ponieważ zaufał jedynie Tippu-Tibowi i nie miał oddziału zapasowego, na którym mógłby oprzeć się. Pan masz przeszło 200 tragarzy i 50 żołnierzy, oprócz służby i dzielnych towarzyszy. Przy pracy nad Kongo przyrzekł dostarczyć mi do pomocy pewną liczbę krajowców; przybyło jednakże tylko niewielu, a i ci zbiegli wkrótce. Ale ja miałem rezerwę, złożoną z 68 wiernych ludzi i oni to założyli państwo Kongo.

Przypomina pan sobie list mój do „Timesa“, w którym napisałem: „Nie żądamy od Tippu Tiba, aby pomagał nam w odszukaniu Emina baszy; chcemy tylko, aby niósł amunicję, a w czasie powrotu kość słoniową, która posłuży mi do pokrycia kosztów wyprawy“. Jak zaś myślę o Tippu-Tibie, niechaj służy panu za dowód rozkaz, jaki wydałem Stairsowi przed kilku dniami, aby natychmiast po pierwszym objawie zdrady przystąpił do bombardowania osady Araba. Czytałeś pan ten rozkaz a wiesz, że wiernemu przyjacielowi nie rzuca się w twarz rękawicy.

Wiem, że jesteś niezadowolony z tego, iż nie możesz iść z nami. Zdaje się panu, że nie zyskasz tyle sławy. Bądź o to spokojny... A teraz podaj mi rękę, kochany majorze. Naszem hasłem jest: „prosto, naprzód“, zaś pańskim: „cierpliwość i rozwaga“. A teraz muszę napić się herbaty — od mówienia w gardle mi wyszło.

W d. 25 czerwca palisady naokoło całego obozu były zupełnie gotowe, zaś rów na ukończeniu. Barttelot dozorował robotników z jednej, Jephson z drugiej strony. Nelson rozdzielał prowiant europejski, lekarz budował bramę w takim humorze i z takim zapalem, jakby był za-

jęty operacją chirurgiczną, a roboty ciesielskie wykonywał z taką zręcznością, że wieczorem zapisałem w dzienniku: „Jest to jeden z najlepszych”. Jameson był zatrudniony przepisywaniem instrukcji; Stairs leżał chory na gorączkę.

Jeden z żołnierzy sudańskich, niewinny jak jagnię, pasące się przed jaskinią lisa, wbrew zakazowi wykradł się z obozu, aby plądrować w sąsiedniej wiosce. Krajowcy zabili go. To już drugi wypadek śmierci przy rabunku i nie będzie też ostatnim. Stawiamy Sudańczyka na straży. Przyjaciel zbliża się, on zamienia kilka słów z nim i, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, idzie dalej. Jeżeli nie zostanie zabitym, wraca z ciężką raną i z zapowiedzią śmierci w twarzy.

W dniu 26-ym czerwca wydałem następującą instrukcję dla oficerów pierwszego oddziału:

„Pojutrze, dnia 28 czerwca 1887, mam zamiar wyruszyć w pochód.

Przestrzeń, jaką mam przebyć, wynosi 610 km. w linii prostej, a nawet 880 km., na wypadek, gdybyśmy nie znaleźli drogi niezbyt krętej.

Jeżeli będziemy przebywali 16 km. dziennie, będziemy wstanie dotrzeć do jeziora Alberta w przeciągu dwu miesięcy.

W r. 1871 wyprawa moja dla odszukania Livingstone'a przebyła 580 km. w 54 dniach, tj. około 10½ km. dziennie.

W r. 1874 wyprawa moja wpoprzek Afryki przebyła 580 km., z Bagamoyo do Winjata, w 64 dniach, tj. około 9 km. dziennie.

W r. 1874/75 ta sama wyprawa dostała się z Bagamoyo do jeziora Wiktorya (1150 km.) w 103 dniach, robiąc dziennie 11 km.

W r. 1876 ta sama wyprawa od jeziora Uhimba przybyła do Udjidji (575 km.) w 59 dniach, robiła więc dziennie po 10 km.

Jeżeli zatem przestrzeń 880 kilom. do Kwalli przebywać będziemy ze średnią szybkością 10 km. dziennie, dotarlibyśmy do jeziora Alberta w końcu września.

Pojęcia o charakterze więcej niż połowy drogi, jaką przebędziemy, nabierzecie, patrząc na otaczającą nas okolicę. Będzie to kraj, pokryty krzakami i lasami, w których ścieżki mniej albo więcej kręte, przez krajowców wydeptane, łączyć będą rozmaite osady zamieszkujących je szczepów.

Tu i owdzie ścieżka nasza będzie skrzyżowaną przez inne, łączące osady szczepów, zamieszkałych na północ.

Krajowcy będą uzbrojeni w tarcze, dzidy i noże, albo łuki i strzały.

Ponieważ zamierzam wykonać przez ten kraj marsz szybki, krajowców zaskoczemy niespodzianie. Nie będą mogli połączyć się i wystąpić przeciwko nam z siłą większą, nie będą bowiem mieli czasu na to. Kroki nieprzyjazne, jakieby nas spotkały, będą wynikiem gwałtownego naporu albo złości. Z tego powodu oficerowie winni zaczepki podobne natychmiast odeprzeć i dbać zawsze o to, aby karabiny były nabite, tudzież aby ci, którzy nieść je będą, zawsze byli w ich pobliżu. Broni białej pod żadnym pozorem odkładać nie wolno.

Porządek marszu będzie następujący:

O świcie odezwie się, jak zwykle, pobudka, najprzód zatrąbi ją trębacz sudański, przydzielony do pierwszej kompanii;  
następnie trębacz 2-jej kompanii kap. Stairsa;

po trzecie trębacz 3-ej kompanii kap. Nelsona; po czwarte trębacz 4-ej kompanii kap. Jephsona. Oficerowie rano winni wypić kawę i zjeść ciasta i dopilnować, aby ludzie ich posilili się przed marszem.

Pochód rozpocznie się o godz. 6-ej rano. Rozpocznie go oddział pionierów, zaopatrzonego w strzelby, noże i topory, a tworzący straż przednią, pozostającą pod mojemu rozkazami.

W kwadrans później wyruszy oddział główny, prowadzony przez tego oficera, na którego przypadnie kolej. Obowiązkiem jego będzie uważać na to, aby szedł śladem, wskazanym przez znaczenie drzew albo w inny sposób.

Oddział ten składać się będzie z wszystkich tragarzy, chorych i wszystkich zdrowych, nie odkomenderowanych do straży tylnej. Znaczniejsza część trzech kompanij należeć będzie do tego oddziału. Tuż poza tym oddziałem, łącząc się z nim, iść będzie oficer, którego obowiązkiem będzie utrzymywać porządek poza oddziałem głównym.

Straż tylna składać się będzie z 30 ludzi pod komendą oficera, któremu w dniu tym przeznaczona będzie obrona oddziału od napaści. Ludzie ci nieść będą tylko swoje osobiste uzbrojenie. Straż ta nie powinna przepuszczać żadnego członka wyprawy. Każdy opóźniający się powinien być pędzonym naprzód, kto bowiem pozostanie w tyle, będzie dla nas straconym.

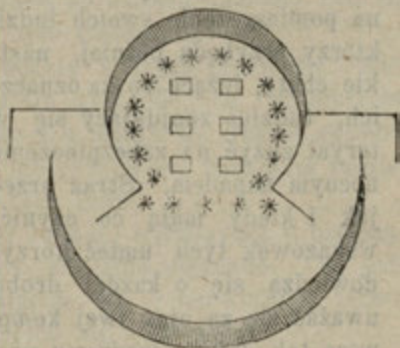
Na czele kolumny głównej znajdować się będą namioty głównej kwatery i pakunki prywatne bezpośrednio za oficerem dowodzącym. Tenże ma zważać na sygnały trąbkowe, aby powtarzać je oddziałom, idącym w tyle.

Straż przednia będzie znaczyła drogę, którą pójdzie, zaś po przybyciu na miejsce wypoczynku rozpocznie budowę „bomy”, albo „seriby”. Inne oddziały natychmiast po swoim przybyciu winny być pomocne przy tem dziele obronnem. Żaden obóz nie będzie uważany za gotowy tak długo, póki nie będzie otoczony płotem. Ci, którzy nie będą zatrudnieni przy tej pracy, mają stawiać namioty.

Boma musi być okrągłą i zaopatrzoną co najmniej w dwie bramy.

Przecznica obozu musi wynosić najmniej 80 m.

Namioty i pakunki umieszczone będą w środku i otoczone chatami, zbudowanemi w kole wewnętrznem o przecznicy, wynoszącej 65 metr.



Plan obozu.

Powyższe wskazówki stosowane będą tyl-

ko w czasie marszu przez kraj niebezpieczny.

Rozumie się, że straż przednia będzie starała się zbadać usposobienie kraju, przez który pójdzie. Jeżeliby przeszkody były znaczne, i zagrażał poważny napad, oddział główny będzie o tem zawiadomiony.

Jeżeli będzie to gdzie możebnem, będziemy obozowali we wsiach, opuszczonych przez krajowców, dla postarania się o żywność, lecz wsie należy natychmiast obwarować. Oficerowie winni nie zapo-

minąć o tem, że ich czarni żołnierze: Sudańczycy, Somalowie i Zanzibarcycy są z natury bezmyślni i obojętni i że nader nieostrożnie lubią rozpraszać się po kraju. Niechaj wierzą mi, że w ten sposób ginie więcej ludzi, niż w otwartej wojnie. Mojem zdaniem zatem, życie tych ludzi leży w ręku oficerów i każdy z nich, który nie przestanie ściśle zważać na to, by rozkazy były wykonywane, dopóki wszystko będzie na noc zabezpieczone i uporządkowane, będzie cenną podporą tej wyprawy. Przybywszy na miejsce, obrane na obóz, jeżeli to będzie wieś, winien każdy oficer zwrócić najprzód uwagę na pomieszczenie swoich ludzi, następnie dla tych którzy przybędą później, następnie zburzyć wszystkie chaty, leżące po za oznaczonem kołem, zaś części ich, tudzież znajdujący się w sąsiedztwie ich materiały zużyć na zabezpieczenie swej kwatery przed nocnym napadem. Straż przednia wskaże oficerom jak i kiedy mają co czynić, ale powinni też z uwagą wskazówek tych umieć korzystać i nie czekać, aż dowiedzą się o każdej drobnostce. Oficer winien uważać się za ojca swej kompanii i postępować zawsze tak, jak to mądryemu przewodzący przystoi.

W obozach po wsiach porucznik Stairs ma baczyć na to, aby na punktach, łatwiej dostępnych stawiane były straże nocne, których dostarczać ma każda kompania, stosownie do potrzeby.

W pierwszym tygodniu nie będziemy robili długich marszów, aby ludzie zaprawiali się do nich zwolna; po przebyciu czwartej części drogi, marsze będą znacznie przedłużane; spodziewam się zaś, że po przebyciu połowy drogi będziemy wstanie czynić znaczne postępy.



Dalsze wskazówki będą wydawane w razie potrzeby.

Jambuja, 26 czerwca 1887.

*Henryk M. Stanley.*

Naczelnik wyprawy.

Rozdział ten zamykam kilku notatkami z mego dziennika, napisanymi w ostatni wieczór przed wymarszem:

Jambuja, 27 czerwca. Nasi ludzie zażądali dziś jednego dnia wypoczynku, ponieważ tenże odroczone do chwili przybycia parowca i obwarowania obozu dla ochrony załogi. Prócz tego było do załatwienia jeszcze kilkanaście innych rzeczy. Ponieważ sporo ludzi zachorowało po wyjeździe z Bolobo, należy słabych wyłączyć; ponieważ zaś cztery kompanie, wybrane do marszu, musiały być zupełnie zdrowe, trzeba je było zreorganizować.

Obliczyliśmy narzędzia naszych pionierów. Ze 100 wielkich nożów pozostało tylko 26, ze 100 toporów 22, ze 100 oskardów 61, ze stu motyk 67; resztę skradziono, sprzedano krajowcom, lub porzucono. Strasznie to niemiły obowiązek uważać na tych ludzi.

Jutro rano, z 389 ludźmi, wyruszymy z pomocą Bożą w pochód, w krainy zupełnie nieznanne. Od jednego z krajowców dowiedziałem się o nazwiskach szczepów; o sile ich i właściwościach nie wiem nic.

Wczoraj zawarliśmy braterstwo krwi z jednym z naczelników w Jambuja. Ponieważ major jest komendantem tego obozu, poddał się dziełaie tej ceremonii, która tutaj jest szczególnie wstrętą. Na płynącą krew nasypano zwykłej soli, którą trzeba było zlizać. Naczelnik wykonał swą rolę, jakby mu to przyjemność sprawiało, ale major zadrgał, patrząc na cyniczne twarze swych przyjaciół.

— Aby zapewnić pokój.

— Naturalnie—odparł major—i dopełnić ofiary.

Ci mieszkańcy lasów nie zdołali wywołać u mnie

poszanowania dla siebie. Są tchórzliwi a przytem począstępnii; kłamią częściej, niż mieszkańcy krain otwartych. Nie wierzą ich zapewnieniom. Ale mam nadzieję, że zmieni się to po bliższem poznaniu. Naczelnik otrzymał bogate dary od majora, który wzamian za to otrzymał 14 dniowe kurczę i kapelusz trzciniowy, wykładany piórami. Tyle razy obiecywanych kóz i dziesięć kur jeszcze nie przyniesiono, chociaż krew jednego z żołnierzy Sudańskich została przelaną, a my nie zemściliśmy się za to. Albo brak nam odwagi, albo strata jednego człowieka jest nam obojętną, skoro silny żołnierz, wart tyle, co dziesięciu krajowców, nie został pomszczony. Co więcej, prosimy nawet krajowców, aby przychodzili do nas często, ponieważ posiadają ryby, owce, drób, jaja i inne rzeczy, które my chętnie kupujemy. Potrwa to może jeszcze kilka tygodni.

Dziś wieczorem pada deszcz; jutrzejszy marsz będzie niewygodny. Stairs jest tak chorym, że nie może ruszać się, a jednak pragnie koniecznie iść z nami. Rzecz to bardzo niebezpieczna nieść człowieka w takim stanie, ale jeżeli śmierć ma przyjść, przyjdzie w lesie tak samo, jak w obozie. Dr. Parke zaniepokoił mnie bardzo oświadczeniem, że jest to zapalenie trzewiów. Poniesiemy go na łamaku.

Oddział pierwszy tworzyć będą:

|                |     |          |    |            |
|----------------|-----|----------|----|------------|
| 1 a kompania   | 113 | mężczyzn | 99 | karabinów. |
| 2-a            | 90  | "        | 85 | "          |
| 3-a            | 90  | "        | 87 | "          |
| 4-a            | 90  | "        | 86 | "          |
| Oficerowie: ja | 1   | "        | —  |            |
| Stairs         | 1   | "        | —  |            |
| Nelson         | 1   | "        | —  |            |
| Jephson        | 1   | "        | —  |            |

|                    |            |              |                |
|--------------------|------------|--------------|----------------|
| Parke              | 1 mężczyzn | —            | karabinów.     |
| Służący europejski | 1          | "            | —              |
|                    |            | <hr/>        |                |
|                    |            | 389 mężczyzn | 357 karabinów. |

Załogę w Jambuja tworzą:

|                    |             |              |               |
|--------------------|-------------|--------------|---------------|
| Sudańczycy         | 44 mężczyzn | 44           | karabinów.    |
| Zanzibarczycy      | 71          | "            | 38 "          |
| Służący Barttelota | 3           | "            | —             |
| " Jamesona         | 2           | "            | —             |
| Somalowie          | 5           | "            | —             |
| Chorzy             | 2           | "            | —             |
| Barttelot          | 1           | "            | 3 "           |
| Jameson            | 1           | "            | 2 "           |
|                    |             | <hr/>        |               |
|                    |             | 129 mężczyzn | 87 karabinów. |

Oddział w Bolobo, mający przyłączyć się do załogi  
w Jambuja:

|                 |              |              |               |
|-----------------|--------------|--------------|---------------|
| Zanzibarczycy   | 128 mężczyzn | 52           | karabinów.    |
| John Rose Troup | 1            | "            | —             |
| Herbert Ward    | 1            | "            | —             |
| William Bonny   | 1            | "            | —             |
|                 |              | <hr/>        |               |
|                 |              | 131 mężczyzn | 52 karabinów. |

|                          |              |              |                |
|--------------------------|--------------|--------------|----------------|
| Oddział pierwszy         | 389 mężczyzn | 357          | karabinów.     |
| Załoga w Jambuja         | 129          | "            | 87 "           |
| W Bolobo, Kinszassa itd. | 131          | "            | 52 "           |
|                          |              | <hr/>        |                |
|                          |              | 649 mężczyzn | 496 karabinów. |

Straciliśmy zatem w drodze z Zanzibaru do Jambu-  
ja 57 ludzi i 28 karabinów.

## ROZDZIAŁ VII.

### Do wodospadów Panga.

Droga afrykańska jest to ponajwiększej części ścieżka nadzwyczaj gładka, a jak asfalt twarda. Ponieważ krajowcy chodzą „gęsiego“, ścieżka ta ma tylko 30 cm. szerokości. Jeżeli jest starą, przypomina kręty rowek, głębszy w środku, ponieważ przepływa przez niego woda deszczowa i wypłukuje. Droga prosta byłaby o trzecią część krótsza, niż droga murzynów. Spodziewaliśmy się znaleźć takie ścieżki, kiedy wychodziliśmy z bramy obwarowanego obozu w Jambuja, ponieważ w czasie poprzednich wypraw do wnętrza Afryki udawało się nam zawsze przechodzić ścieżkami takimi setki mil. Jambuja składała się z szeregu wiosek. Mieszkańcy ich musieli posiadać sąsiadów od wschodu, południa i zachodu. Dlaczegożby nie mieli ich posiadać?

Wyruszyliśmy z bramy, jedna kompania po drugiej, w marszu „gęsim“. Każda kompania miała swój sztandar, swego trębacza i dobosza, jakoteż oznaczoną liczbę nad-

liczbowych, podczas gdy 50 ludzi wyborowych tworzyło straż przednią, aby wycinać młode drzewka, odrywać z pni pas kory na szerokość ręki, przecinać liście drzew, obcinać gałęzie, utrudniające pochod tragarzy, aby ścinać drzewa do przejścia rzek, a po ukończeniu pochodu dziennego, z krzaków i gałęzi wznosić obwarowania obozu.

Straż przednia musi wyszukać ścieżkę, a jeżeli jej niema, wybrać najwęższe miejsce gąszczu leśnego i przedrzeć się przez nie, ponieważ stanie na miejscu z ciężarem na głowie, wśród upału, strasznie nuży. Straż przednia musi przemocą przedrzeć się przez las i drogę torować, gdyż w przeciwnym razie idący poza nią tragarze szemrają. Przy takiej robocie leśnej należy być bardzo zręcznym i rozumnym; nowiejusz „Goi-goi“, nieraz już wołał nóż oddać i dźwigać pakę na głowie. Trzystu zmęczonych ludzi nie pozwala żartować ze sobą.

Straż przednia musi być także bitną i umieć atak szybko odeprzeć, ponieważ strzały bywają zatrute, a pchnięcia dzidą zabójcze; musi mieć wzrok dobry, aby widzieć w ciemności i w cieniu, musi posiadać dar spostrzegawczy i być każdej chwili do działania gotową. Ludzi, czas marnujących, użyć tu nie można; muszą być młodzi, zwinni—ponieważ trzy setki, poza mną idące, nie mają uszanowania dla ludzi starych i tłustych—gdyż w przeciwnym razie będą wyszydzeni i przeklinani. Tuziny głosów wołałyby: „O czem oni myślą? O żołądku? Wasze głowy za grube dla badaczy. Aha, on zapewne umie tylko ziemię kopać! A ten uprawiacz ziemi co tu chce? Patrzcie, to niewolnik! Nie, to konsul, na wolność wypuszczony. Głupstwo, to chłopak misyjny.

Ich ostre języki przebijają pancierz głupoty, jak miecze, dlatego też straż przednia włada dobrze nożami; topory błyszczą, drzewka padają, gąszcz leśna otwiera się,

a tuż po piętach straży przedniej posuwa się karawana, na milę dłużej.

Takim będzie porządek i sposób w marszu.

Ja stanąłem i przypatrywałem się przechodzącym ludziom, póki ostatni z nich nie wyszedł z obozu. Następnie wyszli major, Jameson i załoga, aby pożegnać się z nami.

— A teraz, kochany majorze, do dzieła. Wszystko, albo nic! Nie zapominaj pan o swoim przyrzeczeniu, a za kilka miesięcy będziemy znów razem.

— Przysięgam to na Boga, będę szedł tuż za panem. Niechaj tylko przyjdą ci z Bolobo, a nie będę się zatrzymywał.

— Dobrze. Niechaj pana Bóg błogosławi. Bądź pan odważnym. Tego także życzę i tobie, stary przyjacielu, panie Jamesonie!

Kapitan Nelson przysłuchiwał się temu, następnie zbliżył się do nas, aby każdemu podać rękę na pożegnanie; poczem ja pośpieszyłem na front, zaś Nelson na przód straży tylnej.

Oddział zatrzymał się na końcu wsi, a właściwie drogi, którą Nelson zaczął w ostatnim czasie budować.

— Którędy droga, przewodniku? — spytałem tego, który wyglądał na najdumniejszego człowieka z całego oddziału, ponieważ jest to zaszczytem tworzyć czoło pochodu. Był on ubrany w kostyum grecki i takiż hełm á la Achilles.

— Ta, która prowadzi na zachód słońca.—odparł.

— Ile godzin drogi do najbliższej wioski?

— To wie tylko Bóg.

— Nie znasz żadnej wsi, ani kraju w tym kierunku?

— Ani jednej; skądżeby?

Oto wszystko, co wiedział najrozsądniejszy z pośród nas.

— A więc naprzód, w imię Boże! Oby Bóg był zawsze z nami! Trzymaj się tej ścieżki wzdłuż rzeki, dopóki nie znajdziemy drogi.

— Bismillah! zabrzmiało echo pionierów, trąby nubijczyków zagrzmiały sygnał: naprzód!, a wkrótce potem czoło oddziału znikło w gąszczu na skraju horyzontu w Jambuja.

Działo się to dnia 28 czerwca i aż do dnia 5 grudnia t. j. przez 160 dni, szliśmy przez lasy, krzaki i gąszcze, nie spotkawszy nigdzie łąki, choćby tak wielkiej, jak pokój.

Opisowi pochodu przez ten las i wypadków, jakie zdarzyły się wśród niego, poświęcę jeden z następnych rozdziałów, ponieważ od czasu potopu okolica ta, zupełnie niezurna, poraz pierwszy dopiero została zwiedzona przez ludzi cywilizowanych.

W temperaturze 24° R. w cieniu szliśmy ścieżką, mało uczęszczaną i wijącą się wśród ciemnego gąszczu. Posuwaliśmy się zwolna naprzód, ponieważ pochód nasz był co chwila powstrzymywany przez krzaki. Pięćdziesięciu ludzi pracowało ustawicznie przy pomocy noży i toporów, przecinając bez litości wijące się krzewy, by w ten sposób umożliwić dalszy pochód.

Okolo południa przybyliśmy nad kolano Aruwimi, widzialne z Jambuja; a w odległości 6 km. ujrzelśmy dalszy próg, którego szumiące wody zdala błyszczały w słońcu. Poniżej górnych progów zgromadzoną była flotylla łodzi „kanoe“, wśród których panował wielki ruch i wrzało życie, naturalnie z powodu przestrogi, nadesłanej z Jambuja. O godzinie 4-ej po południu przekonaliśmy się, że cykl, jaki widzieliśmy naprzeciw progów, składał się z wysp. Znajdowało się na nich mnóstwo kobiet i dzieci ze szczepu Jankonde, którego nie widzieliśmy dotąd.

Na rzece podjechało do nas około 100 kanoe, zaję-

tych przez wojowników miejscowych, którzy śledzili dokładnie każdy ruch naszego oddziału i wydawali przytem szydercze okrzyki.

Czoło oddziału wkroczyło wkrótce na wolną drogę, mającą około 6 m. szerokości i 280 m. długości, u której końca stało około 300 krajowców z miasta Jankonde, z naciągniętymi łukami, krzycząc i gestykulując.

W czasie żadnej podróży po Afryce nie spotkałem nic podobnego. Pionierzy zatrzymali się, zaczęli namyślać się i pytać: Co to znaczy? Wycięli dla nas szeroką drogę, a jednak stoją gotowi do walki! To zasadzka, baczność, chłopcy!

Po obu stronach drogi była ucieczka do lasu udaremnioną za pomocą gałęzi. Ale naszych 50 par dobrych oczu przekonało się wkrótce, że na drodze powbijane były suche gałązki palmy, na 15 cm. długie i u góry kończące i ostre. Kołeczki te były zręcznie przykryte zielonemi liśćmi.

Kazałem więc dwunastu ludziom z jednej i drugiej strony kołeczki owe wyjmować. Drugich dwunastu osłaniało robotników swoją bronią i na pierwszy grad strzał mieli dać ognia. Po obu stronach drogi wysłano gońców, którzy musieli utorować drogę do wsi przez las.

Zaledwie posunęliśmy się naprzód o 20 m., gdy naraż wyleciała chmura strzał, które jednakże nie sięgały daleko. Odpowiedzieliśmy salwą i wyjmując kołeczki coraz prędzej, posuwaliśmy się szybko naprzód, póki nie dotarliśmy do wioski w tej samej chwili, w której nasi gońcy wypadli z lasu. Ponieważ obecnie już wszyscy pionierzy szli naprzód, ogień był dość gęsty. Pod jego osłoną karawana posuwała się szybko naprzód przez płonące miasto do wioski, na wschód położonej i jeszcze nie podpalonej.

Strzelanie wywarło jeszcze większy wpływ wzdłuż rzeki. Już sam huk przerażał nieprzyjaciela, który nie



przywykł do niego, ale też i wyrządził wiele szkody. Obawiam się, że krajowcy nierozważną zaczepkę przypłacili wielu trupami. Wina spada tu bezwątpienia na mieszkańców z Jambuja, którzy bajkami swemi skłonili mieszkańców do zaczepienia oddziału, posiadającego 400 karabinów.

Była już godzina 9 wieczorem, kiedy straż tylna przybyła do obozu. Przez całą noc dżicy trzymali się swej zwykłej taktyki: krzyczeli, rzucali do obozu toporki i zatrute strzały, wydając naraz okrzyki, wyjąc i dmąc w rogi, jakby mieli ochotę wznowić napad. Obcy, nie znający chytrłości tych dyabłów leśnych, sądziliby, że świt śmierci im w takich okolicznościach przyniesie. Ja poznałem już tę taktykę. Obóz otoczyliśmy strażami, które otrzymały rozkaz zachowywać milczenie i dobrze patrzeć.

Rano doniesiono mi, że jeden z naszych ludzi cudem ocalał życie. Kiedy obudził się, spostrzegł obok siebie dzidę, która przebiła jego kołdrę. Dwu ludzi otrzymało lekkie rany od strzał.

Nazajutrz rano przez 10 minut szukaliśmy ścieżki. Znaleźliśmy ją nakoniec. Prowadziła przez pola manioku, na milę rozległe. Uszedłszy 6 km. na południowy wschód od Jankonde, zatrzymaliśmy się we wsi Bahunga, ponieważ chcieliśmy przyzwyczajać ludzi zwolna do marszu.

W dniu 30 czerwca napotkaliśmy na ścieżkę, łączącą szereg 14 wsi oddzielnych, położonych w linii prostej wśród bujnych pól manioku, czyli *cassawy*. Ślady pozostałe zdradzały, że przed kilkunastu miesiącami zdarzyło się tu wielkie nieszczęście. Wsie, przez które przechodziliśmy, były po największej części nowo zbudowane i składały się z chat w formie wydłużonego stożka, albo właściwie piramidy czworokątnej; spalone słupy i szczątki starych wsi oznaczały miejsca dawnych mieszkań

Poznaczone tu i owdzie drzewa zdradzały, że okolicę tę zwiedzili Arabowie, lub Manjewa, a może nawet brat Tippu-Tiba.

Nazajutrz szliśmy przez szereg podobnych 12 wsi, połączonych ze sobą dobrą ścieżką. Wzdłuż ścieżki widzieliśmy doły do łowów na grubego zwierza, jakoteż pułapki na mniejszego, jak na króliki, wiewiórki, szczury małe małpy. W pobliżu wsi spotykaliśmy liczne kołki, w ziemię wbite, lecz dotąd nikt z nas nie zranił się niemi.

W dniu tym doświadczyliśmy nowej niewygody pochodu w lesie. Co 50 metrów leżało na drodze niezwykle grube drzewo: osły trzeba było przeprowadzać przez nie nader ostrożnie. Przechodzenie przez te drzewa następczo wiele trudności. Główne drogi do każdej wsi były gęsto zasiane zatrutemi koleczkami, które każdy bosy człowiek musiał mijać z wielką ostrożnością. Zresztą nawet i europejczycy, posiadający obuwie, musieli być pod tym względem bardzo ostrożni, ponieważ ostre koleczki przebijały nawszkroś nawet najgrubszą skórę, a najmniejsza ranka, przez koleczek zadana, wywoływała ból nader dotkliwy.

O godzinie 3-j po południu zatrzymaliśmy się w małym oddaleniu od jednej ze wsi. Przechodząc obok niej, zraniło się trzech ludzi naszych.

Tegoż rana obudziły nas na trzy godziny przed świtem dzikie wrzaski i odgłosy rogów. Kiedy wrzaski ucichły, usłyszeliśmy głosy dwu ludzi, których napróżno wśród ciemności dojrzeć usiłowałem.

Pierwszy mówił: He, obcy, a dokąd?

Drugi: Dokąd idziecie?

Pierwszy: Ten kraj nie powita was dobrze.

Drugi: Nie powita was dobrze.

Pierwszy: Wszyscy są tu przeciw wam.

Drugi: Są przeciw wam.

Pierwszy: będziecei pozabijnai.

Drugi: Pozabijani.

Pierwszy: a, a, a!.. a... a.

Drugi: a... a... a.

Pierwszy: u... u.., u... u.... u:

Drugi: u... u... u.

W obozie powstał w odpowiedzi na to śmiech.

Fakt, że miejsce to, w którym się znajdowaliśmy, nie było zwiedzane przez ludzi, lecz przez słonie, napenił mnie niepokojem, a ponieważ mieliśmy mało żywności, w dniu 2 lipca wysłałem o świcie 200 ludzi do wsi, aby przynieśli manioku. Ze sposobu, w jaki rozkaz wykonali, można było przypuszczać, że nie mieli rozumu, albo tylko mało i że z 389 ludzi, którzy znajdowali się w obozie, z wnętrza Afryki nie wróci nawet połowa. Teraz wrzeli życiem, karabiny ich były wyborne, uzbrojenie nowe, a każdy z nich miał 10 nabojów. Gdyby tylko trochę byli troskliwi o siebie samych i nieco tylko roztropni, nie byłoby przyczyny, dla której nie mieliby powrócić wszyscy i zdrowi. Ale oni byli tak weseli, tak głupi i nieroztropni, że rozkazów i rad nie słuchali, chyba, że byli pod ścisłym dozorem; aby ich jednak dobrze upilnować, potrzebowałbym stu oficerów angielskich, tak inteligentnych i tak dziarskich, jak ci czterej, których miałem. Tracili życie dla drobnostki, tam, gdzie nieszczęścia można było unikać przy jakim takim sprycie. Więc dopóki nie spotka ich straszne nieszczęście, nie zdołam przekonać ich, że zbrodnią jest narażać życie w głupi sposób.

Aby zbadać kierunek ścieżki, wysłałem pewną liczbę ludzi, którzy wrócili razem z tymi, co byli posłani po żywność, i przyprowadzili sześciu schwytych krajowców. Ci należeli do szczepu, zwanego Babali, mieli skórę jasno czekoladową. Schwymano ich przy zakładaniu pułapek na dzikie zwierzęta.

Kiedy probowaliśmy dowiedzieć się od nich bliższych szczegółów o tym kraju, odpowiadali nam: „Mamy tylko jedno serce; a wy nie macie dwu“, co miało znaczyć: „Nie mówcie do nas tak łaskawie, skoro chcecie źle z nami postąpić“. Jak wszyscy krajowcy, zapewniali, że nie są ludożercami, ale że są nimi szczepy: Babanda, Babali, i Babukwa, zamieszkujące wybrzeża rzeki Aruwimi powyżej Jankonde.



Rozdzieliwszy maniók i poleciwszy, aby przy gotowaniu go trzy razy zmieniano wodę, wyruszyliśmy dalej o godz. 1-ej po południu. Obóz rozbiliśmy o godz. 4-ej.

Nazajutrz zeszliśmy ze ścieżki i puściliśmy się dalej przez niezmiernie wysoki las, kierując się wedle kompasu. W kolumnie szedłem trzeci z rzędu, tak, że mogłem wskazywać kierunek. Aby posuwać się ustawicz-

nie, chociaż zwolna, poleciłem, aby każdy pionier odcinał jedną gałązkę, stojącą w drodze i szedł dalej, podczas gdy dwaj ludzie, idący na przodzie, mieli co 10 metrów wycinać widoczne znaki na drzewach. Ponieważ Barttelot miał wyruszyć za nami dopiero za dwa miesiące, zależało nam na tem, aby drzewa były znaczone za pomocą obdzierania pasa kory na szerokość dłoni.

Rzecz naturalna, że pochód w lesie był bardzo powolny i że często robiliśmy zaledwie 350 do 400 m. na godzinę, podczas gdy w miejscach, gdzie było mniej krzaków, robiliśmy 1, a nawet 1½ kilometra. W skutek tego mogliśmy od godz. 6½ do 11 rano, t. j. do śniadania, a następnie od 12½ do 3 lub 4-ej, t. j. w przeciągu 6 do 7 godzin dziennie, robić tylko około 8 kilom. Na zwykłych drogach afrykańskich moglibyśmy w tym czasie ująć 22 do 29 km. W skutek tego musieliśmy trzymać się osad, nietylko dla żywności, ale także w nadziei skorzystania ze ścieżek krajowców. Zobaczymy później, co nas przytem spotkało.

W dniu tym szliśmy jeszcze o godz. 4-ej wśród moczarów i błota, które wydawało wstrętny odór; kiedy naraż zapanowała taka ciemność, że nie mogłem widzieć kompasu, a szum i jęk potężnych drzew zapowiadał zbliżającą się burzę. Ponieważ teren, na jakim znajdowaliśmy się, był bardzo niedogodny, musieliśmy iść prędko naprzód. Rozpoczęliśmy rozbijanie namiotów, kiedy upadły pierwsze krople deszczu. Pionierzy ścinałi drzewo, aby uczynić miejsce na obóz.

Deszcz był zimny i wielki. Ponad nami szalała burza, a pioruny rozdzierały powietrze co chwila w ciemności, wśród której karawana zgłodniała schodziła się zwolna do obozu do godz. 9-ej. Deszcz był tak gwałtowny, że nie można było wzniecić ogniska. Do godz. 3-ej rano siedzieliśmy, drżąc od zimna. Dopiero przed świtem rozpalono ogień, poczem ludzie schodzili się do tuzinów ognisk, aby ogrzać się, prażyć korzenie manioku i głód zaspokoić.

W dniu 4 lipca poszliśmy w kierunku północno-wschodnim, w godzinę później usłyszeliśmy w oddali chór krajowców. Wysłaliśmy kilku ludzi dla zbadania, co to ma znaczyć. W krótkce potem usłyszeliśmy strzały. Odbyłem przegląd najbliższej kompanii, kazałem towary zło-

żyć na ziemi i posłałem ludzi na pomoc. Wkrótce potem nadbiegł jeden z nich z oznajmieniem, że ludzie nasi dotarli do rzeki, po której krajowcy płynęli w łodziach i strzelali z łuków do naszych. Ci odpowiedzieli kulami. Poszliśmy więc dalej i o godz. 8-ej rano byliśmy znów nad rzeką. Kilka łodzi krajowców znikło w tej chwili na zagięciu rzeki z drugiej strony. W zapomnianej łódce, uwiązanej u brzegu, znajdowała się koza.

Ponieważ zauważyłem, że rzeka jest spokojną i wolną, a chciałem oszczędzić ludziom pracy, poleciłem przynieść nad brzeg rzeki łódź stalową, nad którą czuwał oddział p. Jephsona. Po upływie godziny 44 części składowanych łodzi spojono, a samą łódź spuszczo na wodę. Ponieważ łódź niosło 44 ludzi, nadto ona sama mogła pomieścić 50 tobołów i 10 chorych, przeto mogliśmy 89 ludzi uwolnić od dźwigania ciężarów, tudzież od niesienia poręcznika Stairsa, który wciąż jeszcze był chorym. P. Jephsona i kilku ludzi posłałem dla zabrania kozy.

Ponieważ „Advence“ płynął po rzece, przeto wyprawa musiała iść wzdłuż wybrzeża dla ochrony łodzi. Z powodu braku żywności i znużenia maszerowaliśmy od rana tylko do godz. 3-ej po południu.

W d. 5 lipca przebyliśmy 10½ km. Rzeka miała wciąż 450—730 m. szerokości. Marsz był wygodniejszym, chociaż często musieliśmy ciąć tunel wśród gąszczu. O godz. 2½ przybyliśmy do wsi Bukanda. Ścieżki nie znaleźliśmy, owszem z gąszczu wydostaliśmy się na łąkę, wśród której leżała wieś. Ten fakt naprowadził mnie na myśl, że mieszkańcy tutejsi utrzymywali komunikację pomiędzy sobą tylko po rzece.

Odkrycie wioski ucieszyło nas bardzo, bowiem od 2-go lipca karawana żyła tylko ziarnami manioku, zebranymi w owym dniu. Jeszcze jeden dzień takiego marszu, a cierpielibyśmy głód.

Łódź nadpłynęła dopiero wieczorem, ponieważ miała do walczenia z gwałtownym prądem rzeki, a nadto miała przygodę z flotyllą 11 łodzi krajowców. Dowódca naszego statku zgromadził owe łodzie, zupełnie próżne, przy jakiejś wysepce. Były to łodzie dość duże, mogły więc przydać się nam. Z tego powodu wysłałem nasz oddział na statku po owe łodzie, które mogły ułatwić nam dalszy pochód.

Rzecz naturalna, że Bukanda była przed naszym przybyciem zupełnie wyludnioną. Mogliśmy zatem rozporządzać chatami i polami manioku. Czegoś podobnego nie doświadczyłem jeszcze w Afryce. Dawniej uciekały tylko kobiety, zaś mężczyźni pozostawali, aby oszczędzić swą własność. Tu uciekły nawet kury. Studya etnologiczne były więc tutaj niemożliwe.

W południe d. 6 lipca opuściliśmy Bukandę, zaopatrzeni w żywność. W dwie godziny później rozbiliśmy obóz w miejscu niezamieszkałym. Ranek spędziliśmy na czyszczeniu i naprawie karabinów, ponieważ u wielu z nich sprężyny były połamane.

Dotąd zauważyliśmy kilka faktów, a mianowicie: że poranki były wilgotne i pochmurne, że marzliśmy i w skutek tego czuliśmy się osłabionymi; że potrzeba nam było w skutek tego odwagi moralnej, aby opuszczać obóz i pokonywać zimno i wilgoć i brodzić nieraz aż po pas w moczarach, lub w wodzie przy przechodzeniu strumyków; że usposobienie nasze w skutek dni ponurych było niedobre; że niechęć potęgowała się w skutek widoku ciemnych chmur i jednostajnie szarej rzeki. Temperatura wynosiła jednakże zawsze rano około 17 do 18° R.; nam zdawało się, że o 10° mniej.

Kupy śmieci w tych wsiach były wielkie i znajdowały się nad brzegiem rzeki; składały się zaś z mieszaniny kurzu, gnoju z ulic i z chat, z odpadków manioku,

fig rajskich, jakoteż znacznej ilości skorup ostryg. Już z tych samych śmieci mógłbym napisać zajmującą rozprawę o moralności, obyczajach i zwyczajach krajowców, gdybym nie miał innego tematu. Jak Owen na podstawie kilkunastu kości mógł opisać kształt przedpotopowego mamuta, tak i ja z owych śmieci mógłbym stworzyć historię tego szczepu.

W dniu 7-ym lipca po siedmiogodzinnym powolnym marszu i wśród ustawicznej pracy, przy pomocy nożów, przyszedliśmy do wsi szczepu Bakuti. Tego dnia płynąłem na statku; odkryłem liczne ślady dawnych mieszkańców, mimo to, że las, porosły na miejscu dawnych wsi, był gęsty. Wypędziły ich stąd przed laty 20 wojny, albo epidemie, a fakt, że dotąd na całej rzece Aruwimi spotkałszy jednego krokodyla, dowodził, że zwierzęta te nie miały tu żywności.

Kiedy widziałem, jak statek płynął powoli, a ci, co szli lądem, ustawicznie toporami drogę torować sobie musieli, żalowałem bardzo, że nie przeprowadziłem pierwotnego projektu i nie zabrałem 15 łodzi, jakich używają do połowu wielorybów. Oszczędziłoby to nam wiele pracy i kłopotów.

W dniu 9-ym lipca, po dalszym siedmiogodzinnym marszu przybyliśmy do wsi plemienia Dakoka. Nasi ludzie zaczęli już być znużonymi. Wielu z nich powłaziło drzazgi w nogi, inni żalili się na jakiś dziwny ból. Stairs zdrowie z wolna odzyskiwał.

Przeszliśmy przez tyle opuszczonych osad, że wyprawa mogła przez kilka tygodni żywić się maniokiem, nie posiadającym właściciela. Wsie Dakoków były otoczone palisadami; bramy były bardzo niskie.

W d. 10-ym lipca przybyliśmy do Gwengwere. Tu było siedm wsi, które ciągnęły się aż do samego brzegu rzeki. Ludność ich uciekła, zapewne na brzeg przeciwległy, albo



ukryła się na wysepkach; zabrała ze sobą wszystko, tak, że pozostawiono tylko czerepy naczyń glinianych, ławki i t. d. Płoty były w dobrym stanie, chaty nieuszkodzone. W jednej wsi naliczyliśmy 210 okrągłych chat i cztery czworoboczne szopy, w których odbywały się zapewne zgromadzenia.

Porucznik Stairs szybko wyzdrowiał; inni towarzysze moi byli zupełnie zdrowi, jakkolwiek żywność nasza składała się tylko z jarzyn, liści manioku, przyrządzanych jako pasztety. W tymże dniu doktor zgotował nam potrawę z ubitych przez siebie ptaków, których tysiące siedziały na konarach drzew.

W d. 11-ym lipca szliśmy 1½ kilom. pieszo; ponieważ prąd wody na rzece był bardzo silny, więc ludzie nasi musieli 16 łodzi, zabranych krajowcom, przenieść.

W następnym dniu posunęliśmy się o 1 kilom. naprzód; rzeka skręcała na wschód, dokąd i my zdążaliśmy. Kiedy Gwengwere straciliśmy z oczu, widzieliśmy, jak krajowcy powracali do swych wiosek, które opuścili byli dla naszej wygody. Uwalniało to nas od parlamentowania z nimi, bardzo nudnego, tudzież od walk. Zresztą niewygodę znosili tylko przez jedną noc. Gdyby każda karawana szła tak spokojnie, jak nasza, wrodzona krajowcom ciekawość spowodowałaby ich może z czasem do zbliżenia się i poznania obcego.

Nasi ludzie znajdowali w polach i około wsi żywności pod dostatkiem. Pola uprawne były tu obszerne, około wsi rosły figi rajskie, jarzyny, tytoń i kukurydza. Dawał się nam jednak uczuwać brak mięsa.

Ptaków nadrzecznych było tu mało.

W dniu 12-ym lipca szliśmy dalej. Wyruszyliśmy o godz. 6½ rano; ci, co szli łodem, wyprzedzili statek i łodzie. My na rzece posuwaliśmy się tylko po 2½ km. na godzinę naprzód, mimo to wkrótce przegoniliśmy piechu-

rów. O godz. 10-ej rano spotkaliśmy 15 letniego krajowca, Bakula, płynącego na łódce w dół rzeki; skoczył z ręcznie na pokład naszego statku i wiosłował. W godzinę później przepłynęliśmy wielkie kolano rzeki, gdzie znajdowały się wielkie wsie.

Chłopiec, który tak chętnie pozostał pomiędzy nami, powiedział, że jedna wieś zowie się Bandangi, druga Ndumba; w innych wsiach mieszkał szczep Banalia. Wszystkie wsie były opuszczone.

Zatrzymaliśmy się przy Bandangi na śniadanie, zaś o godz. 2-ej pojechaliśmy dalej.

W godzinę później przybyliśmy do wioski, leżącej na wzgórkach i tu rozbiliśmy obóz. Na łodziach płynęło w tym dniu 40 ludzi, wszyscy jednakże zgubili się w wielkiej, cichej wiosce. Naliczyłem tu 13 wsi, w jednej z nich było 180 chat. Przypuściwszy, że wzdłuż kolana rzeki znajduje się 1300 chat, a każda z nich posiada czterech mieszkańców, ludność tej okolicy liczyłaby 5,200 osób.

O godz. 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> zjawiała się przednia straż oddziału lądowego. Wkrótce potem nawiedziła nas burza straszna, z grzmotami i piorunami, które oczyściły nieco powietrze, przepelnione wyziewami.

Tak liczna ludność miała naturalnie obszerne pola manioku, plantacje bananów, fig i trzciny cukrowej, ogrody i kukurydzę; a ponieważ deszcz przemoczył ziemię, kazałem wyprawie stanąć.

O godz. 9-ej przybyła straż tylna, usłyszałem bowiem głos Nelsona, który wołał: „jeść, kawę!“ Kolacja składała się z bułki maniokowej, pieczonej figi, jarzyny i herbaty, albo kawy. Mięsa koziego, ani ptaków, nie mogliśmy dostać. Dotąd widzieliśmy tylko dwa krokodyli i jednego konia rzeczno, zaś ani słonia, ani bawołów, antylopy, ani dzików, chociaż spotykaliśmy ich ślady. Jakżeż było to możebne wobec hałasu naszych pionierów

i odgłosu ich toporów? Zresztą mogły ukryć się w gęstwinie.

Z odpoczynku skorzystałem, aby zbadać na łodzi okolice Bandangi. Na jednej z wysp natrafiliśmy na kupy ostryg, z których jedna miała 18 m. długości, 3 m. szerokości, a 1,2 m. wysokości. Można sobie wyobrazić, jakie uczyty wyprawiali sobie krajowcy.

Od Bakuli dowiedziałem się, że na północ mieszkają Baburu, różniący się wielce od mieszkańców nadrzecznych; że w odległości miesiąca drogi, w górze rzeki, mieszkają karłowie, mający długie brody, a tylko 60 cm. wysokości; że był raz w Panga, gdzie rzeka spada z takiej wysokości, jak drzewo; że mieszkańcy z lewego brzegu nazywają ją Aruwimi Lui, zaś Baburu z prawego brzegu dają jej nazwę Luhali. Bakula był bardzo dzikim chłopcem, prawdziwym ludożercą, który uradowałby się na widok mięsa ludzkiego. Był skończonym aktorem, a z wrodzoną chytryością umiał szybko odgadnąć to, co obcemu mogło podobać się. Gdyby wszyscy krajowcy trzymali się jego polityki, podróż nasza przez kraje nieznanne byłaby bardzo przyjemną. Nie wątpię, że wszyscy krajowcy byli mistrzami w udawaniu, jakie podziwialiśmy u Bakuli, ale nie mieli odwagi zbliżyć się do nas.

Z miasta naczelnika Banalia Bambiego udaliśmy się d. 15-go wodą i łądem do wsi szczepu Bungangeta. Był to poranek mglisty, a niebo zasłane chmurami ciężkimi.

Co za obszary urodzajnej ziemi, przez człowieka niespożytkowane! Wybrzeża tak licznie zamieszkane, a jednak pracy rąk ludzkich tak tu mało; trochę pola manioku, wąska linia małych chat—oto wszystko.

W łodzi zajmowałem się szkicowaniem nieznanego biegu rzeki, skoro bowiem mieszkańcy na widok nasz kryli się w norach, jak szczury, innych informacji zebrać było niepodobna.

Jak daleko mogę odbiegać od kierunku mego celu? Na rzece mogli chorzy odpoczywać; można było przewozić osłabionych i towary, zapasy fig i manioku. Ale czy przypadkiem zakręt rzeki nie oddalał nas o 75 do 100 km. od kierunku naszej drogi i czy korzyści, jakie odnosiliśmy, płynąc rzeką, wynagradzały nam to oddalanie się? Kiedy pomyślałem o liczbie chorych i spojrzałem na ludzi osłabionych, czułem, że jeżeli rzeka poprowadzi nas do 2<sup>o</sup> północnej szerokości, lepiej korzystać z niej, niż zapuszczać się w głąb lasu.

Temperatura powietrza wynosiła 19<sup>o</sup>, wody 20<sup>o</sup> R. Co za rozkosz oddychać w nocy powietrzem nad rzeką, podczas gdy las przepelniony jest powietrzem dusznym, nieczystym!

W dniu 16-ym lipca mieliśmy nasz statek i 5 łodzi, które mogły przewieźć 74 ludzi i 120 tobołów, tak, że połowa naszych ludzi nie potrzebowała dźwigać ciężarów. Minęliśmy ujście znacznej rzeki pobocznej i w odległości 1½ km. od niego rozbiliśmy obóz.

Po południu temperatura podniosła się do 28<sup>o</sup> R.; w skutek czego po grzmotach i piorunach spadł deszcz. Do 1-ej godz. po południu d. 17 lipca padał deszcz bezustanku. Po deszczu ludzie nasi musieli suszyć swe ubrania i kołdry. Krajowcy chętnie zapewne byliby zamienili swe kozy i kury za nasze towary, gdyby wiedzieli, jakie bogactwa posiadamy.

O god. 3-ej po południu oddział nasz stanął obozem nawprost osady Mariri. Krajowcy bębniłi i krzyczeli tak głośno, że słychać ich było w odległości 1½ kilom.

Somalowie, oddający tak wyborne usługi w kraju Massai, lub w okolicach suchych, jak w Sudanie, są w krajach wilgotnych zupełnie nieprzydatni. Pięciu z nich nie chciało zostać w Jambuja i prosili, abym ich zabrał ze sobą. W łodzi kazałem im wiosłować, albo popychać łódź

żerdziami, ale męczyli się prędko. Po dwugodzinnej podróży byli zupełnie znużeni, tak że nie byli w stanie rozbić sobie namiotu. Ponieważ kradli bardzo chętnie, Zanzibarczycy nie pozwalali im zbliżać się do ich chat, w skutek tego musieliśmy wydzielać im codziennie żywność, bowiem woleliby zginąć z głodu, niż sięgnąć ręką ponad głowę i urwać figę z drzewa.

Z dolnego Mariri w d. 18-m udaliśmy się do Mariri górnego, odległego o 16 km. Łodzie przebyły tę przestrzeń w 4½ godzin, zaś kolumna piesza nie przybyła tam wcale tego dnia.

W d. 19 ym lipca użyłem ludzi z łodzi do wycięcia drogi w lesie. Pracy tej dokonano w przeciągu 2½ godzin. Statek i łodzie przeciągnęliśmy przez miejsca niebezpieczne na rzece, tak że popołudniu odpoczywaliśmy spokojnie we wsi, odległej o 2½ km. od obozu. W dniu 20 ym straż przednia zajęła wieś.

W 2 godziny po naszym przybyciu przybyło kilku krajowców na łodziach i odezwali się do nas. W naszym imieniu odpowiedział im Bakula. Wkrótce potem kupiliśmy parę kur. Po południu dostaliśmy jeszcze trzy kury. Był to pierwszy handel zamienny, jaki udał się nam nad rzeką Aruwimi. Mariri jest wielką osadą, bogatą w figi, których w naszej wiosce nie było. W tym dniu straciliśmy dwu ludzi: Charlie I i Musa ben Djuma. W poprzednich 23 dniach nie straciliśmy ani jednego.

Dotąd nie zdarzył się nam żaden wypadek, lecz poczawszy od tego dnia opuściło nas szczęście, które tak długo nam sprzyjało. Przypuszczałem, że owych ludzi schwytały krajowcy, nieostrożność ich obrałem więc za temat mowy do ludzi, którą przygotowałem na następny poranek.

Dopiero w 13 miesięcy później dowiedzieliśmy się, że oni zbiegli i że udało się im dotrzeć do Jambuja,

gdzie oficerom opowiedzieli najdziwaczniejsze historie o wojnach i nieszczęśliwych wypadkach. Oficerowie w Jambuja powtórzyli te brednie komitetowi. Gdybym był wiedział, że dwóch ludzi przebędzie drogę do Jambuja, byłby skorzystał z tej sposobności, by majorowi Bartelotowi przesłać autentyczne doniesienia i mapę naszego marszu. Od górnego Mariri poszliśmy do południowego Zupe, wielkiej osady. Naczelnicy tej osady zowią się: Mbadu, Alimba i Mangrudi.

W dniu 22 lipca dr Parke był oficerem dyżurnym. Zabłąkał się jednak w lesie i nie mógł trafić do rzeki. Dopiero kobieta jakaś z dzieckiem wskazała mu drogę. Za jej pośrednictwem nabyliśmy u krajowców tuzin kur i dwa jaja.

Jako znak pokoju u tych mieszkańców służy polanie wody na głowy. Kiedy nowi przybysze zbliżali się do obozu, wołano:

— Cierpimy głód i nie mamy żywności, ale dalej, w górze rzeki, znajdziecie jej podostatkiem, o monomo pote (synu morza).

— Ale my nie mamy żywności, ani siły, aby iść dalej, jeżeli nam jej nie dacie, — odpowiadamy; poczem oni rzucają nam kukurydzę, figi i trzcinę cukrową.

Była to przygrywka do dalszego handlu, przyczem ci niewinni na pozór krajowcy okazali się tak samo chytremi i bezwstydnymi, jak Wijanzowie nad Kongo.

Mieszkańcy Mupy nazywają się Babe.

Za drobiazgi, jak za próżne puszki od sardynek lub konserw, za skrzyneczki od nabojów, dawano nam chętnie trzcinę cukrową, kukurydzę i tytoń. Bawełnianą chusteczkę do nosa dawaliśmy za kurę. Kozy pokazano nam tak że, ale sprzedać ich nie chciano; są one monopolem naczelników. Krajowcy nie pragnęli innych rzeczy, jak tylko sukna i czerwonych chusteczek. Na dnie jednej ło-

dzi znaleźliśmy szpadę oficera piechoty, długą na 23 cm. Bylibyśmy chętnie wysłuchali historyi tej szpady i listy jej właścicieli od czasu wypuszczenia z fabryki w Birmingham, ale nie mogliśmy wdawać się z krajowcami w dłuższą rozmowę, nie rozumiejąc ich mowy; musieliśmy zatem ograniczać się na patrzeniu i wymianie kilku słów o pokoju i żywności. Szpada owa dowodziła nam, że sąsiedzi ich mieli styczność z Sudańczykami.

Pomiędzy mieszkańcami tych okolic a murzynami z nad Górnego Kongo niema wielkiej różnicy pod względem obyczajów, zwyczajów i ubrania. Ubranie głowy było zrobione z koszyczka, ozdobionego czerwonemi piórami papugi, albo też ze skóry małp ciemnych; w tyle zwieszał się ogon małpy. Ozdoby szyi, ramion i nóg składały się z żelaza, wyjątkowo z miedzi, ale nigdy z mosiądzu.

Wyrabiają bardzo piękne wiosła, posiadające kształt liścia i ozdobione rzeźbą. Okrzykiem wojennym jest wyraz „Sennene“, tak, jak w Manjema, Uregga i Usongora, powyżej wodospadów Stanley'a. Barwa ich skóry jest więcej czerwonawą, niż czarną. Przyczyną tego jest to, że ciało swe nacierają proszkiem drzewa czerwonego.

W dniu 24-ym lipca Jephson objął komendę nad pierwszym oddziałem i pod jego dowództwem zrobiliśmy zdumiewający marsz 14 km., chociaż oddział musiał przechodzić przez 17 rzek i strumyków. Jephson różwiął w tym dniu niezwykłą energią. Pod wielu względami był on zupełnie podobnym do mnie w młodszym wieku, zanim czas i setki chorób gorączkowych krwi mej nie ochłodziły. Ma on zupełnie mój wzrost i postawę, wagę i temperament. Ma krew gorącą, jest przezorny i lubi ciężką pracę, przy której jest niezmordowanym; jeżeli ma przed sobą moczar, lub strumień, wchodzi w nie bez

wahania i bez względu na to, czy zabrnę w wodzie pokolano, lub szyję.

Reszta oficerów: Stairs, Nelson i Parke posiadają również wiele zalet. Stairs jest oficerem czujnym i inteligentnym, rozumie każde skinienie, myśl nawet podchwytuje i w czyn wprowadza. Nelson jest centurionem z dawnych czasów rzymskich; słucha, ponieważ otrzymał rozkaz od przełożonego; nie pyta, dlaczego ma co czynić, ponieważ pojmuje, że tak potrzeba; rozporządza więc jego dużą siłą, stanowczością, otwartym, jasnym rozumem, bez względu na to, czyby przyszło mu cierpieć, lub umierać. Parke jest duszą tak szlachetną, tak wyborną, ma umysł tak łagodny, miły, cierpliwy, humor tak dobry, że pobudza do wesołości wszystkich. Jeszcze nigdy nie wdarli się do Afryki czterej ludzie, posiadający takie przymioty, jak oni: żaden z naczelników wypraw nie miał tyle przyczyn do wdzięczności wobec losu pod tym względem, co ja.

Jephsona spotkały w tym dniu dwie przygody. Marszerując na czele oddziału, wpadł w dół, wykopany dla chwywania słoni, a przykryty gałęziami. Wydobyto go jednak wkrótce. Przygoda ta dała wiele materiału do śmiechu w obozie.

Następnie Jephson szedł naprzód, wskazując pionierom kierunek drogi, gdy naraz ujrzał przed sobą dorosłego krajowca z oszczepem w rękę. Obaj zdumieli i stanęli, jak skamieniali. Jephsona ogarnęła jednak wkrótce wściekłość. Nie będąc uzbrojonym, rzucił się na krajowca. Ten począł uciekać i goniony przez Jephsona, wpadł ze stromego brzegu w rzekę. Ale i Jephson poślizgnął się i zsunął się głową na dół aż na brzeg strumyka. Kiedy podniósł się, murzyn był już na drugim brzegu i jeszcze raz rzucił dzikie spojrzenie na bladego człowieka, który przerwał mu polowanie.



W d. 25-ym lipca oddziałem dowodził Nelson, a Jephson był mi pomocnym przy wąskich łodziach, obładowanych cennymi towarami. Na rzece były tu niebezpieczne wiry, tak że ludzie, idący lądem, musieli ciągnąć łodzie za pomocą długich lin.

Przedarliśmy się nareszcie przez gwałtowny prąd rzeki i płynęliśmy dalej, spodziewaliśmy się bowiem w górze rzeki znaleźć wioski, a w nich żywność.

Prąd był tak gwałtowny, że aby płynąć naprzód, musieliśmy z całą siłą pchać łodzie za pomocą wiosel, a nadto chwycić się drzew i krzewów nadbrzeżnych. Nagle w miejscu najprzykrzejszem rzucił się na nas rój ós, które kąsały nas dotkliwie po twarzy i rękach i wogóle po całym ciele. Nareszcie zatrzymaliśmy się i odetchnęliśmy swobodniej. Mówiliśmy o ukłuciach rozmaitych owadów.

Jeden z nas zapytał mego służącego:

— Nie mówiłeś niedawno, że w papierowych gniazdach ós jest wiele miodu? Jakże, czy miód ten nie jest gorzki?

Wywołało to śmiech homeryczny. Odzyskaliśmy znów humor, a w godzinę później przyплыliśmy do wsi, którą oddział lądowy już zajął.

Osada krajowców na lewym wybrzeżu zowie się Bandedja, zaś druga na przeciwnym brzegu zamieszкана przez szczep Buamburi. W odległości jednego dnia drogi na północ mieszkają szczepy A-Babua i Mabode, których wioski różnią się budową chat. Mabodowie budują domy czworościenne z kończastymi dachami; ściany są czyste, a ze strony przedniej zaopatrzone w werendy gliniane.

W d. 26-ym lipca odpoczywaliśmy. Ci, których osy pokąsały, dostali gorączki. Nazajutrz przybył do nas naczelnik szczepu Buamburi i przyniósł nam w darze czterotygodniowe kurczę. Daru nie przyjęliśmy, ponieważ

sądziliśmy, że byłoby łatrostwem przyjmować dary od człowieka ubogiego. Strój jego składał się z dwu małych kłów słoniowych, polerowanych. Nosił je na wstążce, uplecionej z trawy. Głowę zdobiła skóra małpia o długich włosach. Zamieniliśmy z nim zapewnienia przyjaźni i braterstwa, a w d. 28-ym lipca wyruszyliśmy dalej w pochód. Przybywszy pod osadę Mukupi, składającą się z ośmiu wsi, rozbiliśmy obóz.

Dwaj schwytani krajowcy opowiadali nam dziwy o wielkiem jeziorze „No-uma”, leżącym gdzieś w okolicy miejscowości Panga, a tak obszernem, że aby przejść je wokoło, trzeba iść kilka dni. W środku jego leży wyspa, na której znajduje się tyle węzów, że krajowcy boją się zbliżać do niej; z jeziora tego wypływa rzeka Népoko, wpadająca do Nowelle, (tak nazywają tu rzekę Aruwimi). Po kilku dniach marszu przekonaliśmy się, że historia o wielkiem jeziorze była bajką i że Népoko nie wpada do Aruwimi z lewej strony.

W d. 29-ym lipca rozbiliśmy obóz w pobliżu Mijui, szeregu wsi, położonych wśród gajów bananowych na prawem wybrzeżu. Wkrótce poznaliśmy się z tym szczepem, który posiadał dar towarzyskości. Ponieważ poprzedziła nas dobra opinia o naszym zachowaniu się, zawiązaliśmy z nimi bardzo miły stosunek. Ludzie nasi posiadali kauri, perły szklane, mosiądz i inne drobnostki, służące do zamiany za artykuły spożywcze. Kiedy nadszedł oddział lądowy, ceny żywności z powodu popytu poszły nieco w górę.

Powiedziano nam, że pomiędzy Mijui a Panga niema osad i że przez dziewięć dni będziemy musieli iść przez las.

Nazajutrz prowadziliśmy dalej handel zamienny, a ponieważ musieliśmy zgromadzić żywność na kilka dni, ozdaliśmy pomiędzy ludzi sporo artykułów zamiennych.

Zdziwiliśmy się niepomału, że za sztabę mosiądzu, mającą 40 cm. długości, a grubość drutu telegraficznego, dawano tu tylko trzy główki kukurydzy. W Bangala dawano za tyle mosiądzu żywności dla jednego człowieka na pięć dni. Za kurę żądano tu cztery sztaby mosiądzu. Perł szklanych krajowcy nie chcieli. Nasi ludzie byli wściekle głodni, a mieliśmy przed sobą dziewięć dni marszu w lesie. Przedstawiliśmy krajowcom nasze położenie, ale oni byli uporczywi. Nasi ludzie zaczęli obecnie torby od nabołów oddawać za dwie główki kukurydzy; dostrzegliśmy także, że sprzedawali nawet naboje. Za jeden nabój otrzymywali jedną główkę kukurydzy, za talerze blaszane dwie. Tą samą drogą ginęły noże i topory. Przed oczyma widzieliśmy kłeski, odpędziliśmy więc krajowców z obozu. Jeden z Zanzibarczyków porwał z łodzi głównego niewolnika naczelnika Mugwje; poczem kazałem powiedzieć krajowcom, że jeżeli nie sprzedadzą nam żywności taniej, jeńca zabierzemy, przekroczymy rzekę i żywność zdobędziemy gwałtem.

Czekaliśmy przez całe popołudnie napróżno na powrót krajowców, a zatem w dniu 31-ym lipca rano przepłynęliśmy rzekę z dwoma kompaniami, a o godz. 3-iej byliśmy już zaopatrzeni w żywność na 10 dni.

Popołudniu d. 1-go sierpnia straż przednia obozowała pod Mambango. Oddział rzeczny spotkała przygoda. W skutek nieostrożności Sudańczyków przewróciła się łódź, przyprawiając nas o stratę cennych perł szklanych i t. d., tudzież sześciu karabinów.

Pierwszy wypadek śmierci w przedniej straży zdarzył się w dniu 2-im sierpnia, w 36 dni po wymarszu z Jambuja, co wobec wielu trudów i głodu, było nader pomyślnie.

Gdybyśmy na drugiej stronie rzeki znaleźli byli plantacyę bananów, odpoczywalibyśmy tu dla wzmocnienia

sił przez kilka dni. Pobyt w takiej miejscowości byłby dla nas bardzo zbawiennym. Ponieważ takiej tu nie było, musieliśmy maszerować naprzód.

Szliśmy przez wielką wieś, opuszczoną prawdopodobnie na sześć miesięcy przed naszym przybyciem. Ponieważ nadszedł już czas wypoczynku, przeto rozbiliśmy obóz w tej wsi. Zaledwie rozbito namioty, usłyszałem dziwny hałas w kilku miejscach. Zbliżywszy się do jednej grupy ludzi, dowiedziałem się, że w kilku chatach znaleziono ludzi, zmarłych na chorobę zaraźliwą. Kazaliśmy zatem jak najprędzej wieś opuścić, aby uniknąć choroby zaraźliwej, która zapewne także i krajowców do ucieczki zmusiła.

Jeden z naszych osłów, z powodu braku żywności w lesie, padł tutaj; drugi był już bardzo wychudzony.

W dniu 3-im sierpnia na jednej z wysp na środku rzeki znaleźliśmy dwie kozy. Wypadek ten wywołał u nas wielką radość, bowiem jedna została zaraz zabita na kolację dla oficerów, zaś druga na rosół dla chorych. Stado, złożone ze 100 kóz, byłoby uratowało niejednego z uczestników wyprawy, przymierających obecnie z głodu.

Nazajutrz przybyliśmy do wodospadów Panga, czyli Nepanga, o których opowiadał nam wiele Bakula.

Wodospady mają 9 m. wysokości, a  $1\frac{1}{2}$  km. szerokości. One to były pierwszą przeszkodą, jaką spotkaliśmy, płynąc rzeką. Woda spada w czterech wodospadach, z których najszerszy ma około 180 m. szerokości, a płynie wśród małych wysepek. Krajowcy mieszkają na wyspie Nepanga, mającej około  $1\frac{1}{2}$  km. długości, a 275 m. szerokości, a położonej o  $\frac{1}{2}$  km. poniżej wodospadów. Leżą na niej trzy wsie, składające się z mniej więcej 250 stożkowatych domków. Dalej w głębi kraju znajduje się znaczniejsza liczba osad. Głównym pokarmem krajowców są figi, chociaż są tu także i pola manioku.

Jeden z nieszczęśliwych Zanzibarczyków, który przysiągł przyczynić się jak najwięcej do naszej ruiny, wyrócił łódź, wskutek czego utraciliśmy dwie skrzynie nabojów do armatki Maxima, pięć skrzyń kauri, trzy skrzynie pereł białych, jedną pstrych, jedną drutu miedzianego, 7 karabinów.

W okolicy tej wszystko było dzikie. Kury uciekały i nie dały się łapać, kozy były uparte i szukały zaczepki. Złapaliśmy wogóle sześć kóz, co pocieszało nas nadzieją, że będziemy w stanie uratować kilku chorych. Udało nam się także złowić kilka ryb.

Rezultatem trzydniowego furazowania na wyspach, tudzież na obu brzegach rzeki było 115 kg. kukurydzy, 18 kóz, tyleż kur, tudzież trochę fig — wszystko to dla 383 ludzi. Przeszukaliśmy kilkanaście wsi, ale zdaje się, że krajowcy sami mają tu mało żywności. Prowadzą wojnę ze szczepem Engwedde i zamiast uprawiać rolę, żywią się grzybami, korzonkami, rybami, ślimakami i gąsienicami, a czasem wyprawiają sobie ucztę, jedząc ciała nieprzyjaciół. Nic nie zachęcało nas do zatrzymywania się w takiej okolicy, zaczęliśmy zatem przenosić łodzie nasze około wodospadów. Kompania Stairsa otrzymała rozkaz torowania drogi i rzucania gałęzek w poprzek ścieżki. Wśród odgłosów dzikiej muzyki i śpiewu kompanie trzecia i czwarta niosły łodzie, pierwsza łódź stalową. Wieczorem dnia 6 go sierpnia obozowaliśmy powyżej wodospadów Panga.

## ROZDZIAŁ VIII.

Z ostatniego obozu było widać dokładnie w odległości 3 km. wyspę na rzece, a na niej wioskę, leżącą prawie równolegle z powierzchnią wody. Przybywszy na tę wyspę w dniu 7-ym sierpnia — co nie było łatwym z powodu przeciwnego prądu rzeki — przekonaliśmy się, że wyspa ta była właściwie tylko płaską skałą, wznoszącą się w czasie wyższego stanu wody tylko na kilka centymetrów nad jej powierzchnię i że nierówności skały wyrównano ziemią, przywożoną z wybrzeża. Wyspa miała 60 m. długości i 27 m. szerokości i tworzyła schronienie szczepu, trudniącego się rybołówstwem. Zbudowano na niej 60 chat stożkowych i otoczono je palisadami.

W tymże dniu zdarzył się nam nowy wypadek na rzece. Nieostrożny, bezmyślny sternik jednej łodzi, zaplątał tę ostatnią w gałęzie drzewa. Łódź wywróciła się i z tego powodu utraciliśmy znów 9 karabinów i dwie skrzynie prochu.

Zanzibarczycy byli tak bezmyślnymi, że ile razy znajdowali się na niebezpiecznym miejscu rzeki, miałem

zawsze wi-le zmartwienia. Straty i kłopoty, na jakie bywaliśmy narażani, pochodziły jedynie stąd, że ludzie owi nie wykonywali poleceń. Na lądzie zapuszczali się w las i błędzili, albo zabijano ich oszczepami i strzałami.

Do tej pory straciłem 8 ludzi i 17 karabinów.

W d. 8-m sierpnia karawana lądowa przeniosła łódzie, ponieważ na rzece były miejsca bardzo niebezpieczne. Obóz rozbiliśmy poniżej Utiri. Nazajutrz przybyliśmy do wsi, które odznaczały się odmiennymi budowlami. Domy były tu niskie, miały dachy skośne i były otoczone palisadami z pni drzewa, na 180 cm. wysokich, 20 cm. szerokich i 10 cm. grubych. Stały w dwu rzędach, pomiędzy którymi ciągnęła się ulica na 6 m. szeroka. Przyjrzawszy się chatom, przekonałem się, że można bronić się z nich łatwo nawet przeciw strzałom broni palnej. Tuzin dzielnych mężczyzn, uzbrojonych w zatrute strzały, broniąc się w tych domach, naraziłoby nieprzyjaciela na duże straty.

W d. 10-ym sierpnia zatrzymaliśmy się w pochodzie i wysłaliśmy furazerów po żywność w różnych kierunkach. Przyniesli żywności zaledwie na dwa dni. Jeden z naszych ludzi był znów tak nieostrożnym, że przypatrywał się figom wówczas, kiedy krajowiec jakiś stał zaledwie w odległości 6 m. od niego i strzałą zatrutą ranił go w szyję. Rana była małą, lecz chociaż dr. Parke opatrzył ją natychmiast, ranny zmarł po kilku dniach. Przyczyną tego smutnego wypadku było znów niestosowanie się do instrukcyj.

W d. 11-m sierpnia mieliśmy znów do walczenia z prądem rzeki. Nazajutrz posłaliśmy znów po żywność; furazerom udało się przynieść fig na trzy dni.

W d. 13-ym sierpnia dotarliśmy do Avisibba, czy Awesziba, osady, składającej się z pięciu wsi; dwie z nich leżały nad strumykiem Ruku.

Oddział rzeczny pierwszy zajął wioski powyżej Ruku. Pomiedzy dwoma rzędami niskich, wysokimi palisadami otoczonych chat ciągnęła się piękna, szeroka ulica; naokoło rosły drzewa figowe. Pomiedzy ujściem strumyka a ostatecznym krańcem wsi, ciągnął się las pierwotny, mający około 100 m. szerokości. Przez niego prowadziła ścieżka krajowców.

Pomiedzy wioską a Aruwimi ciągnął się również las na 50 m. szeroki. Podczas gdy oddział lądowy przeprawił się przez strumień, oddział rzeczny badał pilnie, czy dzicy nie ukryli się w chatach, zanim z bronią w pogotowiu nie zapuścił się do gajów figowych.

Kiedy oddział był na drugim brzegu, byłem zajęty badaniem wypadku morderstwa. Mianowicie w dniu 12-ym sierpnia, poza obrębem obozu w Engwedde, jeden z Zanzibarczyków zabity został kulą karabinową. Domyślałem się zatem, że zamordował go przez zemstę jeden z uczestników wyprawy. Tymczasem dwom naczelnikom poleciłem na czele 40 ludzi przeprosić się przez strumień i zbadać, czy w stronie południowej nie znajdziemy żywności.

Zaledwie mój mały trybunał zgromadził się, a jeden ze świadków rozpoczął zeznania, usłyszałem nagle niezwykle strzały karabinowe.

Porucznik Stairs zgromadził natychmiast 50 ludzi i na ich czele pobiegł nad strumień, ja zaś w przekonaniu, że 50 odytlcówek wystarczą zupełnie dla odparcia napaści, prowadziłem śledztwo dalej. Skoro jednakże silny ogień karabinowy nie ustawał, pobieглиśmy z doktorem, Nelsonem i innymi ludźmi na plac boju. Pierwszą osobą, którą dostrzegłem, był porucznik Stairs, którego koszula była rozdarta. Otrzymał on od strzały ranę w lewą pierś, w okolicy serca; równocześnie usłyszałem uderzenie strzał o liście drzewa. Powierzywszy biednego przy-



jaciela drowi Parkemu, starałem się zbadać położenie rzeczy.

Naokoło mnie zgromadzili się nasi ludzie i strzelali bezmyślnie do podejrzanego krzaku na drugiej stronie strumyka. Ukryli się tam niezawodnie krajowcy, ale nie mogłem dojrzeć żadnego z nich.

Opowiadano, że kiedy łódź ruszyła na strumień, na drugiej stronie pojawiła się nagle gromada krajowców, którzy zaczęli strzelać z łuku. Nasi ludzie pokładli się na dno łodzi, którą natychmiast skierowali do brzegu. Tu chwycili karabiny i zaczęli strzelać. W tej chwili wpadł pomiędzy nich porucznik Stairs, który dał również ognia do nieprzyjaciela. Wkrótce potem Stairs został ranionym, a prócz niego jeszcze pięciu naszych ludzi.

Zaledwie wysłuchałem tych szczegółów, kiedy pomiędzy dwoma krzakami ujrzałem czołgającego się murzyna; wymierzyłem do niego. W odpowiedzi usłyszałem jęk. W dwie minuty później ustało uderzanie strzał o liście drzew. Ustawiwszy najlepszych strzelców na straży wzdłuż strumienia, resztę ludzi cofnąłem.

Wieczorem wróciło kilka patrolów z wycieczki do lasu i przyprowadziło 7 kóz. Odkryli oni miejsce, w którym krajowcy przechodzili przez strumień i dali ognia do małego oddziału, który albo szedł nieprzyjacielowi na pomoc, albo szedł od niego.

Dnia 14-go sierpnia o świcie przeprawiliśmy dwie kompanie przez strumień, celem ścigania nieprzyjaciela; trzecia kompania, pod komendą Nelsona, została wysłana w głąb kraju. W kilka minut później usłyszeliśmy ogień karabinowy, co dowodziło, że nieprzyjaciel był uporeczywy. Pierwsza kompania miała kilku wybornych strzelców, ale trudno było trafić nieprzyjaciela, ukrytego w krzakach. Po mniej więcej 300 strzałach, nastąpiła cisza. Tylko cztery strzały były śmiertelne, podczas gdy czterech ludzi

naszych otrzymało rany od strzał, posmarowanych świeżo jakąś substancją koloru kopalu.

Przyniesiono mi zwłoki jednego krajowca. Miał on długie włosy, na głowie jakby żelazną koronę, na szyi małe kulki żelazne i zęby małp. Zęby jego ostro szlifowane. Oznaką plemienia był podwójny szereg małych blizn naokoło piersi i brzucha. Człowiek ten nie był obrzezany. Na drugich zwłokach był naszyjnik z zębów ludzkich, na przedniej części głowy korona z cienkiego polerowanego żelaza; na ramionach naramienniki żelazne. Dla ochrony lewego ramienia od strzał znajdowała się na niem gruba poduszka, wypchana bawełną, a pokryta skórą kozłą.

Kiedy wypędziliśmy krajowców z naszego sąsiedztwa, ludzie nasi zaczęli gromadzić żywność. W ciągu dnia naznosili tyle fig, że 80 ludzi mogło otrzymać porcyę na cztery dni.

Rana Stairsa miała  $\frac{1}{2}$  cm. szerokości i znajdowała się o 3 cm. poniżej serca; zatruta strzała wbiła się w ciało na głębokość 4 cm. Inni ludzie byli ranieni w ręce i grzbiet. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, z czego składała się owa dziwna substancja o kolorze kopalu, ani też o tem, jaki skutek wywierała ona w stanie suchym, a jaki w wilgotnym. To, co doktor mógł czynić, ograniczało się na wymywaniu rany wodą. Starzy Zanzibarczycy opowiadali, że truciznę ową krajowcy uzyskiwali, gotując liany kauczukowe (*Landolphia*); przy gotowaniu tworzy się trująca piana. Jeden z krajowców opowiadał, że truciznę tę uzyskują z rośliny *arum*, którą miażdżą i gotują; mieszaninę tę wlewają następnie w inne naczynie i znów gotują, poczem mieszają ją z tłuszczem. W ten sposób uzyskują ową substancję trującą. Zapach jej jest ostrym i przypomina *Asa foetidę*. Murzyni za-

pewniali, że trucizna ta jest tak silną, że zabija nawet słonie i inne wielkie zwierzęta dzikie.

Opowiadanie to zakłopotało nas wielce, ale niewiedomość nasza była jeszcze większą. Patrzyliśmy na małe ukłucia na ramionach rannych ze zdziwieniem i twierdziłiśmy, że tak małe rany nie mogą być śmiertelnymi, a w interesie naszego przyjaciela Stairsa i dziewięciu rannych pocieszałiśmy się nadzieją, że się nie mylimy.

Strzały dzikich były bardzo cienkie, zrobione z drzewa ciemnego, miały 60 cm. długości i końce ich były zahartowane przez długie suszenie w ciepłym powietrzu nad ogniskami w chatach. Były zaś tak ostre, jak szpilki. Końce te zaostrzone maczano w truciznie, obwijano w wielkie liście i w ten sposób wkładano do kołczana, który mógł pomieścić sto strzał.

Łuki swoje robią owi dzicy z giętkiego drzewa, na 90 cm. długiego, cięciwy zaś z szerokości pasków trzciny. Aby przekonać się o sile ich łuków, próbowałem strzelać z nich. Strzały leciały na odległość 200 kroków z taką siłą, że mogły przebić człowieka na wskroś. Teraz dopiero przekonaliśmy się, że bronią tą gardzić nie można. Na odległość 120 kroków strzelałem do ptaka i chybiłem tylko na jeden cal.

W południe d. 15-go sierpnia oddział lądowy pod dowództwem Jephsona opuścił wsie Avissibów. Ponieważ jeden z krajowców powiedział nam, że w niewielkiej odległości znajdują się trzy wodospady, polecilem p. Jephsonowi, aby szedł wzdłuż rzeki i stanął obozem w dogodnym miejscu około godz. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub>. Ja miałem czekać z oddziałem rzeczonym tak długo, pókiby oddział tylny pod komendą Nelsona z osady nie wyszedł.

Wymarsz nasz odwłókł się do południa, ponieważ w czasie przeglądu rannego przekonaliśmy się, że brakło nam pięciu ludzi. Około godz. 10-ej pojawili się, ale to

znikanie bez urlopu oburzyło mnie do tego stopnia, że wystąpiłem z surową przemową.

Zanzibarczycy lekceważyli zawsze niebezpieczeństwo, nie dla zbytku odwagi, lecz dlatego, że nie byli zdolni do myślenia o niebezpieczeństwie. Zwierzęta mają instynkt, który ciągle przypomina im niebezpieczeństwo, ale ci ludzie nie mają ani instynktu, ani rozumu. Głowy ich strasznie puste. Usilne prośby, aby strzegli się ukrytego nieprzyjaciela, ani groźby nie zdołały przekonać ich, że potrzeba być roztropnym i ostrożnym, aby uniknąć ukrytego za drzewem figowym ludożercy, albo zatrutego kołka, w ziemię wbitego. Jeżeli niebezpieczeństwo zaskoczyło ich niespodzianie, byli zawsze nieprzygotowani. Na raptowny widok strzał dzikich uciekali, tak że w razie potrzeby nie można było zorganizować należytej obrony zaraz w pierwszej chwili. W czasie marszów usuwali się w gęszcze, aby ukryć się przed strażą tylną, ale uciekali natychmiast, ujrawszy dzikiego z oszczepem w rękę. Snuli się pojedynczo lub po dwu wosiach, ponieważ rabowali z rokoszą; ale jeżeli napadli na nich dzicy, rzucali karabin, zamiast bronić się nim. Błądzili obojętnie po gaikach drzew figowych, ale tracili natychmiast odwagę i poddawali się swojemu losowi, jeżeli usłyszeli szelest strzały.

Z 370 ludzi, których podówczas mieliśmy w obozie, było niezawodnie 250 ludzi tego gatunku; dla nich karabin miał tyle wartości, co kilka pałek kukurydzy, za które go chętnie oddawali, albo tyle, co laska.

Poprzedniego dnia przybyli do mnie przywódcy Zanzibarczyków z prośbą, abym na furazowanie wysyłał ich bez oficerów, ponieważ ci zanudzali ich ustawiczną komendą: „Do szeregu“.

— Jakżeż mamy zbierać banany, jeżeli ciągle jesteśmy pod komendą i ciągle słyszymy: Do szeregu!

— Istotnie, sprawa to trudna. Ale spróbujemy, co zrobicie bez oficerów. Plantacye bananów odległe są stąd tylko o kwadrans drogi; czekam na wasz powrót w przeciągu godziny.

Znając tych ludzi, można było być pewnym, że każdy z nich zapomniał natychmiast o danem mi przyrzeczeniu. Stado owiec lub wieprzów nie rozpierchłoby się po polach tak, jak oni.

Powrócili do obozu w 14 godzin później. Wyszło ich z obozu 200, powróciło tylko 195.

O, te pierwsze dni wyprawy! Czekały nas jeszcze gorsze wypadki, ale zwolna ludzie nasi nabrali doświadczenia i zahartowali się; zostali Rzymianami.

Ale powróćmy do Jephsona.

Kiedy już wszyscy wyszli z osady Avisibbów, popłynęliśmy w górę rzeki z szybkością  $1\frac{1}{2}$  węzła; o godz.  $2\frac{3}{4}$  stanęliśmy obozem. Jednakże napróżno czekaliśmy na Jephsona. Kazałem strzelać na alarm i za pomocą lunety badałem wybrzeża rzeki; jednakże nigdzie nie dostrzegłem ognisk obozowych, nie słyszałem ani strzałów, ani trąbek, ani nawet głosu ludzkiego. Przypuszczaliśmy zatem, że karawaua lądowa znalazła wygodną ścieżkę i poszła dalej do wodospadów.

Dnia 16-go sierpnia oddział rzeczny popłynął szybko w górę rzeki, wyminał wieś Mabengu, a w godzinę później przybył do wodospadów Mabengu. Na prawem wybrzeżu, wprost naprzeciw punktu, w którym rozbiliśmy obóz, leżała wielka osada Itiri. Ponieważ dotąd nie znaleźliśmy śladu kolumny lądowej, poleciłem kilkunastu ludziom popłynąć łodzią do rzeki, która w pobliżu wpada do Aruwimi i starać się przekonać, czy oddział ich nie przeprowił się przez rzekę.

Lódź pojechała aż pod osady Avisibbów, lecz na ślad zaginionych nie natrafiła.

Dnia 17-go sierpnia poleciłem oddziałowi wodnemu i sześciu przodownikom udać się do obozu, w którym staliśmy dnia poprzedniego i iść zauważoną tam ścieżką do wnętrza kraju, póki by nie natrafili na ślad oddziału. Sternik łodzi powiedział mi, że ścieżkę ową widział w odległości 11 kilom. (trzy godziny marszu). Domyślałem się zatem, że p. Jephson poprowadził oddział, zamiast w kierunku północno-wschodnim, wzdłuż biegu rzeki, na południe; pocieszałem się jednak nadzieją, że strzelec Saat Tato dopędzi go.

W obozie nad rzeką położenie nasze przedstawiało się, jak następuje. Mieliśmy 39 ludzi na łodziach, 28 chorych, 3 europejczyków i 3 chłopców; porucznik Stairs był ranny i potrzebował ciągłej opieki lekarza. Jeden z naszych ludzi zmarł w Avisibba na dysenterję, drugi, idyota, umierał w obozie. 29 ludzi chorowało na klucie w boku, dysenterję, nieuleczalne osłabienie, zaś 8 było rannych.

Z pozostałych 39 ludzi utworzyłem trzy oddziały, które posłałem w różnych kierunkach dla zasięgnięcia wiadomości o zaginionym oddziale.

Krajowcy z Itiri, po drugiej stronie rzeki, przypatrywali się nam dotąd spokojnie, lecz obecnie, zdaje się, zaczęli myśleć o zaczepce; zaś w odległości 3 km. od nas leżała osada Mabengu, a my wysłaliśmy 39 ludzi w różnych kierunkach, aby szukać zaginionych 300.

Notatki z mego dziennika:

18 sierpnia. Idyota zmarł dziś w nocy. Skończyły się jego cierpienia, pogrzebaliśmy go.

Chciałbym wiedzieć, coby Tennyson, który napisał tak szlachetne wiersze, pomyślał o danem położeniu, gdyby był tutaj. Przed kilku dniami byłem naczelnikiem

370 ludzi, posiadałem poddostatkiem towarów, amunicyi, lekarstw i byłem zadowolony z wygod. jakie posiadamy, a dziś mam faktycznie tylko 18 ludzi, zdolnych do marszu. Reszta znikła—byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, dokąd oni poszli.

Jeśli 389 dobranych ludzi, jakich posiadałem w chwili wymarszu z Jambuja, nie jest w stanie dotrzeć do jeziora Alberta, w jakiz sposób będzie mógł major Barttelot przedrzeć się przez las nieskończony, na czele 200 ludzi. Wyszedszy z Jambuja, w ciągu 44 dni szliśmy przeciętnie 8 godzin dziennie; gdybyśmy mogli robić 3 km. na godzinę, w tej chwili byłibyśmy już nad brzegiem jeziora; a tymczasem przebyliśmy zaledwie trzecią część drogi.

Ranni leczyli się bardzo zwolna. Opuchlina wzmacnia się, rany są bolesne; chociaż żadna z nich nie była dotąd śmiertelną, to jednak czynią ludzi niezdolnymi do służby.

Piąta ulewa w tym miesiącu zaczęła się o godz. 8-ej rano. Czyż mało mieliśmy kłopotu bez tego wiecznego deszczu? Moznaby przypuszczać, że zbliża się koniec świata.

Pada deszcz tak gwałtowny, że spojrzeć w dal nie można, z ziemi wznosi się para, a w dodatku huczy wicher, biją pioruny.

Wszyscy ludzie nasi zostali oszołomieni przestraszeniem, nędzą, chorobą, utratą przyjaciół, głodem, deszczem, grzmotami. Każdy zgiał się w czworo i krył się przed deszczem, gdzie mógł. Nawet osły, ze zwieszonemi uszami i zamkniętymi oczami, przedstawiały obraz nędzy i rozpacz.

Świadomość nędzy znużyła mnie w końcu do tego stopnia, że usnąłem.

19 sierpnia. Patrole powróciły, nie natrafiwszy na ślad zaginionych. Dwaj ranni są bardzo chorzy, cierpienia ich są straszne.

20 sierpnia. Stairsowi ani lepiej, ani gorzej, ale ma apetyt i śpi. Obawiam się, aby wiadomość o losie innych chorych nie zaszkodziła mu.

Dziwna rzecz, że z pomiędzy 300 ludzi i trzech oficerów, nie było ani jednego tak mądrego, któryby widział, że zblądził i że właściwą drogę odszukać najłatwiej, powróciwszy do Avisibby, skąd możnaby odszukać nas.

21 sierpnia. Biedny Chalfan, ranny w gardło, i młody Saadi zmarli dziś w nocy po strasznej walce ze śmiercią. Chalfan tracił siły ustawicznie, ponieważ z powodu bólu nie chciał jeść. Zdawało się, że rana jego nie jest niebezpieczną i zasklepiła się nawet, a w jej okolicy nie było widać zapalenia; mimo to Chalfan skarżył się, że nie może połykać. Ósmego dnia gardło jego nagle stężało, nie mógł już mówić. Wczoraj dostał kurczów. Zastrzyknąłem mu dwa razy morfinę i to ulżyło mu trochę.

Saadi otrzymał ranę w rękę pomiędzy łokciem a dłonią. Jeden z towarzyszków wyssał mu ranę, obmył wodą i obandażował, lecz już czwartego dnia ranny dostał kurczów. Zastrzykiwania morfiny skłaniały go do snu. Zmarł w 111 godzin po otrzymaniu rany.

Trzeci murzyn zmarł rano na dysenterję. To już czwarty wypadek śmierci w tym obozie.

O godz. 5-j po południu karawana przybyła. Ucierpiała ona wiele w skutek kłopotów moralnych. Oddział lądowy stracił także trzech ludzi. Maruf, ranny w plecy, zmarł dnia 19-go b. m. Ali zmarł w skutek wewnętrznego zalania krwią, ponieważ strzała przeszła mu kieszkę. Trzeci zmarł na dysenterję. A zatem od 14-go sierpnia straciliśmy siedmiu ludzi, a prócz tego życie kilku innych wisi na włosku. Oddział lądowy przyniósł



dwu ludzi rannych. Rany są mocno zaognione i wydzielają materię.

Stairs jest weselszy i odzyskuje siły, mimo to, że wypadki śmierci na nerwy jego wywierają wpływ fatalny. Powrót lekarza sprawia mi wielką ulgę, Wstrętnym mi jest widok bólu i nie lubię słuchać jęków chorych: troska o ich potrzeby cieszy mnie tylko wówczas, kiedy wiem, że mogę ich wyleczyć.

Mamy obecnie w obozie 373 ludzi, ale zdaje się, że 60 z nich kwalifikuje się raczej do szpitala, niż do dalszej podróży. W tej dzikiej okolicy dla dusz osłabłych niema ani spokoju, ani pokarmu.

Jeszcze kilka dni takiej pracy, pielęgnowania chorych, patrzenia na kurcze śmiertelne, słuchania przytłumianych jęków bóleści, nędzy i osłabienia w skutek głodu, tudzież obawy z powodu nieobecności braci i towarzyszy, w połączeniu z obawą utraty 300 ludzi, wywarłoby na mnie samego wpływ fatalny. Czuję, że i mnie rozpacz przejmować zaczęła. Pożywienie nasze składało się z gotowanych, albo pieczonych bananów i fig, ponieważ inne rzeczy zachowywaliśmy na wypadek ostatecznej biedy, która czeka nas może w najbliższej przyszłości. Największą namiętnością życia mojego było, jak mi się zdaje, doprowadzać przedsięwzięcie do końca; ale ostatnie dni obudziły we mnie wątpliwość, czy w tym wypadku dokonam swego zadania.

Nie dowiedziałem się jeszcze o usposobieniu innych oficerów, ale ludzie oświadczają otwarcie, że uwolniono ich z piekła.

W tej chwili otrzymałem pismo następujące:

„Sierpień 1887

Szanowny panie!

Saat Tato dopędził nas wczoraj po południu o godz.

3-ej z pańskim rozkazem, abyśmy poszli za nim. Powrócimy natychmiast przez rzekę, którą nasi marynarze zbadali i mamy nadzieję przybyć do pana dziś wieczorem. Pojmuję, jak kłopotales się pan o nas i żałuję najmocniej, że naraził pana na to. Mam zaszczyt etc.

A. M. Jephson."

W dniu 22-im sierpnia poszliśmy dalej i rozbiliśmy obóz powyżej Mabengu. Tu odbyłem przegląd karawany. Zestawienie poniższe nie potrzebuje komentarza:

|                       | zdrowi | chorzy | zmarli | toboły |
|-----------------------|--------|--------|--------|--------|
| 1 Kompania . . . . .  | 80     | 6      | 4      | 43     |
| 2 „ . . . . .         | 69     | 14     | 5      | 50     |
| 3 „ . . . . .         | 67     | 16     | 4      | 72     |
| 4 „ . . . . .         | 63     | 21     | 3      | 72     |
| europczyków . . . . . | 6      |        |        |        |
| chłopców . . . . .    | 12     |        |        |        |
| sudańczyków . . . . . | 10     |        |        |        |
| somalów . . . . .     | 6      |        |        |        |
| kucharzy . . . . .    | 2      |        |        |        |
| oślarz . . . . .      | 1      |        |        |        |
| cherych . . . . .     | 57     |        |        |        |
|                       | <hr/>  |        |        |        |
|                       | 373    |        |        |        |
| zmarło . . . . .      | : 16   |        |        |        |
|                       | <hr/>  |        |        |        |
|                       | 389    |        |        |        |

Spostrzeżenia oddziału lądowego w jego wędrówce potwierdzały moje przypuszczenia, że krajowcy nie używają tu rzeki tak, jak poniżej wodospadów. W głębi kraju odkryliśmy osady, do których prowadziły od rzeki dobre ścieżki. Brzegi były mało zaludnione, zaś wzdłuż rzeki prowadziła ścieżka, którą szliśmy. W dniu 24-ym sierpnia uszliśmy kilka kilometrów i obozowaliśmy w pobliżu dużego gaju bananów; zaś nazajutrz w części lasu, zamieszkałej przez rybaków. W dniu 26-ym sierpnia oddział lądowy szedł w dobrym tempie, podczas gdy my na wartkiej rzece musieliśmy dobrze pracować, aby dotrzy-

mać mu kroku, dopóki oba oddziały nie połączyły się w jednej z największych wsi szczepu Avedjeli przed ujściem rzeki Népoko.

Rzeka ta, którą najprzód opisał dr Junker, wpada w szeregu wodospadów z wysokości 12 m. do Ituri, jak tu nazywają Aruwimi. Ujście miało tu 275 m. szerokości, zaś powyżej wodospadów 230 m. Na rafach przy wodospadzie krajowcy powbijali pale, do których przywiązują swoje kosze do łowienia ryb. Barwa rzeki Népoko jest czekoladowo-brunatna, podczas gdy woda w Ituri ma kolor herbaty, z mlekiem zmieszanej.

Gdybym był wiedział, że w tydzień później spotkamy Arabów i ich złośliwe hordy Manjemy, byłbym się bezwątpienia oddalił od sfery ich wpływów. Zresztą i tak już myślałem o zmianie kierunku marszu, ponieważ Binsa, chłopiec dra Junkera, mówił, że lepiej byłoby iść przez kraje, zamieszkane przez „ludzi przyzwoitych”, aniżeli przez te straszne okolice, zamieszkane przez ludzi, nie zasługujących na miano ludzi; szczepy Momfu powitałyby niezawodnie życzliwie ludzi, którzy potrafią dać dowód, że umieją cenić gościnność. Binsa opisywał nam szczepy Momfu zachęcająco. Zresztą u Avedjeli było żywności podostatkiem, a nadto spodziewaliśmy się zmiany charakteru kraju. Od czasu bowiem, kiedy dostrzegliśmy zmianę w architekturze chat krajowców, pożywienie naszych ludzi polepszyło się znacznie. Poniżej wodospadów Panga krajowcy żywili się głównie chlebem z manioku, puddingiem, plackami i zupami. Powyżej tych wodospadów pola manioku zostały wyparte przez gaje fig, a owoc ten jest dla członków wypraw o wiele lepszym, niż owoce manioku. Ponieważ gaje figowe bywały coraz większe, spodziewaliśmy się, że odtąd zaświtały dla nas lepsze czasy. Prócz tego były tu pola manioku, kukurydzy, yamu i kolokazy, tudzież tytoń. W skutek tego kazałem

karawanie zatrzymać się, aby osłabieni mogli odzyskać siły.

W staraniu się o mięso Zanzibarczycey i Sudańczycey byli bardzo nieroztropni. Skoro tylko pokazała się jaka kura, urządzano zaraz na nią ogólne polowanie; nierozsądni strzelali nawet do kur i w ten sposób marnowali niepotrzebnie wiele nabojów, za co często musieli być nałężycie karani. Wydałem surowy rozkaz, aby amunicyi nie marnowano i starałem się najusilniej wykryć każde wykroczenie przeciwko rozkazowi. Ale kiedyż który Zanzibarczyk był posłuszny, jeżeli nie czuł nad sobą oka swego pana? Nierozsądne strzelanie doprowadziło do tego, że jeden z naszych dzielnych pionierów został postrzelony w nogę tak, że trzeba było dokonać jej amputacyi. Dr Parke dokonał operacyi bardzo szczęśliwie, poczem nieszczęśliwego \*) ośmiu ludzi musiało wnosić do czółna, gdzie doznawał wszelkich wygod, tak, że nieraz zazdrościłem mu jego losu.

Naturalnie, miałem znów mowę do ludzi, poczem wszyscy przysięgali głośno, że na przyszłość będą bezwarunkowo posłuszni, i znów, naturalnie, nazajutrz o przyrzeczeniach tych zapomnieli.

W dniu 28-ym sierpnia oddział rzeczny na statku stalowym „Advance“ i 16 łodziach wyruszył w górę do obozu, odległego o 8 km. od Avedjeli. Oddział lądowy spóźnił się, ponieważ musiał przechodzić przez szereg rzek i strumyków i przedzierać się przez gęste zarośla, tak, że przybył do nas dopiero nazajutrz w południe.

---

\*) Czy był istotnie nieszczęśliwym? Ugarrowie zapłaciłem za żywienie go przez 13 miesięcy, odesłałem go do wodospadów Stanleja, a stamtąd rzeką Kongo do Madeira, a następnie via Przylądek Dobrej Nadziei do Zanzibaru, gdzie przybył „tak tłusty, jak masło“ jak tam mówią

Dnia 30-go sierpnia przybyliśmy do wodospadu, gdzie przekonaaliśmy się, że przebyliśmy już połowę drogi do jeziora Alberta, ponieważ Kavalli leży na 30° 30' wschodniej długości, zaś Jambuja na 25° 3' 30", a nasz obóz w owym dniu na 27° 47'.

W linii powietrznej mieliśmy przed sobą do przebycia jeszcze około 302 km., których nie mogliśmy przebyć w przeciągu 64 dni, tak, jak przebyła już część drogi. Ludzie byli osłabieni, grasowały pomiędzy nimi choroby, a niedokrewność rujnowała ich zdrowie. Powiedzieliśmy im, że przebyliśmy połowę drogi; odpowiedzieli na to niedowierzającym szemraniem.

— Skąd pan wie o tem? pytali. Czy ten instrument to pokazuje i mówi mu, że idziemy w dobrym kierunku? A dlaczego on nam tego nie mówi, abyśmy mogli widzieć i wierzyć? Czyż krajowcy nie znają swego kraju lepiej? Kto z nich widział kiedy trawę? Czyż nie mówią, że cały świat pokryty jest drzewami i gęstymi krzakami? Ba, pan mówi do nas, jak gdybyśmy byli dziećmi i nie mieli rozumu sami.

Ranek fatalnego dnia 31-go sierpnia nadszedł tak samo, jak inne. Słońce było blade, jak kula świetlana bez blasku. My tymczasem staraliśmy się przerznąć drogę przez gąszcze, aby 60 ludzi mogło przenieść łódź stalową, podczas gdy część ludzi na łodziach pracowała usilnie, aby na wartkiej rzece płynąć dalej.

Ukończywszy drogę w przeciągu godziny, u jej krańca górnego założyliśmy prowizoryczny obóz, do którego zwolna przybyły także i łodzie. Wkrótce potem przybył doktor z oznajmieniem, że ludzie nie mogą podnieść łodzi stalowej. Powróciłem zatem dla osobistego dozoru tej roboty. Unieśliśmy ją zaledwie do połowy drogi, kiedy mój służący, europejczyk, nadbiegł wesół i zawołał:

— Panie, panie, przybył Emin basza!

— Emin basza?

— Tak, panie. Widziałem go w łodzi. Na maszcie powiewała czerwona chorągiew, taka, jak nasza (egipska). To pewnie on, panie.

Naturalnie, pobiegliśmy zaraz. Łódź pozostawiono, jak kawałek pospolitego żelaza. Były to prawdziwe wysciigi, i pan i sługa chciał być pierwszy. W obozie panowało ogólne wzruszenie. Wywołało to przybycie dziewięciu Manjemów, sług niejakiego Uledi Baljusa, znanego krajowcom pod nazwiskiem Ugarrowa, który w odległości 8 dni marszu stąd w górę rzeki osiadł i dowodził kilkuset zbrojnymi.

A zatem Arabowie znajdowali się daleko w głębi kraju nad Górnem Aruvimi, a ja pocieszałem się nadzieją, że dawno już poraz ostatni słyszałem o tych rozbójnikach! Przybyli opowiadali, że 50 Arabów w odległości 10 km. w górze rzeki rozbiło obóz, aby na rozkaz Ugarrowy zbadać bieg rzeki i przekonać się, czy na tej nieznannej rzece nie dałoby się zaprowadzić komunikacyi ze stacją Wodospady Stanleya.

Daliśmy im pożądane informacye, poczem oni oświadczyli, że powrócą do obozu, aby przygotować dla nas gościnne przyjęcie. Zanzibarczycy nie posiadali się z radości na wieść tę; dlaczego, zaraz zobaczymy.

Pierwszym zbiegiem był niejaki Djuma, który uciekł w nocy i zabrał pół centnara pieczywa.

Rankiem dnia 1-go września przybyliśmy wraz z karawaną lądową do wsi, gdzie rozbili swój obóz Manjemowie. U wejścia znaleźliśmy trupa dziecka płci męskiej, porąbanego w kawałki; wewnątrz palisad zaś zwłoki kobiety, zamordowanej dzidami. Manjemowie znikli. Zdawało się nam wówczas, że radość naszych ludzi z powodu spotkania się z Manjemami została poskromioną. Tym-

czasem wkrótce zbiegło pięciu Zanzibarczyków z tyłuż tobołami, czterej z amunicją, a jeden ze solą.

Wyruszyliśmy więc dalej i zatrzymaliśmy się u dalszego szeregu wodospadów.

Nazajutrz Saat Tato powiedział mi, że trudności żeglugi możemy tu łatwo pokonać. Marynarze zabrali się więc do pracy, a tymczasem ja wysłałem oddział ludzi dla zasięgnięcia wieści o zaginionych. Wrócili z jednym jeńcem, z paką amunicji i trzema karabinami. Trzech zbiegów wysledzono w lesie, w chwili, kiedy otworzyli paczkę i dzielili się amunicją. Chciano ich otoczyć, ale oni manewr ten spostrzegli i umknęli, pozostawiając paczkę i trzy karabiny.

Dnia 5-go września zbiegło znów trzech ludzi, zabrawszy z sobą paczkę naboju do karabinów systemu Remingtona, drugą z nabojami winchesterowskimi, paczkę prowiantu europejskiego i paczkę towarów arabskich, wartości 1000 marek. Innego schwytano na tem, jak otworzył paczkę z prowiantem i kradł sago, ekstrakt Liebiga, masło i mleko.

W ten sposób w przeciągu kilku dni zbiegło 10 ludzi. Jeżeliby to trwało dłużej, cała wyprawa zostałaby w przeciągu 60 dni rozbitą. Odbyłem naradę z przywódcami, ale nie zdołano namówić mnie do zapobiegnięcia zbiegostwu za pomocą środków surowych.

Od chwili wymarszu z Jambuja straciliśmy 48 karabinów i 15 pak naboju do armaty Maxima i karabinów.

Następnego dnia zbiegło 4 ludzi, zaś jednego schwytano w chwili, kiedy usiłował uczynić to samo. Odbyliśmy przegląd ludzi. Ponieważ przywódcy nie chcieli gwarantować za wierność 60 ludzi, przeto od karabinów tychże odjęliśmy sprężyny.

W chwili spotkania się z Manjemami demoralizacja rozwijała się bardzo prędko. W ręku ludzi nic już nie było pe-

wnego; otwierali paki, kradli sukno, perły szklane, amunicję i albo je porzucali, albo ukrywali po drodze, w nadziei, że zbiegną, odszukają je napowrót.

Dnia 5-go września obozowaliśmy w miejscu, w którym rzeka Aruwimi jest bardzo szeroką i piękną. Nazwaliśmy to miejsce „Polaną koni rzecznych”, których stado ujrzelśmy tutaj. Nasi furazerowie powrócili z wycieczki na obu wybrzeżach z czterema kozami, bananami, pieczonkami, szczurami, gotowanymi chrząszczami i ślimakami.

Dnia 6-go września przybyliśmy do wodopadów na prost osady Bafaido, gdzie otrzymaliśmy znaczny zapas bananów. Nazajutrz przenieśliśmy łodzie i popłynęliśmy dalej do Avakubi. Stąd prowadziła ścieżka do wnętrza kraju, którą też natychmiast puścili się nasi wygłodniaли towarzysze dla poszukiwania żywności. Przyprawdzili do mnie kobietę z dzieckiem, ale ta mówiła językiem tak bezmyślnym, że nikt nie mógł jej zrozumieć.

Nazajutrz poszliśmy dalej i przekonaliśmy się, że w tej okolicy rosną palmy oliwne.

Przy każdej wsi spotykaliśmy kupy orzechów palmowych i dostrzegliśmy kilka palm, świeżo zasadzonych, co dowodziło, że myślano tu o przyszłości.

Doniesiono mi, że Somal Achmet jest umierający, cierpi bowiem na melanozę. Wychudł istotnie bardzo i wyglądał jak szkielet, skórą powleczoney.

W godzinę później przybyliśmy do miejsca, w którym woda płynęła z szaloną szybkością w wąskim korycie, a dalej cały szereg spienionych wodospadów. Widok ten był dla nas strasznym. W łodziach znajdowało się 120 tobołów i 50 do 60 ludzi chorych lub osłabionych. Pozostawić ich w lesie na los szczęścia było niepodobna, towary i „Advance” nieść było również trudno.

Pozostawiłem zatem łodzie poniżej wodospadów i poprowadziłem ludzi lądem do zniszczonej osady Navabi,



położonej w pobliżu kolana Ituri, czyli Aruvimi. Tam rozbiliśmy obóz. Chorzy wlekli się zwolna za karawaną; tych, którzy iść nie mogli, zaniesiono do obozu. Tymczasem oficerowie na czele swoich kompanij zaczęli wycinać drogę w lesie, którą możnaby przenieść łodzie. Praca ta zajęła nam dwa dni czasu. Pierwsza kompania była zatrudnioną zgromadzeniem prowiantu, jednakże z lichym skutkiem.

Navabi była dawniej wybornym dowodem zamożności osad krajowców. Posiadała gaje palm oliwnych i banany, pola, uprawne tytoniem i kukurydzą; chaty miały wygląd sielankowy; pozostały jednak tylko dwie. Zresztą wszystko opustoszało. Bandy opryszków, wysłane, naszym zdaniem, przez Ugarrowę, osadę spaliły, palmy powycinały, plantacje bananów zrównały z ziemią, a ziemię zasiały kośćmi jej obrońców. Wewnątrz naszego obozu pod Navabi znaleźliśmy czaszki pięciorga dzieci.

Dnia 12-go września wyruszyliśmy dalej, byliśmy jednak zmuszeni pozostawić pięciu umierających już ludzi. Pomiędzy uimi był Somal Achmet, którego nieśliśmy prawie przez całą drogę od Jambuja.

Z Navabi skręciliśmy do przystani pod Memberri, którą to miejscowość słonie widocznie często odwiedzały. Kiedy nieopodal od nas ujrzelśmy kąpiące się w rzece słonie, oficerowie, spragnieni mięsa, namawiali mnie do spróbowania szczęścia. Na tej wyprawie uzbroilem się w 577 kaliber karabinów „Express“, cenionych wielce przez myśliwych indyjskich. Major Barttelot i Jameson mieli ciężkie karabiny 8 kalibru. Udało mi się z odległości kilkunastu metrów wpakować słoniowi sześć kul, ale skończyło się tylko na poranieniu zwierzęcia.

W Memberri odbyłem przegląd karawany. W po-

równaniu z listami dawnemi wydał on wynik następujący:

22 sierpnia miałem 373 ludzi

12 września „ 343 „

14 ludzi zbiegło, 16 zmarło. Towary niesło 235 ludzi, chorych było 58. Pakunków mieliśmy 227.

Do tych cyfr wymownych dodać należy, że każdy uczestnik wyprawy cierpiał głód, a trudność zaprowiantowania zwiększała się w miarę marszu na wschód, ponieważ Manjemowie zniszczyli plantacje, a krajowców albo wyrznęli, albo w las zapędzili.

Nazajutrz przybyliśmy do wodospadów Amiri. Poprzedniego dnia Saadi otrzymał nagane, ponieważ Maku-petowi pozwolił cofnąć się celem poszukiwania zagubionej paki z amunicją. Prócz tego umknął Uledi Manga, któremu widocznie sprzykrzyła się ciężka praca i melancholijne widoki naszej wyprawy. Ten zabrał pakę amunicyi.

Z osłów zanzibarskich pozostały tylko trzy; jeszcze w Jambuja mieliśmy ich sześć. Jeden z nich, przeczuwając zapewne smutny koniec wyprawy, myślał, że lepiej umknąć w porę i znikł, niewiadomo gdzie. Szukanie w lesie zagubionych ludzi, osłów lub przedmiotów, nie przyda się na nic; jak fale, przez przód okrętu przecinane, znów się spływają, tak samo i las zakrywa cieniem swoim wszystko, co tylko weń się dostanie.

Dnia 15-go września obozowaliśmy w pobliżu opuszczonej starej chaty rybaka. Rzeka zwracała się tu ku południo-wschodowi. Z 1° 58' przybyliśmy już do 1° 24' szerokości północnej.

Ponieważ w ostatnich dniach traciliśmy codziennie pakę amunicyi, a nie mogliśmy zapobiedz kradzieżom, przeto chwyciliśmy się nowego środka. Oto wiązaliśmy po ośm pak i każdą seryę oddaliśmy pód dozór jednego

z przywódców. W ten sposób zapobiegliśmy tłumaczeniom, że ten lub ów zbieg znikł nagle z towarami w lesie.

Kiedy d. 16 go września zatrzymaliśmy się dla wypoczynku i śniadania, usłyszeliśmy nagle w górze rzeki strzały karabinowe. Wysłałem zatem Saat Tato na zwiady. W półgodziny później usłyszeliśmy trzy strzały, na znak, że misya była skuteczną. Wkrótce potem do nas

szczych łodzi zbliżyły się trzy łodzie z czerwonymi flagami, wiozące mężczyzn w białych sukniach. Opowiadali nam, że w imieniu swego naczelnika Ugarrowy przybyli powitać mnie i że pan ich odwiedzi mnie wieczorem w obozie. Po wzajemnej wymianie grzeczności, odjechali wśród strzelania ze swych karabinów i śpiewu.

Popołudniu wyruszyliśmy dalej w drogę, a o godz. 4-ej przybyliśmy do obozu tuż poniżej stacyi Ugarrowy. W tejże samej chwili bębny i wystrzały karabinowe i cała flotyła łodzi zapowiedziały nam zbliżanie się

Murzyn z nad Góraego Aruwimi naczelnika Arabów, któremu towarzyszyło około 50 silnych młodych mężczyzn, jakoteż śpiewaków i kobiet. Wszyscy wyglądali bardzo dobrze.

Naczelnik przedstawił się nam jako Ugarrowa, po zanzibarsku nazywał się „Lualeba“, zaś w języku krajowców jako „Ruarauwa“; dawniej był znanym pod nazwiskiem Uledi Baljus (czyli konsul Uledi). W r. 1860 do 1863 towarzyszył kapitanom Speke i Grantowi w charakterze służącego namiotowego; lecz pozostał, czy też



zbiegł w Unjoro. Jako dar ofiarował nam dwie tłuście kozy i 20 kg. czyszczonego ryżu, tudzież kilkanaście dojrzałych bananów i kur.

Na pytanie nasze, czy jest nadzieja znalezienia prowiantu w pobliżu jego stacyi, odpowiedział ku naszemu zmartwieniu, że ludzie jego zniszczyli wszystko, a niepodobna było powstrzymać ich, ponieważ byli wściekli na „pogan“ za to, że obeszli się bardzo źle z ich rodakami w chwili, kiedy ci udali się na poszukiwanie kości słoniowej.

Na dalsze pytanie, w jakim znajdujemy się kraju, odpowiedział, że jesteśmy w Bunda, którego mieszkańcy zowią się Babunda; mieszkańcy północnego wybrzeża, w sąsiedztwie jego stacyi, zowią się Bapai, albo Bavaija. Opo-



Wiosło murzynów Babe (str. 139).

wiadał także, że strzelcy jego posunęli się na wschód o miesiąc drogi i że z jakiejś wysokiej góry (Kassalolo) widział on obszerne niziny, porośnięte trawą.

Dalej opowiadał, że z karawaną swoją, liczącą 600 ludzi, wyszedł był z Lualaba pod Kibonge (powyżej rzeki Leopolda) i w przeciagu 9 miesięcy przeszedł 686 km. w kierunku północno- - wschodnim przez sam las, w którym nie widział nawet tyle trawy, ileby jej mogło pomieścić się na dłoni; przeszedł tylko przez jedną rzekę, Lindi, aż przybył nad Ituri, jak tu zowią Aruvimi; od kupców arabskich dowiedział się, że Lułu (Lowwa) wypływa z małego jeziora Oso, w którego okolicy znajduje się wiele kości słoniowej.

W odległości czterech dni marszu w górę rzeki Ugarrowa posiada drugą stację, złożoną ze stu zbrojnych.

Znajduje się ona w pobliżu rzeki Lenda, wpadającej do Aruwimi. Ludzie jego, jak opowiadał, uprawiali ryż, którego przyniósł nam nieco, i cebulę; wokoło osad znajduje się jednak pustynia, ponieważ nie byłoby rzeczą mądrą takim „krwiożerczym poganom“ pozwalać żyć w ich pobliżu, gdyż w takim razie życie Ugarrowy i ludzi jego nie byłoby bezpieczne. Stracił on około 200 ludzi z plemienia Bakusa i Pasungora, tudzież wielu dzielnych przywódców Manjemów. Pewnego dnia stracił naraz 40 ludzi, z których nie powrócił ani jeden. Na stacyi jego gości Arab, który stracił wszystkich ludzi ze swej karawany.

Zauważyłem, że miał ochotę wysłać kilku ludzi swoich ze mną do jeziora Alberta, a również zdawało mi się, że przyjmie łatwo za umówione wynagrodzenie moich chorych towarzyszków.

W dniu 17-ym września karawana nasza wyruszyła naprzód i zatrzymała się w pobliżu osady Arabów.

Popołudniu popłynąłem łodzią przez rzekę do osady Arabów, gdzie zostałem przyjęty nader gościnnie. Stacya ta była dużą osadą, otoczoną wokoło wysokimi palisadami. W środku, frontem do rzeki, stał dom naczelnika; był to budynek wygodny, obszerny, wysoki, którego ściany zawierały otwory do strzelania; dom ten, otoczony wysokim murem glinianym, był bardzo podobny do fortu. Przechodząc z pokoiów prywatnych Ugarrowy do lokalów publicznych, zauważyłem wielki dziedziniec, otoczony budynkami, a zajęty przez służących.

Całość miała wygląd siedziby szlacheckiej, posiadającej sporo domowników, sług rozmaitych, wielkie izby, a wszędzie błyszczącej bogactwem. Miejscem to było bardzo warowne, a w razie dzielnej obrony, potrzeba było

całego batalionu, aby zdobyć tę forpocztę handlarzy niewolników.

Ugarrowa opowiadał mi, że wzdłuż rzeki można iść na wschód jeszcze wiele dni; Ihuru płynie w oddali z północy i wpada do Ituri, zaś obok Lendy jest jeszcze jedna rzeka poboczna, Ibina, wpadająca od strony południowej.

Gdzieś dalej, w odległości 10 dni, wedle drugich zaś 20 dni marszu, osiadł drugi Arab, zwany Kilonga-Longa, nazywający się jednakże właściwie także Uledi.

W osadzie widziałem poraz pierwszy przedstawiciela szczepu karłów, mieszkającego na północy od Ituri, a na wschód Ngaiju. Była to wybornie rozwinięta dziewczyna 17-letnia, mająca 84 cm. wysokości; ciało jej było gładkie, błyszczące, postawa czarnej damy miniaturowej, o rysach wyrazistych. Nie brak jej też było pewnego wdzięku. Ciało jej było koloru żółtej kości słoniowej. Oczy piękne, ale nadmiernie wielkie, jak u tak małej istoty, prawie tak wielkie, jak u młodej gazelli, pełne, wypukłe i błyszczące. Ta mała dama była zupełnie naga, a jednak widocznie przywykła do podziwów; przyglądanie się jej sprawiało przyjemność. Porwano ją w pobliżu źródeł Ngaiju.

Pokazawszy mi wszystkie skarby swoje, a pomiędzy nimi wspaniałą zapas kości słoniowej, Ugarrowa odprowadził mnie do łodzi, gdzie ofiarował mi jeszcze kilka misek wybornie ugotowanego ryżu i kurę, ugotowaną w curry. Potrawa ta mnie nie smakowała, ale za to w obozie spożyto ją z wdzięcznością.

W obozie naszym panował ruch ożywiony. Handlarze bananów, kartofli, trzciny cukrowej, ryżu, mąki maniokowej i drobiu wołali kupców. Wkrótce też rozpoczęto handel zamienny na sukno i perły szklane. Życie takie podoba się Zanzibarczykom, jako też i znaczniejszej liczbie krajowców, wesolość swoją wyrażali więc w śpiewie, którego nie słyszeliśmy już oddawna.

Tego samego poranku wysłałem łódź dla zabrania maruderów, którzy nie mogli dojść do obozu. Popołudniu przywieziono pięciu chorych. Wkrótce potem odbyłem przegląd karawany, która, jak się okazało, posiadała następującą ilość ludzi, zdolnych do dalszego marszu:

|                         | ludzi | przywódców |
|-------------------------|-------|------------|
| 1 kompania . . . . .    | 69    | 4          |
| 2 „ . . . . .           | 57    | 4          |
| 3 „ . . . . .           | 60    | 4          |
| 4 „ . . . . .           | 61    | 4          |
| kucharzy . . . . .      | 3     |            |
| chłopców . . . . .      | 9     |            |
| Europejczyków . . . . . | 6     |            |
| Sudańczyków . . . . .   | 6     |            |
|                         | 271   | 16         |
| chorych było . . . . .  | 56    |            |

Cała karawana liczyła . . . . . 327 ludzi

Ponieważ z Jambuja wymaszerowało 389 ludzi, przeto do tej pory wskutek śmierci i zbiegostwa straciliśmy 62 ludzi<sup>1</sup>

Następnie kazałem ludziom wsiąść na łodzie i chorych przewieść do osady arabskiej, ponieważ poprzednio zawarłem układ, na mocy którego mieli być żywieni tam za cenę 5 dolarów od głowy na miesiąc, do czasu, w którymby major Barttelot, lub ktokolwiek inny nie przybył z rozkazami odemnie.

Jak wiadomo, ludzie Ugarrowy spotkali mnie w dniu 31-ym sierpnia w pobliżu ujścia Nápoko. Zamiast popłynąć w dół rzeki, powrócili do Ugarrowy, aby przewieść mu otrzymane odemnie wiadomości, w mniemaniu, że misja ich jest skończoną. Ugarrowa pragnął zaopatrzyć się w proch, którego zapasy już wyczerpał. Major Barttelot posiadał 2½ tony (2,500,000 kg.) prochu i wyruszył już napewne w górę rzeki, ale ponieważ ma wiele pakunków, przybędzie tu dopiero za kilka miesięcy. Pragnąłem ko-

niecznie skomunikować się z Barttelotem, umówiłem się zatem z Ugarrowem, że dam mu przekaz na 150 kg. prochu, jeżeli ludzie jego popłyną w dół rzeki tak długo, póki nie wręczą Barttelotowi mego pisma. Ugarrowa był bardzo wdzięcznym za tę ofertę i przyrzekł w przeciągu miesiąca wysłać w dół rzeki 40 ludzi. (Stosownie do przyrzeczenia, wysłał istotnie ludzi w czasie pomiędzy 20 a 25 września. Dotarli oni aż do wodospadów ós, t. j. na odległość 266 km. od Jambuja, ale z powodu strat, jakie ponieśli i nieprzyjaznego usposobienia krajowców, powrócili).

Sprzykrzyły się nam już trudy żeglugi, oświadczyłem przeto Ugarrowie, że dalej pomaszeruję lądem; ale Arab nie radził mi tego, ponieważ żegluga oszczędza ludziom dźwiganie pakunków, a nadto potrzebaby pozostawić wszystkich chorych. Prócz tego powiedział mi, że żegluga w górze rzeki jest o wiele łatwiejszą.



## ROZDZIAŁ IX.

Jeszcze raz wyprawa składała się z ludzi wyborowych, a umysł mój był wolny od kłopotów o straż tylną i los chorych. Stację Ugarrowy opuściliśmy z 180 pakunkami na łodziach i statku stalowym i z 47 pakunkami, które niosły kompanie naprzemian co cztery dni. Kiedy wyruszyliśmy w d. 19 września, Arabowie towarzyszyli nam przez kilka godzin, aby pokazać nam drogę i życzyć powodzenia.

Zaledwie wieczorem zgromadziliśmy się w obozie i zaczęło się ściemniać, przybyła łódź, wysłana przez Ugarrowę, wioząca trzech związanych, zbiegłych Zanzibarczyków. Ku wielkiemu zdziwieniu mojemu dowiedziałem się, że Zanzibarczycy ci zbiegli, a Ugarrowa odnalazł ich po powrocie do stacyi.

Zbiegli z karabinami, a w drodze zdołali skraść naboje. Wywzajemniając się, posłałem Ugarrowie rewolwer i 200 nabojów. Zbiegów postawiono pod strażą; zanim jednakże udałem się na spoczynek, zastanowiłem się nad tem, jak z nimi postąpić należy. Jeżeli przeciwko takim

złoczyńcom nie postąpimy surowo, będziemy wkrótce zmuszeni cofnąć się, a ofiary w ludziach i straszne trudy marszu pozostaną bezowocnymi.

Nazajutrz rano kazałem wszystkim ludziom stanąć w szeregu i wygłosiłem do nich stosowną przemowę, która podobała się wszystkim. Kiedy powiedziałem, że wszyscy staramy się usilnie o wypełnianie obowiązków, wszyscy to potwierdzili; wszyscy ucierpieli wiele, ale też wszyscy dowiedli przy tej sposobności, że są niewolnikami i nie posiadają poczucia moralności. Wszyscy zgodzili się na to, że gdyby krajowcy próbowali skraść nam karabiny, „lusze nasze”, mielibyśmy prawo strzelać do nich i że ludzie za swą pracę opłacani, ochraniań i dobrze traktowani, mogliby być również rozstrzelani, gdyby próbowali pozabijać nas w nocy.

— A więc—rzekłem—co czynią ci, skoro zabierają broń i uciekają z naszymi środkami obrony? Mówicie, że zabilibyście krajowców, którzyby nie pozwalali wam iść dalej, lub cofać się. A cóż czynią ci ludzie? Czyż będziecie mogli iść naprzód, lub cofać się, jeżeli nie będziecie mieli broni, lub amunicyi?

— Nie, odpowiedzieli.

— A zatem skazaliście ich na śmierć. Jeden z nich ma umrzeć dziś, drugi jutro, trzeci pojutrze i od dnia dzisiejszego każdy zbieg, każdy złodziej, który opuszcza swoje stanowisko i życie towarzyszy naraża na niebezpieczeństwo, będzie ukarany śmiercią.

Następnie spytano skazanych, kim są. Jeden odpowiedział, że jest niewolnikiem Fardjalli ben Alego, jednego z przewódców pierwszej kompanii; drugi był niewolnikiem jakiegoś Baniana w Zanzibarze, trzeci niewolnikiem rzemieślnika z Unjanjembe.

Ciągniono losy: kto z trzech skrawków papieru wyciągnie najkrótszy, umrze najprzód. Los padł na niewol-

Fardjalli, który był przy tem obecnym. Następnie uwiązano linę do drzewa, jeden jej koniec ciągnęło 40 ludzi, pętlicę założono na szyję skazanego.

— Masz co jeszcze do powiedzenia, zanim wydam rozkaz powieszenia cię?

Odpowiedział potrząśnięciem głowy. Sygnał zabrzmiał, skazańca podniesiono w górę; zanim wyzionął ducha, wyprawa wyruszyła z obozu, w którym pozostała tylko straż tylna i oddział rzeczny. Zwłoki jego przywiązano do drzewa; w kwadrans później obóz był opuszczony.

W dniu tym uczyniliśmy dobre postępy, ponieważ wzdłuż rzeki ciągnęła się ścieżka, dla karawany bardzo dogodna. W czasie marszu szukaliśmy żywności, ale znaleźliśmy tylko trochę małych bananów. Obóz rozbiliśmy w odległości godziny drogi od ujścia Lendy do Ituri.

Na przeciwnym brzegu ujrzeliśmy kąpiącego się słonia, który miał wspaniałe kły. Kap. Nelson, ja i strzelec Saat Tato podpłynęliśmy do niego aż na odległość 5 m. Daliśmy do niego równocześnie trzy strzały, a następnie jeszcze dwa; zwierzę uciekło jednak, mimo to, że w ważne części jego ciała dostało się tyle ołowiu. Od tej chwili straciliśmy wszelkie zaufanie do naszych karabinów. W czasie całej wyprawy z karabinów „Express“ nie ubiliśmy ani jednego zwierza. Wkrótce potem kap. Nelson sprzedał swój karabin w Kilonga-Longa za odrobinę żywności, zaś ja podarowałem swój w dwa lata później Antariemu, królowi Ankori. Natomiast używałem ze skutkiem karabinu Reilly № 8 lub 10, o czem powiadamiam tych, którzyby chcieli skorzystać z mego doświadczenia.

Nazajutrz rano poleciłem jednemu z chłopców, aby przywołał Raszyda, głównego przewodnika.

— No, mój stary Raszydzie, powiesimy zaraz dru-

giego zbiega. Trzeba zarządzić przygotowania. Co ty sądzisz o tem?

— Ha, cóż, jeżeli nie zabić tego, który nas chciał zabić. Skoro tym ludziom pokażemy ziemię, najeżoną zatrutemi kółkami i powiemy im, aby się ich strzegli, wówczas nikt nie może winić nas o to, że ludzie są głuchymi na nasze przestrogi. Sami winę przypisać sobie muszą.

— A mimo to surowa to kara. Raszydzie, ben Omarze, ten las zamienia serca w ołów, a głód rozum odbiera; każdy myśli o próżnych trzewiach i o kurczącym się żołądku. Słyszałem, że nieraz już matki z głodu dzieci swe zjadały. Jakżeż więc możemy dziwić się, że sługa zbiega, jeżeli pan wyżywić go nie może?

— To prawda taka, jak światło słoneczne. Ale jeżeli mamy umrzeć, to pozwól umierać nam wszystkim razem. Pomiedzy nami jest wielu takich, co krew swoją dadzą dla ciebie, panie, jeżeli rozkażesz. To inni ludzie— niewolnicy z niewolników— oni nic nie rozumieją i o nic się nie troszczą; oni gotowi uciekać z tem, co potrzebne jest dla ochrony naszego życia — pozwól, niech przepadną i zginią. Oni wiedzą dobrze o tem, że ty, panie, jesteś chrześcianinem i przedsięwziąłeś to wszystko, aby ocalić synów Islamu, którzy zdala stąd nad wielkiem jeziorem znajdują się w wielkim kłopotcie; przyznają, że są muzułmanami, a jedaak chcą opuścić chrześcianina. Pozwól, niech umrą!

— Ale, Raszydzie, temu zbiegostwu i grożącej nam zagładzie możemy zapobiedz w sposób inny, nie tak srogi, jak wieszanie; co ty sądzisz o tem?

— Ja mówię, że wszystkie środki są dobre, ale najlepszym jest pozostawienie ich przy życiu, aby mogli żałować swej winy.

— Dobrze. Kiedy wypiję kawę, danym będzie znak

do przeglądu. Tymczasem przygotuj długą linę i zarzuć ją na mocną gałąź. Zrób nawet dobrą pętlicę. Trzymaj więźniów w pogotewiu, a skoro usłyszysz trąbkę, szepnij innym przewodnikom do ucha, aby przyszli do mnie i poprosili o pardon. Ja spojrzę na ciebie i zapytam, czy skazaniec ma co do powiedzenia. To będzie znak dla ciebie. Jak ci się to podoba?

— Stanie się tak, jak mówisz, panie. Ludzie odpowiedzą ci, paunie.

W pół godziny później zabrzmiała trąbka, kompanie otoczyły więźnia. Na gałęzi wisiała długa lina z pętlicą i wita się po ziemi, jak wąż olbrzymi. Kiedy wygłosiłem krótką przemowę, wystąpił jeden z ludzi i nałożył pętlicę na szyję skazańca; jedna kompania była gotową do podniesienia liny.

— Czy masz jeszcze co do powiedzenia, zanim pójdziesz za bratem, który zmarł wczoraj.

Skazany milczał i zdaje się, że słów moich nawet nie rozumiał. Zwróciłem się do głównego przewodnika.

— Czy masz co do powiedzenia, zanim wydam rozkaz.

Raszyl dał znak innym przewodnikom, poczem wszyscy rzucili się do nóg moich, z prośbą o przebaczenie, krzycząc na złodziejów i zapewniając najuroczyściej, że zbiegowie poprawią się w przyszłości.

Warto było patrzeć w czasie tej sceny na twarze Zanzibarczyków i widzieć otwieranie się ich oczu, zaciśnięcie ust, blednienie policzków.

— Dosyć, dzieci! Weźcie tego człowieka, życie jego do was należy. Ale strzeżcie się! Tego, który w przyszłości skradnie nam karabin, czeka tylko jedna kara, śmierć przez powieszenie.

Nastąpiła chwila rozdrażnienia—wielu ludziom spływały łzy po policzkach, oczy ich otwierały się szeroko; rzucali czapki i turbany w powietrze, podnosili do góry

karabiny i prawe ręce i wołali: Nikt nie opuści tej „białej czapki“ aż do jej śmierci. Śmierć temu, kto opuści Bułę Matari! Pokaż nam drogę do Njanza! Prowadź nas, a my pójdziemy za tobą.

Jeszcze nigdzie nie widziałem takiego wybuchu uczuć, chyba w Hiszpanii, gdzie to rewolucjoniści, nasłuchawszy się mów, zachęcających do wierności zasadom wolności, równości i braterstwa, dali folgę swym uczuciom.

Skazaniec płakał także. Kiedy zdjęto pętlicę z jego szyi, ukląkł i przysiągł, że umrze u stóp moich. Podałem mu rękę i rzekłem: To łaska Boża, Bogu za to podziękuj.

Znów zabrzmiały trąbki, wszyscy zawołali głośno: Z pomocą Bożą! Z pomocą Bożą! Oddziały, przeznaczone do niesienia tobołów w tym dniu, pobiegły na swoje stanowiska i wyruszyły w drogę wesoło, jakby na uroczystość jaką. Uśmiechali się nawet oficerowie. Jeszcze nigdy w lesie Kongo nie było tyle serc wesołych, co w tym dniu.

W godzinę później oddziały lądowy i rzeczny dotarły do Lendy, rzeki głębokiej a na 90 m. szerokiej. W zachodniej stronie jej ujścia leżała mała wioska, lecz drzewa bananowe dawno już były poobrywane. Przeprowadziwszy karawanę przez rzekę, pozwoliliśmy ludziom rozjeść się po okolicy dla poszukiwania żywności. Wszyscy powrócili przed wieczorem i nie przynieśli żadnego pokarmu.

Kiedy w d. 23 wyruszyliśmy w dalszy pochód lądem i rzeką, wpadło mi na myśl, że dopiero d. 18-go pozostawiłem 56 inwalidów w obozie Araba, a przecież przy przeglądzie dziś rano przekonałem się, że znów 50 ludzi z powodu osłabienia było niezdolnych do marszu. Nawet najsilniejsi i najroztropniejsi ludzie chudli z powodu braku pożywienia. Przez okolice te, wyniszczone przez po-

szukiwaczy kości słoniowej, iść było niepodobna. Jednakże przybywszy do Umeni, dostaliśmy na szczęście żywności na cały dzień; znów więc nabraliśmy otuchy.

Nazajutrz zbiegł garbaty Abdallah. W tem miejscu nspotkaliśmy na skały podwodne i wodospady.

Dzień 24 września spędziliśmy na furazowaniu i torowaniu drogi przez gąszcz w lesie. Pionierom udało się natrafić na znaczną ilość bananów; ale inne kompanie nie miały nic.

Następnego dnia minęliśmy trzecią kataraktę i zatrzymaliśmy się przy starym obozie arabskim. W tymże dniu nie mogliśmy dostać artykułów żywności.

Jakie usługi oddawały nam łodzie, dowodzi fakt, że musieliśmy płynąć niemi naprzód i wracać po dwakroć i trzykroć, aby zabrać 227 tobołów, a mimo to wszyscy zdrowi ludzie byli zatrudnieni do wieczora. Ludzie byli tak osłabieni wskutek głodu, że trzecia część ich mogła się już tylko czołgać. Ja sam tego dnia nie jadłem nic więcej, jak tylko dwa banany, podczas gdy kilku Zanzibarczyków w dwu dniach ostatnich wogóle nic nie jedli, co podkopuje siły nawet najzdrowszych ludzi. Oddział furazerów pierwszej kompanii, popłynawszy rzeką do osady Avatiko, uzyskał trochę owoców. Przytem schwytano kobietę, która opowiadała, że zaprowadzi nas do miejsca, gdzie rosną tak grube banany, jak ramię.

Dnia 27-go września był odpoczynek. Posłałem porucznika Stairsa dla zbadania rzeki, zaś 180 ludzi, pod przewodnictwem wziętej w niewolę kobiety, na drugą stronę rzeki po żywność.

Pierwszy po powrocie opowiedział, że nie widział ani jednej wsi, natomiast spotkała go przygoda ze słoniami, przed którymi umknął z wielkim trudem. Zanzibarczyey powrócili z tak wielką ilością bananów, że] każdemu można było dać po 60 do 80 sztuk. Gdyby słuchano

rad i obchodzono się z bananami oszczędniej, bylibyśmy mieli mniej zmartwienia, ale ich apetytu nie można było poskromić. Ilość bananów, jaką otrzymali, mogła im wystarczyć na sześć dni do ośmiu, a tymczasem wielu ludzi nie spało w nocy, aby jeść bez ustanku, w nadziei, że Bóg zlituje się nad nimi i da im jeszcze więcej.

Dnia 30-go września oba oddziały spotkały się w porze śniadaniowej. Oficerowie i ja mieliśmy w tym dniu ucztę, ponieważ Stairs znalazł w dole żywą antylopę i ryby świeże w strumieniu, zamknięte w sieci jakiegoś rybaka.

Popołudniu rozbiliśmy obóz w miejscu, gdzie dawniej zatrzymywały się łodzie krajowców. Wkrótce przestraszyły nas trzy strzały; zapowiadały nam one obecność Manjemów; niezadługo też przybył do obozu niemal tuzin przystojnych mężczyzn. Należeli do crszaku Kilonga-Longa, rywala Ugarrowy w dziele niszczenia.

Manjemowie opowiedzieli nam, że osada Kilonga-Longa znajduje się w odległości pięciu dni marszu; ponieważ kraj jest bezludnym, powinniśmy zaopatrzyć się w banany, które możemy znaleźć po drugiej stronie rzeki. Z tego miejsca do okolic otwartych, t. j. do wyjścia z lasu, czeka nas jeszcze miesiąc marszu. Radzili nam zatrzymać się tu jeszcze przez dwa dni dla zgromadzenia żywności. Zgodziliśmy się na to bardzo chętnie, ponieważ musieliśmy szukać żywności w jakikolwiek sposób.

Pierwszego dnia wypoczynku poszukiwano żywności napróżno; nazajutrz rano wysłaliśmy więc silny oddział pod komendą Stairsa i dra Parkego na brzeg północny. Popołudniu furazerowie powrócili z taką ilością bananów, że mogliśmy rozdzielić je po 30 na każdego.

Dnia 3-go października przybyliśmy do punktu rzeki, w którym ta była bardzo szeroką i otoczona była szeregiem wzgórz. Woda była tu tak rwącą, że płynąć dalej



było niepodobna. Posunęliśmy się o 5 km. dalej, ale karawany lądowej dosięgnąć nie mogliśmy.

Dnia 4-go października popłynęliśmy znów  $2\frac{1}{2}$  km. dalej i przepawiliśmy wyprawę na brzeg północny, ponieważ Manjemowie opowiadali nam, że osada ich znajduje się na drugim brzegu pod Ipoto. Manjemowie znikli, a w ich towarzystwie nasi trzej zbiegowie. Dwu ludzi zmarło na dysenterję. Z trudnością uniknęliśmy dwu wypadków: dwa razy jedna z łodzi została zalaną, a łódź stalowa uderzyła tak mocno o skałę, że nasze chronometry zatrzymały się, chociaż dotąd szły bardzo regularnie.

Nazajutrz rano po ciężkiej pracy na łodziach przybyliśmy do silnego kolana rzeki. Kiedy wysiadłem na ląd i uszedłem kilkanaście kroków wzdłuż rzeki, przekonałem się na pierwszy rzut oka, że nasza żegluga już się skończyła. Wzgórza były wysokie, rzeka wąska, a w odległości 90 m. odemnie wypadały dzikie wody Ihuru z jakiejś paszczy, podczas gdy Ituri spadał z wysokich katarakt. Obie rzeki łączyły się tutaj, aby płynąć dalej z tem większą siłą.

Wysłałem zatem łodzie pod komendą Stairsa, aby odwołać karawanę, a po ich powrocie wysłałem ludzi znów na brzeg południowy.

Dnia 6-go października było nas wszystkich 271 ludzi. Od tego czasu dwu zmarło na dysenterję, jeden z powodu osłabienia, czterech zbiegło, a jeden był powieszony. Mieliśmy zatem tylko 263 ludzi. Z tych 52 wychudło jak szkielety, ponieważ z powodu wrzodów nie mogli fużować.

To, co im wydzielano, nie wystarczało dla odzyskania sił, utraconych w czasie głodu. Wskutek tych strat miałem tylko 211 ludzi, zdolnych do marszu; ponieważ między nimi było 40 takich, co tobołów nie nieśli, a miałem 227 tobołów, miałem zatem więcej tobołów, niż unieść

mogłem. Kapitan Nelson w ostatnich 14 dniach cierpiał wiele z powodu wrzodów, których miał około tuzina. Tak on, jak i 52 ludzi byli w tym dniu niezdolni do marszu.

Znajdowaliśmy się tu wobec trudnego problemu. Kap. Nelson był naszym towarzyszem, byliśmy zatem obowiązani wyteńczyć wszelkie siły, aby go uratować. Mieliśmy również obowiązki wobec 52 czarnych i mimo to, że byliśmy w bardzo smutnem położeniu, to jednakowoż nie w tak złem, byśmy mieli utracić nadzieję ocalenia ich. Ponieważ Manjemowie powiedzieli nam, że ich osada znajduje się w odległości pięciu dni marszu, a my maszerowaliśmy już dwa dni, mieliśmy zatem do nich jeszcze trzy dni drogi. Kap. Nelson mówił, że jeżeli byśmy posłali naprzód inteligentnych posłańców, to ci przybyliby do osady Kilonga Longa znacznie prędzej, niż cała wyprawa; ponieważ projektowi temu nie mogłem nie zarzucić, a przewodzczy murzynów byli naturalnie najdzielniejszymi, przeto wysłałem naczelnego przewodzcę i pięciu innych, aby w osadzie Arabów przygotowali zapasy żywności.

Przed ich odejściem oficerowie i murzyni pytali mnie, czy wierzę opowiadaniu, iż przed nami są Arabowie. Odpowiedziałem, że jestem o tem przekonany, lecz być może, że Arabowie dla zachęcenia nas odległość oznaczyli nieco za krótką.

Powiedziałem nieszczęśliwym, że abyśmy wszyscy nie zginęli, mamy zamiar posuwać się naprzód tak długo, póki nie znajdziemy żywności, i następnie o ile możliwości jaknajprędzej przyszlemy im żywność, oddałem 52 ludzi 81 tobołów i 10 łodzi pod komendę kap. Nelsona, prosiłem ich, by byli dobrej myśli, a następnie z resztą ludzi wyruszyłem w pchód.

Trudno było wybrać smutniejszy punkt na obóz od tej piaszczystej terasy. Otoczona skałami wokół, zam-

knięta była lasami, wśród których odbijało się ustawicznie echo szumu i huku dwu wodospadów. Fantazyja wzdryga się na myśl o położeniu tych biedaków, skazanych na bezczynność i głód.

A my posuwaliśmy się naprzód i naprzód—nie wiedząc, jak długo to potrwa — aby szukać żywności, obciążeni podwójną odpowiedzialnością, za dzielnych ludzi, którzy maszerowali z nami, i za owych równie dzielnych a smutnych, którzy pozostali w tyle.

Kiedym przyglądał się biednym ludziom, znużonym a przecież idącym naprzód, zdawało mi się, że za kilka godzin zginiemy wszyscy. Jeszcze dzień jeden, dwa a życie nasze uleci. Jakżeż chciwie szukali oni czerwonych jagód *phrynium*, albo kwaskowatych owoców *amomum*! Jak żarłocznie rzucali się na grzyby! W tej ciężkiej biedzie nie gardzono niczem, chyba drzewem i liśćmi.

Dnia 7-go października o godz. 6 $\frac{1}{2}$  rano szliśmy marszem pogrzebowym grzbietem wzgórza leśnego. Szukaliśmy w pochodzie grzybów i owoców dzikiej natongi i po 7-iu godzinach marszu stanęliśmy obozem. O godz. 11-ej rano, jak zwykle, wypoczywaliśmy. Oficerowie gospodarowali swemi bananami tak oszczędnie, jak tylko można było; dla mnie zostały tylko dwie sztuki. Moi towarzysze byli pod tym względem również bardzo skrupulatni; filiżanka herbaty bez cukru kończyła obiad.

Mówiliśmy o widokach naszej wyprawy, o tem, czy nasi wysłańcy wrócą prędko. Oficerowie pytali, czy coś podobnego zdarzało mi się w moich poprzednich wyprawach.

— Nie, tak źle, jak teraz, nie było nigdy — odpowiedziałem. Biedowaliśmy, ale nie tak bardzo. W czasie ucieczki z Bumbire cierpieliśmy wprawdzie głód, a położenie nasze było smutne także wówczas, kiedy płynęliśmy w dół Kongo, dla zbadania tej rzeki; ale mieliśmy przynajmniej coś, a przynajmniej wielkie nadzieje. Czasy

cudów minęły, a może nie? Mojżesz wydobył ze skał Horeb wodę dla spragnionych żydów. Wody mamy dosyć, a nawet zawiele. Eliasza nad strumieniem Cherit żywił kruk, ale w tym lesie niema kruków. Chrystusa posilał anioł: chciałbym wiedzieć, czy i nas kto nie posili?

W tej ciawili zaszeleściało coś tak, jakby leciał jakiś wielki ptak. Mój mały wyżeł Litle Randy podniósł łapę i oglądał się ciekawie; oglądaliśmy się, a w tejże samej chwili ptak jakiś wpadł w paszczę Randy'ego, który trzymał go, jak w żelaznych kleszczach.

— Hej, ludzie—zawołałem—bogowie są dla nas naprawdę łaskawi. Czasy cudów jeszcze nie minęły.

Moi towarzysze patrzyli wesoło na piękną perlicę (pantarkę); wkrótce też podzielono ją, przyczem i Randy otrzymał swój udział; zdawało się, że piesek wiedział, iż odtąd wszyscy więcej go szanowali.

Nazajutrz polecilem p. Jephsonowi, aby pojedyncze części łodzi stalowej kazał złożyć, by w ten sposób ulżyć tym, którzy je nieśli. W dwie godziny po wymarszu przybyliśmy w pobliże zamieszkaney wyspy. Kilku ludzi podpłynęło do niej na łodzi, aby rabować mięso, jak szalony Roland.

— Czego chcecie, potwory?

— Chcemy mięsa. W lesie upada ze znużenia dwustu ludzi.

Krajowcy nie zadawali dalszych pytań, lecz nader uprzejmie znikli, pozostawiając nam swe skarby żywności. Na nasz udział przypadło 1 kg. kukurydzy i  $\frac{1}{4}$  kg. bobu. Wogóle znaleźliśmy około 12 kg kukurydzy, którą rozdzielono pomiędzy ludzi.

Popołudniu od p. Jephsona, który pozostął w tyle z łodzią, otrzymałem notę treści następującej: „Jeżeli we wsi możesz Pan otrzymać żywność, przyslij ją nam na miłość Boską“.

Odpowiedziałem Jephsonowi, aby odszukał słonia, który, postrzelony przezemnie, schronił się na sąsiednią wyspę. Posłałem mu także kilkadziesiąt ziarn kukurydzy.

Dnia 9-go października stu ludzi oświadczyło gotowość przepłynięcia się przez rzekę, aby zbadać wnętrze kraju na wybrzeżu północnem, z stanowczym zamiarem nie powracania bez żywności. Ja z częścią ludzi popłynąłem w górę rzeki, podczas gdy Stairs poszedł w dół jej, aby wyszukać wąską ścieżkę i udać się nią w głąb kraju, w tej nadziei, że ścieżka zaprowadzi go do jakiej wioski. Ci, co nie mieli ochoty iść dalej, krążyli wzdłuż południowego brzegu i zbierali dzikie owoce i bób. Ten ostatni jest tam cztery razy większy, niż europejski. Początkowo łuszczyliśmy go i gotowaliśmy, ale potrawa ta wywolywała ból żołądka. Następnie widzieliśmy, jak jakaś stara kobieta, którą schwytaliśmy na jednej z wysp, przyrządzała z tego bobu potrawę w ten sposób, że go łuszczyła, następnie zdierała skórkę wewnętrzną, a w końcu tarła go, jak orzechy muskatułowe. Z otrzymanej w ten sposób mąki robiła wyborne pasztety. Mnie potrawa ta smakowała, jak żołądziejce.

Nazajutrz kilkunastu furażerów powróciło z przeciwnego brzegu z rękami próżnymi.

— Jnszallach! — powiedzieli — przyniesiemy żywności jutro, albo pojutrze.

Następnego dnia zjadłem ostatnie ziarno kukurydzy, tak, że w południe musiałem zaspokoić straszliwy głód czem innem. Kazałem zatem zmiażdżyć i ugotować liście kartoflane, jakie przyniósł mi przywódca tragarzy, Wadi Chamis. Potrawa ta nie szkodziła, ale żołądek pozostał pustym. Następnie jakiś Zanzibarczyk przyniósł tuzin owców wielkości śliwki i wydających miły zapach: dum-

nym był z tego bardzo, zapewniał, że są dobre, że ludzie jedzą je i że wybrał najpiękniejsze dla mnie i oficerów. Przyniósł także pasztety, przyrządzone z bobu. Obiad taki przyjąłem bardzo wdzięcznie. W godzinę po obiedzie zrobiło mi się tak niedobrze, że musiałem położyć się do łóżka. Było mi tak, jak gdyby mi kto powieki ścisnął żelaznemi kleszczami, a oczy osłabły tak bardzo, że drobnego pisma nie mogłem czytać, nawet przy pomocy szkieł. Mój służący, Niemiec, zjadł więcej, chorował więc jeszcze gorzej.

Już przed zachodem słońca furazerowie pierwszej kompanii powrócili po 36 cio godzinnej nieobecności i przynieśli tyle bananów, że europejczyków można było uchronić od śmierci głodowej; natomiast murzyni otrzymali tylko po dwie sztuki, t. j. prawie po 125 gr., podczas gdy dla nasycenia ich żołądka potrzeba było 4 kg.

Oficerowie Stairs, Jephson i Parke przez całe popołudnie zajmowali się układaniem fantastycznego menu; jeden z nich wybrał takie potrawy:

Filet de boeuf en Chartreuse.

Petites bouchées aux huîtres de Ostende.

Bécassines rôties à la Londres.

Inny, obdarzony naturą więcej anglosaską, wybrał potrawy solidniejsze:

Jaja i szynka, obficie.

Roastbeef i kartofle, bez ograniczenia.

Wielki plumpudding.

Dwu furazerów wprawdzie zgubiono, ale nie mogliśmy czekać dłużej. Z tego obozu głodu wyruszyliśmy do drugiego w odległości 18 km.

Jeden z murzynów 3-ej kompanii upuścił skrzynię amunicji w głęboką rzekę i stracił ją; Kadjeli zbiegł ze skrzynią amunicji Winchestera. Selim zbiegł ze skrzynią, w której znajdowały się nowe buty dla Emina baszy

i dwie pary moich. Wadi Adam zbiegł z całym uzbrojeniem i garderobą dra Parkego. Suadi zostawił na drodze swoją skrzynię i umknął, za jego przykładem poszedł Utzunga, ze skrzynią nabojów Remingtona.

Dnia 12-go października poszliśmy dalej. Chcieliśmy przekroczyć rzekę, aby raz jeszcze spróbować szczęścia na wybrzeżu północnem, lecz rzeka miała 360 m. szerokości, a nadto prąd był bardzo silny. Oddział rzeczny był daleko od nas.

Kilku muzułmanów dojrzało wkrótce łódź, przywiązaną u wysepki, o 36 m. od południowego wybrzeża odległej. Trzech ludzi, a pomiędzy nimi Wadi Asmani, człowiek wierny i bardzo doświadczony, oświadczyło gotowość sprowadzenia tej łodzi. Jako nagrodę za to, przyrzekłem im 20 dolarów.

Wszyscy trzej wybrali miejsce na rzece, gdzie było dużo raf, po których mogli przedostać się do wysepki. Nad wieczorem powrócili dwaj z nich ze smutną wieścią, że Asmani, próbując przepłynąć do wysepki z karabinem na barkach, utonął.

Już to wogóle prześladowało nas nieszczęście; nasi przewodnicy nie powrócili jeszcze od Arabów, co napędzało nas obawą o ich los; ludzie silni zbiegali, liczba karabinów zmniejszała się, amunicję kradziono. Ferusi Albi, obok Ulediego najdzielniejszy marynarz, żołnierz i tragarz, wierny i dobry, umierał wskutek rany, jaką zadał mu w głowę nożem jakiś dziki.

Nazajutrz odpoczywaliśmy. Mieliśmy zamiar przekroczyć rzekę i czekaliśmy na powrót przewodników, a pomiędzy nimi na Raszyda ben Omara, „ojca ludzi“, jak go u nas zwano. Zaopatrzeni tylko w karabiny, amunicję i żywność, ludzie ci w ciągu tygodnia od czasu wymarszu z obozu Nelsona mieli przebyć 160 km. Jeżeliby na tej przestrzeni nie napotkali na osadę Maujemów, ja-

każ przyszłość czekała nas, obładowanych towarami i zgłodniałych? Wskutek ustawicznego głodu ludzie nasi zaczęli już ciężko chorować; trzech zmarli wczoraj.

Wieczorem przybył Jephson i przywiózł na łodzi kukurydzę; było jej tyle, że każdy europejczyk otrzymał po 12 czarek. Był to dla nich ratunek od śmierci.

Nazajutrz karawana przepłynęła się na brzeg północny, oznaczając poprzednio drzewa, aby przewodnicy murzynów, wracając od Arabów, wiedzieli, gdzie szukać nas mają. Ferusi Ali zmarł.

Ludzie nasi byli tak zniechęceni, że byłem zmuszony przedstawić im położenie nasze w słowach następujących:

— Ludzie, położenie nasze jest takie. Przy wy-marszu z Jambuja było nas 389 i mieliśmy 237 tobołów. 52 ludzi zostawiliśmy na stacyi Ugarrowy, zaś 52 przy kapitanie Nelsonie. Powinniśmy zatem posiadać obecnie 271 ludzi, a tymczasem mamy tylko 200, nie licząc nieobecných przewodników; a zatem 71 ludzi zmarło, zbiegli, lub zostali zabici. Pomiedzy wami jest tylko 150 takich, którzy są w stanie nieść pakuuki, a zatem łodzi stalowej nieść już nie moglibyśmy! Ja mówię tak, zatopmy tę łódź u brzegu, a sami idźmy prędko naprzód, aby szukać żywności dla nas samych i dla tych, co pozostali przy kapitanie Nelsonie, a którzy nie wiedzą, co dzieje się z nami. Wy nosicie łódź, nie my; powiedzcie więc, co mamy uczynić.

Oficerowie i murzyni podawali różne projekta ale Uledi, towarzysz moich dawnych wypraw po Afryce, odezwał się:

Panie, moja rada jest taka. Ty pójdiesz z karawaną naprzód i odszukasz Manjemów, a ja i moi ludzie po zostaniemy przy tych kataraktach i będziemy łódź pchali lub sunęli tak daleko, jak się to tylko uda. Po dwóch



daiach poszlę ludzi do Ciebie, aby ciągle porozumiewać się z Tobą. Nie możemy zabłądzić, ponieważ ślady, jakie karawana za sobą pozostawia, nawet ślepy odszukać potrafi.

Projekt ten uznano ogólnie za najlepszy; postanowiliśmy zatem usłuchać rady Uledięgo.

Rozłączyliśmy się o godz. 10-ej rano, a wkrótce potem mogłem przekonać się, jak przykrym jest marsz wśród wzgórz nad rzeką Aruwimi. Smutna to była wędrówka. Jakże przykro było patrzeć na gromadkę ludzi, przedzierających się przez las bez końca, a idących za białym, którego celów nie znali. Obecnie byli już wściekle głodni. Co czekało ich w przyszłości, nikt nie wiedział. Ale co to znaczy? Śmierć i tak przyjdzie prędzej, czy później. Dlatego to posuwaliśmy się ustawicznie naprzód, przedzieraliśmy się przez krzaki, deptaliśmy rośliny, a żywiliśmy się kukurydzą i jagodami.

W południe niejaki Umari wdarł się na drzewo na 9 m. wysokie, aby urwać dojrzały owoc Fenessi; spadł jednak na dwu innych, którzy owoc ów schwytać chcieli. Umari stłukł sobie biodro, zaś drugi skarżył się na ból w piersiach.

Popołudniu przybyliśmy do wspaniałej doliny amfiteatralnej, na której znaleźliśmy obóz, świeżo przez krajowców opuszczony. Uciekli tak prędko, że uznali za stosowne nie obciążać się nawet swojemi skarbami. Zaiste, w godzinę najstraszniejszej nędzy wsparł nas Bóg. W obozie tym znaleźliśmy dwa korce kukurydzy i korzec bobu.

Także i biedny osioł, którego przyprowadziłem z Zanżibaru, objawiał symptomata bliskiej śmierci. Od 26-go czerwca jadł tylko Arum i Amomum, pożywienie zupełnie nieodpowiednie. Postanowiłem zatem nędzy jego koniec położyć i zabiłem go. Mięso jego podzielono tak starannie, jakby to była najkosztowniejsza dziczyzna, ponieważ tłum murzynów zaczął wyłamywać się z karności. Kiedy

mięso podzielono zupełnie bezstronnie, powstała bójka o skórę; kości rozchwymano i potłuczono, kopyta gotowano przez kilka godzin, tak że z mego biednego osła nie pozostało nic więcej, jak kałuża krwi i sierść; stado hyen nie rozszarpałoby go lepiej.

Dnia 16-go października przeszliśmy przez kilka głębokich wąwozów i przez cudowny las phrynium. Wiele pni było obrosniętych dojrziałymi Fenessi, na 30 cm. długości, a 20 cm. średnicy; niektóre owoce smakowały, jak ananasy; w każdym razie były nieszkodliwe. Wogóle było tu sporo owoców. Zdaje się, że sama natura uznawała, że podróżnicy cierpieli już dosyć.

W południe murzyni mówili o naszych widokach:

— Wiecie, mówili, potrząsając głowami, że ten i ten umarł, że ten zginął, a trzeci umrze może dziś w nocy Reszta zginie jutro.

Po takiej mowie odgłos trąbki powołał wszystkich na stanowisko, wzywając do dalszego marszu, do dalszej walki aż do skutku.

W pół godziny później pionierzy przedarli się przez gąszcz Amomum i natrafili na drogę. Na każdym drzewie był znak Manjemów; odkrycie to wywołało radość u całej karawany.

— Którędy, panie? spytali pionierzy.

— Naturalnie, na prawo, odparłem, a byłem jeszcze weselszy, niż wszyscy, bo i ja tęskniłem za osadą, która zakończy straszne chwile nasze i skróci nędzę Nelsona i jego czarnych towarzyszy.

— Jeżeli się Bogu podobać będzie, mówili nasi ludzie, jutro, albo pojutrze będziemy mieli żywność. To znaczy tyle, że cierpiawszy głód przez 336 godzin, mogą czekać cierpliwie jeszcze 36, albo 60 godzin, jeżeli się to Bogu podoba.

Wszyscy zeszczupleliśmy strasznie, ale Europejczycy

nie tak, jak czarni. Myśleliśmy o przyszłości i mieliśmy wielkie nadzieje, lecz każdy przegląd ludzi odbierał nam energię. Ubolewaliśmy nad tem, że nasi towarzysze nie mieli większego zaufania do nas. Niejednego zabijała rozpacz, głodowi towarzysząca. Wielu z nich wypowiadało o twarcie swoje myśli i oświadczało, że my nie wiemy, dokąd idziemy. Co prawda, mieli trochę słuszności po swej stronie, ponieważ nikt nie umiał powiedzieć, co czeka nas jutro w niezbadanych głębiach tego lasu. Ale los kazał im towarzyszyć nam, byli więc losowi posłuszni. Źle im się działo, cierpieli wiele. Trudno jest iść, gdy pusty żołądek sił pozbawia, ale jeszcze trudniej, kiedy trzeba dźwigać toból, ważący 30 kg. Przeszło 50 ludzi było jeszcze dość silnych, ale 150 ludzi, których szkielety tylko skórą były powleczone, nosiło piętno nędzy w oczach, na ciele i w ruchach. Ci mogli czynić mało co więcej, jak czułgać się dalej, jęczeć, lży ronić i wzdychać. A jak osłabło moje poczciwe psisko, Randy. Mięsa nie kosztował już od kilku tygodni, prócz trochę z osła. Stairs nie opuszczał mnie nigdy. Jephson miał od czasu do czasu szczęście odkryć skarby zboża i był zawsze odważny, zaś Parke zawsze pracowity, cierpliwy, wesół i łagodny.

Marsz wzdłuż ścieżki Maujemów był łatwy. Nieraz napotykaliliśmy całą sieć ścieżek, ale raz obrawszy dobry kierunek, umieliśmy wybierać drogę właściwą. Szliśmy więc prędko dalej, a ślady na ścieżce zdradzały, że zbliżamy się do ludnej osady.

W nocy padał deszcz i było zimno. Rano wyruszyliśmy pospiesznie dalej i już w półtorej godziny stanęliśmy u kraju polany. Widok zasłaniała nam mgła, mimo to jednak usłyszeliśmy głosy, jakby spór jakiś, w niezrozumiałej nam mowie prowadzony. Dałem zatem dwa strzały z mego winchesterowskiego karabinu, na co odpowiadano nam strzałami z broni, mocno nabitej. Odpo-

wiedź ta zawiadamiała nas, że mamy przed sobą Manjemów. Kiedy przebrzmiało echo strzałów, karawana wyłała swą radość w długich okrzykach: Hurra!

Schodząc ze wzgórza w kotlinę, widzieliśmy, jak z przeciwległego wzgórza ze wszech stron zbiegały ku nam gromadki mężczyzn i kobiet, witające nas przyjaznymi okrzykami. Na prawo i lewo widzieliśmy piękne łąki kukurydzy, ryżu, słodkich kartofli, bobu. Następnie usłyszeliśmy znane nam dobrze okrzyki powitalne Arabów i ofiarowanie gościnności, a wkrótce potem ściskaliśmy dłonie wesółych, jak dęby silnych mężczyzn, którym życie w pustyni było równie miłe, jak w ojczyźnie. Witali nas głównie Manjemowie, chociaż zapewnienia przyjacielskich uczuć powtarzali za swymi panami także i ich niewolnicy, uzbrojeni w karabiny perkusyjne.

Gromady mężczyzn i dzieci prowadziły nas przez bujne pola ku przeciwległemu wzgórzu. Wszyscy wyrażali swą radość z powodu zobaczenia przybyszów i z powodu uroczystości, jaka ich czekała. Kiedy przybyliśmy do wsi, proszono nas, abyśmy ulokowali się pod głębokimi, cienistymi werendami, poczem musieliśmy odpowiadać na niezliczoną ilość pytań i życzeń. Kiedy karawana przechodziła przed nami i zajmowała wskazane jej kwatery, gospodarze nasi odmawiali modły, dziękujące Bogu za cudowne ocalenie nas w puszczy, która przed ich osiedleniem się pod Ipoto, ciągnęła się aż do wodospadów Basopo, na odległość 320 km. Do modłów tych z głębi serca przyłączyła się cała, tak ciężko dotknięta, karawana-

## ROZDZIAŁ X.

Gromada handlarzy kości słoniowej, osiadła w Ipoto, przybyła tu przed pięciu miesiącami z Lualaba. Podróż ich trwała  $7\frac{1}{2}$  miesięcy, w czasie których nie widzieli ani trawy, ani kawałka ziemi, nie porosłej lasem, co więcej, nawet o kraju takim nie słyszeli. Przez miesiąc stali obozem w Kinnena nad Lindi i postawili tam budynek stacyjny dla swego naczelnika, Kilonga-Longa. Tenże, połączywszy się z głównym oddziałem, posłał 200 ludzi, zbrojnych w karabiny i 200 niewolników, jako tragarzy, w kierunku północno-wschodnim, celem odkrycia tam osady zamożnej, z kądby mogli rozpraszać się w okolicy, niszczyć wszystko, palić i niewolników zamieniać za kość słoniową. Wskutek ustawicznych walk, liczba ich w przeciągu  $7\frac{1}{2}$  miesięcy zmniejszyła się do 90 zbrojnych. Przybywszy do rzeki Lenda, dowiedzieli się o osadzie Ugarrowy, wskutek czego oddalili się z owych okolic, szukając innego pola dla swej działalności. Po przekroczeniu Lendy udało się im dotrzeć do południowego brzegu Ituri.

Ponieważ krajowcy nie chcieli pomagać im przy

przeprawie przez rzekę, ścięli wielkie drzewo i wyłobili z niego łódkę. Od tego dnia rozpoczęli krwawe walki, z którymi rzezi, urządzanych przez Tippu Tiba i Tagamoja, nawet porównać nie można. W okolicy, pomiędzy rzekami Lenda a Ihuru, wszystkie osady spalili, a złość swoją wywierali nawet na gajach bananowych; każdą łódź na rzece rozłupywali, każdą wyspę przepatrywali, dotarli do każdej kryjówki, parci żądzą mordowania kobiet i mężczyzn. Jak daleko na północ dotarli, niewiadomo; jedni mówią, że na odległość 9 dni marszu, drudzy, że 15; ale gdziekolwiek dotarli, wszędzie zachowywali się tak samo, jak pomiędzy Lendą a Ipoto; lasy zamieniali w pustynię.

Odległość z Ipoto do Lendy wynosi 169 km. Jeżeli zatem przypuścimy, że taką przestrzeń Arabowie przebyli w swych niszczących wędrowkach na wschód, północ i południe, to otrzymamy obszar 104,000 km. kwadr. Wiemy, co robił i robi Ugarrowa; wiemy, co czynią Arabowie, osiadli przy stacyi Wodospady Stanleya, a co Mumi Muhala i Bwana Mohammed wokoło jeziora Ozo. Kto wie, gdzie leżą ich siedziby, ten może łatwo zakreślić koło około nich, a każde z tych kół obejmie 100,000 do 130,000 km. kwadr., na których pół tuzina zuchwalców na czele setek bandytów morduje wszystko, aby stać się panem kilkuset kłów słoniowych.

W czasie naszego pobytu w Ipoto, naczelnicy Manjemów, Ismaili, Chamisi i Sangaremeni, młodzieńcy przystojni a silni, byli wobec swego przywódcy, Kilonga-Longa, odpowiedzialni za powierzonych im towarzyszków i działalność. Co chwila który z nich wyruszał z Ipoto do wskazanego mu okręgu. Tak np. Ismailemu przeznaczono wszystkie drogi z Ipoto do Ibwiri i na wschód do Ituri; teren działania Chamisiego ciągnął się wzdłuż Ihuru i na wschód do Ibwiri, podczas gdy Sangaremeni mordował w okolicy na wschód i zachód pomiędzy Ibina a Ihu-

ru, rzekami pobocznemi Ituri. Wogóle rozporządzano tu 150 ludźmi, z których jednakże tylko 50 miało karabiny. Kilonga-Longa znajdował się w Kinnena, a przybycia jezo nie spodziewano się nawet za trzy miesiące. Wojownicy trzech naczelników składali się z Bakuzów, Baleggów i Bazongorów, ludzi młodych, wychowanych przez Manjemów na „opryszków”. Wojowników Manjemów wychowali Arabowie i Wasuahelowie nad wybrzeżem wschodniem. Nadzwyczajny wzrost liczby rozbójników uad rzeką Kongo jest owocem polityki Arabów, którzy wszystkich mężczyzn mordują, a dzieci pozostawiają przy życiu. Dziewczęta oddają do haremów Arabów, Suahelów i Manjemów, zaś chłopców wychowują na żołnierzy i uczą obchodzić się z bronią. Gdy podrosną, dają im na żony sługi z haremów i wysyłają jako uczestników krwawych wypraw. Część łupów staje się udziałem wielkich przedsiębiorców, jak Tippu-Tib, albo Said ben Abed; mały udział otrzymują niewolnicy, resztę bandyci. Dlatego to każdemu z uczestników wypraw zależy na tychże powodzeniu. Przedsiębiorca karawanę uzbraja, zaś sam pozostaje nad Kongo, albo Lualaba, spożywa ryż i pilaf i rozkoszuje się w haremie; naczelnicy, parci chciwością, tudzież rozbójnicy, rzucają się bez litości na każdą osadę murzyńską, aby pochwyć jak największy łup w dzieciach, stadach, drobiu i kości słoniowej.

Wszystko to byłoby niemożliwe, gdyby nie posiadali prochu; w takim razie Arabowie i ich przyjaciele nie mieliby odwagi oddalić się ani na jeden kilometr od swej osady. Jest to prawie pewnem, że gdyby nie pozwalano na przywóz prochu do Afryki, rozpoczęłaby się szybko emigracya Arabów z wnętrza Afryki do morza, ponieważ naczelnicy murzynów potrafiliby pokonać Arabów, uzbrojonych tylko w dzidy.

Jeden jest tylko środek ochrony pierwotnych mie-

szkańców Afryki od zagłady, a jest nim zawarcie formalnego traktatu pomiędzy Anglią, Niemcami, Francją, Portugalią, Afryką południową i wschodnią i Państwem Kongo, traktatu przeciwko przywozowi prochu strzelniczego do Afryki, wyjąwszy na wyłączny użytek własnych agentów, żołnierzy i urzędników, albo dla odebrania każdego kła słoniowego; obecnie bowiem niema w Afryce kawałka kości słoniowej, nabytej w sposób legalny. Każdy kawałek, znajdujący się w posiadaniu handlarza arabskiego, był w krwi unurzany i nią zlaany. Każdy funt tejże kości kosztował życie mężczyzny, kobiety, albo dziecka; za każde pięć funtów spalono chatę; za każde dwa kły zburzono wieś; za każde 20 kłów zapłacono zniszczeniem całej okolicy wraz z ludnością, wsiami i plantacyami. Istotnie, wierzyć trudno, że całe serce Afryki jeszcze obecnie, pod koniec wieku XIX bywa zamieniane na puszcę; że całe plemiona bywają mordowane dlatego, że kość słoniowa jest potrzebna do przedmiotów zbytku i na kule bilardowe. I kogoż to właściwie wzbogaca ten krwawy rabunek kości słoniowej? Tylko kilka tuzinów mieszańców Arabów i murzynów, którzyby resztę swego zbrojeckiego żywota musieli spędzić w kazamatach, gdyby im sprawiedliwość wymierzono.

Kiedy po tych strasznych odkryciach powróciłem do kraju cywilizowanego, powiedziano mi, że kardynał Lavigerie głosił wojnę krzyżową i że w Europie utwierdza się projekt zaczepienia Arabów z bronią w rękę w ich siedzibach w Afryce środkowej. To plan, jakiego można było się spodziewać po ludziach, którzy przyklaskiwali Gordonowi, kiedy tenże na czele swego białego sztabu i sześciu towarzyszy wyruszał, celem oswobodzenia załóg w Sudanie, a tymczasem zadania tego niemożna było dokonać nawet na czele 14,000 rodaków jego pod wodzą najdzielniejszego generała angielskiego. Chwalimy się



tem, że jesteśmy ludźmi praktycznymi i rozumnymi, a tymczasem temu lub owemu entuzyjaście—czyby się on nazywał Gladstone, Gordon, Lavigerie, czy jak tam inaczej—pozwalamy prawie kazania, wskutek czego po wielu krajach przepływa bałwan donkiszotyzmu. Słyszałem, że gromada 100 szwedów, z których każdy miał dać 500 marek na to przedsięwzięcie, zamierza udać się do któregośkolwiek punktu wybrzeża wschodnio-afrykańskiego, aby ztamtąd wyruszyć do Tanganika i rozpocząć tam w sposób samochwalczy wytępienie arabskich handlarzy niewolników, w rzeczywistości zaś, aby popełnić samobójstwo.

Ale rzeczy te nie są celem tego rozdziału. Mamy zamiar zapoznać się dalej z moralnością Manjemów, i rozumieć ich lepiej, niż spodziewaliśmy się poprzednio.

Dotąd nie mieliśmy żadnej wiadomości o naszych przewodnikach, wysłanych dla udzielenia pomocy oddziałowi Nelsona; zaczęliśmy więc obawiać się, że i ich będziemy musieli zaliczyć do straconych. Drogę ich było łatwo odnaleźć od 14 i 15 go października; zdaje się zatem, że następnie puścili się bezmyślnie w górę rzeki i w jakiejś nieznannej wsi zostali pochwyteni przez dzikich. Umysł nasz był niespokojny także o kap. Nelsona i jego towarzyszy. Upłynęło już 13 dni od naszego rozłączenia się; od tej pory położenie ich nie było gorsze od naszego, byli bowiem tak samo otoczeni lasami, ale za to nie dźwigali tyle ciężarów, co my. Silni ludzie mogli szukać żywności w sąsiedztwie, albo łodziami udawać się na miejsce, gdzie furazowaliśmy dnia 8-go grudnia.

Prócz tego na grzbiecie wzgórz rosły jagody i grzyby, a mimo to uważałem za swój obowiązek wysłać do obozu Nelsona oddział ratunkowy z zapasami żywności. Przyniesiono mi rzecz tę załatwić nazajutrz.

Otrzymałem trzy kozy i 12 kocy kukurydzy, któ-

rej przy podziale przypadło na każdego po trzy pałki. Wystarczyło to nam na dwa obiady, po których wielu z nas czuło się jakby odświeżonymi.

W pierwszych dniach naszego pobytu w Ipoto cierpieliśmy wiele z powodu osłabienia. Natura daje nam apetyt, ale za to nic do jedzenia, lub wiele potraw, a za to odbiera apetyt. W tych dwu dniach jedliśmy dużo ryżu i pilafu, tudzież koziny, wskutek czego zaczęliśmy chorować. Narządy do żucia zapomniały o swojej funkcyi, organa trawienia nie mogły podolać przysmakom. Wogóle chorowaliśmy wskutek przejedzenia się po wielu dniach głodu.

Manjemowie uprawiali 120 do 160 ha kukurydzy, 2 ha ryżu i 2 ha bobu, a prócz tego także i trzcinę cukrową. Posiadali około 100 kóz, skradzionych murzynom, mieli nadto w spichrzach olbrzymie zapasy kukurydzy, zrabowanej w jakiejś wsi w pobliżu Iharu. Plantacye bananów były obfite w owoc; słowem położenie tej osady było wyborne.

Muszę przyznać, że pierwszego dnia przyjęto nas z gościnnością samochwalczą, lecz już trzeciego dnia stosunki wzajemne zaczęły oziębować się. Prawdopodobnie źródłem ich serdeczności było przypuszczenie, że posiadamy cenne dla nich towary, tymczasem najlepsze perły, za które mogliśmy zakupić cały zapas ich kukurydzy, zatoneły wskutek przewrócenia się łodzi, zaś przetykane złotem burnusy arabskie skradli zbiedzy poniżej stacyi Ugarrowy. Zawiedzeni, nie otrzymując spodziewanej ilości pereł i pięknych sukien, zaczęli ludzi naszych namawiać do sprzedaży innych przedmiotów. Przeciwno sprzedaży prywatnej własności naszych ludzi, jak koszul, turbanów, kamizelek, noży i pasów, protestować nie mogliśmy; ale oni byli szczęśliwymi posiadaczami przedmiotów, które Arabom również się podobały. Marnotrawni i nie-

rozważni sprzedawali torby od nabojów, noże, a wreszcie karabiny. Zaledwie zatem uniknęliśmy śmierci głodowej, a już groziło nam zabranie w niewolę ze strony Arabów.

Mimo prośb naszych nie mogliśmy otrzymać więcej kukurydzy, niż dwie pałki na jednego dziennie. Przyrzekałem, że skoro przybędzie nasza straż tylna, zapłacę potrójną cenę za żywność otrzymaną, ale u ludzi tych to, co otrzymywali teraz, znaczyło więcej, niż przyrzeczenie. Udawali, jakoby nie wierzyli zapewnieniom, że posiadamy sukno, tudzież, jakoby sądzili, że całą wyprawę podjęliśmy jedynie w celu zawojowania ich. Zapewnialiśmy, że w ciągu dziewięciodniowego odpoczynku wśród nich, potrzebujemy tylko po 6 pałek kukurydzy dziennie. W dniu tym zginęły trzy karabiny, ale naczelnicy udawali, że nic o tem nie wiedzą. Musieliśmy przypuszczać, że jeżeli posądzają nas o złe względem nich zamiary, to najlepszą polityką dla nich byłoby tajne wykupienie naszych karabinów, gdyż wówczas mogliby zmusić nas do przyjęcia takich warunków, jakieby im się podobały.

Dnia 21-go października sprzedano znów sześć karabinów. Gdyby to trwało dalej, cała wyprawa zostałaby rozbitą, ponieważ oddział ludzi bezbronnych w sercu Afryki, zewsząd przez hordy nieprzyjaciół otoczony, jest zgubionym bez nadziei ratunku. Postanowiłem zatem zapobiedz takiemu losowi.

Kazałem oddziałowi stanąć do przeglądu i pięciu ludzi, którzy sprzedali swoje karabiny, skazałem na 25 batów i na okucie. Kiedy ludzie wszczęli okropny hałas, a na jednym skazańcu miał być wykonany wyrok, wystąpił drugi i prosił o pozwolenie, aby mógł mówić.

— Panie, ten człowiek jest niewinny. Karabin jego mam w swojej chacie; wczoraj wieczorem odebrałem go Djumie (jeden z kucharzy), synowi Forkalego, kiedy niósł go na sprzedaż Manjemom. Może Djuma skradł

go temu człowiekowi. Wiem, że wszyscy skazani mówili, iż skradziono im karabiny, kiedy spali. Może to prawda.

Tymczasem Djuma uciekł, został jednak schwytany później w polu kukurydzianem, w którym się ukrył. Przyznał się, że skradł dwa karabiny i przyniósł je do oskarżyciela, celem sprzedaży broni za kukurydzę lub kozę i opowiada, że uczynił to z namowy oskarżyciela. Może to była prawda, ponieważ nie było pomiędzy nimi zapewne ani jednego takiego, któryby nie był zdolny do tego; ale historia ta była tak niepodobną do prawdy, że nie badałem jej bliżej. Wkrótce wystąpił drugi i powiedział, że Djuma jest złodziejem, który skradł swój karabin. Ponieważ oskarżyciel dowiódł tego, a winny przyznał się, skazany został na natychmiastowe powieszenie.

Ponieważ nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Manjemowie kupowali nasze karabiny za kilka pałek kukurydzy, zawezwałem ich naczelnika i zażądałem od niego natychmiastowego zwrotu broni, grożąc, że w przeciwnym razie będą za następstwa odpowiedzialni. Manjemowie oburzali się początkowo i nawet wypędzili Zanzibarczyków ze wsi, tak że zdawało się, iż przyjdzie do bójki, wskutek czego wyprawa mogłaby być rozbitą. Ludzie nasi byli zupełnie zdemoralizowani i wskutek doznanych kłopotów stracili odwagę do tego stopnia, że nie mogliśmy spuścić się na nich; tem więcej, że byli gotowi samych siebie sprzedać w zamian za kukurydzę. Wobec tego nie było nadziei zwycięstwa na wypadek bitwy. Żołądek musi być pełnym, jeżeli ma być dzielnym. Ale trzeba było raz skończyć całą sprawę.

Wraz z 11 karabinami sprzedano także 3,000 nabojów; nie pozostawało mi zatem nic innego, jak żądać zwrotu broni, więc powtórnie zagroziłem, że w razie odmowy, chwycę się środków ostatecznych. Na dowód, że nie żartowa-

łem, wystarczało im spojrzeć na wiszące na drzewie zwłoki. Jeżeli bowiem tak surowo karaliśmy naszych ludzi, to Manjemowie musieli przypuszczać, że jesteśmy gotowi pomścić się także srodze na tych, którzy przyczynili się do śmierci skazanego, otwierając drzwi na przyjęcie przedmiotów skradzionych.

Hałasowali we wsi przez godzinę, poczem przynieśli mi pięć karabinów i ku mojemu niemałemu zdumieniu wskazali mi nawet tych, którzy im broń sprzedali. Gdyby nie było rzeczą niepolityczną, zaraz przy pierwszej sposobności spór zaostrzać, nie przyjąłbym karabinów dotąd, póki by mi nie oddali wszystkich. Gdybym też był pewnym pomocy przynajmniej 50 ludzi, zdecydowałbym się na stoczenie bitwy. Ale właśnie w tej chwili przybył do obozu Uledi, wierny sternik statku „Advence”, z wiadomością, że statek ten stoi nieuszkodzony w porcie pod Ipoto, i że sześciu przewodników, nawpół zgłodniałych i zblakanych, odnaleziono w odległości 6 km. od osady. Wiadomość ta wywołała u mnie uczucia pojednawcze. Wdzięczność za odszukanie zaginionych ludzi, widok Ulediego, świadomość, że pomimo złości natury ludzkiej, mam jeszcze kilku wiernych, zmusiły mnie do zamilczenia.

Następnie opowiedziałem Ulediemu o tem, co zaszło; on próbował natychmiast Manjemów dobrze dla nas usposobić i prosił mnie, abym zapomniał o wszystkim, ponieważ obecnie chwile przykre dla nas już minęły, a zdaniem jego, czeka nas przyszłość szczęśliwsza.

— Bo to, panie drogi — mówił — po najdłuższej nocy następuje zawsze dzień, dlaczegożby więc i nam po długich ciemnościach nie miało zabłysnąć słońce? Wspomnij, panie, na to, ile długich nocy i dni ciemnych spędziliśmy razem w czasach dawniejszych, kiedyto przedzieraliśmy się przez Afrykę, i pozwól, niech w sercu twojem

pokój panowanie swoje obejmie. Z pomocą Bożą wkrótce zapomnimy o naszych kłopotach.

Winnych trzymano związanych aż do następnego poranku. Uledi zwrócił się wprost do naczelników Manjemów, którzy przynieśli mi kukurydzę i usprawiedliwiali się. Byłem z tego zadowolony. Kukurydzę rozdzieliliśmy pomiędzy ludzi. Tak skończył się dzień, który miał pograżyć nas w przepaść, a tymczasem wszystko załatwione zostało lepiej, niż można było spodziewać się.

Przewodnicy, których wystaliśmy byli do Ipoto, dla zawiadomienia o naszym zbliżaniu się, przybyli w sobotę dnia 23-go października. Wychudli, wybladli i osłabieni, wstydzili się bardzo z powodu swej niendanej misji. W swej 17 dniowej wędrówce przybyli nad rzekę Ibina, płynącą od południowego wschodu, w przeciągu dwu dni dostali się nad jej ujście do Ituri i szli następnie wzdłuż biegu tejże. W znalezionem czólnie przeprawili się na brzeg prawy, gdzie byliby umarli z głodu, gdyby nie odnalazł ich Uledi i nie wskazał drogi do obozu.

Przed wieczorem powrócił także z wyprawy Sangarameni, trzeci naczelnik Manjemów, przynosząc z sobą 15 pięknych kłów słoniowych. Opowiadał, że zrobił marsz 20 dniowy i z wysokiego wzgórza widział kraj otwarty, wszędzie trawą porośnięty.

W dniu tym otrzymałem taki zapas kukurydzy, że każdemu uczestnikowi wyprawy mogłem dać po dwie kolby i zachować kilka koszów dla oddziału Nelsona. Ale interesy nie szły gładko, tak że nie mogłem otrzymać pomyslniej odpowiedzi na natarczywą prośbę o wysłanie oddziału ratunkowego.

Jednego z naszych ludzi Manjema przebił oszczepem za to, że na polach kradł zboże; jednego powieszono, 20 osmagano różgami za kradzież amunicji, zaś jeszcze jeden otrzymał 200 różg od Manjemów za usiłowanie kra-

dzieży. Gdyby w tym czasie ludzie nasi byli rozsądniejsi, jakżeż prędko interesa nasze byłyby załatwione w inny sposób!

Mówiłem do nich i prosiłem o wytrwałość i o!wagę zapewniałem, że najgorsze dla nas czasy już minęły, że obecnie powinniśmy starać się wydobyć z okolic, rabowanych przez Manjemów; poczem będziemy tak silni, jak oni. Ba, kiedy to samo mógłbym był mówić do drzew, a te nie usłuchały by mnie tak samo, jak ci łotrzy, rozpaczą zdjęci.

Manjemowie już trzy razy przyrzekali mi wysłać w tym dniu 80 ludzi na pomoc do obozu Nelsona, ale przybycie Sangaramenięgo i różne nieporozumienia sprawiły, że przyrzeczenia w niwec obrócone zostały.

Dnia 24 usłyszeliśmy strzały na drugim brzegu rzeki. Pod pozorem, że strzały te zapowiadają przybycie Kilonga-Longi, powstrzymano znów wymarsz oddziału raktunkowego.

Nazajutrz przybyli ludzie, którzy strzelali. Byli to niewolnicy Manjemów, których widzieliśmy 2-go b. m.

Wieczorem tego dnia zdołałem skłonić trzech niewolników Manjemów do podpisania następującego układu:

„Kap. Nelsonowi posłać na pomoc 30 ludzi i 400 kolb kukurydzy dla jego ludzi.

Kap. Nelsona i d-ra Parkego, tudzież wszystkich chorych niezdolnych do robót w polu, zaopatrywać w żywność, aż do chwili naszego powrotu od jeziora Alberta;

Dać nam przewodnika z Ipoto do Ibwiri, za co po przybyciu straży tylnej otrzymają 1½ sztuki sukna”.

Układ ten spisał Raszid w języku arabskim, zaś ja w angielskim, poczem podpisali go trzej ludzie jako świadkowie.

Za kilka przedmiotów zbyt kownych, należących ośobiście do mnie, udało mi się dla p. Jephsona i kap. Nel-

sona kupić 250 kolb kukurydzy; następnie w zamian za 250 nabojów pistoletowych kupiłem odpowiednią ilość kukurydzy, za małe zwierciadelko w ramkach z kości słoniowej dwa kosze kukurydzy, zaś za trzy flaszeczki esencji różanej trzy kury, tak że dla oddziału ratunkowego i dla uratowanych ludzi miałem 100 kolb kukurydzy.

D. 26 paźdz. p. Mounteney Jephson, 40 Zanzibarczyków i 30 niewolników Manjemów wyruszyło do obozu Nelsona; wyprawy tej nie mogę opisać lepiej, jak przez podanie tu raportu p. Jephsona:

Osada arabska Ipoto  
4 listopada 1887

Szanowny Panie!

D. 26 paźdz. popołudniu wyruszyłem i jeszcze tego samego dnia z 30 Manjemami i 40 Zanzibarczykami przybyłem nad rzekę, przekroczyłem ją i rozbiłem obóz. Nazajutrz rano wyruszyliśmy wcześniej w drogę i w południe przybyliśmy do obozu, gdzie przekroczyliśmy rzekę wówczas, kiedy zgłodniali błędziliśmy, szukając osady Arabów. Znaki na drzewach, pozostawione przez nas, dla powiadomienia przewodników, w którym miejscu przeszliśmy rzekę, były jeszcze świeże. Tego samego wieczoru przybyliśmy do drugiego obozu; tegoż dnia uszliśmy prawie trzy razy więcej, niż dawniej. Obóz, w którym Feerusi Ali otrzymał ranę śmiertelną i gdzie przebyliśmy trzy dni głodu i zmartwienia, wyglądał bardzo smutnie. W ciągu dnia spotkaliśmy szkielety trzech ludzi naszych, pozostałych tam i zmarłych z głodu; przypominały nam nędzę, którą przebyliśmy niedawno.

D. 29 paźdz. o świcie wyruszyłem dalej, postanowiłem bowiem jeszcze tego dnia dotrzeć do Nelsona i prze-



konać się, czy żyje jeszcze. W towarzystwie jednego tylko człowieka wyprzedziłem znacznie cały oddział. Kiedy zbliżałem się do obozu Nelsona, opanowała mnie gorączkowa niecierpliwość, szedłem więc coraz prędzej przez rzeki, strumyki, błota i wzgórza, przez które ludzie nasi z częściami łodzi posuwali się bardzo powoli. Dziś pokonywaliśmy wszystkie trudności szybko; szkielety na drodze przypominały nam znów dni minione. Kiedy ze wzgórza schodziłem do obozu Nelsona, nie słyszałem nic więcej, jak tylko jęki dwóch konających w pobliżu; cały plac miał wygląd opuszczenia i żałoby. Obszedłem zwolna namiot; tam siedział Nelson; podaliśmy sobie ręce, poczem biedak odwrócił się i wyszeptał kilka wyrazów o swoim osłabieniu.

Nelson zmienił się bardzo; był osłabiony i wychudły, naokoło oczu i ust miał zmarszczki. Opowiadał mi o swojej obawie, kiedy dzień za dniem mijał, a pomoc nie nadchodziła; wreszcie doszedł do przekonania, że spotkał nas jakiś wypadek i że byliśmy zmuszeni opuścić go. Żył się głównie owocami i grzybami, które przynosili mu codziennie dwaj chłopcy. Z 56 ludzi, których zostawiłeś pan przy nim, pozostało tylko 5, a z tych dwaj już poumierali. Reszta zbiegła, albo zginęła.

On sam zda panu sprawę ze swoich strat wskutek śmierci i zbiegostwa. Oddałem mu żywność, przesłaną przez pana, a nad którą w drodze bacznie czuwałem; kazał natychmiast ugotować jedną kurę, pierwszą potrawę pożywną od tyłu dni. Bawiłem u niego kilka godzin, zanim nadeszli moi ludzie. Cisnęli się około namiotu, aby składać mu życzenia.

Jak sobie Pan przypomni, Nelson na kilka dni przed rozstaniem się z nami, cierpiał na nogi, tak, że przez cały czas pobytu tutaj nie mógł wyjść z namiotu. Raz miał

10 pęcherzy na nodze; teraz po większej części wyzdrowiał i sądzi, że będzie w stanie iść zwolna.

D. 30 paźdz. wyruszyliśmy z powrotem. Większą część tobołów rozdzieliłem pomiędzy Manjemów i Zanzibarczyków, byłem jednak zmuszony pozostawić 13 skrzyń amunicji i 7 innych tobołów. Zakopałem je tak, że Parke będzie mógł zabrać je następnie.

Nelson szedł lepiej, niż się spodziewał, chociaż co wieczór był bardzo znużony. W drodze powrotnej, przeszliśmy przez rzekę w punkcie nieco odleglejszym, aż w odległości jednego dnia drogi do obozu Arabów znaleźliśmy pańską dawną drogę. Tu znaleźliśmy więcej szkieletów, a w jednym miejscu aż trzy, odległe od siebie zaledwie o 200 m.

Piątego dnia, t. j. 3 listopada, powróciliśmy do obozu Arabów; a zatem wyprawa ratunkowa do Nelsona została ukończona. Mimo marszu odzyskał on siły, ale nie może spać w nocy, jest nerwowym i mocno rozdrażnionym, mam jednakże nadzieję, że w obozie Arabów spokój odzyska. To pewna, że przy swym stanie zdrowia nie byłby w stanie towarzyszyć nam w wyprawach po żywność i że byłby zginął w drodze.

A. J. Mounteney Jephson."

Kap. Nelson i dr. Parke zdali raport następujący:

Wieś arabska Ipoto

6 listopada 1887.

„Szanowny Panie!

P. Jephson przybył z ludźmi po toboły i z przyslaną mi przez pana żywnością do mego obozu dnia 29 paźdz. Dzięki za żywność, była gwałtownie potrzebna. On panu

opowie, w jakim stanie zastał mnie i tych kilku ludzi, którzy zostali jeszcze przy życiu.

Rozstałeś się pan ze mną 6-go października. Rano dnia 9-go kazałem przygotować łódź i wysłałem Umariego, tudzież 13 najlepszych ludzi (wszyscy byli bardzo źli) na drugi brzeg rzeki po żywność. D. 8-go przybył Assani (z 1-ej kompanii) do mnie i powiedział, że powrócił z oddziału, bo był bardzo chory. Tego samego dnia przybył brat Ulediego do obozu i doniósł, że szukając bananów w pobliżu obozu, gdzie spotkaliśmy Manjemów, zgubił ślad. D. 10-go przekonałem się, że Djuma, jeden z przewodników Stairs'a, zbiegł z 10 ludźmi, skradł łódź i popłynął na niej w dół rzeki. D. 11-go policzyłem ludzi. Miałem ich tylko 17, podczas gdy pierwszego dnia 52; inni odeszli, albo za oddziałem, albo w dół rzeki. D. 14 umarł jeden człowiek. Umari powrócił z bananami, które wystarczyły na dwa dni; były bardzo pożądane, ponieważ do tej pory żywiliśmy się korzonkami i grzybami. D. 15 umarł znów jeden człowiek; w nocy przybył Saadi (nr. 1) z kilku ludźmi do obozu, skradł łódź, którą Umari powrócił z drugiego brzegu rzeki i popłynął w dół rzeki; d. 17 Umari odszedł z 21 ludźmi po żywność. D. 19 go umarł 1 człowiek, d. 22-go dwóch, d. 23-go jeden, d. 29, kiedy przybył Jephson, dwóch, d. 30 go jeden. Kiedy opuszczaliśmy obóz, idąc tutaj, Umari jeszcze nie powrócił; jestem jednakże przekonany, że przyjdzie, jeżeli żyje jeszcze. Ilu ludzi ma przy sobie, powiedzieć nie mogę, ale być może, że przybędzie tu z nim pięciu lub sześciu. Oprócz kilku bananów, które otrzymałem od Umariego, żywiłem się tylko korzonkami, grzybami i owocami Mabengu. Na lewej nodze miałem 10 pęcherzy, więc nie mogłem osobiście szukać żywności, utrzymywali mnie więc przy życiu jedynie moi dwaj chłopcy i mały Baruk, jeden z moich ludzi, tudzież Abdulla, którego Stairs przy mnie

zostawił. W chwili przybycia Jephsona byłem bardzo osłabiony, teraz jestem silniejszy. Przybyliśmy tu do wsi 3-go listopada; w dniu przybycia naczelnik Ismaili dał mi mąki i dwie ryby suszone, co wystarczyło na obiad.

Ponieważ przez dwa dni nie otrzymaliśmy żywności, posłałem wczoraj po nią, poczem Ismaili przysłał trochę mąki. Obecnie żyję ze sprzedaży mego ubrania, ponieważ od naczelnika nic nie otrzymujemy. Dzisiaj ja i dr. Parke, z tłumaczem, Hamisem Pari, poszliśmy do naczelnika i mówiliśmy z nim o żywności; powiedział, że nie zawarł z panem umowy co do mego utrzymania, i że wskutek tego doktora i mnie żywi tylko z grzeczności, lecz mówi, że trzech chłopców naszych żywić nie będzie, ponieważ nie dałeś mu pan polecenia w tej sprawie.

R. H. Nelson.

Wieś arabska Ipoto,  
6 listopada 1887

Kochany Panie Stanleyu!

Kap. Nelson i p. Jephson przybyli tu d. 3 listopada, zaś poprzedniego dnia przybyło kilku Zanzibarczyków i Manjemów z tobołami. Ze wszystkich ludzi pozostawionych w obozie Nelsona, przybyło tylko pięciu, reszta pozostałych przy życiu w chwili przybycia oddziału ratunkowego, wyszła z Umarim po żywność. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, kilku z nich odszuka drogę do nas; na ten wypadek skłonię Ismaili'ego, aby pozwolił im pracować w zamian za żywność. Nelson chwiejnym krokiem przybył do obozu; wskutek marszu osłabił bardzo, policzki jego zapadły i zdradzają straszną nędzę, jaką przecier-

piął, schudł o połowę. Jako lekarz czynilem dla niego, co mogłem, aby jednakże mógł odzyskać dawną siłę, musi mieć pokarm pożywny. Z przykrością muszę przecież oświadczyć, że dotychczasowe doświadczenia i rozmowa, jaką mieliśmy dzisiaj z Ismailem, przekonały mnie, że będziemy tu mieli bardzo mało żywności. Od czasu, jak pan odszedłeś, otrzymałem od naczelników tylko trochę mąki i kukurydzy i to musiałem posyłać po nie kilkakrotnie. Szczęśliwym trafem otrzymałem kozę, którą podzieliłem pomiędzy chorych, ponieważ za pośrednictwem Hamisa Pariego dowiedziałem się od Ismailiego, że tylko ci otrzymują pożywienie, którzy pracują w polu. Mamy jednak kilku ludzi, którzy pracować nie mogą, a ci są skazani na wspaniałomyślność innych. Zdrowi otrzymują po pięć kolb kukurydzy w dniach, w których pracują. Ja i Nelson mieliśmy wiele przykrości, zanim otrzymaliśmy żywność od Ismailiego dla naszej własnej potrzeby, wzbinał się on również żywić naszych chłopców, którzy potrzebni są nam do przynoszenia wody i gotowania; chociaż ja osobiście potrzebuję tylko jednego.

Dzisiaj Nelson i ja, udaliśmy się z tłumaczem Hamisem Pari do Ismailiego, który oświadczył, jakobyś pan powiedział naczelnikom, że wielki Msungu (Nelson) zawrże układy sam z nimi co do żywności dla siebie, tudzież jakoby mnie żywił tylko z łaski, ponieważ pan nie zawarłeś żadnego zgoła układu co do mnie. Przypomniałem mu rozmowę jego z panem, mianą owego wieczoru, kiedy to Pan przywołałeś mnie i dałeś mi swój złoty zegarek; powiedziałem mu, że wedle tego, co mi pan powiedziałeś—zawarłeś pan z naczelnikami umowę pisemną, na mocy której ja i Nelson mamy być zaopatrywani w żywność. Powiedzieliśmy mu, że nie żądamy ani kóz, ani kur, ale tego, co nam dać może. Ponieważ umowy pisemnej nie widziałem, nie mogłem spierać się o nią, ale żądałem

aby okazał dokument, który by miie przekonał; ale on odpowiedział, że uczynić tego nie może, ponieważ dokument zabrał naczelnik Hamis, który nie jest tu obecny, a powróci dopiero za dwa miesiące. Wkrótce potem przysłał nam jednak trochę kukurydzy. Położenie nasze jest tu bardzo smutne. Nelson sprzedał już sporo swej garderoby, a i ja musiałem sprzedać niejedno ze szczupłego zapasu mojej garderoby, (ponieważ jeden toból straciłem w drodze), jedynie tylko dla uzyskania żywności.

Będziemy tu o ile możności starali się o utrzymanie przyjaznych stosunków z Arabami, i poniesiemy nawet w tym celu niejedną ofiarę, ponieważ jest to rzecz bardzo ważna. Mam nadzieję, że wyprawa uda się panu pod każdym względem i że wkrótce będziemy mieli sposobność połączenia się z panem i złożenia życzeń Eminowi baszy z powodu jego oswobodzenia.

Dr. T. H. Parke.

Wieś arabska Ipoto,

10 listopada 1887.

Szanowny Panie!

Z przykrością muszę panu donieść, że usiłowano tu kilkakrotnie obrabować nasze chaty i że wczoraj w nocy w chwili, kiedyśmy jedli, udało się złodziejom skraść amunicję z namiotu Parkego, tudzież że raz probowano chatę podpalić. Na szczęście udało mi się zapobiedz temu, ponieważ nie mogłem usnąć. Mówiliśmy z naczelnikiem Ismailem o kradzieży; mówił, że dopuszczają się ich Zanzibarczycy, a nie jego ludzie; nie popełnionoby ich jednakże, gdyby nabojów nie można sprzedawać. Jest to dla

nas wielkie nieszczęście. Od czasu oddalenia się Jephsona Izmaili dostarczył nam znaczną ilość, bo 40 małych kolb kukurydzy; naturalnie, jest śmiesznie mało, a ponieważ nie możemy wyżywić się tem, szukamy ziół, aby niemi żywność naszą uzupełnić.

Uledi powrócił dziś popołudniu, i jutro wyrusza w dalszą drogę; daję mu ten list.

Przyjacielskie pozdrowienia szlę dla Ciebie, Szan. Panie, Stairsa i Jephsona.

R. H. Nelson.

P. S. Właśnie w chwili, kiedy list ten kończyłem, naczelnik przysłał nam trochę mąki, widocznie w tym celu, aby Uledi, który na list czeka, mógł powiedzieć panu, że otrzymujemy żywności poddostatkiem (!).

---

Wieczorem d. 26 paźdz. przybył Ismaili do mej chaty i powiedział, że polubił mnie tak bardzo, iż bardzo chętnie dopełniłby ze mną ceremonii braterstwa krwi. Ponieważ miałem zamiar kap. Nelsona, d-ra Parkego i około 30 chorych powierzyć jego opiece i jego kolegów, oświadczyłem gotowość do tego, chociaż zawieranie braterstwa z niewolnikiem uważałem za ubliżenie mej godności; ale ponieważ u tej hordy chciwych krwi bandytów posiadał wielką władzę, poddałem się ceremonii. Następnie wybrałem koldrę jedwabną wartości przeszło 100 marek, jedwabne chustki, kilka metrów sukna i kilka cennych drobnostek dla niego. Następnie podpisałem z nim jeszcze jedną umowę w sprawie przewodników, którzy mieli towarzyszyć mi na odległość 15 obozów, t. j. dokąd

sięgało jego terytoryum, tudzież w sprawie dobrego obchodzenia się z moimi oficerami, a dla zabezpieczenia umowy, w obecności d-ra Parkego wręczyłem mu złoty zegarek z dewizką, który w Londynie posiadał wartość 49 funtów szterlingów.

Poruczywszy dr. Parkemu opiekę nad przyjacielem jego, Nelsonem i 39 chorymi, nazajutrz wyruszyłem na czele zredukowanego oddziału w dalszą drogę, aby raz jeszcze podjąć walkę z głodem.



## ROZDZIAŁ XI.

---

W przeciągu 2 godzin doszliśmy do Jumbu, zaś na-  
zajutrz w 4 i pół godzin do Busindi.

Znajdujemy się obecnie w kraju Balessów. Sposób  
budowy wsi jest tu zupełnie odmienny. Właściwość ich  
stanowią długie ulice, po których obu stronach wznoszą się  
długie, niskie budynki drewniane, a właściwie plankowe,  
mające 60, 80 a nawet 120 metrów długości. Na pierw-  
szy rzut oka, wsie te wyglądają, jak jeden długi budy-  
nek, przykryty dachem skośnym. Ściany domów od stro-  
ny ulicy mają  $2\frac{3}{4}$  m. wysokości, od strony lasu tylko  
 $1\frac{1}{4}$  do  $1\frac{1}{2}$  m. Są to budowle silne, chociaż na wypadek  
pożaru narażają na niemałe niebezpieczeństwo.

Dalszą właściwością wsi Balessów jest to, że stoją  
w środku karczowiska (wyciętego lasu), którego średnica  
ma nieraz  $2\frac{1}{2}$  km. długości. Marsz przez to karczowisko  
jest bardzo utrudniony, tembardziej, że karawana bywa  
często narażana na napaść ze strony ukrytych w lesie  
krajowców. Dzięki Bogu, były one niezbyt liczne.

Dnia 29-go października doszliśmy w przeciągu sześciu godzin do Bukiri, czyli Mijulu, w odległości 14 $\frac{1}{2}$  kilometrów.

Mała liczba krajowców, prześladowaniami Manjemów zmuszona do poddania się, witała nas okrzykami: Bodo! Bodo! Ulenda! Ulenda! a okrzykiem tym towarzyszyły poruszenia ręki odtrącające, jakby miały znaczyć: precz, precz!

Naczelnik ich nazywał się Muani. Krajowcy nosili wiele ozdób z żelaza polerowanego, jak pierścienie, pasy, obroże na nogach. Uprawiają kukurydzę, bób, figi rajskie i banany, tytoń, słodkie kartofle, yams, rośliny jajo-wate, melony i banie. Kozy są tu piękne i dość wielkie, kur poddostatkim, lecz świeżych jaj mało.

Pomiędzy kilkoma wsiami stoi zazwyczaj obszerna chata z kopułą, podobnie jak w Unjoro, zaopatrzona w podwójne przedsionki.

Nazajutrz odpoczywaliśmy, a przewodnicy Manjemów starali się w przeróżny sposób okazać naszym ludziom swą pogardę. Z obawy, aby czego cennego nie utracili, nie pozwalali naszym ludziom na handel z krajowcami i krzyczeli głośno, gdy który wyszedł na karczowisko po banany. Jak to ludziom naszym przepowiedziałem, nie zyskiwali oni wcale łaski Manjemów przez opuszczenie białych, a przecież na nasze napomnienia, aby byli dzielnymi i wiernymi, byli głuchymi. A tymczasem jedno słowo, a często nawet tylko wyzywające spojrzenie wystarczało, aby na plecy murzyna spadła trzcina Manjema. Jakąż straszną zemstę zaprzysiężono za niegodne obchodzenie się, jakiego doznali nasi ludzie.

Dnia 31-go października przybyliśmy do pierwszej wsi karłów, a w ciągu dnia jeszcze do kilku innych, już opuszczonych. W przeciągu 5 $\frac{1}{4}$  godzin uszliśmy około 14 $\frac{1}{2}$  km. i stanęliśmy obozem w lesie, we wsi karłów.

Kradzież prowadzono tu dalej bardzo pilnie. Przy przeglądzie nabojów okazało się, że trzech ludzie posiadali tylko po jednym naboju! Hailallah, chłopiec 16-letni, zbiegł z moimi 30 nabojami do Ipoto; zaś drugi człowiek z 75 nabojami winchesterowskimi.

Nazajutrz przybyliśmy do wielkiej osady Mambungu, czyli Nebasse.

Chams, najstarszy przewodnik, wyszedł z Ipoto 31-go października i stosownie do zawartej z Ismailem umowy, przybył tu z siedmiu ludźmi.

Obecnie byliśmy w stanie marsz przyspieszyć. Idąc wzdłuż koryta rzeki, mogliśmy wśród ustawicznych trudów ująć dziennie 5 do 11 kilom.; tu możemy robić w przeciągu godziny 2 do 3.2 km., chociaż droga była utrudniona wskutek krzaków, pni i t. d.

Codziennie gromadziły się chmury i były pioruny, obalając drzewa; deszcz padał ulewny, wskutek czego nasze bezkrwiste ciała często marzły. Ale w czasie marszu Opatrzność była na nas łaskawa — słońce świeciło.

Dnia 4 go listopada byliśmy oddaleni od Mambungu o 22 kilom., w osadzie Ndugubisza; poprzednio mineliśmy pięć, przez karłów opuszczonych osad. W dniu tym załédwie się nie uśmiechnąłem, ponieważ zdawało mi się, że w duchu widzę już ów dzień szczęśliwszy, o którym mówił Uledi. Każdy uczestnik wyprawy otrzymał bowiem kolbę kukurydzy i po 15 fig.

15 fig i pałka kukurydzy, to racya królewska, w porównaniu z dwiema pałkami, albo garścią jagód, albo tuzinem grzybów.

— Nie smućcie się, chłopcy, mówiłem, rozdzielając żywność—już świta; jeszcze tydzień, a skończą się kłopoty wasze.

Nie odpowiedziano mi, na twarzach wygłodniałych zajaśniał tylko lekki uśmiech. Nasi oficerowie znosili nę-

dzę z takim męstwem, jakie Cezar przypisywał Antoniuszowi. A przecież jeden z nich zapłacił 20,000 marek za ten przywilej. Byli oni żywym przykładem dla naszych czarnych towarzyszy, z pośród których zapewne niejeden, patrząc na dzielność oficerów, nabierał otuchy do dalszej walki o byt.

Nazajutrz przekroczyliśmy dział wód pomiędzy rzekami Ihuru a Ituri i weszliśmy na terytoryum chłodnych rzek, płynących na lewo do Ihuru. Szliśmy tu ciągle po wzgórzach.

Dnia 7-go listopada przybyliśmy do wsi, na górze położonej. Manjemowie zajęli wieś, zaś nasi ludzie pozostali w krzakach, ponieważ niewolnicy arabscy nie uznali ich za godnych mieszkania we wsi. Powstało o to pomiędzy strzelcem Saat Tato a Chamisem, najstarszym przewodnikiem Manjemów, małe nieporozumienie, które, sądząc po ich kłótni, groziło wybuchem. Chamis uderzył go w policzek. Obaj byli wzrostu dużego, ale Saat Tato o dwa cale wyższy; był dobrym żołnierzem, który w Madagaskarze i pod Seyidem Bargaszem służył jako sierżant, ale ponieważ miał zwyczaj upijać się codziennie około godz. 3-iej, otrzymał przydomek „trzecia godzina” i dymisyę. Był to wyborny człowiek, wierny, posłuszny, podpora, której nigdy nie brakło. Gdyby Saat Tato był dobrze żywiony, byłby przeciwnika swego przerzucił przez kolano i złamał mu kręgosłup, jak drzewce oszczepu. Patrzyłem na Saat Tato dokładnie, ponieważ byłem przekonany, że ludzie nasi stracili ducha. Saat Tato popatrzył przez chwilę surowo na przeciwnika, a następnie grożąc mu palcem, rzekł do Chamisa:

— Dobrze, ale chciałbym, abyś policzek ten powtórzył wtenczas, kiedy mój żołądek będzie pełny. Uderz raz jeszcze, ja to zniosę.

Teraz ja zbliżyłem się do Chamisa i klepiąc go po ramieniu, rzekłem.

— Chamisie, nie czyni tego. Nawet oficerom nie pozwalałem bić ludzi w ten sposób.

Ku naszej radości Chamis powiedział nam, że w zachodnim Indekaru kończy się terytorium jego pana, Ismailiego. Mieliliśmy się jednakże rozstać z Manjemami dopiero w Ibwiri.

D. 8 listopada uszliśmy 18 km. wśród lasu, który był tu jednakże rzadszy, a droga lżejsza o tyle, że mogliśmy ująć 3.2 km. w przeciagu godziny.

D. 9 listopada przybyliśmy do obozu karłów. Do południa wisiały nad horyzontem chmury; w ostatniej części drogi minęliśmy wiele świeżo przez karłów opuszczonych wsi i ośm rzek. Chamis, przewodnicy i ich towarzysze, tudzież pół tuzina jeńców poszli jeszcze do Ibwiri, odległego o 2½ km., dokąd my przybyliśmy nazajutrz. Było to jedno z najbogatszych i najpiękniejszych karczowisk. Bylibyśmy spotkali więcej takich, gdyby wyprawa wyruszyła była o ośm miesięcy prędzej. W karczowisku tem było mnóstwo krajowych produktów, ponieważ Manjemowie nie odwiedzili go dotąd. Prawie na każdym drzewie bananowem było 50 do 140 owoców, niektóre z tychże miały po 50 cm. długości, średnicę 6 cm., a objętość 20 cm. Były zatem tak wielkie, że Saat Tato mógł otrzymać dobry obiad. Powietrze było tu napełnione zapachem świeżych owoców.

Zanim przybyliśmy do wsi, szepnął mi do ucha Murabo, przewodnik, Zanzibarczyk, że w Ibwiri jest pięć wsi i że każda chata jest tamże do trzeciej części napełniona kukurydzą, ale Chamis i jego towarzysze, na podstawie przywileju tych, co pierwsi przyszedli, wszystko zboże zgarnęli do swoich chat.

Kiedy weszliśmy w ulicę, Chamis wystąpił ze zwykłą skargą na złośliwość nędznych Zanzibarczyków. Kiedy następnie spojrzałem na ziemię, ujrzałem mnóstwo porzrzucanych ziarn, co doniesienie Muraba potwierdziło. Kiedy zatem Chamis zaproponował, aby wyprawa zajęła zachodnią połowę wsi, a Manjemowie wschodnią, poważałem się projekt ten odrzucić na tej podstawie, że nie jesteśmy już na terytorium jego pana, i dlatego rościmy sobie pretensję do całego kraju na wschodzie; że obecnie możemy obejść się bez jego rady, i że odtąd bez mego pozwolenia nie wolno mu wziąć ani jednego ziarna, ani jednej figi.

Powiedziałem mu prócz tego, że żaden naród na świecie nie zniesie bez skargi takiej bezwstydnosci, obelgi i krzywdy, jakich dopuszczali się Manjemowie wobec Zanzibarczyków; na przyszłość wolno jednakże tym ostatnim mścić się za takie obelgi.

Chamis zgodził się uniżenie na wszystko.

Pierwszą czynnością, jakiej dokonałem po rozkwatowaniu się, było to, że każdemu dałem po 50 palek kukurydzy i że z krajowcami zawarłem układ co do naszego zachowania się.

W przeciągu godziny zgodziliśmy się na to, że zachodnia część karczowiska od strony Ibwiri ma być oddana naszym ludziom na furazowanie. Umowę tę musiał uznać także i Chamis. W zamian za pakiet sztab miesięcznych, Borjo, najstarszy naczelnik dystryktu Balesse, dał nam kurę i pięć kóz.

Był to dzień bardzo ważny. Od d. 31 sierpnia ani jeden z uczestników wyprawy nie otrzymał całego obiadu, podczas gdy tu dawano im tyle bananów, fig dojrzałych i niedojrzałych, kartofli, jarzyn, yams, bobu, trzciny, cukrowej, kukurydzy i melonów, że gdyby nawet byli słoniami, nie zdołali zjeść przeznaczonych dla nich zapa-

sów żywności. Raz przecież mogli zaspokoić zupełnie głód, który tak długo ich trapił.

Ponieważ mieliśmy czekać na p. Jephsona i około 60 Zanzibarczyków,—40 z karawany pomocniczej, osady łodzi i wyzdrowiałych z Ipoto—dobre skutki dostatku żywności musiały okazać się w przeciągu kilku dni. Była i tu osada, której poszukiwaliśmy oddawna jako stacyi do odpoczynku. Ale ludzie nasi z powodu chudości i nagości wyglądali strasznie. Byli nadzy, ponieważ suknie swoje w stacyi Ugarrowwy i w Ipoto sprzedali za żywność, a byli wychudłymi, ponieważ w czasie 73-dniowego głodu i 13-dniowego zupełnego braku żywności, zamienili się w szkielety. Byli bardzo osłabłymi i wyglądali źle pod każdym względem; ich piękna barwa skóry oliwkowo-bronzowa zamieniła się na brudną czarną, ich oczy zdradzały choroby, zanieczyszczenie krwi i stwardnienie wątroby; piękne zaokrąglenie ciała i delikatne linie muszkułów—niestety, znikły zupełnie.

Nazajutrz, naczelnik Manjemów, Chamis, oświadczył się z gotowością posunąć się dalej na wschód, ponieważ naczelnik Borjo miał mu powiedzieć, że w odległości kilku dni marszu znajduje się piękny kraj, trawą zarośnięty. Sądził, że w towarzystwie krajowców, Borja i 30 naszych karabinierów odkryje zapewne coś interesującego. Przywołałem Borja. Tenże powiedział, że z miejscowości, zwanej Mande, odległej o dwa dni marszu, t. j. o 65 km., można widzieć kraj zielony i że tam przychodzi do Ituri tyle bydła pić wodę, że ta aż wzbiera. Wszystko to zgadzało się z życzeniem mojem dowiedzenia się, jak daleko jeszcze do kraju otwartego, a ponieważ Borjo chciał dostarczyć nam przewodników, więc spytałem, kto ma ochotę wziąć udział w wyprawie. Ku mojemu zdziwieniu zgłosiło się 28 ludzi, którzy tak chę-

tnie chcieli narażać się na nowe przygody, jak gdyby w ostatnich miesiącach opływali w dostatkach.

Wkrótce potem Chamis wyruszył ze swoim oddziałem.

Mimo zakazu nie rabowania terytorium nad Ibwiri, zastrzeżonego dla krajowców, jeden z naszych ludzi zwiędził je i porwał 19 kur, z których jedną już zjadł, a resztę zarznął. Nasza policja tajna schwytała go właśnie w chwili, kiedy spierał się z towarzyszami o to, co ma uczynić z pierzem. Mięso i kości; zdaniem jego, nie narażały go na kłopot. W pobliżu dwóch ludzi zjadło kozę tak, że została z niej tylko głowa! Fakta te ilustrują wybornie wytrzymałość zanzibarskich żołądków.

Krajowcy z Ibwiri zachowywali się wobec nas bardzo pięknie, wstydziłem się więc czarnej niewdzięczności moich towarzyszy. Naczelnik i jego rodzina przebywali z nami prawie ciągle i codziennie powtarzali nam pół tuzina razy swoje powitania: „Bodo, Bodo, ulenda, ulenda“. Ale nasi ludzie w czasie 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miesiąca przebyli straszną nędzę, byliśmy zatem przygotowani na to, że przy pierwszej sposobności dopuszczą się wybryków. Żaden oddział ludzi, jakich tylko znam na świecie, nie byłby znosił głodu tak cierpliwie i tak łagodnie, kiedy niepodobna było znaleźć ani ziarna zboża, ani cośkolwiek przydatnego na pożywienie ludzkie, kiedy w każdym obozie umierali towarzysze, albo padali martwi w marszu, a inni, mniej cierpliwi, szaleni z głodu, rzucali się w głębie puszczy, doprowadzeni z głodu do wściekłości, byliby utracili zaufanie do oficerów, byliby wystrzelali swych białych naczelników, zjedliby ich, i w jednej chwili byliby uwolnili się z pod władzy tych, którzy, jak oni zapewne myśleli, prowadzili ich tylko na pewną zgubę.

Ubolewałem nad krajowcami, których niezasłużenie rabowano, ale z drugiej strony nie mogłem zapomnieć



o długim głodzie, ani też—oprócz kradzieży i drobnych wypadków—cierpliwego posłuszeństwa, niezachwianej wierności moich ludzi, miłości, którą w chwili, kiedy groziła nam śmierć głodowa, okazywali nam, przynosząc największe i najlepsze owoce, jakoteż dzielnego zachowania się. Zapomnieć tego wszystkiego nie mogłem. Te cnoty zmniejszały ich winę; najlepszą tedy rzeczą było czekać, dopóki nasycenie się i rozważa nie dopomogą nam do przywrócenia posłuszeństwa i porządku.

Im więcej nabieram doświadczenia, im lepiej poznaję naturę ludzką, tem bardziej przekonuję się, że ludzie są w znacznej części zwierzętami. Jeżeli człowiek odżywia się dobrze i regularnie, staje się istotą, którą łatwo skłonić, albo zmusić do wysiłku wszelkiego rodzaju, istotą, którą kieruje miłość lub obawa, która nie leni się w żadnej pracy, chociażby ona była bardzo ciężką; jeżeli zaś jest głodnym, wówczas dobrze jest zachować w pamięci motto: *Cave canem*, ponieważ żaden lew zgłodniały na widok mięsa surowego nie jest tak dzikim, jak człowiek. Surowa dyscyplina, codzienne dźwiganie ciężarów i nieustanny marsz wśród okolic, zupełnie nieznanych, nie zniechęcały naszych ludzi, dopóki żołądek ich był pełny; przeciwnie zaś nawet kara śmierci nie powstrzymywała ich od złego w chwili głodu. Tak samo i krajowcy w Ibwiri, żyjący w dostatku, są łagodni, podczas gdy karłowaci koczownicy leśni są dzikimi.

D. 12 listopada otrzymałem wiadomość, że Manjema Chamis, który wyruszył dla odszukania dolin i sprzyżnienia się z krajowcami, nie mógł wykonać tej misji, że napadli na niego krajowcy ze wschodniego Ibwiri i że utracił trzech ludzi. Wskutek tego poleciłem mu wrócić.

W Ibwiri było tyle pechów, że dla odzyskania spokoju, musiałem rozbić swój namiot na ulicy.

Kiedy d. 13-go listopada odbywałem przegląd obozu

we wsi i stanu moich ludzi, byłem świadkiem „komedyi jedzenia”. Prawie każdy zajęty był tłuczeniem kukurydzy, suszonych bananów, albo miazdzeniem potraw szeregiem pięknych zębów, aby w ten sposób wynagrodzić sobie post wrześnieowy, październikowy i listopadowy.

Chamis powrócił d. 14 listopada z wielką trzodą kóz, i był tak łaskaw, że odstąpił nam 16 kóz. To doprowadziło nas do podejrzenia, że właściwym celem jego marszu było nie zbadanie kraju, ale rozszerzenie zdobyczy jego pana, Ismaili'ego, przy naszej pomocy dalej na wschód i doprowadzenie mieszkańców Ibwiri do takiego ubóstwa, jakie panowało w okolicy Ipoto. Ale chociaż Chamis był dość silny, aby tego dopiąć, głupia chciwość doprowadziła go do tego, że zapomniał o zatrutych strzałach krajowców i wskutek tego stracił trzech ludzi. Zdaje się, że Chamis, zobaczywszy stado kóz, zapomniał o wytkniętym sobie celu zbadania kraju i wysyłał Maujemów na polowanie, a przy sobie zatrzymywał tylko naszych ludzi. Wskutek tej taktyki, Zanzibarczycy nie biorąc udziału w ohydnym rabunku, powrócili bez szwanku. Kiedy Chamis, ubolewając nad stratą trzech towarzyszy, powrócił do wsi, spotkał nagle naczelnika z Ibwiri, Borjo, i nie mówiąc, wziął go w niewolę. Zanim zameldował mi się po powrocie, kazał swoim ludziom naczelnika udusić, by w ten sposób pomścić się za śmierć swoich podwładnych.

Ponieważ dowiedziałem się o tem przypadku, wystąpiłem straż, która Borja musiała przemocą wyrwać z rąk Chamisa; poczem przyprowadziła go do chaty, w której nic złego stać się mu nie mogło.

Używaliśmy w owym czasie spokoju, ponieważ znaleźliśmy tu tyle żywności, że mogliśmy pozostać sześć miesięcy, i nie obawiać się o głód. Rozkoszowaliśmy się dojrzalszymi bananami, puddingiem z nich i mleka koziego, plackami, pasztetami i chlebem, słodkimi kartoflami, maniokiem,

yamsem, jarzynami, drobiem i koziną. Nasze menu tego wieczoru było następujące:

- rosół z koziny,
- pieczona kozina z pieczonemi kartoflami słodkimi, gotowana słodka kassawa,
- pieczone banany,
- słodki placek z dojrzałych bananów,
- legomina z bananów,
- mleko kozie.

W wyglądzie naszym i ludzi dojrzałem już pewną zmianę. Wszędzie było głośniejsze niż dawniej, raz słyszałem nawet, jak próbowano śpiewać, ale śpiew odłożono do lepszych czasów, bo śpiewakowi brakło jeszcze głosu.

D. 16 listopada, o godz. 3 ej popołudniu, przybył p. Jephson, który wywiązał się wybornie z zadania, wyratowawszy Nelsona. Jak wiadomo z listu, w którym p. Jephson opisuje swoją wyprawę, udało mu się przybyć z pomocą kap. Nelsonowi i przebywszy w 7 dniach około 160 km., powrócić z nim do Ipoto. Sądząc z listu kap. Nelsona, zdawało się, że tenże ze strasznej nędzy wyratowany został na to, aby wśród dostatku w Ipoto, dostać się w nowe położenie fatalne.

Nazajutrz Chamis wyruszył do domu ze swymi Manjemami, nie pożegnawszy się nawet. Wysłałem list do moich oficerów w Ipoto, jak również kość słoniową i podarki w suknie dla Chamisa do Indekaru, z kąd Manjemowie otrzymają może posiłki od swych współbraci. Nigdy nie byłem z siebie tak niezadowolony, jak w chwili, kiedy z tymi ludźmi musiałem obchodzić się grzecznie i pozwolić im na wymarsz, nie wyrządziwszy sobie zadość uczynienia i nie powiedziawszy im, co myślę o Manjemach wogóle, a o hordzie w Ipoto w szczególności. Byłem pobity na całej linii; zmusili mnie do tego, że musiałem obchodzić się z nimi bardzo grzecznie, a w końcu nawet

podstępnie do tego, że transportowałem dalej zrabowaną przez nich kość słoniową.

A przecież byłem im pod pewnym względem wdzięczny za to, że ludzi moich jeszcze bardziej nie wyzyskali. Ponieważ kap. Nelson, dr. Parke i około 30 ludzi byli w ich mocy, mogli zmusić mnie do tysiącznych ustępstw, a przecież tego nie uczynili. Pocieszam się nadzieją, że opatrzność Boża uzna z czasem za stosowne położenie moje uczynić mniej zależnem. Dopiero wówczas, kiedy doktor i Nelson wraz z chorymi odzyskają zdrowie i znajdą się w moim obozie, kiedy pozostawione w Ipoto towary w liczbie 116 i łódź będą zabezpieczone, dopiero wówczas będę w stanie zestawić mój rachunek i zażądać uregulowania go ostatecznie. Żądania moje były słuszne i jasne:

### R A C H U N E K

dla p. Kilonga—Longa et Comp. w Ipoto,  
od H. M. Stanleja, oficerów i uczestników wyprawy do  
Emina baszy.

17 listopada 1887.

debet.

|                                                                                                                                                                                                                                                                                                                                        |      |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|
| Spowodowanie głodu 67 ludzi pomiędzy rzekami Lenda a Ibwiri: w chwili przejścia wspomnianej rzeki mieliśmy 271 ludzi, obecnie w obozie, wraz z oczekiwanymi tylko 175, jakoteż 28 ludzi u kap. Nelsona i d-ra Parkego, straciliśmy zatem 27 ludzi w Ipoto, którzy są zasłabi do marszu, a z których zapewne wielu zdrowia nie odzyska. | } 67 |
| Śmierć Muffy Masinga od dzidy . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                                |      |
| Śmierć jednego człowieka pod różgami . . . . .                                                                                                                                                                                                                                                                                         | 1    |

- Obicie Zanzibarczyka, Amiego, 200 różgami.  
Próba zagłodzenia kap. Nelsona i d-ra Parkego.  
Podmówienie do zrabowania dwu skrzyń amunicyi.  
Przyjęcie 30 skradzionych karabinów.  
Uciskanie Zanzibarczyków.  
Zmuszanie Sarboko do pracy niewolniczej.  
Obrażanie kap. Nelsona i d-ra Parkego.  
Spustoszenie 110,000 kilom. kwadr.  
Wymordowanie tysięcy krajowców.  
Wzięcie w niewolę setek kobiet i dzieci.  
Rabunek 200 kłów słoni od maja do października  
r. 1887.  
Mordy, grabieże, zbrodnie, spustoszenia w czasie  
przeszłym, obecnym i przyszłym.  
Śmierć Zanzibarczyków . . . . . 67

D. 27 listopada dowiedziałem się jeszcze raz o smutnych następstwach naszego stosunku do Manjemów. Całe Ibwiri i sąsiednie krainy stanęły pod bronią przeciwko nam. Kroki nieprzyjacielskie rozpoczęły się wówczas, kiedy jeden z naszych ludzi, Simba, udał się po wodę do rzeki w pobliżu obozu, przyczem otrzymał postrzał w nogę. Kiedy z naszych zakłopotanych twarzy dowiedział się o charakterze swej rany, przywołał swych braci, a kiedy niesiono go do chaty, wystrzałem z karabinu odebrał sobie życie.

Uwagi Zanzibarczyków o tem samobójstwie były szczególne; najlepiej mówił służący namiotowy, Sali:

„Pomyśl tylko, Simba, chłopak biedny, nie ma nic zgoła na świecie, nic nie kocha i przez nikogo nie jest kochanym, nie ma ani nazwiska, ani ojczyzny, ani własności, ani honoru, i taki popełnia samobójstwo! Gdyby był bogatym Arabem, kupcem indyjskim, kapitanem żołnierzy, gubernatorem dystryktu, albo białym, którego spot-

kało nieszczęście, albo padł ofiarą hańby, mógłbym wytłómaczyć jego samobójstwo; ale taki Simba, który jest **tylko** niewolnikiem, wypędzonym z Unjanjembe, który na całym świecie nie ma przyjaciela, prócz kilku biednych stworzeń w swej kompanii tu w obozie, zabija się, jak jaki bogaty człowiek! A, porzućcie go w puszczy i niech tam zgnije! Jakież prawo ma on do trumny i pogrzebu?

Taką była powszechna opinia tych ludzi, którzy dotąd byli towarzyszami samobójcy.

Wcześniej rano wysłałem porucznika Stairsa i 36 karabinierów, aby pod przewodnictwem Borja i jednego ochotnika Manjemy, udali się na rekonensans, ponieważ chciałem tu czekać jeszcze kilka dni na tych, co wyzdrowiawszy w Ipoto, wyszliby stamtąd, przekładając śmierć w marszu nad niewolnictwo u Manjemów.

D. 19 listopada przybył Uledi, sternik z „Advence” ze swą załogą i doniósł, że zbliża się do nas 15 towarzyszy. Jakoż wieczorem wszyscy przybyli do obozu.

D. 21 listopada powrócił oddział rekonensansowy pod wodzą Stairsa w towarzystwie Borja. Nie dowiedzieli się nic o nizinach, ale opowiadają, że na wschód prowadzi dość dobra ścieżka. Wiadomość to bardzo poieszająca.

D. 23 listopada, ostatniego dnia naszego pobytu w Ibwiri, odbyłem przegląd oddziału, który zreorganizowałem, jak następuje:

|                                  |           |
|----------------------------------|-----------|
| 1-a kompania, Jephsona . . . . . | 80 ludzi. |
| 2-ga „ Stairsa . . . . .         | 76 „      |
| Sudańczycy . . . . .             | 5 „       |
| Kucharze . . . . .               | 3 „       |
| Chłopczy . . . . .               | 6 „       |
| Europejczycy . . . . .           | 4 „       |
| Przewodnik, Manjema . . . . .    | 1 „       |

---

Razem . . 175 ludzi.

W Ipoto wraz z kap. Nelsonem i d-rem Parke było 28 ludzi; u Ugarrowwy pozostawiliśmy 56 ludzi. Być może, że z Nelsona obozu głodu powróciło pod wodzą Umariego jeszcze kilku ludzi, tak że mogliśmy liczyć, iż oddział pierwszy składa się z 268 ludzi, podczas gdy przed 139 dniami wyruszyliśmy z Jambuja na czele 389 ludzi. Straciliśmy zatem 121. Łudziliśmy się jednak bardzo pod tym względem, ponieważ w tym czasie z ludzi, pozostawionych u Ugarrowwy, umarło już wielu, a stan zdrowia ludzi osłabionych, pozostawionych w Ipoto, był opłakany.

Od czasu naszego przybycia do Ibwiri znaczniesza część towarzyszy przybierała jeden funt na wadze dziennie. Niektórzy utyli już nawet, oczy ich zaczęły rzucać ogień, a skóra błyszczeć. W czasie ostatnich trzech wieczorów próbowano nawet śpiewać. Życie nasze znów się ożywiło; przestano myśleć o szkieletach i marzyć o przyjaciółach, pozostawionych w ojczyźnie; mówiono o tłustych kozach, o pełnych śpiczrach i t. d.

Wszyscy pragnęli iść teraz dalej, sądząc, że dosyć już wypoczęli. Wprawdzie 14 ludzi potrzebowało jeszcze dwutygodniowego wypoczynku, lecz zdaje się, że mogli maszerować dalej, byle tylko mieli dosyć żywności.

D. 24 listopada, o świcie, Sudańczyk zatrąbił sygnał do wymarszu tak wesoło, że wszyscy odpowiedzieli ochotczo: „Gotów, panie, gotów“.

Oficerowie nie potrzebowali już zachęcać do wymarszu, ani jeden nie pozostał w tyle. Twarze wszystkich jaśniały nadzieją, wszyscy byli pełni odwagi. Oddział rekouensansowy znalazł drogę naprzód na dwa dni marszu i opowiadał wiele o olbrzymiej ilości bananów, pół kartoflowych i kukurydzianych, jakie na nas czekały. Poraz pierwszy my, biali, byliśmy wolni od kłopotu o to, kto poniesie ten toból, lub ową skrzynię; nie szukano traga-

fzy, nie gniewano się na ludzi, owszem wszyscy rzucali się ochoczo do rozłożonych tobołów i śmiali się radośnie.

Następnie wyruszyliśmy ze wsi, my, oddział najszczęśliwszych na świecie ludzi. Żli Manjemowie byli za nami, a przed nami żywa fantazyja malowała obraz zielonych okolic i wielkiego jeziora, nad którym powita nas wdzięczny basza i niemniej wdzięczna armia.

W przeciągu trzech kwadransów przybyliśmy do wsi naczelnika Borjo (który poprzedniego dnia został uwolniony), położonej wzdłuż długiej, regularnej, na 10 m. szerokiej ulicy, objętej czterema kwadratami niskich domów. Sądząc z liczby drzwi, gminę Borja tworzyło 52 rodzin. Przed mieszkaniem Borja wznosiła się planka, mająca 2 m. długości,  $1\frac{1}{4}$  m. szerokości i 5 cm. grubości.

Poza wsią rozciągały się pola, ogrody i plantacje mieszkańców, otoczone w około przez dziewiczy, ciemny las niegościny.

Wieś Borja była jedną z najczystszych i najlepiej urządzonych, jakie spotkaliśmy w całej dolinie Aruwimi. W odległości 100 m. od zachodniego krańca wsi płynęła przejrzysta rzeka, w której znajdowało się sporo ryb.

Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy dalej i weszliśmy znów do lasu. W odległości  $6\frac{1}{2}$  km. natrafiliśmy na bagnisko, nadające się wybornie do plantowania palm *Raphia*.

Po śniadaniu mierzyłem moje kroki przez godzinę. Zmierzyłem odległość 200 jardów (182.9 m.), aby wymierzyć długość kroków i przekonałem się, że średnia szybkość marszu po dość dobrej ścieżce w lesie wynosiła 4,800 kroków 26 calowych = 3,467 jardów (3,170 m.) na godzinę.

O godz. 3-ej przybyliśmy do dużej wsi karłów, skąd prowadziły cztery drogi do innych wsi. Miejscowość ta



była zapewne miejscem ulubionem karłów, ponieważ plac we wsi był dobrze wydeptany i nadawał się wybornie do przeróżnych zabaw. Gąszcz w około obozu była zupełnie nienaruszona.

W d. 25 listopada przebywszy 13 km. dotarliśmy do Indemwani. Wieś była zbudowana owalnie i co do rodzaju budowy podobną była do wsi Borja; w około otaczały ją bogate plantacje bananów; było tu poddostatkiem kukurydzy, tytoniu, bobu i tomatów. W czasie przejścia przez pnie drzewa, jeden z naszych ludzi upadł i złamał nogę.

Z Indemwani, d. 26 go, szliśmy przez wilgotną okolicę do zachodniego Indenduru. Co kwadrans musieliśmy przechodzić przez rzekę.

Osobliwością marszu w tym dniu było to, że szliśmy szeroką drogą, wyciętą, która prowadziła do wielkiej wsi karłów, niedawno opuszczonej. Wieś składała się z 92 chat, w których mieszkało zapewne tyleż rodzin. Jedna chata odznaczała się lepszą budową, było to zapewne mieszkanie naczelnika. Widzieliśmy do tej pory około 20 wsi karłów leśnych, ale dotąd tylko jedną karlicę, piękną Hebę miniaturową w stacyi Ugarrowwy.

Stairs w czasie swego rekonensansu dotarł aż dotąd i wówczas wieś ta była cała. Po jego oddaleniu się mieszkańcy spalili ją dlatego, że zajęta została przez obcych. Spostrzegliśmy nadto, że Balessowie rzadko kiedy spożywali dwa razy produkta tego samego pola i porzucali drzewa bananowe, które raz obrodziły. Skoro pole zostało raz uprawione, a zboże zabrane, zamieniano je znów w pustkowie. Zdaje się, że Balessowie trudnią się stale hodowlą drzew bananowych i uprawą roli pod zasiew kukurydzy, czem tłumaczymy sobie fakt, iż spotykaliśmy tak duże karczowiska i tysiące ściętych drzew. Uprawiając banany i figi, obcinają tylko niższe gałęzie drzew,

wkładają młode rośliny w dołki, które zasypują ziemią; następnie ścinają drzewa sąsiednie i pozostawiają je tam, gdzie upadły. W przeciągu sześciu miesięcy roślina wyrasta w drzewo na 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> m. wysokie i w roku następnym wydaje już owoce. Żyto indyjskie i kukurydza potrzebują światła słonecznego.

Ze względu na wielką pracę, jakiej wymaga wykarzowanie lasu, należałoby uważać Balessów za głupców, skoro z powodu tak małej przyczyny, jak dlatego, że obcy zajmowali ich chaty przez jedną noc, wsie swoje niszczą; ale jestto przykład uporczywej złośliwości tych murzynów. Wieś Borja została zbudowana również najdalej przed rokiem. Ludność największej wsi, jaką widzieliśmy, wynosiła nie więcej, nad 600 mieszkańców, a więc trzeba uznać ich straszną pilność, chociaż musimy dziwić się ich przesądom.

Także i zachodnie Indenduru było wsią czystą i dobrze zbudowaną, chociaż było tam pełno robactwa w chatach. Ale ulica była za wąską stosunkowo do wysokości domów, wskutek czego na wypadek pożaru połowa mieszkańców mogła łatwo zginąć w płomieniach. Domy były tu wysokie, a na kilkaset metrów długie, przyczem miały tylko jedne główne drzwi od strony wschodniej. Niebezpieczeństwo na wypadek pożaru było tu zatem tak wielkie, że zanim zajęliśmy wieś, przedsięwzięliśmy najprzód wszelkie środki ostrożności, aby uchronić się od takiego wypadku.

Zebrałiśmy tu sporo bobu; ludzie nasi opływali w sok trzciny cukrowej.

D. 18 go zatrzymaliśmy się we wschodnim Indenduru i wysłaliśmy w różne strony rekonensanse, celem zbadania kierunków różnych ścieżek, ze wsi prowadzących.

Przyzwyczajaliśmy się do torowania sobie drogi wśród gęstwiny leśnej, ale pragnęliśmy oszczędzić sobie tej pracy.

Oddział Jephsona zwrócił się w kierunku południowo-wschodnim i powrócił około południa z wiadomością, że ta droga nie jest dla nas dobrą. Raszid poszedł ze swym oddziałem na północny wschód, a później na północ, minął dwie wsie i dotarł wreszcie do punktu, z kąd jedna ścieżka zwraca się ku południowi, a druga na północny wschód. Poszedł tą ostatnią i dotarł do obozu krajowców, z którymi stoczył walkę. Krajowcy uciekli, poczem on zabrał dziewięć tłustych kóz, z których jednakże tylko pięć przypędził do obozu. I ta droga nie była dobrą dla nas.

Trzeci oddział odkrył dobrą drogę na wschód. Tą postanowiliśmy iść.

D. 29-go opuściliśmy Indenduru i około południa przybyliśmy do Indepessu, popołudniu zwróciliśmy się do osady Baburu. W przeciągu 5 godzin uszliśmy 16 km., co uważać należy za marsz bardzo dobry.

Nazajutrz rano po 1½ godzinnym marszu przybyliśmy na wykarczowaną polankę, mającą około 100 km. objętości. Drzewa wycięto dopiero niedawno, z czego wnosiliśmy, że przybyło tu plemię potężne, albo że znaczna liczba dawnych mieszkańców przybyła z dawnych siedzib do nowych. Jakaś kobieta z plemienia Baburu prowadziła nas dalej, wciąż w górę. W dolinach po obu stronach widzieliśmy duże gaje fig, i ogrody źle uprawiane. Byliśmy już niedaleko szczytu góry, kiedy pierwszy szeregowiec straży przedniej przybiegł do mnie i wezwał mnie, bym spojrzał w stronę wschodnią.

Kiedy skierowałem oczy w tym kierunku, ujrzałem miły widok pastwisk i lasów, płaskich dolin i trawą pokrytych stoków gór, dolin i wzgórków, istotny kraj gór g dolin.

Las olbrzymi, w którym byliśmy zagrzebani tak dłu-  
io, ciągnął się dalej w kierunku północno-wschodnim, n a-

tomiast we wschodnim łąki trawiaste, równiny i wzgórza zarosłe gajami, grupami drzew.

Byłto zatem widok od tak dawna oczekiwany, wyjście z ciemności! Górę ową, wznoszącą się na 1,400 m. ponad poziom morza, nazwałem Pisgah, ponieważ po 156 dniach marszu w dziewiczym lesie na niej poraz pierwszy ujrzeliśmy równiny Aequatoryi.

Towarzysze nasi biegli ochoczo na szczyt góry, a ich oczy zdawały się pytać: „Czy to prawda? To nie kłamstwo? Więc będziemy uwolnieni z więzienia leśnego?”

— Tak, przyjaciele, to prawda. Z łaski Bożej jesteśmy już bliscy końca wędrówki leśnej!

Wyciągali ramiona ku wspaniałej krainie, wszyscy patrzyli z dziękczynnem uwielbieniem ku niebiosom, a kiedy nasycili się już widokiem słońca, odetchnęli głęboko; kiedy odwróciliśmy się patrząc na las ciemny, uczestnicy wyprawy pogrozili mu pięściami. Złorzeczyli mu za okrucieństwo względem nich i ich przyjaciół, porównywali go z piekłem, oskarżyli go o morderstwo setek towarzyszy i nazwali go pustynią grzybów.

A wielki las nie odpowiadał, pozostał nadal niełitościwym, nieubłagany.

W kierunku od południowego wschodu na południe ciągnął się łańcuch gór, wzniesionych na 1830 do 2130 metrów nad poziom morza. Jakaś schwytna kobieta mówiła, że powinniśmy iść w kierunku południowo-wschodnim, a dojdziemy do wielkiej wody, ale ponieważ znajdowaliśmy się pod 1° 22' półn. szerok., poszliśmy w kierunku wschodnim, wprost do celu.

Borjo, naczelnik Ibwiri, zakreślił ręką półkole od południowego wschodu do północnego zachodu, co oznaczało bieg rzeki Ituri, która zdaniem jego wypływa w jakiejś dolinie u stóp wysokiej góry, albo łańcucha gór. Na południowy wschód od Pisgah ciągnął się las—

oto powód, dlaczego nie wybraliśmy kierunku, wskazanego przez murzynkę.

We wsi Bakwuru znaleźliśmy kamizelki z grubej skóry bawolej; zabrali je nasi ludzie jako pancerz, chroniący od strzał mieszkańców dolin.

D. 1 grudnia poszliśmy dalej ścieżką, prowadzącą na wschód. O godz. 11 $\frac{1}{4}$  rano przybyliśmy do wielkiej wsi Ijugu, która, naturalnie, była opuszczoną, ponieważ mieszkańcy dowiedzieli się rychło o zbliżaniu się obcych. Ulica w tej wsi miała 12 m. szerokości.

W lesie pomiędzy Pisgah a Ijugu znajdowaliśmy miejsca suche, a liście drzew były zeschnięte tak, że pod nogami trzeszczały, a we wsi było nawet trochę kurzu na ulicy.

Po chwilowym odpoczynku, w południe poszliśmy dalej i rozbiliśmy obóz pod małą wioską, składającą się z czterech chat. Uszliśmy 16 km., zdawało się nam jednak, że od wyjścia z lasu oddzielają nas jeszcze setki kilometrów, ponieważ las był jeszcze gęsty i pełen zarosli. W jednej z chat znaleźliśmy dziwną strzałę, zupełnie inną, niż te, jakie widywaliśmy dotąd. Miała ona 71 cm. długości, ostrze zaś 7 $\frac{1}{2}$  cm.; obsada składała się z trzciny lekkiej. Prócz tego znaleźliśmy torby ze strzałami, morderczo ostremi.

D. 2 grudnia straciliśmy z oczu ścieżkę krajowców, musieliśmy zatem przedzierać się przez gąszcze i szukać sobie drogi wśród śladów bawołów i słoni. Jakiś głupi chłopiec doniósł mi, że poprzedniego wieczoru doszedł do równiny i że mógłby nas tam łatwo zaprowadzić. Uwierziliśmy mu i puściliśmy się w las bez żadnego zgoła planu wśród gęstwiny, aż po trzygodzinnym marszu przybyliśmy do wsi, której dachy pokryte były trawą.

Odkrycie to powitaliśmy głośniei okrzykami radości. Jeden z naszych ludzi rzucił się na trawę i całował ją z radości. Mieliśmy zatem obecnie dwie charakterystyczne zapowiedzi kraju bezleśnego: chaty stożkowe i dachy trawiaste. W czasie odpoczynku południowego kilkunastu ludzi puściło się w sąsiednie okolice i wkrótce przynieśli zieloną trawę, którą powitaliśmy z taką radością, jak Noe i jego rodzina gołębicę z gałązką oliwną.

Po południu przybyliśmy do wsi Indezura, która składała się z licznych chat stożkowych. Zatrzymaliśmy się tutaj.

Wkrótce potem spostrzegłem, jak kilku ludzi wdarło się na dach dla naprawy tegoż, jak zasłaniali sobie ręką oczy i patrzyli w dal ciekawie.

Wkrótce potem jeden z nich zawołał tak głośno, że słyhać go było w całej wsi: Widzę trawę! To już niedaleko.

— No, rzekł jeden z szyderstwem — a nie widzisz tam jeziora, parowca i baszy, którego szukamy?

Wieść ta ucieszyła nas bardzo. Z szybkością dzikiego kota wdarło się trzech ludzi na dach, inni na szczyty drzew, jakiś odważny młodzieniec zaś na takie drzewo, na które nawet małpa wdarłaby się z trudnością, a wkrótce potem zabrzmiał chór:

— Tak, rzeczywiście. To prawda Boża. Kraj otwarty leży tuż przed nami, a my nie wiedzieliśmy o tem. Odległy on jest od nas tylko na pocisk strzały. Ach, gdy tam dojdziemy, pożegnamy cię, ciemności leśna!

Jeden z naszych ludzi, czerpiąc wodę z rzeki, spotkał starą kobietę, pochwycił więc ją. Ale ona była silna i jak każda kobieta brzemenna, broniła uparczywie swej wolności. Mimo to człowiek ów przyprowadził ją do obozu. Przyjaznem przyjęciem i zagadaniem, jakoteż podaniem fajki, rozwiązaliśmy jej usta i dowiedzieliśmy się,

że jesteśmy w Indezura, że mieszkańcy tego kraju zowią się Wanjazura i piją wodę z Ituri. Z Ituri? Tak, z Ituri, rzeki, płynącej w pobliżu; w sporej odległości od nas płynie rzeka wielka, szeroka, o wiele, wiele szersza od Ituri, na której pływają łodzie tak szerokie, jak dom (3 metry), a mogące pomieścić 6 ludzi; w odległości kilku dni marszu, w stronie północnej, mieszka plemię potężne, Banzanza, a we wschodniej jeszcze większe, Bakandi; oba plemiona posiadają liczne stada bydła, są dzielne, wojownicze i bogate w bydło, kauri i druty mosiężne.

Schwytna stara miała szczególny gust w ubieraniu się, ponieważ w górnej wardze nosiła kółko drewniane wielkości guzika od paletota. Obecnie opanował ją znów szal gniewu i zaczęła łać nas wszystkich, prócz jednego gołowąego młodzieńca, w którym się zapewne zakochała. Ale on, obawiając się czarów u starej, umknął od niej.

Indezura i wszystkie wsie, leżące na skraju lasu, odznaczała się różnaitością i wyborową jakością produktów. Prawie w każdej wsi były kosze z 10 do 25 kg. dobrego tytoniu. Każdy palacz w obozie dostał więc po 2 do 5 kg. dobrego tytoniu. Stara nazywała tytoń „Taba“, podczas gdy w Ibwiri zwano go „Tabo“. Wskutek niedostatecznego wysuszenia, nie posiada on wiele woni, ale można go palić dobrze, a 50 fajek tego tytoniu dziennie nie wywrą na system nerwowy skutku tak fatalnego, jak jedna fajka angielskiego „Cavendish“. Roślinę tę uprawiają tu bardzo, ponieważ pasterze z dolin zamieniają ją chętnie za mięso.

Uprawiają tu także roślinę ricinusową; jeżeli kto potrzebuje tu olejku rycinowego, tłucze nasienie, przypieczone w drewnianym moździerzku. My sami wycisnęliśmy w ten sposób sporą ilość olejku, który wywoływał skutek bardzo dobry. Prócz tego potrzebowaliśmy pewnej ilości

olejku do smarowania karabinów, zaś nasi murzyni smarowali nim swoje ciała; operacya ta przywróciła im wygląd świeży, rzeźwy a silny.

Ponieważ przekonałem się o braku czterech ludzi z oddziału rekonensansowego, wysłałem Raszyda ben Omara z 20 ludźmi, celem ich odszukania. Przyprawdzono ich nazajutrz rano. Dowiedziałem się ze zdziwieniem, że zagiinieni, pod wodzą niepoprawnego Djumy Waziri, pędzili przed sobą 20 pięknych kóz, schwytanych przez patrol podstępnie. Nieraz już chciałem ofiarować go dla dobra drugich, ale łotr ten stawał przedemną z miną tak niewinną, tak błagającą o przebaczenie, że nie miałem odwagi uczynić tego. Był to piękny typ abisyńczyka, który jednakże pięknosć wrodzoną oszpecił obłudą swych rysów. Mhuma, Massai, Mtaturu i Galla musi mieć mięso, więcej nawet, niż Anglik; jest to u niego artykułem wiary, że życie nie ma wartości żadnej, jeżeli człowiek nie dostanie kiedy mięsa. Upomniałem zatem Djumę raz jeszcze i pocieszałem się nadzieją, że karyera jego nie będzie długą, gdyż przecież kiedyś spotka krajowców tak odważnych, jak on sam.

W dniu tym próbowaliśmy wyruszyć dalej, ale w odległości kilkuset metrów zatrzymała nas rzeka, na 36 m. szeroka, a bardzo bystra. Stara murzynka nazwała ją Ituri. Wróciliśmy zatem do wsi, zkąd wysłałem natychmiast Stairsa i Jephsona na czele eskorty, celem wyszukania punktu, dogodnego do przejścia rzeki.

Obaj oficerowie powrócili o godz. 4-ej po południu z wiadomością, że w odległości 2½ kilom. przekroczyli rzekę i dostali się do krainy, porosłej trawą. Na dowód przynieśli pęk młodej, soczystej trawy. Tymczasem Uledi na czele swego oddziału odnalazł bliższą mieliznę, gdzie woda sięgała tylko do tułowiu.



Tegoż wieczoru na całej kuli ziemskiej nie było ludzi tak szczęśliwych, jak nasi. Nazajutrz mieli pożegnać się z lasem; w garnkach mieliśmy sporo zapasów żywności, jak gotowanych kur, zupy kukurydzianej, kaszy, dojrzałych bananów. Cóż dziwnego, że ludzie nasi byli niezmiernie szczęśliwi i z wyjątkiem 10 czy 12, czuli się silniejszymi, niż wówczas, kiedy w porcie Zanzibarskim wsiadali na okręt.

D. 4-go grudnia wyruszyliśmy z Indezura w kierunku mielizny; rzeka miała tu 45 m. szerokości. Barometry aneroidowe wskazywały tu 930 m. wysokości ponad zwierciadło morskie, 564 m. nad poziom rzeki w Jambuja, a 610 m. nad poziom Kongo przy wodospadach Stanleya.

Po drugiej stronie Ituri szliśmy wśród wysokich drzew, a następnie wkroczyliśmy na łąkę, oblaną prześlicznym światłem słonecznym. Jeżeliby wolno mi było wedle mojego uczucia sądzić o uczuciu innych, krocząc po pięknej, zielonej trawie, zdawało się nam, że ubyło nam przynajmniej tuzin lat. Spieszyliśmy naprzód wielkimi krokami, a po chwili, nie mogąc zapanować nad swymi ruchami, cała karawana puściła się cwałem. Zdawało się, że serce każdego z nas rośnie i napęcza się dziecięcą radością.

Karawana biegła naprzód tak długo, póki tchu starczyło; była to przyjemność, której nie zazналиśmy równie oddawna.

Zatrzymaliśmy się na wzgórku, aby podziwiać piękność krajobrazu, który, zdaniem naszym, nie ma równego sobie, a jaki od wielu miesięcy był przedmiotem naszych snów i marzeń. Oblicza wszystkich rozpoznała piękność krajobrazu, odbijała się w nich ukryta radość. Niedowierzanie i troska znikły zupełnie. Byliśmy przejęci takim uczuciem, jak ludzie, z więzienia uwolnieni, którzy

wilgoć i brud na czystość, ciemność na światło słoneczne zamienili.

Poszliśmy dalej ścieżką krajowców w kierunku północno-wschodnim, aż o godz. 12<sup>1/2</sup> zatrzymaliśmy się nad jakąś kryształową rzeką.

Po południu maszerowaliśmy dalej po trawiastym stoku, poczem stanęliśmy obozem u spotkania się dwu rzek, płynących w kierunku południowo-wschodnim. Porzuciwszy toboły, kilkunastu niespokojnych ludzi puściło się do wsi okolicznych po żywność. Nagłe pojawienie się tam zapewniło im dobry zapas drobiu, trzciny cukrowej i dojrzałych bananów. Przynieśli także kilka sztuk broni krajowców: kilka wielkich łuków i długich strzał, ciężkich tarcz prostokątnych, sporządzonych z podwójnego szeregu na krzyż układanych giętkich prętów, a pociągniętych jakąś gumową substancją. Robota ich była piękną. Tarcze te zabezpieczały zupełnie od przebięcia oszczepem lub strzałą. Oprócz tarcz krajowcy nosili kamizelki ze skóry bawolej, których kula pistoletowa przebić nie mogła.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy po stoku dalej i zatrzymaliśmy się tylko na chwilę na grzbiecie góry, celem przywrócenia porządku w oddziale, celem zabezpieczenia się na wypadek napaści ze strony krajowców, których usposobienie było nam nieznaną. W stronie północno-wschodniej widzieliśmy ztąd wieś, do której zmierzaliśmy właśnie. Wysoka trawa utrudniała wielce nasz pochód. Minąwszy kilka wąwozów, w których dostrzegliśmy ślady lwów i lampartów, przybyliśmy do wzgórza, porośniętego akacyami, a następnie do pól soczewicy. W kilka sekund później krajowcy dostrzegli nasze przybycie i natychmiast instynktownie poczęli uciekać, przyczem strzelali do nas z łuków. Nasi ludzie rzucili się odważnie naprzód i pochwycili młodą kobietę i chłopca 12-letniego, którzy mieli

pouczyć nas w naszej nieświadomości położenia. Wprawdzie niepodobna nam było wdawać się w długie rozmowy, ponieważ dyalekta z tych okolic były nam nieznane, jednakże z kilku pojedynczych wyrazów dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w kraju Mbiri, że główna droga prowadzi na wschód do kraju Babuzesów, po za którymi mieszkają Abunguma.

— Czy słyszał kto o Muta, albo Luta-Nsige?

Potrząsają głową.

— O Unjoro?

— Unjoro? Tak. Do Unjoro daleko ztąd. Przytem pokazano ręką wschód.

— O wielkiej wodzie koło Unjoro?

— Ituri?

— Nie, o większej, znacznie większej, tak, jak ta cała równina.

Zanim iast ograniczać się na wyrazach jednozgłoskowych, nieszczęsna kobieta i chłopiec, chcąc powiedzieć nam bardzo wiele, zaczęli mówić tyle i tak prędko, że zrozumieć ich było niepodobna. Pobalamucili nas tak, że musieliśmy uciec się do pomocy milczenia i cierpliwości. Przynajmniej chcieli pokazać nam drogę do Babuzesów.

System budowy chat jest tu taki sam, jak w całej Afryce wschodniej i środkowej. Dach stożkowy stanowi dwie trzecie ich wysokości, reszta przypada na ściany. Co kilka tuzinów metrów chaty rozproszone są wśród gajów bananowych; od jednej do drugiej prowadzą ścieżki, wśród których obcy bez pomocy przewodnika może łatwo zbłądzić. Obok każdej grupy chat wznoszą się budynki gospodarskie, przeznaczone do gotowania, pogawędki, na składy opału, wreszcie do pracy. Są tam także śpicurze, trawą pokryte; dla zabezpieczenia od robactwa, wznoszą się one na 30 cm. ponad powierzchnią ziemi.

Nasi ludzie otrzymali też sporo fig i bananów, z których krajowcy robią upajające wino, zwane Marwa. Prócz tego powiększyliśmy trzodę naszych kóz i zabraliśmy około tuzina kur; resztę, jak zwykle, pozostawialiśmy.

Około południa zatrzymaliśmy się w cieniu pięknych drzew; słyszeliśmy tu w pobliżu szum wodospadu, jak nam powiedziano, rzeki Ituri. Było to dla nas zagadką; nie mogliśmy pojąć, w jaki sposób rzeka ta mogła szumieć w tej wysokości, skoro wczoraj, chcąc ją ominąć, umyślnie oddaliliśmy się od jej doliny.

Po południu po półtoragodzinnym marszu przybyliśmy do dystryktu Babuzesów, gdzie obszerne plantacje bananów ocieniały wielką liczbę chat.

Zanim dotarliśmy do cienia gajów, zorganizowaliśmy nasze szeregi tak, by iść w ordynku trochę więcej zwartym. Awangarda składała się z silnego oddziału zbrojnych w karabiny winchesterowskie, zaś ariergarda uzbrojona była w karabiny Remingtona. Mimo to, że przestrzegaliśmy przed wychodzeniem z szeregów, z awangardy oddalały się tuziny rabusiów, aby w chatach i śpichrzach szukać kur, bananów, kóz, trzciny cukrowej, albo innych rzeczy, nawet bez wartości. Z celnie wymierzonych strzał jedna raniła jednego z rabusiów w ramię i bok, zaś drugiemu draśnięcie skóry na piersiach przypominało głupotę ich postępowania. Salwa z naszych karabinów wypędziła wkrótce krajowców z ich ukrycia, nie raniąc nikogo.

Zatrzymaliśmy się przy osadzie wschodniej. Pod wieczór kazałem raz jeszcze przyprowadzić jeńca i przez pół godziny próbowałem dowiedzieć się od niego, czy na wschód jest jezioro, czy wielka rzeka. Kiedy jeden z przewodników, chcąc mi dopomóc, spytał go, które „Njanza“ (jezioro) jest większe, przy Unjoro, czy przy Uganda, chłopiec zawołał:

— Njanza? Njanza? Tak, Njanza (pokazując na wschód) leży tam i rozciąga się daleko tam (północny wschód).

Na pytanie, ile razy trzeba spać, nim się tam dojdzie, pokazał trzy palce.

Kiedy się ściemniło, przeraził nas nagle okrzyk bóleści, któremu towarzyszyło szczególne wycie, jakby tryumfalne; w ciszy, która po niem nastąpiła, usłyszeliśmy szelest strzał, przelatujących nad naszymi głowami.

— Zgasić ogień! Spokój! Gdzie szyldwachy? Dlaczego nie są na swoich stanowiskach?

Krajowcy zbliżyli się do nas właśnie w tej chwili, kiedy obóz był najmniej strzeżony, w czasie wieczery, podczas której pozwalaliśmy strażom jeść, zanim udadzą się na swe stanowiska. Jedna strzała zadała Selimowi ranę w biodro, na 10 cm. szeroką. Selim wyjął odważnie strzałę z rany, trzeba mu jednak było pomagać pincelęm; przyłożono mu następnie Eucalyptin do rany i odesłano na kwaterę.

W pół godziny później, kiedy strażę były na stanowiskach, krajowcy usiłowali napaść na inną część obozu, ale odpowiadano im strzałami karabinowemi, poczem usłyszeliśmy ucieczkę. W oddali usłyszeliśmy dwa strzały karabinowe i krzyk śmiertelny, co nas przekonywało, że byli tam znów nasi niepoprawni rabusie.

Oddział nasz był słaby, nie co do liczby, lecz co do rzeczywistej siły przy obronie i zdolności noszenia amunicyi, więc każdy włóczęga nabawiał mnie zawsze kłopotu.

W nocy spadł deszcz, który do godz. 8-ej rano powstrzymał nasz marsz dalszy. Skorzystałem z czasu, aby od jeńców dowiedzieć się o charakterze krajowców; ale nie mogliśmy zrozumieć się. Kobieta owa narysowała mi na ziemi kierunek biegu rzeki Ituri. Wedle niej, rzeka

płynęła równolegle do jeziora Alberta i w końcu w nie wpadała. Zdumiony tem, zatrzymałem kobietę w obozie. Ze szczytu wzgórza pokazała mi płynącą na wschodzie Ituri. Kierunek jej był wschodnio-południowy.

Nie chciałem łamać sobie głowy nad rozwiązaniem zagadki, dlaczego, wedle owej kobiety, Ituri, wzdłuż której przebyliśmy tu z Kongo odległość 950 km., miała wpadać do jeziora, skoro wpadała ona do Kongo. Jedy-nem rozwiązaniem zagadki jest chyba przypuszczenie, że istnieją dwie Ituri, z których jedna wpada do Kongo, a druga płynie ku dolinie Nilu; ale ona i brat jej obstawali przy tem, że jest tylko jedna Ituri.

Poszliśmy dalej ścieżką ku dolinie i wkrótce stanęliśmy nad brzegiem rzeki, gdzie rozwiązaliśmy zagadkę. Była to główna Ituri, płynąca z zachodu na południe.

Na rzece znajdowała się łódka. Ponieważ Saat Tato umiał obchodzić się z łodziami bardzo zręcznie, otrzymał polecenie, aby za nagrocią 80 m. przepawił karawanę na drugi brzeg. Rzeka miała 115 m. szerokości i 2 m. głębokości, płynęła zaś z szybkością dwu węzłów.

Krajowcy z Abunguma na lewym brzegu przypatrywali się naszej przeprawie ze wzgórza w odległości  $1\frac{1}{2}$  km. i byli bardzo pewni siebie, tak, że miny ich zdawały się mówić: „Dobrze, przyjaciele, przejdźcie tylko na drugą stronę, a będziecie mieli z nami do czynienia“.

W kraju tak otwartym nie może nic się stać, o czem nie dowiedziałby się zaraz „świat cały“. Abunguma grozili nam dzielnie oszczepami, Babuzesowie zaś zajęli wszystkie wynioślejsze punkty na prawym brzegu. Zdawało się, że dzielność nasza będzie tutaj wystawiona na ciężką próbę. Pocieszaliśmy się jednak tem, że wiedzieliśmy, iż krajowcy są w pobliżu i że gotują się do walki, wskutek czego nie mogliśmy być napaści nie-spodzianie.

Od czasu przybycia do Ibwiri—jak na stosunki afrykańskie — żyliśmy bardzo dobrze. Jedliśmy codziennie mięso, mleko, kury, fasole, słodkie kartofle, yams, toматы, figi, banany, melony i t. d. Skutek był wyborny; ludzie nasi byli mężami pod każdym względem—i pod względem ciała i ducha o wiele dzielniejsi, aniżeli chudopachołki, którzy nie protestowali przeciwko temu, że w Ipo to bili ich łotrzykowie i dzidami przeszywali. Dobre pożywienie wywarło wpływ dobry także i na białych, chociaż bowiem nie utyliśmy, przestaliśmy być chudymi; wino uzupełniłoby wyleczenie.

Nazajutrz szliśmy przez doliny i strumienie orzeźwiająjące; w pobliżu widzieliśmy małe grupy chat krajowców, otoczone uprawnemi polami i t. d. Ale wszystkie chaty były opuszczone, a ich mieszkańcy przypatrywali się nam ze wzgórza. Wreszcie przeszliśmy obok pustego ogrodzenia dla bydła. Na ich widok ludzie nasi zawołali radośnie:

— Tak, nasz pan miał słuszość, sprawdza się wszystko, co zapowiedział. Najprzód zobaczymy trawę, potem bydło i walecznych ludzi, którzy będą je bronili, potem pagórki, potem jezioro, a nareszcie białego człowieka. Trawę już widzieliśmy, tu bydło, potem będą pagórki i dzielni ludzie, a jeśli Bogu będzie się podobało, zobaczymy jeszcze jezioro i białego człowieka.

Okolo południa przybyliśmy nad wschodnią Ituri, mającą 27 m. szerokości. Ponieważ każdy z nas potrzebował dwu minut na przejście rzeki, przeprawa ukończoną została dopiero o godz. 6-ej wieczorem; nadto z powodu niekorzystnego dla nas położenia, strzeżę musieli stać na straży przez cały dzień.

Po popołudniu spostrzeżliśmy czarną krowę i cielę, wychodzące z poza skał. Ludzie nasi wydali okrzyk radości.

— Bydło, ach, bydło! Co ty, krowo, tu robisz? Nie widzieliśmy cię tak długo.

Nazajutrz rano zbliżyliśmy się o kilka kilometrów do łańcucha gór. Tu przekonaliśmy się ze zdziwieniem, że cała równina była pokryta plantacjami, co dowodziło, że ludność jest gęsta. A zatem tu może przyjdzie do bitwy. Abunguma opuścili swoje osady, aby połączyć się z sąsiadami, celem zgotowania nam odpowiedniego przyjęcia. Od czasu opuszczenia Bangala nad Kongo nie widzieliśmy liczniejszych osad, a kiedy spostrzegliśmy rozwijanie się dużych szeregów i dobrobyt, nasunęło się nam podejrzenie, czy krajowcy tutejsi nie należą do tych, którzy osaczyli biednego, znękanego gubernatora Aequatoryi.

Aby krajowców nie drażnić, a naszym niepoprawnym łupieżcom przeszkodzić w rabunku, szliśmy ścieżką, prowadzącą na południowy wschód, granicą dystryktu. Mogliśmy iść wśród plantacyj tak, że nieprzyjaciel pozabawiony był wszelkiej osłony.

W plantacjach podziwialiśmy pracowitość krajowców i czystość pól uprawnych. Chaty stożkowe były wielkie i wewnątrz przedzielone ścianami z trzciny. Każda wieś była pozamiatana, jakby na przyjęcie gości.

W końcu wyszliśmy z obrębu plantacyj, przez nikogo nie napastowani. Przypuszczaliśmy, że krajowcy przelękli się z powodu przesadnych wieści o naszej liczbie, albo może dlatego, że trzymaliśmy się zdaleka od grupy drzew.

O godz. 3-iej po południu stanęliśmy u stóp gór Mazamboni. Szczyty ich były uwieńczone chatami, obory krajowców stały w kotlinach. Mieszkańcy zgromadzili się na wzgórzach i odzywali się do nas tonem wyzywającym.



Ku naszej radości, ścieżka prowadziła nie po stromych stokach gór, ale u ich stóp i na wschód wzdłuż doliny Ituri.

Wkroczeniu naszemu na bogatą dolinę towarzyszył okrzyk wojenny krajowców, co spowodowało nas do spojrzenia na strome góry. Stało tam około 300 wojowników, uzbrojonych w tarcze, oszczepy i łuki. Potrząsali oni lśniąca bronią i krzyczeli. Coraz bardziej gniewni, chcieli widocznie zejść do nas, lecz plan zmienili i weszli na szczyt, krzyczeli ciągle, wyli, grozili, co miało oznaczać ich gniew i dodawanie odwagi ich towarzyszom w dolinie.

Zeszedłszy z pól zbożowych, usłyszeliśmy okrzyki wojenne krajowców w dolinie, obawialiśmy się zatem, aby przestrzeżeni przez towarzyszy ze wzgórz nie zaczęli nas w miejscu, dla nich korzystnem. Była już godz. 4, a zatem pora wyboru miejsca na obóz i przygotowań do spędzenia nocy wśród przeważającej nas liczbą ludności. Na szczęście, w pobliżu znajdowało się strome wzgórze, wznoszące się nad doliną o 30 m., było ono tem samem wyspą wśród doliny, odległą od rzeki o 450 m., a od łańcucha gór Mazamboni o 180 m. W takiej pozycji można było w 50 karabinów bronić obozu od napadu tysiąca krajowców. Pospiesziliśmy zatem do wzgórz, a tymczasem schodzili z gór także i wojownicy i zbliżali się do nas, jakby nasz zamiar odgadli; także i z nad wybrzeża rzeki masa wojowników usiłowała przeszkodzić naszemu pochodowi, udało się nam jednak dobiec do wzgórz i zająć je. Tobały zrzucono, kilkunastu wybornym strzelcom polecono stanąć po bokach kolumny celem wzmocnienia straży tylnej, innym rozkazano wzdłuż korony wzgórz zbudować seribę, zaś jednemu z oddziałów pójść po wodę do rzeki.

W przeciągu półgodziny cała kolumna była zabezpieczoną na wzgórzu, seriba prawie wykończona, dla pragnących przyniesiono wody. Obecnie mieliśmy kilka minut czasu dla odetchnięcia i przyjrzenia się okolicy. Widok nie był zachęcający. W dolinie leżało około 50 wsi, we wszystkich kierunkach rozrzucone były jedna osada za drugą, jedno pole i wieś za drugą. Co było na górach, nie wiedzieliśmy. Na stokach ich było przeszło 800 krajowców, którzy napelniali powietrze swemi okrzykami.

Zdawało się, że mieszkańcy gór mieli ochotę spróbować walki z nami. Z powodu przebycia w marszu 21 km., byliśmy znużeni, nadto osłabiło nas palenie słońca i dźwiganie tobołów; mimo to wybraliśmy oddział najsilniejszych ludzi i wysłaliśmy ich naprzeciw góralom, patrząc pilnie na zachowanie się przeciwników. Czterej strzelcy wyprzedzili wszystkich, wybiegło naprzeciw nim również tylu krajowców, domyślając się, że nasi ludzie nie należą do najodważniejszych. Krajowcy zbliżyli się do nich na odległość 90 m. i naprzeciw ich karabinom podnieśli łuki. Nasi ludzie dali raz ognia, lecz nie zrobiwszy nikomu nic złego, cofnęli się, podczas gdy górale posuwali się wciąż naprzód z ręką na łuku. Nasi czterej strzelcy rozpoczęli ucieczkę, przeklinani głośno przez setki przypatrujących się im z obozu.

Był to dla nas zły początek, gdyż krajowcy powitali go wyciem tryumfalnem, jako zapowiedź pomyslną. Aby radości tej koniec położyć, nasi strzelcy zaczęli na krajowców nacierać. Jedni puścili się na stoki gór i tam czynili szkody, drudzy poszli na dolinę i tam starali się uzyskać tryumf dla nas. Strzelec Saat Tato porwał krajowcom krowę, wskutek czego po 11 miesiącach jedliśmy po raz pierwszy mięso krowie. Kiedy wieczór nadszedł, tak krajowcy, jak i obcy, udali się do swo-

ich kwater w nadziei, że dzień jutrzejszy będzie burzliwy.

Nim położyłem się na spoczynek, czytałem, jak zwykle, biblię. Przeczytałem ją raz od początku do końca, obecnie znów czytałem 5 księgę Mojżesza, a mianowicie ustęp, w którym Mojżesz mówił do Jozuego: Bądź spokojny, nie obawiaj się, bo Pan, Bóg twój, będzie z tobą, nie odwróci ręki od ciebie, ani cię nie opuści.

Doczytałem rozdział do końca, poczem zamknąłem książkę; myśli moje od Mojżesza zwróciły się na Mazamboni. Czy to było wielkie znużenie, symptomat zbliżającej się choroby, czy też cień niezadowolenia z czterech tchórzliwych strzelców, czy nieokreślone uczucie nieufności, dlatego, że moi nicponie uciekali w chwili tak krytycznej? To pewna, że mieliśmy tu plemię, różniące się znacznie od mieszkańców lasów. W polu otwartem ludzie nasi nie byli jeszcze wypróbowani, a to, co widzieli oficerowie i ja sam, nie dodawało otuchy. O ile sobie przypominam, dopiero po raz pierwszy myślałem o niebezpieczeństwie, grożącym nam na wypadek walki z krajowcami. Zdawało mi się jednak, że słyszałem głos, mówiący: „Nie trać ducha i nie obawiaj się”. Mógłbym przysiąc, że słyszałem ten głos i sam rozpocząłem dysputę z nim. Dlaczego wzywasz mnie, abym nie zaniechał misyi; nie mogę uciekać, chociażbym nawet chciał; odwrót byłby znacznie gorszy, niżli posuwanie się naprzód; upominania twoje są zatem zbyteczne. Ale głos ów odpowiadał mimo to: Nie trać ducha, gdyż zaprowadzisz lud do kraju, który Pan obiecał ojcom dać im i ty podzielisz go między nich. Ja będę z tobą i nie opuszczę cię. Nie obawiaj się!

Chociaż nigdy nie byłem do bitwy lepiej przygotowany, jak obecnie, przyszło mi na myśl, że obie strony

są bardzo głupie, skoro chcą staczać walkę, którą uważałem za zupełnie niepotrzebną. Myślnie zaliśmy nawet nazwy tego kraju i jego mieszkańców, a oni tak samo



Murzyn z plemienia Indezura.

nie wiedzieli o naszych nazwiskach, o naszych celach i zamiarach. Naszkicowałem sobie jeszcze plan działania w następnym dniu, zaklinałem strażę, aby stały pilnie na stanowiskach i wkrótce zapominałem o Mazamboni, o panach tych gór i dolin.

D. 9 grudnia wypoczywaliśmy. Rano uzupełniliśmy nasze płoty z krzaków kolczastych, rozdzielaliśmy naboje i oglądaliśmy karabiny. O godz. 9 ociepiło się, a wkrótce potem krajowcy zaczęli gromadzić się w większych kupach. Rogi wojenne, jakie w r. 1875 słyszałem już w Uzoga i Uganda, wzywały do zbierania się, a przed każdym pagórkiem słychać było około 20 bębnow. Krzyki i hałasy były nieustanne, otoczono nas zewsząd. Około godziny 11-ej kilku krajowców zeszło ze stoków gór i zbliżyło się do nas tak, że Felleh z Unjoro mógł rozumieć, co mówili; zamienił z nimi kilka wyrazów szyderczych, poczem wywiązała się formalna bitwa

słowna. Dowiedziawszy się, że jeden z naszych ludzi rozumie ich mowę, skierowałem szyderstwa na tory bardziej pokojowe, poczem zaczęła się rozmowa przyjazna.

— My walczymy tylko dla obrony własnej. Zaczepiacie nas, chociaż idziemy przez kraj wasz spokojnie. Czy nie byłoby lepiej rozmówić się i spróbować, czy nie dałoby się pogodzić, a bić się dopiero wtedy, kiedy się nie pogodzimy?

— To prawda, to mądra mowa — odpowiedział ktoś. Powiedzcie, kto jesteście, z kąd przybywacie i dokąd idziecie?

— Idziemy z Zanzibaru, od morza, a naszym naczelnikiem jest biały. Chcemy iść do jeziora i Unjoro.

— Jeżeli macie u siebie człowieka białego, pokażcie go, a uwierzymy wam.

W tej chwili wyszedł z seriby Stairs. Fetteh przedstawił go krajowcom.

— A teraz powiedzcie nam, kto wy jesteście?—wołał Fetteh. Co to za kraj? Jak nazywa się wasz naczelnik? Jak daleko do jeziora?

— Kraj nazywa się Undussuma, a naczelnik Mazamboni. My jesteśmy Mazamboni. Do Ruweru (jezioro) można dojść za dwa dni; wy potrzebujecie na to pięć dni. Leży ono na wschodzie. Prowadzi tam tylko jedna droga, a z tej nie zbłądzicie.

Był to początek wymiany stosunków przyjaznych; znajomość była zrobiona. Dowiedzieliśmy się potem, że w Undussuma było dwu naczelników, z których jeden chciał zawrzeć pokój z nami i wymienić podarunki przyjazne, jeżeli zechcemy. Zgodziliśmy się na to bardzo chętnie; w ten sposób upłynęło kilka godzin, w czasie których nie słyszano ani okrzyków nieprzyjaznych, ani strzałów, prócz po stronie rzeki, ponieważ mieszkańcy

nadrzeczni byli uparci i nie chcieli słyszeć o niczem, jak tylko o wojnie.

Po południu przybyło poselstwo od Mazamboniego, które chciało obejrzeć wzory i jakoś towarów, które służyły nam za pieniądze. Posłaliśmy mu około 2 metrów szkarłatnego sukna mundurowego i tuzin sztab mosiężnych; poczem przyrzeczono nam, że on sam przyjdzie jutro i dopełni ceremonii braterstwa krwi ze mną.

Nazajutrz, po nocy spokojnej, czuliśmy się bardzo pokrzepieni i pocieszaliśmy się nadzieją, że w przeciągu kilku godzin obóz zapełni się sprzyjażnionymi krajowcami. Proszono nas, abyśmy nie wyruszali, dopóki nie przybędą podarki Mazamboniego; z tego powodu postanowiliśmy pozostać tu jeszcze przez dzień jeden. Ponieważ znajdowaliśmy się na wysokości 1,290 m. ponad poziom morza, poranek był chłodny. Wysokie szczyty gór były pokryte mgłą i padał lekki deszcz, co naszych przyjaciół powstrzymywało od wczesnego przybycia; ale o godz. 3-ej mgła ustąpiła. Ja ze Stairsem i Jephsonem podziwialiśmy wspaniały widok i wypowiedaliśmy nawet zdania co do tego, kiedy ten piękny kraj stanie się miejscem pobytu osadników cywilizowanych. Stairs twierdził, że kraj ten jest podobny do Nowej Zelandyi i oświadczył, że chciałby mieć tutaj stada bydła; posunął się nawet tak daleko, że wybrał pewien punkt, jako najstosowniejsze do tego miejsce.

— Tam na wzgórzu zbudowałbym swój dom.

Nazwał go „Szebang“. Być może, że tak nazywa się willa w języku nowozelandzkim.

— Tam pasłbym bydło; owce mogłyby się paść na przeciwległych stokach, a...

Tymczasem krajowcy w długich szeregach zjawili się na górze i wszyscy skierowali się do płaskiego szczytu wzgórzka, odległego od nas o jakie 900 m. Wkrótce

potem do moich uszu doszły dźwięki mowy prawdziwego mówcy ludowego; wraz z kilku towarzyszami zszedł on na dolinę o jakie 100 m. Mówił może z 10 minut, słuchał go Fetteh, którego przywołaliśmy, aby tłumaczył mowę. Mówca głosił, że w imieniu króla ogłasza pokój; ale zaledwie skończył mówić, powstał na dolinie przeraźliwy hałas, który odbił się echem o góry i został powtórzony na ich stokach.

Zdaniem naszym, krzyk ten nie był zapowiedzią pokoju, lecz wojny, aby się jednak upewnić, wysłaliśmy Fetteha na dolinę, aby spytał się mówcy. Odpowiedzi krajowców nie pozostawiały nas w wątpliwości. Wyrazy „Kanwana“ (pokój) i „Kurwana“ (wojna) brzmiały tak podobnie, że Fetteh pomylił się na chwilę.

— Nie chcemy waszej przyjaźni — wołali. Przyjdziemy zaraz do was i laskami naszych pasterzy wypędzimy was z obozu.

Jakiś zdradziecki chłopak, który pelzając wśród krzaków, zbliżył się do nas bardzo, o mało nie przyprawił nas o dotkliwą stratę; nasz tłumacz tylko z trudnością uniknął niebezpieczeństwa. Fetteh pozbiierał strzały i przyniósł je nam.

Nie pozostawało nam zatem nic innego do wyboru, jak dać krajowcom przykładową naukę; mieliśmy ochotę nie tracić ani chwili, ale oferty przyjaźni nakazywały nam przezorność.

Po przeglądzie kompanij, porucznik Stairs wyprowadził swoich 50 strzelców z obozu przeciw upartym krajowcom na drugiem wybrzeżu Ituri; o połowę mniejszy oddział pod wodzą Jephsona wysłałem dla zdobycia stoków gór po lewej, zaś 20 wyborowych ludzi pod komeudą Ulediego na wycieczkę po prawej. Raszyd otrzymał rozkaz, aby na czele 10 ludzi obsadził szczyt góry Nsera, me elukem obrony przed napadem z tej strony. Pouie-

waż szczyty wzgórz, leżących pośrodku, zasłaniały widok, Jephson i Uledi mogli zająć stanowiska niewidziani przez górali i zbliżyć się do nieprzyjaciół na odległość 180 m., podczas gdy kompania Stairsa, posuwająca się po dolinie, zwracała zapewne całą uwagę krajowców.

Już w przeciągu kilku minut kompania Stairsa rozpoczęła zaciętą walkę. Krajowcy uderzyli na naszych z zimną determinacją, a strzały ich padały masami, jak deszcz ulewny; ale Stairs przekonał się zaraz, że odwagę ich podtrzymywało to, że pomiędzy nimi a krajowcami płynęła rzeka. Rozkazał przeto swoim ludziom przekroczyć rzekę; ludzie usłuchali, a znalazłszy się na przeciwnym brzegu, strzelali tak straszliwie, że w przeciągu niewielu sekund gniazdo niespokojnych krzykaczy, którzy żądali wojny, było zburzone. Wieś wzięto szturmem i obrabowano plantacye bananów; krajowcy rzucili się w rzekę i uciekali na północ, zaś Stairs zgromadził swoich ludzi, wieś podpalił i wyruszył przeciw innym wsiom. Strzały w tej stronie dowodziły, jakiego doznał tam oporu.

Tymczasem Uledi na czele swych wyborowych ludzi odkrył ścieżkę, prowadzącą wzdłuż parowu na górę. Doszedłszy do wysokości 150 m., wprowadził swych ludzi na prawe skrzydło placu boju. Karabiny winchesterowskie działały wybornie, a ponieważ równocześnie pojawił się oddział Jephsona po lewej stronie, wszystko to wywarło na nerwy krajowców wpływ taki, że ścigani przez Ulediego i jego ludzi, w dzikiej ucieczce pędzili w góry, a za nimi Uledi.

Jephson, spostrzegłszy ucieczkę, pomaszerował na wschód na odległość 3 kilom., przyczem przy pomocy ognia oczyścił okolicę. O godz. 1-ej wszyscy powrócili do obozu; mieliśmy tylko jednego lekko rannego. Wszy-



scy sprawowali się wybornie, a odznaczyli się nawet czterej tchórze, na których zwracano szczególniejszą uwagę.

Kiedy o godz. 2-iej krajowcy powrócili na dolinę, wysłano przeciwko nim ponownie kilka oddziałów. Stairs poprowadził swych ludzi przez Ituri, ścigał uciekających daleko na północ, a następnie skręcił, aby połączyć się z Jephsonem.

Walka trwała do popołudnia, ponieważ krajowcy zjawiali się co chwila, zaczepiali nas i znów uciekali. Pod wieczór nie było już ani jednego, czego dowodziła cisza wokoło obozu. Krajowcy skryli się w górach, albo zbiegli w okolice odleglejsze; w dolinie nie pozostała ani jedna chata, któraby mogła służyć im za przytułek w nocy.

Gdybyśmy więcej takich plemion spotykać mieli, musieliśmy stracić wiele ludzi, a gdybyśmy u krajowców pozostawili najmniejszą wątpliwość o możliwości obrony z naszej strony, historia dnia dzisiejszego powtarzałaby się bardzo często. Było zatem litościwiej sprawę natychmiast stanowczo załatwić, aniżeli plemię, za zuchwałość nie ukarane, pozostawić na naszych tyłach. Krajowcy sądzili zapewne, że poza naszym płotem kolczastym nie potrafimy bronić się, skoro zapewniali, że wypędzą nas kijami. Byliśmy tedy zmuszeni wykorzenieć w nich to mniemanie, aby nie szkodzili nam w przyszłości.

W jednej z wsi okolicznych spaliła się krowa, opuszczona przez właściciela, co zaopatrzyło nas w nową porcję pieczonego mięsa.

D. 11 grudnia padał deszcz, wskutek czego do godz. 10 musieliśmy pozostać w chatach. Kiedy następnie krajowcy pokazali się znów na górach i okazywali nam dowody swej nieprzyjaźni, Stairs, Jephson i Uledi na czele swych kompanij wyruszyli przeciwko nim, przyczem porwali stado owiec, które rozdzieliliśmy pomiędzy ludzi.

Doświadczenia, nabyte w tym dniu, przekonały nareszcie krajowców, że w walce z nami nic nie wskórają.

Kiedy ludzie nasi powrócili do obozu, na wysokim pagórku pokazał się krajowiec, który oświadczył, że wysłany został przez Mazamboniego i ma nam powiedzieć, że tenże przyjął nasze podarki, ale młodzież, która hałaśliwie żądała wojny, przeszkodziła mu w odwiedzeniu nas. Teraz jednak, skoro tylu z nich zostało zabitych, jest gotów zapłacić haracz i w przyszłości być naszym przyjacielem.

Odpowiedzieliśmy, że chętnie bylibyśmy zawarli przyjaźń z nimi, ale ponieważ z nas drwili, zatrzymali nasze podarki przyjazne i nazwali nas babami, muszą pokój okupić bydłem, albo kozami; mogą zbliżyć się do nas bez obawy, trzymając trawę w rękach ponad głowami.

Winienem dodać tutaj, że jeżeli wojownicy krajowców szli do walki, każdemu oddziałowi ich towarzyszył wielki pies, odważny i zażarty.

## ROZDZIAŁ XII.

---

D. 12-go grudnia w zupełnym spokoju wyruszyliśmy z obozu i szliśmy wąskimi dolinami i przesmykami, wśród wsi bogatych. Nie rabowaliśmy ich w nadziei, że dzicy przekonają się, że jesteśmy oddziałem ludzi spokojnych, jeżeli tylko nikt nie wywoła naszego niezadowolenia. Ale o godz. 9-ej rano usłyszeliśmy nagle okrzyki wojenne, pochodzące z szeregu wsi, położonych na górach Undussuma. Krajowcy, widząc, że maszerujemy dalej i nie zwracamy uwagi na nich, zbliżyli się śmiało do nas i obskoczyli nasze prawe skrzydło i ariergardę.

O godz. 11-ej prześladowały nas dwie oddzielne hordy. Jedna przybyła ze wschodu, druga ze wsi w dolinach, które pozostawiliśmy przed chwilą w spokoju.

Około południa bandy te zamieniły się na duże masy, wołające do nas: Pokażemy wam jeszcze przed wieczorem, że jesteśmy dzielnymi; wszyscy zginiecie jeszcze dzisiaj.

Po krótkim wypoczynku wyruszyliśmy dalej przez pustkowie, trawą porośnię; wsi nie było tam widać, mimo

to tłumy ścigały nas, naprzykrzając się nam zuchwałemi hałasami i pogrózkami. Jeden z naszych wybornych strzelców wystąpił wówczas przed front i w odległości 350 m. ranił dwu krajowców, co dzikich zmusiło na chwilę do milczenia, dziwili się bowiem, że strzały nasze mogą trafiać na taką odległość. Wkrótce potem tłumy ich zwiększyły się i zbliżyły się zuchwale do nas, poczem słyszeliśmy strzały ariergardy, co ich trochę poskromiło.

Wreszcie o godz. 3 $\frac{1}{2}$  ujrzeliśmy wieś Bawirów, których naczelnik nazywał się Gawira. Leżały one na otwartej dolinie po obu stronach głębokiej przepaści, utworzonej przez dopływ Ituri. Zatrzymaliśmy się z awangardą na wschodnim brzegu, ponieważ krajowcy nadbiegli, aby przeszkodzić dalszej przeprawie, niestety, zapóźno. Kazałem toboły złożyć i wysłałem strzelców awangardy na drugi brzeg na pomoc ariergardzie, poczem powstała zażarta walka, po której krajowcy umknęli. Aby ukarać ich za czterogodzinne prześladowanie, cofnęliśmy się i podpaliśmy wszystkie chaty na obu brzegach; następnie pospieszaliśmy się do wzgórza, na którym gromadzili się krajowcy, celem stawienia nam oporu. Zanim jednakże doszliśmy do szczytu, cofnęli się i pozwolili nam na zajęcie jednej ze wsi. Ponieważ było już późno, rozbiliśmy obóz, który obwarowaliśmy na wypadek nocnego napadu.

Zauważyć należy, że nieprzyjaźń krajowców wzrastała do chwili podpalenia ich wsi, lecz następnie osłabła, z czego wnosiliśmy, że ogień wywiera na ich nerwy wpływ nader łagodzący.

D. 13-go grudnia wyruszyliśmy dalej, aby ująć spory kawał, zanim krajowcy odważyliby się wystąpić przeciwko nam w godzinach chłodu rannego. Krótka trawa była pokryta perlami rosy i tak mokra, jakby po deszczu. Ariergarda, zniszczywszy nasze obwarowania, aby krajowcy nie nauczyli się sposobu ich urządzania, dobiegła

nas, poczem poszliśmy dalej w zwartym ordynku, przygotowani na dalsze przygody. Przez trzy godziny szliśmy w zupełnym spokoju w kierunku wsi, które widzieliśmy na horyzoncie.

O godz. 9-ej rano krajowcy znów zaczęli ruszać się i wkrótce dostrzegli naszą linię węzową i powitali nas dzikim okrzykiem. Przechodziliśmy przez jedną wieś po drugiej, nie czyniąc nikomu szkody; lecz to, jak doświadczyliśmy dnia poprzedniego, nie poczytano nam za zasługę, owszem za dowód tchórzostwa. Czuliśmy, że posądzają nas o słabość. W oddaleniu 300 m. od naszej ścieżki stało 50 krajowców, przypatrujących się naszemu zachowaniu; widzieli, jak szliśmy przez ich osady, szanując ich własność; a przecież nie chcieli uznać tego za dowód, że posiadamy dobre zalety; owszem szli za nami i wzywali głośno swych sąsiadów, aby się gromadzili i nas otoczyli, a naturalnie krajowcy usłuchali. Skoro tylko uczyli się dość silnymi do zaczepki, uderzyli na ariergardę, na co nasze karabiny skutecznie odpowiadały.

Co pół godziny spotykaliśmy rzekę w przesmyku, a po obu stronach wody szeroki pas sitowia, gdzie musieliśmy być bardzo przezorni, aby napastniczych krajowców utrzymać w szachu.

Owa grupa wsi na horyzoncie stawała się coraz wyraźniejszą, a mną zaczęło owładać przecucie, że po upływie kilku godzin ujrzymy jezioro Alberta. Ale jakby przed nami leżał wielki skarb, albo jak gdyby Emin basha i jego załogi znajdowały się w takim położeniu, jak Gordon w ostatnich godzinach przed upadkiem Chartumu, krajowcy stawali się coraz śmielszymi i zdecydowanymi; liczba ich zwiększała się bardzo szybko, okrzyki wojenne rozbrzmiewały bezustannie na każdym wynioslejszym punkcie, wskutek czego nabieraliśmy przekonania, że mają zamiar stoczyć z nami bitwę stanowczą. Rozejrzawszy

się w okolicy, zobaczyliśmy, że każde wzgórze było aż czarne od tłumów ludzi, podczas gdy na falistej dolinie pokazały się linie postaci, które jak armia mrówek ku nam się posuwały.

O godz. 11-ej rano zbliżyliśmy się już bardzo do wytkniętego celu, gdy nagle ujrzelśmy małą armię, która chciała przeciąć nam drogę. Punktem zaczepki, jak sądziłem, będzie pagórek powyżej środka rzeki. Awangarda znajdowała się jeszcze w odległości 90 m. od tego pagórka; kiedy stanęła przed nim, kazałem skrócić na prawo, towary złożyć na szczycie i zamknąć szeregi oddziału.

W chwili, kiedy pierwsi ludzie weszli na szczyt, zbite tłumy krajowców dobiegły do stóp wzgórza po drugiej stronie; nie namyślając się ani chwili, obie strony rozpoczęły bitwę równocześnie; ale ogień z karabinów winchesterowskich był zanadto straszny; chociaż krzyk połączonych głosów krajowców był wielki, to przecież huk karabinów zagłuszał ich, a gwizd deszczu kul odbierał odwagę nawet najzuchwalszym. Nasi ścigali ich na odległość  $1\frac{1}{2}$  km., lecz na dany sygnał powrócili; słuchali rozkazu z taką akuracnością, jak żołnierze na paradzie, co cieszyło mnie więcej, niż złożony przez nich dowód dzielności. Ludziom napół karnym grozi największe niebezpieczeństwo w chwili ścigania nieprzyjaciela, bez względu na cel, jaki on mógł mieć w raptownej ucieczce. Często odwrót jest tylko podstępem wojennym, szczególnie w Uganda często używanym. W tym wypadku 40 ludzi ścigało 500 krajowców, podczas gdy co najmniej 1,500 przypatrywało się walce ze wzgórza po prawej, a tyleż czekało po lewej.

Zorganizowawszy napowrót nasze szeregi, poszliśmy dalej w zwartym ordynku i zatrzymaliśmy się dopiero o godz. 12 $\frac{1}{2}$ , aby odpocząć. Wokoło nas była dość duża

przestrzeń, wolna od hałasujących krajowców. Nasz od-  
poczynek południowy dostarczył im czasu na nowe zgro-  
madzenie sił; chociaż zajścia poranne otrzeźwiły ich tro-  
chę, mimo to grozili nam ciągle imponującymi tłumami  
z plemion Baleggów, Bawirów i Babiassów.

Po całogodzinnym wypoczynku wyruszyliśmy dalej  
dobrą ścieżką. W kwadrans dosięgnęliśmy punktu naj-  
wyższego, z kąd w odległości 40 km. dojrzelśmy niebieską  
równą płaszczyznę, ciągnącą się aż do chmur. Na widok  
jej krajowcy dali wyraz swemu niezadowoleniu głośnem  
szemraniem; ale ja wiedziałem, że to Unjoro i że pomię-  
dzy nami a ową płaszczyzną niebieską ciągnął się olbrzy-  
mi, głęboki wąwóz, na którego dnie leżało jezioro Alber-  
ta. Zdawało się, że przed nami nic nie było, ani wzgó-  
rza, ani grzbietów gór, tylko niezmierna masa ciemno-nie-  
bieska w oddali; wschodnie stoki łańcucha gór północnego  
i południowego spadały w przepaść stromo.

Kiedy ludzie nasi zobaczyli w oddali Unjoro, zawo-  
łali gniewnie: „Maszallah, ale to jezioro oddala się od nas  
coraz bardziej“. Pociszyłem ich jednak mówiąc: „Otwórz-  
cie oczy, chłopcy, możecie obecnie ciągle patrzeć na je-  
zioro“. Uwagę tę, jak wiele innych, przyjęto z niedo-  
wierzaniem.

Ale każdy krok dalszy dowodził nam, że zbliżamy  
się do niezmiernie głębokiej doliny, albo do jeziora; płasz-  
czyzna Unjoro wznosiła się przed nami coraz wyżej, pod-  
czas gdy spadki po obu stronach stawały się coraz niż-  
szymi, a w końcu oczy wszystkich spoczęły na szarej  
chmurze.

Co to? Mgła? Nie, to Njanza (jezioro), spoczywa-  
jące w lekkiej mgle; tam na północnym wschodzie ma ono  
barwę oceanu. Ludzie patrzyli przez chwilę na jezioro,  
zanim przekonali się, że to, na co patrzą, jest rzeczywi-

ście wodą, poczem dopiero wyrazili swe uczucie okrzykami radości i entuzjazmu.

Zatrzymaliśmy się następnie w pobliżu małej wioski, aby poczynić notatki i zastanowić się nad dalszemi krokami.

Chociaż ludzie weselili się, tańcowali i cisnęli się do mnie, życząc mi szczęścia, „ponieważ tak dokładnie trafiłem do miejsca”, to przecież kłopotalem się na myśl, że mało jest nadziei, abyśmy w takim kraju znaleźli łoś, któraby zdolną była do żeglugi po niespokojnych wodach jeziora Alberta. Trwożliwie badałem przy pomocy szkieł wybrzeża jeziora, lecz nie mogłem dojrzeć ani łodzi, ani nawet drzewa, z którego możnaby ją zrobić i podczas, gdy na ustach wszystkich były słowa: „Bogu dzięki”, mnie poraz pierwszy nasunęła się myśl, że nasz forsowny marsz, ustawiczna walka i ofiary w ludziach nie przydały się na nic.

A przecież mogło się zdarzyć, że w zamian za sztaby mosiężne i sukno czerwone, udałoby się nam kupić łoś. Byłoby to zanadto straszne, gdyby tak długi marsz był bezowocny.

Scenę tę przedstawiałem sobie zupełnie inaczej. Objechałem jeziora Victoria i Tanganika i patrzyłem na Muta Nsige; na obu jeziorach były czołna, łatwo też tam było znaleźć drzewo, przydatne na zrobienie czołna. Ale tu na przestrzeni 30 km. wokoło było zupełne pustkowie, skały i t. d. Pomiedzy stokiem gór a jeziorem widać było wprawdzie las, ale drzewa jego były cienkie.

Barometr aneroidowy wskazywał wysokość 1,524 m. Wykazana na mapie Masona wyspa w pobliżu Kawalli była odległą od nas o  $9\frac{1}{2}$  km. Zresztą mapa była dobra, brakło na niej tylko kilku małych wysepek i zatok jeziora.



Nieraz opisy sir Samuela Bakera o wielkości jeziora wprawiały mnie w zadziwienie, ale teraz zgadzałem się zupełnie z odkrywcą jeziora, pułkownikiem Masonem, który nazwał je krótko „bezgranicznem”. Ale czy ono posiada granice, lub nie, pierwszy widok wody i leżących po za nią gór jest wspaniały.

Po 20 minutowym odpoczynku zaczęliśmy schodzić po stokach gór. Ale zanim ariergarda pod wodzą Stairsa opuściła swoje stanowisko, krajowcy znów się pojawili i zaczęli tak dokuczać, że wkrótce zaczęto strzelać. Widzieliśmy, jak krajowcy z obu stron nacierali na oddział Stairsa, maszerujący po stromej a nużącej ścieżce.

Strzelając z łuków i czołgając się do wziętych na cel ofiar, wołali: Ku-la-la he-lelo! Gdzie chcecie spać dziś w nocy? Nie wiecie, że jesteście osaczeni? Mamy was teraz tam, gdzieśmy was mieć chcieli?

Ludzie nasi nie zwlekali z odpowiedzią.

— Nie odważycie się zbliżyć do nas tam, gdzie spać zechcemy; dlaczegoż nie przychodzicie do nas, skoro macie nas tam, gdzieście mieć nas chcieli?

Mimo ustawicznego ognia, ofiar było niewiele, ponieważ teren nie pozwalał na celne strzelanie; po naszej stronie był tylko jeden ranny od strzały. Mimo to, obie strony toczyły walkę zaciętą a nieustanną. Gdybyśmy nie byli obladowani i znużeni, niewielu z tych złośliwych krajowców pozostałoby przy życiu.

Schodzenie z góry trwało trzy kwadransy; co kwadrans musieliśmy zatrzymywać się celem odparcia krajowców, którzy w liczbie około 40 towarzyszyli nam na dół.

W odległości 800 m. od stóp góry przekroczyliśmy strumyk słonawy, który wyłobił sobie głęboki kanał, posiadający oba brzegi strome. Nad jednym z wysokich a spadzistych brzegów rozbiliśmy obóz, który w ten spo-

sób był od strony jednego półkola nie do zdobycia; drugą połowę zabezpieczyliśmy krzakami i materiałem, przyniesionym z sąsiedniej wioski opuszczonej. Ponieważ spostrzegliśmy, że krajowcy zeszli na dolinę i wiedzieliśmy, że układają plan napadu w nocy, kazałem w pewnej odległości od obozu ustawić strażę, ukryte dobrze w trawie. W godzinę po zapadnięciu mroku krajowcy rozpoczęli napad; ale zdziwili się niepomiernie, kiedy napróżno usiłowali wdrzeć się w kilku punktach, gdyż zewsząd odparto ich ogniem karabinowym.

Tak skończył się ten dzień burzliwy.

D. 14-go grudnia poszliśmy przez równinę, która pochylała się ku jezioru na przestrzeni 8 km. Idąc, szukaliśmy w lasach akacyowych grubych drzew; ale oprócz akacyj, krzaków i tamarynd nic tu nie rosło, co dowodziło, że ziemia była tu tak przesycona saletrą, alkaliami i solami, że wegetacya tropikalna była tu niemożliwa. Mieliliśmy jednak nadzieję, że uda się nam skłonić krajowców do sprzedaży łodzi, albo, co było prawdopodobniejsze, że Emin basza, stosownie do mojej prośby, przybędzie do południowego krańca jeziora i zawrze z krajowcami umowę co do naszego przyjęcia. Gdyby stało się inaczej, pożyczenie łodzi na czas jakiś byłoby wytłomaczone.

W odległości 2 $\frac{1}{2}$  km. słyszeliśmy, jak krajowcy w pobliżu naszej drogi rąbali paliwo w lesie. Zatrzymaliśmy się tedy, a tłumacz próbował rozmówić się. Przez 10 minut zachowywaliśmy się cicho, zanim odezwała się jakaś kobieta. Poraz pierwszy w Afryce usłyszałem tak ordynarne wymyślenia, na jakie nie zdobyłyby się nawet osławione z ordynarności handlarki ryb w Londynie. Musieliśmy zatem zaniechać dalszych prób porozumienia się z tą kobietą.

Wysłaliśmy tedy tłumacza z oddziałem ludzi do wioski naczelnika Katonza, nad jeziorem. Tłumaczowi polecono, aby użył całej zręczności swojej, celem pozyskania zaufania mieszkańców, aby nie dał zbyć się żadnymi słowami, ani pogrózkami i aby ustąpił tylko wobec istotnych kroków nieprzyjacielskich, podczas gdy my pójdziemy zwolna za nim, poczem zatrzymamy się i czekać będziemy dotąd, póki nie zawoła nas do osady.

Mieszkańcy wsi nie wiedzieli nic zgoła o tem, żeśmy się do nich zbliżyli. Zobaczywszy naszych ludzi, zaczęli w pierwszej chwili uciekać, ale przekonawszy się, że nie są ścigani, więcej z ciekawości, niż z zamiłowania pokoju, zatrzymali się na pobliskim wzgórku mrówczym. Kiedy zobaczyli, że ludzie nasi są spokojni i uprzejmi, wskutek ustawicznych zapewnień o naszym przyjaźnem usposobieniu pozwolili karawanie zbliżyć się do siebie. Około 40 krajowców było tak odważnych, że zbliżyli się do nas tak bardzo, iż mogliśmy rozmawiać z nimi zupełnie wygodnie. Rozpoczęły się zatem mowy i odpowiedzi, w których my zapewnialiśmy, że nie zamierzamy nic złego, a owszem za przyjaźń jesteśmy gotowi odpłacić się podarkami, zaś oni zapewniali, że zachowują się wobec nas dobrze nie z obawy, bo już nieraz spotykali ludzi, zwanych Warazura, uzbrojonych również w karabiny, a ci nieprzyjaciół swoich zabijali. Może i my jesteśmy Warazura, albo ich przyjaciółmi; w takim razie oni są gotowi do walki w każdej chwili, skoro tylko przekonają się, że my jesteśmy Warazura, albo ich sprzymierzeńcami.

— Warazura! Co to za ludzie? Nie słyszeliśmy nigdy o nich. Zkąd oni przychodzą?

Takie pytania i im podobne zadawaliśmy przez trzy godziny. Nasze pochlebstwa zaczęły nareszcie odnosić

skutek, kiedy nagle krajowcy znów się rozgniewali. Nie wiedząc o tem, obudziliśmy w nich niedowierzanie tem, że zanadto dobrze mówiliśmy o królu Kabba-Rega z Unjoro, który, jak dowiedzieliśmy się później, był ich śmiertelnym wrogiem. Nie chcieli przyjąć naszej przyjaźni, ani zawrzeć braterstwa krwi, odrzucali nawet podarki, ale podali nam wodę do picia i przyrzekli wskazać nam drogę wzdłuż jeziora.

— Szukacie człowieka białego, mówicie. Słyszeliśmy, że jest taki (Casati) u Kabba-Rega. Przed wielu, wielu laty, przybył tu jeden biały (Mason bey) na statku parowym z północy, ale ten odjechał. Byliśmy dziećmi wtedy. Od tego czasu nie widzieliśmy na jeziorze łodzi niezwyklej. Słyszeliśmy, że jacyś dziwni ludzie są w Buzwa (Mswa), ale to daleko ztąd. Wasza droga idzie tam na północ wzdłuż jeziora. Wszyscy źli ludzie ztamtąd przychodzą. Nie słyszeliśmy także, aby dobrzy ludzie przychodzili od strony Ituri. Warazura czasem ztamtąd przychodzą.

Poszliśmy dalej.

Rozważając nad tem wszystkim, pomyślałem, że jeszcze żaden podróżnik afrykański, docierając do celu, nie tracił nadziei tak, jak ja. Oł chwili, w której w dniu 21-ym stycznia r. 1887 opuściliśmy Anglię, do d. 14 grudnia, żaden z nas ani pomyślał o tem, by plany nasze miały rozbić się w chwili zbliżania się do celu. Pocięszaliśmy się jednak tem, że teraz wiemy wszystko. Spodziewaliśmy się, że otrzymamy tu wiadomość od Emina baszy; myśleliśmy, że gubernator prowincji, posiadający dwa statki parowe, łodzie ratunkowe, łodzie i tysiące ludzi, znany będzie wszędzie na tak małym jeziorze, jak Albert-Nyanza, które można objechać w prze-

to, co ci się podoba. Jeżeli Nelson i Parke nie będą żalili się na nic więcej, jak tylko na skąpstwo i złośliwość Manjemów w ogóle, nie wdawaj się pan wówczas w żadne arguments, nie zważaj na skargi i zarzuty, ale sprowadź tu ludzi i łódź, jeżeli będzie dobra i nieuszkodzona; zatrzymaj się tylko jeden dzień dla wypoczynku. Jeżeli jednakże pozostali przy życiu dowiodą panu, że rozlewano tam krew gwałtem, jeżeli jakikolwiek biały lub czarny padł ofiarą ich, albo jeżeli łódź zniszczono, wówczas poradź się z białymi i czarnymi i po dojrzałej rozprawie wykonaj pan należycie swoje plany i zażądaj satysfakcyi. Oto wszystko, ale na miłość Boską nie zapominał pan, że każdy dzień nieobecności pańskiej ponad czas, obliczony na marsz tam i z powrotem, będzie źródłem trosk naszych, które ścigają nas wszędzie w tej wyprawie“.

Dla zaprowiantowania wyprawy Stairsa zabito trzy krowy, a prócz tego każdy uczestnik otrzymał po 120 pałek kukurydzy, podczas gdy dla dowódcy i jego dwu przyjaciół zabrano kozy, kury i banany. D. 19 stycznia wyruszyła wyprawa do stacyi Kilouga-Lougi.

Oddział Stairsa składał się z 88 ludzi, 6 przewodników, 1 oficera, 1 chłopca, 1 kucharza i jednego Manjemy, w ogóle z 98 ludzi. W forcie Bodo pozostało: 60 murzynów, 3 kucharzy, 4 chłopców, 3 białych, razem 70 ludzi.

Po wymarszu Stairsa rozpoczęłem budowę spichrza, któryby mógł pomieścić 300 korcy kukurydzy, jakoteż otynkowanie wnętrza głównej kwatery. Jephson zajął się wyrównywaniem podłogi w chatach oficerów, inni ludzie znosili glinę, inni ubijali ją i mieszali; inni znów byli zatrudnieni dokończeniem budowy domów.

D. 28 stycznia kwatera główna była już zupełnie gotowa. Wykarczowaliśmy 1·2 ha lasu, wycięliśmy krza

ki aż na odległość 182 m. od fortu, wycięliśmy drzewa, lżejsze usunięto na bok, a ciężkie spalono; następnego dnia namioty zwinięto i zaniesiono do naszych chat. Początkowo było w domach trochę za wilgotno, ale ogień, utrzymywany dniem i nocą, ściany wkrótce wysuszył.

Do d. 6 lutego powiększaliśmy karczowisko; kiedy jednakże przekonaliśmy się, że krajowcy snuli się w pobliżu fortu, na ścieżkach wbijali kołeczki zatrute w ziemię, niszczyli drzewa bananowe, podzieliłem załogę na dwa patrole i kazałem plantacye i las sąsiedni oczyścić z dzikich. W czasie rekonensansów natrafiono w odległości 1½ km. od fortu kilkanaście obozów karłów i zapasy bananów. Karłów rozpędzono a obozy ich zniszczono.

Po kilku dniach mieszkania w domach zaczęły dokuczać nam szczury, pchły i muszki. Szczury zjadały nasze zboże, kąsały nas w nogi, biegały nam po twarzy i w łózkach naszych bawiły się z nami w chowanego; w swej chytrności przeczują, że krajowcy wkrótce spalą zachodnie Ibwiri i w porę umknęły przed katastrofą w gąszcze i pola w przekonaniu, że tak wyborne miejsce niedługo pozostanie bez mieszkańców. Kiedy wygodne domy Europejczyków budowano, szczury czekały, póki robota nie będzie zupełnie skończoną; tymczasem obcy biali ludzie w około fortu wybudowali rów prostopadły, w który rodziny szczurze powpadały, spiesząc prędko, aby zająć nowe domy, a pewnego pięknego poranku wpadł tam na nie nasz Randy i je wymordował. Ale kilka starych szczurów znalazło dobre wejście do fortu i tu rozmnożyły się tak dalece, że nam dokuczać zaczęły.

Równocześnie na ciepłych suchych podłogach glinianych zaczęły wytwarzać się miryady pcheł. Biedny Randy nie mógł dać sobie rady z temi złośliwemi stworzeniami. I nam nie było lepiej; kiedy ubieraliśmy się,

ciało nasze aż czerniło się od pcheł. Aby tę zarazę wytępić, utrzymywaliśmy wilgoć na podłodze i kazaliśmy zamiatać dwa razy dziennie.

Zwykła siatka antimoskitowa nie zabezpieczała nas od komarów. Przedzierały się przez drobniutkie otwory, wskutek czego kazaliśmy pozawieszać w oknach zasłony muslinu bawełnianego, który spełniał swe zadanie wybornie, ale śpiący dusili się dla braku powietrza.

Zapasy mydła dawno już zostały wyczerpane; sporządziliśmy więc z olejku rycinowego i ługu mydło miękkie, o zapachu bardzo niemiłym; po kilku próbach udało się nam zamienić je na twardą kulę.

W nocy niedawało nam spokoju wycie dzikich zwierząt już od chwili wymarszu z Jambuja aż do równin.

Czasami wpadały z lasu do fortu całe armie mrówek czerwonych. W długich, gęstych, nieprzerwanych szeregach, strzeżonych po obu stronach przez pikiety, owady te w niezliczonych tłumach wchodziły przez rów i wał na wolny plac fortu, a ztąd jedna kolumna wdzierała się do kuchen, druga do głównej kwatery i do jadalni oficerów; biada nagiej nodze, która spotkała się z temi miryadami. Osmaganie pokrzywą, posypanie skrwawionego ciała proszkiem z Kajenny, kąpiel żrąca nie wywołuje takiego bólu, jak tysiące tych owadów, które po nogach wdzierają się na tułów, ukrywają się we włosach na głowie i żądelka swe wpijają w ciało, na którem po każdym ukąszeniu występują pęcherzyki ospowe, nader bolesne. W chwili pojawienia się tych mrówek na obliczach wszystkich istot żywych widać przestraszonych. Ludzie krzyczą, wyją z bólu, skaczą i wiją się.

Nademną w suchych liściach phrynium słychać szmer, jakby pochód wielkiej liczby zwierząt—szczurów, myszy, węzów i chrząszczy. Przy świetle świecy ujrzałem z hamaku naszych mścicieli, wdzierających się z podłogi na

ściany, przetrząsających każdą kryjówkę pod kupami liści, wdzierających się w kąty, rysy, szpary, mysie dziury; słyszałem jęki boleści małych ślepych myszek, kwik ojców i matek rodu szczurzego, i witałem mrówki jak błogosławieństwo, życząc im, aby swe dzieło zniszczenia mogły prowadzić dalej. Trwało to tak długo, póki w następnej zaraz chwili kilka mrówek nie spadło z dachu na mój hamak i życzliwego sobie nie zamieniło na mściwego wroga, który w gniewie biegał do rozżarzonych węgli i piekł tam żywcem tysiące mrówek, póki powietrze nie zapełniło się odorem palących się owadów.

Niechaj przypadną!

Kopiąc twardą żółtą glinę w głębokości  $1\frac{1}{2}$  m. pod warstwą próchnicy natrafiliśmy w twardej ziemi na spalone drzewo. A przecież w miejscu tem stały drzewa, mające lat 100, 150 i 200. Grunt był zupełnie równy i zdaje się, poprzednio wcale nie ruszany.

Do niespodzianek należy także i to, że w Afryce tropikalnej, ku naszej radości, byliśmy dotąd wolni od ukąszeń węzów. Kontynent aż roi się od płazów wszelkiego rodzaju, począwszy od srebrzystych małych węzów, aż do olbrzymich węzów skalnych, a przecież w czasie naszej podróży po Afryce (39,000 kilom.) na lądzie i wodzie, tylko dwóch ludzi było ukąszonych i to nie śmiertelnie.

W chwili, kiedy zaczęliśmy las karczować i pole zorywać, przekonaliśmy się o niebezpieczeństwie, jakiego uniknęliśmy. Usuwając drzewo, wycinając krzaki, spotykaliśmy liczne, a nawet piękne egzemplarze węzów. Wygubiliśmy ich masę nożami i ogniem.

W lasach nie spotkaliśmy ani jednego sępa, a tylko kilka orłów. Słonie odwiedzały nasze sąsiedztwo gromadnie, a w końcu zbliżyły się także do naszych plantacyj na odległość kilku tuzinów metrów; spotykaliśmy także



często ślady bawołów i dzików. Nie byliśmy przyrodnikami i nie mieliśmy też ochoty ani czasu na zbieranie owadów, motyli i ptaków. Dla nas ważniejsze było zwierzę, lub ptak, bo można je było jeść, ale mimo energicznych asilowań rzadko udawało się nam ubić je.

Jeżeli który z krajowców, albo Zanzibarczyków, pokazywał mi jaki szczególnie piękny okaz owadu, lub jaje ptasie, nawet w chwili, kiedy je oglądałem i chwaliłem, myśli moje były zajęte własnymi sprawami. Moja rodzina była zanadto wielka, abym mógł zajmować się rzeczami pobocznymi; nie upłynęła ani jedna godzina, w którejby myśli moje nie ulatywały do Stairsa w Ipoto, albo fantazya stwarzała wizye o Barttelocie i Jamessonie, którzy przedzierali się w myśli mojej przez lasy, albo znów myślałem o tajemnicy, otaczającej baszę, to znów o złośliwych karłach, o morderczych Balessach, to o potrzebie kłopotania się o żywność i mięso w przyszłości.

Ludzie nasi byli obecnie zajęci wycinaniem szerokich dróg na wschód i zachód, celem ułatwienia marszu i łatwiejszej obrony. Ścinano olbrzymie drzewa i usunięto je na bok, tak, że uzyskaliśmy po obu stronach piękną, szeroką drogę; na rzece, płynącej po stronie zachodniej fortu, zbudowano most, przy którego pomocy patrol mogły we dnie i w nocy przechodzić od jednej plantacji do drugiej.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywierało olbrzymie karczowisko na krajowców, którzy ukrywali się w głębokim cieniu i pełzając poza olbrzymimi pniami czekali na chwilę, stosowną do uczynienia napadu. Wiedzieli, że nie mogą przejść przez drogę nie narażając się na strzały patroli i że ślady ich zdradziłyby ich strażom.

Nazajutrz ustawiliśmy słup na 15 m. wysoki; kiedy wywieszono na nim flagę egipską, pozwoliłem Sudańczykom powitać ją salwą 26 wystrzałów.

Zaledwie ceremonię ukończono, na końcu drogi zachodniej strzelono na alarm. Strażnik na wieży zawołał: „Widać okręt“. Wiedzieliśmy, że to przybywała karawana z Ipoto.

Dr Parke przybył pierwszy. Wyglądał wybornie; natomiast Nelson, cierpiący na nogi, przybył dopiero o godzinę później. Postarzał się przedwcześnie, twarz miał pokrytą zmarszczkami, grzbiet pochylony, a nogi tak słabe, jak u 80 letniego starca.

Poniższy raport mówi sam za siebie i dowodzi, że oficerowie ci we wsi Manjemów potrzebowali większej siły ducha i odwagi moralnej, aniżeli my w naszym pochodzie.

Raport d-ra T. H. Parkego, lekarza wyprawy.

Fort Bodo, 8 lutego 1888.

Szanowny Paniel

Mam zaszczyt przesłać Panu następujący raport dla Pańskiej informacji. Stosownie do pańskiego rozkazu z d. 24 października r. 1887-go pozostałem w obozie Manjemów, celem objęcia opieki nad pozostałymi tam inwalidami i tobołami po pańskim wymarszu w dniu 28-ym października aż do czasu przybycia oddziału ratunkowego, który też przybył d. 25 stycznia r. 1888-go. Z inwalidów, pozostawionych przez pana w obozie, siedmiu odzyskało do d. 7 listopada zdrowie do tego stopnia, że mogli być wyprawieni dalej wraz z kapitanem Jephsonem; liczba pozostałych została powiększona przez przybycie kap. Nelsona, jego dwu służących i 3 ludzi w d. 3 listopada, tudzież przez przewodnika Umariego i 9 ludzi, którzy zostali odszukani zgłodniałymi w lesie i przyprowadzeni do obozu, w którym odtąd był 1 chory oficer i 39 inwa-

lidów. Z tych kap. Nelson i 16 ludzi odeszli z oddziałem ratunkowym, zaś 12 ludzi, którzy poszukiwali żywności po drodze, zostali pozostawieni w obozie Manjemów. Jedenastu ludzi zmarło. Ta nadzwyczajna śmiertelność zadziwi pana tem więcej, że prócz dwu wypadków, spowodował ją głód. Od czasu pańskiego wymarszu aż do 26-go stycznia, naczelnicy Manjemów dawali tak oficerom, jak i podwładnym, albo mało żywności, albo nawet wcale nic; ludzie, którzy mogli pracować, otrzymali czasem po 10 pałek, ale ponieważ stale pracować nie mogli, przeto dostawali przeciętnie po 3 pałki kukurydzy dziennie. Inwalidzi, którzy nie byli w stanie pracować—a takich było bardzo wielu—nie otrzymywali od naczelnika nic, musieli więc żywić się ziołami. Zważywszy oplakany stan zdrowia tych ludzi, pojmie pan, że bezlitosne obchodzenie się z nimi naczelników Manjemów wystarczało do powiększenia śmiertelności.

Ludzie byli źle umieszczeni, a niedostateczne ich ubranie składało się z pół metra ubrania krajowców, ponieważ własne sprzedali w zamian za żywność; a doznali oni nie tylko strasznego głodu, ale także srogiego i brutalnego postępowania Manjemów, którzy odmawiając im pożywienia, zmuszali ich do kradzieży, a następnie bili ich za to kijami, a jednego (Asmaniego ben Hassana) za kradzież zamordowali dzidami.

Kap. Nelson przybył bardzo słaby; potrzeba mu więc było dawać dobre pożywienie i pielęgnować go troskliwie. Odwiedził naczelników i aby pozyskać ich sympatyę, dał im piękne prezenta, wartości około 1500 marek; mimo to, Manjemowie w dalszym ciągu dawali oficerom i podwładnym albo mało żywności, albo wcale nic. Utrzymywali, że co do zaopatrywania w żywność Nelsona i mnie, nie zawarto żadnej zgola umowy; mówili, że żywność, jaką mi przysyłają, dają tylko z powodu własnej wspaniałomyślno-

ści. Z kontraktu ich, zawartego z panem, przekonałem się, że zobowiązali się zaopatrywać w żywność oficerów i podwładnych, przez pana pozostawionych, zwróciłem się więc jeszcze raz do nich i poczyniłem odpowiednie przedstawienia; mimo to przysyłali nam coraz to mniej żywności, a w końcu nie chcieli dawać zupełnie, tłumacząc, że sami nie mają. Sądziłem, że łaskawość ich dosięga granicy, gdy przysyłali nam dwa albo trzy kubki mąki kukurydzianej, która musiała wystarczyć na wyżywienie Nelsona, mnie i służących, dopóki po 6 lub 7 dniach nie przysłali nowej porcji. W czasie ostatnich 7 tygodni nie otrzymywaliśmy od naczelników żywności nic a nic. Wskutek ich odmowy, byliśmy zmuszeni sprzedać najprzód własne ubranie a w końcu 8 karabinów, należących do wyprawy, byle tylko otrzymać żywność dla siebie i służących. Przypominałem Ismailiemu kilkakrotnie rozmowę, jaką miał z panem, w której przyrzekał dostarczać żywność dla oficerów i podwładnych. Chociaż naczelnicy mówili, że nie mają żywności, kiedy chodziło o zadośćuczynienie umowie, to przecież mieli jej zawsze poddostatkiem na sprzedaż, przyczem chcieli nas zmusić do sprzedaży broni i amunicji w zamian za żywność. Posłałem im dokładną liczbę przedmiotów, które Jephson w d. 7-ym listopada powierzył mej opiece, a które w chwili przybycia oddziału ratunkowego znajdowały się w całości, prócz następujących przedmiotów: dwu skrzyń amunicji Remingtona i jednego karabinu, skradzionych przez Zanzibarczyka Saraboko i zapewne sprzedanych Manjemom.

Nieraz próbowano kraść broń, skrzynie i t. d.; w nocy d. 7 listopada próbowano podpalić chatę, w której złożone były nasze towary, w tym zamiarze, aby w czasie wywołanego pożarem zamieszania skraść wszystko. Zamiar ten został unicestwiony, ponieważ Nelson, który nie mógł sypiać, zobaczył płomień i zaalarmował nas

i służących, wskutek czego pożar został stłumiony w zarodku. Stosownie do pańskich wskazówek, kazałem wówczas rozbić namioty, czego pierwaj nie byłem w stanie uczynić, ponieważ nie miałem pomocy. Wszystkie karabiny, amunicję, skrzynie i t. d. spakowano; kapitan Nelson zajął jeden namiot, ja drugi. Dołożyliśmy wszelkich starań, aby zapobiedz kradzieżom; mimo to, Nelsonowi skradł koldry wełniane jakiś złodziej, który dostał się do namiotu z tyłu. Innym razem usłyszałem szelest przed wejściem do namiotu. Wyskoczyłem prędko z łóżka i w odległości 10 metrów znalazłem skrzynię amunicji, skradzioną z mego namiotu. Złodziej znikł w ciemności.

Wieczorem d. 9 stycznia usłyszałem szelest. Domyślając się, że to złodziej, poszedłem cicho w tył namiotu, gdzie przyłapałem Zanzibarczyka Camaroniego na tem, jak chciał skraść karabin przez otwór, który umyślnie w tym celu wyciął w płótnie.

Życie w obozie Manjemów było wprost nieznośne. Pominąwszy głód, ludzie, ich zachowanie się i otoczenie było podłe, prócz tego cały plac był tak zarzucony fekaliami i gnijącymi roślinami, że zamienił się z czasem na siedlisko chorób. Nelson był z powodu choroby przykuty do łoża przez dwa miesiące, ja dostałem zatrucia krwi, a następnie róży, wskutek czego przez pięć tygodni leżałem w łóżku. W czasie choroby odwiedzali nas często naczelnicy, ale zawsze tylko po to, aby zażądać czegoś z naszych namiotów. Chciwość ich nie miała granic; zawierali układy tylko dlatego, aby zrywać je nazajutrz. Po przybyciu Kilonga-Longa i jego oddziału 400 osób, pomiędzy którymi były kobiety, dzieci i niewolnicy—było żywności istotnie mało, tak że Manjemowie musieli wysyłać wielkie karawany po żywność. Dwunastu nieobecnych w czasie naszego wymarszu Zanzibarczyków towarzyszyło karawanie i nie powrócili jeszcze do chwili,

w której obóz opuszczałem wraz z oddziałem ratunkowym. Głód przed naszym wymarszem był tak wielki, że krajowcy niewolnicy porwali w sztuki jednego ze swych towarzyszy, który oddalił się nieco od obozu, aby przynieść wody, i zjedli go.

Wreszcie chciałbym wspomnieć, że Nelson i ja robiliśmy wszystko, co się tylko dało, aby utrzymać dobre stosunki z naczelnikami i Manjemami i że rozstaliśmy się z nimi w sposób przyjacielski.

Dr T. H. Parke".

Kontrast pomiędzy świeżo przybyłymi z Ipoto a tymi, co chodzili do jeziora Alberta, był olbrzymi. Ci ostatni wyglądali wybornie, tamci marnie.

D. 12-go lutego przybyli Stairs i jego oddział ze wszystkimi częściami łodzi w dobrym porządku; był nieobecny przez dni 26 i misję swoją wypełnił dokładnie.

Wieczór tegoż dnia był ważny z powodu dyskusji, jaka wywiązała się pomiędzy nami a przewodnikami co do naszych przyszłych kroków. Przekonałem się bowiem, że przewodnicy zgadzali się jednogłośnie na to, aby iść do jeziora, spuścić łódź na wodę i szukać wieści o baszy. Ja pragnąłem również bardzo dowiedzieć się o baszy; mimo to niewiele było potrzeba, aby skłonić mnie do zaniechania poszukiwań baszy, a starać się dowiedzieć o losach Barttelota; ale oficerowie i podwładni pragnęli koniecznie odsłonić tajemnicę, pokrywającą Emina baszę. Wreszcie doszliśmy do kompromisu. Postanowiliśmy wysłać do Barttelota posłańców z listami, ze szkicem naszej marszruty i uwagami, któreby mogły przydać się mu wielce; dalej Stairs po dwudniowym wypoczynku miał posłańcom towarzyszyć aż do stacyi Ugarrowwy, przeprowadzić ich przez rzekę, a w drodze powrotnej zabrać rekonwalescentów, pozostawionych tam w d. 18 ym września.

Aby Stairs uczestniczył również w „honorze należenia do odsieczy Emina baszy”, postanowiliśmy czekać na niego do d. 20 marca, a tymczasem zajmować się dalej uprawą kukurydzy i fasoli, aby uniknąć braku żywności w lesie.

Odległość z fortu Bodo do Ipoto wynosiła 127 kilom., a zatem marsz tam i z powrotem 254 km. Na podróż tę Stairs potrzebował 25 dni, co daje przeciętny marsz 10,2 km. dziennie. Ale do Ipoto dotarł już w przeciągu 7 dni; Jephson i Uledi przebyli tę przestrzeń w tym samym czasie, robili zatem dziennie więcej, niż 17½ km. Ponieważ stacya Ugarrowwy była odległą od Ipoto o 167 km., a zatem o 294 km. od fortu Bodo, obliczaliśmy, że Stairs podróż tam i z powrotem odbędzie w 34 dniach. Byłby to wyborny marsz w lesie, ale ponieważ różne okoliczności mogły go zwalniać, umówiliśmy się zatem, że wyruszymy do jeziora d. 25 marca i będziemy posuwali się zwolna, aby umożliwić mu dopędzenie nas.

Przy przeglądzie d. 16 lutego oświadczyłem ludziom, że potrzebuję 20 najlepszych ochotników, aby poszli z listami do Barttelota; każdy, który dojdzie do majora, otrzyma 10 funtów szterl. nagrody.

— Wszyscy zgodziliście się na to, że najprzód musimy odszukać baszę. Dobrze. Ale ja obawiam się tak samo o majora, jak o baszę. Musimy więc odszukać obu. Nie zapomnieliście jeszcze, cośmy wycierpieli, pojmiacie zatem, co im dźiać się musi w lesie, skoro nie wiedzą, dokąd idą, ani co ich czeka. Wiecie, jak byliśmy wdzięczni, gdybyśmy byli spotkali kogo, któryby przestrzegł nas był przed głodem i nędzą. Dlatego każdy z ochotników musi być uznany za zupełnie odpowiedniego do tego zadania. Pan Stairs, który zna was wszystkich wybornie, nigdy nie jest znużony i nigdy nie mówi „dosyc”, jeżeli coś jeszcze zrobić potrzeba, wskaże wam drogę do Ugarrowwy i postara się o to, aby przeprowadzić was przez

rzekę z zapasami żywności i nabojów. Skoro wyruszyście, trzymajcie się naszej dawnej drogi i spieszcie się, jakby na wyścigach o wielką nagrodę. Te listy trzeba wręczyć majorowi, aby go uratować.

Rzecz naturalna, że w takich razach Zauzibarczycy dają się łatwo rozentuzyzmować i każdy uważa się za bohatera. Wystąpiło przeszło 50 ludzi, którzy wyzywali każdego, by zarzucił co ich dzielności lub odwadze. Z nich wybrano 20. Wspomniano o nich w wykazie tych, którzy po powrocie do Zanzibaru za wyborne usługi oprócz swych płac wynagrodzeni zostali różnemi sumami.

O godz. 9 ej Stairs wyruszył w drugą podróż do Ugarrowwy z kurami, kozami, kukurydzą i bananami.

D. 18 lutego w lewym ramieniu ukazała się wrzodowata opuchlina.

Wyjątki z mego dziennika:

19 lutego do 13 marca. D. 19 lutego w niedzielę wieczorem zachorowałem na żołądek. Dr. Parke uznał chorobę za ostrą gastritis. Dr. Parke pielęgnował mnie tak starannie, jak kobieta. Poraz pierwszy w życiu miałem wszystkich na swoje usługi, wszyscy kłopotali się o mnie we dnie i w nocy. Pielęgnowali mnie wierni przyjaciele Parke i Jephson. Biedny Nelson sam legł chory na gorączkę, osłabienie, nabrzmienie skóry i wrzody, których nabawił się skutkiem głodu, a mimo to chwając się przychodził do mnie, aby dać mi tem dowód swej życzliwości. Popołudniu doktor pozwalał przewodnikom przychodzić do mnie, aby następnie zakłopotanym Zanzibarczykom opowiadali o stanie mego zdrowia. W ciągu tych 23 dni byłem ciągle pod wpływem morphium nieprzytomny. Ale teraz zwolna odzyskuję zdrowie. Przed dwoma dniami narośl wycięto i jestem już wolny od bólu. Przez ten cały czas spożywałem tylko ćwierć litra mleka, roz-



cieńczoną wodą, jestem więc tak osłabiony, że ledwie ruszać się mogę.

W czasie choroby utraciłem znów dwu dobrych ludzi, Sarmimego i Kamwaija, zabitych strzałami, zaś jeden z przewodników został ciężko ranny. Stało się to w czasie rekonensansu do Ihuru, w odległości 26 km. ztąd. Uledi na czele oddziału przekonał się, że obóz karłów i większych krajowców, którzy niszczyli nasze plantacje bananów znajdowały się w odległości 26 km. na wschód.

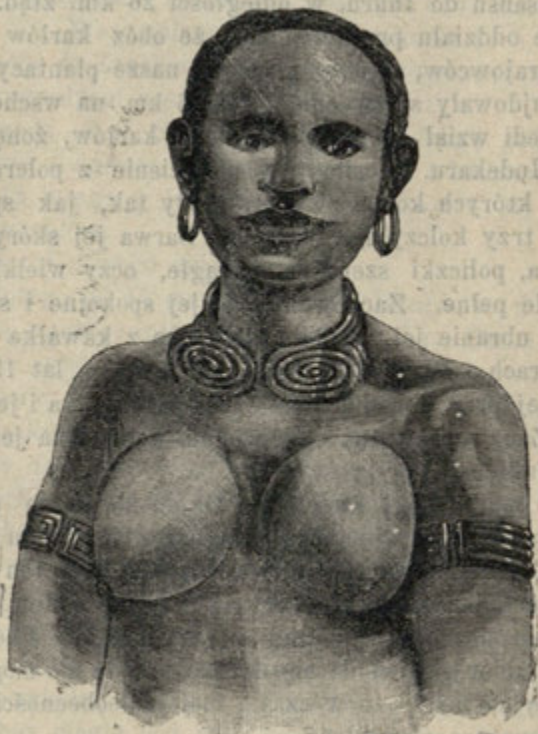
Uledi wziął do niewoli królowę karłów, żonę naczelnika z Indekaru. Nosiła trzy pierścienie z polerowanego żelaza, których końce zwinięte były tak, jak sprężyna, tudzież trzy kolczyki w uszach. Barwa jej skóry jasno-brunatna, policzki szerokie, okrągłe, oczy wielkie, usta małe, ale pełne. Zachowanie się jej spokojne i skromne, chociaż ubranie jej składało się tylko z kawałka materyi na biodrach. Wzrost jej 1,32 m., liczyła lat 19 do 20. Skóra jej przy dotknięciu nie jest tak gładka i jedwabna, jak u Zanzibarczyków. Ale wogóle kobieta ta jest miłym stworzonkiem.

13 marca do 1 kwietnia. Około 25 marca odzyskałem siły do tego stopnia, że mogłem ująć odrazu kilkaset kroków. Nelson odzyskał siły również. Przez ten czas podziwiałem, jak nasza plantacja kukurydzy z dnia na dzień rozwijała się coraz piękniej i zazieleniała. Łodygi już kwitły; zbiór zapowiada się dobrze tak, że nie mogę nacieszyć się na myśl, że w czasie mojej nieobecności nie będzie kłopotu o przyszłość.

Mam zamiar wyruszyć jutro z łodzią do jeziora. Jestto już 46 dzień od wymarszu Stairs'a. Do Barttelota wysłałem 20 posłańców, z których jeden powrócił później. Stairs ma 6 towarzyszy. W forcie pozostawia 49 ludzi. Wraz z Nelsonem będę miał 126 ludzi w marszu do jeziora. Z 389 ludzi pierwszego oddziału pozostało już tylko

201, prócz rekonwalescentów, którzy powrócą może od Ugarrowwy.

Tippu Tib stał się widocznie niewiernym i wskutek tego major czyni podwójne marsze w odległości kilkuset kilometrów po za nami. 19 posłańców spieszy do niego.



Kobieta kaffirów.

Znajdują się już zapewne pod Népoko, zaś Stairs zastał jeszcze tylu cierpiących inwalidów, że nie może iść prędko naprzód. Na czele 126 ludzi spróbuje znów pospieszyć na ratunek Eminowi baszy.

Roboty, jakie należy wykonać około fortu, są znaczne. Nelson ma stanowisko nie do zdobycia; plantacye udały się wybornie. Dziś poraz pierwszy jadłem potrawę z fasoli. Drzewa bananowe są niewyczerpane.

Po obu stronach nasze szerokie drogi sięgają 4 km. W plantacyach odbywa codziennie 10 ludzi straż, aby złośliwi karłowie nie zniszczyli zapasów załogi i aby krajowcy nie mogli napaść nagle na robotników, pracujących w polu.

Dr. Parke, na własne życzenie, będzie nam towarzyszył w marszu do jeziora.

W niedzielę ludzie nasi ćwiczyli się w ewolucjach wojskowych wedle metody gen. Mathewsa w Zanzibarze; są tak wybornymi komedyantami, że naśladowali nawet jego głos i ruchy.

Życie w forcie Bodo nie było wogóle nieprzyjemne. Mimo to kłopotaliśmy się ciągle o los naszych przyjaciół; pragnęliśmy ustawicznie iść naprzód i kończyć nasze zadanie, ale ciągle stawało coś na przeszkodzie. Każdą godzinę zużytkowaliśmy za to na gromadzenie dużych zapasów żywności, w nadziei, że szczęście raz przecież odwróci się do nas, i że Barttelot, i nasi przyjaciele Jameson, Ward, Tronk i Bonny ze swą małą armią przed naszym powrotem od jeziora znajdą się w forcie Bodo.

#### ROZDZIAŁ XIV,

D. 2-go kwietnia r. 1888-go około południa wyruszyliśmy poraz drugi do jeziora Alberta, aby odszukać baszę, lub odsłonić pokrywającą go tajemnicę. Łódź stalową rozebraliśmy na 12 części, a ponieważ niektóre części jej były szerokie, przekonaliśmy się, że często będziemy musieli uciekać się do pomocy toporów, aby przenieść je pomiędzy drzewami. W takich warunkach pochód nasz do jeziora musiał trwać o kilka dni dłużej, niż poprzedni.

Awangarda odkryła wkrótce na naszej ścieżce powbijane w ziemię kołki zatrute. Musieliśmy zatem iść ostrożnie. Ale znaliśmy już te ścieżki podstępnych mieszkańców lasów afrykańskich, a oni znów nie byli tak zręcznymi, by wynajdywali nowe sposoby.

Odpoczywaliśmy najprzód w wiosce karłów, zaś dnia 4-go kwietnia dotarliśmy do Indemwani. Nazajutrz byliśmy w innej wsi, gdzie Saat Tato w towarzystwie kilku towarzyszy odkrył gaik drzew figowych, i wziął w niewolę kilka pysznych egzemplarzy karłów. Były to cztery

nych przybędę do Pana od strony Kongo i za cel swój obiorę Kawalli.

Ztąd, że krajowcy z Kawalli o panu zupełnie nie wiedzą, a mówią tylko o odwiedzinach Masona przed laty 10, wnoszę, że nie otrzymałeś pan mego listu.

Przybyłem tu po kilku rozpaczliwych walkach dopiero dnia 14 grudnia. Zatrzymaliśmy się przez dwa dni w pobliżu Kavalli i pytaliśmy każdego krajowca, do którego można było zbliżyć się, czy wie cokolwiek o Panu, ale otrzymaliśmy zawsze odpowiedź przeczącą. Ponieważ łódź naszą pozostawiliśmy w odległości jednego miesiąca marszu, a kanoe ani uczciwie kupić, ani przemocą zdobyć się nie udało, przeto postanowiliśmy powrócić, zabrać łódź i przynieść ją do jeziora. Uczyniliśmy to, a tymczasem w odległości 15 dni marszu ztąd zbudowaliśmy fort, aby złożyć tam towary, których nosić nie mogliśmy, i przybyliśmy z łodzią poraz wtóry tutaj, aby pospieszyć Panu z-pomocą. Tym razem gwałtowni krajowcy przyjęli nas z otwartymi rękami, a setki ich towarzyszyły nam w marszu. Obecnie cały kraj od Njamsassi aż do naszego fortu jest otwarty dla spokojnego marszu.

Obecnie czekam w Njamsassi na Pańską decyzję. Ponieważ tutaj trudno jest o żywność dla naszych ludzi, czekać będziemy zapewne na odpowiedź Pańską niedługo. W okolicy naszego fortu jest poddostatkiem żywności i bydła, zaś w równinie, położonej niżej, a graniczącej z jeziorem, ludzie trudnią się przeważnie rybołówstwem.

Jeżeli pismo to dojdzie do Pana, zanim Pan opuści miejsce swego pobytu, radziłbym Panu na parowcu i łodziach przywieść znaczne zapasy żywności, aby wyżywić nas przez czas, przez który czekać będziemy na odjazd Pański; mniej więcej 6,000 do 7,000 kilog. zboża, prosa albo kukurydzy itd., co łatwo przewieźć, jeżeli Pański parowiec posiada dostateczną zdolność przewozową.

Jeżeli jesteś Pan zdecydowany opuścić Afrykę, proponowałbym Panu, abyś zabrał bydło i wszystkich krajowców, którzy zechcą pójść z Panem. Nubar basza miał nadzieję, że Pan zabierzesz ze sobą wszystkich swoich Makraków i jeżeli to możebne, ani jednego z nich nie zostawiaj, ponieważ on pragnąłby wszystkich zatrzymać w służbie.

Pisma ministeryum wojny i Nubara baszy, które dla Pana przyniosłem, pouczą Pana dokładnie o zamiarach rządu egipskiego, byłoby zatem zapewne lepiej, abyś Pan czekał na odbiór pisma przed powzięciem jakichkolwiek postanowień. Ja powiadamiam Pana tylko w krótkości o zamiarach rządu, abyś Pan mógł zastanowić się nad tą kwestyą i powziąć postanowienie.

Jak słyszę, ma pan u siebie wielką liczbę bydła rogatego; trzy lub cztery krowy dojne sprawiłyby nam wielką przyjemność, jeżeli Pan możesz przewieźć je na swoim parowcu i łodziach.

Mam dla Pana listy, książki i mapy, jak również pakiet dla kap. Casatiego, ale obawiam się posyłać je Panom przez posłańca, ponieważ Pan, być może, wskutek rozszerzonych przez krajowców pogłosek o naszym przybyciu, wyruszyłeś już z miejsca swego pobytu, i listy nie doszłyby do Pana; prócz tego, nie wiem na pewno, czy łódź dotrze do Pana i posyłki zatrzymują do czasu, póki nie dowiem się, że będą mogły być doręczone Panu niezawodnie.

Czekając na przybycie Pańskie do Njamsassi, będziemy musieli furażować w odległych okolicach; może Pan być jednak pewnym, że trudy te będziemy ponosili tak długo, póki nie zobaczymy się z Panem.

Wszyscy moi towarzysze przesyłają Panu najlepsze życzenia i dziękują Bogu, żeś Pan zdrow i bezpieczny.

Proszę uważać mnie, Szanowny Baszo, za wiernego  
sługę

Henryk M. Stanley

Naczelnik wyprawy ratunkowej.

Do Sz. Emina baszy, gubernatora prowincyj Aequatoria  
i t. d.

W czasie naszego pobytu w Kawalli kilkuset kra-  
jowców z sąsiednich dystryktów odwiedzało nas przyja-  
źnie, a naczelnicy oświadczyli swoją uległość. Mówili, że  
kraj ich do mnie należy i że rozkazy moje, jakieby one  
nie były, będą natychmiast wykonane. Gotowość, z jaką  
dostarczali nam żywność, nie pozwalała nam powątpiewać  
o szczerości ich zapewnień, chociaż nie było dotąd potrze-  
by tłumaczyć ich zapewnienia zbyt dosłownie. Jak długo  
nie cierpieliśmy głodu, nie mogło się stać nic takiego,  
coby naruszało stosunki przyjazne z Mazambonim. Sto-  
sownie do środków, jakie posiadałem, każdy z naczeln-  
ików otrzymał podarek w postaci sukna, pereł szklanych,  
kauri i drutu. Mbiassi dostarczał mi codziennie litr  
mleka.

## ROZDZIAŁ XV.

D. 25-go kwietnia wyruszyliśmy z Kawalli do Bundi. Mbiassi, piękny królik z Kawalli, towarzyszył nam w pochodzie, by w ten sposób okazać nam uszanowanie swoje. Mieszkańcom Bundi rozkazał jaknajprędzej złożyć nam podarki w postaci żywności, oraz wysłał posłańców do Komubiego, z wezwaniem, aby niezwłocznie zaopatrzył w żywność jednego człowieka, który będzie może potrzebny do pomocy w poskromieniu Kabba-Regi. Komubi, słynny królik wschodniego Balegga, był, zdaje się, uważany przez nieprzyjaciół Kabba Regi za „jedynego generała”. Mbiassi, nazywany przez naród swój od nazwy dystryktu Kawalli, był dyplomatą.

D. 26 kwietnia stanęliśmy we wsi Baleggów, Badsua. Mieszkańcy uciekli, ale ponieważ wieś należała do Kawallego, tenże zajął ją i z zapasów żywności rozdał pomiędzy ludzi racye na pięć dni.

Katonza, naczelnik, który d. 14 grudnia odrzucił ofertę naszej przyjaźni i podarki odesłał, zaś dnia 16-go



wysłał ludzi dla ostrzeliwania naszego obozu i zamordowania naszych dwu chorych, przysłał posłańców z wiadomością, że „umiera“ z chęci zobaczenia mnie. Słyszał teraz, że Mazamboni, Gawira, Kawalli i wielu innych, żyją bardzo blisko z obcymi, którzy ludzi jego prosili o trochę wody i pospieszał naprawić dawne zło. Zanim mogłem odpowiedzieć, dzielny Komubi „jedyne general“, przybył ze wzgórz z białą krową, kozami i workiem słodkich kartofli i z garnkami pokrzepiającego piwa. To Komubi i jego uparci towarzysze d. 13 grudnia deptali tak zawzięcie po piętach ariërgardy. Przybył teraz, aby pokornie wyrazić ubolewanie swoje nad tem, że uważał nas za bandytów Kabby-Regi i aby oddać w me ręce kraj swój, a nawet życie, jeżelibym tego pragnął. Sprzyjałiśmy się prędko, a rozstanie nastąpiło dopiero po dłuższej rozmowie. Katonzie odpowiedzieliśmy, że zastanowimy się nad jego ofertą.

Wyjątek z dziennika.

27 kwietnia. Odpoczywamy w Badzua.

29 kwietnia. O godz. 8-ej rano, w chwili, kiedy chcieliśmy wyruszyć z obozu do jeziora, przybył przewodnik krajowiec z pismem Jephsona, datowanym 23 kwietnia, z doniesieniem, że dotarł do Mswa, stacyi Emina baszy i że komendant Szukri Aga wysłał posłańców, aby powiadomili Emina baszę o naszym przybyciu. Oprócz listu przysłał kosz cebuli, jako podarek od Szukri Agi.

O godz. 9 rano wyruszyliśmy ku jezioru. W dwie godziny później byliśmy w odległości  $\frac{1}{2}$  kilom. od jeziora, zaopatrzeni w żywność na pięć dni i mogliśmy otrzymać mięso z równin po za nami.

O god. 4 $\frac{1}{2}$  popołudniu z namiotu mego zobaczyłem na wschodnim widnokręgu jeziora jakiś ciemny przedmiot, który początkowo uważałem za kanoe krajowców, lub za łódź „Advance“, powracającą do nas. Ale spojrzenie przez

perspektywę pouczyło mnie, że statek był większych rozmiarów, a wkrótce ujrzałem wznoszący się z niego dym. W godzinę później mogliśmy już dojrzeć, że parowiec ciągnął za sobą kilka łodzi, i że o godz. 6<sup>1</sup>/<sub>3</sub> zarzucił kotwicę w małej zatoce przy wysepce Njamsassi. Nad brzegiem przed naszym obozem stały tuziny naszych ludzi, którzy dali kilka strzałów z karabinów; zdaje się jednakże, że nikt nas nie zauważył, chociaż byliśmy oddaleni od wysepki tylko o 3 kilomy.

Posłałem zatem ludzi wzdłuż wybrzeża, celem doniesienia osadzie parowca o nas; ale oni zachowywali się tak nieostrożnie, że strzelaniną celem zwrócenia uwagi na siebie, spowodowali strzelanie do nich Sudańczyków, którzy wzięli ich za ludzi Kabby-Regi. Nie było jednak żadnego wypadku; załoga poznała wołania swych towarzyszy na lądzie, o godz. 8-ej wieczorem Emin basza, wśród okrzyków radości i powitalnych salw karabinowych, kroczył ku obozowi w towarzystwie kap. Casatego, Jephsona i jednego ze swoich oficerów. Podąłem im wszystkim rękę i spytałem, kto z nich jest baszą.

Wtem postać niska, wątła, w okularach, zwróciła uwagę moją na siebie wypowiedzeniem następujących słów wyberną angielszczyzną:

— Jestem panu tysiącrotnie zobowiązany, panie Stanleyu, i istotnie nie wiem, jak mam wyrazić wdzięczność moją.

— A, to pan jest Eminem baszą. Nie wspominaj pan o wdzięczności, ale wejdź do namiotu i spocznij. Tu tak ciemno, że widzieć się nie możemy.

Usiedliśmy u wejścia do namiotu; scenę oświetlała świeca woskowa. Spodziewałem się zobaczyć wysoką, chudą postać o wyglądzie wojskowym, w zniszczonym mundurze egipskim, a tymczasem patrzyłem na człowieka niskiego, niepozornego, w dobrze utrzymanym fezie i w bia-

łem, jak śnieg, ubraniu z drellichu bawełnianego, czystem, pięknie odprasowanym i dobrze leżącym. Ciemna broda otaczała twarz o typie węgierskim, chociaż okulary nadawały jej wygląd trochę włoski lub hiszpański. Na twarzy nie było widać ani śladu choroby lub kłopotu, owszem zdrowie i umysł spokojny. Za to kap. Casati, jakkolwiek młodszy, był chudy, wyglądał na steranego kłopotami, zasmuconego i starego. I on był ubrany w czysty strój bawełniany i także nosił fez egipski.

Krótkie obrazy wypadków naszej podróży, zdarzeń w Europie i w prowincjach równikowych, jakoteż spraw osobistych zajęły znaczniejszą część dwu godzin, poczem na zakończenie szczęśliwego spotkania się odkorkowaliśmy pięć półbutelek szampana, dar mego przyjaciela Grechoffa w Stanley-Pool i wypiliśmy za zdrowie Emina baszy i kap. Casatiego. Następnie odprowadziliśmy ich do łodzi, która zawiozła ich do parowca.

30 kwietnia. Dziś pomaszerowaliśmy do Nsabe, w odległości około 50 m. od jeziora, a o 5 km. od wyspy Njamsassi. Kiedy przechodziliśmy w pobliżu parowca „Kedyw“, oddział Sudańczyków baszy, ustawiony w paradzie na brzegu jeziora, powitał nas muzyką. Basza był ubrany w mundur i wyglądał więcej na żołnierza, niż wczoraj wieczorem.

Obok tych wojskowych postaci nasi Zanzibarczycy wyglądali bardzo marnie i więcej goło, niż kiedykolwiek. Ale ja się ich... nie wstydzilem. Chociaż tak lichy wyglądali, to przecież tylko dzięki ich pomocy zdołaliśmy pokonać tyle trudności, i chociaż nie umieli wykonywać zwrotów wojskowych, to przecież najlepsi żołnierze Sudańscy, w porównaniu z nimi, byli dziećmi dla takiej wyprawy, jak nasza. Po ukończeniu małej ceremonii, oddałem baszy 30 skrzyń nabojów Remingtona i udałem się na pokład parowca, gdzie zjadłem śniadanie, złożone

z placka jaglauego, pieczonego w syropie i szklanki świeżego mleka.

Parowiec „Kedyw“, zbudowany w r. 1869-ym przez Samuda Brothersa, miał  $27\frac{1}{2}$  m. długo.,  $5\frac{1}{4}$  do  $5\frac{1}{2}$  m. szerokości i zagłębia się na  $1\frac{1}{2}$  m. Chociaż tak stary, oddaje jeszcze usługi. Górna część wygląda dobrze, ale zato podwodna, jak słyszę, jest bardzo łatana.

Oprócz baszy znajdowali się na pokładzie Casati, Vita Hassan, aptekarz tunetański, kilku urzędników egipskich, porucznik egipski, i około 40 żołnierzy sudańskich i dzielna załoga...

Dr Junker i d-r Felkin, po artykułach swoich w „Graphic“ z r. 1887, kazali spodziewać się nam w Eminie baszy człowieka nerwowego, wysokiego mniej więcej na 1'8 m., a tymczasem nie ma nad 1'7 m. wysokości. Przypominam sobie, że pierwszy z nich kłopotał się tem, czy spodnie, zamówione dla baszy, nie będą za krótkie, a tymczasem musiano obciąć je o 15 cm., zanim je basza mógł ubrać. Emin opowiadał mi, że liczy lat 48; z powierzchni trudno to odgadnąć; broda jego ciemna, prawie czarna, a ruchy takie, jak u człowieka, liczącego lat 30 do 35.

Basza opowiadał mi, że zwiedzał Mombuttu, ale tak, jak podróżni Schweinfurth, Casati, Piaggia i Junker, nie czynił spostrzeżeń astronomicznych, lecz ograniczał się tylko do obliczeń na podstawie kompasu. Natomiast zwracał więcej uwagi na meteorologię w tym kraju.

Około południa zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu Nsa-be, gdzie wysiadłem na ląd, aby wydać rozkaz założenia warownego obozu, odpowiedniego dla dłuższego pobytu w kraju, który z powodu bliskości Kabba-Regi, uważałem za niebezpieczny. Skoro królik ten rzucił rękawicę Eminowi baszy, mógł uważać się za dość potężnego, aby na czele 1500 ludzi zbrojnych w karabiny, spróbować naszej

siły, albo też Wagandowie, w czasie swych wędrówek rabusiowskich, mogliby posłyszeć o nas i złożyć nam wizytę w oczekiwaniu łupów.

Wieczorem Emin basza wysiadł na ląd i mieliśmy dłuższą rozmowę; ale mimo to nie jestem w stanie powiedzieć, jakie on żywi zamiary. Wręczyłem mu listy, „Wysoki rozkaz” Kedywa i pismo Nubara baszy.

Sądziłem, że będziemy czekali dwa tygodnie i potem wszyscy pomaszerujemy pod lasy, aby w Undussuma zajęć odpowiednie stanowisko, w którym mógłbym go pozostawić i powrócić z pomocą Barttelotowi. Po połączeniu się moglibyśmy w przeciągu kilku dni rozpocząć marsz do Zanzibaru. Ale basza jest zagadkowy. Kiedy proponuję mu odwrót do morza, ma zwyczaj uderzać się po kolanach i uśmiechać się, jakby chciał powiedzieć: zobaczymy. Widocznie trudno mu opuścić stanowisko w kraju, w którym wykonuje władzę wice króla.

Kiedy wytłomaczyłem dość dokładnie przyczyny opuszczenia prowincyi aequatoryalnych przez Egipt, odpowiedział mi.

-- Pojmuję zupełnie trudności utrzymania tych prowincyj przez Egipt, ale jeszcze nie rozumiem sprawy mego powrotu. Kedyw pisze mi, że wypłata pensyj mnie, moim oficerom i żołnierzom będzie uregulowana przez generalnego płatnika, skoro powrócimy do Egiptu, że jednak, jeżeli tutaj pozostaniemy, uczynimy to na własne ryzyko, i nie możemy spodziewać się dalszej pomocy od Egiptu. Nubar basza przysłał mi długie pismo, ale w tym samym duchu. Ale tego nie nazywam instrukcyami. Nie mówią mi, że mam kraj opuścić, ale pozwalają mi czynić wedle własnego uznania.

— Ponieważ Kedywa i Nubara baszy niema tutaj, i nie mogą panu zaraz odpowiedzieć, pozwoli pan przeto, że uzupełnię mu to, co sam wiem dokładnie. Dr Junker,

po przybyciu swoim do Egiptu, powiedział światu, że pan z powodu braku amunicyi jesteś w wielkim kłopotcie, że posiadasz jej jednak dostateczną ilość, aby utrzymać się przez rok lub półtora, jeżeli naturalnie nie będziesz pan zmuszony staczać dłuższych wojen. Dotąd broniłeś pan prowincyj z powodzeniem i czyniłbyś panu to z wyłączeniem wszystkich sił swoich także i w przyszłości, dopóki byś nie otrzymał od rządu rozkazu postępowania inaczej. Kochałeś pan bardzo kraj i ludność: kraj znajduje się w stanie spokojnym, w dobrobycie, i posiada prawie wszystko, co mogłoby utrzymać go w tem szczęśliwym położeniu. Patrzyłbyś pan niechętnie, gdyby praca pańska była bezowocną, wolałbyś pan, aby Egipt prowincyę tę otrzymał, lub gdyby on nie był do tego zdolny, aby jakie inne mocarstwo europejskie chciało pracę Pańską przedłużyć. Czy dr Junker dobrze mówił o myślach pańskich?

— Tak.

— A zatem po przeczytaniu sprawozdań dra Junkera, urzędnikom egipskim nasunęła się najprzód myśl, że pan nie miałbyś ochoty opuszczać swoich prowincyj, mimo wszelkich instrukcyj. Dlatego mówi Kedyw, że jeżeli pan pozostaniesz tutaj, uczynisz to na własną odpowiedzialność i ryzyko, i nie będziesz mógł spodziewać się dalszej pomocy od Egiptu. My posiadamy instrukcye, aby oddać panu pewną ilość amunicyi, a następnie powiedzieć panu: Jesteśmy obecnie gotowi wyprowadzić pana z Afryki i towarzyszyć panu, jeżeli zechcesz iść z nami, a my z naszej strony cieszylibyśmy się pańskim towarzystwem; natomiast misya nasza jest skończona, jeżeli pan nie zechcesz iść z nami. Przypuśćmy, że pan wolisz pozostać w Afryce. Jesteś pan jeszcze młody, masz lat 48 i jesteś zdrow. Powiedzmy, że jeszcze 5, 10, a nawet 15 lat będziesz pan tak samo silny, ale na-

stępnie siły pana opuszczą. Z powątpiewaniem będziesz pan spoglądał w przyszłość, i może zdecydujesz się na odwrót, zanim to będzie zapóźno. Wybierzesz pan marszrutę do morza—przypuśćmy na Monbattu. Przypuśćmy, że dotrzesz pan do Kongo i zbliżysz się do cywilizacyi, zkądże weźmiesz pan żywność dla ludzi, skoro będziesz pan musiał płacić za nią pieniędzmi lub towarami? Przypuśćmy, że dotrzesz pan do morza, co będziesz czynił wówczas? Kto panu pomoże, kto ludzi pańskich do ojczyzny odwiezie? Odrzuciłeś pan pomoc Egiptu, kiedy ją panu ofiarowywano, więc powtarzam słowa Kedywa, dalszej pomocy od Egiptu spodziewać się nie możesz. Jeżeli pozostaniesz tu przez całe życie, co stanie się później z prowincjami?

— To prawda, co pan mówi—odparł basza; ale my mamy olbrzymią liczbę kobiet i dzieci, ogółem prawdopodobnie 10,000 osób. Jakże zabierzemy je ztąd? Potrzebawalibyśmy ogromnej liczby tragarzy.

— Tragarzy, poco?

— Dla kobiet i dzieci. Nie dadzą się zostawić, a maszerować nie mogą.

— Kobiety iść muszą, co się zaś tyczy dzieci, które tego nie mogą, to one pojedą na osłach, których masz pan wiele, jak mówisz. Ludzie pańscy w pierwszym miesiącu nie będą mogli robić dużych marszów, ale zwołna przyzwyczajają się do tego. W czasie mojej drugiej wyprawy kobiety przeszły całą Afrykę w szereg; pańskie kobiety niezadługo potrafią to samo.

— Potrzeba olbrzymich zapasów żywności na drogę.

— Ba, ale pan posiada wielką liczbę bydła, zapewne kilkaset sztuk. To dostarczy mięsa. Kraje, przez które przejdziemy, muszą dostarczyć nam zboża i żywności roślinnej. A kiedy przyjdziemy do kraju, gdzie przyjmują zapłatę za żywność, będziemy mieli środki na za-

płacenie, zaś w Msalala złożono dla nas dalsze zapasy towarów, potrzebnych w marszu do wybrzeża.

— Dobrze, dobrze, odłożmy resztę na jutro.

1 maja. Wypoczynek w Nsabe. O godz. 11-ej rano basza wysiadł na ląd i po krótkim wypoczynku rozpoczęliśmy rozmowę na nowo.

— To, coś mi pan powiedział wczoraj wieczorem — mówił basza — przekonują mnie, że najlepiej zrobimy, opuszczając Afrykę. Egipcianie, o ile wiem, są gotowi do wymarszu. Jest ich około 50 oprócz kobiet i dzieci. Co do nich niema żadnej wątpliwości, i nawet gdybym pozostał, wołałbym pozbyć się ich, ponieważ podkopują moją powagę. Kiedy im doniosłem, że Chartum wzięte, a Gordon został zamordowany, opowiadali Nubijczykom, że zmyśliłem historię, iż pewnego pięknego poranku ujrzymy parowce, przybyłe celem naszego oswobodzenia. Ale wątplię bardzo o wojskach regularnych, złożonych z dwu bataljonów; wiodły tu życie tak wolne, tak szczęśliwe, że nie zechcą opuszczać kraju, w którym przywykli do zbytku, jakiego w Egipcie spodziewać się nie mogą; są żonaci, a prócz tego każdy żołnierz posiada własny harem; natomiast większa część wojsk nieregularnych pójdzie za mną bez wątpienia. Jeżeli przypuścimy, że regularni nie zechcą kraju opuścić, pojmiesz pan, jak trudnem byłoby wówczas moje położenie. Czy postąpiłbym dobrze, pozostawiając ich na los szczęścia? Musiałbym pozostawić im ich broń i amunicję, a po mojem oddaleniu się skończyła by się wszelka uznana władza i karność. Posprzeczałiby się i potworzyłyby się stronnictwa. Samolubni staraliby się przemocą stanąć na czele rządów i powstałyby ztąd bójki.

— Nakreśliłeś mi pan straszny obraz, baszo—odrzekłem. Mimo to zdaje się mi, że należy słuchać rozkazów bez względu na to, co stanie się z innymi; droga obowiązku



dla wiernego oficera Kedywa jest jasną. Mojem zdaniem, powinien pan odczytać wojsku pismo Kedywa i kazać tym, którzy chcą z panem odejść, aby stanęli po jednej, zaś tym, którzy chcą pozostać, po drugiej stronie; następnie pierwszych przygotować do natychmiastowego wymarszu, a drugim pozostawić tyle broni i amunicyi, ile panu zbywać będzie. Jeżeli pozostali stanowiąc będą trzy czwarte, lub cztery piąte pańskich żołnierzy, o los ich nikt kłopotać się nie potrzebuje, ponieważ działają wedle własnej woli, a tak samo nic nie uwalnia pana od wykonania tego, co nakazuje obowiązek wobec Kedywa.

— To prawda — odparł basza — ale przypuścmy, że ludzie otoczą mnie i zatrzymają przemocą?

— Mojem zdaniem, wobec karności pańskich ludzi jest to niepodobne do prawdy. Ale pan zna ich chyba najlepiej.

— Dobrze, jutro wyszlę parowiec z pismem Kedywa, a pan zobowiązesz mnie sobie bardzo, jeżeli pozwolisz jednemu ze swoich oficerów na przedstawienie się wojsku w Dufilé. Pozwól, aby on sam przemówił do ludzi i powiedział im, że przybywa jako wysłannik reprezentanta rządu, którego Kedyw wysłał specjalnie po to, aby ich ztąd wyprowadzić; być może, że zobaczywszy go i rozmówiwszy się z pańskimi Sudańczykami, będą skłonni do wymarszu. Jeżeli ludzie pójdą i ja pójde; jeżeli zostaną, i ja również zostanę.

— A przypuścmy, że pan postanowisz pozostać, co stanie się z Egipcyanami?

— O, w takim razie będę zmuszony prosić pana o zabranie ich.

— Bądź pan zatem tak dobry i spytaj kap. Casatiego, czy będziemy mieli przyjemność mieć go za towarzysza w marszu do morza? Polecono nam bowiem, udzielić mu wszelakiej pomocy.

Kap. Casati odpowiedział przez usta Emina baszy:

— Jeżeli gubernator Emin pójdzie, i ja pójdę; jeżeli on zostanie i ja również pozostanę.

— Ha, widzę, baszo, że pozostając tutaj bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność, ponieważ wikłasz kap. Casatiego w swój własny los.

Kiedy słowa moje przetłumaczono, dzielny kapitan odpowiedział z uśmiechem:

— O, Emina baszę uwalniam od wszelkiej odpowiedzialności za mnie, ponieważ sam sobą kieruję.

— Czy wolno mi, baszo, zaproponować panu, abys spisał testament, jeżeli chcesz pozostać tutaj?

— Testament! poco?

— Aby rozporządzić swoją pensją, która do tej pory jest zapewne znaczną. Zdaje mi się, mówiłeś pan ośm lat? A może chcesz pan pozostawić pieniądze Nubarowi baszy?

— Nubarowi baszy daję miłość moją. E, może należeć mi się około 2000 funtów. Co znaczy taka suma dla człowieka, który ma być usunięty? Mam obecnie lat 48 i na jedno oko zupełnie nie widzę. Jeżeli przybędę do Egiptu, powiedzą mi kilka pięknych słów i usuną mnie z komplementem. Nie pozostanie mi wówczas nic innego do uczynienia, jak wyszukać sobie w Kairze lub w Stambule jakiś kącik do wypoczynku. Istotnie, piękne widoki!

Popołudniu Emin basza przybył raz jeszcze do mego namiotu i w czasie rozmowy, powiedział mi, że postanowił Afrykę opuścić, „jeżeli ludzie zgodzą się na to; w przeciwnym razie pozostanie przy nich”.

Dowiedziałem się także, że Egipcyanie, w liczbie 68, mieli wielką ochotę wracać do ojczyzny. Pierwszy batalion wojsk regularnych liczył trochę więcej, niż 650,

drugi prawie 800 ludzi; Emin miał około 750 karabinów Remingtona; reszta posiadała strzelby perkusyjne.

2 maja. Dziś rano parowiec „Kedyw” odpłynął na północ, najprzód do stacyi Mswa, a ztamtąd do Tunguru, odległego o 14<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godzin jazdy parowcem; w przeciągu dwu dni statek przybędzie do Wadelai, a w trzecim do Dufilé. Zabiera zaś na pokładzie swoim rozkaz baszy, 60 do 70 żołnierzy, majora i tylu tragarzy, ilu mógł pomieścić. Podróż trwać będzie około 14 dni; my czekamy tu na powrót statku.

Zapomniałem dodać, że na moją prośbę listowną basza przywiózł kilka wołów i krów dojnych, około 40 owiec i kóz, i tyleż kur, tudzież kilka tysięcy funtów zboża, jako żywność dla wyprawy w czasie pozostawania nad jeziorem, ponieważ w okolicy Nsabe żywności nie było. Przy przezorności żywność ta wystarczy nam na trzy tygodnie.

Tymczasem basza, Casati i około 20 żołnierzy pozostali tutaj i rozłożyli się obozem w odległości około 300 m. od nas. On i ludzie jego są pomieszczeni wygodnie w chatach. Wszelkie nadzieje zapowiadają nam wypoczynek zupełnie bez trosk na kilka tygodni, podczas gdy ja i oficerowie mamy w osobie baszy towarzystwo człowieka bardzo miłego i wykształconego. Casati nie mówi po angielsku, po francuzku zaś gorzej, niż ja, tak, że nie mogę rozmówić się z nim. Ale od baszy dowiedziałem się, że Casati przebył w Unjoro chwile ciężkie. Aż do grudnia r. z. było tam jeszcze znośnie. Ponieważ mieszkał w Unjoro jako zastępca Emina baszy, był pośrednikiem w przesyłaniu listów baszy do Ugandy, jakoteż w przesyłaniu tych pakietów z listami, książkami, lekarstwami i t. d., których p. Mackay, agent misyi kościelnej, nie potrzebował.

Wtem do Kabba Regi przyszła nagle z Ugandy

wiadomość o naszej wyprawie, której się podawano na tysiące wybornie uzbrojonych żołnierzy, którzy zamierzają połączyć się z wojskami baszy, pójść przez Unjoro do Ugandy i oba kraje spustoszyć; wkrótce potem pakiet z listami, przeznaczony dla mnie i oficerów, wpadł w ręce Kabba Regi, co pod pewnym względem pogłoski owe potwierdziło. Kabba Rega wysłał oficera do domu Casatego, Wanjorowie ograbili go, jego samego i ludzi jego przywiązali do drzewa i obchodzili się z nim w sposób haniebny. Z arabem, Mohamedem Biri, który głównie utrzymywał komunikację pomiędzy Casatim a Mackayem, obeszlą się jeszcze gorzej i jak opowiadają, powieszono go jako szpiega i zdrajcę. Kap. Casatego i jego służących urzędnicy Kabba Regi wyprowadzili z Unjoro i po za granicą swoją przywiązali ich nagich do drzewa; udało się im jednak w jakiś sposób oswobodzić się i umknąć nad wybrzeże jeziora, gdzie jeden ze służących natrafił na kanoe, na którym pojechał przez jezioro do Tunguru, aby sprowadzić pomoc od Emina baszy. Śmiałka spotkał jeden z parowców baszy, poczem kapitan pojechał do baszy ze sprawozdaniem. W kilka godzin później „Kedyw” był już w drodze, wioząc oddział żołnierzy pod rozkazami gubernatora. Casatego odnaleziono. Emin wysłał wówczas na ląd żołnierzy, którzy jako odwet za pokrzywdzenie agenta jego, spalili Kibiro. Rzecz naturalna, że Casati, będąc przywiązany do drzewa nago, utracił całą własność osobistą, dziennik i notatki, a wraz z niemi także i nasze listy.

Kapitan oddał mi kartkę, z której dowiedziałem się, że posłańcy pocztowi wyruszyli z Zanzibaru, d. 27 lipca, t. j. w miesiąc po naszym wyruszeniu z Jambuja i że listy nasze przybyły w porę d. 11 września do Msalala, zaś d. 1 listopada do stacji misyjnej w Uganda, i że Casati otrzymał sześć pakietów z listami d. 1 grudnia,

na 12 dni przed naszym przybyciem nad wschodnie wybrzeże jeziora. Ponieważ, wedle jego opowiadania, wyprzedzono go 13 lutego r. 1888, poczta nasza pozostawała w jego ręku dość długo, niezawodnie dlatego, że nie miał sposobności odesłać jej do baszy.

3 maja. Obóz pod Nsabe. Jak przystoi dobrym poddanym, przybyli dziś ludzie Kawalliego i przynieśli 10 koszów kartofli, które podzieliliśmy pomiędzy ludzi naszych a Emina baszy.

Dziś popołudniu w czasie dłuższej rozmowy, basza powiedział: Jestem przekonany, że ludzie nasi nie pójdą nigdy do Egiptu. Ale p. Jephson i Sudańczycy, których byłeś pan łaskaw powierzyć mi, będą mieli sposobność przekonać się o wszystkim. Radbym bardzo, abyś pan napisał orędzie, albo proklamacyę, któraby mogła być odczytana żołnierzom, a w którejbyś pan powiedział, jakie są pańskie instrukcyje i że czekasz pan na ich odpowiedź. O ile wiem, do Egiptu nigdy oni nie pójdą. Egipcyanie, naturalnie, pójdą, ale ich jest mało i oni nie przydadzą się ani mnie, ani nikomu innemu.

To była odpowiedź najbardziej stanowcza ze wszystkich, jakie słyszałem. Czekałem na odpowiedź pozytywną w tym rodzaju, zanim mógłbym odważyć się na dalsze propozycyę. Aby zaś dotrzymać przyrzeczeń, danych różnym ludziom, mam do przedstawienia dwie propozycyę, chociaż są one napozór trochę sprzeczne. Pierwszy obowiązek mam naturalnie wobec Kedywa i byłbym się cieszył, gdyby basza był posłusznym, jak uległy oficer, który bronił swego stanowiska dzielnie tak długo, póki nie otrzymał rozkazu cofnięcia się. W ten sposób byłby urzeczywistnił ideał gubernatora, tak, jakim malowały mi go jego listy. Mimo to, niechaj powie tylko stanowczo, a będę się starał pomódz mu pod każdym względem.

— Dobrze—powiedziałem—a teraz, proszę cię, bsz, posłuchaj dwu innych propozycji, jakie mają zaszczyt przedstawić panu dwie strony, które chciałyby korzystać z pańskich usług. Z propozycją J. W. Kedywa, jest ich trzy, a ponieważ masz pan dość czasu, zastanów się pan nad każdą, a następnie dokonaj wyboru. Pozwól pan, że je powtórzę. Pierwsza propozycja opiewa, abyś pan w dalszym ciągu był posłusznym żołnierzem i towarzyszył mi w podróży do Egiptu. Po powrocie pańskim, pan, oficerowie i żołnierze otrzymacie żołd aż do chwili przybycia. Czy rząd zatrzyma pana nadal w służbie czynnej, nie wiem, zdaje mi się jednakże, że tak, ponieważ oficerowie są dzielni, a Egipt posiada granicę, gdzie usługi, jakie pan oddać możesz, są cenne. Ale w odpowiedzi na tę propozycję mówi pan, że jesteś przekonany, iż ludzie pańscy nie chcą iść ztąd i że na wypadek oświadczenia się ich pod tym względem zostaniesz pan przy nich.

Druga propozycja, jaką panu przedstawię, pochodzi od króla Belgów, Leopolda. Król prosił mnie, abym zawiadomił pana, że pragnąc zapobiedz popadnięciu prowincyj aequatoryalnych w barbarzyństwo i przypuszczając, że są one w stanie przynosić odpowiednie dochody, państwo Kongo objęłoby je może, gdyby to stać się mogło kosztem 10,000 do 12,000 funtów szterl. rocznie; a dalej, że J. K. M. król Leopold, sądząc, że odpowiadałoby to pańskiemu pragnieniu, gotów jest płacić panu dostateczną pensję—1,500 funtów—jako gubernatorowi w stopniu generała. Pańskim obowiązkiem byłoby utrzymywać komunikację pomiędzy Nilem a Kongo i starać się o poszanowanie prawa i porządku w Aequatoryi.

Trzecia propozycja jest następująca: jeżeli jesteś pan przekonany, że ludzie pańscy stanowczo nie przyjmą propozycji Kedywa co do powrotu do Egiptu, pójdź pan ze mną z wiernymi panu żołnierzami do północno-wscho-

dniego krańca jeziora Wiktorya i pozwól, że usadowię tam pana w imieniu angielskiego Tow. wschodnio-afrykańskiego. Pomożemy panu przy budowie fortu w miejscu, dla celów Towarzystwa odpowiedniem, pozostawimy panu nasz statek i towary, jakieby panu były potrzebne, poczem pójdziemy przez kraj Massai i całą sprawę przedstawimy Tow. wschodnio-afrykańskiemu, aby uzyskać zatwierdzenie tego kroku i pomoc do pańskiego stałego usadowienia w Afryce. Oświadczam, że niemam upoważnienia do przedstawienia panu tej propozycji, że owszem jest ona wyrazem mojej życzliwości dla pana i pragnienia zabezpieczenia pana przed następstwami pozostania tutaj. Jestem przekonany, że uzyskam przyzwolenie i pomoc Towarzystwa i że ono oceni wartość jednego czy dwu wycwiczonych batalionów, tudzież usługi takiego administratora, jak pan.

Pozwól mi pan mówić jeszcze chwilę, abym mógł przedstawić panu dokładnie tutejsze stanowisko pańskie. Cały system rozprzestrzenienia Egiptu aż do jeziora Alberta był fałszywy. W teorii było to piękne i naturalne. Cóż naturalniejszego jak to, że rząd, panujący nad ujściem jakiejś rzeki, pragnie posiadłości swoje rozszerzyć wzdłuż brzegów, aż do jej ujść. Ale, niestety, był to rząd egipski, który, chociaż posiadał uczciwe zamiary, musiał opierać się na urzędnikach, posiadających niski charakter i także przymioty moralne. Wprawdzie najwyższymi urzędnikami w tych okolicach byli tacy Baker, Gordon i Emin, ale podrzędnymi byli Egipcyanie, albo Turcy. W miarę rozszerzania stacyj zmniejszałeś pan swój wpływ osobisty. Podczas gdy w centrum pańskiej prowincyi było coś podobnego do rządu, inne okolicy pozostawały pod wpływem urzędników tureckich i egipskich, jakiegoś kairskiego haszy, beya lub effendiego, człowieka nieokiełzanego i kapryśnego. Siłą woj-

skową kraj ten zdobyto i zajęto, i od tej pory przemocą się w nim trzymano. Rząd uznany, chociażby on był nawet egipski, ma prawo moralne i ustawowe, powagę swoją i terytorjum rozszerzać. Jeżeli wolę swoją przeprowadza skutecznie, tem lepiej; cywilizacya korzysta na tem, a wszystkim ludom lepiej jest pod rządem konstytucyjnym niż pod żadnym. Ale czy były tam rządy rozumne? Aż do Ladó i Gondokoro, jak mi się zdaje, były znośne. Parowce mogły jechać z Berberu do Ladó, naczelnik kraju mógł zatem kontrolować rządy podwładnych. Ale kiedy rząd egipski zgodził się na rozszerzenie granic na terytorjach olbrzymich, bezdrożnych i niedostępnych, na krańcu Sudanu, zanim zbudowano drogi i zaprowadzono środki komunikacyjne, albo zanim je przynajmniej zabezpieczono, wywołał katastrofę, która już nadeszła. Kiedy Mohammed Achmet zapalił materiał palny, przygotowany przez niższych urzędników gwałtami, środki zgaszenia ognia na terytorjum, mającem przeszło milion kilom. kwadr. były rozproszone. Generalny gubernator został zamordowany, jego stolica zdobyta; padała jedna prowincya po drugiej, a ich gubernatorowie i żołnierze, izolowani od siebie, kapitulowali; pan ostatni z nich, ratował się i swoich ludzi tylko przez cofnięcie się z Ladó. Dawniejsze posiadłości egipskie, rozszerzone wedle dawniejszego systemu i rządzone przy pomocy wojska, doznałyby tego samego losu także i po ponownem zdobyciu. Gdyby obsadzenie wojskiem było skuteczne i gdyby jeden rząd łączył się z drugim, nie potrzebaby obawiać się upadku rządu; ale pod rozkazami Egiptu skuteczny on być nie może. Jego dochody i ludność dokończyć tego nie mogą. W braku tego tylko interes własny ludów tych terytorjów może wiązać je z rządem egipskim, a jest to żywiół, na który ludzie, odpowiedzialni za raptowne rozszerzanie państwa kairskiego, liczyć nie



mogą. Kiedyz to starano się uczynić zadość własnemu interesowi tych ludów? Kapitanowie maszerowali ze swem żoldactwem do terytoryów krajowców, wbijali słup, wywieszali na nim sztandar czerwony z półksiężycem i wśród salwy karabinów ogłaszali zajęcie dystryktu pod panowanie egipskie. Następnie wydawano proklamacye, że handel kością słoniową jest monopolem rządu, i w ten sposób pozbawiano chleba zamieszkałych w tym kraju handlarzy. Jeżeli ci, chcąc powetować sobie stratę, zwracali się do handlu niewolnikami, dalsza proklamacya i tego im zabraniała. Wielka liczba krajowców zarabiała na sprzedaży kości słoniowej handlarzom, inni zarabiali na chwytaniu i sprzedaży niewolników, podczas gdy sami handlarze, włożywszy kapitały swoje w te przedsiębiorstwa, bywali narażani przez Egipcyan na ruinę, na utratę złota i zatrudnienia. Nie zapominaj pan, że mam na oku tylko politykę. W ten sposób powstały w Sudanie setki zbrojnych karawan, posiadające od 20 do 100 karabinów. Kiedy Mohammed Achmed podniósł sztandar rokoszu, mógł ofiarować pewne korzyści naczelnikom karawan, przyprowadzonym z powodu strat do rozpacz; a cóż w zamian za to dawali urzędnicy rządowi? Nic. W ten sposób zmiatało wszelki ślad rządu, który był tak surowym, samowolnym i nieroztropnym. W interesie handlarzy było opierać się rządowi i starać się o przywrócenie stanu, który my zowiemy strasznie niemoralnym, ale dla nich znaczył tyle, co zarobek i, co więcej, uwolnienie z pod ucisku.

Spójrz pan teraz na państwo Kongo, które rozszerzyło się znacznie prędzej, niż panowanie egipskie w Sudanie. Nie dano tam ani jednego strzału, nie dopuszczono się ani jednego gwałtu wobec krajowców lub handlarzy, nie nakładano podatków, chyba w portach morskich, dokąd handlarz przywozi swe artykuły wywozowe. Naczelnicy krajowców poddali swoje terytorya dobrowolnie

i połączyli się pod sztandarem niebieskim ze złotą gwiazdą. Dlaczego? Ponieważ mogą ciągnąć wiele zysków z obcych, wśród nich zamieszkałych. Najprzód doznają obrony przed silniejszymi sąsiadami, a wszystkie artykuły spożywcze, jakie produkują i sprzedać mogą, sprzedają dobrze w zamian za ubranie i inne potrzebne im przedmioty. Wszystkie artykuły handlowe: kość słoniowa, gutaperka, oliwa palmowa, owoce palmowe, pozostały bez cła i podatków, nikt też nie miesza się do ich zwyczajów krajowych i spraw domowych. Państwo Kongo powstało bez gwałtu i bez niego też istnieje; jeżeli jednakże chwyci się innej polityki, handel obłoży podatkiem, na handlu kością słoniową położy rękę jako na monopolu państwowym, jeżeli mieszać się będzie w urzędzenia domowe krajowców, jeżeli w sposób tyrański cały zarobek kupca europejskiego zabierze dla siebie, zanim wzmocni się dostatecznie i około stacyj zgromadzi odpowiednie siły fizyczne, aby mógł czynić to bezkarnie—wówczas państwo Kongo będzie równie nieszczęśliwe i upadnie tak, jak panowanie Egipcyan w Sudanie. Wypadki w stacyi Wodospady Stanleya są przykładem, czego spodziewać się można w takich razach.

Wobec tego każdy, kto wogóle myśli trochę, pojmie, że Egipt nigdy już nie będzie mógł zająć pańskich prowincyj, dopóki w Egipcie rządzić będą urzędnicy egipscy. Egipt nie jest w stanie zgromadzić sum, potrzebnych na utrzymanie silnego rządu w kraju tak odległym. Leży on zadaleko od Wadi Halfa, obecnej faktycznej granicy Egiptu. Jeżeli Egipt Wadi Halfa połączy koleją żelazną z Berberem lub Chartumem, albo Suakin z Berberem, wówczas Ladó będzie może można uważać za południową granicę jego terytoryów; jeżeli połączy koleją Ladó z Dufilé, wówczas południowy kraniec tego jeziora będzie istotną granicą Egiptu, jeżeli naturalnie. jego wojska wystar-

czą na utrzymanie ruchu na tej kolei. Jak pan sądzi, kiedy stać się to może? Czy jeszcze za życia pańskiego?

A któż inny będzie takim Don Quixotem, by zwracał pożądlive spojrzenia na te prowincye? Król Belgów? Do swojej propozycyi dołączył on warunek „jeżeli prowincye są wstanie dawać odpowiednie dochody”. Pan sam najlepiej osądzi, czy subsydyum w sumie 10,000 do 12,000 funtów wystarczy na utrzymanie rządu w tych prowincyach. Dochody z niej, wraz z tą sumą, muszą wystarczyć, aby pomiędzy temi prowincyami a Jambuja na przestrzeni przeszło 1,000 kilom. utrzymać około 20 stacyj, t. j. około 1,200 żołnierzy, 50 do 60 oficerów i gubernatora, na ich uzbrojenie, na środki obrony i na utrzymanie oddziału transportowego, jaki jest potrzebny dla połączenia tej odległej krainy z Kongo.

Prócz króla Belgów, któż inny zechce popierać i utrzymywać pana odpowiednio do pańskiego stanowiska i potrzeby? Jest w świecie dość ludzi z sercem, którzy posiadają pieniądze na to, by może co trzy lata wysyłać wyprawę; jest to jednakże środek tylko chwilowy, zdolny tylko utrzymać pana przy życiu, ale to marzeniem pańskim nie odpowiada. A więc? Czekam na pańską odpowiedź i przepraszam raz jeszcze za to, że jestem tak wymowny.

— Dziękuję panu z całego serca, panie Stauleyu. Jeżeli nie umiem wyrazić panu swej wdzięczności, to dlatego tylko, że mowa nie wystarcza. Życzliwość pańską odczuwam najgłębiej i zapewniam pana, że odpowiem szczerze. Na pierwszą propozycyę pańską już odpowiedziałem.

Co się tyczy drugiej, muszę zauważyć, że przede wszystkim mam obowiązki względem Egiptu. Jak długo jestem tutaj, prowincye należą do Egiptu i będą jego posiadłościami, póki ich nie opuszczę. Skoro odejdę, nie

będą należały do nikogo. Nie mogę mego sztandaru przekreślać i czerwony zamieniać na niebieski. Pierwszemu służyłem przez lat przeszło 20, ostatniego nie widziałem nigdy. Prócz tego pozwalam sobie zapytać pana, czy na podstawie ostatnich doświadczeń uważasz pan za możliwe utrzymanie komunikacji bez stosunkowo wielkich kosztów?

— W pierwszej chwili, naturalnie, nie. Nasze doświadczenia były zanadto straszne, abym o nich mógł tak prędko zapomnieć, ale w powrocie do Jambuja po oddział tylny, doznamy mniej przykrości. Pionier musi zawsze cierpieć najwięcej. Korzyść z tego, czego my doznaliśmy, ciągnąć będzie zawsze ten, kto pójdzie za nami.

— Być może, ale upłyną przynajmniej dwa lata, zanim moglibyśmy otrzymać wiadomości. Nie, mimo wdzięczności dla J. K. M. króla Leopolda, nie sądzę, abym propozycję jego mógł przyjąć; przystąpmy zatem do ostatniej propozycji.

Nie sądzę, aby ludzie moi mogli mieć cokolwiek przeciw towarzyszeniu mi w marszu do jeziora Wiktorya, ponieważ, o ile wiem, nie chcą tylko powracać do Egiptu. Przypuszczając, że ludzie zgodzą się na to, podziwiam ten projekt bardzo, jest on najlepszy i najrozumniejszym rozwiązaniem kwestyi. Pomyśl pan bowiem, że trzy czwarte z 8,000 osób stanowią kobiety, dzieci i młodzi niewolnicy; coby rząd zrobił z taką masą ludzi? Czy ich wyżywi? A dalej pomyśl pan o trudności marszu z taką armią ludzi bezbronných. Nie mogę brać odpowiedzialności za prowadzenie tylu stworzeń o nogach tak delikatnych, aby umierały po drodze. Podróż do jeziora Wiktorya jest możliwa; jest stosunkowo krótka. Tak, ostatni projekt jest najprzystępniejszy.

— Nie mamy pośpiechu, ponieważ pan musisz cze-

kać na przybycie oddziału tylnego. Zastanów się pan nad kwestyą, zanim sprowadzę majora.

Pokazałem mu następnie drukowane depesze ministerium spraw zagranicznych, oddane mi z polecenia lorda Iddesleigha. Znajdował się tam odpis listu do sir Johna Kirksa, w którym on w r. 1886-ym chciał odstąpić swoją prowincję Anglii i oświadczał, że czułby się bardzo szczęśliwym, gdyby mógł oddać ją rządowi angielskiemu, lub wogóle jakimkolwiek mocarstwu, któreby podjęło się utrzymania jej.

— A,—rzekł basza—nie powinni byli listu ogłaszać. To był list prywatny. Co pomyśli rząd Egipski o mojem zachowaniu się, skoro odważam się na rokowania w tej sprawie?

— Nie widzę w tem nic złego — odpowiedziałem — rząd egipski przyznaje, że nie jest w stanie prowincyj utrzymać, rząd angielski nie chce mieć z niemi do czynienia, a nie znam towarzystwa, ani korporacyi, któraby chciała podjąć się utrzymania tej bezpożytecznej, mojem zdaniem, posiadłości. Mojem zdaniem, prowincya leży o 750 km. zadaleko w głębi Afryki, aby mogła posiadać jakąkolwiek wartość. Jeżeli pan nie chcesz służyć królowi Belgów i jesteś zdecydowany Afrykę opuścić, musisz pan zaufać memu przyrzeczeniu, że skłonię Towarzystwo angielskie do zajęcia się panem i pańskim wojskiem; prawdopodobnie, w tej chwili utworzono takie celem stworzenia posiadłości angielskich w Afryce wschodniej.

## ROZDZIAŁ XVI.

Podróż z obozu pod Nsabe parowcem do Mswa trwa 9 godzin, ztamtąd do Tunguru 5 godzin, zaś do Wadelai 18 godz. Inne stacye warowne zowią się Fabbo, na wschód od Nilu, Dufilé, koniec żeglugi, Chor Aju, Laboré, Muggi, Kirri, Redjaf, tudzież trzy czy cztery małe stacye wewnątrz kraju, na zachód od Nilu.

Emin mówił dzisiaj tonem więcej pełnym nadziei o widokach wymarszu z nad brzegów jeziora Alberta. Okolica nad jeziorem Wiktoryya dla niego samego miała więcej siły przyciągającej, niż poprzednia. Jest w tem jednak coś takiego, czego pojąć nie mogę.

7 maja. Przy kolacyi zawiadomił mnie Emin basza, że Casati oświadczył się stanowczo przeciw projektowanemu kierunkowi marszu via Usongora na południe i że radził mu wybór marszu na Monbuttu do Kongo, z czego wnoszę, że basza i Casati mówili o marszu do domu. Czyżby zmienił swoje zapatrywania co do jeziora Wiktoryya?

11 maja. Zapasy żywności zmniejszają się. Wczoraj wyszło trzech ludzi dla szukania żywności, lecz dotąd nie powrócili. Jephson cierpi na gorączkę żółciową. Jezioro Ibrahim, czyli Gila, jest, zdaniem baszy, tylko rozszerzeniem Wiktorya - Nilu, podobnie jak poniżej Wadelai, jak jezioro Alberta, jak Górne Kongo, albo przy wodospadach Stanleya. Wskutek tego jezioro posiada liczne kanały, połączone ze sobą szeregiem małych wysp i ław piaszczystych. Tak Gordon, jak i Emin podróżowali łądem wzdłuż lewego wybrzeża.

Wieczorem otrzymałem niemiłą wiadomość. Czterej ludzie wpadli nagle na myśl urządzenia wyprawy rabusiowskiej do Baleggów. Krajowcy otoczyli ich i dwóch z nich zamordowali, dwaj drudzy ciężko ranni uciekli.

12 maja. Rano wysłałem d-ra Parkego z 45 zbrojnymi, celem odszukania zbiegów. Jeden z nich, spędziwszy noc w pustyni, powrócił rano do obozu z raną w plecach, zadaną oszczepem; na szczęście, nie była niebezpieczną. Opowiadał, że u krajowców zamienił mięso na mąkę, kiedy nagle usłyszał przed sobą strzały karabinowe, które wszystkich zaalarmowały. Krajowcy uciekli w jedną stronę, on w drugą, lecz wkrótce spostrzegł, że jest ścigany i otrzymał ranę od oszczepu w plecy. Udało mu się jednak umknąć i ukryć w wysokiej trawie, mimo to, że krajowcy szukali go.

Nie wiem, kto zaczął, krajowcy czy Zanzibarczycy. Ostatni przedstawiają rzecz bardzo wiarogodnie, ale są w sztuce kłamania tak zręczni, że często w błąd mnie wprowadzają. Tak mało miałem nadziei wyjaśnienia prawdy, że zapatrywania moje na sprawę wyraziłem w przemowie następującej:

— Dopóki wy, Zanzibarczycy, otrzymujecie codziennie pięć do sześciu funtów mąki i tyleż mięsa, jesteście tak leniwi, że nie chce się wam iść nawet na parowiec,

aby zaopatrzyć się w żywność na czas jego odjazdu. Parowiec odjechał przed kilkunastu dniami, a żywność wazsa szybko się uszczupla, bowiem kto byłby w stanie dać wam tyle mięsa, ile wy zmarnować możecie? Wyszliście bez pozwolenia z obozu, aby kraść u Baleggów. Jak słyszę, było was sporo; kiedy zobaczyliście, że we wsi było dużo krajowców, wielu z was było tak roztropnych, że zamieniali mąkę na mięso, ale kilku zuchwalszych zaczęło kraść kury. Krajowcy zemścili się za to strzelaniem z łuku, na co odpowiedziano im karabinami, poczem powstała ogólna ucieczka. Jednego z was zabito; ja straciłem karabin, a trzech z was jest rannych, tak, że przez dłuższy czas nie będą zdolni do roboty. Tak się rzecz miała i dlatego nie dam wam lekarstw. Leczenie swe rany sami, jeżeli możecie; a wy trzech zapłacicie mi za karabin, gdy odzyskacie zdrowie.

13 maja. Doktor powrócił nie odszukawszy zaginionych, podpalił tylko dwie wioski i dał kilka strzałów do krajowców. Nie odszukał ani zwłok zabitego, ani jego karabinu. Miejsce, na którym padł, można było poznać po kałuży krwi. Dziś w nocy szalała na jeziorze straszna burza w połączeniu z trąbą powietrzną.

14 maja. Popołudniu przybył „Kedyw” i przywiózł zapas prosa i krowy dojne. Basza przybył z uśmiechem, z pożądanymi nam darami. Dla mnie przywiózł buty do podróży w zamian za kamasze, które otrzyma po moim powrocie z oddziałem Barttelota. Jephson został uszczęśliwiony koszulą zwierzchnią, spodnią i parą kalessonów, zaś dr Parke, któremu zbiegły Zanzibarczyk skradł całą garderobę, otrzymał niebieską bluzę, koszulę i parę kalessonów. Prócz tego każdy z nas otrzymał garnek miodu, trochę bananów, pomarańcze i melony, cebulę i sól. Ja otrzymałem nadto funt tytoniu „Honeydew” i pikle.



Takie dary, jak ubrania, jakie otrzymali oficerowie od Emina baszy, dowodzą, że nie znajdował się on w takiej biedzie, jak się nam zdawało, i że nie było potrzeba spieszyć tak z pierwszą kolumną. Pozostawiliśmy wszystko w Jambuja, aby spieszyć z ratunkiem człowiekowi, który, jak sądziliśmy, znajdował się w biedzie nie tylko z powodu braku środków do obrony wobec nieprzyjaciela, ale także dla braku ubrania. Pominąwszy podwójny marsz do jeziora Alberta, obawiam się, że będziemy musieli uczynić duży marsz dla ratowania majora Barttelota. Bóg jeden wie, gdzie on się znajduje. Może jeszcze nie wyruszył z Jambuja; w takim razie będziemy musieli przebyć 2,100 km. Jest to strasznie długi pochód przez kraj odstrasający; obawiam się, że w marszu tym utracę znów wiele, bardzo wiele, dobrych ludzi. Ale niech się dzieje wola Boża!

Emin przedstawił mi dzisiaj Selima beja, majora Anasza Effendiego i innych oficerów. Przed dwoma czy trzema dniami dałem mu do zrozumienia, że pomógłby nam wiele, gdyby na wyspie Njamsassi zbudował małą stację, która zapewniłaby nam wygodną komunikację z jego ludźmi i gdzie mógłby złożyć zapasy żywności dla połączonej wyprawy. Przyrzekł mi to chętnie, ale muszę przyznać, że zdziwiłem się wielce, kiedy dzisiaj zwrócił się do majora Anasza Effendiego i jak mi się zdawało, rzekł do niego tonem nieco błagalnym: „Przyrzecz mi pan teraz w obecności pana Stanleya, że dasz mi 40 ludzi do budowy tej stacji, której pan Stanley tak bardzo pragnie”. Jest w tem coś, czego nie rozumiem; w każdym razie nie zdaje mi się, aby mój ideał gubernatora, wice-króla i dowódcy ludzi mówił w tym tonie do podwładnych.

Dziś miałem nową rozmowę z Eminem baszą, z której przekonałem się, że nie tylko raz jeszcze będziemy

musieli maszerować do jeziora Alberta, lecz że jeszcze później będziemy musieli czekać dwa miesiące, zanim on zgromadzi swoich ludzi. Zamiast w czasie naszej nieobecności wziąć się do dzieła i przygotować ludzi do marszu, chce on czekać na moje przybycie z tylną kolumną, abym następnie, jak on się spodziewa, udał się do Dufilé i tam namówił jego ludzi do pójścia ze mną. Wciąż jeszcze jest on przekonany, że jego wojska nie chcą iść do Egiptu, że jednak dadzą się może zmusić do marszu do jeziora Wiktorya.

Pytałem go, czy prawdziwą jest pogłoska, że w wyprawie na terytorya zachodnie zdobył 13,000 sztuk bydła rogatego.

— O, nie, to przesada. Niejakiemu Bachitowi bejowi w wyprawie na Makraka, jaką podjął w czasie rządów generalnego gubernatora Raufa baszy, udało się porwać 8,000 sztuk bydła, ale otrzymał za to surową nagane, ponieważ takie wyprawy łupieżcze przyczyniają się tylko do wyludnienia kraju. To największa liczba bydła, jaką kiedykolwiek zaraz otrzymaliśmy. Miałem raz sposobność dać rozkaz do urządzenia wyprawy celem furazowania, ale tylko raz udało się nam zdobyć 1,600 sztuk bydła. Inne wyprawy przyniosły nam 500, 800 i 1,200 sztuk.

16 maja. Parowiec „Kedyw” odpułynął dziś do stacyj Mswa i Tunguru, a może nawet do Wadelai, aby przywieźć prędko tragarzy, którzyby zastąpili tych, co padli śmiercią głodową w lesie.

Aby ludzi naszych zatrudnić, rozpocząłem budowę prostej drogi w kierunku wsi Badsua.

Tłomacz Fetteb, który został ranny pod Besse, wyzdrowiał; tak samo Mabruki, którego pokaleczył bawół.

Mieszkamy obecnie w chatach i, jak mówi Emin basza, możemy uważać się za administratorów prowincyj jeziora Alberta.

18 maja. Przy rozdziale nabojów strzelcy nasi żądają, aby kłaść im je na ziemię, sądzą bowiem, że stałoby się nieszczęście, gdyby naboje brali z ręki do ręki.

W ciągu ostatnich dwu dni uczyłem baszę używania sextantów, zanim dam mu lekcye żeglugi.

Przed dwoma dniami odszedł do domu Mbiassi z Kavalii, wczoraj Mpigwa, naczelnik z Njamsassi i jego orszak. Także Kijankondo, czyli Katonza — królik ten posiada dwa imiona — wyruszył do swej ojczyzny, która tymczasem przez napad opryszków Kabby Regi została zamieniona w pustynię, zaś ludzie Mazamboniego pożegnali się z nami dzisiaj. Wczoraj wieczorem baszę i jego oficerów zabawiali tańcem pożegnalnym.

19 maja. Nasza droga do Badsua ma już 5 kilom. długości.

22 maja. O godz. 9 rano przybyły parowce „Kedyw” i „Nyanza“, i przywiozły 80 żołnierzy z majorem i adjutantem 2-go batalionu, tudzież 130 tragarzy z plemienia Uladi. Otrzymaliśmy podarki z Rabi (kosz z 10 galonami wódki z gorzelnii Baszy) granaty, pomarańcze, melony i cebulę, tudzież 6 owiec, 4 kozy i parę silnych osłów, dla mnie i dla d-ra Parkego. Mam zamiar wyruszyć jutro, celem odszukania kolumny majora.

Przy baszy zostawiam p. Jephsona, trzech żołnierzy sudańskich i Binzę, służącego d-ra Junkra, tudzież nieszczęśliwego Mabruki. Prócz tego zostawię tutaj 2 skrzynie nabojów winchesterowskich, skrzynię sztab mosiężnych, lampę, tudzież „Advance“.

Na życzenie Emina baszy napisałem odezwę, którą p. Jephson odczyta żołnierzom. Brzmiała ona, jak następuje:

„Żołnierze! Po uciążliwym kilkumiesięcznym marszu dotarłem nareszcie do jeziora! Przybywam tu na wyraźny rozkaz Kedywa Tewfika, aby was stąd wypro-

wadzić i wskazać wam drogę. Musicie bowiem wiedzieć, że rzeki El Abiad jest zamknięte, że Chartum znajduje się w ręku stronników Mohammeda Achmeta, że basza Gordon i wszyscy ludzie jego zostali wymordowani, że wszystkie parowce i łodzie pomiędzy Berberem a Bahr el Ghasal wzięto i najbliższą wam stacją egipską jest Wadi Halfa, poniżej Dongoli. Kedyw i jego przyjaciele cztery razy próbowali ratować was. Najprzód wysłano Gordona baszę do Chartumu, aby was wszystkich odprowadził do domu. Po 10 miesięcznej zażartej walce Chartum zostało zdobyte, a Gordon basza i jego ludzie wymordowani. Następnie żołnierze angielscy pod rozkazami lorda Wolseleya probowali uratować Gordona baszę. Spóźnili się o cztery dni i przekonali się, że Gordon nie żyje, a Chartum stracone. Następnie wysłano wielkiego podróżnika dra Lenza z Kongo, aby dowiedział się, w jaki sposób pomódz wam można. Ale Lenz nie mógł znaleźć ludzi, którzyby chcieli iść z nim, musiał więc wrócić do domu. Brat dra Junkera wysłał dra Fischera, ale on spotkał w drodze wielu nieprzyjaciół i również musiał wrócić. Mówię to wszystko, aby przekonać was, że nie macie prawa myśleć o tem, jakoby o was w Egipcie zapomniano. Nie, Kedyw i wezyr jego, Nubar basza, przez cały czas o was myśleli. Słyszeli oni, jak dzielnie trzymacie się na stanowisku i jak wiernie pełnicie swoje obowiązki, jako żołnierze. Dlatego to wysłali mnie, aby wam to powiedzieć, aby wam donieść, że o was wybornie pamiętają, że czeka was tam nagroda, że jednakże musicie iść ze mną do Egiptu, aby otrzymać nagrodę i pensję waszą. Ale zarazem mówi Kedyw przez moje usta, że jeżeli sądzicie, że droga jest zadługa, albo jeżeli obawiacie się marszu, i chcecie tu pozostać, przestaniecie być jego żołnierzami; że pensyi otrzymywać nie będziecie i jeżeli w przyszłości przytrafiłaby się wam bieda, winę

tego nie jemu, ale sobie przypisać, będziecie musieli. Jeślibyście chcieli iść do Egiptu, pokażę wam drogę do Zanzibaru, wsadzę was na okręt i odwiezę do Suezu, a stamtąd do Kairo; otrzymacie swój żołd, należny wam aż do owej chwili. Wszelkie udzielone wam awanse będą zatwierdzone, a przyrzeczone nagrody w zupełności wypłacone.

Posyłam do was jednego z moich oficerów, p. Jephsona i daję mu mój pałasz, aby odczytał wam moje orędzie. Ja powracam, aby zgromadzić moich ludzi i towary i przynieść do jeziora a za kilka miesięcy będę tu znów, aby usłyszeć to, co zechcecie mi powiedzieć. Powiecie: pójdziemy do Egiptu, pokażę wam pewną drogę; powiecie, że nie chcecie kraju tego opuszczać, pożegnaw was i powrócę do Egiptu z własnymi ludźmi.

Oby Bóg wziął was w opiekę.

Wasz dobry przyjaciel Stanley”.

23 maja. Zanzibarczycy bawili dziś baszę i jego oficerów tańcem pożegnalnym. Chociaż znali dobrze trudy i niebezpieczeństwa marszu, jaki jutro rozpoczniemy, to przecież u żadnego z nich nie widać zakłopotania; jest jednak rzeczą pewną, że niektórzy z nich zobaczą baszę jutro rano poraz ostatni.

24 maja. Marsz do wsi Badsua, 16 kilom., który przebyliśmy w przeciągu czterech godzin.

Emin basza szedł dziś z jedną kompanią po naszej nowej drodze i stanął w odległości mniej więcej 3 kilom. od jeziora. Awangarda wyszła z obozu o godz. 6<sup>1</sup>/<sub>4</sub> rano. W pół godziny później spotkaliśmy Sudańczyków baszy, ustawionych z boku drogi we froncie, którzy nas salutowali, zaś basza dziękował nam najserdeczniej i pożegnał się z nami. ¶

Przy końcu nowej drogi 21 tragarzy z plemienia

Madi zbiegło, poczem posłałem 14 ludzi do baszy, aby donieść mu o tem; my poszliśmy dalej w kierunku wsi Badsua. W odległości 1½ km. przed wsią zbiegło znów naraz 89 tragarzy, którzy strzelali nawet z łuków do ariergardy. Doktor, sądząc, że jest to napad na jego mały oddział, dał ognia i położył trupem jednego ze zbiegów, co przyspieszyło ucieczkę reszty. Wskutek tego 19 pozostałych z pośród 120 tragarzy wzięto pod straż.

Posłałem do baszy nowych posłańców, celem zawiedomienia go o wszystkim.

Kiedy byliśmy oddaleni około 8 km. od obozu pod Nsabe, jeden z ludzi pokazał mi dziwną chmurę, podobną bardzo do góry, śniegiem pokrytej. Wkrótce przekonałem się, że była to istotnie góra, jak domyślałem się, Ruwencori.

Widzieliśmy ją przez dwie godziny, ale znikła nam z oczu, kiedy zbliżyliśmy się do Badsua. Doniosłem o tem baszy. Dziwna rzecz, że Baker, Gessi, Mason lub Emin basza nie odkryli jej już dawno.

Jeziro Alberta objechał pierwszy Gessi basza; jechał on wzdłuż wybrzeża zachodniego na południe i ztąd wzdłuż brzegu wschodniego w około jeziora.

Drugi z rzędu zwiedził jezioro Mason bey w r. 1877, celem dokonania astronomicznych badań nad położeniem niektórych punktów.

W 11 lat później pojechał na południe Emin basza, celem zasięgnięcia wiadomości o białych, którzy mieli pojawić się na południowym krańcu jeziora.

Skoro z równiny jeziora można było mieć dość dobry widok na górę, śniegiem pokrytą, to z jeziora widać ją było jeszcze lepiej, dziwna rzecz zatem, że nie widział jej żaden z wspomnianych panów, że Baker powiedział nawet, że „w dzień zupełnie jasny“ oczy jego w kierunku góry widziały tylko jezioro bez granic.

Jephson i Parke donosili, że w czasie przenoszenia statku z Kawalli do jeziora widzieli śnieg na górze, a ostatni pytał mnie nawet, czy to być może, aby na tak niskich górach śnieg się znajdował, skoro najwyższy szczyt mógł tu być wzniesiony nie więcej nad 1,675 m. ponad morzem. Ja zaprzeczyłem, ale doktor obstawał przy tem, że widział śnieg. Ja odpowiedziałem, że w okolicach równika góra musi być wysoką na 4,000 m., aby deszcz zamieniał się na niej na trwały śnieg; że grad i śnieg jest w strefie tropicznej możebny nawet na małych wysokościach, że jednakże zimno takie jest tylko chwilowe i ziarna gradu i śniegu wobec ciepłoty wody tropicznej i ziemi bardzo prędko tają.

Wobec tego widoczna, że potrzeba niezwykłego stanu atmosfery, aby ktokolwiek mógł widzieć górę w odległości około 110 km. Przy zwykłym, czystym powietrzu można widzieć przedmioty bliższe, nawet na 15, 20 do 30 km., ale w okolicy tak wilgotnej, jak tućjsza, gdzie z rozgrzanej ziemi unosi się taka masa pary, jest to niemożliwe. Czasem jednakże prąd powietrza mgłę rozwiewa i wówczas to można widzieć przedmioty, których poprzednio, ku naszemu zdziwieniu, nie widzieliśmy.

Popołudniu rozminął się z nami Kawalli, spieszący z 400 ludźmi na pomoc baszy w zamierzonej wyprawie na Kabba Regę. Być może, że z taką samą siłą pospieszą na pomoc także Katonza i Mpigwa z Njamsassi.

Dziś otrzymałem od baszy listy następujące.

Obóz pod Nsabe, 25 maja 1888, godz. 5 rano.

Szan. Paniel Nie potrzebuje mówić panu, jak zmartwiła mnie wiadomość o niepowodzeniu pańskim z powodu ucieczki tragarzy z plemienia Madi. Wysłałem natychmiast oddział celem ich odszukania, muszę jednakże wyznać, że usiłowania nasze były do południa bezsku-

teczne, chociaż Szukri Aga, który udał się wczoraj ze swoim oddziałem do Kahanama, dotąd nie powrócił.

Przypadek zrządził, że w chwili przybycia dra Parkiego ze stacyi Mswa, przybył statek z wiadomością o przybyciu 120 tragarzy z Dufilé. Wysłałem natychmiast parowiec „Kedyw“, aby ich tu przywieźć. Spodziewam się powrotu jego dziś wieczorem. Zaraz po przybyciu statku wyszłą wszystkich tragarzy pod eskortą oddziału moich ludzi.

Pozwól pan, że pierwszy złożę panu życzenia z powodu wspaniałego odkrycia góry, śniegiem okrytej. Uważamy je za szczęśliwą wróżbę dla marszu do jeziora Wiktorya \*). Radzę panu, dziś lub jutro zrobić małą wycieczkę, jedynie celem przyjrzenia się temu olbrzymowi.

W nadziei, że dziś rano otrzymam kilka słów od pana, považam się złożyć panu życzenia najlepszej przyszłości. Z dumą i radością wspominać będę dane, które dane mi było przeżyć z panem.

Proszę Szan. pana uważać mnie za oddanego panu zupełnie.

Dr M. Emin.

Obóz pod Nsabe, 26 maja 1888, godz. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> w nocy.

Szan. Panie! Ludzie pańscy doręczyli mi wczoraj pańskie bardzo miłe i nader zajmujące pismo. Parowiec przybył właśnie w tej chwili, lecz przywiózł tylko 82 tragarzy, ponieważ reszta zbiegła w drodze z Tunguru do Mswa. Posyłam zatem panu tych niewielu ludzi w towarzystwie 25 żołnierzy i oficera, w nadziei, że przydadzą się panu. Broń ich odebrałem i oddałem oficerowi, od którego racz ją pan odebrać. Wczoraj wieczorem sły-

---

\*) Widocznie projekt osiedlenia się nad tem jeziorem zachwycał go.



szalem, że pańscy zbiegowie dostali się aż do Magungo, gdzie opowiadali, że to ja ich tam posłałem.

Dziesięciu ludzi, których mi pan łaskawie przysłałeś, towarzyszą tragarzom, tak samo Kawalli i jego ludzie. Wczoraj schwytalem w obozie Katonzy szpiega, wysłanego przez Rawidongo i powiedziałem mu, że zrobi dobrze, oddalając się, której to rady on usłuchał. Wytlumaczyłem Kawallemu powody, dla których właśnie w tej chwili nie chcę wdawać się w wojnę z Rawidongo i prosiłem go, aby powrócił do pana. Zgodził się zaraz na to, otrzymał podarki i obecnie wyrusza wraz z posłańcami. Prosił mnie, abym poprosił pana, byś wysłał ludzi celem schwytania jego brata, który, jak on mówi, przebywa u Wawitu, gdzieś w pobliżu jego wsi.

Będę się starał zobaczyć górę śnieżną, tak ztąd, jak i z kilku innych punktów, które zwiedzić zamierzam. Jak to wspaniale pomyśleć o tem, że gdziekolwiek pan przybędziesz, wszędzie przewyższasz w odkryciach wszystkich poprzedników swoich.

Ponieważ na pewien czas przynajmniej, są to ostatnie słowa, jakie skierować mogę do pana, pozwól mi pan raz jeszcze podziękować za bohaterskie kroki, jakie pan dla nas uczyniłeś i czynić jeszcze będziesz. Pozwól mi pan podziękować raz jeszcze za uprzejmość i pobłażanie, jakie pan okazałeś w naszych wzajemnych stosunkach. Jeżeli nie umiem znaleźć dostatecznych wyrazów na wypowiedzenie tego, co czuję w tej chwili, proszę mnie wytłumaczyć; zadługo żyłem Afryce, aby nie stać się trochę murzynem.

Niechaj Bóg ma pana w swej opiece i niechaj dzieło pańskie błogosławi!

pański sługa

Dr Emin.

25 i 26 maja. Odpoczynek w Badsua. Basza porzucił projekt wyprawy na Unjoro, i sprzymierzeńców, którzy mieli wiele do pomszczenia, odprawił do domu.

Popołudniu przybyli do nas Baleggowie ze wsi na wzgórzu Bundi i donieśli nam skrycie, że Kadongo i Musiri, ten ostatni królik wojowniczy i potężny, połączyli swoje wojska i zamierzają zaczepić nas na drodze pomiędzy wsiami Gawiry i Mazamboniego. Żadnemu z nich nie daliśmy powodu do wojny, być może, że nasza przyjaźń z ich współzawodnikami była uważana za dostateczny i słuszny powód do tego. Mam tylko 111 karabinów i do każdego tylko po 10 nabojów i muszę dojść do fortu Bodo, odległego o 200 km.; gdyby zatem doszło do zaczepki w kraju otwartym, po kilku strzałach bylibyśmy bezbronni. Muszę zatem uciec się do innych środków. Tomasz Carlyle powiedział, że największą mądrością jest wiedzieć i wierzyć, że postępowanie stanowcze, nakazane nam przez konieczność, jest najroztropniejsze, najlepsze i jedynie odpowiednie. Ja sam najprzód uderzę na Kadongo a następnie pójdę wprost ku Musiri, i w razie potrzeby zużyjemy dobrze stracone strzały. Być może, że taki śmiały ruch przymierze rozbije.

Basza zachował się energicznie. W południe przybyło 82 nowych tragarzy pod silną strażą, a trzech żołnierze otrzymali specjalny rozkaz towarzyszenia mnie. W czasie oddawania nam tragarzy, każdy Zanzibarczyk otrzymał jednego Madięgo pod straż.

Wieczorem dosięgliśmy wyżyny obozu w Bundi. Otoczywszy obóz silną strażą, wybrałem z pośród najlepszych ludzi oddział 40 strzelców i przygotowałem ich do tego, że pod wodzą dwu przewodników zanzibarskich czynią napad nocny na obóz Kadongo. Kilku krajowców ochotników oświadczyło gotowość pokazania wsi jego.

Oddział wyruszył o godz. 1-ej w nocy.

27 maja. Oddział wysłany przeciw Kadongo, wywiązawszy się skutecznie ze swej misyi, powrócił o godz. 8-ej rano; Kadongo uciekł wołając, że jest przyjacielem „Bula Matari”. Ludzie nasi nie zdobyli ani bydła, ani kóz, ponieważ wojsko Kadongo zajmowało wieś tylko chwilowo.

Zaledwie uszliśmy trochę w kierunku wsi Gawiry, kiedy zobaczyliśmy zbliżający się do nas wielki oddział krajowców, przed którym szedł jakiś człowiek z czerwonym sztandarem, który zdaleką można było brać za sztandar Zanzibaru lub Egiptu. Ponieważ nie wiedzieliśmy, co to za ludzie, zatrzymaliśmy się, aż po chwili poznaliśmy brata Mazamboniego, Katto, którego naczelnik wysłał celem powitania nas i dowiedzenia się bliższych szczegółów o naszych ruchach. Podziwialiśmy zręczność, z jaką ci ludzie umieli nas naśladować, gdyby bowiem sztandar ich nie wprowadził nas w zdumienie, byłibyśmy może wzięli ich za awangardę Muzirego i dalibyśmy do nich ognia.

Kilku z nich zatrzymałem u siebie, zaś Kattowi powiedziałem, aby powrócił do brata swego Mazamboniego i doniósł mu potajemnie, że pojutrze o świcie zaczepię Muzirego, ponieważ on chce napaść na mnie na drodze, i że spodziewam się, że Mazamboni, jako mój sprzymierzeniec, przysze mi nazajutrz tyle wojowników, ile będzie mógł. Katto powiedział, że to jest możebne, mimo to, że czas jest krótki ze względu na odległość. Znajdowaliśmy się w odległości  $9\frac{1}{2}$  km. od wsi Gawiry, ztamtąd do wsi Mazamboniego odległość wynosiła 21 km. z powrotem do Gawiry znów 21 km.; prócz tego potrzeba było niemało czasu na zgromadzenie odpowiedniej randze Mazamboniego liczby wojowników i na przygotowanie zapasów żywności na kilka dni.

Okolo południa przybyliśmy do wsi Gawiry i zaproponowaliśmy temu naczelnikowi, aby przyłączył się do napadu. Przystąpił to chętnie.

28 maja. Odpoczynek. Otrzymaliśmy znaczne zapasy żywności dla karawany, która składa się obecnie z 111 Zanzibarczyków, 3 białych, 6 kucharzy i posługaczy, 101 tragarzy z plemienia Madi, i z 3 żołnierzy bazy, razem z 224 głów, prócz tuzina krajowców, towarzyszących nam z własnej ochoty.

W godzinę po zachodzie słońca przybył Mazamboni osobiście z 1000 wojowników, uzbrojonych w łuki i dziły. Wojsko jego rozłożyło się obozem na polach kartoflanych pomiędzy dystryktami Gawiry a Musirego.

29 maja. O godz. 3-ej rano wyruszyliśmy do Usiri. Okolo 100 najsmielszych wojowników Mazamboniego maszerowało przed nami, reszta przyłączyła się do nas, wojownicy Gawiry, w liczbie okolo 500, szli za nami. Szliśmy w milczeniu.

O godz. 6-ej rano dotarliśmy do Usiri, a wkrótce potem wyruszono do ataku.

Rezultat był śmieszny. Pasterze Gawiry donieśli o naszych planach pasterzom Muzirego, to samo czynili pasterze Mazamboniego. Wskutek tego pasterze usunęli bydło, połowa ich przybyła do wsi Gawiry, a druga do wsi Mazamboniego właśnie w tej chwili, kiedy wkroczyliśmy na terytorium Musirego. Musiri, dowiedziawszy się o klęsce Kadongi i o zbliżaniu się potężnej armii, postarał się przedewszystkiem o to, aby ani jedna będąca pod jego panowaniem dusza nie została zraniona. Kraj był zupełnie opuszczony przez ludzi, oraz przez stada bydła, owiec i kur, natomiast spichrze były napełnione zbożem, a w polach znajdowały się kartofle, fasola, kukurydza, jarzyny, tytoń. Cieszy mnie niekrwawe zakończe-

nie sprawy. Celu dopiąłem; oszczędziłem bowiem mały zapas amunicyi, a droga jest już wolna. Mazamboni i Gawira byli również zadowoleni, chociaż udawali, że są oburzeni.

W jednej z chat znaleźliśmy lufę i zamek karabinu perkusyjnego. Był na niej znak: „John Clive III. 530“ i pochodzi z czasu napadu Kabby Regi, którego wojsku Musiri zadał przed rokiem dotkliwą klęskę.

Popołudniu wojownicy Mazamboniego święcili niekrwawe zwycięstwo nad Musirim tańcem wojennym.

Taniec ten w Afryce polega na dzikim komedyaństwie, na błaznowatych gestach, przeskakiwaniach i potrząsaniach głową, przyczem takt wybija jeden lub kilka bębnow. Tańcowi towarzyszy zawsze hałas i głośny śmiech, które mają bawić barbarzyńców tak, jak piruetty i obroty derwiszów bawią ludzi cywilizowanych. Często z pośród mieszkańców wsi, stojących w półkołu, wychodzą dwaj ludzie i przy odgłosie bębna lub rogu i wśród oklasków ogólnych śpiewają duet, albo znów śpiewa solo murzyn, ubrany fantastycznie w pióra kogucie, w małe dzwonki okrągłe i w wielką ilość zębów ludzkich, małpich i krokodylich, t. j. w klejnoty afrykańskie; ale do tego potrzeba zawsze chóru i im ten większy, tem lepiej; a przyznać muszę, że sprawiało mi to przyjemność, gdy mężczyźni, kobiety i dzieci głosami swemi zagłuszali odgłos bębnow, a tłumy otaczające rozmawiały i mruzczały głośno, a zwłaszcza jeżeli śpiewali Wanjamwesi, którzy są najlepszymi śpiewakami na całym kontynencie afrykańskim. Zanzibarczyca, Zulusowie, Waian, Wasagara, Waseguhha i Wangindo są bardzo podobni pod względem metody i wykonania, posiadają własne tańce i śpiewy, wielce się różniące, ale albo strasznie melancholiczne, albo głupie i barbarzyńskie. Wasoga, Waganda, Wallerewa

i Wasongora, zamieszkali około jeziora Wiktorya, są więcej smutnymi, szorstkimi bardami, przypominającymi swym śpiewem wschodnie jęki takiego Mustafy, Husseina, albo Hassana, który wzdycha pod kratami zamkniętej Fatymy, albo Roksany, posiadającej serce twarde. Wyjawszy u Wanjamwesi, nie słyszałem muzyki, ani nie widziałem tańca, któryby był wstanie zabawić towarzystwo angielskie, aż do dnia dzisiejszego, kiedy Bandussuma pod wodzą brata Mazamboniego poprowadzili wybitniejszych wojowników do tańca wojennego. Podczas gdy dwunastu zręcznych muzykantów uderzało w dobrym takcie w tuzin wielkich i małych bębnów, wydających odgłos taki, że można je było słyszeć na milę w około, Katto i krewny jego Kalenge przystrojeni w pióropusze białe, ustawili 33 linie, w których znajdowało się po 33 mężczyznu, w kształcie zwartego czworoboku. Znaczniejsza część wojowników posiadała tylko jeden oszczep, lecz niektórzy po dwa, oprócz tarcz i kołczanów, które wisiały u szyi na plecach.

Falanga stała spokojnie z dzidami o ziemię opartymi, aż na znak, dany za pomocą bębnów, Katto zanucił niskim głosem dziką pieśń tryumfalną i przy tonie nadzwyczaj wysokim podniósł dzidę; w tej chwili ponad głowami wznosił się las dzid, głosy odpowiedziały w potężnym chórze, falanga poruszyła się naprzód, a chociaż znajdowałem się w odległości 45 m., ziemia wokoło mnie zadrżała, jak w czasie trzęsienia. Mężczyźni uderzali silnie nogami o ziemię i robili kroki krótkie, tylko na 15 cm. W ten to sposób falanga posuwała się zwolna, ale ustawicznie naprzód; głosy podnosiły się i spadały, dzidy podnosiły się i opadały, a niezliczone błyszczące żelazne ostrza błyszczały, kiedy wedle taktu bębnów wznosiły się lub opadały. Głosy i huk bębnów trzymały się w wy-

bornym takcie, podnoszenie i opuszczanie dzid odbywało się równocześnie i wśród jednakowych ruchów ciała, a twarda ziemia drżała, kiedy waga 70 ton mięsa ludzkiego dotykała jej regularnym, silnym krokiem. Odpowiednio do tych ruchów wznosiło się lub opadało tysiąc głów i podnosząc się przy tonach silnych, pochylając przy przytłumionem, żalosem wzruszeniu tłumu. Kiedy chcąc nadać wzmagającej się wściekłości głosów większą siłę, podnosili głowę do góry i w tył, i wydawali okrzyki, co miało oznaczać gniew nieubłagany, nienawiść i wojnę morderczą, zdawało się, że każdy z nich był przejęty do głębi namiętnością śmiertelnej bitwy; oczy przypatrujących się błyszczały, a tłumy wznosiły groźnie zaciśnięte pięści, jakby we wnętrzu ich odbijały się wojenne tony. Kiedy wojownicy głowy opuszczali, zdawało się, że czuje się walkę o śmierć lub życie, jęk i nędzę wojny, że myślimy o łzach i jękach żalosem wdów, o płaczu sierot, które straciły ojca, o zniszczonych chatach i polach. Kiedy jednakże masa, coraz bardziej zbliżająca się, głowę znów podniosła, kiedy dzidy zabłysły, pióra zatrzęsły się i zaszeleściły, zabrzmiał głośny okrzyk i taki hałas radosny, że widać było tylko pełne chwały sztandary zwyciężkie i uderzenia pulsu dumnego tryumfu.

Kiedy wielka, zwarta masa krajowców wśród dziękiego śpiewu zbliżyła się aż do mego krzesła, front pochylił swe dzidy w linii prostej; po trzykroć pochylane je i wznoszono na powitanie, poczem wojownicy, chwyciwszy dzidy tak, jakby odrzucić je chcieli, potrząsając rękojęściami i wydając przeraźliwe okrzyki wojenne, zaczęli biedz już jeden za drugim. Wzruszenie wzrastało coraz bardziej, aż czworobok zamienił się w koła wirujące, a księżę Katto trzy razy obiegłszy plac wolny, stanął w środku, poczem szeregi, obiegały wokół, jakby

zwijały się w kłębek, tak że utworzyły wielkie zwarte koło.

Po ukończeniu tego epizodu utworzono znów czworobok i podzielono wszystkich na dwie połowy, z których jedna cofnęła się w jeden, a druga w drugi koniec placu. Śpiewając ustawicznie, szły naprzeciw siebie, przeszły pomiędzy szeregami, nie wywołując zamieszania i zajęły stanowiska przeciwne, poczem wśród groźnych gestów znów rozpoczęto plac okrążyć, aż oko zgubiło się wśród wirujących postaci. Następnie wszyscy, śmiejąc się, poszli do swych chat, nie troszcząc się wcale o to, jakie obrazy ewolucye ich i śpiewy we mnie i u reszty wywołały. W każdym razie było to jedno z najpiękniejszych i najbardziej wzruszających widowisk, jakie widziałem w Afryce.

30 maja. Maszerowaliśmy przez terytoryum Mazamboniego, gdzie przekonaliśmy się, że Mazamboni brał udział w zachowaniu się pasterzy Mahuma w kraju Muziriego, ponieważ spotkaliśmy liczne ślady wielkich stad. Wkrótce potem spostrzegliśmy piękne stada, pasące się na łąkach, a nasi Zanzibarczycy prosili głośno o pozwolenie zabrania ich. Przez chwilę trwało milczenie, poczem na pytanie, w jaki sposób stada Muziriego dostały się na jego terytoryum, odpowiedział otwarcie, że należą one do Wahumów, którzy w grudniu, kiedy on wojował z nami, uciekli z jego kraju, a obecnie, chcąc ująć niebezpieczeństwa w Uziri, powrócili na dawne miejsce. Nie miałem odwagi przeszkadzać im, dałem więc rozkaz iść dalej.

31 maja. Mazamboni ofiarował nam trzy woły i zapatrzył naszych ludzi w mąkę na dwa dni, kartofle i banany. Znaczna liczba małych królików z sąsiednich dystryktów odwiedziła nas; każdy dawał kozy, kury i mąkę jaglaną.



Wczoraj wieczorem otrzymałem od Muziriego doniesienie, że skoro cały kraj zawarł przyjaźń ze mną, to i on pragnie być uważany przezemnie za przyjaciela; skoro powrócę do kraju, da mi podarki stosowne.

Ponieważ jutro chcę iść dalej do fortu Bodo i Jam-buja, dodam tu, co dowiedziałem się o baszy.



ROZDZIAŁ XVII

Wczoraj wieczorem otrzymałem od Muziriego doniesienie, że skoro cały kraj zawarł przyjaźń ze mną, to i on pragnie być uważany przezemnie za przyjaciela; skoro powrócę do kraju, da mi podarki stosowne.

Ponieważ jutro chcę iść dalej do fortu Bodo i Jam-buja, dodam tu, co dowiedziałem się o baszy.

## ROZDZIAŁ XVII.

Nie mam zamiaru pisać szkicu biograficznego o Eminie baszy, ale powtórzę tu tylko te szczegóły, które on sam opowiadał mi o swoim życiu „o Sudanie i znajomości swej ze swym słynnym szefem, oplakiwanym Gordonem”.

Emin basza jest z urodzenia Niemcem. Powiada, że ma lat 48. Sądzę, że musiał być młodym jeszcze, kiedy przybył do Konstantynopola, i że jakiś wielki pan był mu pomocnym w studyach i że następnie przez jego protekcję dostał się prawdopodobnie do służby tureckiej i był lekarskim towarzyszem Ismaila Hakki baszy. Skoro, jak sam opowiadał, przeszło lat 20 służył pod flagą półksiężycy, wstąpił w służbę turecką zapewne w roku 1864. W Stambule przystąpił do stronnictwa młodotureckiego, czy reformy, która posiadała własny organ, trzy razy stłumiany przez władze, za zanadto śmiałe przemawianie za reformą. Po ostatniem stłumieniu Emin musiał kraj opuścić. Przybywszy do Egiptu w r. 1875-ym, został wysłany do Chartumu.

„Gordon zamianował mnie najprzód lekarzem z pensją miesięczną 25 funtów szterl., poczem podniósł ją do 30 funtów; po powrocie moim z misyi z Ugandy zrobił mi niespodziankę podwyżką pensyi do 40 funtów, lecz od czasu, kiedy zostałem gubernatorem tej prowincyi, wynosiła ona 50 funtów. Jak wysoką jest pensya generała, nie wiem, tymczasem byłem podówczas tylko „Miramanem”, czemś w rodzaju baszy cywilnego, który pensyę swoją otrzymuje tak długo, póki jest zatrudniony, ale traci ją, skoro usług jego nie potrzebują. Miałem nadzieję, że zamianują mnie baszą wojskowym, t. j. generałem dywizyi“.

„Gordon, bez mego upoważnienia, zamianował wice-konsula niemieckiego w Chartumie moim agentem, aby odbierał pensyę moją. Sądzę, że wypłacano mu ją przez wiele miesięcy; lecz Gordon zamianował następnie tego samego wice-konsula gubernatorem Darfuru, na której to posadzie on wkrótce umarł. Przy porządkowaniu spadku po nim, po zapłaceniu długów pozostała dostateczna suma, tak, że żonie jego posłano 500 funtów szterl. do Kairu, a mnie, jako głównemu wierzycielowi, przekazano 50 funtów. W kilka miesięcy później Chartum upadło, a pieniądze, które temu niezawodnie po śmierci wice-konsula złożono, przepadły, tak, że od lat ośmiu nie otrzymywałem pensyi żadnej”.

„Ostatni raz rozmawiałem z Gordonem baszą w r. 1877-ym. Była wówczas wyprawa do Darfuru pod wodzą pułkownika Prout i druga pod komendą pułkownika Purdy, w celach mierniczych. Kiedy Gordon został generalnym gubernatorem, prosił Stone’go baszę w Kairze, aby przysłał mu jednego z tych oficerów do prac mierniczych w Aequatoryi. Gessi basza objechał już jezioro Alberta, ale pomiarów swoich dokonał tylko przy pomocy kompasu. Prout bey i Mason bey byli wybornymi badaczami.

Prout bey przybył najprzód; pojechał z Ladó do Fotiko, ztamtąd do Mruli nad Wiktorya Nilem, następnie do Magungo nad Albert-Njanza i przy pomocy całego szeregu spostrzeżeń obliczył położenie tego punktu na wszystkie czasy. Choroba zmusiła go do powrotu do mojej stacyi w Ladó. W tym samym właśnie czasie przybył parowcem Mason bey, celem wymierzenia jeziora Alberta; ten sam okręt przywiózł mi rozkaz powrotu do Chartumu, celem objęcia stanowiska gubernatora w Massawie nad Morzem Czerwonem. Konsul francuzki tamtejszy poróżnił się z gubernatorem cywilnym i prosił, aby na wypadek nominacyi innego gubernatora wybrano osobę, rozumiejącą po francuzku. Dlatego Gordon, wiedząc zapewne, że znam ten język, wybrał mnie. Przybywszy do Chartumu, zostałem bardzo serdecznie przyjęty przez Gordona, który prosił mnie do siebie na obiady, co było dowodem wielkiej łaski, ponieważ bardzo rzadko prosił kogo do siebie na obiad. Nie przyjąłem jednak mieszkania w pałacu i jadłem śniadanie w domu, ale Gordon domagał się, abym na drugie śniadanie i na obiad do niego przychodził. Miał nadmiar pracy dla mnie, pisanie listów do baszów i beyów egipskich w rozmaitych prowincyach, listów do misyj katolickich w Gondokoro, do Papieża, do Kedywa itd. w językach włoskim, niemieckim i arabskim. Trwało to przez czas długi, aż pewnego dnia wysłał mnie w misyi do Unjoro. Nieco później pojechałem w górę rzeki i od tego czasu już Gordona nie widziałem.

„W czerwcu r. 1882 pisał do mnie Abdul Kader basza, że w przeciagu kilku miesięcy wyszle do mnie parowiec z zapasami żywności i amunicyą. Czekałem dziewięć miesięcy, aż w marcu r. 1883 otrzymałem 15 skrzyń amunicyi. Był to faktycznie ostatni dowóz czegokolwiek, jaki aż do francuskiego przybycia w kwietniu r. 1888 otrzymałem ze świata. Po latach pięciu!”

|                                   |                   |
|-----------------------------------|-------------------|
| wypoczynek 10 dni . . . . .       | 13 września       |
| powrót do Mupe . . . . .          | 3 października    |
| „ „ wodospadów Panga . . . . .    | 23 „              |
| „ „ fortu Bodo . . . . .          | 22 grudnia        |
| odpoczynek 5 dni . . . . .        | 27 „              |
| z portu Bodo do jeziora . . . . . | 16 stycznia 1889. |

Kiedy ostatniego wieczoru mego pobytu w porcie Bodo powtarzałem Stairsowi rozmaite powierzone mu ogólne i osobiste obowiązki, mówił on, że może nieprzybycie parowca „Stanley” jest przyczyną zupełnego braku wiadomości o wyprawie, na co ja odpowiedziałem:

— Jest to właściwie srogie przypuszczenie, kochany panie; tego obawiam się najmniej, o ile bowiem mogłem, pomyślałem i o takim wypadku. Musisz pan bowiem wiedzieć, że przy odjeździe parowca z Jambuja d. 28 czerwca dałem jego kapitanowi wiele listów. Jeden z nich był do mego dobrego przyjaciela, porucznika Liebrechtsa, gubernatora dystryktu Wodospady Stanleya, z wezwaniem, aby ze względu na naszą starą przyjaźń odesłał parowiec z naszemi towarami i amunicją rezerwową jak najprędzej z powrotem.

Drugi list był do p. Swinburne, mego dawniejszego sekretarza, wzoru wierności. W liście tym pisałem, aby w razie, gdyby parowcowi „Stanley” zdarzył się wypadek, któryby przeszkodził mu w powrocie do Jambuja, był tak dobrym i wysłał w miejsce jego „Floridę”, ponieważ właściciele tego ostatniego statku są kupcy, a ci wynagrodzenie w gotówce, jakie im zagwarantowałem, przyjmą tak samo, jak zyski z handlu kością słoniową.

Trzeci list był do p. Antoine Greshoff, zamieszkałego nad Wodospadami Stanleya agenta domu holenderskiego w Banana, a w nim pisałem, że na wypadek, gdyby nie można wynająć ani „Stanleya”, ani „Floridy”, zarobi zna-

czną sumę pieniędzy w gotówce, jeżeli zapasy wyprawy od Wodospadów Stanleya przenieść każe przy pomocy 128 ludzi do Jambuja. To, co za fracht i żywność policzy sobie uczciwie, będzie mu natychmiast zapłacone.

W czwartym liście do oficera naszego, p. Johna Rose Troupa, dowodzącego w Stanley-Pool, pisałem, że gdyby „Stanley“ i „Florida“, a także i p. Greshoff natrafiali na przeszkody, aby wyteżył wszelkie siły i środki, i bez względu na kosztą zgromadził łodzie i kanoe i połączył się z pp. Wardem i Bonny w Bolobo. P. Warda w Bolobo prosiłem również gorąco, aby to samo uczynił w Ujanzu, aby statki obsadził Zanzibarczykami i krajowcami i rozmaite towary przesyłał etapami do obwarowanego obozu w Jambuju. Nie wątpię, że to ostatnie było niepotrzebne, trudno bowiem przypuścić, aby ani „Stanley“, ani „Florida“, ani parowiec p. Greshoffa od d. 28 czerwca r. 1887 do 16 czerwca r. 1888, tj. prawie przez 12 miesięcy, nie mogły być oddane do rozporządzenia dla naszych celów.

Prócz tego nie zapominaj pan, że tak kapitanowi, jak i maszyniście „Stanleya“ przyrzekłem nagrodę 500 funtów szterl., jeżeli powrócą jak najprędzej. Taka suma dla ludzi ubogich nie jest drobnostką i jestem przekonany, że jeżeli nie przeszkodzili im ich przełożeni, wypełnili swoje przyrzeczenia i że wszystkie towary przybyły w całości do Jambuja.

-- Pan sądzi zatem, że major Barttelot jest winnym opóźnienia.

-- Tak, on i Tippu-Tib. Ostatni, naturalnie, nie dotrzymał umowy. O tem nie wątpię. Gdyby bowiem 600 tragarzy swoich, albo choćby tylko połowę tej liczby, dołączył do naszych Zanzibarczyków, bylibyśmy dawno słyszeli o nich, albo w Ipoto, kiedy pan wracałeś tam po łódź, albo później, kiedy pan w d. 18 września r. 1887 przybyłeś do Ugarrowwy, a my bylibyśmy oddaleni tylko

o 81 dni marszu od Jambuja. Jeżeli Arab, stosownie do umowy, wysłał bezzwłocznie posłańców, mielibyśmy już teraz odpowiedź, jeżeli major wyruszył z Jambuja. Także i posłańcy, których d. 16 lutego wysłaliśmy z panem do stacji Ugarrowwy, ludzie wyborowi, dobrze uzbrojeni i obznajomieni z drogą, byłiby z pewnością do tej pory powrócili, gdyby oddział majora oddalony był od Jambuja tylko o kilka tygodni marszu. Jestem zatem stanowczo zdania, że major Barttelot, w ten czy ów sposób, stał się przyczyną opóźnienia.

— No tak, być może, ale jeżeli pan sądzi może, że major jest nielojalny, to...

— Nielojalny! O, kto to podszeptał panu ten wyraz? Takie słowo nie odnosi się chyba do nikogo, biorącego udział w wyprawie. Nielojalny? Dlaczego miałby ktokolwiek być nielojalnym? Nielojalnym w obec kogo?

— No, nie nielojalny, ale opieszwały, lub nie dość energiczny w marszu; jestem przekonany, że uczynił to, co tylko mógł.

— Bezwątpienia, ale jak d. 18 września w liście, który mieli mu doręczyć posłańcy Ugarrowwy, pisałem, przyczyną opóźnienia jest jego porywczosć i niedoświadczenie, a nie nielojalność i opieszalsć. Obawiam się, czy karanie bez różnicy jego ludzi nie wywołało takiego wrażenia, że bliskość Wodospadów Stanleya i Arabów nie kuśiły do ucieczki. Jeżeli listy nasze istotnie zaginęły w drodze, naówczas nasza długa nieobecność — do dziś prawie 12 miesięcy, a zanim dojdziemy do Jambuja najmniej 14 miesięcy — może dać powód do rozmaitych pogłosek. Jeżeli Zanzibarczycy z Bolobo dotarli do niego, musiałyby mieć około 200 tragarzy. Przypuściwszy, że towary i ludzie przybyli w czasie właściwym, i że on, przekonawszy się o wiarołomstwie Tippu Tiba, wyruszył w pochód, tak jak przyrzekał, musiałyby w przeciągu 12 miesięcy być

u wodospadów Panga; ale jeżeli trudne zadanie zdemoralizowało jego i jego tragarzy, naówczas rozbił się on daleko poniżej wodospadów Panga, może u progów os, pod Mupe lub Banalja, i pozostał tylko ze stu tragarzami, rozpaczliwie zdjętymi i Sudańczykami i wielkością zadania swojego został zmuszony do zatrzymania się i czekania. Staralem się odgadnąć tę zagadkę we wszelki możliwy sposób, ale doszedłem tylko do tego rozwiązania.

— Mówisz pan, że zostało przy nim tylko 100 ludzi? To za mało.

— Ha, straty jego obliczam wedle tego, co my straciliśmy, tj. około 50%. My straciliśmy trochę mniej, ponieważ z 389 ludzi naszych żyje jeszcze 203: czterej nad jeziorem, 60 w forcie, 119 idzie ze mną i 20 posłańców.

— Tak, ale oddział majora nie potrzebował cierpieć tyle głodu, co my.

— Ale nie mieli zbytku, jaki był naszym udziałem w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy; a więc to się wyrównuje. Ale dalsze domysły w tym względzie są bezcelowe.

Plany moje nie ziściły się. Basza nie zwiedzał nigdy południowego krańca jeziora, co proponowałem mu w liście z Zanzibaru. To kosztowało nas cztery miesiące, a tak samo nie wiemy nic o Barttelocie. Ludzie nasi padali tuzinami, i wszędzie, dokąd tylko się zwrócę, nie znajduję pociechy w lepszych widokach na przyszłość. Nędza wisi nad tym lasem, jak śmiertelne płótno nad zwłokami. Wszystko, co tylko możemy przytoczyć na usprawiedliwienie błędów, jakie może popełniliśmy, ogranicza się do tego, że zamiary nasze były czyste, a cele ani chciwe, ani ambitne. Kara nasza ma być czystą ofiarą, wypełnieniem naszych obowiązków. Każdy dzień przynosi nowe trudy? Ale poco mamy myśleć o kłopotach jutrzejszych? Pozwól pan wyruszyć ztąd w przekonaniu,



że nie odstąpisz pan od swych obowiązków w czasie mojej nieobecności i że nie będę potrzebował kłopotać się z pańskiej przyczyny. Jeżeli Basza i Jephson przybędą tu z tragarzami, lepiej będzie dla pana, dla nich i dla mnie, gdy pan pójdiesz a nie zechcesz pan pójść dalej, to zaczekaj, aż ja przyjdę. Zostaw mi pan czas do mniej więcej 22go grudnia i jeżeli do tej pory nie powrócę, poradź się panu przyjaciół swoich, a następnie ludzi własnych, i uczyni, co uznasz za najlepsze i najroztropniejsze. My pójdziemy tak daleko, póki nie znajdziemy Barttelota, nawet do Jambuja, ale nie dalej, chociaż on mógł zabrać ze sobą wszystko w dół rzeki Kongo. Jeżeli opuścił Jambuja i poszedł daleko na południowy wschód, zamiast na wschód, pójdę za nim, a doścignawszy go będę torował sobie drogę najprostszą przez las do fortu Bodo. Musisz pan wyobrazić sobie, że stało się wszystko to, jeżeli nie powrócę w grudniu, i przypuść, że stać się mogło jeszcze wiele innych rzeczy, które nas zatrzymały, zanimbyś pan nabral przekonania, że zginęliśmy na zawsze.

Instrukcyja dla porucznika Stairsa brzmiała, jak następuje:

Fort Bodo, 13 czerwca 1888.

Szanowny Panie! Na czas nieobecności mojej z awangardą wyprawy, która wyrusza obecnie na pomoc majorowi Barttelotowi i ariergardzie, mianuję pana komendantem fortu Bodo. Pozostawiam panu załogę, która łącznie z chorymi, wynosi 60 strzelców. Większa część ludzi nie należy do tych, jacy potrzebni są do załogi w kraju niebezpiecznym, ale wszyscy mogą strzelać z karabinów, są dobrze usposobieni, i mają zapasy amunicyi. Głównie zdaję się na komendanta samego. Jeżeli ten będzie czynnym i czujnym, fort będzie bezpieczny a żaden sojusz krajowców nie będzie wstanie wyprzeć załogi z jej obronnego stanowiska.

wiska. Nie potrzebuję dodawać, że wyruszam stąd z zupełnem zaufaniem do pana.

Co się tyczy poprawek, jakie należy przedsięwziąć w forcie Bodo i jakie wskazałem panu już ustnie, to proponowałbym, abys pan, ze względu na to, że po zupełnem wykończeniu fort będzie rozleglejszy niż obecnie, wybrał 20 do 30 przyzwoitych i czystych ludzi, aby mieszkali w budynkach we forcie, zanim będą nam one potrzebne dla innych osób, ponieważ

1. nie będzie groziło panu niebezpieczeństwo odcięcia pana od załogi przez jakiego zuchwałego nieprzyjaciela

2. trzecia część pańskich ludzi będzie znajdowała się wewnątrz bram gotowa na nagłe rozkazy;

3. wskutek zamieszkiwania budynki będą suche.

Kukurydza. Zacznij pan około 15 lipca sadzenie ziarn.

D. 1go lipca musisz pan zacząć oranie i czyszczenie roli.

Banany. Jestem bardzo zakłopotany o banany. Powinieneś pan dwa razy na tydzień wysyłać silny patrol naokoło plantacyj, aby wystraszyć krajowców i słonie. Dla ostatnich wystarczyłby pół tuzina ognisk w tyluż punktach.

Patrol musi prowadzić oficer, abys pan mógł otrzymać wiarogodny raport o tem, co się dzieje. Gdybyś pan miał dowiedzieć się, że banany wyczerpują się, powinieneś pan rozpocząć wydzielanie porcyj ludziom i starać się o sprowadzanie dalszych zapasów z odleglejszych punktów. Pozwól pan, aby w punktach najbliższych fortowi, banany dojrzewały zupełnie; tak samo ma dziać się z kukurydzą. Byłoby również dobrze, aby plantacye przy głównych drogach pozostawały nienaruszone aż do chwili zupełnej dojrzałości.

Kap. Nelsona pozostawiam jako wicekomendanta, aby objął dowództwo, na wypadek, gdybyś pan nie był zdolnym do niego z powodu choroby, lub jakiego wypadku.

Dr. H. Parke pozostaje jako lekarz, celem zaopiekowania się chorymi.

Rzecz naturalna, że niepodobna powiedzieć, kiedy powrócimy, ponieważ nie mamy pojęcia o tem, gdzie znajduje się ariergarda, ale będziemy starali się uczynić wszystko, co będzie w naszej mocy. Jeżeli major jest jeszcze w Jambuja, możesz pan spodziewać się naszego powrotu w ciągu grudnia.

Emina baszy i Jephsona spodziewam się w ciągu mniej więcej dwu miesięcy, tj. około połowy sierpnia.

Gdyby p. Jephson przybył z dostateczną ilością tragarzy, radziłbym panu, abyś pan fort opuścił i w towarzystwie p. Jephsona poszedł z załogą do jeziora i abyś się wraz ze swoim oddziałem oddał Eminowi baszy do rozporządzenia, aż do chwili naszego powrotu. Maszerując na wschód, mam zamiar pójść z Nepoko ścieżką północno-wschodnią i zdążać do mielizny Ituri.

Abym, przybywszy do Ituri, wiedział, czy pan opuściłeś fort lub nie, proszę pamiętać o tem, że na prawym brzegu, w pobliżu mielizny, są bardzo wysokie drzewa, na których wytnij pan szerokie strzały na znak, żeś pan tamtędy przeszedł. Na jakim wybitnem miejscu w pobliżu mielizny może pan wyciąć datę pańskiego przemarszu. Oszczędziłoby mi to wiele czasu i kłopotu o pana.

Ponieważ 20 posłańców odeszło ztąd 16-go lutego, w dniu 16 czerwca upłyną cztery miesiące od chwili ich wymarszu. Jeżeli Jephson wróci za dwa miesiące, upłynie wówczas sześć miesięcy od chwili opuszczenia fortu Bodo przez posłańców: czas zupełnie dostateczny do rozproszenia wszelkiej co do nich wątpliwości.

Życzę panu i pańskim towarzyszom zdrowia i bezpiecznego powrotu do Jeziora. My z naszej strony wykonamy nasze dzieło z szybkością, na jaką dozwolą okoliczności.

Pański Henryk M. Stanley  
naczelnik wyprawy ratunkowej.

Do porucznika W. G. Stairsa  
komendanta fortu Bodo.

---

## ROZDZIAŁ XIX.

O świcie d. 16 czerwca wyruszyliśmy w dobrem usposobieniu z fortu Bodo do Jambuja, a towarzyszyły nam radosne okrzyki załogi i najlepsze życzenia oficerów. Mieliśmy 113 Zanzibarczyków, 95 tragarzy z plemienia Madi, 4 żołnierzy Emina baszy i dwu białych, oprócz dra Parkego z jego oddziałem 14 ludzi, którzy towarzyszyli nam do Ipoto. Wieczorem d. 17 wśród burzy i ulewy dotarliśmy do Indekaru, d. 19 obozowaliśmy pod Ndugubisza, a nazajutrz pod Ndjalli. Tymczasem doznaliśmy już przykrości pierwszego marszu. Krzyk przewodników oddziału przypominał nam to, co zapomnieliśmy przez siedm miesięcy:

— Czerwone mrówki na drodze! Bacność na moczar, ho, kolki! Rów po prawej! Dół po lewej! skryte kolce, strzeżcie się kolców! A, te mrówki, ho, niebezpieczna roślina, pokrzywa, strzeżcie się pokrzywy. Dół! Pod spodem ślizgo, ślizgo! Strzeżcie się namułu! Korzeń! Czerwone mrówki! Czerwone mrówki maszerują! Uwa-

żajcie dobrze na mrówki! Pień drzewa! pod nim kołki zatrute!

Tak wołano ustawicznie.

Większa część wsi na tej drodze stała jeszcze, ale chaty były pochylone, a ściany były wewnątrz grzybami porośnięte.

D. 20 czerwca doszliśmy do Mambungu, nazajutrz obozowaliśmy na skraju karczowiska Busindi. Po 47 godzinym marszu przybyliśmy do Ipoto, gdzie nasi ludzie przywiezieni z głodu do rozpacz, przygotowili mnie dawniej o tak poważne straty w broni i amunicyi. Zmiana w ich wyglądzie była jednak tak wielka, a oczy ich tak iskrzyły się gniewem na dawnych katów, że Kilonga-Longa, bojąc się odwetu, zjawił się u nas popołudniu w towarzystwie swoich naczelników, przeproszał za zachowanie się Manjemów w czasie jego nieobecności, i oświadczył gotowość naprawienia złego, o ile to będzie w jego mocy. Oddali mi 19 karabinów Remingtona z 30 owych, które, o ile wiedziałem, znajdowały się w ich posiadaniu; sześć z nich zostawiłem sam jako gwarancję zapłaty, dwa dał mu w moim imieniu porucznik Stairs, jeden sprzedał kap. Nelson, a 10 Zanzibarczycy, oprócz 11, których nie odzyskaliśmy; natomiast z 3,000 naboju i dwu skrzyń amunicyi, którą ci przechowywacze skradzionych przedmiotów kupili od Zanzibarczyków, oddano nam tylko 50. Jakkolwiek obawa Manjenzów była wielka, pora odwetu jeszcze nie nadeszła, chociaż 50 strzelców mogło łatwo zdobyć tę osadę, ponieważ znaczniejsza część ludzi Kilonga-Longi znajdowała się na wyprawie łupieżczej na wschodzie. W tej chwili mieliśmy przed sobą dzieło ważniejsze, niż zburzenie Ipoto; nie trzeba także zapominać, że nasza mała załoga we forcie Bodo nie była wcale silną, i że kilka setek zdeterminowanych z powodu strat ludzi

mogło łatwo zemścić się na niej oblężeniem, albo napadem nocnym.

Ulegliśmy zatem pod przymusem okoliczności i przyjęliśmy karabiny, tudzież dary w kozach i ryżu, zaś Zanzibarczykom pozwoliliśmy sprzedać kość słoniową w zamian za 100 korcy kukurydzy, która była dla nich produktem bardzo pożądanym.

Nazajutrz naczelnik oddał mi jeszcze dwa karabiny, ale ponieważ wszyscy ludzie moi byli dostatecznie uzbrojeni, prosiłem go, aby zatrzymał te karabiny, wraz z sześcioma innemi, które posiadał, jako zapewnienie wypłaty 90 doti sukna, które jemu i ludziom jego przyrzekłem za niechętnie i skąpe udzielanie żywności kap. Nelsonowi i dr. Parkemu.

Popołudniu dr. Parke i jego mały oddział 14 ludzi wyruszyli z powrotem do fortu Bodo i zabrali 13 tobołów, tudzież ostatnie instrukcje, jakie miałem jeszcze do udzielenia.

D. 25-go czerwca wyruszyliśmy z Ipoto, w towarzystwie jednego przewodnika i pod eskortą 15 Manjemów, którzy otrzymali ostentacyjny rozkaz towarzyszenia nam do najbliższej osady arabskiej, będącej jedną z najodleglejszych stacyj Ugarrowy. Kiedy przybyliśmy nad Ituri o godz. 3 ej popołudniu, dano nam do przeprawy kanoe; do wieczora przeprawiliśmy połowę oddziału. Nazajutrz o godz. 2 ej cały oddział był na drugim brzegu, prócz Manjemów, którzy nagle zaczęli obawiać się, abyśmy nie pomścili się na nich i nie zdecydowali się na odwagę, jaką była im nakazaną.

Znajdowaliśmy się znów w olbrzymim lesie niezamieszkałym, przez który członkowie wyprawy szli w październiku, jako nędzne ofiary nielitościwego głodu. Nic nie byłoby w stanie skłonić nas do ponownego odwiedzenia tego straszego cienia, gdyby nie nadzieja spotkania

powracających posłańców, którzyby ucieszyli nas nowinami o oddziale majora. Przekonani, że spotkamy ich na tej ścieżce, skoro nie zastaliśmy ich w Ipoto, a innej drogi nie znali, szliśmy szybko i w przeciągu  $2\frac{3}{4}$  godzin dotarliśmy do obozu, z którego d. 14 października przeprawiliśmy się na brzeg północny. Znaki naszego dawnego pobytu były jeszcze świeże, a strzały, malowane węglem drzewnym na pniach, odartych z kory, tudzież znaki ołówkowe dla oddziału Chamisa, były jeszcze wyraźne.

D. 28 czerwca przybyliśmy do obozu Nelsona u spotkania się Iburu z Ituri, miejsca, które w październiku widziało tyle wypadków śmierci i agonij, gdzie biedny Nelson, z nogami, okrytymi wrzodami, siedział tyle długich godzin, tyle smutnych dni i czekał skłopotany wiadomości od nas, póki jego przyjaciel Jephson nie zastał go wychudłego i rozpaczą zdjętego wśród umierających i umarłych towarzyszy. Cały pochód zajął nam 20 godzin, a wraz z przeprawą przez rzekę cztery dni. Poprzednio, mimo wyężania sił potrzebowaliśmy na to 39 godzin, a wraz z odpoczynkami 13 dni. Różnicę tę wywołał stan żołądka.

Ukryte przez nas towary były nienaruszone, chociaż pod tym względem mieliśmy pewne wątpliwości, i towary, których wyprawa ratunkowa Jephsona zabrać nie mogła, odkopaliśmy ponownie. Amunicya z fabryki Kynocha w Birmingham, chociaż była zakopana w piasku przez 8 miesięcy i wystawiona na wilgoć tropiczną i deszcz, nie ucierpiała tak, jak sądziliśmy, ponieważ 80% było zupełnie nieuszkodzonej, a skrzyneczki mosiężne, powleczone woskiem i kapiszony miedziane posiadały pierwotny połysk i gładkość. Rozdzieliwszy pomiędzy ludzi 1000 naboju dla wypełnienia zapasów i wybrawszy inne potrzebne nam przedmioty, spakowaliśmy 8 tobołów, zakopali-



śmy resztę w piasku i poszliśmy dalej z tego zniechęconego miejsca.

W czasie odpoczynku przekonaliśmy się, że czterej tragarze z plemienia Madi zbiegli z uzbrojeniem towarzyszy zanzibarskich. Gdyby wiedzieli to, o czym my nie zapomnieliśmy po smutnych doświadczeniach w lesie, byłiby raczej szumiącą rzekę za grób wybrali, a nie narażali się na długą mękę śmierci głodowej w lesie.

Około zachodu słońca spostrzegliśmy zdumieni przybycie do obozu eskorty Manjemów. Umknęli do Kilonga-Longi, ale ten gentleman polecił im surowo, aby dobiegli nas i nie powracali bez świadectwa, że wykonali rozkaz jego.

D. 29 czerwca poszliśmy dalej, zaś d. 2 lipca przybyliśmy nad rzekę Lenda. Tu wybraliśmy miejsce najwęższe, gdzie rzeka miała 30 metrów szerokości, następnie wyszukaliśmy trzy najwyższe drzewa, mające 35, 34 i 33 m. długości, przesunęliśmy je nad rzekę, odparliśmy pnie widłowatymi podporami, ustawiliśmy z boku poręcze i w ten sposób zbudowaliśmy sobie most wygodny i bezpieczny. Rano d. 5 lipca most był gotów, zaś o godz. 10-ej byliśmy na drugim brzegu.

Tragarze z plemienia Madi, którzy po drodze umyślnie gubili kukurydzę, aby zmniejszyć niesiony ciężar, zaczęli obecnie uczuwać karę za marnotrawstwo. Jakkolwiek codziennie rano wołano w obozie, na jak długo jeszcze żywność musi wystarczyć, to jednak dzicy byli za głupi, by słuchać przestrogi, i wskutek tego mieliśmy już tuzin osłabłych gałganów, idących krokiem chwiejnym. Brakło nam już siedmiu, z tych czterech zbiegli.

D. 6-go lipca natrafiliśmy nagle na karczowisko, pokryte małą, ale bogatą plantacją bananów. Jak zgłodniałe wilki na łup, tak napół zgłodniałymi Madiowie rzucili się na owoce i wkrótce cały zapas został pochłonięty, lecz

trzej z nich nadeptali na zatrute kołki, zręcznie w ziemię wbite.

D. 8-go dotarliśmy do małej wioski Balia, a w 5 godzin później nocowaliśmy w Bandeja.

Dzień ten był pełen nędzy i dziwnych wypadków. Zaledwie wyszliśmy z Balia, napadł nas deszcz, wśród którego trzej nadzy Madiowie padli martwi w niewielkiej odległości od siebie. Skoro tylko deszcz zaczął padać, kazałem rozwiesić 45 metr. kwadr. płótna i schronić się pod nie; kiedy deszcz przestał padać, zwinęliśmy płótno i poszliśmy dalej; dokuczały nam jednak zimne krople, z drzew spadające. Zanzibarczycy, przyzwyczajeni do tego i silniejsi, nie cierpieli wcale od tego, ale Madiowie, podupadli na duchu i z pustym żołądkiem, padali martwi tak raptownie, jak gdyby ich zastrzelono.

Jeden z żołnierzy Emina baszy z Lado i jeden Zanzibarczyk, którzy nadeptali na zatrute kołki, byli z powodu ran tak niedołężni, że musieliśmy nieść ich.

W pobliżu Bandeja zmarł jeden Madi wygłodniały, zaś Zanzibarczyk został postrzelony strzałą podstępnego a zuchwałego karła. Kiedy przybyliśmy do wsi, memu kucharzowi Hassanowi, w chwili kiedy karabin swój skierował do siebie, nabój eksplodował i wyrwał mu kawał muszkułu u lewego ramienia; zaś około północy, niejaki Amari, w chwili, kiedy rozdmuchiwał ognisko straży, został zraniony w głowę kulą karabina, który ktoś położył nieopatrznie w pobliżu rozpalonych węgli.

Nazajutrz wyruszyliśmy za przewodem kilku kobiet krajowców, które mówiły, że znają drogę do stacyi Ugarowwy. Poprowadziły nas jakimś ścieżkami, lecz wkrótce przekonałem się, że błądzimy. D. 10 lipca doszedłem do przekonania, że jesteśmy niedaleko naszego obozu z dnia 8-go; ale Zanzibarczycy sądzili, że krajowcy najlepiej kraj swój znają. D. 11 lipca przybyliśmy do tej samej wsi,

którą opuściliśmy dnia 8-go. Błądziliśmy zatem w kółko; ludzie nasi żądali, aby za karę kobiety owe pozabijać. Biedne istoty, one postępowały tylko tak, jak im natura nakazywała. Odesłałem kobiety do domu, poczem z kompansem w rękę puściliśmy się w drogę i rano d. 12-go odnaleźliśmy ścieżkę pożądaną.

D. 13-go przybyliśmy do dawnego obozu nad Ituri, naprzeciw stacyi Ugarrowwy, ale wieś była opuszczona. Nie mogliśmy więc zasięgnąć wiadomości o naszych posłańcach, ani o majorze i jego ludziach. Obecnie każdy strumyk, każde przejście było nam dobrze znane.

Nazajutrz, kiedy zapasy żywności już się wyczerpywały zupełnie, a Madiowie codziennie po dwóch lub trzech umierali, przybyliśmy do wodospadów Amiri. Zaledwie rozbiliśmy obóz, a wszystko rzuciło się na poszukiwanie żywności; niestety, nie można było dostać jej w pobliżu, bowiem 600 głów licząca tłuszcza Ugarrowwy uprzedziła nas i pochłonęła wszystko, co tylko było do zjedzenia. Że i oni nie mieli dostatecznych zapasów, dowodzi liczba szkieletów, leżących w ich dawnym obozie. Ale odległość nie przestraszała naszych chłopaków z nad jeziora i poszli ścieżką, prowadzącą na południe, aż po kilku godzinach odkryli u stóp wzgórzka bogatą plantacyę bananów. Późno w noc powrócili weseli do obozu i pocieszali oczy zgłodniałych widokiem bujnych owoców.

Rzecz naturalna, że w czasie tak krytycznym i w pobliżu takiego bogactwa odpoczynek był nakazany, i już wczesnie rano obóz opróżnił się ze wszystkich dorosłych ludzi, prócz straży. Wszyscy poszli po żywność. Popołudniu powrócili wszyscy obładowani bananami. Przezorniejsi nieśli większą część owoców, połupali je bowiem, pokrajali i przygotowali do suszenia, aby oszczędzić sobie noszenia łupin. W czasie nieobecności furazerów słabsi przygotowali ruszty drewniane i paliwo do suszenia owoców w nocy.

D. 16 lipca poszliśmy dalej wzdłuż rzeki i w 7 godzin później przybyliśmy do wodospadów Navabi. Nazajutrz minęliśmy je, ale łodzie, które dawniej w tem miejscu zatopiliśmy, znikły. Wzdłuż drogi spotykaliśmy szkielety, których liczbę powiększali Madiowie, którzy codziennie padali na ziemię, aby już się z niej nie podnieść. A przecież żadne tłumaczenia nie mogły nakłonić ich do tego, by zaopatrywali się w żywność na dzień następny. Uważali 10 fig. za zapas niewyczerpany, chociaż co wieczór byli bardzo głodni. Jedynym sposobem na to było zatrzymywać się tak często, jak tylko można, aby byli w stanie nasycić się dobrze.

D. 20-go szliśmy 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godzin, poczem obozowaliśmy powyżej katarakt Bafaido, straciwszy poprzednio Zanzibarczyka i 4 Madich. Jeden z tych ostatnich był naczelnikiem, cierpiącym wskutek rany, jakiej nabawił się na deptawszy na kołek zatruty. Kiedy wyruszaliśmy, oświadczył, że chce umierać na tem miejscu, zwołał swoich rodaków, rozdał im swoje błyszczące żelazne naramienniki i pierścienie z nóg, naszyjniki i kolczyki, poczem położył się spokojnie na ziemię. W rysach twarzy jego nie było widać najmniejszego wzruszenia. Wszystko to było wielce podziwienią godnem, ale byłoby niem jeszcze więcej, gdyby dalej walczył dzielnie, a nie kładł się, aby umrzeć, jak pies. W trzy godziny później znaleźliśmy jedno kanoe, a później jeszcze trzy inne, w których mogliśmy pomieścić prawie wszystkich chorych. Byłoby strasznie zatrzymywać się, celem wystania ludzi po naczelnika Madich; przemawiał przeciw temu także i ten wzgląd, że nie zastanoby go chyba przy życiu, ponieważ obóz odwiedzały hordy krajowców, którzy mordowali wszystkich pozostałych chorych.

Nazajutrz maszerowaliśmy tylko dwie godziny. Także i Ugarrowwa odpoczywał tu kilka dni, jak dowodzą

tego ślady obwarowania obozu. Kiedy następnego dnia w obozie około katarakt, gdzie ukryliśmy dawniej szufle i inne przedmioty, których osłabiona karawana nieść nie mogła, jedliśmy śniadanie, przekonaliśmy się, że zbiegowie odkopali 10 kłów słoniowych a krajowcy zrabowali resztę przedmiotów.

Popołudniu rozbiliśmy obóz u katarakt Basopo. Po między oboma wodospadami Zanzibarczycy odkryli kilka kanoe, puścili się więc na nich w dół rzeki, chociaż znali niebezpieczne kanały katarakt, co przyprawiło nas o stratę jednego Zanzibarczyka i chłopca, należącego do żołnierzy Emina baszy. W łodzi przewróconej znajdowali się także dwaj żołnierze Emina: obaj uratowali życie, ale utracili karabiny i uzbrojenie.

Dwaj Zanzibarczycy, Djuma i Nassib, oddalili się w tym dniu od karawany i znikli nam z oczu, tak że d. 24go lipca musieliśmy stanąć i wysłać oddział, celem ich odszukania. Popołudniu oddział wrócił bez nich, a w godzinę później usłyszeliśmy w obozie gwizd kuli, która przeleciała nad naszymi głowami. Zarządziliśmy poszukiwania i przekonaliśmy się, że winnym był tu Nassib, który powrócił do obozu w towarzystwie Djumy, i sądząc, że widzi krajowca, podkradającego się do obozu, strzelił. Jeszcze więcej zdziwiło nas jego opowiadanie o przyczynie, dla której oddalił się od karawany. Oto odkryli w pobliżu plantację fig i usiedli obok drogi, aby figi zrywać i suszyć. To zatrzymało ich najmniej 18 godzin, a kiedy następnie powrócili na drogę, zgubili ślad 200 ludzi. Trudno rozstrzygnąć, co więcej podziwiać należy, głupotę tych ludzi, którzy siadają spokojnie w plantacji dzikich ludożerców, chodzących karawanie po piętach, aby mścić się na maruderach, czy trwogę, jaką krajowcy w tym jedynym wypadku byli przejęci.

D. 26 lipca przybyliśmy do gęsto zaludnionego dystryktu Avedjeli, naprzeciw ujścia rzeczki Népoko, i rozbiliśmy obóz we wsi, w której dr. Parke przed 13 miesiącami tak szczęśliwie odjął nogę jednemu z Zauzibarczyków.

Przykrości marszu w lesie nie dokuczyły mi nigdy tak bardzo, jak w tym dniu, ponieważ osłabłem w dodatku, z powodu żywienia się wyłącznie roślinnymi pokarmami. W tej chwili posiadaliśmy około 30 nagich Madiów, prawie konających. Już sam widok ich chorób różnych i odór ich ciał wywoływał u mnie kurcz żołądkowy. A przytem wszyskiem pochód był bardzo utrudniony.

W dodatku dręczył mnie kłopot o los 20 doborowych ludzi, których wysłałem do majora Bartelota i oddział tegoż. Od miesiąca nie jadłem mięsa i żywiłem się tylko bananami i figami, które nie mogły posilić dostatecznie żołądka, mimo to, że kucharz przyrządzał je w różny sposób. Muszkuły moje były cienkie i osłabłe, nogi drżały, a organa wewnętrzne wdychały do mięsa.

W obozie usłyszałem przypadkiem rozmowę służącego namiotowego, Sali, z Zanzibarczykiem. Chłopak mówił, że zdaje mu się, iż „pan” długo żyć nie będzie, widział bowiem, że siły jego szybko ubywają.

— Jeżeli Bogu się podoba — odparł drugi — za kilka dni dostaniemy kozy, albo kury. On mięsa potrzebuje i będzie je miał, jeżeli Ugarrowwa nie zrabował całego kraju.

— Ach, — rzekł Sali, — gdyby Zauzibarczycy byli ludźmi a nie zwierzętami, naówczas podzieliliby się z panem mięsem, jakie znajdują przy furazowaniu. Czyż oni nie korzystają z jego karabinów i nabojów i nie otrzymują zapłaty? Nie rozumiem, dlaczego nie dzielą się z panem tem, co uzyskują przy pomocy jego karabinów.

— O, takich złych jest niewielu, którzyby nie uczynili tego, gdy dostaną coś, co jest wartem podziału, odrzekł drugi.

— Aha, ja wiem to lepiej. Niektórzy Zanzibarczycy znajdują prawie codziennie kurę, albo kozę, ale jeszcze nie widziałem takiego, któryby dał coś z tego panu.

W tej chwili przywołałem Salego i kazałem mu opowiedzieć wszystko, co mu było wiadome. Po dłuższych pytaniach przekonałem się, że było w tem, co mówił, trochę prawdy. Dwaj przewodnicy Zanzibarscy, Murabo, znany z wyspy Bumbire, i Wadi Mabruki, schwytali d. 25go kozę i trzy kury i zjedli je potajemnie. Był to pierwszy jawny dowód niewdzięczności, jaki zauważyłem u tych dwóch ludzi. Następstwem tych odkryć było to, że od owego dnia otrzymywałem udział w łupach. Jeszcze przed wieczorem dano mi trzy kury, a w kilka dni później odzyskałem siły.

W Avedjeli przygotowaliśmy sobie wielki zapas żywności z suszonych bananów, zaś coraz bardziej powiększająca się flotylla nasza umożliwia nam umieszczenie na łodziach wszystkich Madiów, pakunków i połowy Zanzibarczyków.

D. 30 lipca we wsi Mabengu zauważyliśmy pod zachód słońca niezmierną ilość nietoperzów, zwanych w języku Kizahelów „Popo”.

31 lipca dotarliśmy do wsi Avisibba, znanej z oporu, na jaki oddział nasz natrafił tu w roku ubiegłym, jakoteż z fatalnych klęsk, jakie zadały użyte przy walce strzały zatrute. W jednej z chat znaleźliśmy koniec jednej z naszych lasek namiotowych, obwinięty starannie w liście tudzież mały kawałek kapy z gilzy od naboju, kawałek zielonego aksamitu od skrzyneczki z instrumentami doktora, tudzież gilzę mosiężną od naboju Remingtona. Pakiet ten wisiał u jednego z dachów i był zapewne fetyszem.

W innej chacie znaleźliśmy kołnierzyk, złożony z pierścieni żelaznych i dziesięć niewystrzelonych naboju. Ostatnie należały zapewne do jednego z naszych nieszczęśliwych zbiegów, którego ciało ugotowane zostało w garnku nad ogniskiem i służyło zapewne za obiad familijny. Później znaleźliśmy starą bluzę, co domysł nasz czyniło jeszcze podobniejszym do prawdy.

Wkrótce po przybyciu do wsi, zobaczyliśmy zbliżającą się dziewczynkę nagą, która zadziwiła nas przemówieniem w języku Zanzibarczyków.

— Czy to prawda? mówiła. Usłyszałam w kryjówce wystrzał karabinów i mówiłam sobie, że to pewnie moi rodacy; pójdę i odszukam ich, bo dzicy nie mają karabinów.

Mała powiedziała, że nazywa się „Hatuna - mgini” (t. j. nie mamy innego) i powiedziała, że ją i pięć kobiet dorosłych zostawił tu Ugarrowwa, ponieważ były chore; wkrótce po jego odjeździe wpadli krajowcy i zamordowali pięć kobiet, ale ona zdołała umknąć i ukryć się. Od tego czasu pozostała w kryjówce i żywiła się surowymi dzikimi owocami, a w nocy zbierała banany, które jadła niegotowane, bo nie mogła rozniecić ognia. Ugarrowwa stoczył z Avisibbami bitwę, w której wielu z nich wymordował. Zatrzymał się tu pięć dni celem zgromadzenia żywności, odjechał już przeszło przed dziesięciu dniami.

W kilkanaście godzin później przybyliśmy do obozu nawprost wyspy, zamieszkałej przez rybaków Bapkija. Tu z łodzi wyniesiono karabiny, a płynącym na kanoe polecono płynąć wzdłuż lewego ramienia rzeki. Podczas gdy oddział lądowy był zajęty dźwiganiem pakunków, większa część łodzi wołała płynąć wzdłuż brzegu prawego, co przyprowadziło nas o stratę jednego z przewodników zanzibarskich, pięciu Madich i kanoe. Dwa inne kanoe przewróciły się, ale je odszukano. Jednego z Zanzibarczyków, Seli-



ma, prąd wody uderzył o skały tak mocno, że przez miesiąc nie mógł chodzić.

Około godz. 5ej przybyliśmy do wodospadów Panga, gdzie pozostawiwszy mały oddział dla obrony łodzi, rozbiliśmy obóz poniżej katarakt. Tu oddział lądowy znalazł trochę kukurydzy, którą zmielono i dano mi na kolację zupę z niej.

Deszcz nocny przeszkadzał nam w pracy, ale nazajutrz, d. 5go lipca, flotylla nasza, złożona z 19 łodzi, stanęła szczęśliwie poniżej wodospadów.

Krajowcy z Panga ukryli się wraz z kozami, kurami i całym mieniem na jednej z wysp w pobliżu brzegu prawego, ale w sieciach, pozostawionych przez nich w rzece, znaleźliśmy wielkie piękne ryby. Krajowcy znajdowali się w miejscu bezpiecznym, ponieważ ludzie, mający co innego do czynienia, nie zadawaliby sobie trudu w napaśtowaniu ich; ale sami okazywali, że chcą zawrzeć przyjaźń z nami, bowiem lali sobie wodę na głowę, i zwilżali nią swoje ciało, poczem kilku naszych ludzi zbliżyło się do ich wyspy i odpowiedziało temi samymi znakami. Zuchwali krajowcy rzucili się wówczas wprost przez wodospady, a jednemu z nich udało się podejść do jednego z naszych i pchnąć go w plecy.

Nazajutrz odpoczywaliśmy. Oddział 40 ludzi poszedł po żywność i wrócił z nią wieczorem, ale jeden Madi otrzymał przytem ranę w plecy.

W Mambanga na prawym brzegu znaleźliśmy nazajutrz dość duży zapas żywności, ale Zanzibarczyk Djaliffi otrzymał od strzały ranę w piersi, co uczyniło go niezdolnym do służby przez dwa miesiące.

W następnej wsi, Mugwje czyli Mijui, zaszła wielka zmiana. Wszystkie chaty były spalone, plantacye fig, wycięte a w miejscu, gdzie odpoczywaliśmy w Mugwje, znajdował się olbrzymi obóz. Sądząc, że jest tam Ugarrowwa, strze-

liliśmy, a nie otrzymawszy odpowiedzi, poszliśmy na brzeg lewy do dawnego obozu, gdzie Stairs wyciął na pniu datę „31 lipca” (1887), jako znak dla majora.

W obozie znaleźliśmy zwłoki kobiety z oddziału Ugarrowwy, zabitej niedawno, umyte i ułożone tuż nad wodą, obok około 300 pęków tig, dwa garnki i kanoe, mogące unieść pięć osób. Widocznie, że wskutek strzału zbiegł oddział krajowców i pozostawił przygotowaną już ucztę.

Wysłałem oddział na drugą stronę rzeki i dowiedziałem się, że tego samego dnia odpłynął oddział Ugarrowwy. Żałowałem tego, bo chciałem dowiedzieć się, czy nie ma wieści z dolnego biegu rzeki, tudzież prosić go, aby nie niszczył kraju, ponieważ przyszłe karawany będą wskutek tego wiele cierpiały.

D. 10 sierpnia oddałem Raszydowi komendę nad 35 najdzielniejszymi ludźmi i poleciłem mu, by szedł naszą dawną drogą wzdłuż rzeki, zaś ja popłynę łodzią wdół rzeki i zatrzymam się dopiero przy wodospadach ós, gdzie bezwątpienia dogonimy Ugarrowwę i zaczekamy na Raszyda.

Wyruszyliśmy rano o godz. 6 m. 40 i już około 11ej byliśmy w pobliżu wodospadów ós. Już zdaleka ujrzeliśmy na prawym brzegu olbrzymi obóz, a wkrótce potem dostrzeżliśmy biało ubranych ludzi, poruszających się w krzakach. Zbliżywszy się do nich na odległość strzału, daliśmy kilka salw, i wywiesiliśmy naszą flagę, na co w tej chwili odpowiedziano hukami ciężko ładowanych karabinów na znak, że nas poznano. Wkrótce potem od prawego brzegu odbiło kilka łodzi, zbliżyły się do nas, przyczem wołano do nas w języku Suahelów. Po wymianie zwykłych komplementów pytaliśmy o nowości, ale ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że posłańcy, którzy odeszli od nas przed sześciu miesiącami, znajdowali się w obozie Ugarrowwy. Posłańcy opuścili por. Stairsa na stacyi Ugarrowwy d. 16 marca i w 17 dni, tj. d. 1 kwietnia,

przybyli do wodospadu ós, gdzie ze stratą 4 ludzi zostali odparci. Widząc, że nie zdołają przedrzeć się przez szeregi nieprzyjacielskie, wrócili do stacyi Ugarrowwy, dokąd przybyli d. 26 kwietnia i oddali się pod opiekę Araba. Zgromadziwszy swoich ludzi z innych stacyj, w miesiąc później Ugarrowwa puścił się w dół Ituri, w towarzystwie posłańców i po 76 dniowej podróży, d. 9 kwietnia, przybył do wodospadów ós. Czas ten wystarczył nam na przybycie od jeziora Alberta.

Rezbiwszy obóz na przeciwległym brzegu w opuszczonej wsi Baudeja naprzeciw chat Ugarrowwy, przyjęliśmy odwiedziny pozostałych przy życiu posłańców, którzy przybyli w towarzystwie Ugarrowwy i jego naczelników. Wśród ogólnej ciszy przewodnik posłańców opowiadał swoją tragiczną historię:

— Panie, kiedy wołałeś, aby przesłać listy do majora, wtedy nie było ani jednego pomiędzy nami, któryby nie chciał uczynić wszystko, coby tylko mógł, ponieważ wiedzieliśmy, że wszyscy otrzymamy wysoką nagrodę i wielki honor, jeżeli dopniemy celu. Czyniliśmy, co mogliśmy, ale wszystko na próżno. Straciliśmy w ten sposób nie tylko nagrodę, ale i zaszczyt. Na najlepszą nagrodę z rąk twoich, panie, zasłużyli ci, co poszli z tobą do jeziora i szczytć się mogą, że oglądali baszę twarzą w twarz. Ale jeżeli nie udało się nam dotrzeć do majora i serce jego pocieszyć dobrmi wiadomościami, jakie mieliśmy przynieść, to Bogu wiadomo, że nie jest to wina nasza. Straciliśmy czterech z naszego grona, a ja jestem jedyny, który w czasie podróży nie otrzymał ani jednej rany. Mamy dwu ludzi, którzy żyją jeszcze, ale z powodu trucizny we krwi są nieuleczalni. Niektórzy z nas mogą pokazać ci, panie, po pięć ran od strzał.

Aż do Avisibba szliśmy wzdłuż rzeki prawie bez przeszkody, ale ztąd rozpoczęła się krwawa praca. W Engwedde raniono dwu; a przy wodospadach Panga raniono

trzech strzałami bardzo ciężko. Pomiędzy wodospadami Panga a ós trwała walka dzień i noc; krajowcy wiedzieli dobrze o naszej liczbie i zaczepiali nas we dnie i w nocy, jakby postanowili wytepić nas do szczętu. Dlaczego nastawali tak na nas, skoro byli takimi tchórzami wówczas, kiedy szliśmy z tobą, panie, w górę rzeki, powiedzieć nie umiem, ale być może, że nasi zbiegowie, którzy uciekali dawniej w dół rzeki, pozwolili dzikim pokosztować krwi Zanzibarczyków, a dzicy sądzą, że co udało im się z tamtymi, to uda się i z nami.

Ale kiedy przybyliśmy do wsi, w której Ty, panie, teraz jesteś, już tylko 11 z nas było zdolnych do czegoś, reszta była ranna, a jeden bez ratunku. Zaledwie przybyliśmy do tej wsi, a bitwa zaczęła się nanowo. Mieszkańcy wielkiej wsi z przeciwnego brzegu połączyli się z mieszkańcami z Bandeja, rzeka roila się od kanoe, a około wsi od ludzi. Po całogodzinnej walce, wśród której musiało być wielu zabitych nad rzeką, bo tam cisnęli się kupą, pozostawiono nas w spokoju. Skorzystaliśmy z czasu, aby obwarować chaty, które wybraliśmy na kwatery dla siebie.

Kiedy się ściemniło, jak zwykle, ustawiliśmy strażę, tak jak to radziłeś nam ty, panie, porucznik Stairs i Ugarowwa, ale zużone pracą i kłopotami strażę zapewne usnęły, bo dowiedzieliśmy się najprzód, że krajowcy zniszczyli naszą „Seribę” i w darli się do obozu, a kiedy zbudził nas krzyk jednego z naszych, którego zabito oszczepem, ujrzelśmy się wśród krajowców. Każdy z nas chwycił karabin i strzelał do najbliższego, tak że u stóp naszych padło sześciu zabitych. To osłabiło ich na chwilę, ale znów usłyszeliśmy głos naczelnika: Ci ludzie zbiegli od Bula Matari, ani jeden z nich nie może pozostać przy życiu. Potem zbliżyli się do nas w zbitych szeregach, oświetlonych błyskiem naszych karabinów, i od rzeki i od

gąszczy, a liczba ich była tak wielka, że nawet najodważniejsi z nas zadrżeli przez chwilę. Ale Lakkin, który nigdy nie dowcipkuje tak, jak wówczas, kiedy jest w biedzie, zawołał: „Ci ludzie przyszli po mięso, dajcie im je, ale ich własne.” Ranni i wszyscy chwycili karabiny i mierzyli, jakby strzelali do tarczy. Ilu krajowców padło, powiedzieć nie mogę, ale kiedy nabojów zaczęło nam brakować, uciekli i pozwolili policzyć nam poległych. Dwóch z pośród nas nie odpowiadało na wołanie ich imion, trzeci, Djuma, syn Nassiba, odezwał się do mnie, a kiedy zbliżyłem się do niego, już dogorywał. Miał jeszcze tyle siły, że wzywał mnie, abym zaniechał wyprawy: Wracajcie — mówił — mówię do was ostatnie słowa. Wracajcie. Do majora nie dojdziecie, dlatego wracajcie do Ugarrowwy.” Powiedziawszy to, padł martwy.

Nazajutrz rano pogrzebaliśmy własnych ludzi, i około Seriby znaleźliśmy 9 zabitych krajowców, wewnątrz niej zaś sześciu. Odcięliśmy im głowy, pozbieraliśmy je na jedną kupę i radziliśmy, co czynić mamy. Było nas przy życiu jeszcze 17, ale tylko czterej nie byli ranni. Ostatnie słowa Djumy brzmiały nam w uszach jak przestroga, postanowiliśmy więc powrócić do Ugarrowwy. Było to łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Nie będę nudził ciebie, panie, szczegółami; natrafialiśmy bezustanku na trudności. Ci, którzy ranni byli dawniej, otrzymywali nowe rany, a ci co nie byli ranni, ran nie uszli, prócz mnie jednego, który dzięki Bogu, wyszedłem cało. Łódź przewróciła się, straciliśmy pięć karabinów. Ismailego zastrzelono przy wodospadach Panga. Ale poco mam opowiadać to, co raz już opowiedziałem. Pozostało nas żywych tylko 16, a z tych 15 było rannych. Niechaj bliźni tych ran opowiedzą ci resztę, panie. Jesteśmy wszyscy w rękę Boga i twojem. Uczynź z nami, co uważasz za dobre. Ja skończyłem opowiadanie.

Oczy tych, którzy opowiadania tego słuchali poraz pierwszy, nie pozostały suche. Wielu z nas splotywały po twarzy strumienie łez, wielu lkało głośno. Kiedy mówca skończył, wszyscy nie czekając na mój wyrok, rzucili się na niego, podawali mu ręce, wszyscy ze łzą w oku wołali: „Bogu dzięki! Bogu dzięki! Byliście dzielni, tak, daliście prawdziwy dowód dzielności”.

W ten sposób witaliśmy posłańców, których losem myśl nasza zajmowała się zawsze od chwili wymarszu z fortu Bodo. Misya ich zupełnie się nie udała, ale nie mogliśmy uszanować lepiej, chociażby nawet powrócili z listami od majora.

Opowiadanie ich zbudziło litość także i u Ugarrowwy, który okazał im gościnność. Rany ich wygoili się, a tylko u dwóch były ciężkie. Jeden z nich wyzdrowiał po upływie dwu miesięcy, drugi słabnął ustawicznie, aż nareszcie umarł.

W obozie Ugarrowwy znaleźliśmy trzech zbiegów naszych i dwu rekonwalescentów, którzy w chwili wymarszu Stairsa znajdowali się na wyprawie po żywność. Jeden ze zbiegów znikł był ze skrzynią amunicji, drugi z pakietem butów dla Emina baszy i kilku par moich. Obaj wsiedli na małe kanoe, które naturalnie przewróciło się, a oni kilka razy ledwo życie uratowali, zanim przybyli do Ugarrowwy. Wydano ich Stairsowi, jako jeńców, ale w kilka dni później uciekli znów do Ugarrowwy, od którego zażądałem obecnie wydania ich. Dwaj z nich poprawili się bardzo, trzeci padł w kilka tygodni później ofiarą gorączki, wśród której ataku wyrwał się z rąk przyjaciół, wskoczył do rzeki i utonął.

Ugarrowwa był bardzo uprzejmy, ponieważ wyczerpywały się już jego zapasy prochu; ofiarował mi w darze cztery kozy, cztery wory ryżu i trzy wielkie kanoe. Jak łatwo wyobrazić sobie, kozy i ryż były nam bardzo pożą-

dańe, a tak samo i kanoe nie były darem do pogardzenia, ponieważ szybkość podróży w dół rzeki będę mógł obecnie potroić, gdyż przy pomocy naszych dotychczasowych kanoe będę mógł spławić po rzece całą wyprawę, tj. 130 zbrojnych, służbę i towarzyszy, tudzież Madiów i pakunki.

Ani od posłańców ani od Ugarrowwy nie mogłem zasięgnąć wiadomości o oddziale Barttelota. Otrzymałem tu pismo do majora, które w listopadzie r. z. dałem Ugarrowwie celem przesłania go przez jego posłańców, a tak samo listy od moich własnych posłów. Ugarrowwa wysłał 45 ludzi w dół rzeki, lecz ci byli zmuszeni powrócić z pod Manginni, tj. z połowy drogi pomiędzy wodospadami ós a Mijui.

Pomiędzy zwróconymi przez Ugarrowwę listami, znajdował się także otwarty, a wielce dowcipny list Doktora do Barttelota, wysłany z fortu Bodo, 15 lutego r. 1888.

Nazajutrz odpoczywaliśmy. Raszyd przybył ze swoim oddziałem lądowym dopiero o godz. 2 d. 11 sierpnia. Prąd rzeki uniósł naszą flotyllę w przeciagu 5 godzin, zaś oni potrzebowali na to 15 godzin marszu. Przeniósłszy kanoe przez wodospady, wsiedliśmy na łodzie w południe d. 12 sierpnia i popłynęliśmy w dół. W drodze spotkaliśmy rekognoskujący oddział Ugarrowwy, płynący w górę rzeki; opowiadano nam dziwne rzeczy o sile, dzikości i zuchwałości krajowców z Batundu. W dwie godziny później bębny Batundów zapowiadały nasze zbliżanie się, ale skoro kanoe ich zbliżyły się, by policzyć nasze łodzie, cofnęły się natychmiast spokojnie, tak że mogliśmy swobodnie zając ich główną wieś i noc przespać.

D. 16 sierpnia zatrzymaliśmy się na noc na wielkiej wyspie, w której było tyle chat, że mogły pomieścić 2000 osób. Oba brzegi rzeki były wyludnione, lecz nikt nie umiał wytłomaczyć nam przyczyny tego opustoszenia. Sądziłem w pierwszej chwili, że to nasze zbliżanie się wsie

wyludniało; ale ponieważ krajowcy zajmowali wsie jeszcze przed wyjazdem ariergardy, wnosiliśmy, że była tu mordercza wojna domowa.

Był to już 83 dzień od chwili wymarszu od jeziora Alberta, a 60 od chwili opuszczenia fortu Bodo. Z nagich Madich straciliśmy połowę, ale z zahartowanych, zaaklimatyzowanych Zanzibarczyków tylko trzech, a mianowicie dwaj utonęli, a trzeci znikł po napadzie szaleństwa. Przebyliśmy 900 kilom. a mieliśmy przed sobą do Jambuja jeszcze 145 km., a mimo to nie słyszeliśmy nic jeszcze o naszych przyjaciółach i towarzyszach z oddziału Bartelota.

W zwykłej godzinie wsiedliśmy d. 17 sierpnia na łódzie i popłynęliśmy dalej. Był to poranek pochmurny. Przejeżdżając obok dystryktu Bunganeta, zauważyliśmy, że spustoszenie nie ogranicza się na nim, lecz że tego samego losu doznała Makubana, a kiedy wkrótce potem zauważyliśmy potężny łuk rzeki pod Banalja, po obu stronach tak gęsto zaludniony, przekonaliśmy się, że i ten dystrykt nie uniknął spustoszenia. Ale o godz. 9<sup>3</sup>/<sub>4</sub> widzieliśmy przez mgłę, że dalej w bok leżała wieś, która prawdopodobnie tworzyła granicę zniszczenia. Zbliżając się do niego, zauważyliśmy silne ogrodzenie, podczas gdy krajowcy w r. 1887-ym uważali się tu za zanadto potężnych, aby potrzebowali takiego obwarowania. Wkrótce spostrzegliśmy białe ubrania, a patrząc przez lunetę, dojrzałem czerwony sztandar. Lekki powiew wiatru odsłonił mi na sztandarze biały księżyc i gwiazdę. Podskoczyłem i zawołałem:

— Major, chłopcy, dalej do wiosel!

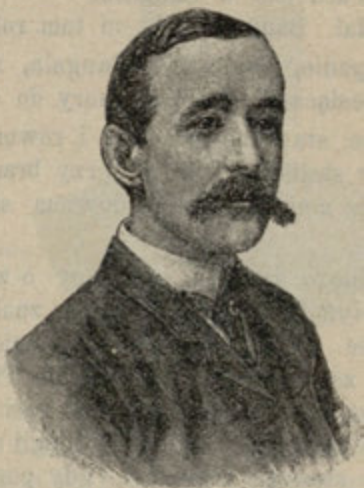
Głośny okrzyk: hurrah towarzyszył moim słowom: Kanoë popłynęły w dół z szaloną szybkością.



W odległości 180 m., od wsi usłyszeliśmy wiosłowanie, a ponieważ na brzegu widziałem wielką liczbę obcych ludzi, spytałem.

— A czyi wy ludzie?

— Stanleya, odpowiedziano z brzegu w języku Kizuahelów. Upewnieni tem, a jeszcze więcej widokiem europejczyka u bramy, wiosłowaliśmy szybko do brzegu.



J. Jameson.

Europejczykiem owym był p. William Bonny, którego przyjąłem jako asystenta Doktora dla wyprawy.

Podając mu rękę, spytałem:

— No, Bonny, co słyhać u was? Gdzie major? może chory?

— Major nie żyje, mój panie.

— Nie żyje! Boże wielki! Na co umarł? Na gorączkę?

- Nie, panie, został zastrzelony.
- Przez kogo?
- Przez Manjemów — ludzi Tippu-Tiba.
- Boże dobry! Gdzie Jameson?
- W Stanley-Fall.
- Na miłość Boską, co on tam robi?
- Poszedł tam po tragarzy.
- Gdzież pan Ward, albo Troup?
- Pan Ward jest w Bangala.
- Bangala! Bangala! Co on tam robić może?
- Tak, panie, on jest w Bangala, a p. Troup już przed kilku miesiącami powrócił chory do domu.

Pytania te, stawiane prędko, i również szybko odpowiedziane, gdy staliśmy jeszcze przy bramie nad wodą, przygotowywały mnie na to, że dowiem się historii bardzo smutnej.

Mimo jasnego raportu p. Bonny o zaszłych tamże wypadkach, upłynęło wiele dni, zanim znalazłem czas na przestudyowanie szczegółów i zrozumienie wszystkiego. Obcy, których zauważyłem, należeli do Tippu-Tiba i ciśnęli się do nas, aby nas powitać, zaś nasi ludzie, którzy szybko wraz z pakunkami z łodzi i biegli do wąskiej bramy, krzycząc i skacząc z radości, gdy poznawali przyjaciół, albo wyli ze smutku, tak że obóz pod Baalja zamienili na scenę nad wyraz hałaśliwą.

Wyobraźmy sobie, że pakunki złożono, łodzie przywiązano do palów u brzegu, że powitania ukończono, że Zanzibarczycy usunęli się na bok, aby odwiedzić dawnych przyjaciół i wymienić nowiny, że pozostali przy życiu Sudańczycy i Zanzibarczycy dziękowali najserdeczniej, iż przybyliśmy nareszcie, że czytaliśmy szybko przybyte listy, że wkrótce napisaliśmy listy, jeden do Tippu-Tiba, a drugi do komitetu ratunkowego, aby przez posłańców

posłać je do Stanley-Fall — a będziemy wolni dla wysłuchania historii oddziału Barttelota, jak doszła do nas ze sprawozdań ustnych i pisemnych, p. Bonny'ego, tudzież



Major Barttelot.

z opowiadań żołnierzy sudańskich i Zanzibarczyków, i możemy osądzić, o ile fakta od tego, cośmy się spodziewali, odbiegały, albo z tem się zgadzały.

---

## ROZDZIAŁ XX.

---

Najwybitniejszymi charakterami w poniższym opowiadaniu są:

1. Tippu-Tib, alias szejik Hamed ben Mohammed, urodzony na wybrzeżu wschodnio-afrykańskim, pochodzenia arabskiego. Pod rozkazami swojemi ma tysiące ludzi, jest słynnym handlarzem niewolników i posiada namiętność ustawicznego rozszerzania swoich zdobyczy i swego handlu kością słoniową i niewolnikami. Kiedy układał plany wojny przeciw niedawno w Afryce utworzonemu i znajdującemu się jeszcze w powijakach państwu, dał namówić się do zawarcia traktatu, na mocy którego miał swoje łupieżcze wyprawy ograniczyć do linii oznaczonej, a w końcu 600 tragarzy użyć na usługi wyprawy, której celem było uwolnienie czcigodnego gubernatora, oblężonego przez licznych nieprzyjaciół na północnym krańcu jeziora Alberta.

Okazując oficerom wyprawy najlepsze chęci i udzielając im gościnności, stara się zwlec wykonanie postano-

wień uroczystego kontraktu, i upływają miesiące, zanim on przystępuje do poczynienia kroków około zadanie uchylenia swoim obowiązkom. W końcu, kiedy oficerowie drażnią go uporczywymi prośbami, odbywa podróż przeszło na 1000 km., zbiera tragarzy i po jedenastomiesięcznym systematycznym zwlekaniu oddaje ich swoim białym przyjaciółom. Ale w kilka miesięcy później następuje katastrofa: jeden z przewodników tragarzy, Sanga, wymierza karabin przeciwko naczelnemu komendantowi i zabija go.

2) Major Edmund Musgrave Parrettelot, odważny, rycerski, młody oficer angielski, który odznaczył się dzielnością i wypełnianiem obowiązków w Afganistanie i nad Nilem sudańskim. Jego stopień i dawne doświadczenie w komendzie nad ludźmi uprawniały go do nominacji na dowódcę ariergardy. Polecono mu, aby aż do chwili przybycia oddziału tragarzy pod rozkazami oficerów podwładnych, panów Warda, Troupa i Bonny'ego, pozostał w Jambuja. Jeżeli Tippu Tib przybędzie w dniu oznaczonym, albo prędzej, nie ma tracić czasu i iść śladem awangardy, która wyszła przed nim na jakie siedm tygodni. Jeżeli w czasie, kiedy kontyngens z Bolobo dotrze do Jambuja, Tippu Tib nie przybędzie, ma z własnym oddziałem około 210 tragarzy posuwać się zwolna naprzód i czynić powtórne marsze naprzód i z powrotem od jednego obozu do drugiego, dopóki nie przeniesie wszystkich ważniejszych przedmiotów. Jego uznaniu pozostawiono wybór przedmiotów, których ma pozbyć się, aby mógł maszerować swobodniej; artykuły, jakie może odrzucić, wskazano mu. Mówi, że instrukcje są jasne i zrozumiałe; zapewnia, że nie będzie czekał dłużej, jak do chwili przybycia ludzi z Bolobo do Jambuja; przekonywa nas wszystkich, że jest człowiekiem energicznym, stanowczym i czyn-

nym, i że nie potrzebujemy kłopotać się o zachowanie się ariergardy. Każdy list i każdy raport jego każą domyślać się, że jest on przepelniony lojalnością i gotowością do czynu.

3) Młody cywilny, James Sligo Jameson, człowiek bogaty, z namiętnością do studyów przyrodniczych, okazujący braterskie przywiązanie do swego przyjaciela, majora, mianowany drugim komendantem ariergardy. Mówią o nim, „jego pośpiech, dzielność i gotowość do czynu są nieograniczone“, co przyjaciel jego, major, proponuje, p. Jameson z gotowością przyjmuje; ma pretensję do doświadczenia i sądzenia o rzeczach wskutek dawnych, pełnych przygód podróży po kraju Maskonów i Matebele. Umiera już w cztery tygodnie po zamordowaniu przyjaciela, wyczerpany przez gorączkę i trudy.

Wkońcu przybywają tu trzech młodzi Anglicy, przydzieleni do sztabu majora, a z tych dwaj, pp. Herbert Ward i Troup, mieli pomagać komendantowi przy zastanowieniu się nad każdym ważniejszym krokiem: żadne ważniejsze postanowienie nie ma być powzięte bez zasięgnięcia rady tych czterech mężów. Są zatem wszyscy odpowiedzialni za następstwa każdego postanowienia i za każdy krok, przez komendanta uczyniony. Nie są chłopcami, którzy przed chwilą wyszli dopiero ze szkoły i niedawno wypuszczeni zostali z pod opieki rodziców, ale ludźmi dojrzałymi, którzy odbywali już podróże. P. Herbert Ward służył na Borneo, w Nowej Zelandyi i w Kongo; jest roztropny, inteligentny i dzielny. P. John Rose Troup służył również pod moimi rozkazami w Państwie Kongo i w moim opisie tegoż założenia został wspomniany jako oficer pilny i skrzętny. P. William Bonny służył w wyprawie przeciw Zulusom i nad Nilem, żył przez kilka lat w Ameryce i, zdaje się, jest człowiekiem poważnym i wszystko dobrze widzącym.

Tu kryje się niewyjaśniona tajemnica. Pożegnaliśmy się z nimi z najgorętszemi uczuciami wzajemnemi, a nawet z wzajemną skłonnością, daliśmy sobie nawzajem słowo: „Nie obawiaj się pan, mówili; będziemy z radością i lojalnie pracowali i będziemy starali się iść naprzód.” Wierzymy im i zobowiązujemy się nawzajem przez podanie dłoni.

Powróciwszy od Emina baszy, dowiadujemy się z raportu majora Barttelota następujących faktów zadziwiających:

1. „Krażą ustawicznie pogłoski, które jednak co do p. Stanleya są rzadko nieprawdziwe. Ja jestem przekonany, że on nie zginął. Byłem zmuszony otworzyć skrzynię p. Stanleya, ponieważ nie mogę nieść wszystkich rzeczy jego“.

Odsyła całą moją garderobę, szkice i mapy, rezerwowe zapasy lekarstw, chemkaliów do fotografowania i rezerwowe płyty negatywne, sprężyny do karabinów Winchestera i Remingtona, ważne części namiotów i całe moje zapasy żywności z powrotem do Bangala. Naraża mnie na zupełną nagość; jestem tak ubogi, że czuję się zmuszonym pożyczyć parę spodni od pana Bonny'ego, drugą wykrajać ze starej, białej kołdry wełnianej, znajdującej się w posiadaniu zbiega, trzecią zaś z zasłony mego namiotu. Ale pp. Jameson, Troup i Ward są obecni, zgadzają się na to i pomagają; dwaj ostatni otrzymują pensję, kiedy przedstawią swoje rachunki nie strąca im ani grosza, a prócz tego otrzymają hojne wynagrodzenie nadzwyczajne, dadzą im bowiem wolny przejazd do domu pierwszą klasą.

2. „Są tu jeszcze czterej Sudańczycy i 29 Zanzi-barczyków, którzy nie są w stanie wyruszyć razem“.

„Posłano mu (p. Stanleyowi) jeszcze dwie skrzynie Madeiry. Jedną odesłałem z powrotem“ — tj. w dół rzeki Kongo. Dalej przygotowuje on doborowy zbiór konfi-

tur z owoców, sardynek, śledzi, mąki pszennej, sago, tapioki, arrowroot itd. i pakuje go na parowiec, którym p. Troup odjeżdża do domu. A przecież w obozie umiera 33 ludzi. Należy przypuszczać, że inni panowie zgodzili się także i na to.

3. „Pójdę dalej do Wandelai, aby dowiedzieć się od Emina baszy, jeżeli on tam jeszcze się znajduje, czy posiada wiadomości o Stanleyu, tudzież jakie ma zamiary, zostać czy, iść. Nie potrzebuję mówić panu, że wyteżymy wszelkie usiłowania, aby poszukiwanie, jakie przedsięwziąć zamierzamy, było pomyślne. Może potrzebuje amunicyi, aby posuwać się naprzód o ile własnej, a w takim razie będę prawdopodobnie w stanie zaopatrzyć go w nią.“

D. 14 sierpnia p. John Rose Troup oddał majorowi Barttelotowi 129 skrzyni naboju Remingtona, oprócz owych 29, które pozostawiłem w Jambuja. W tych 158 skrzyniach znajduje się 80,000 naboju. Do d. 9 czerwca zapasy te zmniejszyły się do 35,580 naboju, chociaż nie odbył się ani jeden marsz, ani jedna bitwa. Zmniejszyły się w sposób niepojęty w ciągu 11 miesięcy życia obozowego, tak że ariergarda posiada tylko tyle amunicyi, że wojska Emina baszy otrzymują tylko po 50 naboju na każdy karabin, jaki posiadają. Znikła połowa prochu strzelniczego i więcej, niż dwie trzecie sztuk sukna. Chociaż w Jambuja znajdowało się początkowo 300,000 kapiszonów, to przecież uznano za stosowne kupić je od Tippu Tiba za 48 funtów szterl.

4. „Towary, jakich nie zabierzemy, mają być odesłane do Bangala. Odesłane zostaną 8 czerwca 1888 parowcem, na co p. van Kerckhoven wyda kwit, potwierdzający odbiór, jaki odesłany będzie panu wraz z instrukcją dla niego i p. Warda. Może będzie pan tak łaskaw, odnośne rozporządzenia co do transportu towarów i dwu zakupionych łodzi wydać przez p. Warda, jest powiem pra-



wie pewne, że nie powrócę tą samą drogą i dlatego nie będę potrzebował ani ich, ani jego.“

P. Ward został wysłany w dół rzeki, aby zatelegrafować do komitetu po instrukcyje i sądzono, że on sam przywiezie te insrtukcyje z wybrzeża. Tu major znów mówi, że go już nie potrzebuje. Pisał także do kap. van Kerckhoven w Bangala, aby nie pozwolił Wardowi jechać w górę rzeki przez Bangala. W ostatnim ustępie listu, pisanego przez p. Jamesona do p. Bonny'ego, znajduję odwołanie się na tę zmianę.

5. Ariergarda, w chwili, kiedy d. 28 czerwca r. 1887 opuszczaliśmy Jambuja, składała się z 271 ludzi podwładnych.

W październiku r. 1887, wedle listu majora, zmniejszyła się do 246 ludzi.

D. 4 czerwca 1888 oddział składał się tylko z 135 ludzi, mimo to, że przebywał ciągle w tym samym obozie.

D. 17 sierpnia 1888 żądam od p. Bonny'ego, który w owym czasie był jedynym komendantem, urzędowego raportu o liczbie pozostałych przy oddziale ludzi, a on wręczył mi wykaz następujący:

Lista pozostawionych przez p. Stanleya w Bolobo i Jambuja Zanzibarczyków, wraz z 11 odszukanymi zbiegami z awangardy:

78 zmarłych

26 zbiegów

10 ludzi przy p. Jamesonie w Bangala

29 chorych, pozostawionych w Jambuja

5 chorych, pozostawionych w drodze

75 obecnych d. 17 sierpnia r. 1888 w Banalja

---

223

Wykaz pozostałych w Jambuja Sudańczyków, Somalów i Syryjczyków:

- 21 zmarłych
- 1 zabity przez krajowców
- 1 stracony na rozkaz majora Barttelota
- 3 wysłani do Egiptu
- 4 chorzy pozostawieni w Jambuja
- 1 chory, powierzony opiece Państwa Kongo
- 22 obecnych w Banalja d. 17 sierpnia 1888

53

223

276.

Wykaz oficerów angielskich, pozostawionych przez p. Stanleya w Bolobo i Jambuja:

- 1 John Rose Troup, odesłany do domu jako chory
- 1 Herbert Ward, wysłany przez majora w dół rzeki
- 1 James P. Jameson, pojechał w dół Kongo
- 1 Edmund M. Barttelot, major, zamordowany,
- 1 William Bonny, obecny w Jambuja d. 17, 8, 1888

5

276

281

11 zbiegów z awangardy

270

1 błąd

271.

Zmarli:

- 78 Zauzibarczyków zmarło
- 29 pozostało chorych w Jambuja
- 4     "     "     "
- 5 chorych zostawiono w drodze
- 21 Sudańczyków zmarło
- 1 zabity przez krajowców
- 1 stracony

139.

6. Parowiec „Stanley“ przybył do Jambuja d. 14 sierpnia, na kilka tylko dni przez datą, wspomnianą w instrukcyi: d. 17 parowiec odpłynie do swej stacji w Leopoldville i w ten sposób przetnie wszelką komunikację z wyprawą. Urzędnicy państwa Kongo postępowali lojalnie stosownie do przyrzeczenia, danego przez ich władzę. Ariergarda winna zatem przygotować się do marszu i zwolna, ale stale iść naszym śladem, ponieważ, jak przewidziano i jak się stało, Tippu Tib nie przybył i nie przybędzie.

Zwracam się do p. Bonny'ego i pytam:

— Czy nie pragnęliście gorąco wszyscy panowie przystąpić do dzieła?

— Tak, panie.

— Nie mieliście ochoty wyruszać z Jambuja?

— Tak, panie.

— Nie żywiście wszyscy pragnienia maszerować naprzód?

— Sądzę, że tak, panie.

— A więc, panie Bonny, jeżeli prawdą jest, że wszyscy życzyliście sobie tego gorąco, aby iść naprzód, powiedz mi pan, dlaczego nie wpadliście na jaki lepszy pomysł, zamiast podróżować ustawicznie pomiędzy Jambuja a Stanley-Fall i z powrotem?

— Tego naprawdę nie wiem. Nie byłem komendantem, i jak pan sobie przypomni, w instrukcyi nie wymieniłeś pan nawet mego nazwiska.

— To prawda, i przepraszam za to. Ale dlatego, że nie wymieniłem pańskiego nazwiska, pan z pewnością nie milczałeś, nieprawda? Pan, jako oficer wyprawy, pobierający pensję?

— Nie, panie. Często mówiłem.

— Inni także?

— Tego nie wiem, panie.

Bliższego wyjaśnienia nigdy zdobyć nie zdołałem, chociaż w chwilach wypoczynku sprawa ta była ustawicznym przedmiotem naszej rozmowy.

Kiedy w rok później znajdowaliśmy się w Usambiro, na południu jeziora Wiktorya, otrzymałem wycinek z gazety, zawierający odpis listu majora Barttelota z października r. 1887-go. W liście znajdował się ustęp: „Będziemy zmuszeni pozostać tu do listopada“ wiem jednak, że sądzili, iż muszą tam pozostać tam do 11 czerwca 1888. Przystępuję obecnie do listu majora Barttelota z d. 4-go czerwca 1888, w którym on mówi: „Uważam obecnie za swój obowiązek, dokonywać dzieła tego, a zamiar mój popierają zupełnie pp. Jameson i Bonny; pozostać tu jeszcze dłużej byłoby bezowocnem i karygodnem, ponieważ Tippu Tib nie ma wcale zamiaru pomagać nam dalej, a cofać się byłoby tchórzostwem; o ile jestem przekonany, sprzeciwiłoby się to życzeniu pańskiemu i komitetu“.

Patrzę do instrukcyi, i w ustępie 10-ym czytam.

„Może Tippu Tib przyszło zamało ludzi, tak że będziesz pan musiał kazać własnym ludziom nieść towary. W takim razie panu pozostawionym będzie wybór, bez jakich towarów będziesz się pan mógł obejść, aby być w stanie wyruszyć w pochód.

Ustęp 11. „Gdybyś pan mimoto nie mógł maszerować, naówczas lepiej będzie robić codziennie dwa marsze mniej więcej po 10 km., niż odrzucać zawiele przedmiotów na wypadek, gdybyś pan wolał iść naprzód, niż czekać na nasze przybycie“.

W Usambiro otrzymałem także odpowiedź komitetu na przesłany przez p. Warda z San Paolo de Loanda telegram majora Barttelota, w którym tenże prosił o udzielenie mu telegraficznie rady.

Major Barttelot, Kongos

Komitet odsyła pana do rozkazów Stanleya z d. 24 czerwca. Jeżeli stosownie do tego polecenia nie możesz pan jeszcze maszerować, pozostań, gdzie jesteś, i czekaj na przybycie Stanleya, lub dopóki nie odbierzesz od niego dalszych instrukcyj.

Komitet, przebywający w odległości przeszło 10,000 km. mógł natychmiast przeniknąć ducha instrukcyj, natomiast złożona z pięciu oficerów komisya w Jambuja nie mogła jej zrozumieć, chociaż przypuszczano, że każdy oficer będzie wolał pochód i zajęcie czynne, niż beczynne życie i nudne oczekiwanie w Jambuja.

P. William Bonny, o którego zdolnościach do objęcia poważnej odpowiedzialności nie było mi nic wiadomo, nie był wspomniany w instrukcyi.

Po powrocie do Banalja p. Bonny wręczył mi następujący rozkaz pisemny majora Barttelota:

„Obóz pod Jambuja, 22 kwietnia 1888.

Szan. Pani! Na wypadek mojej śmierci, stawiania przeszkód ze strony Arabów, lub mojej nieobecności w Jambuja z jakiegokolwiek powodu, obejmiesz pan komendę nad kompaniami Sudańczyków i Zanzibarczyków, jakoteż nadzór nad zapasami i budynkiem, w którym je złożono. Wszystkie rozkazy do Zanzibarczyków, Somalów i Sudańczyków wydawane będą tylko przez panów i tylko do nich. Rozdział sukna, matako (sztaby mosiężne) itd., pozostawiony jest pańskiemu uznaniu, jednakże używanie towarów wszelkich gatunków, winno być o ile możności jak najbardziej ograniczone. Winienesz się pan usilnie starać pospieszyć z pomocą panu Stanleyowi, uważać na towary i ludzi, i utrzymywać dobre stosunki pomiędzy panem a Arabami; wszystko i każdy, ktoby usiłował wedrzeć się

pomiędzy pana a te sprawy, musi być natychmiast usunięty.

Mam zaszczyt itd.

Major Edmund M. Barttelot".

Cóż pozostało do czynienia wiernemu Jamesonowi, „którego pośpiech, dzielność i gotowość do pracy są nieograniczone?” Gdzie jest wiele obiecujący, inteligentny i dzielny Ward? Jakie stanowisko pozostało dla systematycznego, pracowitego i pilnego p. Johna Rose Troupa? Pan Bonny został nagle mianowany komendantem straży tylnej na wypadek, gdyby majorowi Barttelotowi zdarzyło się jakie nieszczęście.

Początkowo obawiałem się, czy nie oszalałem. Gdy z pośród wszystkich ludzi sam usiłuję pogodzić te niewyjaśnione sprzeczności z tem, czem każdy z oficerów był przejęty, przekonywam się, że wszyscy mądrzy dziennikarze w Londynie byli innego zdania, niż ja. W cudownych zapiskach w dzienniku wyprawy czytam o szlachetnej pilności, o niez mordowanej pracy, o marszach w jedną stronę i drugą i o bezgranicznej cierpliwości. W urzędowym raporcie majora, w ostatnim smutnym liście p. Jamesona poznaję szczerą wolę, nieugięte postanowienie, prawdziwą lojalność, nieustrudzoną energię i wierność, oraz gotowość do ofiar, przewyższają wszelkie obliczenie kosztów. Skoro jednakże wszystko porównałem, nabrałem przekonania, że oficerowie w Jambuja widocznie zachowywali się obojętnie wobec instrukcyi, i że zapomnieli o przyrzeczeniach, a kiedy p. Bonny opowiadał, że jeden z nich na zgromadzeniu przy stole powstał i podał projekt, aby moje instrukcyje uznać za nieistniejące, a w przyszłości wykonywać plany majora Barttelota, naówczas najłagodniejszym wyrazem, jakim postępowanie takie nazwać można, byłoby, że byli obojętni wobec instrukcyj, które

napisałem wyłącznie dlatego, aby zadawałniać ich życzenie „marszu naprzód”.

Ale cobym dał za to, gdybym dnia 17 sierpnia r. 1887 go, kiedy to owych pięciu oficerów, zupełnie odciętych i oddalonych od cywilizacyi, zgromadziło się celem naradzenia się nad tem, co czynić mają, gdybym wówczas mógł być tam obecnym przez godzinę, aby przypomnieć im, że

Droga obowiązku jest zarazem drogą do sławy.

Co! Liczyć setki towarów! To głupstwo. Uważaj pan, to tak proste: Dziś znajduje się tu 200 tragarzy i 500 tobołów, a najbliższa wieś jest ztąd odległa o 15 km. W przeciągu sześciu dni pańskich dwustu ludzi przeniesie 500 towarów na odległość 15 km., a w przeciągu czterech miesięcy przedrzesz się pan w kraj aż na 225 km. Po ośmiu miesiącach zbliżysz się pan do jeziora o 450 km., lecz już dawno przedtem ułatwisz pan sobie pracę spławianiem towarów po rzece przy pomocy kanoe, już w październiku, drugim miesiącu pańskiej pracy, usłyszysz pan wszystko o straży przedniej, za proch i karabiny skłonisz Ugarrówkę do wspierania się jego flotyllą, i w czasie, kiedy straż przednia wyruszy z fortu Bodo celem odzyskania panā, pan będziesz przebywał zdrów w osadzie Ugarrówy i już dawno spotkawszy posłańców, będących w drodze z mapami pochodu i dokładnemi informacyami o tem, co jest przed panem i gdzie żywności dostać można; każdy z was będzie zdrowszy i silniejszy, co więcej, będziecie mieli zadość uczynienie, że dokonaliście jeszcze większego zadania, niż straż przednia i pożądane uznanie stanie się waszym udziałem. Im większa jest praca, tem większa radość z powodu jej wykonania. Wy wpływające z całego serca usiłowanie i walka z przeszkodami, chwytanie potwora ręką silnie, głową rozumną i spokojną stanowczością, walką z nim, dziś, jutro i codziennie aż do

końca — oto żołnierskie wyznanie wiary: naprzód, zawsze naprzód, oto przekonanie mężczyzny, że dorósł do tego dzieła. Nie myśl pan o pracy dnia jutrzejszego, ale tylko o tem, co czynić masz dzisiaj, i bierz się do dzieła. Gdy go dokonasz, możesz odpocząć spokojnie i spać dobrze.

Ale nie mogłem być obecny; musiałam tylko zaufać ich przyrzeczeniu, że zaufanie do Tippu Tiba ograniczą tylko do skoncentrowania wszystkich oficerów i ludzi podwładnych, należących do straży tylnej, i starać się o to, aby znaczenie drzewa i szerokie strzały, wskazujące drogę, były dobrze wykonane, aby byli bezpiecznie prowadzeni przez las prawie bezgraniczny, od jednego końca jego aż do najodleglejszego punktu końca drugiego. Ale w szczególnem usiłowaniu, aby dowiedzieć się, dlaczego Barttelot, tak w pracy zawzięty, dlaczego Jameson, tak poważny, który za przywilej maszerowania z nami zapłacił 1000 funtów szterl., dlaczego Ward, którego uważałem za przyszłego Clive'a Afryki, dlaczego Troup, tak słynny ze swojej pilności, wreszcie dlaczego Bonny, tak posłuszny, działali tak bezmyślnie, że nie byli w stanie nic robić, tak jak ja, lub każdy z nas — doszedłem do przekonania, że tu wpływ jakiś nadnaturalny, złośliwy, lub czynnik jakiś starał się o pokrzyżowanie wszelkich poważnych zamiarów.

Kilka przykładów posłuży tu do wzmocnienia tego przekonania. Przypuszczam otwarcie i całym sercem, że oficerowie pałali żądzą opuszczenia Jambuja, aby pomódz przy dokonaniu przedsięwzięcia, dla którego poświęcili tyle wygody. Ale nie są zupełnie w stanie poruszyć się naprzód, chociaż czynią wiele prób. Sądzą, że żyją, i służą sobie zarządzać poszukiwania za mną, ale narażają mnie przeciw na zupełną nagość. Byli zdecydowani wyruszyć w pochód dla odszukania i ocalenia Emina baszy, ponieważ cofnąć się byłoby tchórzostwem, a zwlekać dłu-



zej, karygodnem, a przecież pozbywają się potrzebnej amunicji, którą chcą dowieźć mu. Przyznaję, że w obozie w Jambuja było 33 chorych, niezdolnych do marszu, a przecież pakują właśnie te zapasy, lekarstwa i wina, któreby ludzi owych uratować mogły i odsyłają je do Bangala, przyczem każą wydać sobie pokwitowanie z ich odbioru. Wszyscy podpisali układ, na mocy którego każdy oficer miał otrzymać pewien udział we wszystkich konserwach europejskich, wprost w przysmakach, a następnie wzdragają się jeść je, lub oddać chorym, ale z terytorjum głodu odsyłają je do stacyi Bangala. Jak się dowiaduję, p. Bonny nie wyraża żadnego żalu i kiedy przedmioty owe odsyłają, nie wypowiada swego odmiennego zdania. Z próstego przyzwyczajenia do karności zaniedbuje żądania należnego mu udziału, i jak dobry Anglik, ale bardzo zły demokratą zrzeka się, bez szemrania, przysługującego mu niezaprzeczenie prawa. Szukają niewolników Manjemów, i ludożerców z plemion Bakuzu i Bazongora, aby zastąpić nimi zmarłych Zanzibarczyków, Sudańczyków, Somalów i Syryjczyków, a w kilka tygodni po sprowadzeniu tych ludożerców, jeden z ich naczelników zamordowuje komendanta angielskiego. W tymże samym dniu nieszczęsnym, nieszczęsnym, ponieważ uchwala, aby czekać, zapieczętowała ich los, jeden z oficerów przedierał się przez gąszcz nieprzebytą w towarzystwie 300 rozpaczą zdjętych ludzi; w rok później, w tymże samym nieszczęsnym dniu, p. Bonny, jedyny pozostały z Anglików, opowiada straszną historję śmierci i nieszczęścia, podczas gdy o tej samej godzinie biedny Jameson, znużony i wyniszczony daremnemi walkami, aby „iść naprzód”, w Bangala, w odległości 800 km. na zachód odemnie, oddaje ducha, zaś w dzień później, w odległości 960 km. na wschód odemnie, Emin basza i p. Jephson wpadają w ręce zbuntowanych żołnierzy w Aequatorji.

Myśląc o tem wszystkim, można oszaleć. Działa tu jakaś nadnaturalna siła szatańska, która przewyższa ludzi śmiertelnych wiadomości i zdolnością pojmwania.

Do tych wszystkich nieszczęsnych wypadków w tych ciemnych cieniach sąsiedztwa Stanley-Fall i nad Górnem Kongo dołączyć należy olbrzymi zbiór kłamstw, dowodzących bezgranicznej chytrości i nienasyconego pragnienia straszliwości. Tematem ulubionym było, zdaje się, zamordowanie mnie; oddział rekonensansowy miał odnaleźć całą masę szkieletów ludzkich; mówią, że odkryto ludzkie członki w garnkach, a dyletanci w sztuce mieli rysować szkice, przedstawiające, jak całe rodziny radowały się przy ucztach ludożerców. Dano do zrozumienia, a nawet więcej, że Anglicy brali udział w wyprawach łupieżczych, morderstwach i ludożerstwie, że krajowców, którzy przepływali przez Aruwimi, brali za tarcze, a wszystko to tylko dlatego, aby szerzyć postrach i zakłopotanie wśród spokojnej ludności angielskiej, a naszych przyjaciół w ojczyźnie dręczyć.

Pośrednicy, których ta czarna potęga użyła do rozszerzania tych haniebnych baśni, byli różni tak pod względem zawodu, jak i narodowości. Jednego dnia był to zbieg, drugiego maszynista z parowca; to znów handlarz niewolników, lub niewolnik, albo misyonarz, szukający czynności, oddalony Syryjczyk, młody artysta o chorobliwym smaku, lub urzędnik Wolnego państwa Kongo. Każdemu z kolei przychodziła szalona ochota powiedzieć coś lub napisać, co zdrowy rozum ludzki gwałciło.

Poniższe dane zostały zebrane z urzędowego pisma p. Bonny'ego i uporządkowane wedle faktów.

Parowiec „Stanley” odpłynął z Jambuja rano d. 17 sierpnia r. 1887-go. Przywiezione przez niego towary złożono w magazynie, a o ile mogę sądzić, w obozie obwarowanym znajdowało się 266 ludzi. Ponieważ oficerowie

mieli zgromadzić się celem narady nad przyszłemi krokami, można przypuszczać, że instrukcyę odczytali, ale jej nie zrozumieli. Uznają za rzecz najroztropniejszą czekać na Tippu Tiba, który, jak sobie przypomnimy, przyrzekł majorowi przybyć do niego w przeciągu dni dziewięciu.

W dniu tym usłyszeli strzelanie na drugim brzegu rzeki i prawie wprost naprzeciw Jambuja i widzieli przez lunety, jak krajowców pędzili do rzeki ludzie biało ubrani, którzy strzelali do nich z brzegu północnego, czyli prawego. W mniemaniu, że maruderzy należą do ludzi Tippu Tiba, postanawiają wysłać tam oficera i trochę ludzi i wezwać ich, aby zaprzestali napastować krajowców, oddawna przyjaźnie usposobionych i będących pod opieką. Oficer przepławia się przez rzekę, znajduje ich obóz i zaprasza komendanta Abdallaha, aby odwiedził komendanta angielskiego w Jambuja. Przy tej sposobności dowiaduje się major, że maruderzy należą rzeczywiście do Tippu Tiba, i że Stanley Fall oddalone jest od Jambuja tylko o sześć dni marszu lądem. Prawdopodobnie, w mniemaniu, że Tippu Tib da się mimo wszystko namówić do popierania wyprawy, szuka i znajduje przewodników, którzy pewną liczbę jego ludzi mają zaprowadzić do Stanley-Fall, aby oni tam pomówili w jego imieniu z naczelnikiem, którego przywieźliśmy z Zanzibaru do Stanley-Fall i któremu z powodu przyrzeczenia nam tak święcie pomocy, dawaliśmy bezpłatnie żywność.

D. 29 sierpnia powraca p. Ward od Wodospadów z odpowiedzią Tippu Tiba; przyrzekł zgromadzić żądanych tragarzy i przysłać ich w przeciągu dni dziesięciu. Pierwsze przyrzeczenie, dane w czerwcu, opiewało „w przeciągu 9 dni“, obiecanka w sierpniu „w przeciągu dni dziesięciu“. W kilka dni później powraca ze Stanley-Fall p. Jameson w towarzystwie Selima ben Mohammeda, siostrzeńca Tippu Tiba, i wielkiej liczby Manjemów. Od-

dział ten ma być przednią strażą kontyngensu tragarzy, których Tippu Tib miał wkrótce osobiście przyprzewodzić.

Podczas gdy w Jambuja czekano na niego, nad Lomani wybuchają niepokoje, a Tippu Tib jest zmuszony spieszyć na ich teatr, celem załatwienia sprawy. Tymczasem załoga w Jambuja czeka z dnia na dzień na jego przybycie.

Niezdolni do znoszenia niepewności, podejmują drugą wycieczkę do Stanley-Fall; tym razem udaje się tam osobiście major Barttelot. Było to dnia 1-go października. Towarzyszą mu Selim ben Mohammed i p. Troup. W drodze spotykają Tippu Tibę, który maszeruje do Jambuja i prowadzi ze sobą sześciu zbiegów ze straży przedniej, z których każdy dźwiga ciężki kiel słoniowy. Major przekazuje najlaskawiej sześć kłów słoniowych naczelnikowi Arabów, i obaj udają się do Stanley-Fall.

W miesiąc później major powraca do swego obozu nad Aruwimi i donosi, że Tippu Tib nie jest w stanie zgromadzić 600 tragarzy w okolicy Wodospadów Stanleya i że dlatego musi iść do Kazongo, mniej więcej w odległości 560 km. powyżej Wodospadów, i że podróż ta, 1200 km. do Kazongo i z powrotem, zajmie 42 dni.

Tymczasem 20 ludzi majora pogrzebano zewnątrz obozu.

Komendant angielski dowiaduje się, że w czasie jego nieobecności przewodzca Manjemów, Mandjato, „złe“ się sprawował, i że straszył krajowców, którzy prowadzili handel zamienny z załogą, czy to, aby żołnierzy i Zanzibarczyków zagłodzić, czy to, aby ciągnąć korzyści z tego, że przy zamianie towarów za produkta służył za pośrednika, czyli maklera. Kiedy major dowiedział się o tem, rozgniewał się, i posłał tam p. Warda, który obecnie przedsięwziął trzecią podróż do Wodospadów, aby uzalić

się na samowolne zachowanie się Madjata, skarga odniosła skutek, Madjato został natychmiast usunięty.

W początku r. 1888 Selimben Mohamed przybywa poraz wtóry do Jambuja i przy przeprowadzaniu pewnych środków przeciw krajowcom, rozwija taką działalność, że dowozy do obozu ustają zupełnie i już nigdy nie zostały wznowione. Rozpoczyna także budowę trwałego obozu z silnych chat glinianych w odległości strzału z łuku od palisad w Jambuja i zamyka fort zupełnie od strony wybrzeża, tak, jakby zamierzał przystąpić do oblężenia obozu.

Po daremnej próbie ofiarowania Selimowi 1000 funt. szterl., aby wysłał oddział Manjemów w kierunku straży przedniej, około połowy lutego major Barttelot i p. Jameson przedsięwzięli czwartą wycieczkę do wodospadów Stanleya. Selim, obawiając się niepomysłnych sprawozdań o swoim zachowaniu się, towarzyszy im w drodze, gdzie spotykają 200 Manjemów, którym pozwalają krążyć po kraju celem poszukiwania kości słoniowej, ponieważ nie posiadają instrukcyi pisanej.

W marcu Selim powraca do Jambuja i wspomina oficerom, że tragarze pojawią się w końcu, ale nie pójną w kierunku drogi p. Stanleya, lecz przez Udjidji do Unjoro; zabawna geografia!

D. 25 go marca major Barttelot powraca do obozu z doniesieniem, że p. Jameson popłynął w górę rzeki marszrutą Tippu-Tiba w zamiarze dotarcia do Kazongo. Zarazem wytłumacza swój plan utworzenia kolumny latającej i większą część swoich towarów zostawia przy wodospadach Stanleya pod opieką oficera. Równocześnie wysłał do komitetu w Londynie telegram następujący:

San Paolo de Loanda, 1 maja r. 1888.

Od ostatniego listu mojego w październiku nie mam żadnych wiadomości o Stanleyu. Tippu-Tib d. 16 listopa-

da poszedł do Kazongo, ale do marca dostarczył nam tylko 250 ludzi. Przybędzie ich więcej, ale liczby ich napewno nie wiemy, lecz przypuszczając, że Stanley znajduje się w kłopotach, a chcąc być przezornym, uważam za absurd wyruszać z mniejszą liczbą ludzi, niż on, ponieważ prócz armaty Maxima, niesiemy więcej towarów. Wysłałem dlatego Jamesona do Kazongo, by sprowadził tyle wojowników, ile się da, aż do liczby 400 ludzi i aby zawarł korzystną umowę co do służby i wynagrodzenia ludzi, za którego uregulowanie w pieniądzu ręczy on i ja w imieniu wyprawy. Jameson powróci może około 14-go b. m., lecz w pochód będziemy mogli wyruszyć najprędzej dnia 1-go czerwca, poczem jednego z oficerów zostawię nad Wodospadami Stanleya z towarami, któreby nie były koniecznie potrzebne. Ward wysłał tę depeszę; proszę wyjednać u króla Belgów, aby zatelegrafował do administratora państwa Kongo, by dał mi do rozporządzenia trażarzy i przygotował parowiec celem przywiezienia go do Jambuja. Jeżeli otrzymam ludzi przed jego przybyciem, wyruszę bez niego. On powinien powrócić około 1 lipca. Proszę donieść mi telegraficznie o pańskiej radzie i zapatrywaniach. Wszyscy oficerowie są zdrowi. Ward czeka na odpowiedź.

Barttelot."

P. Ward udał się w dół rzeki Kongo i w czasie tak krótkim, jak nie zdarzyło się jeszcze nigdy, dotarł do wybrzeża morskiego, wysłał telegram, odebrał odpowiedź poniższą i wyruszył w podróż powrotną w górę Kongo do obozu pod Jambuja.

„Major Barttelot, Adres Ward, Kongo.

Komitet odsyła pana do rozkazów Stanleya z d. 24 czerwca r. 1887. Jeżeli stosownie do tego polecenia nie możesz pan wyruszyć, pozostaj, gdzie się znajdujesz i czekaj na przybycie Stanleya lub póki nie otrzymasz od nie-

go nowych instrukcyj. Komitet nie upoważnia pana do werbowania wojowników. Od Emina baszy przybyły przez Zanzibar wiadomości z Wadelai z d. 2 listopada; wówczas nie słyszał jeszcze nic o Stanleyu, Emin basza jest zdrów i nie czuje bezpośredniego braku dowozów; idzie na południowo-zachodni brzeg jeziora, by szukać Stanleya. Listy przesyłano regularnie przez wybrzeże wschodnie.

Przewodniczący komitetu."

Kiedy p. Ward przybył do Bangala, otrzymał rozkaz zatrzymania się tam.

Komitet popełnił mały błąd, zowiąc moje instrukcje „rozkazami“. Instrukcje nie są właściwie „rozkazami“ ale wskazówkami i radami, udzielonemi przez naczelnika wyprawy komendantowi straży tylnej, a które tenże, stosownie do własnego uznania, powinien wykonać lub odrzucić. Major Barttelot wypowiedział niecierpliwe życzenie oddania wyprawie usług czynnych; oświadcza, że pragnie usilnie opóścić Jambuja i pójść naszym śladem. Naczelnik wyprawy, który ma wielką sympatyę do niespokojnego młodego oficera, spisuje szereg rad, które mają ziścić jego życzenia; daje mu także notatki ołówkowe, pouczające, w jaki sposób ma urządzić pochód naszym śladem. Major przyrzeka stanowczo rady usłuchać, a rozłączenie pomiędzy nim a mną następuje na mocy tego układu. Ale nie są to stanowcze „rozkazy“; jak napis na nagrobku człowieka najlepiej ułożyć można dopiero po jego śmierci, tak i odznaczyć można go dopiero po ocenieniu wartości jego usług.

Pod koniec marca major żyje w nieporozumieniu z Selimem ben Mohammedem, co zmusza go do udania się poraz piąty do Wodospadów Stanleya, aby go usunąć.

Okolo połowy kwietnia major Barttelot powraca do obozu a Selim otrzymuje rozkaz opuszczenia Jambuja. Ale zamiast udać się do Wodospadów Stanleya, zamierza

urządzić wyprawę łupieżczą do wielkiej wsi, położonej poniżej Jambuja; w kilka dni po niej zjawia się znów i mówi, że słyszał pogłoskę, jakoby straż przednia płynęła z góry Aruwimi.

D. 9 maja 1888 major udaje się poraz szósty do Wodospadów Stanleya, a 22 b. m. powraca z niestrudzonym Jamesonem i wielkim oddziałem Manjemów. W trzy dni później przybywa zwlekający Tippu Tib, który d. 18 czerwca r. 1890 powiedział, że w przeciągu tygodnia będzie w Jambuja, następnie w sierpniu chciał być tam w przeciągu 10 dni parowcem „A. I. A“. Przybywa tamże i „Stanley“, celem przewiezienia listów dla wyprawy.

Ponieważ Tippu-Tib powiedział, że pakunki o wadze 60 funtów są dla jego ludzi za ciężkie, oficerowie byli zmuszeni podzielić pakunki na 40, 30 i 20 funtowe. Nie było to zadanie łatwe, ale tak się stać musiało. Jak opowiada p. Bonny, Tippu-Tib otrzymał jako zaliczkę 47 bal sukca, olbrzymi zapas prochu strzelniczego i gotowej amunicji, zaś Muini Somai, naczelnik bataljonu Manjemów, towary wartości 128 funt. szterl. Następnie zbadano zapasy żywności europejskiej i takie artykuły, jak wino Madera, owoce kandyzowane, sago, tapioka, arrowroot, sardynki, śledzie i mąka pszenna, spakowano i obok ośmiu skrzyń moich, jako niepotrzebne i zbyteczne wysłano do Bangala parowcem, tym samym, którym p. Troup, jako chory podróżny, odjechał do domu.

Nareszcie d. 11 czerwca r. 1888, kiedy jeszcze 29 Zanzibarczyków i 4 Sudanczyków usunięto jako za słabych do pracy pp. Barttelot, Jameson i Bonny opuszczają obóz, z którego powinni byli wyruszyć najpóźniej dnia 25 sierpnia r. 1887, z orszakiem Zanzibarczyków, Sudanczyków, Somalów i Manjemów, ogółem prawie 900 mężczyzn, kobiet i dzieci, w zamiarze przedsięwzięcia „pil-



nych poszukiwań“ zaginionego naczelnika i ocalenia Emi-  
na baszy.

Sześć podróży, jakie major i jego przyjaciele podjęli  
do Wodospadów Stanleya, objęły przestrzeń 1930 km.  
Niestrudzony major przebył sam 1290 km., Jameson 1930  
km. Gdyby te 1930 km. przebyto na przestrzeni pomię-  
dzy Jambuja a jeziorem Alberta, straż tylna byłaby już  
dotarła do Wodospadów Panga. Nawet gdyby musieli ro-  
bić 90 km, aby posunąć się naprzód o 15 km., byłyby ją  
nasze listy i karty zachęciły i dodały ducha, aby dotarła  
aż do Avedyeli, aby w tej bogatej i gęsto zaludnionej osa-  
dzie odżywić się obfitością bananów.

Ale podczas gdy major i oficerowie człowieka opor-  
nego karabinami wartości 45 gwinej, karabinami Reming-  
tona, rowolwerami w oprawie z kości słoniowej, amuni-  
cją i pięknymi ballami sukna usiłowali nakłonić do wyko-  
nania kontraktu, ich własni ludzie wymierali z przeraża-  
jącą szybkością. Z pierwotnej liczby 271 ludzi pozostało  
tylko 132, a i z tych w chwili przybycia straży tylnej do  
Banalia było przy życiu tylko 101, z których prawie po-  
łowa wskutek głodu i chorób wynędzniała tak, że nie by-  
ło nadziei utrzymania ich przy życiu.

W 13 dni po wymarszu hordy Manjemów i anemicz-  
nych Zanzibarczyków z nieszczęsnego obozu pod Jambuja  
major podejmuje siódmą podróż do Wodospadów Stanleya  
i dozwala oddziałowi przedzierać się do Banalia bez niego.  
Dnia 43 czoło straży tylnej po 144 km. marszu dotarło do  
otoczonej palisadami wsi Banalia, która w czasie mojej  
nieobecności została zamienioną na stację Tippu Tiba pod  
dozorem Araba, Abdallaha Karoni, a dokąd w tymże sa-  
mym dniu przybył w powrocie od Wodospadów Stanleya  
także i niespokojny, przedsiębiorczy major.

Nazajutrz wynikło nieporozumienie pomiędzy Abdal-  
lahem Karoni a nim; major naciera na niego i grozi, że

dnia 20 lipca podejmie ósmą podróż do Wodospadów Stanleya, aby przed Tippu Tibem uzalić się na swego przewodnika; ale 19 lipca o świcie nieszczęśliwy komendant został zastrzelony przez mordercę Sanga.

Najlepiej opowie o tem urzędowy raport p. Williama Bonny:

„18 lipca 1888 r. Major groził ciągle Abdallahowi, że jeżeli nie dostarczy mu tragarzy, przy rzeczonych przez Tippu Tiba, powróci d. 20 do Wodospadów Stanleya i polecił Arabowi, aby mu towarzyszył. Major zawiadomił mnie, że wróci d. 9 sierpnia, ale zanim skończył jeszcze swoje uwagi, spytał:

— Sądzi pan, że nie czynię dobrze, udając się do Wodospadów Stanleya?

„— Nie, odparłem, nie wiem, na co potrzebuje pan jeszcze 60 ludzi. Mész pan ludzi dosyć, a nawet zawiele. Byłoby lepiej, gdybyś pan karabiny i amunicję rozdzielił pomiędzy ludzi, przez co liczba tobołów zmniejszyłaby się o 15, gdybyś pan im zaufał. Pan Stanley musi im także ufać. Uciekają od pana, ale także i od niego. ale jeżeli powierzysz ich pan mnie, nie sądzę, aby uciekali.

„Major odpowiedział: Życzę sobie, abyś pan od tej miejscowości był komendantem Zanzibarczyków i Sudańczyków i abyś szedł naprzód o jeden dzień marszu przed Manjemami. P. Jameson i ja pójdziemy z Manjemami, doprowadzimy ich do porządku i będziemy uważali na to, aby nie mieszała się do pańskich ludzi. Nie chciałbym iść do Wodospadów, ale chciałbym, abyś pan spróbował wystarać się mi o trochę ludzi. Będę zadowolony, jeżeli dostarczysz mi pan tylko 20.

„Spytałem Abdallaha, czy może mi dostarczyć tragarzy i otrzymałem siedmiu.

„19 lipca. Dziś rano jakaś kobieta Manjemów za-

częła bić w bęben i śpiewać. Jest to jej zwyczaj codzienny.

Major wysłał swego chłopca, Sandiego, liczącego zaledwie lat 13, z rozkazem zaprzestania hałasów, poczem usłyszano głośne, złośliwe głosy i dwa strzały, dane na przekór. Wówczas wysłał major kilku Sudańczyków, aby przyprowadzili ludzi, którzy strzelali, sam zaś wyskoczył z łóżka i chwyciwszy rewolwer, powiedział: „Poważę pierwszego, którego spotkam przy strzelaniu“. Prosiłem go, aby nie mieszał się do codziennych zwyczajów ludzi, lecz aby pozostał w namiocie i nie wychodził, a oni się uspokoją. Ale on z rewolwerem w ręku poszedł tam, gdzie byli Sudańczycy. Powiedzieli mu, że nie mogą odszukać ludzi, którzy strzelali. Wówczas major odtrącił kilku Manjemów na bok, przecisnął się przez nich, poszedł do kobiety, która biła w bęben i śpiewała i wezwał ją do zaprzestania. W tej chwili, Sango, mąż owej kobiety, wystrzelił przez szparę przeciwległej chaty: kula przeszła majora tuż pod sercem, wyszła przez plecy i utkwiała w części werandy, pod którą ranny padł martwy.

„Sudańczycy odbiegli i nie chcieli iść za mną po zwłoki majora, ale ja poszedłem tam w towarzystwie jednego Somala i Sudańczyka, którzy pomogli mi zanieść zwłoki do mego domu. Sądząc z hałasu, domyślałem się, że wybuchnie ogólna walka, chociaż nie widziałem ani jednego Zanzibarczyka. Albo ukryli się w swoich chatach, albo też przyłączyli się do ogólnej ucieczki, jaka powstała po morderstwie. Odwróciłem się i spostrzegłem jednego z przewodników Manjemów, który z karabinem i rewolwerem w ręku chciał prowadzić swoich ludzi przeciwko mnie. Nie miałem broni przy sobie, podszedłem więc do niego i spytałem, czy chce prowadzić swoich ludzi do walki ze mną.

— „Nie“ —

— „W takim razie, rzekłem, każ im pójść spokojnie do domu i sprowadź wszystkich przewodników, chcę pomówić z nimi.

„Wkrótce potem zjawili się u mnie niektórzy przewodnicy, a ja rzekłem do nich: „Nie jestto kłopot dla mnie, ale dla Tippu-Tiba. Żądam, abyście przynieśli mi wszystkie towary i abyście powiedzieli wszystkim towarzyszom naszym, by czynili to samo. Tippu Tib wie, co który z was ma pod swoją opieką i on jest za to odpowiedzialny. Musi zapłacić nam za towary zaginione i ukarać przewodników, którzy narażą go na stratę. Napiszę do niego, a on sam tu przybędzie i dowie się o nazwiskach tych, którzy obecnie nie czynią tego, co ja chcę. Przemowa ta sprawiła, że oddano mi do magazynu około 150 tobołów. Rozesłałem następnie moich ludzi, aby gromadzili towary, gdzie tylko można i wkrótce miałem już 299 tobołów. Były one rozrzucone po całym placu, niektóre ukryte w lesie, inne w polach ryżowych, wiele w chatach, w ogóle wszędzie. Niektóre worki pereł i skrzynie z amunicją były już rozerwane lub rozbite a zawartość ich była zabrana w części, lub zupełnie. Przekonałem się, że brakło 48 tobołów. Mieszkańcy wsi liczyli 200 do 300 osób, ja byłem ze 100 ludźmi; Muini Šomai, naczelny dowódca Manjemów, miał 430 tragarzy i 200 towarzyszy, tak że wogóle było tu około 1000 ludzi, a w tej liczbie 900 ludożerców, a wszyscy na przestrzeni, mającej 150 mil długości, a 24 szerokości. Możesz pan wyobrazić sobie scenę ogólnej ucieczki, strzelanie, rabowanie zapasów itd. lepiej, aniżeli ja ją opisać. Ku ubolewaniu mojemu muszę powiedzieć, że Sudańczycy i Zanzibarczycy brali bez wyjątku udział w rabunku, lecz przeszukałem również i ich chaty i kryjówki i odebrałem masę sukna, pereł, ryżu itd. Musiałem karać ostro, zanim udało mi się zapobiedz grabieży. Napisałem do p. Jamesona, oddalone-

go o cztery dni marszu i zajętego transportowaniem reszty towarów, jakoteż do jednego z urzędników państwa Kongo i do sekretarza Tippu Tiba p. Baerta, opisałem mu, co zaszło i w jakim znajduję się położeniu, prosiłem go, aby dołożył wszelkich starań i spowodował Tippu Tiba, by albo sam przybył tutaj, albo przysłał jakiego naczelnika dla zastąpienia Muniego Somai, który umknął jeden z pierwszych. Napisałem panu Baertowi, aby powiedział Tippu-Tibowi, że cała Europa będzie go obwinięła, jeżeli nam nie pomoże. Następnie kazałem zwłoki majora zaszyć i pogrzebać; grób kazałem wykopać w lesie, pod spód położyć liście jako poduszkę, i w ten sam sposób przykryć zwłoki. Dalej odczytałem nad zwłokami modlitwę kościelną z naszej książki do modlenia i na tem skończył się ów dzień straszny.

Kiedy obóz w Jambuja, a zwłaszcza życie jego było w niebezpieczeństwie, major napisał i wręczył mi rozkaz urzędowy, mianujący mnie komendantem Zanzibarczyków i Sudańczyków. Obejmuję zatem dowództwo tej drugiej kolumny wyprawy dla ratunku Emina baszy, dopóki nie spotkam p. Stanleya, lub nie powrócę na wybrzeże.

Staraniem mojem będzie, aby kolumna, z pomocą Bożą, działała więcej, niż dotąd. P. Jameson zatrzyma stanowisko, jakie wskazano mu w instrukcyach p. Stanleya dla majora Barttelota. Idąc do Wodospadów Stanleya, aby rokować z Tippu-Tibem o przysłanie innego naczelnika Manjemów, ma wolną rękę, ponieważ myśli, że jest komendantem. Ja nie odebrałem mu złudzenia. Gdy powróci, pokażę mu dokument, którego kopję podałem poprzednio.

William Bonny.

Do p. Stanleya, naczelnika wyprawy.<sup>4</sup>

W trzy dni po tragedyi zjawił się p. Jameson z resztą uczestników straży tylnej w Banalia i obejmuje ko-

mendę, ale kiedy pozostawiwszy panu Bonny kilka słów zachęcających, podejmuje 25 lipca ósmą podróż do Wodospadów Stanleya, w nadziei, że ofiarowaniem znacznej sumy złota zaspokoi chciwość Tippu-Tiba i skłoni go albo do objęcia kierownictwa straży tylnej osobiście, lub na swe miejsce wysle jednego z popędliwych siostrzeńców, Selima ben Mohammeda, albo Raszyda, który zdobył Wodospady Stanleya za kapitana Deanego.

D. 12 sierpnia pisze ostatni list do p. Bonny i zaczyna go: „Jak mi pan zapewne przyzna, wyprawa znajduje się w tej chwili wśród bardzo silnego odpływu.“

Przypatrywał się wymiarowi sprawiedliwości na nędznym mordercy Sanga, był obecnym przy rozstrzelaniu go i strąceniu jego ciała do rzeki Aruwimi, odjechał z Wodospadów Stanleya do Bangala. Pp. Jameson i Bartelot zatrzymywali p. Warda z jakiegoś powodu, odpowiedź komitetu na ich telegram z d. 1 go maja była zatem w jego ręku. P. Jameson pragnie koniecznie wiedzieć treść odpowiedzi, zanim postawowi ruch ostateczny i odpływa w kanoe z 10 Zanzibarczykami. Płyną dniem i nocą, aż naprzeciw rzeki Lomami dotyka go gorączka. Konstytucya jego skłonna jest do przyjęcia zarodka choroby, umysł jego przytłumiony, ponieważ szczęście wyprawy pomimo energicznych usiłowań jego, pomimo jego serdecznego zupełnego poświęcenia i jego marszów w jedną i drugą stronę, jego podróży, wynoszącej 2,250 km., ofiar pieniężnych, fizycznych wygod i usiłowań jego ducha, aby dopiąć tego, co stać się miało — znajduje się istotnie, „wśród bardzo silnego odpływu“. A następnie gorączka dotyka jego mózgu. Dniem i nocą pędzi kanoe, aby osiągnąć celu, stacyi Bangala, dokąd przybywa w samą porę, aby oddać go w objęcia p. Warda, gdzie wyzionął ducha właśnie w chwili, kiedy straż przednia w pospieszonym pochodzie przez las i po rzece po-

wraca od jeziora Alberta i przybywa do Banalia z zapytaniem: Gdzie jest Jameson?

W 28 dni po tragicznej śmierci majora a w 23 dni po odjeździe Jamesona zjawia się straż przednia, bardzo osłabiona co do liczby i w ubraniu tak podartem, że wzięto ją za dzikich, pozbieranych na drodze i że nie poznali jej dawni towarzysze — przybywa, powracając od jeziora Alberta do Banalia, aby poraz pierwszy usłyszeć smutną historję straży tylnej.

Straszne rzeczy, o jakich nam opowiadano, powiększały okropności, na jakie patrzyliśmy. Nędzy, jakiej świadkami byliśmy w tem straszmem gnieździe zarazy, nie jest wstanie opisać moje pióro, ani usta opowiedzieć. Haniebny bat barbarzyńców można było poznać na wielu brzydkich twarzach ludzi, którzy opuchli, okaleczeni, bliźnami okryci, powodowani ciekawością przybywali, aby słyszeć nas i patrzeć na nas, którzy powróciliśmy z lasu i nie kłopotaliśmy się strachem, jakiego nabawiała nas śmierć, w nich ucieleśniona. Było jeszcze sześciu trupów nieoprzebanych, a widzieliśmy nadto tuziny żywych z wrzodami. Inni wskutek dysenterji i anemii wyglądali, jak szkielety, jeszcze inni okryci wrzodami, czołgali się do nas i głuchym głosem witali nas na tym cmentarzu!

Oslabiony, znużony na ciele i duchu, nie wiedziałem, jak zniosę pierwsze godziny; nieustanna historia nieszczęścia dotykała boleśnie moje uszy, trupi odór chorób wisiał w powietrzu, a wstrętne obrazy poruszały się i paliły się mi przed oczyma. Słyszałem o morderstwach i śmierci, o chorobach i kłopotach, o biedzie i nędzy, a gdzie tylko spojrzałem, wszędzie widziałem bez blasku oczy umierających o wyrazie tak błagalnym, tak tęskno w dal patrzącym, że sądziłem, iż serce mi pękuje, skoro tylko jeden jęk usłyszę. Siedziałem odurzony, a jednak katnjąca historia posuwała się dalej straszliwie, a w niej

nie odzywało się nic innego, jak śmierć i nieszczęście, nieszczęście i śmierć. Sto grobów w Jambuja, 33 ludzi pozostawionych w obozie, aby zginęli, 10 trupów w drodze, około 40 osób we wsi, mających zamiar położyć koniec słabemu życiu, przeszło 20 zbiegów a 60 uratowanych w nędznym staniu! A małe grono dzielnych Anglików? „Grób Barttelota odległy jest ztąd zaledwie o kilka kroków, Troup jak szkielet wyglądający odjechał do domu, Ward podróżuje którądyś, Jameson udał się do Wodospadów, nie wiem poco”.

— A pan sam pozostał?

— Jedyńy, panie.

Gdybym musiał opowiadać wszystko, com widział w Banalia, byłoby to zerwaniem bandaża z olbrzymiego jątrzącego się wrzodu, po to tylko, aby pokazać go na widok publiczny nie w innym celu, jak tylko, by wywołać wstręt i zgrozę.

Przy mojej niezachwianej wierze w zapal Barttelota, w wierność Jamesona, silną młodość i mężkie przyrzeczenie Warda, w roztropność i niezawodność Troupa, w panowanie nad sobą i stałość Bonnyego, wiadomości owe były dla mnie ciosem ciężkim. Oddział był zaopatrzony we wszelkie potrzebne rzeczy na pracę długą, pożyteczną, a tymczasem „przyływ okoliczności” przeszedł niespostrzeżenie koło nich, a na marszach ich także i czas bezpożytecznie stracono.

Co, Barttelot! Ten niestrudzony mąż, wiecznie się spieszący, wesoly, młody oficer o postawie nieustraszonej, którego dusza tęskniła zawsze do sławy. Że też człowiek, tak hojnie uposażony przez naturę we wszelkie zalety, w ten sposób ugiął kolana przed chytrą nad Wodospadami Stanleya! Jest to dla mnie zagadka nierozwiązana. Byłbym się założył, że prędzej on Tippu-Tiba za długą brodę siwą pochwyci i zęby mu powybijają, nawet



w obecności jego wojowników, niż pozwoli żartować z siebie tak ustawicznie. Jeszcze teraz brzmi mi w uszach jego uroczysta przysięga, że ani jednego dnia ponad termin oznaczony czekać nie będzie, czuję jego silne uściśnienie dłoni, widzę jego rezolutne rysy i przypominam sobie, jak mocno mu ufałem.

Mówią: Cicha woda brzegi rwie! Ha, Jameson był takim cichym, cierpliwym a niemniej stanowczym człowiekiem, tak, że wszyscy przypisywaliśmy mu pewną powagę. Zapłacił 1,000 funtów szterl., ofiarował pilność i energię w usługach za przywilej uczestniczenia w wyprawie. Miał namiętność do nauk przyrodniczych i posiadał szczególne zamiłowanie do ornitologii i entomologii. Wedle Barttelota „jego ochoczość, dzielność i gotowość przy pracy były nieograniczone“, co ja podpisuję bez wahania. Jego pilność i czynność wyrastają na przyrzeczenia, a w końcu, jak się dowiadujemy, ofiarność swoją przypieczętowuje tem, że chce z własnej kieszeni zapłacić 10,000 funtów, jakoteż nieszczęśliwą podróżą dniem i nocą na kanoe, aż w Bangala został zaniesiony do obozu, aby tam umarł.

Przypuśćemy, że Tippu-Tib był uprzejmym dla młodych panów w czasie ich częstych odwiedzin nad Wodospadami, że witał ich grzecznie, bawił jaknajlepiej i z tobołami ryżu, oraz stadami kóz do Jambuja odsyłał. Ale naturalna jego chęć panowania, -nieznajomość geografii, duma barbarzyńska, rosnąca obojętność i chciwość były niepokonalnymi przeszkodami dla urzeczywistnienia planów Barttelota i Jamesona i sprzeciwiały się tak ich interesowi i życzeniom równie zgubnie, jak wojna otwarta. Ale to mnie dziwi, że oficerowie nie widzieli nigdy, iż ich odwiedziny i znaczne podarki na nic się nie przydawały, i że cel, jaki mieli na sercu, ich odziedziczone przymioty, ich wychowanie, przyzwyczajenia i natura za-

braniały im ich dalszego powtarzania. Z jakiegoś utajonego powodu jaknajuporczywiej wierzą Tippu-Tibowi i jego przyrzeczeniom „9 dni”, następnie „10 dni”, potem „42 dni”, dawanym tylko na to, aby je znów złamać.

Ale nawet żelazne serce roztopi się w współczuciu tym młodym ludziom, którzy poginęli tak przedwcześnie i tak blisko ratunku. Usiłowali energicznie uwolnić ostonionego chmurami ducha i pojmować, co nakazywał im obowiązek. Siedzą przy stole i mówią, co się stać ma; duch drży do ducha i zapala iskrę właściwą; iskra pojawia się, ale ktoś czy coś gasi ją w chwili jej błysku, a dobre zamiary schodzą na manowce. Chcą wykonać kilka planów, bardzo dalekich od projektów, jakie ja im podałem; zaledwie jakiś projekt powstał, a już obalało go jakieś nieprzewidziane zdarzenie. Jakkolwiek wszyscy byli bez wątpienia przejęci najczystszeimi motywami i bez kwestyi, aż do końca byli lojalnymi, to przecież szkodzili sobie ustawicznie i nie wiedząc o tem, przyjaciół swoich w straży przedniej popychali nad przepaść rozpacz.

Aby tym panom oddać sprawiedliwość, czuję się zmuszonym ogłosić następujący raport p. Herberta Warda.

New-York, Hotel Windsor, 13 lutego 1890.

Szan. Panie Stanleyu!

D. 14 sierpnia 1887 Troup, Bonny i ja przybyliśmy z ludźmi i towarami z Bolobo do Jambuja. Przekonałiśmy się, że od czasu pańskiego wymarszu d. 28 czerwca 1887 Tippu-Tib nie dał znaku życia o sobie, a major i Jameson trawili czas na utrzymywaniu opału dla parowca. Nazajutrz popołudniu po naszym przybyciu, banda Manjemów napadła na prowizoryczną wioskę, zbudowaną przez naczelnika Ngunga na przeciwległym brzegu rzeki, tuż poniżej bystrego jej biegu.

Bonny i ja popłynęliśmy tam w kanoe, aby dowiedzieć się, kto oni są, ale oni, zobaczywszy zapewne, że obok naszego obozu stoi parowiec, umknęli do lasu i powrócili do własnego obozu, którzy wedle opowiadania krajowców, był odległy tylko o kilka godzin marszu w górę rzeki. Nazajutrz przybył do nas naczelnik Manjemów, Abdallah, z kilku towarzyszami i opowiadał, jakoby Tippu-Tib wierny danemu słowu, wysłał w kanoe do nas około 500 ludzi pod komendą Selima ben Mohammeda, lecz ci natrafili na liczne kroki nieprzyjazne ze strony krajowców, a w końcu, nie mogąc po kilku dniach płynięcia w górę rzeki odszukać śladów naszego obozu, rozłączyli się. Selim miał wysłać drobne oddziały w różnych kierunkach, aby tylko nas odszukać. Abdallah przedstawił się nam, jako dowódzca jednego z oddziałów, wysłanych celem odzyskania naszego obozu. Wedle innej wersji o rozproszeniu się 500 ludzi w podróży w górę Aruwimi, amunicya ich wyczerpała się, a krajowcy byli dla nich za silni. Abdallah mówił, że Tippu-Tib jest zupełnie gotów dostarczyć ludzi, a ponieważ Wodospady Stanleya są odległe tylko o kilka dni marszu, to moglibyśmy łatwo udać się tam i pomówić z Tippu-Tibem; on sam będzie nazajutrz gotów towarzyszyć nam i służyć za przewodnika.

Major polecił Jamesonowi i mnie udać się do Wodospadów. Tam opowiedziano nam tę samą historję, że Tippu-Tib posłał nam wielką liczbę ludzi, że ci rozproszyli się na Aruwimi, ponieważ nie byli w stanie przedostać się około kilku gęsto zaludnionych wsi, gdzie krajowcy zaczęli i odparli ich, ponieważ mieli mało amunicyi. Tippu-Tib zapewniał, że jest gotów dostarczyć ludzi, lecz że potrzebuje więcej czasu na ponowne ich zgromadzenie.

Ponieważ w obozie znajdowało się przeszło 600 cennych tobołów, zaś ludzi było tylko tyle, że mogli unieść

zaledwie 175 tobołów, dlatego sądziliśmy, że lepiej jest pilnować tobołów w obozie, gdzie jest żywności poddostatkim, do czasu, póki nie przybędzie przyrzeczona przez Tippu Tiba pomoc, aniżeli poświęcać część towarów i robić marsze potrójne. Po nabytem już doświadczeniu, że ludzie uciekają nawet z obozu, byliśmy wszyscy przekonania, że większa część naszych tragarzy już po kilku pierwszych dniach marszu umknie i przyłączy się do hordy arabskich rozbójników Wazuahelów i Manjemów, którzy, jak przekonaliśmy się, kręcą się po kraju we wszystkich kierunkach. Ich wolny, niczem nie krępowany tryb życia, wywoływał u naszych ludzi niezadowolenie ze swego losu i kusił ich do ucieczki od nas. Szef nasz, major, był osobiście źle usposobiony dla Zanzibarczyków i nie miał należytego wpływu na nich.

Tippu-Tib zwlekał ustawicznie, a tymczasem wielka część naszych Zanzibarczyków, z pośród których wielu od początku było chorych, chorowała i umierała. Byli ciągle zatrudnieni, a zatem nie można sądzić, by bezczynność była przyczyną ich śmierci. Jako fataliści, bez oporu poddawali się swemu losowi, ponieważ Bwana Makubwa poszli z ich towarzyszami do ciemnego lasu, i tam, jak sądzili stanowczo, zginęli. Widząc, że nie ma wcale nadziei, by powrócili do swego kraju, jak chyba tylko przez las zabójczy, myśleli, że położenie jest bez wyjścia, padali i umierali.

Myśleliśmy, że pan powróci do Jambuja pod koniec listopada, ale czas mijał, a nie otrzymaliśmy od pana żadnych zgoła wiadomości. Z powodu smutnego stanu naszych ludzi nie byliśmy w stanie robić marsze potrójne. Probowaliśmy każdego środka, byle tylko skłonić Tippu-Tiba do dostarczenia nam ludzi, ale bezskutecznie.

W lutym r. 1888 major i Jameson udali się ponownie do Wodospadów; major powrócił do Jambuja 24 marca.

Opowiadał, że zagwarantował Tippu-Tibowi wypłatę wielkiej sumy, jeżeli dostarczy ludzi, że Jameson udał się do Kazongo, aby przyspieszyć sprowadzenie ludzi, i że jego zdaniem, należy zawiadomić komitet o położeniu rzeczy, najprzód dlatego, że od chwili pańskiego wymarszu przed dziewięcioma miesiącami nie otrzymaliśmy wiadomości o panu, a powtórę ponieważ Tippu-Tib nie przybywał z pomocą, a my znajdowaliśmy się jeszcze w Jambuja niezdolni do marszu. Od czasu przybycia ostatniego kontyngensu nie przybył do obozu ani jeden parowiec.

Zdawało się nam, że widocznie jakie okoliczności przeszkodziły panu w skomunikowaniu się z nami po pańskim wymarszu i że może wieści o pańskich ruchach dotarły do wybrzeża wschodniego.

Ponieważ było możebne udać się do Loanda, zatelegrafować do komitetu i powrócić do Jambuja do czasu, w którym Jameson przybędzie z Kazongo, polecił mi major, abym przesłał telegram, który on sam napisał i podpisał. Odbyłem tę podróż w przeciągu dni 30 i natychmiast po otrzymaniu odpowiedzi (Ustęp „Odsyłamy pana do instrukcyi p. Stanleya z d. 24 czerwca“ był właśnie tem, czego Troup i ja spodziewaliśmy się przed moim odjazdem) pospieszyłem natychmiast do Bangalu, gdzie otrzymałem rozkaz majora pozostania tam do czasu otrzymania dalszych wiadomości komitetu, do którego on napisał, że nie potrzebuje już usług moich, ani towarów odesłanych w dół rzeki na statku „Stanley“. Nie waham się oświadczyć tu panu, że major uczynił to z powodu uprzedzenia do mnie.

W pięć tygodni po mojem przybyciu do Bangalu statek „Eu Avant“ przywiózł wiadomość, że major został zamordowany. Jameson, który znajdował się przy Wodospadach i zajmował się sprawą ukarania mordercy, tudzież reorganizacją kontyngensu Manjemów, pisał, abym po-

został w Bangala. Kiedy do Wodospadów płynął w kanoe w dół rzeki, był w ostatniem stadyum gorączki żółciowej i umarł nazajutrz mimo opieki. Przybył do Bangala po odpowiedź komitetu na telegram majora, tudzież aby zabrać towary z Bangala i mnie na parowiec, który wedle zapewnień jednego z urzędników państwa Kongo, u Wodospadów miał znajdować się w Bangala właśnie wtenczas, kiedy on mógłby tam przybyć. Wiadomość o parowcu była fałszywa, a w pierwszym dniu podróży na kanoe przeziębził się fatalnie, co spowodowało śmierć jego. Ponieważ nie miałem nadziei połączenia się z Bonnym, ponieważ w najbliższych miesiącach ani jeden parowiec nie miał jechać do Wodospadów, udałem się na wybrzeże, aby zawiadomić komitet o śmierci Jamesona i o położeniu rzeczy wedle tego, co zmarły opowiedział mi przed śmiercią. Komitet przesłał mi telegraficznie rozkaz powrócenia do Wodospadów, wręczenia istniejących jeszcze zapasów stacyi państwu Kongo, oraz skłonienia Bonnyego i ludzi do płynięcia w dół rzeki. Przybywszy do Stanley Pool, dowiedziałem się o pańskim przybyciu do Banalia i o powrocie do Emina baszy. Pojechałem jednak dalej do Wodospadów i zabrałem wszystkie towary, jakie major odesłał do Bangala. Pozostałem przez miesiąc nad Wodospadami w nadziei otrzymania dalszych wiadomości od pana.

Zgromadziwszy wszystkich chorych, jakich major zostawił u Tippu-Tiba, pojechałem w kanoe w dół Kongo i powróciłem do Europy na telegraficzne polecenie komitetu.

Oto prosty, prawdziwy opis faktów niepowodzeń straży tylnej. Nikt nie czuje się bardziej rozczarowanym nieszczęśliwym wynikiem sprawy, aniżeli ja. Uholewam bardzo, że moje usługi były tak bezowocne. Pozostaję pańskim uniżonym

Herbert Ward.

P. Ward doniósł mi, że odkrył w Bangala moich ośm skrzyń z odzieżą rezerwową i innymi przedmiotami dla wyprawy i zabrał je ze sobą do Wodospadów Stanleya — o 800 km. powyżej Bangala — a następnie do Banana Point nad wybrzeżem, gdzie wszystko pozostawił. Mimo zarządzenia najskrzętniejszych poszukiwań, nikt nie dowiedział się, co się dalej stało z owymi skrzyniami.

---

KONCINIA XXI

## ROZDZIAŁ XXI.

Nazajutrz po przybyciu do Banalia przypomniano mi znów nieszczęsne wypadki, opowiedziane w poprzednim rozdziale.

Sudańczycy i Zanzibarczycy z własnego popędu zgromadzili się, by przedstawić mi swoje zażalenia. P. Bonny powiedział w swoim raporcie urzędowym, że miał zamiar doprowadzić wyprawę do końca. Po swoim raporcie pisemnym i po sprawozdaniu ustnem, wskutek rozważy, jaką okazał w czasie strasznych godzin d. 19 lipca, wskutek obojętności na los nieznany, jaki go czekał, na straszne niebezpieczeństwa, na jakie bezsprzecznie był narażony, wskutek przeświadczenia, że każda okoliczność żywota jego była taką, jaką być powinna, p. Bonny naraz doznał podziwu z mej strony. Byłem przekonany, że także major Barttelot odkrył w nim zapewne żywioły zadziwiającej siły, której ja, niestety, z moją stratą nie widziałem. Ale zaledwie pozwoliłem ludziom mówić, a ku zdziwieniu mojemu musiałem usłyszeć wyznanie, że pierwszy dzień mar-



szu na wschód pod wodzą p. Bonny byłby dla Zanzibar-  
czyków sygnałem opuszczenia go gremialnego.

Słuchałem ludzi cierpliwie.

Można było spodziewać się, że z pośród pozostałych  
101 czy 102 ludzi tylko 60 przetrwa trudy wyprawy.  
Wszyscy wyglądali niewymownie nędznie, u wielu, jak  
się zdawało, serce było złamane, ale byli i tacy, których  
spojrzenia zdradzały nienawiść, upór i złość.

— No, dzieci, siadajcie — rzekłem — pomówmy spo-  
kojnie.

Kiedy usiedli naokoło mnie w półkołu, a po za nimi  
ugrupowali się nasi ludzie od jeziora, przemówiłem do  
nich:

— O moi biedni ludzie, dni płaczu i kłopotów już  
minęły. Otrzyjcie łzy i bądźcie weseli. Popatrzcie na tych  
silnych chłopców po za wami. Oni widzieli białego baszę-  
dzielili się jego dostatkiem mięsa, mleka i fasoli; słyszeli  
jego pochwałę ich dzielności. Oni to powinni płakać, ale  
z radości, ponieważ każdy krok ztąd zbliża ich do Zan-  
zibaru. Powróciliśmy od Jeziora, aby odszukać was, któ-  
rzy tak długo byliście straceni dla nas. Odszukaliśmy  
was, dzięki Bogu. Ale wszystko już minęło. Zmarłym  
nie mogę życia powrócić, ale mogę rozweselić serca ży-  
wych. Nie myślcie już o waszych kłopotach, ale żyjcie  
nadzieją lepszej przyszłości. Potrzebnem było, abyśmy ode-  
szli od was, by drogę utorować i pomódz białemu baszy,  
zanimby zginął. Powiedzieliśmy wam to wszystko, za  
nim odeszliśmy od was. Powinniście byli pamiętać nasze  
przrzeczenie, że powrócimy do was z dobrą wiadomością  
skoro znajdziemy tego, kogo szukamy. Dotrzymaliśmy sło-  
wa — a wy dotrzymaliście swego?

„Nie, wy straciliście zaufanie do nas, kiedy zbiedzy  
z naszego oddziału powracali do was i chcąc ukryć zbro-  
dnię zbiegostwa, opowiadali wam kłamliwemi usty, to, co

było nieprawdę, wy słuchaliście ich i braliście ich opowiadanie za prawdę. Czyż przynieśli oni list od którego z nas? Nie, ale znaleźliście przy nich srebrne zegarki i burnusy arabskie, złotem przetykane. Czyż zwykli tragarze znajdują takie rzeczy w lesie? Jeżeli tak, to powinniście byli spytać się ich: „Wracajcie i pokażcie nam miejsce, gdzie takie bogactwa znajdować można.” Tragarze owi skradli nam te rzeczy i zbiegli z niemi. Widzieliście te rzeczy, a przecież wierzyliście, że zostaliśmy wymordowani, że ja otrzymałem 17 ran, że wszyscy biali zostali wymordowani, prócz jednego, a ten poszedł do Ujdjidi. Jakżeż kiepski był wasz rozum.

„Co, około 400 Zanzibarczyków i 6 białych miało być wymordowanych, z wyjątkiem małej liczby, która poszła do Ujdjidi, zamiast powracać do was, swoich braci i przyjaciół? To zagłupie, aby temu uwierzyć. Sądziłem, że Zanzibarczycy są mędrszymi ludźmi, bo naprawdę widziałem mądrych.

„A skądżeż mogliście sądzić, że ja, żyjąc, mógłbym zapomnieć o was i o moich białych synach, których przy was zostawiłem. Gdzie ja mogłem iść, jeżeli nie do moich własnych dzieci, jeżeli byłem w biedzie i nie mogłem iść dalej? Czyż nasza długa nieobecność nie była dowodem że my prowadzimy dalej swoje dzieło, skoro nawet zbiedzy i złodzieje nie mogli uciekać gdzieindziej, jak do was?

„O, widzę to dobrze, z kąd się to u was wzięło. Leżeliście w obozie do góry brzuchem, gniliście i rozmyślali, aż choroba dotarła do mózgu. To szatan nasuwał wam sny o nieszczęściu i śmierci. Zamiast iść do małych panów i powiedzieć im o waszych obawach, mówiliście *Mambu Kwa Mungu* — to ręka boska. Nasi panowie nie kłopotczą się o nas, a my nie kłopotczemy się o nich.

„No, Feradji, ty jesteś przewodnikiem, więc powiedz,

jaki powód macie do skargi? Czy biali źle się z tobą obchodzili?

— Nie, oni byli dobrzy dla mnie, ale źli dla niektórych.

— Jakto źli, dla kogo?

— Dla ludzi zanzibarskich, jeżeli nie byli pilnymi.

— Ale dlaczego mieli być pilni? Czyż mieliście jakie ważne roboty?

— Nie, kiedy parowiec odpłynął, było mało do roboty, tylko była budowa wału, zamiatanie obozu, rąbanie drzewa i straże w nocy. Ale *goi-gois* (leniwi) nie chcieli przychodzić, kiedy ich wołano. Biali stawali się wówczas niecierpliwi i wołali głośniej. Wtedy *goi-gois* przychodzili zwolna, leniwie i mówili, że boli ich głowa, plecy, pierś, albo nogi. Wtedy panowie gniewali się i mówili, że to udanie. Powtarzało się to codziennie.

— Ale z kądkę zamiatanie obozu, rąbanie drzewa i stanie na straży mogło być ciężką robotą dla 250 ludzi?

— To nie była żadna praca.

— Czy karano jeszcze kogo oprócz *goi-gois*?

— Nikogo, oprócz złodziei.

— Czy mieliście dużo złodziei?

— Ja myślę, że wszyscy złodzieje z Zanzibaru przyłączyli się do wędrowców.

— To nie może być, Feradji, bo i my mieliśmy złodziei ze sobą, a zostało ich trochę także i nad morzem.

Sluchacze wybuchnęli śmiechem. Feradji od powiedział:

— To prawda, ale mieliśmy ich wielu. Codziennie ginęły sztaby mosiężne, kauri i ubrania. Zanzibarczycy oskarżali Sudańczyków, Sudańczycy Somalów, Soma'owie Zanzibarczyków i tak szło w kółko. Nie było nic pewne-

go. Czy się położyło co pod poduszkę, czy pod koldrę, czy się co związało i położyło pod głowę, to przecież rano już nic nie było. Naprawdę, bałem się, aby mi zębów nie skradli.

— Ale twoje białe zęby, Feradji, nie są kupione a może tak?

— Nie, dzięki Allahowi, urodziły się razem ze mną, ale tych, co o kradzieży myślą, zawsze obawiać się trzeba.

— To prawda, Feradji, ale dlaczego mogli kraść przez cały czas?

— Głód popychał ich do kradzieży. Głód zabił w bajce silnego lwa i zabije najlepszego człowieka.

— Głód! Co też ty mówisz o głodzie, skoro w pobliżu jest tyle pól manjoku?

— Manjok, paniel Manjok przez czas jakiś jest całkiem dobry, ale manjok ze sosem jeszcze lepszy.

— Ze sosem? Nie rozumiem ciebie, Feradji.

— No suchy manjok, — to znaczy manjok bez niczego, maniok rano, w południe, wieczór, nie tylko wiecznie maniok bez soli, ryby, mięsa, oliwy, masła albo jakiegokolwiek tłuszczu, któryby ułatwił polykanie, łatwo prowadzi do przesycenia. Dajcie przy manjoku coś do powąchania lub widzenia, a człowiek zanzibarski będzie zadowolony. Inaczej żołądek zamyka swoje drzwi i nie chce przyjmować, a ludzie umierają.

— To prawda, ale ja zostawiłem sól w magazynie; a sztaby mosiężne, kauri i perły były na to, abyście kupowali za nie ryby, banany i oliwę palmową.

— A, teraz zbliżasz się panie do głównej rzeczy. Dawno już nie otrzymywaliśmy nic z tych rzeczy.

— Ale skoro one były w magazynie, to przecież musiał być jakiś powód, dla którego wam ich nie dawano.

— Teraz przychodzimy znów do złodziejów, którzy

taką czynność rozwijali, że kradli nasze topory i sprzedawali je krajowcom w zamian za ryby. Ci, którzy jedli z nimi ryby, nie chcieli wydać złodziejów i dlatego nie wydano nam porcyj kauri i sztab mo iężnych.

— Mimo to, Feradji, manjok jest pożywieniem bardzo dobrem, chociaż suchem. Pomyśl przecież, że żyją nim wszyscy czarni od Banana do Wodospadów Stanleya; dlaczego nie mogli nim żyć Zanzibarczycy tej wyprawy, jak to czynili przy mnie poprzednio przez sześć lat nad Kongo. Nie widzę przyczyny, dlaczego manjok w przeciągu 11 miesięcy miał zabić 100 ludzi. Powiedz mi, kiedy ludzie zaczęli chorować.

— Kiedy ty, panie, odszedłeś, był może tuzin chorych, a ci cierpieli na wrzody na brzuchu i piersiach. Niektórzy wyzdrowieli, ale później, może po czterech tygodniach, było wielu bardzo chorych, chudli coraz więcej, aż w końcu umierali, a my pogrzebaliśmy ich i kiedy przybyli nasi przyjaciele z Bolobo, zdawało się nam, że oni wyglądają lepiej, niż my w Jambuja. Oni byli grubi i silni, my szczupli i umierający. Potem za miesiąc także i ludzie z Bolobo zaczęli chorować i umierać, tak że codziennie grzebaliśmy jednego, dwu, albo trzech naraz. Niezadługo nie było już różnicy pomiędzy ludźmi z Jambuja, a z Bolobo.

— Czyż u was była cholera, ospa, gorączka?

— Nie, ludzie nie umierali na żadną z tych chorób. Może Somalowie i Sudańczycy nie mogli przyzwyczaić się do tego klimatu, ale to nie klimat zabijał ludzi zanzibarskich. O...

— Mówisz, że nie zabijał ich ani ból, ani ciężka praca, ani cholera, ospa, febra, ani klimat?

— Nic z tego nie zabijało Zanzibarczyków.

— Czyż ich strzelano, wieszano, truto lub topiono?

— Tego wszystkiego nie było. Ożłowieka porzą-

dnego i dobrego nie karano, a z siedmiu dni tygodnia jeden był dla nas.

— Ale na imię proroka Mahometa, popatrz na tych 40 ludzi, którzy tu siedzą przedemną. Patrz na ich wielkie oczy, policzki zapadnięte, cienkie nogi i wystające żebra. Widzisz ich? Co to uczyniło ich takim?

— To Bogu wiadomo.

— A przecież oni chudną, człowieku i pomrą.

— To prawda.

— No więc powiedz, co ich zabija.

— Nie mogę powiedzieć ci tego, panie; może to taki los ich, może tak być musi.

— Ale ba! Bóg dał wam wszystko najlepsze. Dał wam oczy do patrzenia, ręce do brania, nogi do chodzenia, dobry żołądek do trawienia potraw i rozum, abyście mogli kierować się na drodze żywota. Nie mów, że Bóg stworzył silnych ludzi na to, aby ginęli w ten sposób. Chcę i muszę wyszukać przyczynę tego. Mówże ty do mnie, Selimie, synu Raszyda. Syn mądrego ojca powinien powiedzieć kilka mądrych rzeczy. Śmierć jest pomiędzy wami, a ja chcę wiedzieć, dlaczego. Powiedz mi ty, dlaczego ty i twoi towarzysze, którzy zyliscie w obozie przez cały rok, mogliście stracić więcej życia, aniżeli my w czasie naszej podróży przez ten wielki las, mimo głodu i ciężkiej pracy?

Selim odparł skromnie.

— Nie jestem mądry i cały świat wie o tem. Jestem tylko młodzieńcem i tragarzem, który przybył tu, aby dźwiganiem towarów przez kraj pogan trochę pieniędzy zarobić. Ile siły posiadam, tyle oddaję chętnie właścicielowi karawany. Działy się z nami gorzkie rzeczy, kiedy ty, panie, nie byłeś przy nas. Od czasu jak tu jestem, straciłem brata. Ty, panie, musisz wiedzieć, że suchy manjok i woda nie są dobre dla syna Adama. Skoro nasi przyjaciele i krewni chorowali i umierali, to zapewne

przyczyną tego był manjok. Ja jestem, dzięki Bogu, zdrow i silny, ale przeżyłem dni, w których sprzedałbym chętnie wolność moją za dobry obiad. Szukałem codziennie tego, coby mogło przydać się do zapełnienia żołądka i żyłem tem z dnia na dzień, aż dzięki Bogu i prorokowi, ty panie, powróciłeś do nas. Ale panie, nie wszyscy ludzie równi, nie u wszystkich też rozum równy: może ludzie biali różnią się między sobą także tak, jak my czarni, bo widzę, że jedni są bogaci, drudzy ubodzy, jedni obsługują maszyny w brzuchu okrętu, a drudzy chodzą po pokładzie i rozkazy wydają.

— Aha, Selim umie mówić, szeptał tłum.

Zachęcony tem, mówił Selim dalej:

— Nie ma wątpliwości, że główną przyczyną był maniok. Był to gatunek najbardziej gorzki, a my wszyscy znamy skutki jedzenia go. Znamy chorobę, drżenie nóg, osłabienie muszkułów, ból głowy, jakby ją kto żelazem okuł, i jakby ziemia kręciła się około miejsca, na którym stoimy, znamy ataki omdlenia. Mówię, że my wszyscy czuliśmy i widzieliśmy to u innych. Niektórzy z nas próbowali uczynić główki jadalnymi, ale drudzy byli za słabi do tego, albo za leniwi. Przez jakiś czas sądziliśmy, że w każdym obozie naszym są tylko groby. Nie mieliśmy mięsa, ani soli, ani tłuszczu, ani sosu. A jeżeli gardło jest suche, po czemże potrawa prześlizgnie się przez nie? Jeżeli żołądek wstręt czuje, potrzeba tylko trochę sosu, lub tłuszczu, aby potrawę jeść można.

„Wiedzieliśmy, że za kilka tygodni mamy wyruszyć do Wodospadów Stanleya lub w górę rzeki i postanowiliśmy, że wszyscy opuścimy służbę u białych ludzi. Śmierć była pomiędzy nami i jest jeszcze, a nikt nie wie, co jest przyczyną tego. Ja sam nie wierzę, by to ztąd pochodziło, że pracujemy dla białych, ale niektórzy z nas tak myślą. Ale zanim ty, panie, przyszedłeś, wszyscy mówili-

śmny, że dosyć nam tego, co przeżyliśmy. Powiem coś jeszcze, a to tak; dziwiliśmy się, dlaczego my, którzy do tego kraju należymy, musimy umierać, a ludzie biali, którzy są tutaj obcymi, żyją. Kiedy byliśmy nad rzeką Kongo i w drodze, umierali biali, ale nie my. Teraz my umieramy i to sto czarnych, a tylko jeden biały. Nie, panie, przyczyną śmierci jest pożywienie. Biali mają kozinę, kury i ryby, a my nie mamy nic, jak tylko manjok i dlatego umieramy. Powiedziałem, co do mnie należało.

— A teraz na mnie mówić kolej. Słuchałem was i namyślałem się i zdaje mi się, że wszystko jest dla mnie jasne. Mówicie, że w Jambuja pożywieniem waszem był manjok, że to on przyprawił was o chorobę i że dlatego ludzie wasi wymierali?

— Tak.

— Mówicie, że ludzie z Bolobo, przybywszy do Jambuja, wyglądali dobrze?

— Tak.

— Ale zachorowali później i także umierali?

— Tak.

— Co jedli ludzie z Bolobu, kiedy tam byli?

— *Czikuanga*.

— Tak, a czymże jest *czikuanga*, jeżeli nie chlebem z manjoku.

— To prawda.

— A czy wy robiliście chleb z manjoku?

— Niektórzy z nas.

— I niektórzy z was pozostali przy życiu. A teraz w rzeczy tej jest taka prawda. Chodziliście na pola i zbieraliście główki manjoku, które wówczas były bardzo piękne i dobre; ścinałście także liście manjoku i przynosiłście je, aby je pokrajać i jeść jako jarzynę. Ten manjok należy do gatunku gorzkiego. Jego smak gorzki jest



trucizną, która może zabić nietylko jednego, ale nawet wszystkich ludzi.

„Gdyście główki rozłupali, skrajaliście kilka surowych krążków i jedliście je; tłukliście liście w stępie i jedliście je jako *kitoweo*. To dwa wypadki, w których jedliście truciznę.

„Tymczasem ludzie z Bolobo kupowali chleb manjokowy od kobiet krajowych. Te ostatnie moczyły główki manjoku w rzece przez 5 lub 6 dni, dopóki trucizna zupełnie się nie wysączyła, następnie zdierały włókna, pozostałą resztę suszyły, a dopiero potem chleb z tego robiły. Oto, co ludzi z Bolobo nasycalo i czynilo ich tłustymi. Ludzie z Jambuja manjok zeskrobywali, korzenie krajali w kawałki, suszyli je na słońcu i przy tej sposobności zjadali niejedyn kawałek surowy, zanim wysechł ponieważ nie mieli zapasów żywności, a byli głodni. Nawet ci z was, którzy główki wkładali do wody, aby wymiękły, zjadali piękne kawałki, a wy gotowaliście liście, aby jeść je z chlebem, źle przyrządzonym. Kto tak czynił, był naturalnie chory i umierał. A ludzie z Bolobo, przybywszy tu, czynili to samo, co ludzie z Jambuja i po niejakiem czasie chorowali i również wymierali. Oto przyczyna, dlaczego w Jambuja znajduje się 100 grobów i dlaczego jest tu tak dużo chorych. Z ludzi białych nie umarł ani jeden, ponieważ mieli ryż, fasolę, chleb twardy, mięso z kur i kóz. Gdyby to klimat waszych przyjaciół zabijał, to biali, którzy są jeszcze mniej przyzwyczajeni do niego, byłiby najprzód pomarli tak, jak było nad Kongo.

„Wy powinniście byli codziennie po dwa lub trzech ludzi od każdego ogniska wysyłać, by zbierali manjok i moczyli go w rzece, abyście mieli zawsze dostateczny zapas gotowej mąki. Gdybyście to robili, naówczas miałbym tu około 200 ludzi zwinnych, silnych i do marszu do Zanzibaru gotowych.

„A teraz uważajcie, co wam powiem. Jedzcie<sup>ie</sup> manjoku tak mało, jak tylko można. Idźcie, zbierzcie manjok, włóżcie do rzeki, aby wymókł, a nim się to stanie, jedzcie banany i figi. Za dzień jeden lub dwa chcę wyruszyć w dalszy pochód; chorzy będą odwiezieni ztąd na wielką wyspę, oddaloną ztąd o kilka godzin marszu, gdzie musicie przygotować mąkę na dni 20. Ci, którzy nie mogą zebrać poddostatkiem bananów, mają robić rosztę nad ogniskami, krajać banany w cienkie krążki i suszyć je do rana; następnie róbćcie z nich mąkę i jedzcie, a będzie to dobre tak dla białych, jak i dla czarnych. Jutro przyjdźcie znów wszyscy do mnie; wasze brudne lachmany wrzucicie w rzekę, a ja dam wam nowe ubranie. Tymczasem weselcie się i dziękujcie Bogu, że my przybyliśmy do was, aby ocalić was od śmierci.

Przynieśliśmy balsam dla niezadowolonych i rozpaczających. Wpływ piękności kraju łąk, jego bogactwo zboża i jarzyn, zapasy żywności wpłynęły w umysł ludzi w straży przedniej tak bardzo, że przedmiot ich opowiadań nawet najospalszy umysł napęłnić musiał nadzieją, że kiedyś będą znów dobre czasy. Ludzie, którzy patrzyli na piękny kraj i apetyt swój zaspokajali jego bogactwem, nie mogli naopowiadać o szczegółach, które miały tak wielki powab dla ludzi, wiedzących z gorzkiego doświadczenia, co to głód znaczy.

Czyż można było wątpić, że uludne obrazy kraju łąk potrafią odwieść chorych w Banalja od zamiarów ucieczki? Mleko i miód, mięso i fasola, zapłata i nagroda miały większą siłę przyciągającą, aniżeli suszone ryby Wodospadów Stanleya, bat pana arabskiego i przyszłość niepewna.

Chmura, jaka członków straży tylnej przygniatała, zaczynała już znikać. Ale najprzód potrzeba było oddalić wszystkich z bezpośredniego sąsiedztwa Banalia, miejsca tragicznego, gniazda rozruchów i nieszczęścia. Posłań-

cy, wysłani d. 17 sierpnia do Tippu-Tiba z wiadomością o naszym przybyciu, przybędą do niego dnia 24. Doniosłem Tippu-Tibowi, że będę czekał na niego dziesięć dni, a nawet i z tak krótkiego czasu ludzie od jeziora Alberta, którzy słyszeli o niedotrzymaniu słowa przez Araba, byli niezadowoleni. Ale zwłoka była potrzebna nietylko dlatego, aby Tippu Tibowi dać trochę czasu, ale także, aby p. Jameson, który miał być u Wodospadów Stanleya, mógł połączyć się z nami. Następnie potrzebny nam był czas na reorganizację wyprawy i na nowe opakowanie towarów, które znajdowały się w strasznym nieładzie dlatego, że Tippu Tib chciał, aby toboły zmniejszyć tak, by mogli nosić je nawet młodzi tragarze.

Po trzydniowym wypoczynku przewieźliśmy w kanoe wszystkich chorych i towary na wyspę Bungangeta. Wszyscy Manjemowie pomaszzerowali łądem do obozu nawprost wyspy. W czasie naszego pobytu w Banalja Ugarrowa przybył od Wodospadów Ós i zajął większą wyspę, tak że musieliśmy płynąć do odleglejszej, która pod niejednym względem była jeszcze dogodniejszą dla nas. Kolumna łądowa przybywała za nami przez trzy dni w drobnych oddziałach, a maruderzy przyszli dopiero wieczorem d. 24, chociaż szli tylko  $9\frac{1}{2}$  km. P. Bonny przybył d. 22. Straż przednia przebyła tę przestrzeń w r. 1887 w przeciągu czterech godzin, ale w tym czasie Arabowie zniszczyli wielką osadę po drodze. Ten krótki marsz, ciągnący się przez trzy dni, dowodził, że potrzebna jest koniecznie zupełna reorganizacja i gruntowny przegląd. Wskutek ucieczki kilku Manjemów straciliśmy także cztery toboły i dwa karabiny. Wogóle było wyborny pochód próbny, który dowiódł zupełnej niezdatności tego stada niewolników, o które oficerowie straży tylnej ledwie nie oszaleli. Bez Tippu-Tiba, albo bez którego z jego siostrzeńców niepodobna było kolumnę tę prowadzić przez las olbrzymi,

gdyż przy takim pośpiechu dotarlibyśmy do jeziora Alberta dopiero w ciągu 450 dni. Pp. Jameson i Bonny potrzebowali 43 dni, aby przebyć 145 km.

Pozostaniemy do dnia 31 sierpnia na wyspie, ochładzanej przez wiatr, gdzie rozdzieliliśmy pomiędzy ludzi sukno, perły, kauri i sztaby mosiężne, a mianowicie każdy człowiek z oddziału Manjemów otrzymał prawie 30 metrów sukna, 3 funty kauri, 1 funt pereł i 15 sztabmosiężnych, zaś ludzie należący do straży tylnej, połowę tej ilości; ogółem ludzie ze straży przedniej otrzymali towary wartości 760 funt. szterl., zaś ludzie z Banalia wartości 283 funt. szterl. Wszyscy zasłużyli na to, ale ostatni otrzymali dobre ubranie, zaś ludzie, którzy powrócili od jeziora, byli jeszcze ubrani w skóry kozie i materyał z kory drzewnej. Ta drobnostka, którą każdy otrzymał, pozwalała żyć im w spokoju, ponieważ oddział Ugarrowy za małym wynagrodzeniem w suknie i innych artykułach z przyjemnością robił mąkę, placki manjokowe i chleb.

Oprócz przywracania porządku w towarach, przy czem potrzebny był osobisty dozór z mojej strony, musiałem pisać raporty do komitetu Emina baszy, tudzież do król. Towarzystwa geograficznego w Londynie i Edyngurze, które przyczyniły się do pokrycia kosztów wyprawy, i targować się z przewodcami Manjemów. Jednego dnia przyrzekali wierność, a nazajutrz napełniali mi uszy skargami swoich ludzi, na straty wskutek chorób, zbiegostwa, kradzieże, pogróżki itd. Na wszystkie skargi odpowiedziałem podobnie, jak powiedziałem w liście moim z d. 17 do Tippu-Tiba. „Nie chcesz iść z nami, dobrze, chcesz iść, także dobrze. Działaj wedle twojej wolnej woli. Nie potrzebuję ciebie, ale jeżeli pójdiesz ze mną, przydasz mi się i zapłacę ci stosownie do ilości towarów, jakie twoi ludzie poniosą”. Niektórzy rozumieli to tak, jakbym pozwalał na to, by robili, co im się podoba, ale trzech nie-

czelnicy powiedzieli mi, że są gotowi iść ze mną. Przyjąłem ich na tych warunkach, i jeżeli dobrowolnie towarzyszyć mi będą przez dni 30, powierzę im następnie towary.

Przeгляд wyprawy dnia 29 sierpnia wydał rezultat następujący:

|                                           | ludzi | tragarzy |
|-------------------------------------------|-------|----------|
| Zanzibarczycy, zdolni do noszenia tobołów | 165   | } 283    |
| tragarze Madiowie                         | 57    |          |
| „ Manjemowie                              | 61    |          |
| Sudańczycy i oficerowie                   | 21    |          |
| chorzy Zanzibarczycy                      | 45    |          |
| Somalowie                                 | 1     |          |
| Żołnierze Emina baszy                     | 4     |          |
| Naczelnicy Manjemów, kobiety i towarzysze | 108   |          |
| oficerowie i służba                       | 3     |          |
|                                           | <hr/> | <hr/>    |
|                                           | 465   | 283      |

Wykaz towarów:

|                     |              |
|---------------------|--------------|
| prochu              | 37 skrzyń    |
| nabojów Remingtona  | 83 „         |
| „ Winchestera       | 11 „         |
| „ do armatki Mazima | 9 „          |
| perł w workach      | 19 „         |
| kauri               | 6 „          |
| drutu mosiężnego    | 4 „          |
| sukna               | 17 „         |
| różnych             | 44 „         |
|                     | <hr/>        |
|                     | —283 tobołów |

Prócz tego mieliśmy jeszcze toboły z różnych przedmiotów, które były potrzebne, dopóki wszystko wieszono

na czólnach, jak specjalna amunicya, żywność dla krajowców, liny itd., lecz były one niezbędne na lądzie. Chociaż mieliśmy 53 tragarzy więcej, niż tobołów, ale też można było spodziewać się, że wskutek choroby, ran lub śmierci liczba tragarzy zmniejszy się. Tymczasem chorym powodziło się dobrze. Około 60 z nich wieziono na czólnach i żywiono mąką bananową i jarzynami. Za to było mało kóz i kur, ponieważ Ugarrowwa spustoszył brzegi.

W czasie naszego pobytu na wyspie Bungangeta nadszedł list p. Jamesona z d. 12 sierpnia. Chociaż pisał, że zamierza płynąć do Bangala, posłaniec mówił, że popłynie zapewne do Banana Point. Skoro od Wodospadów Stanleya płynął w dół rzeki, oddalał się dobrowolnie od wyprawy i nie mogło skłonić mnie do czekania na niego jeszcze dłużej w okolicy Banalja. Oficerom w forcie Bodo, Eminowi baszy i Egipcyanom dałem słowo, że d. 22 grudnia, lub około tego dnia będę w pobliżu fortu Bodo, a około 16 stycznia nad Njanza. Naturalnie przykrą nam była strata p. Jamesona dla wyprawy, ponieważ zapiski wyprawy przemawiały za nim bardzo gorąco, ale śmiertelność wśród straży tylnej nie powinna uszczuplać naszej liczby, a załoga fortu Bodo nie powinna dziwić się z powodu naszej długiej nieobecności, ani tracić głowę z powodu niedotrzymania słowa przez nas. Napisałem do pana Jamesona, że jeżeli może zwerbować 60 ludzi i pójść naszym śladem, to łatwo nas dopędzi. Ale jak czytelnikowi już wiadomo, a o czem my podówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, p. Jameson umarł na 12 dni przed napisaniem mojego listu.

D. 30 sierpnia odesłałem całą flotyllę moją, złożoną z 29 kanoe i 12 statków, należących do Ugarrowwy, aby przewieźć p. Bonny, 239 ludzi, uzbrojenie, żywność i garnki do gotowania do miejsca lądowania powyżej rzeki Rendi, w odległości 8 km., podczas gdy kolumna lądowa otrzy-

mała rozkaz maszerować dalej naszą dawną ścieżką, aż do najbliższej wioski. Skoro podróżni wyszli z kanoe, te ostatnie powróciły na wyspę.

Skoro do następnego poranku upłynęło już 13 dni od czasu wysłania listu do Tippu-Tiba, a nie otrzymałem odpowiedzi, wyruszyliśmy w ostatnią podróż z wyspy Bungangeta przez las na wschód. Wsadziliśmy na kanoe 225 ludzi, 275 tobołów, zapasy mąki, uzbrojenie prywatne ludzi itd. i mimo upału wiosłowaliśmy przez 6 godzin w górę rzeki, dopóki nie przybyliśmy do naszego dawnego obozu poniżej dolnej Mariri. D. 1 września przybyliśmy do dolnego krańca miejsca, w którym prąd Mariri był bardzo gwałtowny. Ponieważ Zanzibarczycy zapomnieli, że towary trzeba tu nieść łądem, musieliśmy posłać posłańców do południowej Mupy, gdzie znajdował się Bonny, aby zamtąd sprowadzić pomoc.

Ugarrowwa towarzyszył nam ze swoją flotyllą, aby zebrać jeszcze więcej kości słoniowej i stanął obozem we wsi Górnej Mariri. Skorzystałem z jego obecności, aby poprosić go o przesłanie moich listów do towarzystw geograficznych angielskiego i szkockiego; ale d. 4 września odwiedził on mnie jeszcze raz w południowej Mupe w towarzystwie siostrzeńca Tippu-Tiba, Selim ben Mohammeda. Był to mężczyzna wzrostu średniego, ruchliwy, wysmukły, o regularnych rysach arabskich, ale zeszpecony bardzo ospą, a w twarzy jego jaśniały odwaga i zuchwałość.

Obraz jego skreślony przez p. Bonnyego i nieżyczliwość, jaką on sam okazał majorowi, kazały mi sądzić, że źle określałem jego charakter, tymczasem rozmowa z nim potwierdziła mniemanie, jakie miałem pierwiej o nim i o Tippu-Tibie. Obaj Arabowie byli zdolni do przelewu krwi pogan, nie czyniąc sobie najmniejszego skrupułu z tej zbrodni, że jednakże spisek przeciw Arabom lub białym

uknuć mogą tylko przez zemstę. Ponieważ zaś żaden nie miał powodu przemyśliwania nad zamordowaniem Barttelota, albo nad zniszczeniem straży tylnej, nie można przypuszczać, by nawet spodziewali się czegoś podobnego. Nie mogą przeczyć, by Tippu-Tib wysłał oddział tragarzy na Aruwimi, lub by go sam prowadził, ale nie mogą wierzyć jego tłumaczeniu się, że oddział ów powrócił tak prędko, ponieważ obozu odszukać nie potrafił. Odwrót ów dowodzi, że przyrzeczone wynagrodzenie nie było mu dostateczne, i że nie trzeba było liczyć na niego. Ale kiedy młodzi oficerowie pisali i błagali, wuj i siostrzency przekonali się, że usługa, której domagali się tak pilnie, posiada wartość i wskutek tego podnosili swoje żądania, nie w złej myśli, ale z chciwości. W chciwości tej zapomniał o zobowiązaniach pisemnych, o wdzięczności, jaką był mi winien. Major nie posiadał środków na zaspokojenie ich żądań, zaś godny wujaszek i jego siostrzeniec sądzili, że Barttelot i Jameson są bogaci i że wyprawę przedsięwzięto pod protektorem ludzi zamożnych.

„Ha — mówili sobie — skoro nas tak gwałtownie potrzebują, niechaj płacą. Stanley był wprawdzie dobrym dla nas, ale człowiek nie może pracować darmo dla przyjaciela, to za droga cena dla przyjaźni” i w ten sposób śrubowali cenę coraz wyżej. Jeżeli zdawało się, że Tippu-Tib jest obojętny, to on wiedział dobrze, że musi przybrać taką minę, aby podarkami wprawiano go w lepszy humor; jeżeli Selim ben Mohammed był guiewny i mówił, że czuje się obrażonym, major otwierał swoje skrzynie i wybierał dla niego pstry mundur, albo posyłał mu karabin wartości 45 gwinej, sztukę sukna, albo parę rewolwerów w oprawie z kości słoniowej; a jeżeli szwagier Selim ben Massud mówił do majora z dumą, otrzymywał zaraz sowity podarek.

Selim powiedział mi, że przybył osobiście, aby dać



mi odpowiedź ustną na mój list z d. 17 sierpnia, a otrzymał od wuja rozkaz wysłania natychmiast posłańców z tem, co ja powiem.

Niezdolność Arabów w rozumieniu tekstu podpisaných przez nich umów, ich sporne i chwiejne usposobienie, ich brak pamięci co do danego słowa, lekkość, z jaką przyrzeczenia i umowy łamali, ich niedowierzanie, nie szczerość i obluda, ich dar sypania komplementów wśród deszczu *Maszallah* i *Inszallah*, okazały się przy tej rozmowie lepiej, niż kiedykolwiek. Selim mówił, że Tippu-Tib przysłał go, aby spytać się, co my czynić zamierzamy. Pyta się o to po sześciu listach, jednym w języku angielskim, a po pięciu w arabskim i Suaheli, z dnia 17 sierpnia!

— A więc uważaj. Selim, rzekłem — gdybym podejrzewał, że ty albo Tippu Tib w jakikolwiek sposób brałeś udział w zamordowaniu mego przyjaciela, nie wyszedłbyś z tego obozu żywy. Dotąd poznaliście mnie tylko z jednej strony. Ale ja wiem i wierzę z całego serca, że ani ty, ani Tippu-Tib nie jesteście winni śmierci majora. Możemy zatem mówić bez gniewu tak, jak dawniej. Tippu-Tib nie zrobił mi więcej szkody, jak to, co konsul i Seyid z Zanzibaru sami mogą załatwić. W ich ręce oddam całą sprawę. Powiedz swemu wujowi, że koszta przewozu z Zanzibaru do Wodospadów Stanleya jego i jego 96 towarzyszy, tudzież strata w towarach, karabinach, prochu i nabojach będą musiały być zwrócone, a strata czasu całej wyprawy wynagrodzona. Powiedz mu, że może robić, co mu się podoba, ale ja go w końcu przecież złapię. On szkodzić mi nie może, ale ja jemu potrafię. Powiedz mu, niech zastanowi się nad tą sprawą, a dojdzie do przekonania, że przecież lepiej jest dać w ostatniej chwili dowód, że będzie się starał poprawić w przyszłości. Jeżeli będzie się starał o to, jeżeli zgromadzi swoich ludzi i do-

pędzi mnie, zanim przez dni 50 przeprawię się z wyprawą przez Ituri, to może mieć nadzieję, że nabiorę lepszego przekonania o nim i nie pójdę do sądu.

— Bardzo dobrze, słyszę wszystko, co pan mówi. Dziś wieczorem powrócę do Banalja, Ugarrowwa pożyczę mi swoich łodzi. Za ośm dni będę u Tippu-Tiba, a 17 dnia tu z powrotem. Dopędzę pana przed upływem 40 dni.

— Dobrze, odpowiedziałem, lepiej pożegnajmy się tutaj, bo nie zobaczymy się prędzej, jak mnie więcej za 18 miesięcy w Zanzibarze.

— Dlaczego?

— Ponieważ ani ty, ani Tippu-Tib nie macie nawet cienia zamiaru dotrzymania słowa. Ty miałeś rozkaz odesłania do Wodospadów Stanleya Manjemów, którzy są przy mnie. Ale to nic nie szkodzi. Zabierz ich sobie, bo powtarzam raz jeszcze, nie jesteście w stanie zaszkodzić mi.

— *Inszallah, Inszallah*, niechaj serce pana będzie w spokoju; przysięgam, że zobaczymy się prędzej, niż za dni 40.

Biedny Selim! Odemnie poszedł wprost do przewodników Manjemów i próbował namówić ich do powrotu, czemu jednakże wszyscy odmówili. Selim rozgniewał się z tego powodu i groził im, wskutek czego przewodnicy przyszli do mnie z prośbą o pomoc.

Uśmiechając się, rzekłem do Selima:

— Co mi przyrzekłeś, dotrzymałeś, wróciłeś bowiem do mnie przed 40 dniami. Ale co to ma znaczyć? To są niezależni naczelnicy Manjemów, których Tippu-Tib przysłał na to, aby nam towarzyszyli. Słuchają zatem tylko rozkazów Tippu-Tiba. Zostaw ich w spokoju, Selim, bo oni chcą iść z nami. Sądzisz, że nie? Tak, to wystarcza. A teraz siadaj do kanoe, bo w przeciwnym razie my odbędziemy dwa marsze, a ty jeszcze ztąd nie odjedziesz,

a pamiętaj, że przyrzekłeś dopędzić mnie przed czterdziestu dniami.

D. 5 września przybyliśmy do wielkiej osady plemienia Batunda, gdzie były pola kukurydziane i plantacye bananów, dotąd nie tknięte przez żadną karawanę. Ludzie ze straży tylnej potrzebowali dobrego pożywienia, aby odzyskać siły, a ponieważ nie było mięsa, bananami i kukurydzą gardzić nie wolno. Zatrzymaliśmy się tu przez dwa dni, w czasie których przekonaliśmy się, jak poważne szkody przynosi zetknięcie się z Manjemami. Oto chorowali oni na ospę i zarazili nią Madiów. Nasi Zanzibarczycy byli zabezpieczeni przed tą chorobą, ponieważ byłem tak przezorny, że na statku „Madura” w r. 1888 kazałem zaszczerpić ospę każdemu uczestnikowi wyprawy, ale wśród Madiów zaczęła ona szerzyć się z przerażającą szybkością. Następnie u Manjemów znajdowały się dwie kobiety, które oszalały, a właściwie cierpiały na kurcze histeryczne; jak przewodnicy mówili, były one przez diabła opętane i śpiewając w nocy, przeszkadzały w spaniu. Zdaje się, że ta mania śpiewania w czasie niewłaściwym była także przyczyną śmierci majora. Jeśli biedny Barttelot posiadał trochę słuchu muzycznego, to hałas ten ni-harmonijny mógł istotnie doprowadzać go do rozpacz.

Kobiety, sympatyzując z choremi towarzyszkami, często razem z nimi śpiewały, w przekonaniu, że sposób ten wywiera wpływ uspokajający, podczas gdy wszelkie środki przymusowe nie zmuszały nieszczęśliwych do milczenia, ale owszem chorobę jeszcze bardziej zwiększały. Ale chociaż śpiew miał jeszcze jakiś wpływ na nerwy cierpiących, dla nas był wielką plagą.

W osadzie tej dwu Zanzibarczyków, ludzi bardzo użytecznych liczących się do wyborowych, opuściło potajemnie obóz; urządzili oni wyprawę rabunkową przeciw Batunda, wpadli w zasadzkę i zostali zamordowani. W ten

sposób traciliśmy najbardziej przedsiębiorczych ludzi. Jeden z nich był przewodnikiem pierwszego oddziału już od chwili wyruszenia z Jambuja w r. 1887. Smutny wypadek dał mi sposobność zwrócić uwagę zaślepionych ludzi poraż setny na głupotę, jaką okazywali, ofiarowując życie swoje za jedną kozę, pracowali całe miesiące, aby wiernością i dzielnością zasłużyć na nagrodę, a potem wszystko grzebałi we wnętrzościach ludożerców. Darowałbym im bydło, owce, kozy, kury, garści srebra i sukno, wartości 1000 f. szterl., ale żaden z nich nie chciałby oddać mi swojej szyi pod topór. Ale dla jednej kozy przez cały czas, w dzień i w nocy pozwalali zabijać się i zjadać. Co za straszna niewdzięczność. Żalowali tego, przyrzekali na Allaha, że już tego czynić nie będą, ale naturalnie po dwu lub trzech dniach zapominali o przyrzeczeniach. To już taki ich zwyczaj.

Każdy, kto aż do tej pory towarzyszył autorowi w podróżach, zauważył, że wszystkie wypadki śmierci były prawie zawsze następstwem niedotrzymania słowa. Zdaje mi się, że u 999,999 ludzi najtrudniejszą rzeczą jest dotrzymać danego przyrzeczenia.

Wyznaję, że ci czarni, którzy tak lekkomyślnie łamali słowo, byli przekleństwem żywota mojego, przyczyną moich ustawicznych zmartwień i że w ich obecności nazywałem ich największymi idiotami. Niezawodnie 300 do 500 sztuk bydła pędziłbym z większą łatwością na odległość 800 km., niż taką liczbę czarnych. Gdybyśmy przykuli ich do łańcucha niewolników, byłoby im naturalnie niewygodnie, czuliby to i pierwsi oskarżyliby nas o srogość. Ale ponieważ nie mieliśmy ani łańcuchów, ani nawet sznurów, musieliśmy polegać na ich przyrzeczeniach, że nie będą wychodzili z obozu pojedynczo na szalone wycieczki, które kończą się śmiercią; ale przyrzeczeń nie dotrzymano dłużej, jak dwa dni.

Od ludzi Ugarrowy dowiedziałem się, że po drugiej stronie Buamburi mieszka szczep A Babua, u których panuje inny styl budowlany, ponieważ chaty są u nich obszerniejsze, wygodniejsze i czyste, a mieszkania otoczone werandami. Następnie opowiadano mi, że ci krajowcy są bardzo zdolnymi kowalami i że wszystkie ostrza dzid, noże, miecze i strzały są opatrzone w ozdoby. Pokazywano mi kilka nożów o dwu lub trzech klingach, a ja poznałem w nich charakterystyczne cechy plemion Mombutu i Niamniam, które Schweinfurth opisał w swoich „Artes Africanae”.

Maszerując dalej dnia 12 września na kanoe jechało 198 ludzi, zaś kolumna lądowa pod wodzą p. Bonny liczyła 262 ludzi.

Przybywszy do następnego obozu, niektórzy ludzie pod pozorem chęci zbierania liści phrynium dla przykrycia chat, znikli w lesie i poszli ścieżką w głąb kraju. Niektórym z nich udało się złowić parę kur, lub dostać trzcinny cukrowej, albo fig dojrzałych, innym zdarzyło się nieszczęście. Dwóch Manjemów zabito, jeden żołnierz Emina baszy otrzymał szeroką ranę w plecy, którą jednakże zeszyto i wyleczono. Następnie straż tylna doniosła, że dzicy ludożercy zamordowali w drodze 5 Manjemów, 3 Zauzibarczyków i 1 Sudańczyka i zjedli ich. W czasie marszu oddziału, dzicy ukryli się, poczem napadli na oddział ludzi z Banalja w czasie, kiedy wypoczywali i pomordowali ich. Dopiero przed pięciu dniami przestrzegalem wszystkich przed niebezpieczeństwem, na jakie narażają się wskutek włóczęgostwa. Jeżeli istotnie potrzeba było żywności, co zdarzało się co pięć dni, wówczas wysyłałem oddział furazerów, który przynosił taki zapas fig, że wystarczył na kilka dni, a figi te po wysuszeniu nad ogniem przez parę godzin można było długo przechowywać. Absolutna niezdolność dotrzymania słowa ze strony tych ludzi

i zupełna niemożebność zmuszenia ich do tego, sprawiły, że straciliśmy już 12 ludzi. Prócz tego wśród Manjemów i Madiów srożyła się oспа i zrzędziała codziennie wielkie spustoszenia pomiędzy nimi; nadto panował nieszczęśliwy brak karności, której w lesie nie można było utrzymać. Im więcej starałem się przywrócić porządek w tym tłumie, tem więcej przekonywałem się, że tylko kara śmierci może poprawić tych rabusiów. Skoro zatem krajowcy sami wykonywali na nich wyrok śmierci, ja byłem uwolniony od tego.

Tuż powyżej Manginni przewróciło się jedno kanoe z powodu niedbalstwa ludzi, lecz udaliśmy się tam natychmiast [z najlepszymi tragarzami, którym udało się uratować wszystkie towary, prócz skrzyni prochu i drugiej pereł; kanoe rozłupało się.

W Mambunga zatrzymaliśmy się przez dwa dni, celem poczynienia zapasów żywności dla marszu wśród pustyni, ciągnącej się aż do Engwedde. Z obozu tego Laki, czyli „sto tysięcy”, krzykacz i gaduła — posłaniec, który w czasie znanej bitwy pod Bandeja wołał był do swoich towarzyszy: „Oni przychodzą tu po mięso, dajcie im mięso, ale ich własne“, na czele swoich najlepszych przyjaciół wybrał się był na rabunek i powrócił po 24 godzinach z ciężką raną, zadaną zatrutą strzałą. Zastrzyknęliśmy w ranę antidotum i uratowaliśmy go, ale Laki był najmocniej przekonany, że życie swe zawdzięcza zielonym liściom tytoniu, które sobie do rany przyłożył.

Rozbijając obóz w lesie, bardzo często przestraszało nas nagle wyskoczenie z gęstwiny jakiegoś małego zwierzęcia, bardzo podobnego do dzikiej kozy. W kryjówe swojej pozostawało ono tak długo, póki prawie nie nadeptaliśmy na nie, i dopiero wówczas uciekało, ścigane przez setki zgłodniałych. Tą razą zwierzę przeskoczyło kilka kanoe i zanurzyło się w rzece. W tejże samej chwili za-

często gonić je; jeden po drugim wskakiwał w rzekę, aż cała jej powierzchnia pokryła się czarnymi głowami pływaków. Pożądliwość mięsa graniczyła tu z szaleństwem; od wypraw po nie nie wstrzymywała ich ani zatruta strzała, ani ostra dzida, ani garnek ludożerców; narażali się na wszystko, a w tym razie cała kompania rzuciła się w rzekę, borykała się z wodą, a może tonęła, tylko aby schwycić drobne zwierzątko, które zaledwie dla dwóch z nich wystarczy na obiad. Posłałem zatem pięć kanoe na pomoc szalonym. W odległości może  $\frac{3}{4}$  km. udało się młodemu chłopcu, nazwiskiem Ferasi. pochwycić zwierzę za szyję, mimo to, że bronilo się rozpaczliwie, to płynąc na powierzchni, to znów dając nurka; ale w tejże samej chwili pochwycił go tuzin towarzyszków i byłiby może wszyscy potonęli, gdyby kanoe nie nadpłynęły i nie uratowały zmęczonych. Ale biedny Ferasi! Zaledwie antylopę zarznięto, a na jej mięso rzuciły się setki, tak że dla niego pozostał tylko maleńki kawałeczek, który od razu włożył w usta, aby i tego mu nie odebrano.

Nazajutrz oddział rzeczny dotknęła katastrofa. Znajdowaliśmy się w pobliżu naszego dawnego obozu w połączeniu rzeki Ngula z Ituri. Tu jeden z ludzi na pierwszym kanoe został zraniony strzałą w plecy. Uratowaliśmy go jednak.

Nazajutrz oddział rzeczny dotknęła nowa katastrofa. Kucharz nasz Djabu, czując się niezupełnie zdrowym, siedział w tyle kanoe, podczas gdy towarzysze wysiedli na ląd i ciągnęli łódź przez miejsce, w którym prąd rzeki był zanadto bystry, gdy jakiś zuchwały krajowiec podsunął się cicho i strzelił do Djabu z łuku, tak że zatruta strzała strzaskała mu ramię i skaleczyła nawet szyję. Rana była tak mała, jakby od ukłucia szpilką, a przecież Djabu zdołał zaledwie zawołać: „Mohammed“ i padł martwy.

Następnie dotarliśmy do Wodospadów Panga.

W czasie naszego pierwszego pochodu w okolicy tej nie straciliśmy ani jednego człowieka od broni krajowców, ale od tej pory dzikich zachęciła do zaczepki łatwość, z jaką zabijali naszych czarnych, którzy byli nieostrożni, jeżeli biały ich nie kontrolował. Zbiegowie ze straży przedniej dostarczyli nędznikom nie jedną ucztę, a głupi czarni Bahuzu Ugarrowy padali ich ofiarą tak, że dzicy przekonali się, że, znając las, mogą urządzać polowania na ludzi tak łatwo, jak na kozy.

W przeciągu 30 dni straciliśmy 14 ludzi. D. 20 września jakiś prostoduszny Madi poszedł w gąszcz po opał a jakiś krajowiec przebił go oszczepem. D. 21 kobieta Manjemów w odległości zaledwie 50 kroków od obozu została przeszyta strzałą zatrutą i zmarła, zanim zdołaliśmy dobiec do niej. Aby dopełnić liczby, jeden z Zanzibarczyków z oddziału Banalja zmarł z powodu zatrucia się manjokiem.

Zaledwie przybyliśmy do następnego obozu przy Neddjambi, a około stu ludzi zgłodniałych pobiegło szukać fig. Pozostali w obozie mieli wiele do czynienia, ponieważ na jutro trzeba było omijać miejsce, w którym prąd rzeki był bardzo bystry i łodzie ciągnąć po lądzie. W tym celu musieliśmy wycinać drogę w lesie

Około zachodu słońca wielu furazerów powróciło z obfitym łupem, ale wielu spóźniło się i powracali zwolna tak że jeszcze po północy dawano sygnały wystrzałami i trąbieniem na rogach z kości słoniowej. Około godz. 9 nadeszła wiadomość, że dwu Zanzibarczyków zabito zatrutymi strzałami, a w godzinę później przyniesiono zwłoki Feradjego, komicznego przewodnika, którego przestuchiwałem w Banalja. Badając ciało jego, przekonałem się, że było okryte perlami potu. Rana była tak mała, jakby od ułucia szpilką. Mówiono, że otrzymawszy ranę, szedł jeszcze godzinę w kierunku obozu, prosił jednak następnie,



aby pozwolono mu spocząć, gdyż czuje się zmęczony. W 10 minut później zmarł w czasie wypoczytku.

Wkrótce potem przyniesiono do mnie Husseina ben Djuma, syna bardzo szanowanych rodziców z Zanzibaru; żył jeszcze, ale był bardzo osłabiony. Strzała przebiła mu prawe ramię i wbiła się ponad trzeciem żebrem na 2 i pół cm. Strzałę prędko wyciągnięto i pokazano mi ją; była pociągnięta jakąś ciemną smolą, o szczególnym zapachu. Ramię nie spuchło; chory mówił, że czuł się mocno osłabionym, ale zrobiło mu się lepiej, gdy wymiotował. Teraz miał pragnienie. Gdy obie rany dobrze wymyto, zastrzyknąłem 32 cgr. antidotum w każdą i dałem mu silną dozę wódki leczniczej.

Po 10 dniach Hussein był już zdrow zupełnie i powrócił do dawnych zajęć.

Późno po północy powrócił oddział z kurami i bananami, na szczęście bez wypadku. Nazajutrz rano Tam z Johanna w przystępie gorączki ospowej rzucił się do rzeki i utonął. Człowiek ten nie dał szczepić sobie ospy.

Przeciagnąwszy kanoe po lądzie na odległość 1 km, zatrzymaliśmy się na jeden dzień, aby zgromadzić żywność na pięć dni. W czasie ciągnięcia łodzi po lądzie, kilka z nich pękło, tak że flotylla nasza składała się już tylko z 22 kanoe.

Następnie poszliśmy do Avisibba i do dawnego obozu około Mabengu, gdzie to czekaliśmy tak długo na oddział Jephsona.

Nazajutrz odpoczywaliśmy. Wysłałem silny oddział po żywność na drugi brzeg Ituri. Powrócił popołudniu z zapasem bananów na kilka dni; przypędził także kozy i kury, tak że po raz pierwszy mogliśmy rozdać chorym z Banalja zupę i mięso. Powiedziano mi, że Manjemowie zupełnie na sposób rzeźników, zarzuęli jakąś kobietę, aby

zaspokoić pożądlivość mięsa, ale przewodnicy zapewnili mnie, że doniesienie jest zupełnie fałszywe, a ja gotów jestem wierzyć im, ponieważ Zanzibarczycy byliby upominali się o surowe ukaranie ich, gdyby istotnie odkryli tak haniebnny zwyczaj u tych ludzi.

D. 30 września przenieśliśmy obóz powyżej Avugadu, gdzie odkryliśmy dzikie pomarańcze. Znajdowały się tam również dzikie drzewa Mango i czerwone figi o smaku słodkawym, ale jeść ich nie było można, ponieważ nie posiadały cukrowej wydzieliny.

W drodze murzynka krajowa powiła dziecko. Kobieta stała nad małą istotą, a Zanzibarczycy zbliżywszy się do niej, i ujrzawszy niezwykły widok, zaczęli tłoczyć się około niej. Jeden z nich zawołał:

— Rzućcie to maleństwo z drogi do rzeki.

— Ale poco, skoro dziecko żyje? spytał drugi.

— A no patrzcie, jakie ono białe, to pewnie jakaś straszna choroba.

— O głupoto, ileż to złego wychodzi z twego czarnego łona.

— Ojczy, przebacz im, albowiem oni nie wiedzą, co czynią, pomyślałem, patrząc na mówiącego, który byłby słabą iskrą życia na miejscu zgasił, nie przeczuwając nawet, że dopuszcza się morderstwa.

Najwięcej zmartwienia sprawiały nam raporty o chorych na wrzody. Prócz tego, roztropny chłopak 13 letni, Saadi, który poprzednio usługiwał majorowi, nabawił się rany, wskutek czego na nodze widać mu było kość na 10 cm. Było także 15 chorych na ospę, którzy najśmielej chodzili pomiędzy naszymi Zanzibarczykami. Z tych jednakże tylko samobójca Tam nabawił się choroby.

Po przybyciu do Avedjeli, naprzeciw Nepoko, żona dobosza Manjemów, kobieta bardzo piękna, udała się do sąsiedniego ogrodu po jarzynę. Tam ukryła się horda

krajowców, która strzeliła do niej z łuków i zadała jej siedm ran. Krzyk jej zwrócił naszą uwagę i przynieśliśmy ją do obozu, lecz właśnie w chwili, kiedy chcieliśmy leczyć ją, upadła na bok, podniosła ramiona, raz jeszcze uściśnęła serdecznie swego męża, odetchnęła głęboko i umarła.

O, wy podróżnicy, którzy sądzicie, że Afrykańczycy nie wiedzą, co to miłość, przywiązanie lub zazdrość — cóż powiecie na tę scenę rozczulającą?

Mieliśmy także żonę jednego z Manjemów, kobietę wstrętne brzydką, okrytą cuchnącemi wrzodami, a przecież mąż pielęgnował ją bardzo czule i pieścił. Śmierć, śmierć wszędzie, codziennie i pod każdą postacią, ale miłość, najpiękniejsza miłość stała, jak anioł stróż w pogotowiu, aby śmierć upiększył!

W czasie wypoczynku d. 3 października kazałem otworzyć skrzynię p. Jamesona, zawierającą różne drobnostki, świadczące o pilności, przyrodnika, książki, zapiski i inne pomniejsze przedmioty, opieczętowano i zapakowano; inne rzeczy, dla ludzi cywilizowanych nie posiadające wartości, odrzucono.

Posłałem p. Bonnyego z 28 ludźmi wzdłuż Ngaija, aby przekonać się, czy ziści się moja nadzieja odkrycia drogi, któraby pozwoliła nam ominąć pustynię, ciągnącą się przeszło 300 km. wzdłuż południowego brzegu od Bazopo do Ibwiri. P. Bonny był po powrocie bardzo ucieszony i podziwiał zręczność Zanzibarczyków, z jaką pokonywali wszelką przeszkodę. W odległości 2½ km. odkrył on piękną wieś, otoczoną bogatemi plantacyami bananów. Przenieśliśmy obóz pośpiesznie do tej wsi, zwanej Bavikai, w nadziei, że ztamtąd będziemy mogli iść ścieżką, przechodzącą na północny wschód, aby następnie pójść 95 km. prosto do jeziora Alberta.

W zapiskach moich z dnia 5 października znajduję kilka uwag o febrze błotnej.

Kiedy szliśmy przez las, cierpieliśmy na febrę afrykańską mniej, niż w kraju otwartym pomiędzy Matadi a Stanley-Pool.

Długi pobyt w karczowiskach leśnych przypomniał nam zaraz, że nie przyzwyczailiśmy się do klimatu jeszcze tak, aby uniknąć febrы błotnej, kiedy jednakże byliśmy zamknięci przez las, febra występowała w formie łagodniejszej i dawała się wkrótce usuwać przez zażycie chininy w porę.

Na płaskowzgórzu Kavalli i Undussuma pp. Jephson, Parke i ja cierpieliśmy na przemian z powodu febrы, chociaż przeciętna wysokość tego kraju wynosiła przeszło 1370 m. ponad poziom morza.

Kiedy przybyliśmy na równinę nad jeziorem, położoną o 760 m. niżej, gwałtowne ataki febrы rzucały nas znów na łożę.

W Banana Point, położonej na takiej samej wysokości nad powierzchnią morza, febra jest ogólną.

W Boma, o 24 m. wyżej, pojawia się ona jeszcze częściej.

W Vivi zdarzyła się większa liczba wypadków febrы, niż w któremkolwiek innym miejscu; stacya leżała o 76 m. wyżej od Bomy, a w okolicy nie było ani jednego mocharu.

W Stanley Pool, około 335 m. nad morzem, grasowała febra o charakterze bardzo niebezpiecznym.

Kiedy płynęliśmy w górę Kongo, parci wiatrem z tyłu, byliśmy po większej części wolni od febrы.

Natomiast kiedy na Górnem Kongo wiał nam wiatr w twarz, mieliśmy najsilniejsze ataki febrы.

W czasie marszu nad Aruwimi w górę myśleliśmy rzadko o febrze afrykańskiej, podczas gdy w czasie po-

dróży na kanoe wśród przeciwnego wiatru przekonaliśmy się dobitnie, że aklimatyzować się można tylko powoli.

Z tego wynika, że na wysokości od 0 do 1500 m. ponad morzem nie jest się wolnym od febry, a powierzchnia wody na 65 km. szeroka, pomiędzy obozem a przeciwległym wybrzeżem jeziora nie daje stanowczej ochrony; że rzeka na 1600 km. długa może służyć za kanał, przenoszący febrę błotną w formie skoncentrowanej; że jeżeli gęsta ściana ochronna lasu dziewiczego znajduje się pomiędzy mieszkaniem a wielkim karczowiskiem lub krajem otwartym, na około mieszkań istnieje tylko niebezpieczeństwo lokalnej malaryi, której można pozbyć się przy bardzo małej uwadze pod względem konstytucji ciała; że jednakże w kraju otwartym nie chronią ani domy ani namioty, ponieważ powietrze wdziera się przez drzwi, pod progiem i przez okna i mieszkańców zatrzuwa.

Dowodzi to, że drzewo, wysokie krzaki, mury albo gęste ściany ochronne pomiędzy domami, a prądem powietrznym osłabiają tegoż wpływ febryczny, tak że mieszkaniec narażony jest tylko na działanie wyziewów miejscowych.

Emin basza opowiadał mi, że bierze on ze sobą zawsze siatkę przeciw moskitom, ponieważ sądzi, że jest ona wyborym środkiem ochronnym przeciw nocnym wyziewom miazmatycznym.

Pytam więc: Czy jeżeli podróżnik znajduje się w okolicy otwartej, nie osłabiałby działania febry respirator; sporządzony z muślinu?

Wysłałem trzy kompanie po 40 ludzi w trzech różnych kierunkach, aby zbadały ścieżki, prowadzące od Bawikai. Pierwsza zawikłała się zaraz w gęstwinie nad Ngaiju i stoczyła walkę z krajowcami, którzy ukryli się byli w ciemnych kryjówkach. Druga doszła szczęśliwie na północny wschód i spotkała wkrótce gromadkę krajowców z trzech

wsi, którzy jednego z naszych zranili zatrutą strzałą w głowę. Trzeci oddział dostał się z zagmatwaną sieć ściezek i szedł kilkoma w nich, które jeduakże kończyły się w plantacyach fig, albo w młodych krzakach. I ta kompania natrafiła na dobrze uzbrojonych dzikich, gotowych do walki zatrutemi strzałami. Byliśmy zatem zmuszeni powrócić przez rzekę znów na brzeg południowy.

D. 10 października widzieliśmy chmurę mólów, sięgającą od powierzchni rzeki do najwyższych szczytów lasu około 55 m. tak gęstą, że wzięliśmy ją z początku za mgłę. Chyżość ich lotu wynosiła około 3 mil morskich na godzinę.

Schwytana u katarakt Bafaido kobieta powiedziała nam, że 'po drugiej stronie rzeki mieszka plemię Medze, zaś po lewym brzegu Babandi.

W pobliżu Avejabu jakiś podstępny krajowiec, ukrywający się w krzakach, wszedł na naszą ścieżkę, pochwycił dziewczynę należącą do Manjemów i wbił jej swój obojętny sztylet w pierś aż do pleców, poczem wywijał broń nad głowę i wydawał dziki okrzyk, który miał znaczyć: „Smierć obcym”!

W następnym obozie około Awamburi zmarł dawny służący majora, mały roztropny Sandi i to na plecach tragarzy. Bandaż gipsowy, który zakrywał mu obrażone kości u nogi, był zniszczony złośliwym wrzodem. Od chwili opuszczenia wyspy Bangangeta Sandiego niesiono i pielęgnowano go bardzo troskliwie, ale brak ruchu, przebywanie w kanoe wśród straszego upału i ustawiczny deszcz popsowały mu żołądek, mimo to, że był z początku silny i zdrowy. Chłopak ten znosił cierpliwie swoje bóle, ale lekarstwa rezerwowe odesłano do Bangala, wskutek czego nie byliśmy w stanie pomódz mu.

D. 18 byliśmy około Ammii, gdzie drugi Zanzibarczyk zachorował na ospę. Dotąd byliśmy wolni od tej

choroby mimo to, że od czasu przybycia do Batundu mieliśmy stale 10 do 20 chorych w obozie. Może pomiędzy 620 Zanzibarczykami, którym kazaliśmy szczepić ospę, znajdowało się kilku opornych ospie ochronnej, ale mimo to nie było lepszego dowodu dobroczynnego wpływu odkrycia Jennera, jak w czasie tej wyprawy. Epidemia ta zagnieżdżyła się u Manjemów, Madiów i towarzyszy krajowych, i już wiele ofiar jej, obciążonych kamieniami, wrzucono w rzekę. Był to pogrzeb niezwykle, ale byliśmy zmuszeni do tego, ponieważ krajowcy szli śladem naszej wyprawy, aby zjadać zmarłych. Przekonaliśmy się o tem.

Jeden z przewodników Zanzibarskich, w pobliżu obozu, w czasie wiosłowania został tak pokąsany przez osy, że zwątpił o życiu i prosił, abym spisał jego testament, w którym cały majątek swój zapisuje bratu, znajdującemu się przy nas. Spełniłem jego życzenie, co go bardzo zadowolniło, ale mimo to wstrzyknąłem mu *Ammonium* i zapewniłem go, że mimo niegodziwych ós, Zanzibar jeszcze zobaczy. Nazajutrz był już zdrow i opowiadał każdemu, że lekarstwa białego człowieka mogą leczyć wszystko, nawet śmierć.

Doszedłszy powyżej Amiri, doznaliśmy kilka wypadków. Kilku nieposłusznych ludzi ze straży tylnej bez przewodników i rozkazów wpadłszy do plantacji bananów, zachowywali się tam jak dzieci; za karę zostali otoczeni przez krajowców, którzy trzech z nich ranili. Dwaj inni, z których jeden cierpiał bicie serca, a drugi był młodzieńcem słabowitym, oddalili się od ścieżki, aby ukryć się przed strażą tylną.

Od d. 1 września aż do dnia dzisiejszego straciliśmy 9 Zanzibarczyków, którzy zostali zamordowani, a nadto jednego wskutek samobójstwa, jednego wskutek wrzodu i dwu, którzy się zabłąkali. Z oddziału Manjemów 15 zostało zabitych, 1 zmarł na ospę; z Madiów zginęło 18

wskutek morderstwa lub ospy. Straty ogólne wynosiły zatem 44 ludzi w ciągu 49 dni.

Od Wodospadów Amiri do Avatiko trzeba było maszerować siedm dni przez okolicę bezludną i pozbawioną żywności. Po za Avatiko trzeba było maszerować jeszcze dwa dni, zanim moglibyśmy żywność zdobyć. Gdybyśmy w Avatiko żywności nie dostali, położenie nasze byłoby istotnie fatalne. Aż na odległość jednego dnia marszu przed Avatiko mogliśmy żywność zapasową wieść na kanoe. Nie było zaś rzeczą niemożliwą zabrać mąkę na 20 dni dla każdego, ale w takim razie ludzie muszą słuchać przewodnika, jeżeli chcą dokonać takiego dzieła.

D. 20 października wysłałem o świcie 160 zbrojnych w karabiny do plantacyj, położonych w odległości 8 km. od Wodospadów Amiri. Powiedziałem im, o ile dni marszu odległe jest Avatiko i że jeden dzień mają obrócić na gromadzenie żywności i na wysuszenie bananów, tak aby każdy z nich mógł przynieść 60 do 70 funtów i aby przy podziale każdy mógł otrzymać po 20 funtów t. j. na 10 dni. Doświadczenie nauczyło mnie, że lepsi z nich zabierają tyle, iż mają żywności poddostatkiem na dni 15, ale inni mimo przestrogi zabierają nie więcej, jak na cztery dni.

Popołudniu dnia 21 października przekonałem się ku mojemu zadowoleniu, że wyprawa udała się. Ilu usłuchało mojej rady, trudno było sprawdzić. Wszystkie oddziały wysłały połowę swoich ludzi po żywność, a każdy musiał oddać dwie pełne garście dla oficerów i chorych. Teraz rozchodziło się tylko o to, aby każdy szafował żywnością oszczędnie, a moglibyśmy iść przez straszną pustynię zupełnie spokojnie.



## ROZDZIAŁ XXII.

D. 23 października dotarła wyprawa do dawnej stacji Ugarrowwy, gdzie przenocowała w opuszczonych chatach.

W podwórzu naokoło wielkiego budynku naczelnika wyrósł ryż, ale ptaki zjadły wszystkie ziarna. Było tu wygodne pomieszczenie przeszło dla stu ludzi, i gdybyśmy tylko mieli zapasy żywności, przydałoby się wypocząć tu przez tydzień, ale w naszych stosunkach niebezpiecznie było zatrzymywać się tu jedynie z powodu wygodnej kwatery. Był to środkowy punkt wielkiego zniszczonego terytorium, przez które musieliśmy iść jak najpośpieszniej, aby nie umrzeć z głodu.

Nazajutrz poszliśmy do Bunda. Oddział rzeczny zwrócił tam na siebie uwagę dawnych poddanych Ugarrowwy. Chcąc uniknąć strzał, Manjemowie kładli się na dno kanoe, podczas gdy Zanzibarczycy powyskakiwali z najbliższych łodzi na brzeg i pospieszili nam z pomocą, aby ratować Manjemów, którzy siedząc w łodziach, służyli krajowcom za wyborną tarczę do celu.

Stan wody na Ituri był teraz wysoki, ponieważ cią-

gle padały deszcze. Rzeczki poboczne i strumyki na prawym brzegu były głębokie, wskutek czego oddział lądowy napotykał na ustawiczne trudności, przechodząc przez nie. Zaledwie przekroczył jeden strumień, brodząc w wodzie po pas i wyżej, musiał wchodzić w drugi. Wskutek tego ludzie musieli co chwila wyciskać wodę z ubrania. Klęli też z powodu złej drogi niemało. U ujścia głębszych rzeczek ustawiano kanoe jedno obok drugiego, by w ten sposób służyły za most dla karawany, której członków z powodu brudnego wyglądu nieraz miano za cel szyderstw. Niektórzy ludzie mieli błoto na brodach, innym ciekła woda z ubrania, jeszcze inni poślizgnąwszy się na zaimprovizowanym moście wpadali do wody, co za każdym razem wywoływało śmiech głośny i wesołość. Oddział lądowy musiał w tym czasie przechodzić przez 32 rzeczek i strumyków.

D. 25 października doszliśmy do obozu naprzeciw ujścia rzeki Lenda. Szliśmy dobrze, a w notatkach swoich znajduję z tego powodu następującą uwagę, zapisaną dnia poprzedniego.

„Podziękowałbym najserdeczniej za to, aby nasz uciążliwy pochód przez las już raz się skończył. Dziś znajdujemy się w odległości mniej więcej 260 km. od kraju otwartego, a jest nadzieja, że odległość ta zmniejszy się będzie dość prędko. Tymczasem żyjemy tą nadzieją. Znosimy porę deszczów bez szemrania, gdyż po deszczach w kraju otwartym będą nas czekały gotowe zbiory. Nie przeklinamy błota i moczarów tego wilgotnego kraju, chociaż wczoraj przekroczyliśmy 32 rzeczki. Mamy przed sobą jeszcze niemało satysfakcji. Wielkiem ułatwieniem będzie już dla nas uwolnienie od napadów czerwonych mrówek, które kęsają nas we dnie i w nocy; gdy podszwamy naszych butów wysuszymy po raz ostatni i strzepiemy kurz lasów z obuwia, sny nasze nie będą już przery-

wane przez tego nieprzyjaciela. Znosząc ukąszenia szalonych pszczoł małych, podskakując po ukąszeniu mrówek, wijąc się wskutek trucizny szerszeni, jęcząc wśród napadów dyabelskich ós, odstraszając natarczywe motyle, odrzucając ślimaki zjadliwe, deptąc zielone liście gryzące, mamy ciągle na pamięci to, że nędza ta niedługo już trwać będzie. Jeszcze trochę cierpliwości, a nastaną czasy wesole. Od dnia 17 sierpnia zabiliśmy cztery kozy, aby uzyskać mięso; żywiliśmy się głównie przypiekanymi bananami, które wystarczą, aby duszę i życie utrzymać. Ale byliśmy wdzięczni i za to, chociaż siłą naszą pochłubić się nie możemy. Z upodobaniem myślimy o czekającym nas pełnym odmian, żywieniu się wołowiną i baraniną, dziczyzną, okraszoną kartoflami słodkimi i fasolą, mąką z prosa z mlekiem i oliwą sesamu. Także i uwolnienie się od ustawicznej obawy instynktownej, że w odległości kilku kroków od nas stoi dziki z oszczepem lub zatrutą strzałą, będzie nam również przyjemne. Ustawiczne kłopoty, wyczerpana uwaga, aby ludzi zaopatrzyć w żywność i aby ochronić ich od niebezpieczeństw, zewsząd grożących, przeminą a ja cieszyć się będę, gdy będę mógł lepiej myśleć o świecie i jego mieszkańcach, niż w uczuciu wątpliwej miłości, jaką żywię do mieszkańców lasu.“

D. 26 obozowaliśmy pod Umeni, gdzie znaleźliśmy jednakże tylko dwie gałązki lichych fig. W lesie szalała trąba powietrzna.

Nazajutrz dotarliśmy aż do stóp wielkiego wodospadu, gdzie wyładowaliśmy towary, a łodzie ukryli w krzakach, towary zabrali na plecy, a w pół godziny później poszliśmy o 8 km. w głąb kraju. Tu poraz ostatni zaprzestaliśmy żeglugi na Ituri.

Po trzygodzinnym pochodzie d. 28 dotarliśmy do plantacji w Awatiko, właśnie w chwili, kiedy większość ludzi była już bliską śmierci głodowej. Jak zgłodniałe

wilki na swoją ofiarę, rzucili się na plantacye. Pozostaliśmy tu dwa dni, aby zaopatrzyć się w zapasy żywności.

Mieliśmy jeszcze daleko do Avatiko, kiedy przyprawiono mi parę karłów; ale nie wiem, w jakim znajdowali się oni do siebie stosunku. Mężczyzna był młody, nie liczył zapewne więcej, jak lat 21. Pan Bonny wymierzył go dokładnie. Wymiar był następujący:



Karzeł z Avatiko.

Wysokość 1.219 m., obwód głowy 51,4 cm., długość od podbródka do najwyższego miejsca potyliny 61,6 cm., obwód piersi 64,7 cm., brzucha 70,5 cm., bioder 57,1 cm., stawu ręki 10,8 cm., mięśniów lewego ramienia 19 cm., stawu u nogi 17,8 cm., łydki 19,7 cm., długość palca wskazującego 5 cm., prawej ręki 10,2. cm., stopy 15,8 cm., nogi 55,9 cm., grzbietu 47 cm., ramienia aż do końca palców 50,1 cm.



Był to pierwszy karzeł dorosły, jakiego widzieliśmy. Skóra jego była koloru miedzianego i pokrytą była włosami prawie 1,3 cm. długości, jakby futrem. Strój głowy składał się z rodzaju beretu, na kształt beretu kapłanów i przyozdobiony był pękiem piór papug; był to albo podarek, albo pochodził z kradzieży. Szeroki pas z materiału kory drzewnej osłaniał nagość tego człowieka. Ręce jego były bardzo delikatne i zwracały na siebie uwagę swą brudotą. Był widocznie zatrudniony łupaniem bananów.

Nikt nie wyobrazi sobie uczucia, z jakim przypatrywałem się tym ludziom z pustyni olbrzymiego lasu. Człowiek ten był dla mnie godniejszym podziwu, niż słup Memnona w Tebach. Jego małe ciało reprezentowało najstarszy typ pierwotnego rodzaju ludzkiego, potomków wieków najdawniejszych, Izmaelów rasy pierwotnej, którzy wiecznie unikają mieszkań robotników i pozbawieni są przyjemności i wygody ogniska domowego, aby, dla zbrodni swych na wieki odtrąceni, w moczarach, bagnach i gąszczach leśnych życie zwierząt w ludzkiej skórze pędzili. Proszę tylko pomyśleć. Przed 26 wiekami przodkowie jego schwytali pięciu młodych badaczy nassamońskich i zabawiali się nimi w swoich wsiach nad brzegami Nigru. Już nawet przed 40 wiekami byli znani jako karłowie, i już wówczas opiewano ich słynną walkę z bocianami. Od czasów Hekateusza na 500 lat przed Chrystusem, oznaczano ich siedziby na każdej mapie w okolicy gór księżycowych. Kiedy Mojżesz wyprowadził dzieci Jakóba z kraju Gosen, panowali jako niepodlegli panowie nad najciemniejszą Afryką, i są tam jeszcze dotąd, podczas gdy niezliczone dynastye Egipcyan, Assyryjczyków, Persów, Greków i Rzymian kwitnęły tylko przez czas stosunkowo krótki, a następnie wygasaly. A ci mali ludzie w czasie ubiegłych wieków koczowali blisko i daleko. Od brzegów Ni-

gru przyszli tu, aby w nieznanach kryjówkach budować swoje chaty z liści. Ich krewni przebywają w kolonii Przylądka Dobrej Nadziei, znani tu jako Buszmeni, w kotlinie Lulongo jako Watua, w Monbuttu jako Akka, w Mabade jako Balca, w dolinie Ihuru jako Wambętti a w cieniu gór księżycowych jako Batua

Kiedy około małego człowieka zgromadzili się olbrzymi Madiowie, barczyści Sudańczycy i najwyżsi z pośród Zanzibarczyków, zabawnie było patrzeć, jak z szybkością pioruna malowały się w jego twarzy różne myśli: podziw, obawa własnego losu, wątpliwość trwożliwa, nadzieja, kiedy w naszych rysach odkrył dobry humor, chwilowy cień zakłopotania, ciekawość, z kąd te ludzkie olbrzymy przybyły i co z nim uczynią, czy i w jaki sposób go zabiją, czy upieką go żywcem, albo czy mimo jego krzyku wrzucą go w olbrzymi garnek. Ach Boże, zdaje się, że nie! Następnie lekkie potrząsanie głową, blade zabarwienie warg i nerwowe drżenie oczu, zdradzały zakłopotanie jego. Uczyniłby wszystko, byle tylko zjednać sobie względy wielkich ludzi, tak jak to przed 2600 laty chcieli uczynić Nassamończycy, kiedy jego karłowaci przodkowie pokazywali ich palcami w starej wsi nad Nigrem. Wezwaliśmy go, aby usiadł obok nas, poklepaliliśmy go po ramieniu i daliśmy mu pieczone banany, aby napęcznieć jego wydęty brzuch burmistrzowski. On uśmiechnął się wdzięcznie. Ale co za spryt miał ten hultaj! i jak łatwo wszystko pojmował! Mówił swojemi gośćmi tak zrozumiale, że nawet najgłupszy z nas mógł go rozumieć.

— Jak daleko ztąd do najbliższej wsi, gdziebyśmy mogli dostać żywności?

On położył prawą dłoń na lewej ręce (więcej niż dwa dni marszu).

— W jakim kierunku?

Wskazał na wschód.

— Jak daleko ztąd do Ihuru?

— O! Podniósł prawą rękę aż do łokcia. To oznaczało podwójną odległość, cztery dni.

— Czy na północy jest żywność?

Potrząsnął głową.

— Na zachodzie, czy północnym wschodzie?

Zuów potrząsnął głową i poruszył ręką, jakby chciał odsunąć kupę piasku.

— Dlaczego?

Wyciągnął obie ręce, jakby trzymał broń i powiedział: „Duuu!”

Zapewne Maujemowie wszystko zniszczyli.

— Czy teraz „Duuu” są w pobliżu?

Spojrzał z uśmiechem, jak kokieta londyńska, jakby chciał powiedzieć:

„Wy wiecie to najlepiej. O niegrzeczny, jak możesz kpić tak ze mnie?

— Czy pokażesz nam drogę do wsi, gdziebyśmy mogli dostać żywność?

Skinął głową i pogłaskał się po brzuchu, co miało znaczyć: Owszem, bo tam dostanę dobry obiad, — uśmiechnął się pogardliwie i przycisnął paznokieć wielkiego palca do palca wskazującego lewej ręki — figi są tylko tak małe, a tam — schwycił łydkę obiema rękami — tak wielkie.

— O, ten raj! — wołali ludzie — banany tak wielkie, jak noga ludzka.

Karłowi udało się zjednać sobie nas wszystkich, a moja powaga skończyła się do czasu, w którymby okazało się, że historia o olbrzymich bananach jest nieprawdziwą. Niektórzy ludzie chcieli go uściskać, podczas gdy jego twarz wyrażała niewinność, chociaż wiedział on dobrze, że w naszym mniemaniu był niewiele gorszym od anioła.

Przez ten cały czas miedziana twarz brunatnej ma-



lej damy wyrażała te same uczucia, jakie przejmowały karła. Oczy jaśniały radością, lecz po twarzy jej z szybkością pioruna prześlizgnął się wyraz chytrości. Była to ta sama gra min; dusza jej przystępna dla namiętności, czuła tę samą wątpliwość, nadzieję, tę samą ciekawość i obawę, kiedy odczuwała myśli swego towarzysza. Była tak tłusta, jak indyk, lub gęś na Wielkanoc; pierś jej jaśniała barwą starej kości słoniowej, a kiedy stała z obwieszonymi rękoma, mimo to, że naga była, wyglądała, jak obraz skromności dziewiczej.

Para ta była niezawodnie małżeństwem. W nim tkwiła naśladowana godność Adama, w niej kobiecość miniaturowej Ewy.

Obladowani świeżymi zapasami fig, poszliśmy dalej pod przewodnictwem karłów. W puszczy zauważyliśmy liczne ślady karłów w opuszczonych obozach. Okolica była tu już romantyczniejsza, co chwila spotykaliśmy małpy po drzewach skaczące, ptaki; na drodze ślady słoni i antylop.

D. 1 listopada przybyliśmy do karczowiska Andaki, aby uraczyć się przyrzeczonemi owocami. Figi nie były tak wielkie, jak nam mówiono, ale dojrzałe i pełne; zanim minęła godzina, ustawiono już ruszty i suszono figi nad niemi. Wydałem rozkaz, aby dwa dni zużyto na przygotowanie tyle zapasów żywności, ile każdy unieść zdoła.

Nazajutrz ludzie, którzy badali rozmaite ścieżki prowadzące na wschód, przyprowadzili dwie kobiety, z których jedna opowiadała nam, że wskaże nam wieś na północy, w której jest żywność. Druga mówiła, że w Andari, odległym stąd o cztery dni marszu, jest olbrzymi zapas żywności. Wkrótce dotarliśmy do olbrzymiego karczowiska, opuszczonego może przed rokiem. Obecnie zarosły krzakami tak dalece, że chcąc iść dalej, musieliśmy torować sobie drogę toporami na każdym kroku. Dopiero

po 16 godzinach takiego uciążliwego pochodu wydostaliśmy się między wysokie drzewa.

Tradycyjne lachmany irlandczyka byłyby w porównaniu z mojem ubraniem strojem wizytowym; ludzie śmiali się ze mnie, a jeden z nich powiedział, że wyglądamy jak szczury, które przeciągnięto przez sztaby samotrzasku. Ale na żarty nie było czasu; zjedliśmy po kilka pieczonych bananów i poszliśmy dalej, aż po 3 godzinach byliśmy oddaleni od Ihuru tylko o pół godziny marszu.

W czasie ostatnich dni zmarło 13 Zanzibarczyków ze straży tylnej i jeden żołnierz Emina baszy; ilu Madiów i Manjemów, nie wiem.

Wieczorem d. 6 listopada przekonałem się, że potrzeba bardzo prędko znaleźć żywność, jeżeli nie chcemy doczekać się wielkiej śmiertelności. Głód znosić trudno, ale jeżeli mamy nieść ciężary przy pustym żołądku, a marsze są długie, wówczas najmniejsza przerwa w dowozie żywności wywołuje choroby, które szeregi bardzo prędko dziesiątkują. Nasi ludzie ze straży przedniej byli bardzo przezorni i jedząc grzyby, tudzież dzikie owoce, oszczędzali zapasów żywności, ale słabi, manjokiem zatruci ludzie ze straży tylnej, tudzież Madiowie nie słuchali ani rady, ani przykładu.

Jednego z młodzieńców, Amaniego, który źle wyglądał, wezwałem, aby powiedział mi szczerze, co też zjadł w ostatnich dwu dniach.

— Dobrze, powiedział. Mój oddział miał dość duży zapas mąki bananowej, któryby wystarczył nam na dwa dni, ale Sulimani, który niósł mąkę, położył ją na drodze, kiedy zbierał grzyby, a kiedy powrócił, już jej nie było. Mówił, że Manjemowie ją skradli. Kiedy więc przyszliśmy do obozu, nazbieraliśmy grzybów i ugotowaliśmy z nich zupę. To wszystko, co zjedliśmy na wieczerzę. Dziś ra-

no nie nie jedliśmy, ale znów nabieramy sobie grzybów.

— A co będziecie jedli jutro?

— Jutro w rękę Boga. Mam nadzieję, że znajdę co.

Chłopak ten miał dopiero 19 lat, niósł 60 funtów nabożów i niósł je dalej nazajutrz, aż upadł i tak długo leżał na ziemi z oczami wlepionymi w wierzchołki drzew, aż został opuszczony, aby zgnił, bo z niczego nie da się wydobyć nic takiego, czemby głodnego nakarmić można. Jest to tylko jeden przykład z 400.

Kiedy przybyliśmy do jakiegoś obozu Manjemów, poznał w niem Uledi miejsce, w którym w listopadzie roku 1887 zatrzymał się w czasie poszukiwania żywności, kiedy czekał na Jephsona i Nelsona w Ipoto, a straż przednia szła dalej do Ibwiri.

D. 7 listopada kazałem stanąć, aby oddział pod wodzą Ulediego zbadał tylko o 9<sup>1</sup>/<sub>2</sub> km. odległe karczowisko Andari, ale przeszło 100 ludzi było tak osłabionych, że nie byli w stanie iść dalej. Kazałem więc kucharzom, aby przynieśli garnki, poczem dałem im po trzy garście mąki. Z tego ugotowano zupę, aby ludzie nabyli tyle siły, by mogli dojść do plantacyi.

D. 8 listopada około 200 ludzi czekało w milczeniu na powrót furazerów. Kiedy przekonałem się, że post i czekanie trwa za długo, rozdzieliłem po południu jeszcze po garści mąki figowej.

Jeszcze i dnia 9 furazerowie nie wrócili. Dwóch ludzi umarło w obozie; jeden wił się bólu z powodu zjedzenia grzyba trującego; kiedy ludzie szli po dalszą porcję mąki na zupę, chód ich był chwiejny, klatki piersiowe sterczały im strasznie. Po trzech dniach musielibyśmy pomrzeć wszyscy, ale mieliśmy nadzieję, że lada chwila usłyszymy hałas powracającego oddziału.

D. 10 listopada, zakłopotany o prowiant, przeznaczony dla oficerów w forcie Bodo, kazałem go zbadać, i ku mojemu przerażeniu przekonałem się, że brakło 57 puszek z mięsem, herbatą, kawą i mlekiem; to wszystko zjedli Manjemowie. Jeżeli spojrzenie wystaczyłoby, aby wysadzić ich w powietrze, i wkrótce w popiół zamienić.

— Boże dobry, gdzie podziały się puszki? spytałem naczelnika Sadięgo.

Tak, gdzie? Z tego powodu ludziom jego odebrałem skrzynie z żywnością, a rozdałem im toboły z nabojami.

O godz. 2 po południu powrócił oddział furazerów i przyniósł żywności na dni 3 do 6. Tragarze posilili się najprzód dobrze, zanim żywność gromadzić zaczęli. Teraz każdy uczestnik w zamian za zupeę, którą im dawałem, musiał oddać funt mąki, dla przygotowania zapasów rezerwowych; a prócz tego funt dla chorych, którzy nie mieli siły do furazowania. Słabi otrzymali w ten sposób po 8 funtów mąki albo suszonych fig, zaś ja miałem, jako zapas rezerwowy, około 200 funtów.

Po 1½ godzinnym marszu d. 11 listopada dotarliśmy do przewożu Kilonga-Longi, ale tu krajowcy byli w obawie, że on powtórzy wyprawy rabunkowe na zachód od Ihuru, zniszczyli wszystkie kanoe i w ten sposób pozbawili mnie możności przepłynięcia się na drugi brzeg, odwiedzenia Kilonga-Longi i zrobienia z nim obrachunku. Woda na Ihuru była wysoka, a około nas we wszystkich kierunkach ciągnęła się puszcza głodna. Nie pozostawało zatem nic innego, jak iść w górę Ihuru, dopóki nie znajdziemy sposobu przejść na brzeg lewy, wschodni.

D. 12 listopada szliśmy ścieżką karłów. Kiedy rozbiliśmy obóz, przekonałem się, że w obozie głodu, w którym zabawiliśmy cztery dni, zmarło sześciu ludzi — jeden Madi, wskutek spożycia grzyba trującego, żołnierz z La-

do, który niedawno otrzymał pchnięcie dzidą w plecy, dwaj Sudańczycy ze straży tylnej, młody Manjema, który usługiwał p. Bonny i piękny młody Zauzibarczyk, Ibrahim, z powodu nadeptania na zatruty kolek.

W d. 13 listopada las zaczął być dogodniejszym dla pochodu. Obozy karłów widzieliśmy bardzo często. Ziemia była ochrowata, drzewa sięgały potężnej wysokości.

Kiedy przybyliśmy do obozu, zauważyłem, że już czas postarać się o nowe zapasy żywności i wypocząć trochę, ponieważ postawa ludzi kazała domyślać się braku przeżorności. Bylbym w stanie płakać nad olbrzymiami nieszczęściami, które codziennie zbliżały nas coraz bardziej do grobu. Ale do znoszenia wszelkich klęsk przywykliśmy już tak, i tak często smucił nas widok smutku i boleści, że opowiadania o nieszczęściach, jakie zdarzały się codziennie, słuchaliśmy już tylko w smętnej milczeniu. Strat, jakie już ponieśliśmy, nie można odzyskać ani żalem ani łzami. Jutro czeka nas nowy smutek, tak pewnie, jak słońce na niebie, a zajmowanie się smutną przyszłością mogło przydać się chyba tylko na to, aby uczynić nas niezdolnymi do zniesienia tego, co nas czekało.

Bardzo trudno było rozdzielić 230 tobołów pomiędzy coraz bardziej zmniejszającą się liczbę ludzi. Na 20 ludzi znalazłby się zaledwie może jeden, któryby nie potrzebował żalić się na wrzody, ból głowy, nieskończone boleści w całym ciele, reumatyzm, febrę, itd. Liczba tobołów nie zmniejszała się, ale tragarze wymierali.

D. 14 listopada po sześciogodzinnym marszu zbliżyła się wyprawa do Anduta i Andikumu. Podczas gdy straż przednia przedzierała się przez kłody i pnie powalonych olbrzymów, padło kilka strzał, które raniły dwu ludzi, poczem natychmiast porzucono skrzynie i toboły i rozpoczęto dość ożywioną walkę z krajowcami, noszącymi wysokie kapelusze. Po upływie pół godziny przybył także główny

oddział wyprawy do karczowiska, gdzie znaleźliśmy taki zapas olbrzymich bananów, że zgłodniaли ludzie aż podskakiwali z radości.

Wielkością swoją karczowisko to przypominało słynną osadę nad Ibwiri. Leżało ono wśród pagórków. Wzdłuż jednej ze ścieżek widzieliśmy znaki Manjemów na drzewach, także jedna ze wsi leżała w gruzach, ale wielkość karczowiska unicestwiła usiłowania Manjemów, podjęte około zniszczenia wspaniałych gajów.

Przeglądając wieczorem skrzynie z amunicją, przekonałem się, że kapral Dain Mohammed nie przyniósł swego tobołu do obozu, lecz złożył go na wielkim drzewie w pobliżu drogi. Rozkazałem czterem przewodnikom, by poszli z kapralem sudańskim i skrzynię przynieśli.

Przybywszy na miejsce, zobaczyli całą gromadę karłów, mężczyzn, kobiet i dzieci, zgromadzonych około dwóch wojowników swoich, którzy próbowali, czy skrzynia jest ciężką. Ciekawi, co też karlowie zrobią ze skrzynią, ludzie nasi ukryli się, ponieważ mali mają wzrok bardzo bystry. Każdy karzeł podawał, zdaje się, projekt swój, podczas gdy dzieci skakały na jednej nodze i uderzały się po łydkach, zaś piękne kobiety z jeszcze piękniejszemi dziećmi na plecach w tradycyjny sposób wrzeszczały, chcąc przeprzeć swoje zdanie. Nakoniec jakiś karzeł przełożył tykę przez oba uszy do chwytania skrzyni, a wszyscy mali ludzie, tryumfując z powodu tego genialnego wynalazku, krzyczeli głośno. Herkules i Milo tego plemienia wyciężyli wszystkie siły swoje, aby podnieść skrzynię do wysokości bark. Już unosili skrzynię z gąszcz, gdy nagle padł strzał, wypadli z ukrycia nasi ludzie i zaczęli ścigać małych. Udało się im także przyprowadzić do obozu młodego, może 17 letniego chłopca, który był ogromnie tłusty.

D. 17 listopada posłałem p. Bonny nad Ihuru, aby odszukał dawny przewóz, który tam miał się znajdować,

ale powrócił bez skutku, nigdzie nie mógł znaleźć ka-  
noe.

Po południu dnia 14, 15 i 16 nasi ludzie zużyli na wynagrodzenie sobie głodu w ostatnich dniach. Zjedli zapewne olbrzymią ilość bananów gotowanych, pieczonych i w zupie. W przeciągu trzech dni każdy z nich zjadł zapewne po 140 sztuk.

D. 19 szliśmy przez Anduta, gdzie pomiędzy skałami ludzie nasi znaleźli zapas kukurydzy i bananów. Przed kilku dniami byłoby dobijali się o nie, ale teraz zachowywali się obojętnie, tembardziej, że niektórzy wskutek nadużycia w Andikumu chorowali na żołądek.

D. 20 w czasie wypoczynku południowego przewodnik straży przedniej, który wyszedł na kilkaset kroków naprzód, natrafił na karawanę krajowców z Anditoke. Krajowcy, ujrawszy go, zawyli ze zdziwienia, ale kiedy przekonali się, że nie ma broni przy sobie, rzucili się nań z dzidami. Krzyk ich usłyszeliśmy jednak w obozie, wskutek czego mogliśmy wybiedz przeciwko dzikim, aby ratować Zanzibarczyka. Wywiązała się walka, w której dwaj krajowcy zostali ranni, jeden zabity, a własność karawany wpadła w nasze ręce. Były to pierścienie, guziki, naszyjniki, naramienniki, pierścienie na nogi, i rzecz dziwna, niewystrzelane naboje do karabinów Remingtona.

Najprzód przyszło mi na myśl, że może fort Bodo został opuszczony, lub zdobyty, albo że może napadnięto na patrole; po dłuższym namyśle przyszedłem do przekonania, że naboje należały do Manjemów, ale jednak musiały być dawniej naszą własnością.

Tegoż dnia doniesiono mi o śmierci Czamy Issa'y, ostatniego Somala, lecz w południe widziałem go jeszcze w czasie naszego wypoczynku, co zrobiło mi wielką przyjemność, ponieważ interesował mnie gorąco, jako ostatni Somal. Codziennie otrzymywał część potraw z mego sto-

łu, a dwóm Sudańczykom polecono, aby usługiwali mu przy jedzeniu i nieśli go za osobne wynagrodzenie.

Do wieczora tegoż dnia zginęło 32 ludzi ze straży tylnej z Banalja. Tam sądziłem, że tylko połowa tej liczby nie utrzyma się przy życiu. Dopóki płynęli na łodziach nie nużyli się, ale pochód przez las był dla nich zabójczym.

D. 22 listopada upadł nas w obozie deszcz, który wielu ludzi zdemoralizował, ponieważ nie mogli znieść zimna z powodu osłabienia. Madiowie i Zanzibarczycy rzucali toboły po drodze i pędzili do obozu. Jednemu z Madiów udało się dotrzeć aż do mego namiotu, w którym się świeciło, ponieważ wskutek deszczu, nawet we dnie było w lesie tak ciemno, jak w kraju otwartym w nocy. Kiedy usłyszałem jego jęki, wyszedłem ze światłem i ujrzałem, jak nagi biedak leżał w błocie, nie mogąc się ruszyć; na widok światła otworzył oczy i chciał chwycić świecę. Kazałem zanieść go do ognia i przysunąć go do tegoż, poczem podaniem kilku łyków zupy z ekstraktu Liebiga udało mi się ocucić go. Na drodze zmarli dwaj Madiowie, zaś jeden Zanzibarczyk ze straży tylnej wskutek zimnego deszczu padł martwy na miejscu.

Nazajutrz po dwugodzinnym marszu wysłaliśmy 45 wyborowych ludzi, aby przynieśli mąkę, celem uratowania ludzi z Banalja i Madiów, którzy strasznie podupadli na siłach. Oddział powrócił po 24 godzinach z kozą, którą natychmiast zabito i zgotowano około 140 litrów rosółu, ten zagotowany z dwoma fantami mąki pszennej, dał wyborny posiłek dla 60 ludzi.

Dnia 25 dotarliśmy do Indemanu, gdzie były wielkie plantacje wybornych fig. Ale jak trudno było te wielkie dzieci nauczyć oszczędzać żywności, tak niepodobna było przekonać je, aby jej nie nadużywali. Jedli tu tak bardzo,



że rano musieliśmy przysłuchiwać się ich biadaniom na żołądek i podawać lekarstwa

Z Indemanu natrafiliśmy na ścieżkę, prowadzącą przez rzekę Dui, zaś druga prowadziła do Indeperry, wielkiej osady, odległej może o 24 km. od fortu Bodo na północny wschód. Pierwotnie miałem zamiar iść wprost przez las do kraju otwartego, w kierunku bardziej na północ, niż linią na Ipoto albo fort Bodo i wysłać oddział de Kilon-ga Longi, aby się z nim pokwitować; ale ponieważ woda na Ihuru była wysoka, musieliśmy iść wzdłuż tej rzeki. Badania dowodziły, że znajdujemy się na 1°47 półn. szer. i 29°7'45 wschod. dług. Chociaż rozum mówił mi, że fort Bodo jest nie do zdobycia, a załoga znajduje się u Emina baszy bezpieczna u jeziora, to jednak odkrycie nabojów Remingtona u krajowców w tych nieznanych okolicach w niewielkiej odległości od fortu Bodo budziło we mnie wątpliwości, które postanowiłem usunąć, porzucając zamiar udania się w kierunku południowym, a natomiast iść do fortu i przekonać się naocznie o wszystkim. Wysłałem przeto p. Bonny z Raszydem i 60 ludźmi, aby zbudowali most przez Dui.

Po pięciodniowym wypoczynku w Indemanu w d. 1 grudnia cała wyprawa wyruszyła do Dui, gdzie p. Bonny, Raszyd i towarzysze kończyli właśnie budowę mostu, która zaszczyt im przynosi. Cały oddział przeprawił się bezzwłocznie przez most na pięciu odnogach rzeki, mającej 75 m. długości.

Na drugim brzegu odbyliśmy pobieżny przegląd wyprawy. Okazało się, że 34 Manjemów zmarło, a z 16 Zanzibarczyków, będących na liście chorych, czternastu ludzi z Jambuja znajdowało się w takim stanie, że za kilka dni los ich będzie rozstrzygnięty.

Dnia 4 grudnia przybyliśmy do Ngwetsa, gdzie rozbiliśmy obóz po za plantacjami bananów. Wkrótce potem

weszła niespodzianie do obozu koza z czterema jagniętami, pochwyciliśmy je naturalnie i zarznęli. W pół godziny później dowiedzieliśmy się, że jeden z ludzi p. Bouny został raniony strzałą w plecy i że karły porwały i zabiły chłopca Manjemów. Wysłałem natychmiast oddział, aby przynieść zwłoki chłopca i pogrzebać w lesie, ale nazajutrz zwłoki znów znikły.

W obozie ogłoszono rozkaz, aby wszyscy przygotowali sobie żywności na pięć dni. Cały dzień 5 grudnia ludzie byli więc zajęci robieniem mąki.

Nazajutrz przekroczyliśmy sześć rzek szerokich i błotnistych, których brzegi były czerwonawe. O godz. 3-ej straż przednia natrafiła na kilka rodzin karlich, i schwytała starą kobietę, dziewczynę i 18 letniego chłopca, tudzież zdobyła zapas bananów i trochę kur. „Stara” dama była widocznie tak silna, jak koń, i przyzwyczajona do noszenia zapasów bananów.

Rodzina małych ludzi dała do poznania, że zna drogi w lesie, lecz chciała prowadzić nas w kierunku północno wschodnim, coby oddalało nas od fortu Bodo. Poszliśmy w kierunku południowo-wschodnim i d. 7 przekroczyliśmy 6 rzek i tyleż d. 8 grudnia.

Po rozbiciu głównej kwatery, spostrzegłem młodego chłopca, który chwiał się. Spytałem go o przyczynę tego, na co odpowiedział, że jest osłabiony z powodu braku żywności. Czyż zjedliście już cały zapas żywności na pięć dni? Nie, porzucił go, bo karłowie powiedzieli, że wkrótce przybędą do plantacyi, w której banany są największe „na całym świecie”.

Wkrótce przekonałem się, że to samo uczyniło 150 ludzi. Wieczorem zwołałem zatem naradę przewodników, na której uchwalono, aby wszystkich zdolnych do marszu ludzi posłać z powrotem do Ngwetsa po żywność. Przeszłość tę karawana przebyła w przeciągu 19<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godzin

wśród torowania sobie drogi, oddział furazerów może więc dotrzeć tam w przeciągu 11 g.

Rano d. 9 grudnia około 200 ludzi wyruszyło do Ngwetsa, pozostawiwszy około 200 funt. mąki jako zapas rezerwowy dla chorych i straży obozu. Było nas razem, mężczyzn, kobiet i karłów około 130 osób, z tych większość w stanie bardzo nędznym. Każdemu wydałem po pół czar-ki mąki na cały dzień, a p Bonny wysłałem z 10 ludźmi, aby odszukał Ihuru. Obliczałem, że w linii powietrznej znajdujemy się w odległości  $14\frac{1}{2}$  km. na północ od fortu Bodo. Czekając na powrót furazerów, przeglądałem raz jeszcze swoje notatki, aby poczynić w nich poprawki. D. 14 grudnia skończyłem tę pracę, a nazajutrz pocieszałem się nadzieją, że usłyszę głosy zbliżających się. Ludzie wyglądali nędźnie, ale byli dobrej myśli. Otworzyłem skrzynię prowiantu europejskiego, wyjąłem garnek masła i mleka i po łyżce jednego i drugiego włożyłem w garnek wody gorącej. W ten sposób zrobiliśmy cienką zupę, której przeznaczeniem było przedłużyć naszą walkę o byt. Nazajutrz garnki ustawiono znów w półkolu przedemną. Rozgrzani zupą, rozproszyli się po lesie, szukając jagód phrynum i grzybów. Zabłądzili w borze i w ten sposób straciliśmy dwóch dorosłych mężczyzn i 8 letniego Saburego, którego lubilem bardzo, bo nosił mój karabin Winchesterowski i naboje. Był to czarny cherub, okrągły jak walec, silny i roztropny, jak dorosły. Był zawsze przy mnie, a nauczyłem go, aby zawsze zbliżał się do mnie, skoro tylko usłyszy szczególny szelest. Często też dawałem mu moje najsmaczniejsze kąski, wskutek czego był otyły. Ale w ostatnich czasach schudł, poszedł więc w las po jagody. W tym dniu zginął.

Wieczorem kazałem Manjemom dawać strzały sygnałowe. Był to dzień straszny. Po południu umarł chłopiec a troje ludzi zabłąkało się. W nocy niepokoiła mnie myśl o nieobecnych. Może zabłądzili, może pomarli z głodu za-

nim dotarli do plantacyi. Nie mogłem powstrzymać się od myśli o rzeczach najgorszych, myślałem nad tem, jakby, jeżeli to możebne, uratować resztki wyprawy, aby wiadomość o nas doszła do Emina baszy, a przez niego do świata cywilizowanego. Wyobrażałem, że cała wyprawa zginęła w tym lesie, jak basza przez jeden miesiąc po drugim dziwił się, że my nie przybywamy. Jak zgniliśmy w nieznanym zakątku lasu, jak każdy znak na drzewach zarósł a ślad po nas został zatarty, tak, że nawet nasz cmentarz będzie nieznanym. Istotnie, zdawało się mi, jakby czekał nas taki los.

Tam znajdowało się około 200 ludzi, którzy poszli szukać żywności w odległości 55 km. Może ani nawet 150 z nich nie dojdzie na miejsce, reszta, jak owi Madowie rzuci się na ziemię i czekać będzie na powrót towarzyszy, aby później zebrać ich o żywność. A jeżeli 50 najodważniejszym zdarzy się nieszczęście, co wówczas? Jednych zabiją karłowie, drugich napadną wyżsi krajowcy. Ludzie ci nie mają przewodnika, zabłądzą, stracą głowę, a dzicy będą mordowali oszczepami jednego po drugim. Podczas gdy my czekamy na ludzi, którzy powrócić nie będą w stanie, będziemy wymierali po trzech, po sześciu, dziesięciu, dwudziestu, aż zginą wszyscy. Nie, tu musi się stać coś.

Szóstego dnia zwołałem przewodników i pana Bonny na naradę. Kiedy im powiedziałem, że furazerom przytrafiło się nieszczęście, które wszystkich zgubić może, nie mogli pojąć, że to się stać mogło, chociaż codziennie ludzie owi popelniali głupstwo.

Wytłómaczyłem im nareszcie, że jeżeli jeszcze przez trzy dni pozostaniemy nieczynnymi, osłabniemy tak, że nie będziemy w stanie postarać się o żywność. Zgodzili się na to, że mądrze byłoby zakopać towary i wrócić do Ngwetsa po żywność. Ale była w tem trudność nie mała. Je-

żeli zakopie my towary, a znajdzie się 50 chorych, którzy będą woleli pozostać w obozie, to my po powrocie przekonamy się, że chorzy towary odkopali i zmarnowali.

Pomógł nam p. Bonny, oświadczając gotowość pozostania z 10 ludźmi, pod warunkiem, że zostawię mu żywność na 10 dni, t. j. na czas, w którym zamierzamy powrócić. Odmierzaliśmy po pół czarki mąki kukurydzianej na każdego z 13 ludzi na każdy dzień i wydzieliliśmy nadto po 4 biscuits mleczne na każdego dziennie; prócz tego zostawiliśmy im kilka fasek masła i mleka zgęszczonego dla okraszenia zupy mącznej. Dla tych, którzy nie chcieli, albo nie mieli siły iść z nami po banany, nie mogliśmy nic uczynić. To, co wystarczy na wyżywienie 13 ludzi, nie ocali 50 ludzi tak wycieńczonych, że mogłaby uratować ich tylko wielka ilość łatwostrawnej mąki z bananów.

Tego dnia powrócił do obozu mały Saburi, spokojny i wesół, jakby z przechadzki

— Saburi! co się z tobą działo?

— Zabłądziłem i błąkałem się po lesie, aż wieczorem natrafiłem na ścieżkę. Widziałem znaki toporów na drzewach i powiedziałem sobie: O, to nasza droga, i poszedłem nią, bo myślałem, że przyjdę do obozu. Ale zamiast obozu, zobaczyłem wielką rzekę. To był Ihuru. Potem wyszukałem wydrążone drzewo grube, ukryłem się w niem i zasnąłem; potem wróciłem tą samą drogą itd., aż nareszcie przyszedłem tutaj. To wszystko.

Rano dnia 15 grudnia odbyliśmy przegląd wszystkiego, co żyło w obozie. Manjema Sadi doniósł, że 14 ludzi jego nie jest w stanie poruszać się; Kibbora doniósł, że z jego oddziału nie może iść tylko jego chory brat, a u Fundiego tylko kobieta i mały chłopiec byli niezdolni do marszu. Wyprawa musiała zostawić 43 osób, bliższych śmierci, jeżeliby żywności nie dostarczono w prze-

ciągu 24 godzin. Przybierając ton pełen nadziei, chociaż serce mi prawie pękało, powiedziałem im, aby byli dobrej myśli, gdyż odszukam nieobecnych. Prawdopodobnie spotkam ich w drodze, a w takim razie całą drogę do obozu będą biegli.

— Módlcie się o moje powodzenie. Tylko Bóg jeden może nam dopomódz teraz.

O godz. 1 w południe wyruszyliśmy do Ngwetsa z 65 mężczyznami i 12 kobietami. Szliśmy aż do wieczora, poczem rzuciliśmy się na ziemię, każdy pod krzakiem, milczący, smutny. Nie mogłem usnąć, w ciemnościach prześladowało mnie zawiele postacie umierających, a moja żywa fantazyja była zanadto pobudzona okropnościami. Kiedy już rozpacz mnie opanowywała, usłyszałem nagle słowa *Allah ho Akbar*. wypowiedziane przez któregoś z mężczyzn. Słowa te wywołały w mej duszy echo „Bóg jest wielki”. Dlaczego muzułmiania ma dopiero przypominać ch. ześcijaninowi myśl o Bogu? „Głupcy, kiedyż będziecie mądrymi? Czyż ten nie wysłucha was, ten, co dał wam uszy? Czyż nie zobaczy was ten, co dał wam oczy?” I patrz, od tej chwili umysł mój zaczęły zajmować myśli godniejsze.

Nad ranem usnąłem, aby powstać w chwili, kiedy ciemności nocy zaczęły zwolna ustępować.

— Dalej chłopcy, do bananow! Wstawać! Jeżeli Bóg pozwoli, dziś będziemy mieli banany,

Powiedziałem to, aby rozweselić serca zasmucone. W ciągu kilku minut opuściliśmy nasze legowisko na ziemi i poszliśmy dalej, poczem ten i ów utykał z powodu wrzodów, a inni chwiali się z powodu osłabienia. Idąc tak zaczęliśmy rozgrzewać się powoli z powodu ruchu, gdy nagle usłyszeliśmy przed sobą głosy ludzkie. Mały Saburi, który czekał na najmniejszy znak mojej ręki, podniósł karabin, kiedy poza krzakiem phrynium ujrzałem wychylającą się kupę zielonych owoców; każdy odgadł, że to

zbliżał się oddział naszych furazerów i w tejże samej chwili kulawi i osłabieni zapomnieli o swoich kłopotach i wzniesli wdzięczny ku niebu okrzyk „Boże, dzięki Ci”. Anglicy i Afrykańczycy, chrześcianie i poganie, wszyscy wierzyli w Niego; On nie jest ani tu, ani tam, ale wszędzie, a serce wdzięcznego człowieka wierzy w Niego.

Wystarczyło spojrzeć raz tylko na pierwszych ludzi zbliżającego się oddziału, aby dowiedzieć się, co lekkomyślni i bezmyślni ludzie robili. Ale nie było czasu na czynienie wyrzutów, lecz trzeba było rozpalać ogniska, usiąść, piec zielone owoce i zyskiwać siły na powrót. Już za godzinę wyruszyliśmy z powrotem do obozu głodu, dokąd przybyliśmy o godzinie 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> po południu i gdzie powitano nas tak, jak tylko umierający witać może rękę, która chce go ratować. Po południu wszyscy zapomnieli o przeszłości, a każdy przyrzekał być gospodarniejszym... aż do następnego wypadku,

D. 17 grudnia przybyliśmy do Ihuru, który przekroczyliśmy nazajutrz. D. 19 znaleźliśmy się na krańcu plantacyj fortu Bodo, które wszyscy ludzie nasi bardzo podziwiali.

D. 20 utorowaliśmy sobie drogę przez opuszczone plantacje, a po całogodzinnej ciężkiej pracy dotarliśmy do naszej znanej drogi. Wkrótce spostrzegliśmy ślady świeże i łupiny bananów porzucone przy drodze, ale nie mogliśmy domyśleć się, czyje to były ślady. Może to krajowcy cofnęli się do swoich osad, a teraz karłowie wyprawiali tu sobie uczy. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się do zachodniej szerokiej drogi wojskowej i skierowaliśmy w bok, natrafiliśmy na patrol zanzibarski, który nagłem spotkaniem zdziwił się tak samo, jak my.

W tej chwili w cichem karczowisku zagrzmiała jedna salwa po drugiej, wkrótce dała się słyszeć odpowiedź

z fortu, wpadła na nas w dzikich podskokach gromada ludzi, szalejących z radości, a pomiędzy pierwszymi znajdował się mój ukochany przyjaciel, doktor, zawiadamiając mnie oczyma, pałającemi rozkoszą, że:

— W forcie Bodo wszyscy zdrowi!



## ROZDZIAŁ XXIII.

Kto czytał smutną historję straży tylnej, ten bezwątpienia będzie ciekaw, jak po sześciomiesięcznej nieobecności zastaliśmy fort Bodo, którego załogę składało tylko 59 zbrojnych. Z sercem przejętem radością i wdzięcznością, prowadzono mnie aleją zachodnią, na około mnie, jak psy młode, skakali uradowani ludzie, zaś Doktor opowiadał mi pocieszające wiadomości. Po każdej stronie były pola, wszędzie widać było zadawalniające plony, przedemną leżały ogrodzone czworoboki, czysta wieś, dobre ścieżki, a wszyscy, których spotkałem, biali i czarni, prócz nienuleczalnych, cieszyli się wybornem zdrowiem. Nelson wyzdrowiał zupełnie, głębokie cienie obozu głodu znikły, chodził krokiem żołnierskim i odzyskał swą mężką postawę, a Stairs, oficer *par excellence*, był takim, jakim być powinien, człowiekiem, który był zawsze posłusznym, ale i chciał być słuchanym.

Porucznik Stairs miał w śpichrzach 24,000 pałek kukurydzy, plantacye dostarczały jeszcze bananów, słodkich kartofli i fasoli, prócz tego były dobre zbiory tytoniu, są-

siednia rzeka dostarczała ryb, a pomiędzy oficerami i podwładnymi istniało dobre porozumienie.

Stairs nie był wolny od kłopotów; do fortu wdzierały się gromady słoni, rabusie krajowcy zrabowali mu w nocy zapasy tytoniu, dobra Opatrzność naprowadziła na plantacye hordy karłów, ale jego czujność i stanowczość sprawiły, że wkrótce karłowie, krajowcy i Zanzibarczycy zaczęli go poważać i bać się, a towarzysze zgadzali się zawsze na każdy mądry projekt i byli mu pomocni.

Następujące piękne i pożądane pismo mówi samo za siebie.

"Fort Bodo, 21 grudnia 1888.

Do p. Stanleya.

Szanowny Panie! Mam zaszczyt donieść, że stosownie do pańskiej instrukcyi, wydanej w forcie Bodo dnia 13 czerwca, objąłem rozkazy nad fortem Bodo i jego załogą.

Załoga składała się wówczas z 3 oficerów, 51 Zanzibarczyków, 5 Sudańczyków, 5 Madiów, ogółem z 64 ludzi.

Zaraz po pańskim wymarszu krajowcy w najbliższem sąsiedztwie stali się bardzo zuchwałymi i zaczepnymi; prawie codziennie oddziały ich przybywały do plantacyi, a nakoniec jeden oddział poważał się w nocy dotrzeć do ogrodów po stronie wschodniej od fortu, zkąd oddalił się z pewną ilością tytoniu i fasoli. W nocy d. 21 sierpnia usiłowali skraść jeszcze więcej tytoniu, ale tym razem straże były czujne. Lekcyja, jaką otrzymali, sprawiła to, że krajowcy byli mniej zuchwałymi, ale mimo to banany ginęły z szybkością dość znaczną. Uznałem zatem za potrzebne wysłać trzy razy na tydzień patrole, które miały dość do czynienia, aby trzymać w oddali krajowców i słonie. Jeżeli kiedy przez kilka dni nie rozpalaliśmy

ognia, słonie przybywały do plantacji bananów: jednej nocy zniszczyły kilka akrów plantacji.

Około 1 listopada trzymaliśmy krajowców dobrze w szachu, tak że nie sądzę, aby w odległości 25 km. od fortu znajdował się jaki ich obóz. Krajowcy, zamieszkali na południowym wschodzie, nabawiali nas najwięcej kłopotu i ich to ostatecznie odpędziliśmy od naszych plantacji.

Pod koniec lipca czekaliśmy na powrót p. Mouteney Jephsona od jeziora Alberta, aby przesłać towary nad brzeg jeziora. Mijał jednakże jeden dzień za drugim, a ponieważ nie mieliśmy żadnej wiadomości od niego, wielu ludzi zaczęło niepokoić się coraz bardziej. Chociaż większość chciała pozostać w forcie, dopóki nie przybędzie pomoc od p. Jephsona, albo od Pana, mimo to było 8 czy 10 niezadowolonych, którzy pragnęli iść do jeziora i używać tamtejszego dobrobytu, a byli każdej chwili gotowi porzucić towary, białych i chorych.

Kiedy spostrzegłem, jaki jest stan rzeczy, obchodziłem się z ludźmi ustawicznie jak najłagodniej i czyniłem, co tylko mogłem, aby pobyt ich w forcie uczynić o ile możności jak najwygodniejszym.

Wkrótce po upływie terminu, w którym spodziewałem się powrotu p. Jephsona, przybyło do mnie kilku ludzi prosząc, abym pozwolił im na „szauri”. Zgodziłem się na to. Na ten „szauri” Ali Djuma podał następujące projekta, na które zgodził się prawie każdy z obecnych Zan-zibarczyków.

1) Fort opuścić, pójść przez kraj Mazamboniego do jeziora, robić marsze podwójne i w ten sposób przenieść wszystkie towary do jeziora, gdzie żywności jest do zbytku; albo:

2) wysłać na skraj równiny około 15 posłańców, aby dowiedzieć się, czy Bandussuma są jeszcze naszymi przy-

jaciółmi, czy nie; jeżeli są nieprzyjaciółmi, posłancy powrócą do fortu, w przeciwnym razie przeszłą list p. Jephsonowi, poczem przybędzie pomoc.

Na pierwszy projekt odpowiedziałem:

1) P. Stanley rozkazał mi nie iść przez równinę, nie otrzymawszy pomocy z zewnątrz i to też uczynię.

2) Czy p. Stanley nie powiedział Eminowi baszy, że nie jest bezpiecznie iść przez równinę bez 60 karabinów, nawet gdyby krajowcy byli przyjaciółmi.

3) Mamy tylko 30 silnych ludzi. reszta jest chorą; stracilibyśmy zatem i chorych i towary.

Kiedy powiedziałem im, że fortu opuszczać nie możemy, żyliśmy wszyscy w najlepszym porozumieniu. Zaczęliśmy kopać ziemię, sadzić kukurydzę itd., jakbyśmy spodziewali się pozostać tu dłużej. D. 1 września ponad fortem przeciągnęła burza gradowa i trąba powietrzna, która zniszczyła 60% zboża i spustoszyła plantacje bananów tak dalece, że drzewa dopiero w miesiąc później wypuściły pączki. Gdyby burzy nie było, mielibyśmy duże zapasy kukurydzy, a tymczasem mogłem dawać ludziom tylko po 10 pałek. Słabi, których polecił mi doktor Parke, otrzymywali codziennie miarkę ziarna kukurydzy. Raz mieliśmy przeszło 30 chorych, którzy cierpieli na wrzody, ale dzięki usiłowaniom dra Parkego wszyscy, prócz może czterech, w chwili Pańskiego powrotu byli wyleczeni.

Od czasu Pańskiego wymarszu do 20 grudnia, mieliśmy 8 wypadków śmierci, dwóch ludzi zostało zabitych, a dwóch porwanych przez krajowców,

Przy wszystkich sprawach, w których potrzebna była narada, brali udział inni oficerowie i ja. Wszyscy postanowiliśmy jednogłośnie czekać pańskiego powrotu, ponieważ wiedzieliśmy, że Pan dołoży wszelkich starań, aby jaknajprędzej pospieszyć nam z pomocą.

D. 20 grudnia oddałem Panu rozkazy nad fortem Bodo, zaś d. 21 towary, powierzone mojej opiece.

Mam zaszczyt być pańskim sługą uległym

W. G. Stairs."

Obecnie mogliśmy dać wolne pole domysłom, co stało się z energicznym Jephsonem, człowiekiem czynu, któremu nadano przezwisko „Buburika”, albo „Pantera”, ponieważ był tak pilnym i szybkim, jak pies myśliwski, który rwał się ze smyczy. Naturalnie, nie mogła zatrzymać go sprawa nie ważna, nawet gdyby basza wbrew wszystkim sądził, że długa podróż do fortu Bodo nie jest potrzebna.

Ale fakt, że nie słyszeliśmy o obu, nastroczał nam dwa dylemata. Mieliśmy 55 tobołów więcej, niż ludzi, dla niesienia przedmiotów niezbędnie potrzebnych. Zastanawiając się nad tą sprawą około północy, postanowiłem czynić podwójne marsze pomiędzy fortem Bodo a Ituri na krańcu równiny robić marsze podwójne, porucznika Stairsa z jego oficerami i chorymi pozostawić w karczowisku Kandekore, zaopatrzonem dobrze w żywność, a następnie pójść do jeziora, aby odszukać Emina baszę i p. Jephsona. Pociągnie to naturalnie za sobą ten skutek, że przekroczę o 10 dni termin, który poprzednio oznaczyłem, ale cóż mam robić, skoro każdy plan krzyżował nam ten lub ów wypadek? Do fortu Bodo dotarłem na dwa dni przed czasem wskazanym.

D. 21 grudnia wytłómaczyłem to wszystko ludziom i powiedziałem, że 55 musi zgłosić się osobiście do odbywania marszów podwójnych, jednakże za każdy marsz powrotny otrzymają wynagrodzenie osobne. Ochotnicy zgłosili się natychmiast.

Przy przeglądzie d. 22 grudnia w forcie Bodo byli obecni: 9 20Zanzibarczyków, 17 Sudańczyków, 1 Somał, 151 Manjemów, 26 Madiów, 2 żołnierzy z Lado, 6 białych,

ogółem 412 ludzi. Podróż z Banalja do fortu Bodo kosztowała nas życie 106 ludzi, z których 38 należało do straży tylnej.

D. 23 grudnia wyruszyliśmy z fortu Bodo, a nazajutrz połączył się z nami kap. Nelson, zakopawszy poprzednio pogruchotane karabiny itd., i spaliwszy fort Bodo.

W dzień Bożego Narodzenia i następny furazowaliśmy, zaś d. 27 posłałem Stairsa ze 100 zbrojnymi w karabiny, aby zajął przeprawę przez Ituri i poleciłem, aby urządziwszy się tam, odesłał natychmiast 50 ludzi do naszego obozu. Tymczasem doktor i ja zajmowaliśmy się naprawą naszych podartych ubrań, aby mieszkańcom dolin przedstawić się trochę lepiej.

D. 2 stycznia Sudańczyk, zbierając drzewo na opał w odległości zaledwie 150 m. od obozu, otrzymał 5 ran od strzał w plecy. Strzały utonęły tak głęboko w ciele, że doktor wyciągnął je z wielkim trudem. Szóstą strzałę wydobyto dopiero po dwu miesiącach. Sudańczyk wyzdrowiał, lecz w rok później zmarł pod Bagamoyo.

Nazajutrz powróciło 55 ludzi od Stairsa z oznajmieniem, że nad Ituri jest wszystko w porządku i że ma nadzieję ukończenia pomyślnie rokowań z krajowcami z Kandedkore.

D. 4 stycznia wyruszyliśmy w pochód, a nazajutrz stanęliśmy w Zachodnim Indendura.

D. 7-go doszliśmy do wsi Bakururu u podnóża góry Pisgah, zkąd straż tylna i Manjemowie patrzyli z rozkoszą i podziwem na równinę łąk.

D 9 przeszliśmy Ituri i rozbiliśmy obóz we wsi Kandedkore.

Nazajutrz pracowali wszyscy około budowy obozu i wycinania krzaków, które krajowcy pozostawiają przy swoich chatach, aby na wypadek niebezpieczeństwa móżdźciekać niepostrzeżenie.

Wieczorem, po obiedzie, kazałem poprosić do swego namiotu Stairsa i dra Parkego i mówiłem z nimi o ich obowiązkach w czasie mojej nieobecności.

— Panowie, kazałem przywołać Was, aby powiedziec Wam kilka słów na pożegnanie.

Wiecie, panowie, że coś zawsze krzyżuje nasze plany. Przyrzeczenia bywają niedotrzymywane, instrukcje niewykonywane, wskutek czego musimy ciągle naprawiać jakieś zło. Wiecie panowie, dlaczego się to dzieje. Tak będzie i dalej, dopóki nie zgromadzę nareszcie członków wyprawy, aby nie rozłączyć się już więcej. Tak i teraz brak nam wiadomości o Jephsonie i baszy. Z takim szpitalem, jaki teraz mamy, manewrować nie można. Przy przeglądzie dzisiaj okazało się, że 124 ludzi jest chorych, nie mogą maszerować, ani dźwigać tobołów; Jephson i basza czekają może na mnie. Dziś mamy 10 stycznia, a ja przyrzekłem być 16 stycznia nad jeziorem. Gdybym mógł spuścić się na to, że słuchać będzie moich instrukcyj, mógłbym zostawić was tu spokojnie i pójść dowiedzieć się o losach Jephsona i baszy.

— Nie pojmuję, dlaczego Pan wątpi o nas. Jestem zdania, że wszyscy czyniliśmy, co tylko było w naszej mocy, aby Pana zadowolnić, odparł Stairs.

— Prawda, i jestem wdzięczny panom za to. Ale, zdaje się, że powtarza się tu wypadek jambujański. Nasz przyjaciel Jephson jest nieobecny, może z powodu febry, lub jakiego wypadku. Ale dlaczego nie słyszymy nic o baszy? Musimy zatem domyślać się, że zaszło tu coś innego. Wyruszam zatem do jeziora, i albo sam przyszlę tu wiadomości, albo każę je wysłać, albo utoruję sobie drogę przez Melindua, aż po za stacyę Msua, aby zbadać przyczynę szczególnego milczenia. Czyż Madyści przybyli w górę rzeki i zgubili ich wszystkich, lub czy może jaka inna wyprawa przybyła do nich ze wschodu i mają z nią tyle

do czynienia, że zapomnieli o danem nam przyrzeczeniu? Co się stało? Nikt nie umie odpowiedzieć na to, ale właśnie dla tej tajemnicy nie możemy czekać, nie odsłoniwszy jej; ale ze 124 ludźmi, którzy potrzebują długiego wypoczynku, nie mogę nic uczynić. Jestem zatem zmuszony wezwać Pana i Doktora do pozostania tutaj, dopóki nie dowiem się, co się stało, a co potrwa miesiąc jeden lub dwa. Życzę sobie, abyś Pan pozostał tutaj i baczył na obóz i aby Doktor pielęgnował i leczył chorych, nie tylko podając im lekarstwa, ale i zdrową żywność. Przyrzekacie mi to na słowo człowieka honorowego?

— Tak, odpowiedzieli obaj z zapalem.

— A teraz zwracam się do pana, panie Doktorze. Stairs, jako naczelny inspektor i komendant obozu, będzie załatwiał wszystko, co potrzeba, ale po Panu spodziewam się najwięcej. Z 124 ludzi, którzy znajdują się na liście chorych, kilku jest tylko lekko chorych, ale stan reszty jest straszny. Wszyscy potrzebują opieki, którą pan im poświęcić musisz. Potrzeba uważać na to, aby najgorzej chorzy otrzymywali żywność regularnie, aby przygotowywano im, a nawet podawano potrawy trzy razy dziennie. Ale nie spuszczaaj się pan na niczyje słowo; owszem, sam osobiście przekonaj się o wszystkim. Chcę, aby ci ludzie powrócili do swojej ojczyzny. Pragniesz pan odznaczyć się? Tu jest sposobność do tego, skorzystaj z niej. Zadanie pańskie jest jasne, masz uratować tych ludzi.

Panowie, przyczyną niepowodzeń w tym świecie jest to, że ludzie nie widzą, co widzieć mogą. Patrzą po za swoje dzieła i zapominają o swoim zadaniu, starając się zrobić to, czego od nich nie żądają. Zanim opuściłem Anglię, otrzymałem setki ofert ochotników, którzy chcieli wstąpić do służby w wyprawie pod moimi rozkazami. Sądziili, że odznaczą się, chociaż, mojem zdaniem, ani jeden z tysiąca nie wiedział, jaka jest prawdziwa droga do



slawy. Tu w obozie jest np. sześciu białych, a przecież w tych dniach jeden z tych sześciu prosił mnie, abym pozwolił mu zbadać rzekę Vëlle-Mobangi—z całej Afryki tę jedną właśnie. Obowiązki jego są wyraźne, a przecież on ich nie widzi. Nie korzystał ze sposobności i rzucał pożądlive spojrzenie poza to, co u stóp jego leżało. Do wyprawy tej należał jeden człowiek, który pobierał pensyę za to, że miał mi być wiernym i uległym, a jednak mając sposobność odznaczenia się, pozwolił na to, aby pakunki jego pana odesłano z przed jego oczu i jego własną żywność odesłano do domu; dopiero kiedy mu to powiedziano, dowiedział się, że ominął sposobność odznaczenia się, żądania podwyżki pensyi. Wskazuję Panom sposobność, korzystajcie więc z niej; róbcie, co możecie. Nie myślcie o odznaczeniu lub sławie, ale o swojej pracy. Dobranoc! Jutro zrobię coś, czego jeszcze nie wiem, a przecież jest mi to obojętne do chwili, w której nie usłyszę, co mam czynić. Jak ja swoje, tak wy róbcie to, co do was należy.

Nazajutrz wyruszyliśmy; po kilku godzinach wyszliśmy z krzaków, co u straży tylnej i Manjemów wywołało wielką radość.

D. 12 stycznia przybyliśmy do Besse, gdzie krajowcy, nasi przyjaciele, powitali nas bardzo dobrze. Opowiadali nam, że basza buduje w Njamsassi wielkie domy i że ma zamiar iść z wielu towarzyszami przez kraj. Wiadomości te przyjęliśmy z zadowoleniem.

D. 14 przybyliśmy do kraju Mazamboniego; a wkrótce przybył do nas on sam, brat jego Katto i krewniak Kalenge, którzy powiedzieli nam, że Jephson przybył d. 12 do Kavalli; Hailallah, młody zbiegły służący, jest komendantem i wyrósł, jak dąb. Dalej dowiedzieliśmy się, że Malleju (basza) wysłał do Kavalli 10 ludzi, aby dowiedzieć się o nas, że w pobliżu jeziora uprawia wielkie pola i kukurydzę dla nas.

Jaki dobry, zabiegliwy, przyjacielski człowiek, pomyśleliśmy o nim.

Ponieważ Mazamboni przysłał nam dwa piękne woty, uznałem za stosowne zgotować ucztę Zanzibarczykom i Manjemom, którzy od tak dawna nie kosztowali mięsa, i dlatego odpoczywaliśmy dnia 15 stycznia. W ciągu dnia przybył Gawira z wiadomością, że przed trzema dniami Jephson przybył z 17 żołnierzami do wsi Katonzy. Za pracę nadzwyczajną dałem naszym ludziom sporo sukna, zaś każdemu człowiekowi z Banalja po 5 doti sukna, prócz tego perły, kauri i drutu, tak że mogli opływać w zbytku. Manjemowie uśmiechali się słodko, zaś Zanzibarczycy zaczęli pisać, czego nauczyli się na widok równin.

D. 16 towarzyszył nam Gawira. Byliśmy oddaleni od jeziora tylko o jeden dzień marszu.

Ponieważ wyszliśmy z lasu i mieliśmy wiadomości o baszy i Jephsonie, wskutek czego nie pozostawało nam już nic innego, jak oddać baszy amunicję i przyprowadzić Egipcyan do kraju, stary Gawira mógł nabrać popołudniu przekonania, że Bula Matari jest człowiekiem bardzo miłym.

Kiedy jednakże odebrałem listy z Kavalli, doznałem uczucia, które na chwilę odurzyło mnie i wywołało olbrzymie zdziwienie. Kiedy się ocknąłem, Jephsonowi i baszy dzwoniło zapewne w uszach. Kto przeczyta następujące listy, wyobrazi sobie łatwo, co czuć mogłem.

Pierwszy list od dra Emina.

Dufilé, 2 września 1888 r.

Szan. Pani! Ponieważ p. Jephson musi towarzyszyć kilku oficerom, którzy wyruszają w drogę, aby pana odzyskać, korzystam ze sposobności, aby przesłać Panu najlepsze i najserdeczniejsze życzenia z powodu szczęśliwego powrotu pańskiej wyprawy, o czem dowiedzieliśmy się

przez naszych służących, ponieważ listy przejęto nam przymocą. P. Jephson, który w przykrych okolicznościach dawał mi zawsze dobrą pomoc, opowie Panu, co się stało i może pana objaśnić o własnych przygodach i poda panu projekta na wypadek, gdybyś zechciał przybyć tutaj, jak tego ludzie nasi życzą sobie. Przybywając tutaj, zobowiążesz mnie pan sobie bardzo, jeżeli poczynisz kroki dla bezpieczeństwa mego małego dziewczęcia, o które bardzo się kłopotzę.

Gdybyś pan postanowił nie przybywać tutaj, pozostałoby mi tylko życzyć panu szczęśliwego powrotu do pańskiej ojczyzny i pozwolić prosić Pana, abys raczył wyrazić moje serdeczne podziękowania pańskim oficerom i podwładnym, a serdeczną wdzięczność tym łaskawym dobroczyńcom, dzięki których szlachetności wyprawa została wysłana. Rasz, szanowny Panie, uważać mnie za swego sługę.

Dr. Emin.

Drugi list dra Emina.

Dufile 6 listopada 1888 r.

Od czasu napisania listu poprzedniego byłem ustawicznie więźniem. Słyszeliśmy dwa razy, jakoby Pan przybył, ale była to nieprawda. Teraz, gdy przybyli tu ludzie Mahdiego i zdobyli stację Redjab, mogą przybyć tu dziś lub jutro, tak że obecnie mamy słabą nadzieję uratowania się. Ale nie tracimy nadziei. Dziś opowiadano mi, że żołnierze wyruszyli wczoraj z Muggi do Redjaf; jeżeli zostaną pobici, co stanie się niezawodnie, ludzie z Chartumu przybędą tu prędko. P. Jephson powiadomił mnie o treści listu, który pisał do Pana; mojem zdaniem, nie mam nic do dodania do niego.

Sługa dr. Emin.

Třzeci list dra Emina.

Tundurú 21 grudnia 1888.

Szan. panie Stanleyu! Ponieważ p. Jephson doniósł o wszystkim, co tu zaszło, od czasu, jak opuściliśmy Du-filé, powstrzymuję się od powtarzania opisu. Chociaż na chwilę pojawił się ruch na moją korzyść, to przecież oficerowie z radości z powodu zwycięstwa, stali się wkrótce tak złymi, jak na początku tej komedyi. Każdy jest obecnie zupełnie zdecydowany kraj opuścić, aby gdziekolwiek znaleźć przytułek; ale nikt nie myśli iść do Egiptu, prócz chyba kilku oficerów i żołnierzy niższych stopni. Mimo to nie tracę nadziei lepszych czasów, łączę jednakże prośbę moją z prośbami p. Jephsona i proszę, abyś pan pozostał tam, gdzie jesteś, t. j. w Kavalli i abyś nam jak najprędzej doniósł o swoim przybyciu.

Naczelnik Mogo, który poniesie list teni p. Jephsona otrzymał polecenie czekać w Kavalli aż do pańskiego przybycia. Jest do dobry, wierny człowiek, zobowiążesz więc mnie pan sobie, będąc dla niego łaskawym. Pozostaję z najlepszymi życzeniami dla Pana i wszystkich ludzi pańskich,

Pański sługa wierny

Dr. Emin.

Listy Jephsona.

Dufilé 7 listopada 1888 r.

Szanowny Panie! Przedstawiłem panu pisemnie położenie tego kraju i mam nadzieję, że list ten doręczony będzie Panu w Kavalli w porę, aby skłonić Pana do ostrożności.

D. 18 sierpnia wybuchł tu bunt. Baszę i mnie wzięto do niewoli. Basza jest pełnym więźniem, ale mnie pozwolono chodzić po całej stacyi, chociaż ruchy moje są strzeżone. Bunt wywołało może pół tuzina Egipcyan—oficerów

i urzędników, — powoli przyłączyli się do nich inni, jedni z przekonania, ale większość z obawy. Żołnierze, prócz z Labóre, nie brali nigdy udziału w buncie, ale spokojnie słuchali rozkazów oficerów. Najwybitniejszymi przewodcami buntu byli dwaj Egipcyanie, którzy, jak dowiedzieliśmy się, poszli do Nsabe, aby uskarżyć się przed Panem. Jednym z nich był adjutant baszy, Abdul Wabab Effendi, który dawniej brał udział w buncie Arabiego baszy, drugim Achmet Effendi Mahmud, urzędnik jednooki. Kiedy basza i ja znajdowaliśmy się w drodze do Redjaf, ci dwaj i kilku innych opowiadali ludziom, jakoby Pana widzieli, jakobyś Pan był tylko awanturnikiem, jakobyś pan nie przybywał z Egiptu, że przyniesione listy Kedywa i Nubara baszy są falsyfikatami, że nieprawdą jest, jakoby Chartum padło, że basza i Pan ukuliście spisek, aby ich, ich żony i dzieci wyprowadzić z kraju i sprzedać ich Anglikom, jako niewolników. Opowiadania podobne w takim sfanatyzowanym kraju, jak ten, skutkowały na ludność jak ogień, a następstwem ich był ogólny bunt i uwięzienie nas.

Buntownicy zwolali następnie oficerów z różnych stacyj i odbyli tu wielkie zgromadzenie, celem powzięcia uchwały, co czynić mają. Wszystkim, co nie brali udziału w ruchu, takie robiono przykrości, że dla własnego bezpieczeństwa zgodzili się na to, co się stało. Baszę zleżono z urzędu, trzech oficerów, których posądzono o sprzyjanie mu, usunięto z posad i zastąpiono ich buntownikami. Uchwalono odesłać baszę, jako więźnia, do Redjaf, kilku najgorszych buntowników było nawet za tem, aby okuć go w kajdany, ale oficerowie bali się plan ten wykonać, ponieważ żołnierze oświadczyli, że nie pozwolą, aby ktokolwiek dotknął go ręką. Knuto także plany, aby na pana utworzyć zasadzkę i zrabować Panu całą własność pańską.

Tak stały rzeczy, kiedy otrzymaliśmy niepokojącą wiadomość, że ludzie Mahdiego na 3 parowcach i 9 *sandalach* i *nugerach*, przybyli do Ladó i natychmiast zdobyli starą stację. Ich generał, Omar Sali, posłał trzech derwiszów do baszy z listem i żądaniem natychmiastowego poddania kraju. Zbuntowani oficerowie wrzucili derwiszów do więzienia i uchwalili wojnę. W kilka dni później Danaglowie uderzyli na Redjaf i zdobyli je, przyczem zamordowano 9 oficerów i wielu żołnierzy, wzięto do niewoli wiele kobiet i dzieci i zabrano wszystkie zapasy i amunicję stacyi. Następstwem tego była ogólna dzika ucieczka mieszkańców Bédđen, Kiri i Muggi, którzy z żonami i dziećmi umknęli do Laboré. W Kiri pozostawiono amunicję, którą natychmiast zabrali krajowcy. Basza oblicza liczbę Danagłów na 1500 mniej więcej.

Oficerowie i wielka liczba żołnierzy powrócili do Muggi i mają zamiar stawić opór Danagłom. Położenie nasze jest tu nadzwyczaj nieprzyjemne, ponieważ od chwili rewolucyi panuje tu chaos i zamieszanie. Niema naczelnika, codziennie wydają pół tuzina sprzecznych rozkazów, których nikt nie słucha. Zbuntowani oficerowie są zupełnie niezdolni do trzymania żołnierzy pod kontrolą. Spodziewamy się codziennie katastrofy, ponieważ Bariowie połączyli się z Danaglami, a jeżeli uderzą na nas, nic nas nie ocali. Po upadku Redjafu żołnierze przeklinali swoich oficerów i mówili: „Gdybyśmy słuchali naszego gubernatora i robili to, co on nam kazał, byłibyśmy teraz bezpieczni, przez wszystkie lata był on dla nas ojcem i matką; ale zamiast słuchać jego, usłuchaliśmy panów i jesteśmy zgubieni”.

Wszyscy oficerowie są przerażeni wypadkami; czekają obecnie z upragnieniem pańskiego przybycia i chcą z panem kraj opuścić, są bowiem obecnie zupełnie przekonani, że Chartum padło a wszyscy oficerowie chcą przywrócić

baszę do dawnej godności; ale Egipcyanie obawiają się, że jeżeli stanie się to, spadnie na nich zemsta i z tego powodu namawiali Sudańczyków, aby tego nie czynili. Żołnierze nie chcą działać razem ze swoimi oficerami, tak że nie tu nie robią dla bezpieczeństwa stacyi, ani pod względem obwarowania, ani zaprowiantowania. Jesteśmy jak szczury w klatce; nie chcą pozwolić nam ani na działanie, ani na odwrót, a ja obawiam się, że jeżeli Pan nie przybędzie prędko, wszystko będzie zapóźno, a nas spotka taki sam los, jak inne załogi w Sudanie. Gdyby bunt nie był wybuchł, byłby basza jeszcze długi czas trzymał Dagnarów w szachu, ale obecnie jest bezsilnym.

W sprawie pańskiego zachowania się po przybyciu do Kavalli, przedstawiłbym panu następujące propozycye, które wykona pan, jeżeli uzna je za stosowne.

Jeżeli przybywszy do Kavalli, będzie Pan posiadał dostateczne siły, zostaw niepotrzebne towary pod opieką kilku oficerów i tragarzy i przybywaj z największą liczbą ludzi do Nsabe; przyprowadź pan oficerów sudańskich, ale nie żołnierzy.

Poszlij pan krajowców na łodzi do Mswa z listem w języku arabskim do Szukri Agi, aby zawiadomić go o swoim przybyciu i chęci zobaczenia baszy, albo muie. Napisz pan także do baszy lub do mnie i powiedz, ile masz ludzi. Lepiej byłoby może napisać do muie, ponieważ list do niego może być skonfiskowany.

Nie wdawaj się pan pod żadnym warunkiem z ludźmi, którzy przybędą do pana bez baszy lub bezemuie, kimkolwiek by oni nie byli i cokolwiek by mówili. Ani basza, ani ja nie wierzymy, aby teraz miano próbować wziąć pana do niewoli, ponieważ ludzie są teraz zupełnie przekonani, że pan przybywasz z Egiptu i spodziewają się, że pan ich ocali. Mimo to radzę panu obóz obwarować.

Gdyby się nam nie udało kraj ten opuścić, pozdrów

pan, proszę, moich przyjaciół. Pozostaję z naserdeczniejszemi życzeniami dla Pana i dla wszystkich tych, którzy są z panem, pański wierny

A. J. Mounteney Jephson.

Wadelai, 24 listopada 1888.

Ponieważ mój posłaniec nie wyszedł jeszcze z Wadelai, dodaję jeszcze ten list, ponieważ basza życzy sobie, abym pierwszy list odesłał w całości, jako dobry obraz naszego położenia w chwili, kiedy nie mieliśmy nadziei wydostania się z tego kraju. Wkrótce po napisaniu pierwszego listu, żołnierze pod dowództwem swoich oficerów próbowali Redjaf zdobyć, lecz zostali pobici przez Mahdystów, przyczem padło 7 oficerów i wielka liczba żołnierzy; pomiędzy poległymi oficerami znajdowało się kilku najzaciętszych nieprzyjaciół baszy. Żołnierzy na wszystkich stacyach owładnęła taka panika i są wypadkami tak rozwścieczeni, że oświadczyli, że nie stoczą żadnej bitwy, dopóki basza nie będzie uwolniony. Zbuntowani oficerowie byli zatem zmuszeni uwolnić go i odesłali nas do Wadelai, gdzie on może robić, co mu się podoba. Do tej pory nie objął on jednak władzy nad krajem i, jak mi się zdaje, nie tęskni do niej. Spodziewamy się za kilka dni być w Tunguru, stacyi nad jeziorem, odległej o dwa dni podróży parowcem od Nsabe, a sądzę, że basza będzie mógł odwiedzić pana ze mną, gdy dowiemy się o pańskim przybyciu.

Szukri Aga mówi, że na przybycie pańskie przygotował wszystko: woły, kozy, kury, kukurydzę itd; w czasie buntu zachowywał się on wybornie: jest to jedyny komendant stacyi, który zdołał oprzeć się buntownikom.

Niebezpieczeństwo nasze pod względem Danaglów od czasu ostatniej klęski jest naturalnie większe; natomiast położenie nasze poprawiło się o tyle, że jesteśmy bardziej



oddaleni i możemy cofnąć się, czego nie mogliśmy pierwiej, kiedy byliśmy uwięzieni. Słyszeliśmy, że Danaglowie posłali do Chartumu parowiec po posiłki; jeżeli to prawda, nie powrócą przed sześciu tygodniami. Tymczasem mam nadzieję, że przed przybyciem posiłków nie posuną się tak daleko, jak do Wadelai, lub Tunguru. Jeżeli to jednak uczynią, skończy się z nami, ponieważ żołnierze nie oprą się im, wskutek czego będzie to dla nich tylko prostym przemarszem przez kraj.

Ludzie ci nie są takimi, przeciwko którym żołnierze walczyli przed trzema laty, ale istotnymi fanatykami, którzy przybywają w szturmie i mordują ludzi swojemi długimi, ostremi mieczami i szerokiemi dzidami. Każdy z obawą wygląda Pańskiego przybycia, ponieważ pojawienie się Danagłów wszystkich na tchórzów zamieniło. Wszystko zależy teraz od tego, co postanowią Danaglowie. Jeżeli postanowią iść tutaj, jak powiedziałem, zginiemy, bo nie wierzę, aby pozwolili nam cofnąć się z kraju. Jeżeli zaś Danaglowie posłali po posiłki do Chartumu i postanowili czekać na ich przybycie, naówczas uda się nam może umknąć, jeżeli pan przybędzie nie później, jak pod koniec grudnia. Ale trudno przewidzieć, co się stanie.

A. J. M. J.

Tungura, 19 grudnia 1888.

Szanowny Panie! Ponieważ Mogo dotąd nie odszedł, posyłam drugie *postscriptum*, aby zawiadomić pana o najnowszych wieściach. Jesteśmy obecnie w Tunguru.

D. 25 listopada Danaglowie otoczyli Dufilé i oblegali je przez cztery dni; ale żołnierzom w liczbie około 500, udało się odeprzeć ich, poczem Madyści cofnęli się do swojej głównej kwatery, Redjaf. Posłali do Chartumu po posiłki i po przybyciu ich bezwątpienia ponowią napad i kraj zdobędą. W czasie ucieczki naszej z Wadelai wzywali mnie żołnierze, byśmy zniszczyli nasz statek, aby nie

wpadł w ręce Danaglów i zniszczyłem go, bo nie mogliśmy ocalić go.

Dufilé będzie, o ile możności, jak najprędzej opuszczone, a oficerowie mają zamiar zgromadzić się w Wade-lai i tam powziąć uchwałę, co dalej czynić należy. Basza nie może ruszyć ani ręką, ani nogą, ponieważ ma jeszcze przeciwko sobie silne stronnictwo.

Nie idź Pan pod żadnym warunkiem do Nsabe, ale rozbij obóz pod Kavalli. Proszę natychmiast po swoim przybyciu także przysłać do mnie list, a ja przybędę do Pana, skoro tylko dowiem się o pańskim przybyciu. Nie chcę zataić przed panem faktu, że czeka Pana trudne zadanie w rokowaniach z ludźmi baszy. Zapewne przybędziesz pan przed wzmocnieniem się Madystów, w przeciwnym razie położenie nasze będzie rozpaczliwe.

Pański sługa

A. J. Mounteney Jephson.

Moja odpowiedź Jephsonowi.

Obóz pod Gawira, 17 stycznia 1889.

Kochany panie Jephsonie! List pański z d. 17 listopada 1888 wraz z dwoma dopiskami, jeden z d. 24 listop., drugi z d. 18 grudnia, otrzymałem i przyjąłem go do wiadomości.

Nie będę listu pańskiego krytykował, ani treści jego rozbierał. Będę pisał krótko i działał szybko i w tym celu przysyłam panu treściwe sprawozdanie o wypadkach naszego marszu.

D. 23 maja r. 1888 rozłączyliśmy się z baszą, umówiwszy się, że pan z nim lub bez niego w przeciągu dwu miesięcy powrócisz do fortu Bodo z dostateczną liczbą tragarzy, aby przenieść towary z fortu do jeziora. Basza chciał koniecznie zobaczyć górę Pigsaw i nasz fort i jeżeli można wierzyć słowu, chciał nam być pomocny przy

swojem ocaleniu. Powątpiewaliśmy, czy interesa baszy pozwalają na jego nieobecność, byliśmy jednak przekonani, że pan nie pozostaniesz nieczynnym.

Następnie umówiono, że basza na wyspie Njamsassi założy małą stację, jako magazyn żywności, aby wyprawa nasza po przybyciu nad jezioro zastała środki do życia.

Obecnie upłynęło ośm miesięcy, a mimo to niedotrzymano ani jednego przyrzeczenia.

Tymczasem my wyszedłszy z nad jeziora d. 25 maja przybyliśmy 17 sierpnia rano do Jambuja, gdzie była straż tylna.

Wysłałem depesze do Europy i d. 31 sierpnia wyruszyłem z powrotem do jeziora.

D. 20 grudnia na dwa dni przed terminem oznaczonym, byłem w forcie Bodo.

D. 24 grudnia wyruszyliśmy z fortu Bodo w kierunku wyżyn nad Ituri, ale ponieważ pan nie przybył, mieliśmy więcej towarów, niż mogliśmy przenieść i z tego powodu musieliśmy robić podwójne marsze pomiędzy fortem Bodo a Ituri; aż d. 10 stycznia zgromadziliśmy wszystko w obozie w pobliżu Ituri, gdzie było żywności pod dostatkiem. Ponieważ pańska nieobecność i brak wiadomości o panu kazały nam domyślać się poważnych kłopotów, przeto d. 12 stycznia pozostawiłem Stairsa. Wczoraj otrzymałem list pański, który stosunki wyjaśni.

Trudności, jakie zastałem w Banalja, powtarzają się obecnie nad jeziorem Alberta, a nie może wyratować nas z nich nic, jak tylko spokojne, jasne postanowienie. Gdybym był wachał się w Banalja, prawdopodobnie byłbym tam jeszcze dotąd z ludźmi, wymierającymi tuzinami, i czekałbym na Jamesona i Warda.

Czyż baszę, Casatię i pana ma spotkać taki sam los? Jeżeli jeszcze ciągle jesteście ofiarą niezdecydowania, życzę

wam dobrej nocy. Ale dopóki ja jestem przy zmysłach, muszę ratować wyprawę, a i panowie możecie być ocaleni, jeżeli jesteście roztropni.

To, co mówi Khedyw w rozkazie swoim z d. 1 lutego 1887 nr. 3 do Emina baszy, to samo i ja chciałbym powiedzieć panom i starajcie się zrozumieć to dokładnie, abyście byli ocaleni od następstw waszej opieszałości, które zgubić was mogą.

Pierwsza część tego, co było potrzebne do ocalenia Emina baszy, była doręczona około 1 maja 1888. Druga i ostatnia część znajduje się tutaj w obozie i może być doręczoną baszy na miejscu, które sam wskaże i osobie, przez niego do tego upoważnionej. Jeżeli basza tych przedmiotów nie odbierze, albo nie postanowi, co z nimi zrobić, będę sam musiał powziąć decyzję w tej sprawie.

Drugim celem naszego przybycia tutaj było, tych, którzy chcą Afrykę opuścić, przyjąć do naszego obozu i bezpieczną drogą odprowadzić do domu. Jeżeli nikt nie chce Afryki opuścić, naówczas nasza wyprawa nie ma już nic do czynienia w tej okolicy i natychmiast powróci. Pojmij pan dobrze, co to znaczy. Spróbuj pan wyobrazić sobie ostateczne zaniechanie dalszego ratunku i smutny los upartych ludzi, którzy nie przyjmą podanej pomocy. Czas od 1 maja 1888 do stycznia 1889 r. powinien wystarczyć na pomyślenie nad prostym pytaniem, czy Afrykę opuścić, czy też tu pozostać.

A zatem w piśmie urzędowym oznaczam Kavalli jako punkt zborny, gdzie gotów jestem przyjąć tych, którzy chcą Afrykę opuścić, naturalnie z zastrzeżeniem, że osobista rozmowa z panem, lub drugi list nie rzuci nowego światła na te zawikłania.

A teraz zwracam się do pana osobiście. Jeżeli uważasz się pan jeszcze za członka wyprawy i za będącego pod mojami rozkazami, naówczas natychmiast po odebra-

niu tego pisma wyrusz do Kavalli z tymi ludźmi—z Binzą i Sudańczykami—którzy chcą słuchać pana i przyniesiesz mi ostateczną decyzję Emina baszy i signora Casatiego, co do ich zamiarów osobistych. Jeżeli bym ja nie był w Kavalli, naówczas pan pozostań tam i poszlij mi pan przez posłańców Kavalliego list do Mpinga, naczelnika Gawirów, który przesłał go do Mazamboniego, gdzie go prawdopodobnie otrzymam. Pojmujesz pan, że musielibyśmy nadwyrężyć bardzo zapasy żywności Kavallego, gdybyśmy mieli pozostać tam dłużej, niż 6 dni; jeżeli więc pan nie przybędziesz do tego czasu, będziemy musieli cofnąć się do Mazamboniego a w końcu do obozu nad Ituri. W przeciwnym razie musielibyśmy zabierać żywność przemocą, a każdy gwałt popsułby stosunki z krajowcami. Nie doszłoby do tego, gdyby basza uwzględnił był moją propozycję i założył magazynu żywności na Njamsassi. Fakt, że w Mswa jest żywność, nie nie pomaga. W Europie są również zapasy żywności, ale niestety dostać je równie trudno, jak ze Mswa. Nie mamy obecnie łodzi, aby zaprowadzić komunikację na jeziorze, a pan nie piszesz, co stało się z parowcami „Khedyw” i „Nyanza”.

Słyszę, że basza został złożony z urzędu i uwięziony. Któż zatem ma porozumiewać się ze mną co do tego, co się stać ma? Nie mam upoważnienia do przyjmowania raportów od oficerów buntowników. Miałem dać odsiecz właściwie tylko Eminowi baszy i jego ludziom; gdyby basza nie żył, zwróciłbym się do jego prawego w rządach następcy. Ale ponieważ Emin basza żyje, nie mogę prowadzić rokowań z żadną osobą, przez baszę nieupoważnioną. Jeżeli zatem basza nie może przybyć do mnie do Kavalli z dostateczną eskortą wiernych ludzi, albo nie wskaże mi kogo, upoważnionego do odbioru amunicji, nie pozostanie mi nic innego, jak amunicję, którą przyniosłem tu z tak wielkim trudem, zniszczyć i powrócić do domu.

Jeżeli ludzie baszy zdecydują się nareszcie opuścić tę część Afryki, a osiedlić w jakim kraju niezbyt dalekim, gdzieś nad brzegami jeziora Wiktorya, albo wzdłuż drogi do Zanzibaru, będę gotów pomódz im do tego, a tak samo i tym, którzy będą chcieli iść do domu; ale muszę mieć przyrzeczenie jasne i stanowcze i widzieć szybkie działanie, ponieważ stosownie do tego wydam rozkazy, celem osiągnięcia tego celu, albo też stanowczą odmowę, ponieważ nie możemy pozostawać tu przez całe życie i czekać na ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą.

Proszę zapewnić baszę i *signora* Casatiego o moich najszczerzych życzeniach; mam nadzieję i modlę się o to, aby roztropność pokierowała nimi, zanim będzie za późno. Tęsknię do tego, aby pana zobaczyć, mój kochany młodzieńcze i z własnych ust pańskich usłyszeć pańską historię.

Do p. Jephsona.

Dopisek prywatny.

Kavalli, 18 stycznia 1889.

Kochany panie Jephsonie! Posyłam obecnie 30 zbrojnych w karabiny i trzech ludzi Kavalliego z listami do jeziora z poleceniem, aby natychmiast wystali kanoe i posłańców wynagrodzili.

Może będę w stanie pozostać tu dłużej, niż sześć dni a może 10 dni. Będę się starał pobyt mój tutaj wstrzymać aż do pańskiego przybycia bez naruszenia pokoju. Ludzie nasi mają porządną zapas pereł szklanych, kauri i sukna, a ja zauważyłem, że krajowcy wdają się chętnie w handel, co wzbogaci zapasy Kavalliego na wypadek, gdyby on niepokoił się naszym dłuższym pobycem.

Bądź pan roztropnym i szybkim, nie trać ani godziny. Przyprowadź pan Binzę i własnych Sudańczyków. Listy pańskie czytałem pół tuzina razy a nie udało mi się zrozumieć położenia, ponieważ co do kilku ważnych szczegó-

łów jeden list przeczy drugiemu. W jednym mówisz pan, że basza jest surowo więziony, podczas gdy pan posiadasz pewną swobodę; w drugim piszesz pan, że przybędziesz do mnie, skoro tylko dowiesz się o mojem przybyciu, lecz jesteś zdania, że basza będzie mógł towarzyszyć panu. Jeżeli jesteście jeńcami, nie rozumiem, jak wogóle moglibyście opuścić Tunguru. Wszystko to nie jasnem jest dla nas, którzy niedawno wyszliśmy z lasu.

Jeżeli basza może przybyć, naówczas, przybywszy do naszego dawnego obozu nad jeziorem, przyslij posłańca z doniesieniem, a ja wyszlę wówczas silny oddział, któryby towarzyszył mu tutaj i niósł to, co potrzeba. Po marszu 2,000 km., który odbyłem po pożegnaniu się z panem w maju, jestem zanadto znużony, aby raz jeszcze iść do jeziora. Basza musi mieć trochę litości nademną.

W drodze nie kłopotz się pan; żaden nieprzyjaciel nie może zbliżyć się do nas na odległość 20 km., abym się o tem dowiedział. Znajdujemy się wśród ludności, usposobionej przyjaźnie, i gdy tylko każę wznieść hasło wojenne, w przeciągu czterech godzin będę miał na miejscu 2,000 wojowników, gotowych do udzielenia mi pomocy celem odparcia nieprzyjaciół. Jeżeli zaś chodzi o walkę w dziedzinie chytrności, naówczas ja jestem najchytrzejszym Arabem.

Zauważyłem poprzednio, że listy pańskie czytałem pół tuzina razy, a po każdym czytaniu zmieniało się zdanie moje o panu. Raz zdaje mi się, że pan jestem Mahdystą, albo Arabistą, drugi raz, że Eministą. Będę mędrszym dopiero wówczas, gdy pana zobaczę.

A teraz nie bądź pan upartym, lecz słuchaj pan i pozwól, aby mój rozkaz był dla pana przepaską na głowę, a wówczas przy pomocy Bożej wszystko skończy się dobrze.

Chcę pomódz baszy w jakikolwiek sposób, ale on

musi mi również pomagać i wierzyć. Jeżeli cnie wydo-  
być się ze swoich kłopotów, będę jego najlepszym sługą;  
jeżeli jednakże będzie wahał się raz jeszcze, owałdnie mną  
zdziwienie i mogę ocalić tuzin baszów, jeżeli chcą być ocalo-  
nymi. Błagałbym baszę na kolanach, aby myślał o sobie.  
On jest roztropny we wszystkich sprawach, prócz we wła-  
snej. Bądź pan dla niego przyjacielskim i dobrym dla je-  
go licznych cnót, ale nie daj się pan owałdnać zgubnej  
opieszalności, jakiej ulegali w ostatnich latach w Sudanie  
wszyscy Europejczycy. Od czasu, jak pan wstąpiłeś na  
jego terytoryum, zostałeś pan wciągnięty w jakiś wir,  
który pana wciąga i swemi falami przykrywa. Jedynym  
środkiem wydobywania się z niego jest słuchać ślepo wszyst-  
kich rozkazów bez pytania.

Komitet powiedział: „Ocal baszę tą amunicją. Jeżeli  
chce kraj opuścić, ta amunicja umożliwi mu to, jeżeli  
będzie wolał pozostać, przyda mu się“. Khedyw mówił to  
samo i dodał: „Jeżeli jednakże basza i jego ludzie chcą  
pozostać, uczynią to na własną odpowiedzialność“. Sir Eve-  
lyn Baring powiedział to samo jasno i stanowczo, a ja  
obecnie po przebyciu 6,600 km., znajduję się tu z ostatnią  
częścią środków ratunkowych. Niechaj odbierze je ten,  
kto ma prawo do tego. Jeżeli pan przybędziesz, będę go-  
tów pomódz całą moją siłą i rozumem. Ale tym razem  
zwlekać nie można, ale stanowczo *tak*, albo *nie*; następnie  
my powrócimy do domu.

Do p. Jephsona.

Henryk M. Stanley.

Obóz pod Mpinga. 17 stycznia 1887

Do J. E. Emina baszy, gubernatora prow. równikowej.

Szanowny panie! Mam zaszczyt donieść panu, że dru-  
ga część przedmiotów ratunkowych, które wyprawie przy-  
nieść rozkazano, znajduje się obecnie w tym obozie i jest  
gotowa do oddania osobie, przez pana do odbioru upowa-



źnionej. Gdybyś pan wolał, abyśmy zostawili je w Kavalii, albo Kija NKondo nad jeziorem, uczynimy to po otrzymaniu pańskich instrukcyj.

Druga część przedmiotów ratunkowych składa się ze 63 skrzyń nabojów Remingtona, 26 skrzyń prochu, każda waży 45 funtów, z 4 skrzyń kapiszonów, z 4 bal towarów, z 1 balli towarów dla signora Casatego (dar odemnie), z 2 sztuk sukna wełnianego niebieskiego, papieru do pisania, kopert, książek do pisania itd.

Sprowadziwszy tu towary z wielkim trudem—większym, niż się spodziewałem — jestem zmuszony prosić pana o urzędowe pokwitowanie z odbioru powyższych przedmiotów, tudzież o ostateczną odpowiedź na pytanie, czy przyjmiesz pan nasze towarzystwo i pomoc w marszu do Zanzibaru, czy zamiar taki ma signor Casati, i czy wśród oficerów i żołnierzy niższych stopni są tacy, którzy chcą przyjąć naszą eskortę w pochodzie do morza. W ostatnim wypadku byłbym mocno panu zobowiązany, gdybyś pan doniósł mi łaskawie, w jaki sposób zetknę się z ludźmi, którzy chcą Afrykę opuścić. Proponowałbym uprzejmie, aby wszyscy, którzy chcą kraj ten opuścić ze mną, udali się do Nsabe albo Kija NKondo na jeziorem, i aby tam rozbili obóz z dostatecznymi zapasami kukurydzy i wogóle artykułów żywności na jeden miesiąc, i aby doniesiono mi o tem listem przez Kavalli. Osoba, której powierzona będzie komenda nad ludźmi w obozie, oświadczy mi stanowczo, czy oni chcą przyjąć naszą eskortę, poczem ja obejmę dalszy nadzór nad nimi.

Jeżeli w przeciągu dni 20 nie otrzymam dalszych wiadomości od pana lub p. Jephsona, nie przyjmuję odpowiedzialności za to, coby się stać mogło. Radziłyśmy pozostać w Kavalii, gdybyśmy mieli pewność otrzymania żywności, ale wielki oddział nie może wyżywić się tam, nie szukając ocalenia w przymusowych kontrybucjach, któreby

stosunek nasz do krajowców zupełnie zakończyły i przerywałyby komunikację naszą z panem.

Skoro parowiec wyląduje ze zbożem w Kija NKondo i będzie tam mógł być pozostawiony pod opieką 6 do 7 ludzi pańskich, a ja dowiem się o tem, wyszlę natychmiast oddział, by zboże przenieść do nas. Tylko kwestya żywności budzi obawy. Pojmie pan zatem, że potrzeba mi koniecznie, abyś pan prośby moje wykonywał stanowczo i jak najprędzej, jeżeli jest to w pańskiej mocy.

Jeżeli w przeciągu dni 20 będziesz pan w stanie skomunikować się ze mną i donieść mi lub doradzić, w jaki sposób będę mógł być panu użytecznym, lub dać Mu skuteczną pomoc, przyrzekam wyteńczyć wszelkie usiłowania, byle tylko być panu na usługi. Oczekując niecierpliwie pańskiego parowca, pozostaję

Sługą uniżonym

Henryk M. Stanley

Komendant wyprawy ratunkowej“.

Na drugi dzień po naszym przybyciu do Kavalli, wysłałem 30 zbrojnych w karabiny z odpowiedzią do Emina baszy i p. Jephsona nad jezioro. Ludzie moi oddali listy naczelnikowi Mogo, a powróciwszy donieśli, że Mogo wyruszył z Nsabe do stacyi Mswa. Wczasie tych 5 dni otrzymaliśmy od naczelników z okolicy 5 wołów, 6 kóz i pięciodniowe porce kukurydzy, fasoli, słodkich kartofli i prosa, podczas, gdy dalsze zapasy żywności znajdowały się w drodze do obozu.

Wieczorem d. 21 stycznia doniesiono mi, że Baleggowie zgromadzili się, aby nas zaczepić, więc wczesnym rankiem wysłałem przeciw nim 60 strzelców i 1,500 Bawirów i Wahumów. Oddziały spotkały się na wzgórzu, poczem Baleggowie po dobrym oporze zostali odparci do kraju swoich rodaków, poddanych Melinduy, sprzymierzeńca Kabby Regi.

D. 23 stycznia mieszkańcy równin święcili dzień dziękczynienia; kobiety Bawirów przychodziły do obozu, aby radość swoją z powodu oswobodzenia od dawnych nieprzyjaciół obchodzić tańcami i śpiewem, co trwało od godz. 9 rano do 5 po poł. Każda kobieta i dziewczyna, biorące udział w tańcu wirowym, okrywały się z tyłu i z przodu liśćmi zielonemi, a ciało nacierały masłem. Taniec był piękny i wdzięczny, a harmonja silnych głosów jeszcze lepsza. Młodzi wojownicy otaczali tancerki.

W następnych dniach zażywaliśmy spokoju; codziennie nadsyłano nam regularnie woły, owce, kozy, kury itd. D. 5 lutego otrzymałem bilet, w którym p. Jephson donosił mi, że przybył na brzeg jeziora. Wysłałem natychmiast oddział Zanzibarczyków po niego.

Nazajutrz przybył sam p. Jephson. Kiedy przed i po jedzeniu mówiliśmy o baszy, ujął on w następujące słowa to, co w czasie dziewięciomiesięcznego z nim pobytu dowiedział się o nim:

— Uczucie jest największym nieprzyjacielem baszy. Emin baszy nie zatrzyma nikt inny, jak sam Emin.

Następnie dodał: W obecnej chwili o zamiarach Emi-



Piękność u Bawirów.

na baszy nie wiem więcej, jak pan, a przecież w czasie pańskiej nieobecności rozmawialiśmy ze sobą codziennie.

Prosiłem go następnie, by napisał mi dokładne sprawozdanie z tego, co się stało, o buncie wojsk w Aequatoryi, tudzież o swoich zapatrywaniach na napad Mahdystów na prowincyę i o jego następstwach, co też on uczynił.

P. Jephson wręczył mi następującą urzędową odpowiedź Emina baszy na moje pismo z d. 18 stycznia.

Tunguru d. 27 stycznia 1889.

Szanowny panie!

Mam zaszczyt potwierdzić odbiór pańskiego doniesienia z d. 14 stycznia z obozu pod Undusuma i pisma urzędowego z d. 18 stycznia, które odebrałem wczoraj popołudniu. Równocześnie proszę pozwolić nam na złożenie szczerych życzeń panu i pańskiemu oddziałowi z powodu dokonania dzieła.

Przyjmuję do wiadomości ofertę pańską oddania mnie albo osobie przezemnie do tego upoważnionej drugiej części przyniesionych przez pana towarów. Skoro przybędą z Wadelai oficerowie, których oczekuję, polecę jednemu z nich, by towary owe odebrał, tudzież, by dał panu formalne pokwitowanie.

31 skrzyń nabożów Remingtona, stanowiących pierwszą część towarów, złożono w sposób należyty w magazynach wojskowych.

Co się tycze pańskiego pytania, czy signor Casati i ja mamy zamiar przyjąć pańską eskortę i pomóc w pochodzie do Zanzibaru, i czy zechcą uczynić to oficerowie i żołnierze niższych stopni, to muszę panu donieść, że nie tylko signor Casati i ja z radością skorzystamy z pańskiej pomocy, ale że i wielka liczba ludzi pragnie iść do odległego Egiptu lub do innej stosownej miejscowości. Ponieważ ludzie ci wskutek pożalowania godnych wypadków, jakie zdarzyły się w czasie pańskiej nieobecności, byli po-

wstrzymani i dopiero od kilku dni zaczynają powracać, proszę pana, byś pan był mi łaskawie pomocnym. Mam zamiar posłać ich do Njamsasi, a pierwszy oddział ich wyrusza dzisiaj z p. Jephsonem. Każdy z nich ma żywność przynajmniej na miesiąc.

Pozwalam sobie podziękować panu za doniesienie o pańskich ruchach. Ponieważ od terminu, który pan wyznaczyłeś dla swojego wymarszu, do przybycia pańskiego listu, upłynęło już 9 dni, dana nam łaskawie reszta czasu 11 dni, zapewne nie wystarczy. Mogę zatem tylko podziękować za dobre zamiary pana i tych, którzy pana posłali i pozostawić panu decyzję, czy zechcesz czekać na nas, czy też po upływie dni 20 wyruszyć.

Pojmuję zupełnie trudności w zgromadzeniu żywności dla pańskich ludzi i ubolewam nad tem, że krótki czas, przez pana oznaczony, nie wystarcza na wysłanie panu żywności stąd.

Ponieważ p. Jephson odjeżdża tym parowcem, i przyrzekł mi uprzejmie wręczyć panu to pismo, korzystam ze sposobności, aby zaświadczyć wobec pana, że jego obecność była mi wielką pomocą i podporą. Wśród trudnych okoliczności dowiódł tak wielkiej odwagi, tak niewzruszonej uprzejmości i cierpliwości, że nie mogę powstrzymać się od złożenia mu życzeń powodzenia w życiu i podziękowania za jego pobłażanie. Ponieważ prawdopodobnie nie zobaczę \*) już pana, proszę pana o doniesienie jego krewnym i im samym o mojem podziękowaniu.

---

\*) Nie wiem, co skłoniło baszę do pisania w tonie tak melancholijnym, ponieważ usiłowałem wytłómaczyć mu tak dokładnie, jak tylko usta wypowiedzieć a pióro napisać może, że uważamy się za sługi jego i bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyśmy mogli pomódz mu, o ile to będzie w naszej mocy, naturalnie pod warunkiem, jeżeli życzenia swoje wypowie jasno i stanowczo.

Zanim skończę, pozwól pan raz jeszcze panu, pańskim oficerom i całemu oddziałowi wyrazić moje najserdeczniejsze podziękowanie i prosić pana, byś moją wieczną wdzięczność wyraził tym, którzy przysłali pana nam z pomocą. Oby Bóg wziął w opiekę pana i pański oddział i dał panu szczęśliwy, szybki powrót do domu.

Szanownego pana uniżony sługa

Dr. Emiu basza<sup>a</sup>.

## ROZDZIAŁ XXIV.

D. 7 lutego postanowiłem sprowadzić porucznika Stairsa i jego karawanę i posłałem Raszyda z 35 ludźmi, by wziął od Mazamboniego 100 tragarzy. Miałem bowiem zamiar zgromadzić wyprawę w Kavalli, a tymczasem posłać do Emina baszy listy i zaproponować mu, aby

1) ludzi, którzy chcą opuścić Tunguru, wsadził na parowiec i przysłał ich do naszego obozu, gdzie obsadzimy parowiec Zanzibarczykami, by prędko wykonać potrzebne dalej transporty; a gdyby to było niemożliwe, aby

2) maszerował łądem do stacyi Mswa i po swoim przybyciu zawiadomił mnie o tem; gdyby to było niemożliwe

3) niechaj pozostanie w Tunguru, i niechaj doniesie mi przez naczelnika Mogo, czy potrzebuje odsieczu.

W ostatnim wypadku miałem zamiar po przybyciu Stairsa, pójść z 300 zbrojnymi w karabiny i 2,000 krajowców przez Melindua do stacyi Mswa a stamtąd do Tunguru, aby baszę uwolnić przemocą. Ale potrzeba było koniecznie wiedzieć dokładnie, czego basza życzy sobie.

Ponieważ zauważyłem, że basza nie rozumiał listu mojego do p. Jephsona, który miał czytać, ani listu do niego, zacząłem pisać do niego nowy list w stylu czysto kupieckim, który zrozumiałby każdy członek jego armii; ale kiedy przeczytałem go p. Jephsonowi, zdaje się, że tenże zdumiał.

W czasie rozmowy mojej z p. Jephsonem, który mówiąc nawiasowo, był zagorzałym Eministą, poznawałem położenie rzeczy coraz lepiej. W czasie swojego przymusowego pobytu przy baszy, jak zauważyłem, Jephson przyswoił sobie zwyczaj mieszania w czasie rozmowy o prowincyi, wyrażenń potępiających z uwagami roztroptnemi, jak: „No, wie pan, biedny kochany basza! To kochany stary chłop, wie pan. Słowo honoru! Nie mogę nie sympatyzować z baszą, to taki dobry, kochany człowiek” itd. Wyrażenia te ilustrowały charakter i dowodziły, że Jephson miał dobre serce i że to, co widział i słyszał, powiększyło tylko jego szacunek dla baszy; kiedy jednakże mówił o Egipcyanach, przywoływał do pomocy słownik ordynarny, zowiąc ich „lajdakami, zbrodniarzami, psami zdradzieckimi, niesumiennymi lotrami”. Egipcyanie byli „bydlętami o lisiej naturze”, Sudańczycy „strasznie głupimi”. Jeden z wyższych urzędników sfałszował rachunki w arsenale w Chartumie i otrzymał za to 1,500 różg; drugiego schwymano przy tem, jak mieszał proch strzelniczy ze sproszkowanym węglem i jak tem napełniał naboje remingtonowskie. Jakiegoś majora skazano za sprzedaż zapasów rządowych; innych wysłano na wygnanie pod równik za rozmaite zbrodnie, jak podpalenie, morderstwo itd; znów innych wysłano tam za to, że brali udział w buncie Arabiego. Dowiedziawszy się o tem, zrozumiałem, że basza w stosunkach z takimi ludźmi musiał często niedowierzać swojej władzy. Jak długo w czasie obecności Gordona w Chartumie istniała jeszcze reszta władzy i surowa spra-



wiedliwość, niewolnicy zesłani tam za karę mogli być trzymani pod kontrolą, chociaż Gessi basza już w r. 1879 przesłał do Gordona liczne zażalenia Emina; ale kiedy rozszerzyła się w prowincyi wiadomość o wzięciu Chartumu i zamordowaniu generalnego gubernatora i kiedy znikł wszelki ślad rządów egipskich, brak karność Egipcyan i upór Sudańczyków pojawiły się w całej pełni. Emin był obecnie baszą tylko z tytułu; rząd był skamieniały, porządek znikł. Kto inny, będąc na miejscu emina, byłby przykłady jawnego lekceważenia rozkazów uważał za usprawiedliwienie odwrotu, byłby zgromadził wiernych i cofnął się do małej stacyi, np. Mswa, doniósłby o tem, co zaszło i prosił o pomoc i instrukcye. Inni byłiby usiłowali przywrócić karność i posłuszeństwo, nie zważając na następstwa; jeszcze inny, byłby z tymi, którzy zechcieliby opuścić teatr wiecznych sporów, poszedł dalej i założył odrębne królestwo, odwołał się do świata cywilizowanego o pomoc i byłby ją otrzymał. Jeszcze inni, jak uczynił Emin, byłiby czekali i pocieszali się nadzieją. Ale ludzie zbierają tylko to, co sieją; jaki zasiew, takie żniwo.

Ale kiedy my rozmawialiśmy o domniemanem postanowieniu baszy i czekaliśmy na przybycie oddziału Stairsa, zaszły nieznane wypadki, które rozstrzygnęły tak naszą sprawę, jak i Emina.

W czasie, kiedy Jephson szedł z Tunguru do nas, zbuntowani oficerowie, zgromadzeni w Wadelai, usłyszeli o naszym przybyciu nad jezioro, a pogłoska ta zwiększyła naszą potęgę. Posiadaliśmy kilkuset Zauzibarczyków i sprzymierzeńców, armatę Maxima i broń magazynową. Rząd egipski w Chartumie upadł, na jego miejsce powstał kalif z wielką armią. Pomiędzy oficerami znajdowali się ajenci Mahdystów i zdrajcy, inni byli obojętni; Emin był złożony z urzędu i więźniem. Kto ma, temu dają.

Łatwo zatem zrozumieć motywa oficerów, mających pomiędzy sobą jawnych buntowników, zdrajców i Mahdy-  
stów, i przewidzieć naturalne następstwa ich narad. Będą się starali o względy kalifa, zdradzając swoich wybawców, dawnego baszę i jego białych towarzyszy i wydając ich w jego ręce. Za armatę Maxima, karabiny magazynowe i Remingtona i za oddział białych jeńców wynagrodziłby ich kalif bardzo pięknie; tych, którzy brali główny udział w ich ujęciu, obdarzyłby zaszczytami, pieniędzmi i urzędami. Ale niestety, jest tu trudność niemała. W jaki sposób zyskają wstęp do obozu swoich wybawców, gdy ci dowiedzą się, że oni baszę więzili i źle obchodzili się z przyjacielem wybawców, Jephsonem.

— Ależ to nie łatwiejszego, mówi jeden z nich, wyszlijmy do baszy deputację, prośmy go pokornie o przebaczenie, i przyrzeczmy, że znów przywrócimy go do władzy; Emin jest tak wspaniałomyślny, że przebaczy nam nasz występki i podejmie się przyprowadzić nas do swoich przyjaciół, jako skruszonych, którzy pragną obecnie okazać posłuszeństwo owemu wielkiemu rządowi. Skoro raz znajdziemy się w obozie obcych, zobaczymy, co dalej robić będzie potrzeba: a jeżeli raz zdecydujemy się schwytać białych i ich towarzyszy, będzie to bardzo łatwym, ponieważ wszyscy biali mają słabe głowy i serca. W każdym razie dobrze jest mieć dwie drogi do wyboru. Jeżeli kalif będzie nielitościwym, a Danaglowie będą nas dalej ścigali tak, że brama jego łaski zostanie dla nas zamknięta, będziemy mogli szukać schronienia w obozie białych, posłuszeństwem usuniemy wszelkie podejrzenie, i skorzystamy z tego, aby natrafiwszy na kraj bogaty, odebrać im broń i albo odpędzić jak żebraków, albo białych pozabijać a ich towarzyszy w niewolników zamienić.

Można wyobrazić sobie huczne oklaski, jakiemi przyjęto mowę tego egipskiego syna Belzebuba. Czy jednak

taką mowę wypowiedziano, czy nie, dość, że oficerowie wysłali 14 kolegów w deputacyi do baszy. Wysłańcy pocałowali baszę w rękę, prosili pokornie o przebaczenie, ofiarowali mu przywrócenie go do dawnego stanowiska i błagali go, by odprowadził ich do obozu Stanleya pod Kavalli i przemówił za nimi. Basza wypełnił ich prośbę z radością. Wsiadł na parowiec „Kedyw“, zbiegowie wpakowali się ze swojemi kuframi na statek, Casati przybył również ze swoimi towarzyszami, „Nyanzę” obładowano w ten sam sposób i tak wśród wszelkich honorów przywieziono baszę do Mswa. Na tej stacyi spotkał on posłańca z moim ostatnim listem, poczem wyruszył w drogę do naszego obozu.

D. 13 lutego posłańcy wręczyli nam następujący list Emina baszy.

Obóz d. 13 lutego 1889.

Szanowny panie! W odpowiedzi na pismo pańskie z d. 7 b. m., za które pozwalam sobie podziękować panu najserdeczniej, mam zaszczyt donieść panu, że przybyłem tu wczoraj o godz. 3 ej z dwoma parowcami, wiozącemi pierwszy oddział moich ludzi, którzy chcą wraz z panem kraj ten opuścić. Skoro tylko rozkwateruję moich ludzi, parowce powrócą do Mswa, aby zabrać dalszy oddział ludzi.

Przy mnie znajduje się około 12 oficerów, pragnących koniecznie zobaczyć pana i tylko 40 żołnierzy. Przybyli tu pod mojemi rozkazami prosić pana o pozostawienie im trochę czasu, aby mogli sprowadzić z Wadelai przynajmniej tych braci swoich, którzy gotowi są kraj ten opuścić, a ja przyrzekłem im uczynić, co tylko będzie w mojej mocy, aby im dopomódz. Ponieważ położenie rzeczy zmieniło się pod pewnym względem, możesz pan nałożyć mi warunki, jakie uznasz za stosowne. Dla omówienia ich, skoro tylko rozbiję obóz, przybędę z oficerami do pań-

skiego obozu, a jeżelibyś pan przysłał tragarzy, przydali-  
by mi się.

Mam z całego serca nadzieję, że wielkie trudy, jakie pan przebyłeś i wielkie ofiary, jakie wyprawa poniosła, aby nam dopomódz, będą nagrodzone oswobodzeniem moich ludzi. Bałwan szaleństwa, jaki kraj zalewał, już znikł, a ludzi, którzy obecnie ze mną przybywają, możemy być pewni.

Signor Casati prosi mnie, abym panu podziękował najserdeczniej za łaskawie zachowany dla niego upominek.

Pozwól mi pan raz jeszcze wyrazić moje najszczer-  
sze podziękowanie za to, coś pan dotąd dla nas zdziałał  
i proszę uważać mnie za swego

Sługę uniżonego  
Dr. Emin<sup>a</sup>.

Basza wierzy widocznie, że ludzie jego są mu jeszcze  
wierni.

Ale jeżeli połowa tego, co mówi Jephson, jest pra-  
wdą, naówczas basza musi mieć większe zaufanie do nich,  
aniżeli ja. Tymczasem, jeżeli „bałwan szaleństwa znikł”,  
tem lepiej. Jephson wyruszy jutro z 50 zbrojnymi nad  
jezioro, aby baszę i jego oficerów przyprowadzić do nas;  
wyszlę również posłańców do Stairsa, aby oddział swój  
przyprowadził tu jak najprędzej, abyśmy byli wszyscy ra-  
zem i mogli buntownikom zaimponować tem, jak nasi dzi-  
cy wojownicy i tragarze na komendę się ustawiają.

16 stycznia. Otrzymałem list, w którym Stairs doniósł,  
że przybył do Mazamboniego i że u nas zjawi się 17 lub  
18-go b. m. Pisze on: W obozie nad Ituri ucieszyliśmy się  
mocno po przybyciu posłańców pańskich z Raszydem, któ-  
ry doniósł, że Jephson jest u pana. Natomiast wieści  
o Eminie baszy, zdaje się, są smutne. Pański list dzisiej-  
szy usuwa jednakże wszelkie złe przewidywania, więc

mamy nadzieję, że wkrótce wszyscy wyruszymy do Zanzibaru.

Ach, jakżeż ci młodzi ludzie są niecierpliwi! Jestem ciekawy wiedzieć, czy wyruszymy za trzy miesiące.

Po chwili otrzymałem od Jephsona następujący list charakterystyczny:

Obóz pod Were. 15 lutego 1889.

Szanowny panie! Doszliśmy do tego obozu wczoraj, lecz przybyliśmy tu dopiero nad ranem, ponieważ krajowcy prowadzili nas drogą bardzo długą.

Zastaliśmy baszę, Casatiego, Marco, aptekarza Vita i wielu oficerów urzędników, którzy rozbili obóz w bardzo dobrem miejscu, w odległości mniej więcej 3 km. na północ od naszego dawnego obozu, w którym poraz pierwszy spotkaliśmy baszę.

Kiedy oddałem list pański i opowiedzieliśmy sobie nawzajem nowości, spytałem baszę, kiedy zamierza wyruszyć. Odpowiedział, że musi naprzód rozmówić się ze swoimi oficerami. Dziś rano zwołano zgromadzenie, na którym uchwalono, abyśmy jutro wyruszyli do Kavallj i aby w drodze spędzić dwa dni.

Basza chce złożyć panu wizytę, pozostać może przez kilka dni u pana w obozie i powrócić następnie po córkę i resztę towarów, w liczbie około 200. a składających się z prosa, soli, sezamu itd. Oficerowie zabiorą tylko 20 tobołów, ponieważ chcą pomówić z panem jedynie o wprowadzeniu swoich żołnierzy i pakunków. Urzędnicy zabiorą wszystkie toboły swoje i pozostaną tutaj.

Oba parowce powracają d. 18-go lutego do Mswa, aby zabrać resztę ludzi i towarów z tej stacyi i przywieźć zapasy żywności dla obozu nad jeziorem.

Po przybyciu parowca do Mswa, żołnierze nieregularni, w liczbie około 50, tudzież żony ich, które umieją

dobrze biegać, pójdą do Kavalli łądem; parowce, powróciwszy tutaj, zawiozą oficerów aż do Wadelai.

Basza przywiózł 60 kłów słoniowych; przydadzą się one niewątpliwie. Chociaż zatrzymujemy się tu przez jeden dzień, nie żałuję tego, ponieważ i Zanzibarczycy i ja znużyliśmy się wczoraj, a obawiam się, abyśmy nie nadwyrężyli sobie nóg, gdybyśmy dziś mieli powracać. Mimo znużenia, Zanzibarczycy wpadli do obozu z demonicznie dzikim wyciem. Jak zwykle, zażegnawali wymarzonego nieprzyjaciela i ustawili się w prostej linii przed baszą. Także i żołnierze maszerowali poprawnie i salutowali go. On ucieszył się bardzo i prosił mnie, bym podziękował im za trudy, jakich podjęli się dla ocalenia go, co też uczyniłem w mowie Kizuaheli, o ile umiałem. Basza kazał wszystkim kobietom mleć zboże, a ja im wszystkim, Sudańczykom, Manjemom i krajowcom, wydzieliłem po dwie czarki. Dziś strzelec Saat Tato i drugi przynieśli dwie antylopy kudu i kozła, mieliśmy więc żywności dostatek. Bawiłem się wybornie, patrząc, jak leniwi, szpetni Sudańczycy patrzyli na szalone skakanie Zanzibarczyków, jakby chcieli powiedzieć: Do jakiego gatunku ludzi należą ci hałaśliwi, niesforni Zanzibarczycy?

Casatego zastałem niemożliwszym, niż kiedykolwiek; kiedy spytałem go, czy pójdzie nazajutrz z nami, odpowiedział, że woli czekać. Następnie pytałem go: Ile pan ma tobołów? — „O! — odpowiedział — pan wie, że bardzo mało. Wszystko zabrał mi Kabba Rega. Potrzeba mi może 80 żragarzy.

Aptekarz Vita potrzebuje 40, kupiec grecki Marco 60. Basza czynił Casatiemu wyrzuty, że zabiera wszystkie swoje kamienie młyńskie, gliniane garnki, łóżka dla służących i kobiet itd., na co on odpowiedział: — Pan Stanley ofiarował się przenieść wszystkie nasze toboły.

Ci ludzie nie mają sumienia i woleliby widzieć, jak

nas i tak już słabi ludzie padają pod ciężarami, niż odrzucić śmiecie, które muszą pozostawić.

Jak mówi mi basza, Casati był przeciwny podróży z Tunguru, mimo mego natarczywego listu i mimo to, że Szukri Aga dał tragarzy, i czynił, co tylko mógł, byle tylko powstrzymać podróż tutaj, ponieważ uważał ją za „niepolityczną”. Aż kipi we mnie z powodu samolubstwa tych ludzi, ich niezdolności i niechęci patrzenia na rzeczy tak, jak się one istotnie przedstawiają.

Pogłoska o wyprawie „białego człowieka” do Fallibek okazała się zmyśloną, nie słyszano już o nim nic więcej.

Casati nie chce iść, zanim nie będzie miał tylu tragarzy, by mógł iść przy wszystkich towarach swoich. Basza jest z tego powodu bardzo zły.

Łódź „Advance” została bardzo dobrze wyłatana. Dziś wieczór pójdę na pokład parowca, by zażądać klucza do śrub itd.

Basza, Casati i oficerowie proszą mnie o przesłanie panu ukłonów.

Pozostaję itd.

Mounteney Jephson.

Basza 200 tobołów! Casati, który wszystko stracił, 80 tobołów, aptekarz Vita 40, Grek Marco 60, razem 380 tobołów dla czterech ludzi. Wprawdzie przyrzekłem sprowadzić wszystko tutaj, ale kamienie młyńskie! Ha, skoro to przyrzekłem, muszę dotrzymać słowa. Tymczasem nic to nie szkodzi, że się p. Jephson trochę nagniewa.

Od Emina baszy otrzymałem pismo następujące:

Szanowny panie! Skoro p. Jephson przybył wczoraj z pańskimi ludźmi, mamy zamiar wyruszyć jutro rano; a zatem pojutrze będę miał przyjemność widzieć pana. Moi ludzie pragną koniecznie usłyszeć z ust pańskich, że

ich dawne głupie zachowanie się nie będzie panu przeszkadzało prowadzić ich.

Jestem bardzo panu wdzięczny za uprzejmy list, który wręczył mi p. Jephson i mam nadzieję, że okoliczność, iż pod względem usposobienia umysłu jestem trochę Afrykainem, nie będzie szkodziła naszym przyjacielskim stosunkom itd.

17 lutego. Karawana Emina baszy, złożona z około 65 osób, przybyła dziś w południe do obozu. Deputację zbuntowanych oficerów z Wadelai prowadzi Selim bey, którego basza mianował beyem. Jest to człowiek otyły, może 50-letni, czarny jak węgiel; mam ochotę lubić go, ponieważ złośliwy spiskowiec, myślący o mordzie, bywa zawsze chudym. W rysach tego człowieka czytano indolencję i skłonność do zadawalania swej zwierzęcej natury. Jest to człowiek, którym można powodować, ale nie spiskowiec. Karm Selima beya dobrymi potrawami, daj mu pić poddostatkiem, a będzie ci wiernym. Inni spiskowcy są szczupli, jak Cassius.

Po za obozem odbyliśmy wielką paradę, powiewały sztandary, weterami zanzibarscy stali po obu stronach ścieżki, jak mur żelazny, Manjemowie wyglądali jak wojska nieregularne, zaś setki krajowców z Kavalli i okolicy ustawiły się po za szeregiem.

Basza, który wyglądał, jak profesor prawa, został wśród tych dwóch linii poprowadzony na wolny plac obozu.

Oficerowie wywoływali u nich wielką sensację swojemi nowemi mundurami.

Przed domem przedstawiłem baszę oficerom. Przywitaliśmy się, zapytaliśmy nawzajem o swoje zdrowie, wyraziliśmy zadowolenie z tego, że nie potrzebujemy obawiać się suchót ani dysenterji i że jutro zgromadzimy się, i każdy będzie łaskaw wypowiedzieć najtajniejsze życzenia serca swojego.



18 lutego. Dziś odbyła się narada. Każdy z obecnych był ubrany w najlepszy mundur. Po wymianie kompletów i po podaniu kawy, prosiłem baszy, by spytał deputacyę, czy chce wywiązać się ze swojej misyi, czy też woli, abym wytłómaczył naprzód cel zgromadzenia się nad brzegiem jeziora członków 20 narodowości.

Odpowiedzieli za pośrednictwem baszy, że chcą naprzód mnie wysłuchać. Basza jest wybournym tłumaczem i posiada sztukę łagodzenia wyrazów za ostrych.

— A więc—rzekłem—otwórzcie uszy, aby przedarły się do nich słowa prawdy. Ludzie w Anglii, usłyszawszy od waszego dawnego gościa, d-ra Junkera, że jesteście w wielkiej biedzie i nie macie prochu do obrony przed niewiernymi i stronnikami fałszywego proroka, zebrali pieniądze i powierzyli mi je, abym zakupił amunicyę i przyziósł ją do was. Ale kiedy jechałem przez Egipt, kedyw prosił mnie, bym wam powiedział, że możecie kraj ten opuścić, jeżeli tego chcecie; jeżeli jednakże wolicie pozostać tutaj, to wolno wam robić to, co uznacie za najlepsze. Jeżeli wybierzeecie to ostatnie, kedyw nie będzie was zmuszał. Bądźcie zatem, panowie, łaskawi naradzić się nad swojemi życzeniami i powiedzieć, co na dniu serca waszego jest ukryte.

Kiedy basza przetłómaczył im to wszystko, powstał ogólny szmer: „Chweis”. (Dobrze).

Następnie powiedział najwyższy oficer, Selim bey —Kedyw jest bardzo łaskaw i dobry. My jesteśmy najposłuszniejszymi i najwierniejszymi poddanymi Jego Wysokości. My nie możemy pragnąć pozostać tutaj. My pochodzimy z Kairo i nie pragniemy nic goręcej, jak powrócić do miasta rodzinnego. Dalekim jest od nas zamiar pozostania tutaj. Co za korzyść moglibyśmy mieć z tego? My jesteśmy oficerami i żołnierzami Jego Wysokości. On rozkazuje, a my słuchamy. Ci, którzy chcą żyć tu wśród

pogan, mogą to uczynić; jeżeli będą pozostawieni, samą będą sobie winni. Nas wysłali nasi bracia i przyjaciele, z prośbą do pana, abyś pan pozostawił nam trochę czasu dla zgromadzenia naszych rodzin, abyśmy mogli zgromadzić się w pańskim obozie i wyruszyć z powrotem do domu.

Następnie wręczyli mi pismo, które w przekładzie brzmi, jak następuje:

„Do Jego Ekscellencyi posła naszego wielkiego Rządu pana Stanleya“.

Kiedy Selim bey Mator, naczelnik wojsk tej prowincyi, przybył tutaj i pokazał nam list, który mu pan wręczyłeś, ku wielkiej radości naszej dowiedzieliśmy się o szczęśliwym przybyciu pańskim do tej prowincyi, a nasze pragnienie powrotu do naszego rządu wzrosło bardzo, i mamy nadzieję, że z pomocą Bożą będziemy wkrótce u pana, aby więc panu donieść o tem, list ten piszemy“.

List ten podpisało 36 oficerów.

— Słuchałem was uważnie — odpowiedziałem. — Dam panom pisemne przyrzeczenie, że pozostawię panom czas dostateczny, abyście mogli pójść do Wadelai, zgromadzić żołnierzy i zabrać ich wraz z rodzinami na parowce. Na drogę do Wadelai parowce potrzebują pięciu dni i tyleż na powrót. Pozostawię panom dostateczny czas na to, a gdy zobaczę, że istotnie macie stanowcze zamiary, będę gotów czas ten przedłużyć, abyśmy mogli maszerować do domu wygodnie.

Selim bey i jego oficerowie odpowiedzieli równocześnie:

— Mamy zamiary poważne i niema tu czasu na odwlekanie.

Na tem skończyło się zgromadzenie. Oficerom i ich towarzyszom podarowałem wołu i 80 litrów piwa, tudzież odesłałem znaczną ilość słodkich kartofli do ich kwater.

Około południa przybył do obozu Itairs ze znacznymi bogactwami wszelkiego rodzaju, gotowemi nabojami do karabinów i armatki, prochem, sezamem, perłami, drutem itd. Przeprowadził Zanzibarczyków, Madiów, ludzi z Lado, Sudańczyków, Manjemów, Baleggów, Bandussumów, karłów i olbrzymów, ogółem 312 tragarzy.

Pobyty nad Ituri wszystkim dobrze posłużył. Kiedy zobaczyłem d-ra Parkego, błogosławiłem mu w duchu, ponieważ jego to poświęceniu się zawdzięczać należy uratowanie tylu ludzi.

W obozie znajduje się obecnie przeszło 500 ludzi. 19 lutego posłałem p. Williama Bomujego z 30 zbrojnymi w karabiny i 64 Bawirami do jeziora po bagaże signora Casatiego, Greka Marco i d-ra Vita Hassana.

Zwołałem Selima beya i jego oficerów do mojej kwatery i wręczyłem im moje orędzie do zbuntowanych oficerów w Wadelai.

„Sa!ams!”

Ponieważ oficerowie, Selim bey i inni prosili p. Stanleya, aby czekał na przybycie ich przyjaciół z Wadelai, kazał on napisać swoją odpowiedź, aby uniknąć wszelkich nieporozumień.

Ponieważ p. Stanley i jego oficerowie zostali tu przysłani przez kedywa wyraźnie jako przewodnicy, aby tym ludziom, którzy chcą opuścić prowincję, wskazać drogę do Kairo, przeto nie mogę uczynić nic innego, jak pozostawić chętnie czas, potrzebny na zgromadzenie wszystkich ludzi, gotowych do wymarszu.

Zastrzega się tu jednakże, że wszyscy mężczyźni, którzy mają zamiar iść z p. Stanleyem, muszą zająć się sami transportem swoich rodzin i bagaży. Od tego nie może być żadnego wyjątku, prócz baszy, kap. Casatiego i kupca greckiego Marco, dla tych ostatnich dlatego, że są obcymi i nie znajdują się w służbie egipskiej.

Wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy chcą kraj ten opuścić z p. Stanleyem, winni zatem zaopatrzyć się w tyle zwierząt i tragarzy, ile im potrzeba dla transportu dzieci i swego mienia.

Będziemy dalej uważali na to, aby nie obarczali się przedmiotami zbytecznymi; potrzebne są jedynie broń, ubranie, amunicya, garnki do gotowania i żywność.

Na mocy rozkazu J. W. kedywa, amunicya rezerwo- wa, przyniesiona dla użytku baszy i jego ludzi z Egiptu, naturalnie może być oddana tylko do rozporządzenia baszy.

P. Stanley prosi o zrozumienie tego, że tylko on jeden jest odpowiedzialny za wyszukanie właściwej drogi i zaopatrywanie w żywność wszystkich ludzi stosownie do przyrody kraju.

P. Stanley uważa się jednakże za zobowiązanego moralnie, czynić wszystko, co tylko jest w jego mocy, dla wygody i bezpieczeństwa Emina baszy i jego ludzi i wspierać jego przyjaciół pod każdym względem, o ile tylko będzie mógł to uczynić.

A zatem oficerowie, odpowiedzialni za zachowanie się ludności, uczynią dobrze, gdy po nadejściu tej odpowiedzi do oficerów w Wadelai, zwołają ogólną naradę i dobrze zastanowią się nad odpowiedzią, zanim wyruszą w drogę. Ci ludzie, którzy są przekonani, że mają odwagę i środki do opuszczenia prowincyi, mają przygotować się do wyruszenia do tego obozu, jak to polecił im basza. Ci, którzy powątpiewają o swoich siłach lub zdolności do marszu, uczynią to, co postanowią przełożeni.

P. Stanley przygotowuje tymczasem obóz na przyjęcie ludzi, którzy zechcą odejść.

Kavalli 19 lutego 1889. Henryk M. Stanley  
Naczelnik wyprawy ratunkowej“.

20 lutego. Naczelnik Katonza wysłał do obozu nad jeziorem posłańców, aby zawiadomić Casatiego, że Kabba

Rega, król z Unjoro, wczoraj wprowadził jego bydło i maszeruje na obóz Casatiego.

Co z tego wynika, widać z następującego listu p. Bonnyego:

„List ten posyłam na życzenia *signora* Casatiego. O swoich zamiarach pisze on do baszy. On sądzi, że generał Kabby Regi ma tu gdzieś w pobliżu wielkie wojsko i życzy sobie, abym pozostał u niego jeszcze dzień jeden, aby pan mógł przysłać mi posiłki. Zgodziłem się na to, by posłać do pana posłańca, ale nie chcę pozostać. Zwróciłem uwagę jego na to, że jeżeli grozi niebezpieczeństwo, to ja nie mogę narażać moich ludzi niepotrzebnie. Dziś rano ludzie moi wyruszą z bagażami. Usiłowałem skłonić Casatiego, aby szedł pod naszą eskortą, jeżeli chce uniknąć niebezpieczeństwa. Jeżelibyśmy spotkali w drodze ludzi Kabby Regi, pouczę ich, że spotkali ludzi Stanleya“.

Posłaniec przyniósł ten list o godz. 2 po południu, poczem basza i jego oficerowie wyruszyli natychmiast z 60 zbrojnymi w karabiny i 60 krajowcami do obozu nad jeziorem. Nie sądzę, aby Wanjoro wkroczyli na terytoryum, będące pod naszą opieką, ale lepiej być pewnym.

22 lutego. Kupiec grecki, signor Marco, człowiek przystojny, przybył dziś w towarzystwie p. Bonnyego. Jak widzę, Marco lubuje się w wygodzie. W orszaku jego znajdują się słudzy, niosący papugi, gołębie, łóżka dla siebie i jego haremu, ciężkie dywany perskie, makaty, olbrzymie kosze i, o zgrozo, przeszło 300 funtów kamieni, służących do mielenia kukurydzy, jak gdyby to krajowcy nie pożyczili nam tyle takich kamieni, ilebyśmy zapotrzebowali. Prócz tego przyniósł dwa garnki 80 litrowe do warzenia piwa. Obawiam się, że będziemy tu bawili długie miesiące, jeżeli wszyscy uciekający będą tak objuczeni. Pośpieszyłem się zanadto, przyrzekając transport całego ich mienia. Zaczekam jeszcze trochę, aby Przekonać się, czy wszyscy ofice-

rowie, urzędnicy i żołnierze sądzą, że kamienie uważam za bagaż.

23 lutego. Dziś zastrzelił się Zanzibarczyk, Mrima zniecierpliwiony z powodu powolnego gojenia się wrzodu.

Basza pisze, że w obozie nad jeziorem wszystko dobrze.

24 lutego. Wysłałem 25 zbrojnych w karabiny pod wodzą Chamisa dla eskortowania 50 tragarzy, poddanych Mpingi.

Wszystkich naczelników sąsiednich plemion zawiadomiłem, że mają dostarczyć mi po 50 do 100 tragarzy dla pomocy przy transporcie bagaży naszych gości. Jedenastu oświadczyło gotowość wysyłania ludzi po kolei do jeziora, pod warunkiem, że ludzi ich uwolnię od brutalności obcych, ponieważ ci ostatni, jak mówią, ludzi strasznie bili i kazali nosić im „kamienie“, za ciężkie dla jednego człowieka. Słyszę to poraz pierwszy; zarządzę natychmiast śledztwo.

25 lutego. Nelson, który towarzyszył baszy w pochodzie do jeziora, powrócił z 60 tobołami bagaży baszy. Jest tam mnóstwo przedmiotów, które z konieczności potrzeba odrzucić. Jest tam stary olbrzymi kufer, który niosło dwóch ludzi; próbowałem podnieść go; sądząc z wagi, wnoszę, że zawiera on kamienie lub skarb. Coby kufer ten mógł opowiedzieć od czasu, jak opuścił Kairo? Ilu krajowców on zabił? Plac wolny obsiany został skrzyniami okrętowymi i kuframi w rodzaju trumny, liczba olbrzymich garneków zwiększa się, a kosze wydają się coraz cięższymi.

Przybył tu Egipcyanin, Achmet Effendi, który mimo to, że liczy lat 45 dopiero, jest tak wychudły i osłabiony, że nawet jechać na osle nie może bez pomocy.

Jeżeli tylko chorzy ludzie zamierzają wyruszyć w pochód do wybrzeża, to śmiertelność będzie wielka. Przyby-

ła już wielka liczba dzieci w wieku od lat 1 do 8; te trzeba nieść, ale kto?

Zawarłem przymierze ze szczepami od Ituri aż do jeziora. W zamian za obronę przed Baleggami z gór i Warazurami Kabby Regi, naczelnicy oświadczyli gotowość płacenia nam regularnie kontrybucyi w zbożu i bydłe, powierzyć mi rządy w kraju i dostarczyć wojowników, skoro otrzymają rozkaz towarzyszenia mi w wyprawie do Unjoro, na wypadek, gdyby ta okazała się potrzebną.

26 lutego. Dziś rano uderzyliśmy na jednego ze sprzymierzeńców Kabby Regi, przyczem uprowadziliśmy 125 sztuk bydła. Człowiek ten narobił już wiele złego i zajął terytoryum pomiędzy Kavalli a prowincją baszy; Kabba Rega liczy na jego pomoc przy rozpoczęciu walki pomiędzy nim a baszą. Komunikacyę utrzymują łodziami na jeziorze, a Kabba Rega bywa zawiadamiany dokładnie o naszych ruchach. Wyruszając ztąd, będziemy mieli z nim do czynienia. On posiada 1500 karabinów, przeważnie strzelby dubeltówki. Wziąwszy na siebie trudne zadanie obrony tych setek zbiegów, załatwię tę rzecz z czystym sumieniem. Nie będziemy szukali bitwy; nie dorównujemy siłom przeciwnika, ale będziemy musieli iść przez część Unjoro.

27 lutego. Mamy już mleko i mięso dla chorych.

Dowiaduję się, że Salim bey i oficerowie egipscy odjechali wczoraj na parowcach „Kedyw” i „Nyanza”, które przywiozły znów wielki transport bagaży i kilka tuzinów zbiegów z Mswa do obozu.

Dziś rano przybył basza. Towarzyszy mu córka, Ferida, dziewczę sześćioletnie. Jest to córka abissynki, bardzo ładna, posiada cudowne wielkie czarne oczy.

104 tragarzy niosło bagaże baszy, tudzież zapasy mąki, prosa, sezamu, miodu i soli.

Chamis doniósł, że jeden z oficerów Selima beya skradł

karabin Remingtonowski i zabrał go. To szczególne. Skoro ci ludzie zamierzają powrócić, to powinni przecież wiedzieć, że kradzież broni jest surowo zakazana.

Basza doniósł mi, że otrzymał wiadomość z Wadelai. Zbuntowani oficerowie pod wodzą Fadla el Mulla wręczyli Selimowi beyowi pismo z zawiadomieniem, że został zbawiony posady naczelnego dowódcy wojsk; on, basza i Casati zostali skazani na śmierć. Kapitan Fadl el Mulla, obejmując dowództwo, sam zamianował się beyem, czyli pułkownikiem. Musimy obecnie nazywać go Fadl el Mulla bey.

28 lutego. Wysłałem 50 zbrojnych w karabiny i 72 krajowców pod wodzą Stairsa do jeziora po dalszy kontyngens zbiegów i bagaże.

1 marca. Basza za własną zgodą i na swój wniosek został zamianowany przezemnie przyrodnikiem i meteorologiem wyprawy. Żadna wyprawa nie może być pod tym względem obsługana, jak nasza. Jest to najsilniejszy i najdokładniejszy badacz, ze wszystkich, jakich znam. Ale niestety nie chce wcale zdawać nam sprawy ze swoich spostrzeżeń.

Jako przyrodnik i meteorolog, basza znajduje się w swoim żywiole. Należy do szkoły Schweinfurtha i Hölubla; jego zamiłowanie do nauki graniczy z fanatyzmem. W czasie naszych codziennych gawęd usiłowałem zbadać, czy on jest chrześcijanem, muzułmaninem, żydem, czy poganem, domyślałem się prawie, że jest tylko materialistą.

2 marca. Pod eskortą Stairsa i 122 tragarzy przybył tu Vita Hassan, pochodzący z Tunisu.

3 marca. Dziś odbyłem przegląd obozu i przekonałem się, że u nas reprezentowane są: Niemcy, Grecya, Tunis, Anglia, Irlandya, Włochy, Ameryka, Egipt, Nubia, kraj Madiów, Monbuttu, Langgo, Bari, Szuli, Zanzibar, Usagara, Useguhha, Udoë, Unjamwesi, Uganda, Unjoro,



Bawira, Wahuma, Marungu, Manjemowie, Basoko, Usongora, kraj Kongo, Arabia, Komory (Johanna, Comoro), Madagaskar, Somali, Circassya, Turcyja, a prócz tego karłowicie z olbrzymiego lasu i olbrzymi z nad Nilu niebieskiego.

Obóz wygląda już jak miasto. Porządek można utrzymać bez trudu. Codziennie rozdajemy 300 litrów mleka chorym; prócz tego każdy otrzymuje 6 funtów mięsa na tydzień, tudzież sporo mąki, słodkich kartofli, grochu, fasoli i bananów.

Od jeziora sprowadzono 70 tobołów Casatego, on sam przybył także.

5 marca. Dziś przybył Bonny z 94 tobołami w towarzystwie majora 2go batalionu, Auasza Effendiego. Wszystkie owe toboły należą do niego, jest tego ogółem 2,300,000 kilogramów.

P. Jephson wyruszył dziś z 42 Zanzibarczykami i Manjemami do jeziora.

Przez 6 tygodni naszego pobytu tutaj zmarł jeden mężczyzna i jedno niemowlę.

Wyprawa posiada wybornego lekarza. Żaden kraj europejski nie posiada takiego. Są może uczeńsi, zręczniejsi, starsi i młodsi lekarze, ale najlepsi mogą nauczyć się jeszcze czegoś od niego.

6 marca. Basza zajęty jest nieustannie powiększaniem zbiorów ptaków, skowronków itd. Zbieranie to uszczęliwia go nadzwyczaj. Z tego powodu poleciłem Zanzibarczykom, by zbierali dla niego ptaki, owady i płazy. Szczęście jego jest dla nas nagrodą. On to wszystko wypycha, a następnie opakuje dla muzeum brytańskiego.

Zdaje mi się, że ci „zbieracze“ tworzą specjalną rasę. Schweinfurth gotował raz w Monbuttu głowy poległych, aby czaski preparować dla muzeum berlińskiego; Emin basza zamierza uczynić to samo na wypadek, gdyby

przyszło do wojny z Wanjoro. Powiedziałem mu, że pomysł ten jest wstrętny, że Zanzibarczycy mogą się sprzeciwić, on odpowiedział z uśmiechem:

— Wszystko dla nauki.

Ten rys ludzi uczonych rzuca światło na pewną tajemnicę. Staralem się zbadać, dlaczego my dwaj różniemy się tak w poglądach na ludzi. Mamy kilku karłów w obozie; basza chciał mierzyć ich czaszki, ja badałem ich naturę, on mierzył objętość piersi, ja studyowałem rysy twarzy itd.

Oto powód, dlaczego się tak różnimy. On zna nazwiska swoich ludzi, ich rodziny, pokolenie i zwyczaje, a ja, chociaż byłem pomiędzy nimi poraz pierwszy, znam ich naturę. Basza mówi, że oni są wierni, ja, że fałszywi; on twierdzi, że gdy opuści Kavalli, wszyscy pójdą za nim, ja jestem zdania, że się fatalnie łudzi. On mówi, że zna ich od lat 13, może to za tem wiedzieć lepiej odemnie. Dobrze, być może, czas to różstrzygnie. Mimo to czas mija nam szybko, bo basza posiada wyborny talent bawienia.

7 marca. Dziś powrócił p. Jephson z Mohammedem Eminem i rodziną, z wdową po Egipcyaninie i czworgiem sierot.

Dr. Parke poszedł z 52 Zanzibarczykami, 30 krajowcami i 19 Manjemami do jeziora.

8 marca. Do jeziora poszedł Uledi, bohater dawnych czasów, z 21 tragarzami.

9 marca. Dr. Parke powrócił z karawaną.

— No, doktorze, jakże spędziłeś dzień feryj?

— Jako odmiana może on być przyjemny, ale zresztą jest to ciężka praca. Widzę, że nawet najlepsi ludzie męczą się wdrapywaniem na stok skalisty.

— Wiem o tem, ale cóż robić? Ci ludzie są naszymi gośćmi, a my jesteśmy obowiązani pomagać im, o ile możemy. Ale życzę sobie, aby te kamienie pozostawiali, bo

nawet tragarze śmieją się z noszenia kamieni 80-funtowych pod górę. Ale Zanzibarczycy okażą to, gdy ich to znudzi. Tymczasem czekajmy, jak długo nadużywać będą naszej cierpliwości.

10 marca. Kiedy dziś rano Zanzibarczycy wystąpili do przeglądu, zażądali rozmowy ze mną. Co kilka minut mówca otrzymywał oklaski od kompanij, stojących w pobliżu pod wodzą różnych oficerów.

— Panie—mówił on—dosyć nam już tej pracy, dźwigać kamienie i ciężkie skrzynie i łózka drewniane. Gdybyśmy nie uważali tego za marnowanie sił, nie mówilibyśmy nic. Gdzie oni chcą nieść te graty, które musimy znosić tutaj? Czy zechce kto nieść te olbrzymie trumny choćby przez dzień jeden przez krzaki? Najsilniejszy człowiek na świecie zginąłby pod tem. Dla kogóż to robimy? Dla bandy niewdzięcznych ludzi, nie mających serca, którzy ustami mówią o Bogu, a przecież ani o nim, ani o proroku Mahomecie — niechaj błogosławione będzie jego imię—nie wiedzą. A prócz tego za cóż oni nas mają? Nazywają nas Abid—niewolnikami. Oni myślą, że każdy z nich może bić dziesięciu z nas, i mówią, że kiedyś odbiorą nam karabiny i zrobią nas swoimi niewolnikami. My rozumiemy dobrze po arabsku, aby wiedzieć, co to znaczy, chociaż ich żargon arabski jest bardzo zły. Przyszliśmy teraz spytać ciebie, panie, jak długo to jeszcze trwać będzie. Jeżeli chcesz nas zabić tą niewdzięczną pracą, nas, którzy zostaliśmy uratowani z lasu, to powiedz nam. My jesteśmy twoimi sługami, i musimy słuchać twoich rozkazów.

— Dobrze — odpowiedziałem.—Wysłuchałem waszej mowy. Wiedziałem, że przyjdziecie z tem do mnie, ale musicie też mieć zaufanie do mnie. Liczcie na mnie. Idźcie dziś do jeziora, a skoro powrócicie, pomówię z wami.

Zamianowałem Nelsona dowódcą karawany, który następnie wyruszył z 81 Zanzibarczykami, Sudańczykami i Monjemami.

Jak zauważyłem, ludzie ci nie wzięli żywności; byli widocznie niezadowoleni i źli, a ponieważ obawiałem się rozruchów, wysłałem do Nelsona posłańców, by przysłał mi dwóch ludzi, których uważałem za głównych malkontentów. Otrzymawszy to polecenie, Nelson kazał zatrzymać owych dwóch ludzi, ale w tej chwili 50 Zanzibarczyków wzniosło okrzyk.

— Wystrzelajcie ich wszystkich i idźmy do Mazamboniego.

Kapitan upierał się jednak i nastawał na to, by owych dwóch odesłać, poczem wszyscy powiedzieli, że wrócą do obozu, aby bronić przyjaciół.

Kiedy karawana się zbliżała, kazałem dać sygnał, aby wystąpiono z bronią do przeglądu i aby kompanie ustawiły się celem przeszkodzenia rozruchom.

Niezadowoleni musieli stanąć w szeregach w środku, kiedy spojrzałem na nich, przekonałem się, że potrzeba było tylko małej rzeczy, aby wybuchła walka. W myśli sympatyzowałem z nimi, ale nie mogłem pozwolić na wyłamywanie się z karności.

— No, ludzie—rzekłem—słuchajcie mnie teraz. Złóżcie broń.

Stało się to.

— Cztery kroki w tył po za szeregi.

Cofnęli się spokojnie.

— Kapitanie Stairs, idź naprzód ze swoją kompanią i zabierz broń.

I to się stało.

Następnie poleciłem Nelsonowi, by wytlómaczył mi przyczynę powrotu karawany. Wskazał tych, którzy brali udział w buncie. Ludzi tych natychmiast schwytano.

tak, że go zupełnie nienawidzi. Jest to poprostu zwierzę pogańskie i nie wart jej miłości. Ograbił ją, podarł suknie, bił ją, a raz nawet głowę rozplątał. Nie, nie chcę mieć z nim do czynienia, nie, nie, itd.

— Skończyłaś swoje opowiadanie?

— Tak.

— *Serur!* Odprowadź ją do domu baszy.

Za kilka minut prz. był do mego namiotu basza i prosił o chwilę rozmowy. Opowiadał, że kobieta ta za zgodą męża została mamką jego córki i że otrzymała za to sowitą nagrodę w suknie; ale zaledwie dostała w swoje ręce te rzeczy, przybył mąż, odebrał jej wszystko i obił ją haniebnie. Na prośbę jej, basza zaopiekował się nią, nawet wobec męża. Basza nie słyszał nawet nigdy, by mąż jej był o nią zazdrosny, dopiero teraz dowiedział się o tem, słysząc pogrózki. Basza prosi mnie zatem o ochronę, ponieważ szalenciec może zabić kogo.

— Chcesz pan oddać tę sprawę w moje ręce?

— Owszem.

— Dobrze. Proszę, udaj się pan do swojej kwatery; u wszystkich wejść postawione będą stráže, a ja ręczę za bezpieczeństwo wszystkich w pańskim domu. Przywołam Mohammeda, wysłucham go cierpliwie i doniosę panu o postanowieniu, zanim pan spać się położysz.

Kiedy basza odszedł, kazałem zawołać Mohammeda.

Opowiadał on, że udzielając żonie pozwolenia na przyjęcie obowiązków mamki, nie miał zamiaru pozbawiać dziewczyny usług żony; pragnął tylko, by odwiedzała go od czasu do czasu.

— Jeżeli zgodzisz się na przyjęcie pewnych warunków, będę starał się przywrócić rozum twej żonie; musisz jednakże pójść jutro rano ze mną do baszy i przeprosić go za dzisiejszą gwałtowność. Nie przerywaj mnie... Do tego postępowania zachęcili cię tylko twoi przyjaciele

Dr. Vita Hassan, Vassili Effendi i inni, aby wywołać scenę. Idź teraz spokojnie do domu i strzeż się dziś wieczorem dalszych złorzeczeń.

Wieczorem nadeszły listy z Wadelai, donoszące o strasznych nieporządkach i zamieszaniu na tej stacyi.

4 kwietnia. O godz. 8 rano udałem się do baszy i powiedziałem, że chcę zawołać do niego Mohammeda. Kiedy basza zgodził się na to, wszedł Mohammed i tłumaczył się uniżenie, ale rysy twarzy jego zadawały kłam słowom. Powiedziałem mu, że w mojej obecności ma powiedzieć baszy, na jakich warunkach zgadza się na pozostawanie żony w służbie u baszy, poczem on oświadczył, że zgadza się na to, aby żona pielęgnowała Feridę od pierwszej godziny dnia do nocy. Basza zgodził się na to, ja zaś powiedziałem:

— Ja, Mohammedzie, zgadzam się tylko na następujące warunki:

1. Żona twoja ma pielęgnować Feridę we dnie.
2. Żona twoja po zachodzie słońca ma powracać do twego domu.
3. Nie wolno ci bić żony.
4. Osobista własność jej ma pozostawać u baszy.
5. W czasie marszu masz żonę strzedz i ochraniać, a po przybyciu do obozu pozwolić jej pójść zobaczyć Feridę.
6. We dnie nie wolno ci naprzykrzać się żonie, chyba na wypadek twojej choroby.
7. W zamian za usługi twojej żony basza będzie ją żywił i przyodziewał, oraz starał się, aby w czasie marszu była niesiona.

Zgodzili się na te warunki tak basza, jak i Mohammed.

Następnie przywołano jego żonę, której basza wytłumaczył owe warunki. Słuchając, zdjęła białą muślin

z twarzy; w nieobecności większych piękności wyglądała bardzo pięknie, miała duże oczy i piękną twarz kairską. Chata napełniła się zapachem jej czystośćkiej sukni musli-nowej, pod którą nosiła spódnice szkarłatną. W pustyniach Afryki nie widziałem kobiety, któraby chociaż w przybliżeniu równać się z nią mogła.

Kiedy powtórzono jej warunki, zawołała: Nigdy, nie, nigdy i zaczęła lżyć męża, który wyglądał śmiesznie, lecz prosił mnie, bym jej słuchał.

— Zabierz ją, Mohammedzie.

Mąż rozkazał, aby poszła z nim do domu, ale ona nie chciała słuchać go.

— Ona musi iść teraz do twego domu—rzekłem.

Mohammed raz jeszcze wyciągnął ku niej swoje ramię, ale ona go odepchnęła.

— Nigdy, nigdy!

— Proszę cię Baszo, rozkaż jej, by poszła.

Basza powtórzył rozkaz, ale ona stała nieruchomie.

— Widzisz pan, że ona nie chce—rzekł basza.— Cóż zrobić?

— Kochany baszo, byliśmy przygotowani na tę scenę. Mimo oporu musi jednakże iść z mężem i my będziemy przestrzegali tego do czasu, póki on jej nie obije. Rozkaż pan raz jeszcze, aby poszła z mężem, lub każemy zanieść ją tam.

Basza uczynił to, a ona po chwilowej zwłoce, w czasie której chciała zbadać obustronną siłę woli, wyszła, zając ze sobą miły zapach i wdzięk swojej obecności.

— Idź za nią, Mohammedzie. Jeżeli jednak dotkniesz jej choćby tylko piórem, będzie ci obcą aż do chwili przybycia do Kairo. Pozwól, niech ci złorzeczy nawet aż do utraty przytomności ze znużenia. Czyż taki człowiek, jak ty, boi się wiatru? Miej wzgląd na nią przez trzy do czterech dni, a możesz być pewnym, że ona się zmieni.

W 10 minut później przyszedł Mohammed raz jeszcze i powiedział, że żonę jego dyabeł opętał, że drze swoje suknie i drapie się po twarzy, jakby nazawsze oszpecić się chciała itd.

— Dobrze, dobrze, Mohammedzie. spodziewałem się tego. Idź i zwiąż jej ręce w tyle. A rób to z uśmiechem i łagodnie. Nie znam prawa, któreby ci tego zabraniało. To twoja prawa żona. Ale strzeż się bić ją, bo gdybyś to zrobił, byłbyś bydłkiem.

Mohammed odszedł i żonę związał. Ona krzyczała i jęczała przez pół godziny; przychodziły do niej żony sąsiadów, aby ją uspokoić i prosić, by była uległa swemu panu i władzcy, który będzie zaraz dobrym dla niej, jeżeli tylko okaże mu się posłuszną.

— To jego wielka miłość do ciebie czyni go tak wściekłym i złym. Jeżeli tylko będziesz roztropną, on stanie się twoim niewolnikiem.

Jakie to mądre kobiety!

Ale mojem zdaniem ani rady owe, ani chytre propozycje kobiet nie wywarły na nią takiego wpływu, jak więzy, które czyniły ją bezbronną wobec męża.

O godz. 3-iej przysłała do mnie z prośbą, bym rozkazał mężowi uwolnić ją, lecz ja odpowiedziałem, że głos jej nie ma władzy nademną, a piękność powabu dla mnie, że musi prosić męża. Wskutek tego prosiła męża, by wstawił się do mnie za nią; więzy sprawiają jej ból; przyrzekała więc, że na przyszłość będzie posłuszną.

Szczęśliwy i tryumfujący przybiegł do mnie Mohammed z prośbą o uwolnienie żony. Pozwoliłem, radziłem jednak, by miłość jego nie zamieniła się w szaleństwo, by przez kilka dni zachowywał ton rozkazujący i by trzymał się zdala od niej, aby wkrótce nie postradał straconych korzyści.

Żona otrzymała pozwolenie pełnienia obowiązków



w domu baszy; wieczorem sama dobrowolnie powróciła do domu męża.

5 kwietnia. Dziś rano Serur, chłopiec z kraju Monbuttu, należący do służby baszy, powiedział mi, że tylko dwóch służących baszy zamierza iść z nim. Opowiadał, że kiedy basza pytał ich onegdaj, wszyscy uchwalili na stronie, że z nim nie pójdą.

— A ty wiesz, czy pójdiesz z nim?

— Jeszcze nie wiem. Jeżeli wszyscy przyjaciele moi pozostaną, cóż ja tam sam będę robił?

— Dobrze, a Bilal pójdzie na pewno?

— Tak.

Po zwykłym przeglądzie porannym o godz. 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> doniósł mi Sali, że Zanzibarczycy mówili, że w wielu oddziałach obozu próbowano wykraść karabiny z chat, lecz że próba ta wskutek ostrożności naszych ludzi została udaremniona. Ucieszyłem się, słysząc, że Zanzibarczycy przekonali się nareszcie, jak to dobrze trzymać w nocy karabiny przy sobie.

W obozie panuje przecucie, że coś się stanie. Szepczące zgromadzenia, które codzienie zauważano, ostrożność, jaką zachowywano, bacząc, by nikt obcy nie zbliżył się do nich, odkrycie, że służba baszy oświadczyła mu otwarcie, iż z nim nie pójdzie, olbrzymie pakiety listów, wysyłane przez Egipcyan do Wadelai, duże poczty, nadsyłane z Wadelai, tajne przestrogi, by Egipcyanom nie ufać, dawniejsza kradzież karabinów, dokonana przez powracających oficerów i nowa zuchwała próba, wszystko to przekonywało, że przed 10 ym kwietnia zdarzy się próba przeprowadzenia jakiegoś zuchwałego planu.

Do dnia dzisiejszego uważaliśmy baszę i jego ludzi za gości. Dla baszy samego mamy wielkie uszanowanie i sympatyę, ale widzimy, że on nie jest w stanie zmusić do posłuszeństwa dla siebie. Ale teraz, kiedy Egipcyanie,

widząc naszą uprzejmość i spokój, zaczynają myśleć, że jesteśmy podobni do baszy, nadeszła chwila działania.

Udałem się do domu baszy.

Tenże skończył właśnie z sekretarzem wypychanie ptaków, ale w tej chwili przybrał swą zwykłą powagę.

— Eminie baszo—rzekłem—wieczorem przybyli posłańcy z Wadelai. Przynieśli wielki pakiet listów od Selima beya, urzędników egipskich i innych, a listy, otrzymane przez pana, donoszą o wielkim nieporządku. Jest tam obecnie pół tuzina stronnictw. Jakiś urzędnik koptyjski pisał do pana, że nikt nie wie, czego chce, że żołnierze wpadli do magazynów rządowych i wszystko ztamtąd zabrali; oficerowie nie są w stanie powstrzymać żołnierzy; Wadelai stało się osadą szaleńców; Selim nie rozpoczął nawet wysyłki własnej rodziny; zresztą ma bardzo mało stronników,

Także i pańscy ludzie otrzymali sporo listów od przyjaciół, a w połączeniu z tem probowano wczoraj wieczór kradzieży naszej broni. W trzech punktach wdarto się do chat Zanzibarczyków i próbowano kraść karabiny, ale Zanzibarczycy, stosownie do mojej instrukcyi, śpią z karabinami, umocowanemi do pasa. Podczas, gdy pan byłś zajęty swojemi zbiorami, ja patrzyłem na ludzi.

Do chwili naszego wymarszu mają przed sobą jeszcze pięć nocy. Wczorajsza próba kradzieży nie udała się, ale odważą się na nową, a że są chytry, będą może drugim razem szczęśliwsi, a rzecz jasna, że mają w tem cel jakiś. Rzecz naturalna, że jeżeli uda się im ukraść bodaj jeden karabin, kara będzie ogólną, bo wówczas zapomnę o tem, co jestem winien panu i pańskim ludziom, jako moim gościom. Ale tego właśnie chciałbym uniknąć. Niechętnie krew bym przelewał, jeżeli znajdzie się inny sposób ochrony naszej broni i amunicyi i wymarszu spokojnego. Przedstawiam panu zatem dwa projekty.

Każ pan zatrąbić sygnał do przeglądu wszystkich ludzi i spytaj wówczas, kto chce iść z panem. Tym, którzy iść nie zechcą, rozkażę obóz opuścić; nie zechcą usłuchać, potrafię zmusić ich do tego. Ale ponieważ ci ludzie gardzą naszymi Zanzibarczykami, więc zapewne zechcą opierać się. Ha, ponieważ w kraju tym niema innej apelacyi, jak do karabinów, więc zapewne dojdzie do scen gwałtownych, których potem żałowalibyśmy obaj.

Drugi projekt jest skuteczniejszy i niekrwawy. Rozkaż pan, aby pańskie bagaże spakowano, a rano ludzie moi będą gotowi odprowadzić pana do obozu, odległego ztąd o 5 km. Do tego obozu wyszlemy wezwanie, aby ci, którzy chcą iść z nami, przyszli do naszego obozu, gdzie będą nam mili, wszystkim innym będzie zabronione zbliżać się do nas pod karą śmierci.

— Hm, czy mogę rozmówić się o tem z Casatim?— spytał basza.

— Nie. Casati nie znajduje się w niebezpieczeństwie; jemu nie zrobią nic złego, bo nie jest ani gubernatorem ani oficerem, lecz tylko podróżnym. On może przybyć nazajutrz, lub kiedy mu się zresztą podoba. Jeżeli go zaczepiono, uderzę na obóz buntowników i Casatiego prędko oswobodzę.

Basza potrząsał tymczasem głową, co wydawało mi się zawsze brakiem stanowczości.

— Jak widzę baszo, nie chcesz pan żadnego projektu.

Podaj więc pan inny, bym mógł uniknąć starcia z tymi zbałamucenymi ludźmi, bo ono jest niedalekie. W moim obozie nie może panować brak karności.

— Pański projekt nie jest zły, ale zamało czasu na to—odparł basza.

— Powiedziałeś mi pan, że pakowałeś swoje rzeczy w czasie ostatnich dni 15. Czy nie mógłbyś pan pojutrze rano ukończyć pakowania? Moja wyprawa może wyruszyć

w przeciągu pół godziny. Jeżeli pan nie chcesz widzieć, że grozi przelew krwi, nie chcesz przyjąć mego planu ani też sam nie proponujesz, coby uwolniło nas od konieczności wygubienia się wzajemnego, muszę zatem zarządzić środki bezpieczeństwa ogólnego. A pamiętaj pan, że gdyby tylko kropla krwi została przelana, wina spadnie na pańską głowę. Do widzenia.

Powstałem, a wkrótce zabrzmiał sygnał do ogólnego przeglądu pod bronią. Ja i oficerowie mieliśmy broń przy sobie, a kiedy zobaczyli to Zanzibarczycy, Manjemowie, Sudańczycy i krajowcy, domyślili się, że sprawa jest ważną i pobiegli nader szybko na wolny plac. Krajowcy z Kavalli podali sygnał alarmu dalej, i wkrótce przybiegły setki krajowców, aby wziąć udział w walce, której się spodziewali.

W przeciągu 5 minut kompanie były ustawione pod bronią wzdłuż trzech boków wolnego placu. Kiedy basza spostrzegł, że postępuję seryo, prosił mnie o chwilę rozmowy.

— Owszem, co pan sobie życzy?

— Powiedz mi pan, co ja mam teraz czynić?

— Już zapóźno, baszo, na wkroczenie na drogę spokojną, jaką panu pierwszej wskazywałem. Teraz dano już wszędzie sygnał alarmu, a ja mam zamiar usunąć teraz niebezpieczeństwo i zapobiedz mu. Proszę, każ pan dać sygnał, aby pańscy Arabowie stawili się przedemną do przeglądu.

— Natychmiast—odparł basza i wydał stosowny rozkaz swojemu trębaczowi.

Czekaliśmy spokojnie 10 minut, a przekonawszy się, że sygnału mało słuchano, prosiłem p. Jephsona, by pierwszą kompanię zaopatrzył w liny i kije, by wszystkich Arabów, Egipcyan i Sudańczyków, bez względu na ich stopień, przypędził na wolny plac, by obszedł każdy dom

i sprowadził tu wszystkich znajdujących się tam mężczyzn.

Zanzibarczycy rozbiegli się po obozie i nie zważając na nic, każdego ociągającego się, jakiego spotkali, okładali kijami, tak, że nawet największy sceptyk musiał przyznać, że Zanzibarczycy na rozkaz są przecież godni być czemś lepszym, niż zwierzęciem pociągowym lub niewolnikiem leniwych Egipcyan.

Poraz pierwszy dopiero Egipcyanie i Sudańczycy utworzyli przyzwoitą linię; zanim linii tej nie utworzono z wojskową dokładnością, nie przemówiłem ani słowa. Zabawnem było patrzeć, jak Zanzibarczyk kijem swoim ustawiał w linii majorów, wekilów, kapitanów, poruczników, pisarzy i magazynierów.

Kiedy linia mię zadowolniła, wystąpiłem przed front i powiedziałem, że m sły szał, jakoby oni chcieli rozpocząć walkę i jakoby życzyli sobie dowiedzieć się, jakimi właściwie ludźmi są Zanzibarczycy. Widzieli, jak oni umieją dobrze pracować, a mogą przekonać się także, jak oni się biją.

— Ależ my nie chcemy bić się — odparł wekil, czyli wicegubernator.

— A cóż to znaczy, że, jak sły szę, każdy z was uważa się za coś lepszego od 10 moich ludzi, że kradziono karabiny, że codzień knuto plany, że postanowiliście nie iść z baszą, chociaż kazaliście nam budować dla was domy, żywność wam gromadzić, i przez dwa miesiące znosić tu wasze bagaże, że ostatniej nocy wdarto się do trzech naszych domów i przykładano rękę do naszej łroni? Mówcie, co to ma znaczyć?

— Ależ, baszo, nikt z nas nie chce bić się. Niechaj zginą złodzieje, jeżeli zostaną wykryci.

— Jeżeli zostaną wykryci? Czyż który złodziej przyzna się do kradzieży i sam odda się na rozstrzelanie?

Czyż wy, którzy wszyscy jednakowo myślicie, zdradzicie się nawzajem i narazicie się na karę. Czy macie zamiar iść z waszym baszą?

— Tak, wszyscy.

— Baczność! Ci, którzy chcą iść z baszą, niechaj ustawią się tam po drugiej stronie, jak żołnierze.

Natychmiast powstał ogólny ruch w zupełnym porządku; następnie ludzie odwrócili się do mnie frontem.

— Tak! Czy nikt z was nie chce zostać z Selimem beyem w tym pięknym kraju, gdzie każecie krajowcom pracować dla was, gotować i żywić was?

— Nikt, ani jeden! *La il Allah il Allah!*

— No, baszo, źle pana poinformowano. Ci ludzie wszyscy mówią, że są wierni. Niema między nimi ani jednego zdrajcy.

— Nie widzę tu moich służących ani ordynansów— odparł basza.

— A, poruczniku Stairs, weź pan oddział i sprowadź tu wszystkich. Wiesz pan, co masz czynić przy najmniejszym oporze.

— Bardzo dobrze.

Stairs wydał swoim ludziom stosowne rozkazy; w przeciągu kilku minut służba baszy była już na placu. Broń odebrao jej.

— Baszo, proszę każdego z tych ludzi zapytać wobec mnie z osobna, co zamierzają uczynić.

Na pytanie baszy odpowiedzieli wszyscy, prócz Serura, że są gotowi iść za swoim panem choćby na koniec świata.

— To główny spiskowiec w moim domu—rzekł basza, wskazując Serura.

— O, kilka nabożów załatwią całą sprawę.

— Na miłość Boską, ależ naprzód zarządzisz pan

chyba śledztwo i nie będziesz polegał na moich jedynie słowach.

— Bez wątpienia, kochany baszo.

Serur i trzech inni, których basza wskazał, zostali postawieni pod strażą.

— Skoro ta sprawa została załatwiona w sposób tak zadawalniający, racz, baszo powiedzieć oficerom, że sprawy wadelajskie muszą ustać zupełnie i że odtąd są pod mojami rozkazami. Jeżeli zauważę jakiegokolwiek zdradzieckie knowania, będę zmuszony zgubić tych ludzi. W moim obozie nie może znajdować się strounik ani Madiego, ani Arabów, ani buntownik. Tym, którzy będą sprawować się dobrze i rozkazów słuchać, nie zrobi nikt nic złego. Mam obowiązek zaprowadzić ich do Egiptu i nie opuszczę ich, aż w Kairo. Uczynię wszystko dla ich wygody, ale na bunt i kradzież broni odpowiem śmiercią.

Basza przetłomaczył Arabom moje słowa; przyrzekli za pośrednictwem wekila i oficerów, że będą sumienie słuchali swojego ojca.

— Dobrze—odrzekłem—a ponieważ obejmuję rozkazy, muszę mieć listę waszą i członków rodzin waszych. Stosownie do liczby waszej dani wam będą tragarze. Za pięć dni wyruszamy.

Biedny basza! W południe jasnym było, jak słońce, dlaczego liczba 10,000 towarzyszy zmalała do jednego Bilala. Po długim rozumowaniu przekonałem się, że uczony badacz nie jest w stanie pokonać tych podstępnych łotrów, którzy oszustwo i zdradę za rzemiosło sobie obrali.

Wkrótce dostarczono mi dokładnego wykazu 551 osób, tudzież ich bagażów.

6 kwietnia. Osman Latif Effendi, wicegubernator prowincyi, pił dawniej bardzo, ale obecnie powstrzymuje się i czyta koran tak pilnie, że w tych dniach zapaliły mu się suknie przy czytaniu, a on o tem nie wiedział.

Obecnie bywa nawet energiczny i przygotował się już do marszu. Matka jego, stara 75-letnia kobieta z miljonem zmarszczek na twarzy, wybrała nieszczęśliwą chwilę do przedstawienia mi się, kiedy bowiem byłem rozgniewany, rzuciła mi się na placu do nóg i coś paplała po arabsku, na co ja zawołałem: Precz stąd; tu nie jest miejsce dla starych bab. Ona podniosła ręce i oczy ku niebu i wydała cichy okrzyk: O Allah!, w tonie tak tragicznym, że zaledwie zdołałem zachować swoją godność. Każdy na placu zauważył tę wychudłą postać i zaczął śmiać się głośno, kiedy stare stworzenie szybko odchodziło.

Wczoraj zauważyłem 49 nieuzbrojonych młodzieńców, którzy prosili mnie o broń. Nie znając ich charakteru, posłałem do baszy z prośbą o wykaz najzasłużeńszych, ale on powiedział, że jest niezdrów. Biedny Casati nie mówi z baszą, ponieważ tenże w sprawie małej murzynki wydał wyrok przeciw niemu, z powodu wczorajszych wypadków zapewne basza i ze mną mówić nie zechce.

Marsz wszystkim służyć będzie dobrze. Kiedy basza ujrzy góry księżycowe, odzyska mowę.

7 kwietnia. Egipcjanie przygotowują się na seryo do marszu. Zarządziłem, aby każda rodzina miała zawsze zapas żywności na 6 dni.

8 kwietnia. Krajowcy Mazamboniego i kobiety Bawirów żegnali nas dzisiaj tańcem, przyczem śpiewali na cześć naszą pieśni, sławiąc nas za utwierdzenie porządku w ich kraju.

9 kwietnia. Dziś w czasie przeglądu zapowiedziałem, że jutro wyruszamy w pochód do Zanzibaru, co przyjęto szalonymi okrzykami.

Mpinga, Msiri, Mwite, Malai, Babiassi, Mazamboni i Balegga dali nam 350 tragarzy.

Szukri Aga nie przybył dotąd, chociaż przysłał swoje żony i dzieci.



10 kwietnia. Czterogodzinny marsz z Kavalli do Mpinga.

Kolumna składa się, jak następuje:

|                               |     |        |
|-------------------------------|-----|--------|
| Wyprawa moja . . . . .        | 230 | ludzi. |
| Manjemowie . . . . .          | 130 | "      |
| Krajowcy z równin . . . . .   | 350 | "      |
| "    z Kavalli . . . . .      | 200 | "      |
| Basza i jego ludzie . . . . . | 600 | "      |

Ogółem 1510 ludzi

Oddział wyruszył w zupełnym porządku. Góry i wyniosłości kraju były zajęte przez kobiety i dzieci, które śpiewały nam na pożegnanie. Każdy był wzruszony i szczęśliwy.

Kap. Nelson, który dowodził strażą tylną, spalił wszystkie chaty, które zamieszkiwaliśmy przez kilka tygodni.

11 kwietnia. Wypoczynek.

12 kwietnia. 4 $\frac{1}{2}$  godziny marsz do kraju Mazamboniego. Stairs przygotował nam tu spory zapas żywności.

13 kwietnia. Jestem chory. Dr. Parke mówi, że cierpię *gastritis*. Nie mogę nic przyjmować, jak tylko wodę i mleko, a jestem głodny. Musimy zatrzymać pochód, co dla obalamuconych mieszkańców prowincyi będzie nowem przedłużeniem terminu.

Miewam straszne sny. Co rano nadsyłano mi wiadomości o spiskach i zgromadzeniach buntowniczych. Czasami krążą po obozie pogłoski, że buntownicy idą przeciw nam, prócz tego zbiegają nam z obozu; dotąd uczyniło to 80 ludzi. Opowiadano mi, że ktoś rozszerza pogłoski, że czeka nas głód, wskutek czego w obozie pojawiła się panika.

Basza wykrył tych rozsiewaczy, zbadał sprawę i ka-

zał jednego z nich rozstrzelać, a obecnie przysłał po ludzi, którzyby wyrok wykonali dla przykładu.

— Nie posyłaj Zanzibarczyków—udało mi się szepnąć do Stairsa.—Niechaj basza ukarze winnego przy pomocy swoich ludzi. Jeżeli potrzebuje straży dla własnej ochrony, daj mu pan ludzi, ale my jesteśmy tu po to, aby ludzi ratować, a nie zabijać ich.

Ponieważ ludzie baszy nie chcieli wykonać wyroku, przeto skazaniec ocalał.

Dowiedziałem się, że jeden z ludzi wicegubernatora zastrzelił krajowca za to, że nie dość prędko zbierał pomoc.

— Okujcie go w kajdany—rzekłem—ale nie zabijajcie. Dajcie mu jeść i tuczcie go; musi nieść amunicję zapasową.

— Za kilka dni pozostanie bardzo mało oficerów—zauważył Nelson.—Wszyscy uciekają, a praca nasza na nic.

— Niech idą, jeżeli nie chcą idź z baszą.

Następnie doniesiono mi, że Rehan odszedł z 22 ludźmi i zabrał nasze karabiny.

— Ach, Stairs, dobrze, że pan tu jesteś, mój kochany młodzieńcze, weź 40 ludzi i idź do jeziora. Znajdziesz miejsce schadzki zbiegów w obozie nad jeziorem. Bądź bardzo ostrożny, weź ich nagle w niewolę i sprowadź tutaj. Zasłużyli na karę, zabierając nasze karabiny.

Czwartego dnia Stairs przyprowadził Rehana i wszystkich zbiegów.

Zwołałem oficerów na sąd, który przesłuchał świadków. Z zeznań ich wynikało, że ucieczka jego była hasłem dla ogólnej ucieczki Sudańczyków, i że to był początek uknutego planu zabrania nam broni, abyśmy nie mogli stawić oporu, gdy Selim bey przybędzie. Rehanowi dowiedziono, że, korzystając z mojej choroby, rozszerzał fałszywe

wieści o naszej srogości w czasie marszu. Przywołani oficerowie i żołnierze baszy zeznali, co o Rehanie słyszeli, że skradł nasze karabiny, aby połączyć się z Selimem beyem i uderzyć na ludzi, którzy jemu i jego przyjacielom dobrze czynić chcieli, że umknął z kobietami, należącymi do haremu oficerów egipskich, że w czasie ucieczki zabił kilku przyjaznych nam krajowców.

Sąd orzekł, że Rehan zasłużył na karę śmierci.

Proponowałem, czy może nie wypadałoby wydać wyroku łagodniejszego, ale sąd nie zgodził się na to, kazałem zwołać zatem cały oddział, by wysłuchał oskarżenia, zeznań świadków i wyroku.

Kazałem wynieść się z łóżka przed ludzi i wygłosiłem przemowę do Rehana, w której przedstawiłem całą ohydę jego postępowania.

— Ale chcę dać ci jeszcze możność ocalenia życia. Oglądnij się w około i popatrz na ludzi, z którymi ja laleś i piłeś. Jeżeli choćby tylko jeden z nich wstawi się za tobą, darujemy ci życie. Cóż wy na to, Sudańczycy i Zanzibarczycy? Czy ten człowiek ma żyć lub umrzeć?

— Umrzeć! — zawołano jednomyślnie.

— A więc *Jallah rabuna!* Idź do Bogal

Wkrótce powieszono go na wysokim drzewie.

W nocy rozchorowałem się jeszcze bardziej. Następnie zachorował na febrę mój dobry doktor, a później p. Jephson, którym dr. Parke opiekował się bardzo, mimo własnej choroby.

D. 13 go kwietnia byłem w stanie siedzieć prosto na łóżku, i tak aż do 7-go maja odzyskiwałem zdrowie zwolna.

3 maja. Dziś krajowcy z nad jeziora przynieśli mi dwa pakiety listów; ponieważ były pisane w języku arabskim, odesłałem je do baszy. Wkrótce potem zjawił się on sam i prosił mnie o rozmowę. Usiadłszy, ozuajmił mi,

że listy chybiły adresu, gdyż jeden z nich był wysłany z obozu do Wadelai, drugi przybył ztamtąd.

Ponieważ nie wiedziałem nic o wysyłce listów, przeto pakiet wysłał ktoś potajemnie; zapewne zawierał coś przeciw nam.

— Ponieważ jesteśmy widocznie na stopie wojennej z pańskimi złymi ludźmi, proszę pana, baszo, o przeczytanie mi kilku listów. Jak panu wiadomo, w czasie wojny jest to dozwolone.

Pierwszy list pochodził od Szukri Agi do przyjaciela Selima beya; nie zawierał ani słowa, któreby przemawiało przeciw jego honorowi lub nadziei rychłego przybycia.

Drugi list pochodził od Ibrahima Effendiego Elhama, jednego z kapitanów, znajdujących się w obozie, i brzmiał:

„Mam nadzieję, że natychmiast po odebraniu tego listu przyszlecie nam 50 żołnierzy. Wyruszyliśmy, a od kilku dni czekamy tutaj. Proszę pana na imię Boga o niezwleknięcie z wysyłką ludzi, ponieważ mając pomoc, możemy w jakikolwiek sposób powstrzymać pochód wyprawy; gdybyś pan przybył sam z 200 żołnierzami, moglibyśmy osiągnąć to wszystko, co życzy sobie pan i ja. Przyjaciele nasi czekają codziennie niecierpliwie wiadomości od pana. Konieczność gwałtowna”.

— A to odkrycie, baszo! Czy teraz przekonałeś się pan, że ci ludzie są niepoprawnymi zdrajcami?

— Hm, nie spodziewałem się tego po Ibrahimie Effendim Elhamie. Byłem dla niego zawsze dobry. Nie wiem, co Selim bey chceć może.

— To tak, baszo. Naprawdę, to tylko niewielu z tych ludzi chce iść do Egiptu. Nawet Selim bey, mimo tylu przyrzeczeń, nie miał nigdy zamiaru iść do Egiptu. Chcą iść z panem tak długo, aż nie natrafią na ziemię obiecaną, gdzie jest pod dostatkiem żywności, bydła,

a niema obawy przed Mahdystami; wówczas to powiedzą panu, że marsz męczy ich i że pomarliby, gdyby szli dalej. Pan dalbyś im amunicję i przyrzekłbyś przysłać w przyszłości więcej. Ale amunicja ta nie wystarczyłaby im, chociażbyś pan dał im jej bardzo wiele. Mieliby zamało karabinów, a zadowolniliby się dopiero wówczas, gdyby posiadli wszystkie karabiny, całą amunicję i wogóle wszystko, co my posiadamy. Czekał pan jeszcze chwilę, a ja odslonię panu cały spisek.

Kiedy p. Jephson otrzymał w styczniu rozkaz ode mnie, wieść o mojem przybyciu rozniosła się po wszystkich stacyach pańskich. Oni wiedzieli, że kedyw przysłał panu amunicję; ale byli tak chytry, że domyślali się, iż bez upoważnienia ze strony pana nie dostaną nic. Kiedy p. Jephson umknął i doniósł mi o uwięzieniu i złożeniu pana z urzędu, upoważnienie owo już nie wystarczało; znając zatem pańską gotowość przebaczenia, wysłał do pana deputację z zapewnieniem o skrusze. Całują pana w ręce, przyrzekają panu wiele, pan im wierzysz, poczem oni na znak przyjaźni przybywają z panem do mnie. Proszą o przedłużenie im terminu, ja zgadzam się na to, ale pokusa jest tak wielka, że nie mogą powstrzymać się od kradzieży karabina. Jeżeli chcą iść z nami, na co im ów karabin?

Teraz wiem już, co mam czynić. To nie są ludzie, z którymi można argumentować; ich głowy są zanadto zakute, a serca do kłamstwa przyzwyczajone. Rozumieją tylko to, co czują, aby zaś tacy ludzie czuli, muszą otrzymywać srogie cięgi. Kiedy naturę ich poznałem dokładnie, umysł mój zaczął odkrywać metodę, przy której pomocy możnaby panować nad nimi. Miałem półtuzina takich metod, ale przy każdej stała przeszkoda. Nie domyśla się pan, jaka to była przeszkoda?

— Nie.

— Pan sam.

— Ja, jakto?

— D. 5 go kwietnia przestałeś pan być nią; ale do tego dnia nie mogłem nic przedsięwziąć. W moich oczach byłeś pan zawsze baszą, gubernatorem i komendantem tych żołnierzy. Nie mogłem panu proponować wystąpienia przeciw nim. Pan wierzyłeś im i mówiłeś codziennie: Oni przyjdą. A przecież nigdy nie przyszło panu na myśl pytanie: Co oni zrobią, gdy przybywszy przekonają się, że jest ich trzy razy więcej od nas? Gdyby przybyli przed dniem 5 kwietnia, miałem zamiar rozłączyć się z panem, zostawić pana przy nich, a sam chciałem zbudować obóz w odległości 10 do 12 km. i przygotować wszystko na wypadek potrzeby obrony. Komunikacya pomiędzy nami miała być tylko listowna, ja chciałem iść o dzień drogi naprzód i przez przewodników wskazywać panu drogę. Żołnierzom pańskim nie pozwoliłbym zbliżać się do naszego obozu.

Ale po dniu 5 kwietnia zmieniło się wszystko. Byłbym zrobił niesłusznie rozłączając się z panem, ponieważ miałem dobitne dowody, że pan nie miałeś ani ludu, ani żołnierzy, ani sług, ale byłeś sam. Jeżeli Selim bey przybędzie do nas, nie pozwolę żadnemu z jego towarzyszków zbliżyć się do obozu z bronią. Zanim zbliżą się do nas, ustawimy się w szyku bojowym, a jeżeli na nasz rozkaz nie złożą broni, następstwa spadną na ich głowy. Gdy ci ludzie przybędą, muszą być najprzód rozbrojeni a ich karabiny opakujemy i poniesiemy sami. Obóz ich musi być oddalony od nas przynajmniej na 500 metrów. Każdy dzień marszu dopomoże nam do poprawy ich usposobienia, później oddamy im broń."

W dniu przybycia naszego do Mazamboniego nad-

szedł nareszcie Szukri Aga. Z Mswa wyruszył on z 20 żołnierzami, w Kavalli miał już tylko 10, a w końcu pozostali przy nim tylko trębacz i chorąży. Reszta zbiegła. Komentarz zbyteczny.

Słyszałem, że nad jeziorem znajduje się cały oddział. Jutro wyruszamy dalej, po 118 dniowym pobycie w tym kraju. Oni mogą nas dopędzić; jeżeli przekonam się, że istotnie mają zamiar iść z nami, przedłużę im termin.

Dziś na mój rozkaz Stairs zakopał w ziemi 25 skrzyń amunicyi, po to, aby oficerowie zbuntowani przybywszy tu, mieli środek do obrony, jeżeli okażą skrucę i prosić będą o pozwolenie pozostania u Mazamboniego. Stairs wykonał to zadanie w tajemnicy.

8 maja. Ponieważ byłem tak słaby, że nie mogłem ująć 50 kroków, przeto niesiono mnie na czele oddziału w hamaku. Poszliśmy kilka kilometrów na zachód, poczem zbczyliśmy z naszej dawnej drogi na południe, idąc wzdłuż zachodniego stoku pagórków Undussuma. Było tam wielkie bogactwo fig, bananów, kukurydzy, fasoli itd. Robiło to bardzo korzystne wrażenie na Egipcyan i ich towarzyszy.

Po całogodziennym marszu zatrzymaliśmy się we wsi Burjambiri, którą mieszkańcy opuścili na prośbę Mazamboniego.

Ponieważ Mazamboni był z nami w otoczeniu 300 ludzi swoich, przeto każdy uczestnik wyprawy otrzymał pozwolenie zabierania z plantacyj, co mu się podobało. Ludzie nasi wyprawili więc sobie ucztę. W zamian za usługi swoje i gościnność Mazamboni otrzymał 40 sztuk bydła i 16 kłów słoniowych, ważących przeciętnie po 28 kg. Na wstyd nasz, królik ten żalił się, że ludzi jego zatrzymano u nas jako niewolników, wskutek czego Stairs i inni oficerowie odszukali wszystkich i od-

prowadzili do niego. Było to prawdziwie po egipsku, każdą przysługę uważać za obowiązek.

Po południu przybyli trzej żołnierze w towarzystwie urzędnika egipskiego Ajuba Effendiego z listami od Selima beya. Zawierały one tyle nowinek, że warto je powtórzyć, dowodzą bowiem w dalszym ciągu, jak oficerowie i żołnierze egipscy stracili rozum i jak nie byli w stanie ocenić natury swego b. baszy i gubernatora.

Listy donosiły, że Fadl el Mulla bey przez czas jakiś pozornie zgadzał się na to, aby rozkazy od baszy i odemnie przyjmować przez pośrednictwo Selima beya i przygotowywać się do drogi. Selim bey całą załogę z Dufile przewiózł do Wadelai i przez to nie dotrzymał przyrzeczenia, ponieważ ludzi z Wadelai miał przywieść do obozu nad jeziorem. W ten to sposób zmarnowano czas od 25 lutego do 8 maja, podczas gdy my czekaliśmy nad jeziorem na przybycie części ich ludzi, którzy mieli służyć nam za dowód, że on ma istotnie zamiar iść z nami.

Podczas gdy Selim bey zwoził żołnierzy i ich rodziny do Wadelai, bezwiednie zwiększał siłę Fadl el Mulli beya, który w nocy na czele swoich żołnierzy poszedł do magazynów, zabrał zamkniętą tam amunicję i poszedł z Wadelai na północ do kraju Makraka. Kiedy Selim bey obudził się nazajutrz, przekonał się, że oddział jego składał się tylko z 200 oficerów, żołnierzy i pisarzy, że magazyny puste i że żołnierza posiadali tylko po 40 nabojów, które otrzymali dnia poprzedniego. Przeklinając swój los, łuciekał przed Mabdystami i w d. 22 kwietnia przybył do Mswa. Miał jeszcze dość czasu, aby przybyć do nas, a potrzebował na to tylko 9 godzin podróży do statkiem. Dopiero 7 maja przyszła mu na myśl wyprawa i Emin basza, pisze więc list, który do śmiechu nas pobudza.



„Chielibyśmy wiedzieć — pisze on — dlaczego pan egipskich oficerów i żołnierzy zamieniasz na zwierzęta juczne. Doniesiono nam, że obciążyłeś pan wszystkich bagażami, a żołnierzy zamieniłeś na tragarzy. To baniebnie, przeprowadzimy surowe śledztwo w tej sprawie.”

Drugi list był napisany w tonie zupełnie odmiennym. Opisuje zdradę Fadl el Mulla beya i prosi, byśmy czekali na niego i jego ludzi, ponieważ czeka ich straszna nędra. Posiadali już tylko po 30 nabojów i zginęliby, gdyby natarł na nich Kabba Rega.

Kazałem przywołać żołnierzy. Do Mazamboniego przybyło 20 żołnierzy Selima, ale tylko ci trzej byli gotowi iść z nami. I oni prosili o dalszą zwłokę.

— Ale, przyjaciele — rzekłem — zkadże możemy mieć pewność, że Selim bey ma wogóle zamiar przybyć tutaj?

— Tym razem przybędzie na pewno.

— Więc pocóż czeka w Mswa? Dlaczego sam nie przybył parowcem do obozu nad jeziorem? Przecież to tylko 9 godzin drogi.

— Zbiegowie opowiadali mu, że ty, panie, już odszedłeś.

— Ależ łatwo mu dopędzić tak dużą karawanę.

— Kiedy wszystko idzie na przekór. Selim bey ma za dużo doradców, a urzędnicy egipscy opowiadają mu różne rzeczy. On szczerze pragnie kraj ten opuścić, ale inni bałamucają go swojemi kłamstwami.

— Czekać nie możemy. Pójdziemy jednakże powoli. Gdy przekroczymy Semliki, zaczekamy na drugim brzegu kilka dni. Selim bey może nas dopędzić; damy mu zresztą przewodnika, przy którego pomocy zrobi w 4 dniach to, na co my zużyliśmy 12.

Pomiędzy Egipcyanami znajdował się kapitan Ali Effendi, chory na serce. Posiadał on 9 sług mężczyzn i tyleż kobiet, tudzież 20 pakunków. Dano mu 12 tragarzy, ale on chciał jeszcze sześciu. Ponieważ marsz kilku dniowy mógł zabić go, odesłaliśmy go pod eskortą posłańców Selima beya z powrotem.

## ROZDZIAŁ XXVI.

D. 9 maja po przybyciu do nowego obozu oficer, dowodzący strażą tylną, żalił się na oficerów egipskich, którzy z niego szydzili, grali mu na nosie itd. Wskutek tego byłem zmuszony do wydania następującego rozkazu:

„Z powodu przyrzeczenia, danego Selimowi beyowi, tudzież dlatego, że Egipcyanie i Sudańczycy nie są przyzwyczajeni do pospiesznego marszu, wyprawa musi iść powoli. Oficerowie nie powinni pozwalać pod żadnym warunkiem na rozpraszanie się przy drodze, na płądrowanie wsi, rabowanie plantacyj; na wypadek przekroczenia tego zakazu, czy to przez oficera egipskiego, czy przez żołnierza lub tragarza, oficer dowodzący winien przywołać straż, winnego związać i przyprowadzić do mnie celem ukarania go. W razie oporu, należy pokonać go przemocą.”

Szliśmy dalej wśród wzgórz, a następnie po wyżynie Uhobo. Tu przybył do nas Kaibuga, naczelnik Wahuów, i radził nam rozpocząć kroki nieprzyjacielskie, ponieważ kraik Uhobo należy do Kabby Regi. My rozeźmieliśmy się na tę propozycję, ponieważ nie widzieli-

śmy ani nawet śladu nieprzyjaciela. Wkrótce jednakże doniesiono nam o zbliżaniu się oddziału ludzi Kabby Regi, uzbrojonych w karabiny. Wysłałem przeciw nim dwa oddziały pod wodzą Stairsa i Nelsona. Ostatni tak się u Mazamboniego odżywił, że mógł już objąć wszelką służbę.

Uszedłszy około 3 km., spotkali mały oddział ludzi baszy, niosących zwłoki Okili'ego, wiernego sługi Casatiego. Sudańczycy, kąpiąc się w rzece na południe od Ubo-bo, spostrzegli oddział Warazurów, którzy szli przeciw nim w czwartym ordynku i z dwoma sztandarami. Całe towarzystwo ubrało się prędko i zaczęło strzelać do nieprzyjaciela, przyczem padło trzech Warazurów i Okili, który otrzymał kulę w głowę. Kiedy zbliżyli się Zauzibarczycy, Warazurowie umknęli.

W nocy przez 7 godzin padał gwałtowny deszcz. Nazajutrz maszerowaliśmy wśród mgły.

P. Jephson choruje bardzo na febrę już od 23 kwietnia. D. 13-go maja odpoczywaliśmy, ze względu na chorych i dzieci. D. 14-go rozbiliśmy obóz we wsi Kirjama, położonej na krańcu wąskiej doliny. Był ztamtąd wspaniały widok na górę Ruwencori.

W obozie spotkałem 11 letniego Tubaki, który ukrywał się u nas. W czasie naszego pobytu u Mazamboniego ojciec jego, poddany Kavallego, prosił nas o wydanie chłopca, który przyjaźnił się z jednym z Zanzibarczyków. Wydaliśmy go zalecając ojcu, by go strzegł.

Zobaczywszy go, spytałem, dlaczego ucieka od ojca, a przyłącza się do obcych, którzy mogą być dla niego niedobrymi.

— Bo wolę przyjaciela, niż ojca.

— Czy ojciec cię bije?

— Nie, ale chciałbym widzieć kraj, gdzie robią takie karabiny i medycynę granatową (proch).

Poraz pierwszy widziałem chłopca afrykańskiego, który z własnej woli porzuca rodziców. Był to chłopak bardzo roztropny.

Wysłałem kap. Nelsona z 80 strzelcami nad Semliki dla przekonania się, czy rzekę tę można przekroczyć. Nelson po powrocie doniósł, że Semliki ma 70 do 80 m. szerokości, jest głęboka i ma brzegi strome, a wszystkie łodzie usunął Rawidongo, generał Kabby Regi, który zgromadził wielkie wojsko, aby bronić nam przejścia przez rzekę. Wszyscy krajowcy z Uhobo, Mboga i Kirjama zgromadzili się na przeciwnym brzegu; kiedy Nelson zbliżył się do brzegu, nieprzyjaciełe strzelali do jego ludzi.

Po dwudniowym wypoczynku w Kirjama wyruszyliśmy do rzeki Semliki, która tworzyła liczne zakręty. Na rzece zauważyliśmy kanoe, które płynęło szybko w dół, a prawdopodobnie krajowcy, usłyszawszy nasze głosy, umknęli, a łódź puścili wolno, nie chcąc tracić czasu na jej przywiązywanie u drugiego brzegu. Wieś Awamba, z kądem łódź puszczono, już stała się widoczną. Wysłałem natychmiast w dół i górę rzeki celem poszukiwania łodzi. W krótkce potem Uledi—zawsze Uledi—doniósł mi, że znalazł jedną łódź. Karawana wyruszyła w tym kierunku i rozbiła obóz w wielkiej, opuszczonej plantacji bananów.

Łódź znajdowała się na brzegu przeciwległym na małym strumyku, nawprost naszego obozu; musieliśmy pojąć ją koniecznie, posiadała bowiem dla nas wartość nieocenioną. Kazałem zatem ludziom wyciąć krzaki toporami na odległość 20 m. i zostawić tylko wążki pas dla ochrony, poczem kilku salwami odpędzić nieprzyjaciół z pobliza łodzi, gdy tymczasem śmiały Uledi i strzelec Saat Sato rzekę przepływali. Kiedy zbliżali się do łodzi, przestaliśmy strzelać; w kilka sekund później oni łódź odcięli i z całą siłą płynęli ku nam. Zaledwie dostali się na środek rzeki, kiedy nieprzyjaciełe podnieśli łuki i tra-

fili strzelca, poczem i my zaczęliśmy dawać ognia. Mimo to łódź zdobyliśmy. Saat Tato krwią obłany, został oddany pod opiekę dra Parkego; na szczęście strzała trafiła go w plecy, a zatem rana była lekka. Obaj zuchy otrzymali natychmiast w nagrodę sukno wartości 80 marek.

O godz. 5 popołudniu p. Bonny wyświadczył nam wyborną usługę. Podjął się misji przeprowadzenia pięciu Sudańczyków przez rzekę, jako straż przednią wyprawy. Około zachodu słońca na drugim brzegu znajdowało się już 50 strzelców.

D. 18 maja przeprowadziliśmy się dalej, zaś około południa odkryliśmy znów dwie łodzie. Stairs i Jephson chorowali bardzo na febrę, ja osłabłem i postarzałem się tak, że wyglądałem na 90 letniego starca i mogłem ująć najwyżej 100 metrów. Przeprawą zajmowali się zatem Nelson i dr. Parke. W czasie niej około godz. 2 po południu zbliżył się niespodzianie oddział 50 Warazurów na odległość 250 m. od łodzi, znajdującej się na środku rzeki i dał ognia do niej. Żelazne ziarnka śrutu i kule ołowiane gwizdały naszym ludziom nad głowami, ale na szczęście nikt nie był ranny. Ponieważ druga salwa ich mogła być skuteczniejszą, przeto Nelson wybiegł z nad wybrzeża ze 100 ludźmi i zaczął ścigać ich. Słyszałem wiele strzałów, ale ani jeden nie był celny. Ale Warazura przekonali się nareszcie, że jakkolwiek jest nasz cel, to jednak jesteśmy dość silni. W czasie ucieczki zgubili sporo naboju, które były tak wybornie zrobione, jak to jest możebne tylko w Woolwich. Jest to nowy dowód, jakim gniazdem zdrajców jest prowincja równikowa, bo przecież Warazura otrzymywali naboje od zbiegów.

Do wieczora d. 18 maja przeprowadzono 669 ludzi, zaś do następnego południa 1168 ludzi, 110 sztuk bagaży, 3 łodzie owiec i kóz i 235 sztuk bydła.

D. 20 maja wyprawa szła przez gęsty las ścieżką

blotnistą. Tu spotkaliśmy wieś, w której czuć było ze-psute wino z bananów. Poraz pierwszy zobaczyłem, że Awambowie — ich to był kraj — umieją suszyć banany na drewnianych rusztach i robić z nich mąkę. W czasie pochodu naszego przez las olbrzymi zastanawialiśmy się nieraz, dlaczego krajowcy nie dowiedzieli się jeszcze o tem, jak zdrowy, pożywny i łatwo strawny artykuł posiadają w bananach. Wszystkie kraje, w których rosną banany, jak Cuba, Brazylia i Indye zachodnie, zdają mi się być pod tym względem bardzo opieszalemi. Gdyby dobre przy-mioty mąki z bananów były ogólnie znane, spożywanoby ją w Europie w olbrzymich ilościach; mąka ta, odpowiednio przyrządzona, byłaby środkiem uniwersalnym dla niemowląt, ludzi o słabym żołądku i wogóle w razach chwilowej choroby tegoż. W czasie dwu ataków *gastritis* mogłem trawić jedynie lekką zupę z tej mąki i mleka.

D. 22 maja szliśmy przez 6 godzin po błocie i moczarach.

Nazajutrz szliśmy przez okręg bardzo ludny do Bakikundi. Po bokach ścieżki widzieliśmy dobrze nam znane znaki, tudzież sporo obozów karłów, zwanych tutaj Watua.

Odległość od Semliki do tych wsi wynosiła 25 km. a spotrzebowaliśmy na jej przebycie trzy dni marszu i dwa dni odpoczynku. Chociaż szliśmy powoli, a karawana była zaopatrywana obficie w żywność i dobrą wodę, poznaliśmy tu podróże po Afryce z najgorszej strony. Matki zostawiały małe dzieci na drodze, a Hamdan, żołnierz egipski, położył się przy drodze i nie chciał iść dalej. Nie niósł ciężarów, nie był chory, ale — jakby tu powiedzieć — należał do gatunku osłów ludzkich; nie mógł iść, ale chciał umierać i straż tylna musiała zostawić go. Z tego powodu zaczęła krążyć w obozie pogłoska, że komendant straży tylnej zamordował go skrycie.

D. 24 maja odpoczywaliśmy, z czego skorzystałem, aby wysłać dwie kompanie, celem wyszukania wygodniejszej ścieżki.

D. 26 maja wyszliśmy z lasu i rozbiliśmy obóz we wsi Ugarama.

Tu zjawił się egipcyanin Hamdan. Kiedy widział się opuszczonym, przekonał się, jak to przykro umierać samotnie w pustyni i żałuje swojej głupoty. Tymczasem ludzie, powierzeni naszej pamięci, narażają nas na coraz większe przykrości. W przekonaniu mojem byli dawniej bardzo małymi, ale obecnie wydają mi się jeszcze gorszymi. Sława nic nie skutkuje, a argumenta rozumowe nie wchodzą im do grubej głowy. O świcie wybiegają zazwyczaj na ścieżkę, ale po godzinie marszu siadają, aby traćć czas na rozpalaniu ognia, gotowaniu, paleniu tytoniu i paplaniu; kiedy nadchodzi straż tylna i popędza ich dalej, są niezadowoleni i szemrzą na srogość niewiernych. Prawie codziennie przychodzą od nich skargi na Nelsona i Stairsa, z zarzutami, że są zanadto surowymi. Trudno wytłomaczyć im, że oni słuchają tylko rozkazów; że jedynem pragnieniem ich jest ochronić Egipcyan od śmierci ze strony krajowców, lub zabłądzenia, że zatem dobrze jest, gdy każdy z nich jaknajprędzej dojdzie do dalszego obozu; że marsz przez 2 lub 3 godziny nawet dziecka nie znuży; że jak mamy obowiązek ochraniać ich życia, tak i musimy dbać o Zanzibarczyków, którzy zamiast 2 do 3 godzin muszą iść przez 10 godzin z bagażami na głowie; że obowiązkiem moim jest dbać o to, aby biali oficerowie nie upadali na siłach, czekając w błocie na przybycie ludzi, którzy nie chcą dać się przekonać, że najlepiej jest 6 do 8 km. do obozu przejść jaknajprędzej, aby następnie wypoczywać przez 20 do 21 godzin.

Egipcyanie i ich towarzysze mieli tyle dzieci, że w obozie sen był niemożliwy, tyle było płaczu.



Nasi Zanzibarczycy są zdania, że ludzie z prowincyi baszy są może wybornymi hodowcami. Egipcyanie przez długi czas bili przyzwyczajeni przy pomocy swej lepszej broni trzymać krajowców w obawie przed sobą, że teraz, gdy liczba ich została zmniejszona, wątpią, czy dojdą do krain bezpieczniejszych; mimo to byli tak mało karnymi i takimi tyranami, że wkrótce spokojnych krajowców na najzaciętszych wrogów swoich zamienili.

Dziś rozmawiałem z baszą, przyczem zauważyłem, że jakkolwiek był uprzejmy, to jednakże gniewa się za wypadki z d. 5 kwietnia. A jednak musiałem wówczas tak postąpić. Nasze natury nie są jednakowe; dopóki nie wchodzi w grę działalność naczelnika, możemy żyć w przyjaźni. On był uczony, pilny i *gentleman*, a ja podziwiałem i ceniłem wysoko jego zasługi; ale okoliczności naszego życia nie pozwoliły nam cieszyć się długo takim stosunkiem. Nie miałem polecenia strawienia czasu w Aequatoryi na rozmowach naukowych, albo na dłuższej rozmowie nad jeziorem Alberta. Czas przeznaczony na wyjazd marsz nadszedłby, nawet bez epizodu w Kavalli. W czasie marszu przekonałem się, że były także jeszcze i inne przyczyny waśni. Basza pragnął najgoręcej powiększać swoje zbiory ptaków i był zdania, że skoro przybyliśmy tak daleko z pomocą dla niego, powinniśmy iść trochę powolniej.

-- Ależ idziemy już powoli dla różnych powodów; są tu małe dzieci, wielka liczba kobiet, obarczonych niemowlętami, nieudolni Egipcyanie, nadzieja, że Selim bey dopędzi nas może, choroba Jephsona i moja, nawet Stairs jest trochę osłabiony.

— No, więc każ pan maszerować powolniej.

— Już to uczyniłem; wszak 2¼ km. to już chyba dość powoli.

— To jeszcze powolniej.

— Ależ na miłość Boską, baszo, chcesz pan, byśmy tu na zawsze pozostali. W takim razie pozwól nam spisać testament i zadowolnić się śmiercią, ponieważ w ten sposób dzieła naszego nie skończymy nigdy.

Widziałem, że gromadził pilnie ptaki, płazy i owady, ale nie przypuszczałem, że stało się to u niego manią. Chciał zabić każdego ptaka w Afryce, zbierać wstrętne płazy i każdy brzydki owad, każdą czaszkę, dopóki nie zamienilibyśmy się w wędrownie muzeum lub cementarz, gdyby można było dostać tylu tragarzy. Tymczasem u jego ludzi zaczęły rozwijać się wrzody, osłabiały ich choroby sekretne; siali grzech, zbierają teraz owoce tego. Ich legowiska były tak brudne, że zamieniały się łatwo w siedliska choroby; tragarze wymierają, nie obchodzą się z nimi dobrze — jeżeli potrwa to dłużej, nie będziemy mogli iść naprzód. On czuł się w siódmym niebie, gdy sekretarz jego Radjab Effendi pokazywał mu nowy gatunek; jest zadowolony, gdy odpoczywamy przez dwa dni, a smutny, gdy dowiaduje się, iż musi maszerować.

Wszystko to napępniało mnie uczuciem, że zajmujemy się zadaniem bardzo niewdzięcznym. Przez całe życie będzie on czuł niechęć do mnie, jego przyjaciele będą słuchali ustawicznych skarg, ale nie pomyślą o tem, że praca na tym świecie nie opiera się na gromadzeniu czaszek, ptaków i owadów dla muzeów; i że Stwórca Wszchemocny nie przeznaczył Afryki na domeny dla botaniki ani dla muzeum entomologicznego.

W pobliżu wsi Ugarama znaleźliśmy w lesie dwie kobiety o jasnej barwie skóry i milej powierzchowności. Mówiły językiem kinjoro. Od nich dowiedzieliśmy się, że znajdujemy się w kraju Awambów; kraj otwarty prowadzi do rzeki Mississi i jeziora Utuku; najbliżej na południe położony jest okręg Bukoko, w którym najważniejszym naczelnikiem jest Sibaliki ze szczepu Awamba; poza Bu-

koko leży Butama; z Ugaramy do granic ostatnich Bukondju, czyli Ukondju jest dzień marszu; w przeciągu dwóch dni ztamtąd dojdziemy do Toro, ale wprzód musimy przekroczyć góry; król północnego Ukondju nazywa się Ruhandika; Wakondju mieli dawniej wielkie stada bydła, ale zabrali im je Warazura. Opowiadały nam również, że w lasach mieszkają złośliwi karłowie Watua.

Początkowo uważano nas tu za Warazura, ale wielkie stado bydła, jakie pędzimy ze sobą, przekonały mieszkańców, że byli w błędzie, ponieważ nie mogliśmy odebrać ich Awambom, którzy ich nie posiadali. Kiedy powiedzieliśmy owym kobietom, że bydło odebraliśmy poddanym Kabby Regi, odparły:

— O gdyby wiedzieli o tem nasi ludzie, wszystkoby wam przynieśli.

— Dobrze—odpowiedziałem—idźcie i powiedzcie im, że my jesteśmy przyjaciółmi tym, którzy nie przeszkadzają nam w drodze. Idziemy do dalekiego kraju, a latać nie umiemy, musimy iść tą ścieżką, ale nie robimy nic złego temu, kto nie podnosi na nas oszczepu lub łuku.

D. 30 maja przyszlismy do Bukoko. Była to wielka osada i składa się z grupy wsi, ale zauważyliśmy zaraz, że została opuszczona przed miesiącem. Gaje jej były duże i znajdowały się w dobrym stanie, a były pełne owoców; znaleźliśmy tu także toматы.

Oddział ludzi, który odbywał rekonensans w okolicy po rozbiciu obozu, natrafił kilku ludzi, ubranych w suknie bawełniane i uzbrojonych w karabiny, z których dawali ognia do naszych. Słyszeliśmy głośnie strzały karabinów perkusyjnych, poczem wszystko ucichło. Oddział powrócił wkrótce z doniesieniem, że przyniósł karabin Enfielda, porzucony przez odpartych. Ranili dwóch nieprzyjaciół, z których jeden zapewne już umarł. Przeprowadzili ko-

bietę i chłopca, którzy jednakże nie mogli powiedzieć nam nic użytecznego.

Wysłałem natychmiast 70 strzelców na dalszy rekonesans. W 10 minut później wywiązała się regularna bitwa, w której słyszeliśmy głuchy łoskot muszkietów i ostre salwy karabinów Remingtona i Winchestera. Wkrótce potem przyniesiono dwóch rannych naszych i doniesiono, że nieprzyjaciółmi są Warazura. Ludzie nasi nieprzyjaciół odpierali, ale mimo to przyniesiono znów dwóch rannych, a nadto zabici zostali młody Zanzibarczyk i młody Manjema. Chciałem właśnie wysłać silniejszy oddział na pomoc, kiedy Uledi i reszta strzelców powrócili do obozu w towarzystwie komendanta nieprzyjaciół, który był towarzyszem Kilonga Longi.

Opowiadał nam, że z oddziałem 50 strzelców i 100 zbrojnych w oszczepy przekroczył Ituri, i przed 20 dniami przybył na kraniec lasu, przeszedł przez Semliki i rozpoczął swoje łupieztwa, gdy natrafił na ludzi zbrojnych w karabiny, których wziął za Warazura. Rozpoczął więc bitwę z nieprzyjaciółmi, którzy zabili mu jednego człowieka, a pięciu ranili. Reszta umknęła do osady i wołała: już po nas. Następnie wzdłuż drogi ustawili kilku ludzi w zasadzce, zaś reszta poprawiała obwarowania osady. Kiedy straż przednia obcych przybyła na ścieżkę, dali ognia i zabili dwóch ludzi, a czterech lekko ranili, ale kiedy obcy zasypali ich gradem kul, wołali: kto wy jesteście? Gdy odpowiedziano, że to ludzie Stanley'a, ogień ustał. Zawsze dla nas nieszczęśliwa znajomość została więc znów odnowiona. Jakkolwiek chętnie bylibyśmy wytępilli bandę tych niesumiennych opryszków, to jednak musieliśmy przyjąć ich tłumaczenie i wymienić z nimi podarki.

Opowiadali, że spotkali oddział Warazurów, lecz zresztą mało mieli szczęścia, ponieważ praca ich została

nagrodzona dopiero jednym kłem słoniowym. Zdaniem ich, Ipoto było oddalone od Bukoko o 20 dni marszu.

Ruwencori nazywali tu krajowcy Virika.

Po dwudniowym wypoczynku w Bukoko poszliśmy do wsi Bansombe, odległej o 13 km.

Mieliśmy teraz 104 wołów, 30 kóz i owiec.

Z obozu w Mtarego mieliśmy już tylko 180 m. do stóp góry Ruwencori; o 66 m. pod nami płynął chłodny strumyk, którego woda miała tylko 13° ciepła. W plantacyach i polach okolicznych były figi, yams, kukurydza i trzcina cukrowa. Tu była pora rozpoczęcia badań i gromadzenia zbiorów botanicznych. Zwróciłem więc uwagę na to, że tu wdarcie się na słynne góry Księżycowe można zyskać nieśmiertelną sławę. Odzyskałem siły do tego stopnia, że mogłem iść około 200 kroków; p. Jephson musiał niestety przyznać, że febra przemogła jego gorący temperament i ujarzmiła go; kap. Nelson ubolewał również nad swoją dolą, spojrział raz jeszcze na szczyt góry i odwrócił się od niej ze słowem: Dziękuję. Zadanie d-ra Parkiego więziło go przy cierpiącej ludzkości, p. Bonny nie miał szczęścia, gdyż opanowała go uporeczywa febra i nogi jego na cienkie laseczki zamieniła. Kap. Casati uśmiechał się smutnie i zdawał się mówić: „Popatrzcie na mnie a zobaczycie, jak daleko mógłbym ująć”. Za to bąszy uśmiechał się zaszczyt; już na samą myśl o wejściu na górę opanowywał go wielki zapal, a w czasie marszu wprawdy tędy nadeszła chwila krytyczna. Stairs spojrział na niedościgłe szczyty i powiedział: „O, ja wyruszę tam piorunem”. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak dać mu kilka wskazówek, wręczyć potrzebne przyrządy, jego barometr aneroidowy porównać z takimże przyrządem normalnym w obozie i udzielić ludziom kilku rad, aby strzegli się zimna.

Noc była bardzo przyjemna. Wysokość obozu nad

powierzchnią morza wynosiła 1178 m., a od przepaści Ramilulu powiewał przez całą noc lekko chłodny zefir. Nazajutrz Stairs wyruszył w towarzystwie baszy. Ale ostatni, uszedłszy 300 metrów w górę, musiał powrócić do obozu. Stairs poszedł dalej, a po powrocie wręczył mi następujący raport.

Obóz wyprawy, 8 czerwca 1889.

Szanowny panie!

Wczesnym rankiem d. 6 czerwca wyruszyliśmy w towarzystwie około 40 Zanzibarczyków z obozu u stóp gór, przekroczyliśmy rzekę w pobliżu obozu i rozpoczęliśmy wchodzić na górę.

Miałem ze sobą dwa barometry aneroidowe, a prócz tego termometr.

Przez pierwsze 275 m. ponad obozem pochód był dość łatwy, zwłaszcza, że ułatwiała go ścieżka krajowców, prowadząca do kilku chat, znajdujących się na szczytach wzgórz. Chaty te były okrągłe, takie, jak w dolinach, z tą tylko różnicą, że do budowy wnętrza użyto wiele trzciny bambusowej. Pożywienie krajowców składało się z kukurydzy, bananów i korzeni kolokazyi. Dalej po za chatami minęliśmy długą, bujną trawę, a szliśmy przez długi pas niskich krzaków ciernistych, które pochód nasz wielce utrudniały.

O godz. 8 m. 30 rano natrafiliśmy znów na kilka chat takich samych, ale mieszkańcy opuścili je przed kilku dniami. Aneroidy wskazywały tu 598-93 mm. i 580-90 mm., termometr 19-1° R. Naokoło widzieliśmy dracany, tu i owdzie drzewa paproci i palmy, po obu zaś stronach ścieżki gęste masy liści paproci. W tej chwili na szczytach pobliskich gór w około nas pokazali się krajowcy, którzy krzykiem i trąbami usiłowali odstraszyć nas i z gór odpędzić. Szliśmy jednak dalej wzwyż stoków w górę, po-

czem krajowcy znikli i odtąd przeszkadzali nam już tylko bardzo mało.

Dolin lesistych, ciągnących się pod nami, nie mogliśmy zobaczyć z powodu gęstej mgły. Z tej samej przyczyny nie mogliśmy zobaczyć gór w stronie zachodniej i północno-zachodniej.

O godz. 10 m. 30 po uciążliwym pochodzie doszliśmy do ostatniej osady krajowców, których kultura ograniczała się tylko do fasoli i kolokazyi; bananów tu nie było. Barometr pokazywał 567·94 mm, termometr 23·1 R. Po za osadą ciągnęła się kamienista ścieżka, której boczne ramię prowadziło do lasu. Poszliśmy niem, ale stoki były tu tak strome, że musieliśmy czołgać się na rękach i kolanach, by móc iść dalej.

O godz. 11-ej doszliśmy do lasu bambusowego; z początku był rzadki, lecz w miarę posuwania się w górę coraz gęstszy. Zauważyliśmy tu gwałtowną a zupełną zmianę powietrza, które było znacznie chłodniejsze, czystsze i orzeźwiającej, tak, że mogliśmy iść prędzej i łatwiej oddychać. Skoro Zanzibarczyce raz już tutaj dotarli, zależało im na tem, by dotrzeć jaknajwyżej, zaczęli nawet zachęcać się nawzajem i pytać, który też z nich zniesie ze szczytu góry najwięcej „białego sukna”.

O godz. 12 m. 40 wyszliśmy z lasu bambusowego i usiedliśmy na miejscu, trawą poroślem, aby spożyć śniadanie. Barometry wskazywały 535·94 i 709·93 mm., termometr 16·90 R. Przed nami wznosił się wierzchołek, wysokości 365 m.; wyruszyliśmy, aby wdrapać się na niego. Uszedłszy krótką przestrzeń, dotarliśmy do wrzosów drzewiastych i krzaków, z pośród których niejedne miały 20 stóp wysokości, a ponieważ co krok musieliśmy torować sobie drogę, więc pochód nasz był powolny, a dla tych, co szli przodem, wielce nużący.

O godz. 3 m. 15 zatrzymaliśmy się wśród krzaków,

aby odetchnąć chwilę. Tu i owdzie rosło trochę lichego bambusu, lecz każdy pień był podziurawiony przez jakieś robaki, tak, że drzewo było zupełnie nieużyteczne. Pod nogami mieliśmy gruby grzybiasty dywan z mchu mokrego, podczas gdy wokoło, jak tylko okiem sięgnąć było można, rosły krzaki i *Usnea*. Znaleźliśmy tu wielką ilość fiołków i ztąd to przynieśliśmy baszy wielką ilość okazów roślin do oceny. Wogóle czuliśmy tu wilgotne zimno, a mimo wysilków przy wdrapywaniu się na górę, zimna mgła dawała się nam uczuwać dotkliwie. Prawdopodobnie mgła, wisząca stale wokoło wzgórza, jest przyczyną, że cała roślinność jest tu przesiąknięta wilgocią, a ziemia pod nogami tak wilgotna i śliska.

Wkrótce po godz. 4-ej zatrzymaliśmy się pod wysokimi wrzosami, aby rozbić obóz. Nałamawszy wielkich liści, urządziliśmy sobie przytułek; następnie nazbieraliśmy opału i rozpoczęliśmy inne przygotowania do nocy. Ale opału było mało, ponieważ wilgotne drzewo nie chciało się palić. Wskutek tego lekko ubrani Zanzibarczycy cierpieli wiele od zimna, chociaż znajdowaliśmy się dopiero na wysokości 2590 m. Kiedy kładliśmy się do snu, termometr wskazywał 12·5° R. Z obozu miałem dobry widok na leżące przed nami wierzchołki, lecz zacząłem się obawiać, czy będę w stanie dotrzeć do śniegu. Wprost przed nami znajdowały się trzy olbrzymie parowy, z których przynajmniej dwa były u spodu gęstymi krzakami porośnięte. Te musieliśmy przejść, przyczem wypadało torować sobie drogę wśród zarośli. Z tem łączyło się pytanie, czy możemy dojść do szczytu, czy nie. Postanowiłem zatem nazajutrz rano iść dalej, a przytem badać trudności, jakie są przed nami, a gdyby nie można pokonać ich w czasie, jaki na to rozumnie poświęcić można, iść tylko tak daleko, jak się da.

Rano d. 7-go, wybrawszy najlepszych ludzi, poszedłem



dalej, resztę zaś odesłałem w dół; droga była tu taka sama, jak poprzedniego dnia po południu. Noc była strasznie zimna, kilku ludzi skarżyło się na febrę, ale wszyscy byli dobrej myśli i gotowi do dalszego pochodu. O godz. 10 rano zatrzymał nas pierwszy ze wspomnianych parowów. Badając go, przekonałem się, że na przekroczenie go potrzeba bardzo wiele czasu, a przed nami leżą jeszcze pwa inne. Tu widzieliśmy po raz pierwszy szczyt śniegiem pokryty, w odległości około 4 km.; wedle mego obliczenia na dojście do niego potrzeba jeszcze  $1\frac{1}{2}$  dnia. Próba tego mogła by być dla nas fatalną, ponieważ nie mieliśmy żywności i dobrego ubrania co najmniej dla dwóch ludzi. Postanowiłem zatem cofnąć się, w nadziei, że będę miał jeszcze sposobność z jakiego innego obozu wdrzeć się na szczyt góry. Z drugiej strony parowu była łysa skała; był to południowo zachodni „stożek bliźniaczy”. Górna część jego była zupełnie pozbawiona vegetacji.

Wedle obliczeń, doszliśmy najwyżej do 3254 m. nad powierzchnią morza; wysokość szczytu śnieżnego ponad najwyższym punktem naszym wynosi prawdopodobnie 1830 metrów, tak, że cała góra jest może na 5080 m. wysoka. Ale nie jest to wcale najwyższy szczyt grupy gór Ruwencori. Przy pomocy lunety mogłem widzieć dobrze kształt szczytu góry. Najwyższy szczyt jest ukoronowany nieregularną masą chropowatych skał, i ma stanowczo kształt krateru. Przez szczelinę, w stronie do nas zwróconej, mogłem dojrzeć odpowiedni brzeg tego samego kształtu i wysokości także i po drugiej stronie. Od tej korony wielki szczyt spada na wschód pod kątem około  $25^{\circ}$ ; od strony zachodniej spadek ten jest jeszcze większy. Największe masy śniegu leżały na boku góry, odwróconym do nas; znajdował się on wszędzie, gdzie stok nie był zanadto stromy. Największa masa śniegu miała 180 m. długości, a 90 m. szerokości, była zaś tak grubą, że skała stercza-

ła z pod śniegu tylko w dwóch miejscach. Mniejszą ilość śniegu sięgały prawie aż do parowu; odległość od śniegu, leżącego w dole, aż do szczytu góry wynosiła 300 do 360 m.

Wiele przemawia za tem, że pochodzenie tych wierzchołków gór jest wulkaniczne; głównym dowodem tego jest wielka liczba stożkowych szczytów, nagromadzonych po stronie zachodniej grupy środkowej. Małe stożki powstały zapewne w ten sposób, że krater wulkanu środkowego, z powodu ciśnienia gazów niedostatecznego dla wyrzucenia z wnętrza skał i lawy, zatkał się; wskutek tego gazy rozsadzily słabsze punkta warstwy ziemi i utworzyły owe małe wierzchołki. Życia zwierzęcego nie widzieliśmy na tej górze wcale. Że żyją tu jakieś zwierzęta, wynika ztąd, że przy ścieżce widzieliśmy doły, a w chatach krajowców sidła, używane do chwytania małych zwierząt. W jednym parowie słyszeliśmy głos małpy, widzieliśmy także kilka gnuśnych ptaków szaro-brunatnych, ale nie więcej.

Natomiast widzieliśmy czernice i maliny na wysokości 3050 m., a nawet i wyżej, a prócz tego mogłem wręczyć baszy zbiór roślin, których nazw on mi łaskawie udzielił. Ubolewam nad tem bardzo, że nie udało mi się dojść do śniegu i przynieść go trochę na dowód mojej wycieczki; ponieważ jednakże było to niemożliwe, dałem sygnał do odwrotu. Barometr wskazywał tam 505.5 mm. D. 7 go o godz. 3, zużywszy na marsz od szczytów bliźniaczych 4½ godzin, przybyłem z powrotem do pana.

Mam honor itd. Porucznik W. G. Stairs.

P. S. Oto spis gatunków roślin, jakie zebrałem:

- |               |                 |
|---------------|-----------------|
| 1. Clematis.  | 5. Tephrosia.   |
| 2. Viola.     | 6. Elycina. (?) |
| 3. Hibiscus   | 7. Rubus.       |
| 4. Impatiens. | 8. Vaccinium.   |

- |                    |                        |
|--------------------|------------------------|
| 9. Begonia.        | 24. Adiantum.          |
| 10. Pencedanum.    | 25. Pellia.            |
| 11. Gnaphalium.    | 26. Pteris aquilina.   |
| 12. Helichrysum.   | 27. Asplenium.         |
| 13. Senecio.       | 28. Aspidium.          |
| 14. Sonchus.       | 29. Polypodium.        |
| 15. Erica arborea. | 30. Lycopodium.        |
| 16. Landolphia.    | 31. Selaginella.       |
| 17. Heliotropium.  | 32. Marchantia.        |
| 18. Lantana.       | 33. Parmelia.          |
| 19. Moschosma.     | 34. Dracaena.          |
| 20. Lissochilus.   | 35. Usnea.             |
| 21. Luzula.        | 36. Paproć drzewiasta. |
| 22. Carex          | 37. Paproć.            |
| 23. Anthistiria.   | 38. Polypodium."       |

Po trzydniowym wypoczynku wyruszyliśmy dalej po skalistych ścianach parowu Ramilulu.

Wczesnym rankiem jakiś śmiały krajowiec zabił oszczepem jednego z niewolników Madiów. Wkrótce weszliśmy znów w las podwrotnikowy, bardzo wspaniały. Tu rozbiliśmy obóz, a nazajutrz uszedłszy 10 km., wydobyliśmy się z gąszczy do wielkiego karczowiska Ulegga. Na stokach gór ciągnęły się tu gaiki bananowe, aż hen daleko do doliny rzeki Semliki; wszędzie były tu banany, ale nie brakowało także tytoniu i kukurydzy, dwóch gatunków fasoli, yamsu i kolokazy.

Wchodziliśmy do tego dystryktu z niedowierzaniem; śmierć naczelnika Madiów zwróciła uwagę naszą na to, że nie możemy być pewni siebie i że wypada nam czuwać dniem i nocą. W pierwszej wsi straż przednia natrafiła na ludzi, którzy rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie. Gdzie spojrzeliśmy, wszędzie były wsie, a jeżeli odwaga mieszkańców jest tak wielka, jak liczba ich wsi, mogliby stawieć nam zacięty opór. Wskutek tego wysłaliśmy kilka

oddziałów zbrojnych w góry, gdzie stoczono zażarte walki, aż około godz. 4-ej Matjerowi, jednemu z tłumaczy baszy z plemienia Bari, udało się rozpocząć rozmowę z kilku krajowcami i nakłonić ich naczelnika do zawarcia pokoju. Naczelnik przybył do nas i powiedział, że rzuca się nam do nóg, byśmy go zabili lub utrzymali przy życiu. Kazałem natychmiast zatrzeć dla zaprzestania bitwy, a w dziesięć minut później panował wszędzie spokój.

Naczelnik ten i jego przyjaciele byli pierwsi z mieszkańców Ukondju, jakich widzieliśmy; ich uległość zyskała naszą sympatję i podziw. Ale zjawienie się ich wywołało u mnie rozczarowanie, chociaż nie było właściwie przyczyny do tego. Z jakiejże racji miałem spodziewać się, by ci mieszkańcy gór posiadali skórę bielszą, niż mieszkańcy lasów z dolin Semliki lub Jturi; owszem są nawet czarniejsi od Zanzibarczyków.

W czasie marszu dnia następnego przekroczyliśmy pięć rzek, płynących z gór, a wpadających do Semliki. Temperatura wody jednej z nich wynosiła zaledwie 11° R.

W Mtsora dowiedzieliśmy się wkrótce interesujących szczegółów.

O kilka kilometrów na północ ma znajdować się część górnego jeziora, które odkryłem w r. 1876. Krajowcy nazywają je *Ingesi*, co oznacza w narzeczu Kinjoro rzekę, błoto albo małe jezioro. *Ruweru* czyli jezioro jest odległe stąd o dwa dni marszu na południe.

Nazywają je także *Njanza*, a spytani o właściwą nazwę odpowiadali: *Muta Nsige*. Niektórzy z nich znali trzy *Muta Nsige*: przy Unjoro, przy Usongora i w Uganda.

Ilość jezior (*Njanza*) jest tu zdumiewającą. Jest *Njanza* Unjoro, *Njanza* Uzongora, *Unjampaka*, *Toro*, *Njanza* Semliki, *Njanza* Unjawingi, *Karagwe* i *Njanza* Uganda.

Na pół etiopskie ludy, zwane w Kavalli *Wahuma*,

Waima, Wawitu i Waczwezi, zowią się tu Waijana, Wanjawingi, Wazongora i Wanjankori.

Ruwencori, które plemiona leśne nazywały Bugombowa, Awirika i Wiruka, zowią tu Ruwencu—ru—ru, albo Ruwendzura, stosownie do tego, który wyraz krajowiec wymówić umie.

Warazura stoją tu pod komendą Rukary, jenerała Kabby Regi z Unjoro. Niektórzy z nich stoją przy przewozie Waijana, o kilka kilometrów na północ od nas. Wakondju oświadczyli gotowość udzielenia nam pomocy, celem wypędzenia tych opryszków z kraju.

Główna kwatera Rukary znajduje się w Katwe, w mieście, położonem w pobliżu jezior słonych.

Na zachodnim wybrzeżu Semliki mieszkają plemiona Wakowi i Wazoki, są tam także karły Watua.

Dowiedzieliśmy się dalej, że Uzongora i Toro poddały się Kabbie Rega, lecz mieszkańcy wysp odmawiają dotąd posłuszeństwa, a nawet naczelnik ich Kakari zwrócił się do Wanjamwingi i Wanjankori o pomoc przeciw królowi Unjoro. Przyrzekają nam podbicie wszystkich Wakondju i Wazonkora, jeżeli zawrzemy z nimi przymierze. Przyjąłem tę ofertę.

Wakondju mają okrągłą głowę, twarz szeroką, wzrost średni. Noszą pierścienie na rękach i nogach, tudzież na ramionach, przyozdobione setkami kosteczek. Naczelnicy odróżniają się ciężkimi naramiennikami z miedzi lub mosiądzu; strój szyi kobiet składa się z ciężkich pierścieni żelaznych, spiralnie zakończonych. Opowiadają mi, że na stokach góry jest tu mnóstwo pięknych kryształów kwarcu.

U wejścia każdej wsi w Ukondju widać mały namiot o bardzo małym wchodzie, przed którym kładą krajowcy banan lub jaje. Wedle tradycyi, zwyczaj ten wprowadził Mikondju, protoplasta plemienia, który pierwszy wyszedł

z lasu, a to celem położenia tamy kradzieżom; ma to być ofiara dla ducha, aby przypomnieć mu, by ochraniał gaje bananowe i jaja, z których pochodzą kury.

D. 12 czerwca wysłałem Stairsa, 60 strzelców i oddział przewodników Wakondju nad rzekę Semliki. Powrócił on nazajutrz z doniesieniem, że krajowcy przyjęli go przyjaźnie, poddali mu się i towarzyszyli mu aż do rzeki. Semliki miała tu 40 m. szerokości, 3 m. głębokości, płynęła z szybkością 5 km. na godzinę wśród brzegów na 15 do 18 m. wysokich.

W czasie odpoczynku w Mtsora mieliśmy pewnego wieczora na chwilę przed zachodem słońca wspaniałą widok na Ruwencori.

D. 14 czerwca przybyliśmy do Mubamba w Uzongora. Wkrótce potem zaszliśmy na równinę trawiastą, która niegdyś była dnem jeziora, do jakiego zbliżamy się obecnie.

Nazajutrz zaczęliśmy wdzierać się na góry. Kiedy weszliśmy na wysokość 460 m., roztoczył się przed nami cały świat gór, tak piękny, że wspomnienie ich byłoby zawsze cenne, gdyby wieczna mgła nie zasłaniała nam przepysznej panoramy. Widok ten przypominał mi Alpy, widziane z Berna, ale te Alpy afrykańskie są wyższe.

## ROZDZIAŁ XXVII.

Krytycy dzieł podróżników zapominają zawsze wspomnieć o mapach, dołączanych do opisu podróży. A jest to bardzo niesłusznie; moje mapy kosztowały mnie więcej trudu, niż wszystkie notatki, opisy, szkice i zdjęcia fotograficzne. Wogóle prace około map, a więc odczytywanie trzech chronometrów prawie przez trzy lata, codzienne obliczanie i wpisywanie do mapy, fotografie biegu rzek, rysowanie łańcuchów gór, badania kompasu, oznaczanie punktu wrzenia, odczytywanie barometrów aneroidowych, obliczanie wysokości, notowanie temperatury, co wszystko jest potrzebne do dobrej mapy, zabrało nam 780 godzin uczciwej pracy, tj. 130 dni licząc po 6 godzin pracy dziennie.

Schodząc z Karimi na nizinę jeziora Alberta Edwar-da, przychodzi nam zaraz na myśl, że znajdujemy się na wyschniętem dnie jeziora. Aby to powiedzieć, nie trzeba być geologiem. Podniesienie zwierciadła jeziora o  $1\frac{1}{2}$  m. rozszerzyłoby jezioro na 8 km. na północ i tyleż na południe. Podwyższenie o 15 m. przywróciłoby je do dawnych

rozmiarów, kiedy to fale jeziora muskały krzemieniste wybrzeża w cieniu leśnym przy Mtsora.

Uszedłszy kilka kilometrów za Njamagazani, przybyliśmy do miasta Katwe, głównej kwatery Rukary, głównego komendanta Warazurów. Tenże poprzedniego dnia wraz z wojskiem swoim opuścił miasto, ale prawdopodobnie z takim pośpiechem, że nie mógł zabrać zapasów zboża.

Katwe musiało posiadać liczną ludność, może 2000 mieszkańców. Ponieważ okolica nadaje się tylko do hodowli bydła, przeto mieszkańcy muszą utrzymywać się ze sprzedaży soli z pobliskich dwóch jezior słonych. Miasto składało się z gromady *serib*, łączących się ze sobą przejściami pomiędzy płotami z trzciny.

Przypilnowawszy rozdziału zboża, poszedłem nad piaszczysty brzeg jeziora słonego Katwe. Temperatura wody wynosiła tu 20.7° R, zaś wąskiego pasa wody siarczanej 23.1° R. Widać tu było kryształy soli, tak twarde, jak kamień. Z oddalenia te ławy soli wyglądały, jak staw zamrznięty. Brzegi, nie nawiedzane przez zbieraczy soli, są otoczone grupami palm, trzcina, roślinami owocowymi, a pod Mkijo nawet małym gajem bananów i polami kukurydzy oraz prosa. Jezioro wygląda martwo i opuszczenie.

Szczególną osobliwością jeziora było czerwone zabarwienie wody i osadów w niej. Na dnie widziałem osad, jakby krew zaskrzepłą. Kazałem jednemu z ludzi wejść w jezioro; podniósł on wielki kawał soli skryształizowanej, na której znajdowała się plama, jak krew czerwona. Ta to czerwona substancja nadaje jezioru wygląd purpurowy, tak, że patrząc ze wzgórza Katwe, zdaje się, jakby pod wodą była farba czerwona.

Na brzegu leżały krocie martwych motyli różnobarwnych. Ryb w wodzie nie było widać, natomiast brzegi



jeziora były ulubionem miejscem pobytu bocianów, pelikanów i czapli.

Większe jezioro słone, zwane jezioro Mkijo, ma około 5 km. długości,  $\frac{3}{4}$  do  $1\frac{1}{4}$  km. szerokości i 1 m. głębokości. Mniejsze jezioro leży w okrągłej, trawą porosłej kotlinie o 3 km. dalej na wschód i jest okrągłym stawem płaskim o szerokości  $\frac{3}{4}$  km.

Sól jest artykułem bardzo cennym u plemion okolicznych. Sława tych jezior doszła aż do Kavalli. Z Makara, Ukondju, Unjampaka, Ankori i Ruanda przybywają całe flotyle łodzi, obciążonych zbożem, celem zamiany na sól, ze wschodniego zaś Ukondju, północnego Usongora, Toro i Uhaijana przybywają całe karawany, aby proso, sukno, groch, fasolę, sezam, narzędzia żelazne, broń itd. wymienić na sól. Mieszkańcy wysp na jeziorze Alberta Edwarda obciążają nią swoje małe statki i wożą ryby suszone do wybrzeży zachodnich i południowych, gdzie zarabiają dużo na zamianie swoich produktów. Posiadanie miasta Katwe, panującego nad jeziorami, daje powód do wielkiej zazdrości. Początkowo należało on do Wazongora, następnie do Antari z Ankori; następnie odziedziczył je naczelnik wysp Kakuri, aż w końcu Kabba Rega, dowiedziawszy się o słonych jeziorach, wysłał Rukarę celem zajęcia miasta.

Nasz pochód do Ukondju zmusił Warazurów do opuszczenia równiny Makara, a tak samo umknął Rukara wraz ze swoją armią strzelców i zbrojnych w oszczepy. W naszym obozie znajdowało się około 150 Wakondju, stawili się także Wazongora z różnemi wiadomościami.

Po południu pierwszego dnia po przybyciu do Katwe ujrzeliśmy flotyllę łodzi, podpływające do brzegu z wysepki, odległej może około 5 km. Załoga ich była jednakże tak ostrożna, że trzymała się w oddaleniu od brzegu. Opowiadali nam oni, że wysłał ich Kakuri, aby dowie-

dzieć się, jacy to obcy wypędzili Rukarę i jego Warazurów i przez to oddali całemu światu wielką usługę. Odpowiedzieliśmy im na pytanie, ale krajowcy nie wierzyli. W końcu oświadczyli, że jeżeli spalimy miasto Katwe, to oni wezmą to za dowód, że nie jesteśmy Warazura. Wskutek tego podpaliliśmy wsie nadbrzeżne, co załoga łodzi powitała głośnemi okrzykami radości.

Następnie wołał mówca ich:

— Wierzę teraz, że jesteście Wanjawingi. Śpijcie spokojnie, a jutro przybędzie Kakuri, aby dać wam podarunki na powitanie.

Bewwa, naczelnik naszych Wakondju, stanął w łodzi i spytał:

— Ach, dzieci Kakuriego, wielkiego króla jeziora, nie przypominacie sobie Kuaru-Kuansiego, który synom Kakuriego pożyczał oszczepów, by bronić kraju przeciw rozbójnikom Warazura? Patrz, Kuaru-Kuansi, wierny syn Wanjawingi, jest tu znowu. Cieszcie się, przyjaciele, Rukara i jego złodzieje umknęli, a cały kraj jak jeden mąż powstanie, aby ścigać ich dalej.

Krajowcy klaskali w dłonie i bębniłi na sześciu małych bębnach. Poczem główny mówca wyspiarzy powiedział:

— Kakuri nie dał wyrwać sobie jeszcze ani jednego zęba, i nie pozwoli żadnemu żyjącemu Warazura wyrwać go sobie. Pojmaliśmy tuzin Warazura, kiedy uciekali przed tymi obcymi z Makara. Kakuri postara się o to, aby pomarli, zanim słońce zejdzie, a jutro zobaczy się z naczelnikiem obcych twarzą w twarz.

To powiedziawszy, odплыnęli. Spytałem Bewwę o Wanjawingów, kim są, czy stanowią plemię?

On spojrział na mnie surowo.

— Dlaczego pytasz o to? Czyż nie wiesz, że my są-

dzimy, że wy należycie do Wanjawingi? Któż to prócz Wanjawingi i Waczwezi ma taki sam kolor skóry, jak wy?

— Co? oni są tak biali, jak my?

— Oni nie mają sukien tak, jak wy, i nie noszą nic na nogach, jak to wy czynicie, ale są wielkimi i silnymi ludźmi o długich nosach i bladej skórze, i jak sły-  
szałem od naszych starych ludzi, przyszli z kądś z poza gór Ruwencori. Wy przyszlście także z tamtąd i dlatego należycie także do Wanjawingów.

— Ale gdzież oni mieszkają?

-- W Ruanda, a Ruanda jest wielki kraj, który ciągnie się wokoło z południa na wschód i na południowy zachód. Ich oszczepów zliczyć nie można, a luki ich są dłuższe, niż ja jestem wysoki. Król z Usongora, Njika był Wanjawingi. W tych okolicach niema ludzi, którychby Kabba Rega nie mógł zwyciężyć; oni żyją w Ruanda, dokąd nie odważy się pójść nawet król z Uganda.

Kakuri przymógł nam nazajutrz dary w rybach, koczach, bananach i grochu. W towarzystwie jego było kilku naczelników Wazongora, którzy ofiarowali się towarzyszyć nam w nadziei, że w drodze spotkamy kilka hord nieprzyjacielskich. Naczelnik wyspy był to człowiek przystojny, ale co do barwy nie różnił się od ciemnych Wakondju, podczas gdy Wazongora w rysach swoich mieli tyle podobieństwa do najpiękniejszych typów Somalów i Galla, jak gdyby pochodzili z tej samej rasy.

Wezwałem Kakuriego, aby nazajutrz przybył łodzią, naładował tę ostatnią solą, którąby złożył na wyspie, ponieważ za dzień jeden lub dwa muszę iść dalej na wschód. Wskutek tego około 100 krajowców przez całe popołudnie byli zajęci transportem soli na wyspę Kakuriego, przyczem pomagali im dzielnie towarzyszący nam Wakondju. Ludzie ci wchodzili do jeziora aż na odległość stu kroków, z kąd zabierali duże kawały skryształizowanej soli.

W d. 19-ym znalazłem ciężką, ale dużą łódź, którą uzbroidłem w 12 wiosłarzy i wyjechałem na jezioro, celem zbadania go. Około godz. 11 rano byłem oddalony już o 12 km., poczem zatrzymałem się przed osadą Kaijury, wsią, złożoną z 81 wielkich chat, bogatą w kozy i owce. Kaijura był Msongorą, dotąd przez Warazurów niezwy- cieżonym. Nasza łódź była tak licha i ciężka, że nie mo- głem zapuszczać się daleko na jezioro, ponieważ przy naj- mniejszej fali napelniała się wodą, lecz przez większą część drogi znajdowałem się w odległości 1½ km. od lądu. Co kilka minut kazałem zapuszczać sondę, która wpa- dała w namul na metr głębokości. Największa głębokość, jaką spotkałem, wynosiła 4·6 m.

Nazajutrz rano powierzchnia jeziora była gładka, jak zwierciadło, o barwie szaro-zielonej. Na brzegu wi- dzieliśmy niezwykle wielką liczbę motyli.

W środku zatoki Katwe leżały dwie wyspy, sterczą- ce z jeziora na wysokość 30 m. Obie były gęsto zalu- dnione.

W towarzystwie wielkiej liczby naczelników i pasterzy Wazongorów, tudzież przyjaciół z Ukondju, wyruszyła wyprawa w d. 20 czerwca dalej na wschód ścieżką wzdłuż większego jeziora słonego. Po przejściu około 30 km. przy- byliśmy do Mukungu w Unjampaka do naczelnika Kasses- se z Toro, którego nazwisko znane mi było już w sty- czniu r. 1876.

Naprzeciw pół tuzina *serib* Mukungu leżała długa wąska wyspa Irangara, oblana wąskim ramieniem jeziora; pomiędzy nią a Katero, Kateribba a czterema czy pięcio- ma inuemi wyspy, leżącemi na wchód od Irangara, pędzi- ły wielkie masy *pistia*; w oddali z poza chmur wyglądały wyżyny Uhajjana, na południe zaś Kitagwenda, którego naczelnikiem był Ruigi; wiedziałem więc, że znajdujemy

się w zachodniej stronie ramienia jeziora, które nazwaliśmy zatoką Beatryczy.

Bydło przewieziono na wyspę Irangara, tak samo usunięto każdy przedmiot wartościowy; olbrzymie stado popędzono niedawno z Mukungu do Buruli i przez cofającego się Rukarę i jego wojsko zmuszono do marszu pośpiesznego. Chaty naczelników dowodziły, że ci krajowcy postąpili już trochę w sztuce architektury ornamentacyjnej. Dom, w którym mieszkał basza, był najpiękniejszy ze wszystkich, jakie dotąd widziałem. Był on prawie na 6 m. wysoki, wchód jego był ozdobiony farbami pstremi, naśladownictwem robót sztukateryjnych starych Egipcyan. Wchód miał 1½ m. wysokości, tyleż szerokości i zaopatrzone w piękne łukowe zaokrąglenie. Wnętrze było ścianami tynkowanymi podzielone na różne części, w które wkopane były figury, pomalowane na czerwono i czarno. Część przy szerokim wejściu była przeznaczona na salę andyencyonalną; poza pstro pomalowaną ścianą znajdował się familijny pokój sypialny, dwa zaś przecięcia po prawej i lewej przeznaczone były dla dzieci.

Każda *seriba* była otoczona nietylko z zewnątrz płotem kółczastym, ale także i wewnątrz na 1½ m. wysokim wałem z nawozu krowiego. Te wielkie kupy gnoju spotykaliśmy badzo często w Uzongora i nawet po stu latach wskazywać one będą miejsca, w których znajdowały się osady.

Nazajutrz poszliśmy śladem Rukary, jego wojska i stad. Uszedłszy 17½ km, zatrzymaliśmy się we wsi Mubokja, gdzie ludzie nasi schwytali zbiega z wojska Rukary. Doniósł on nam, że Warazura znajdują się obecnie w Buruli.

D. 22-go czerwca poszliśmy dalej; przekroczyliśmy wiele rzek małych i dwie większe: Unjamwambi i Rukoki. Zbliżywszy się do Rukoki, której wybrzeża były zakry-

te wysokiem sitowiem, straż przednia została przywitana salwą znacznej liczby strzelców, ukrytych w gąszczu. Niestety, straż przednia składała się z Wazongora i Wakondja, którzy tłumnie rzucali się w rzekę, przyczem dziełami własnymi robili sobie więcej złego, niż nieprzyjaciel w gęstwinie ukryty. Tymczasem po upływie kilku minut dwie kompanie złożyły towary i z godną podziwu nieustraszonnością rzuciły się w moczar w samą porę, by dojrzeć umykających z kryjówek Warazura. Walka trwała jeszcze dość długo, ale w bitwie z krajowcami potrzeba jazdy, ponieważ ciągle biegają. Jedni Warazura uciekali na południe, drudzy w górę, byle tylko ująć naszych kul. Kompanie, ujrawszy zupełną ucieczkę nieprzyjaciela, powróciły; poszliśmy więc dalej do Baruli, gdzie gaje bananów zapowiadały nam obfitość żywności.

Zanim doszliśmy poprzednio do miejsca zasadzki, ujrzelśmy leżącą wpoprzek drogi kozę zabita i kilka tuzinów żółtych owoców. Oznaczało to, że mamy strzedz się zemsty; ale nasi krajowcy mieli tak wielkie zaufanie do nas, że poszli dalej. Mimo to zlekli się bardzo na widok zasadzki.

Po południu strzelcy nasi ścigali dalej Warazura, ponieważ ci zbierali się znów i szli wpoprzek równiny. Nasi strzelali do nich, zmuszając ich do nowej ucieczki. Warazura porzucali więc swoje bagaże, i kijami popędzali swoich jeńców, wskutek czego wielu tych ostatnich ze strachu i bólu porzucalo swoje toboły i zbiegalo pod ochroną karabinów naszych strzelców. Zbiegowie porzucali przedmioty, które dla nas miały wielką wartość; pomiędzy jeńcami znajdowała się kobieta z plemienia Mhuma, o powierzebowności bardzo milej. Opowiadała nam ona wiele o Rukarze i jego olbrzymich stadach bydła.

Nazajutrz o świcie wysłałem Nelsona ze 100 strzelcami i 500 wojownikami Wakondju i Wazongora, aby ści-

gał straż tylną Rukary. Szedł za nimi 18 km, ale nie widząc ani śladu Warazurów, powrócił do Buruli.

Opowiadano mi, że w odległości nieznacznej ztąd znajdują się dwa ciepłe źródła, z tych jedno w pobliżu Iwanda, a drugie tak gorące, że można gotować w niem banany, pod Luadjimba.

W Buruli zatrzymaliśmy się przez dwa dni ze względu na poprzednie znaczne marsze i obfitość żywności. Przed wyruszeniem naszym przyjaciele nasi Wakondju i Wazon gora prosili, by mogli powrócić do domu, odległego ztąd o 140 km. Obdarzyłem każdego z nich.

D. 25 czerwca poszliśmy dalej i rozbiliśmy obóz w lesie około rzeki Nsongi. Obozowali tu nieraz widocznie Wazongora. Ponieważ do rzeki było daleko, kucharze nasi nabrali wody z jakiegoś dołu, co wywołało wiele chorób wśród nas.

Nazajutrz przybyliśmy na taras pod Kawandare w Uhaijana. Warazura zaczęli znów strzelać z gór do nas, ale uciekli, gdyż straż przednia wyruszyła do ataku. Straż ta schwytała jednego z Warazurów.

Zmarł Jussuf Effendi, oficer egipski. Jest to już szósty wypadek śmierci wśród Egipcyan, którzy z powodu wielu nadużyć, jakich dopuszczali się w swojej prowincyi, są teraz tak wycieńczeni, że iść nie mogą.

Dziś okazały się skutki użycia wody z dołu. 30 Zan-zibarczyków dostało ataków febry, prócz tego zachorowało dwóch oficerów Europejczyków, a i ja czułem również symptomata choroby. Ludzie baszy szaleli w febrze, a tak samo Manjemowie, z których kilku znikło.

D. 27 czerwca kazałem stanąć i wysłałem Stairsa z jego kompanią, celem odszukania zaginionych. Wiele z nich spotkało się z Stairsem w drodze, jedną kobietę z orszaku baszy znaleziono z dziłą w piersi, a jakiś Manjema zawdzięczał ujście podobnej śmierci tylko nadejściu

Stairsa. Niektórzy nierozważni, chcąc ukryć się przed strażą tylną, kładli się w trawę, gdzie leżeli tak długo, póki oficer z ludźmi swoimi nie przeszedł.

Wogóle mamy około 200 chorych. Febry dostali także basza, dr. Parke i Jephson.

D. 28 czerwca szliśmy pod przewodnictwem schwytanego Warazary przez wyżyny Kawandare. Straż przednia i główny oddział szły bez przeszkody, zato straż tylna musiała bić się z nieprzyjacielem, który jednakże uciekał, skoro tylko nasze karabiny zaczęły na atak jego odpowiadać. Było to nasze ostatnie spotkanie z opryszkami Kabby Regi.

D. 1-go lipca przybyliśmy do Kasunga Njanza, gdzie to w styczniu r. 1876 szukałem łodzi, celem przebycia jeziora, przezemnie odkrytego. Król Bulemo Rigi, który od wyspiarzy Kakuriego słyszał o nas wiele dobrego, przysłał posłów, oddając nam kraj swój do rozporządzenia z prawem użytkowania z jego pól i plantacyj, pod warunkiem, abyśmy nie wycinali drzew bananowych.

Jak zwykle każdego dnia 1-go miesiąca, basza przedstawił mi następujący wykaz swoich ludzi: 44 oficerów, naczelników rodzin i urzędników, 90 żon legalnych i nielegalnych, 107 dzieci, 223 żołnierzy i służących, 91 towarzyszy, ogółem 555 ludzi.

D. 3 lipca przybyliśmy do osady Katari w Ankori nad brzegiem jeziora Alberta Edwarda.

Maszerowaliśmy wzdłuż północno-zachodniego i wschodniego wybrzeża tego jeziora, a mieliśmy dosyć sposobności, aby poznać wybrzeże południowe i zachodnie. Rybacy Kakuriego powiedzieli mi, że brzeg jest bardzo płaski, że do jeziora wpadają tylko dwie większe rzeczki: Mpauga i Nzongi, chociaż i kilka innych ma 6 do 15 m. szerokości, a do 60 cm. głębokości.

Wskutek ustawicznej mgły jezioro przedstawiało się



nam, jak rozlane żywe srebro, lub matowa płyta srebrna, obramowana naokoło łądem czerwono-brunatnym. Obraz ten był pod każdym względem niezadawalniającym. Nie mogliśmy odróżnić ani odległości, ani kształtu, ani wysokości gór nad wodą, ani głębokości jeziora, ani też orzec, czy jest to morze śródziemne, czy tylko wielki staw płaski. Para, a właściwie szara chmura wisi nad niem, jak płaszcz szary; pragnęliśmy deszczu, któryby powietrze oczyścił; istotnie spadł deszcz, ale po nim zgęszczona para zamieniła się w mgłę taką samą, jaka w listopadzie nawiedza Londyn.

Jezioro ma barwę jasno-zieloną, która jednakże już w małej odległości od brzegu zamienia się w ciemno-zieloną. Niema tu światła słonecznego, ale tylko nieprzezroczystość, walka z niezmierną objętością mgły.

---

## ROZDZIAŁ XXVIII.

---

W d. 3 lipca zwołałem oficerów wyprawy, celem odbycia narady, w jakim kierunku mamy iść dalej do morza.

Możemy iść przez Uganda — mówiłem — moją dawną drogą do ujścia Katongi. Jeżeli król, jak dawniej, będzie nam życzliwym, mógłbym wyprawę doprowadzić do Dumonad jeziorem Wiktorya, gdzie mógłbym wypożyczyć jego łodzie i wyprawę przeprowadzić do Kawirondo, gdzie moglibyśmy zaopatrzyć się w bydło i zboże i pójść do Kikuju, a ztąd do Mombas. Ale Muanga nie jest Mteza, a morderca biskupa Hanningtona nie może być naszym przyjacielem. Jeżeli pójdziemy do Uganda, będziemy musieli albo bić się, albo wydać broń.

Druga droga prowadzi prosto przez Ankor. W roku 1876 król Antari płacił królowi Ungda haracz i płaci gonięzawodnie także i teraz. W stolicy znajdują się zapewne gromady Wagandów a ci są dość sprytni, aby wiedzieć, że mogą uzyskać łaskę Muangi, jeżeli dostarczą mu kilkuset karabinów i amunicyi. Co nie uda im się podstęp-

pem, to zrobią może przemocą. Zanim dotrzemy do Nilu Aleksandra, ścigać nas będzie armia Wagandów i Wan-jankori. Ale i Antari sam może powstrzymać nasz pochód przez swój kraj, ponieważ, jak sądzę, może wypro-wadzić do boju 200,000 wojowników, a tymczasem do za-trzymania nas wystarczy 10,000 ludzi. Co on zrobi, nikt nie wie. Z 50 Zanzibarczykami znalazłbym drogę przez pustynię, ale z 600 takimi ludźmi, jakich basza posiada, przez pustynię iść nie można.

Trzecia droga wreszcie prowadzi do Ruanda na po-ludnie, przez ten kraj do Uzige i Tanganika, z kąd może-my postać do Udjidji, albo Kavele po łódzie. Z Udjidji możemy następnie przez Unjanjembe iść do Zauzibaru albo na południowy kraniec jeziora, a ztamtąd do Njassa i tak dalej w dół Szire i Sambesi do Quelimane. Ale za-nim dojdziemy do Tanganika, wszystkie sztuczki nasze zo-staną wystawione na próbę. U Arabów utarło się przy-słowie, że łatwiej dostać się do Ruanda, niż wyjść z tego kraju. Przed 18 laty dostała się tam karawana arabska, ale już się ztamtąd nie wydobyła, a Mohammed, brat Tip-pu Tiba, z 600 strzelcami napróżno próbował przedrzeć się przez Ruanda. Nie wierzę, aby w Ruanda było tylu wojo-wników, by nas powstrzymać zdołali, a ponieważ niema innej drogi, więc niema co radzić, ale iść naprzód. Jest to kraj wielce interesujący, a ja chciałbym poznać jego króla i lud; ale to długa podróż. Mamy zatem najkrótszą drogę przez jeziora Wiktorya i Kawironda, ale tu będziemy mieli do czynienia z Waganda. Trochę dłuższą jest droga przez Ankori i Karagwe, ale tu są Waganda i Ankori. Najdłuż-sza droga prowadzi przez Ruandę.

Wybór pozostawiono mnie, poczem wybrana została droga przez Ankori.

Wydałem zatem rozkaz przygotowania żywności na pięć dni. Następnie zapowiedziałem surowo, że k to bę

dzie schwytyany na plądrowaniu plantacyj lub wsi, będzie przykładnie i publicznie ukarany.

D. 4 lipca poszliśmy dalej od jeziora Alberta Edwarda. Około południa zatrzymaliśmy się w Kitete, gdzie powitano nas przyjaźnie w imieniu króla Antari. Prawie równocześnie z nami przybyli posłańcy Mazakumy, gubernatora należącej do Ankori prowincyi nad jeziorem, który rozkazał, aby przyjmowano nas gościnnie. Potęga wysłańców rządu była tak wielka, że mieszkańców wsi usuwali z chat wołaniem: Miejsce dla gości Antarięgo! Miejsce dla przyjaciół Mazakumy. O, gałgany, nie słyszycie? Precz z bagażami! przyczem patrzyli z boku, czy my widzimy ich zachowanie się. Jeszcze nie doszliśmy do Ankori, a już poznaliśmy gruntownie całe położenie; Ankori należało do króla. Ludzie, z którymi mieliśmy do czynienia, byli tylko gubernatorami, zwanymi Wakungu. Ankori było kopią Ugandy.

D. 7 lipca szliśmy w zwartym ordyнку przez wąwóz pomiędzy górami Kinjamagara a Deuny, poczem przyszliśmy do głównej wsi Mazakumy, gubernatora prowincyi.

W Mazakumie poznaliśmy dzielnego człowieka, który był wybornie powiadomiony o wszystkich potyczkach naszych z Warazurami. Na zgromadzeniu uroczystem, odbytem po południu, prosił nas, byśmy sami opowiedzieli naszą historję, aby jego podkomendni wiedzieli, jak Wanjoro pod Mboga, Utuku, Awamba, Ukondju i Uzongora pobici i pod Toro do ucieczki zmuszeni zostali.

— Patrzcie—mówił—w jaki to sposób należałoby wypędzać opryszków z Unjoro ze wszystkich krajów, które plądrowali. Ach, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak wielkiego dokonaliście dzieła, bylibyśmy poszli z wami aż do Mruli.

Uwagę tę przyjęto bardzo dobrze.

Następnie przybyły żony naczelnika i oddały nam

wizytę urzędową. Były przystrojone zasłonami z pereł, tudzież grubemi naramiennikami i szerokiemi napiersnikami, zrobionemi również z pereł, powiedziały nam mnóstwo komplementów z powodu dokonanego przez nas dzieła i prosiły, byśmy przyjęli wyraz ich wdzięczności.

— Ankori jest w przyszłości waszym krajem; żaden z poddanych Antariego nie odmówi wam prawej ręki braterstwa, ponieważ okazaliście, że jesteście prawdziwi Wanjawingi.

Teraz wyszła starszyczna, ludzie siwi, słabi, zgarbieni i już prawie zdziecinniali; ci wyciągając ręce z dłońmi do góry, mówili do nas: „Witamy was radośnie. Dziś po raz pierwszy widzimy tych, których ojcowie nasi nie widzieli, prawdziwych Waczwezi i prawdziwych Wanjawingów. Patrzcie na nich, ludzie; to ci, na których widok Warazura uciekali, jakby skrzydła u nóg mieli.

Kiedy d. 8 lipca radziliśmy nad tem, którądy iść mamy, nie spodziewaliśmy się, że takiego doznamy przyjęcia.

Nazajutrz przyniesiono nam przeszło 300 pęków bananów i kilkadziesiąt dzbanów wina bananowego. Przybyły także z sąsiednich osad deputacye, którym Mazakuma nanowo opowiadać musiał o wypędzeniu przez nas Warazurów i oswobodzeniu jezior słonych. Istotnie dziwiliśmy się nie tak ogólnie okazywanej radości, jak liczbie plemion, które taką korzyść z przybycia naszego odniosły.

Okolo zachodu słońca pawróciły kuryery, wysłane do stolicy przez matkę króla z doniesieniem, wprowadzie dyplomatycznym, ale przez nas bardzo dobrze zrozumianem. Doniesienie to opiewało:

„Mazakuma da wam przewodników, którzy wskażą wam drogę do Karagwe. W każdym obozie otrzymacie żywność, jak długo będziecie w Ankori. Dadzą wam podostatkiem kóz i bydła. Podróżujcie w spokoju. Matka

króla jest w tej chwili chora, ale ma nadzieję, że odzyska zdrowie o tyle, że będzie mogła przyjąć was, jeżeli jeszcze raz kraj ten odwiedzicie. Ale od dnia dzisiejszego do was należy i kraj ten, i wszystko, co w nim się znajduje. Król Antari znajduje się na wyprawie wojennej, a ponieważ matka jego jest chora, niema nikogo, któryby był godnym przyjąć was.

W stolicy wskutek opowiadań Bewy i Kakuriego siłą naszą przeceniono, mimo to oddział nasz, idący w gęsim szeregu, był bardzo imponujący. Także i armatka Maxima wywarła wpływ moralny, zaś fakt, że wypędziliśmy Warazurów z tyłu krajów, wskutek czego tak tanim kosztem krajowcy uzyskać mogli sól, przemawiał na naszą korzyść. Rodzina królewska była nam więc życzliwa, ale z drugiej znów strony żywiła obawę, że wyprawa może być pod pewnym względem groźną także i dla Ankori.

Biedna królowa matka! Gdyby wiedziała, jak jej słowa mnie uradowały, byłaby pewnie nie kłopotowała się tem, jak je przyjmujemy. Chociaż bowiem posiadaliśmy dosyć sukna i pereł dla krajowców, to jednak byliśmy za ubodzy dla królestwa o takich pretensjach, jak Ankori.

Kraj ten niepokoiły lwy i tygrysy, ale nie słyszeliśmy ich w nocy. Natomiast pierwszej nocy wpadła do naszego obozu hyena i porwała nam kozę.

D. 11-go przybyliśmy do Katara. Tu przybyli do naszego obozu za pozwoleniem Antariego dwaj chrześcijanie z plemienia Wagaŋda, Samuel i Zacharyasz, ze znaczną liczbą towarzyszków. Po przywitaniu powiedzieli, że chcą pomówić ze mną. W oczekiwaniu, że usłyszymy zwykle pochwały króla Muanga, odłożyliśmy rozmowę do wieczora. Doręczyli nam paczkę prochu i gilz do nabojów, znalezione na drodze, a należące do jednego z Manjemów; położyłem je przy mojem krześle, ale już po upływie kil-

ku minut skradł je jakiś muzułmanin, posiadający długie palce.

Wieczorem zaczął Zacharyasz opowiadać mi o zadziwiających wypadkach, jakie zdarzyły się w ostatnim roku. Król Muanga, syn Mtezy, postępował coraz gorzej, aż krajowi Mahometanie połączyli się z chrześcianami, zwanymi *Amazia*, i strącili z tronu okrutnego tyrana, który kazał ścinać ludzi bez litości. Chrześcianie połączyli się z Mahometanami nie tylko dlatego, że Muanga ścinał także i chrześcian, ale że wogóle w ostatnich czasach postanowił wytępić ich zupełnie. Kazał on na wyspę zawieźć wielką liczbę kóz, a następnie wezwał chrześcian, aby wsiedli na łodzie i kozy owe chwyтали. Gdyby chrześcianie usłuchali wezwania i na wyspę wylądowali, Muanga byłby zabrał im łodzie i zagłodził ich na wyspie, kiedyby zjedli już kozy. Ale jeden z paziów zdradził plan jego i naczelników chrześcian przestrzegł o zamiarze króla. Odmówili więc jego wezwaniu.

Połączenie obu stronnictw w królestwie Uganda wydało owoce dobre. Muanga opierał się przez czas jakiś, ale ostatecznie, kiedy zdobyto dwie stolice: Rubaga i Ulagalla, musiał kraj opuścić. Pojechał na łodziach na południowy koniec jeziora Wiktorya i schronił się u Saída ben Saifa, *alias* Kipandy, handlarza, a mojego dawnego przyjaciela z r. 1871, który osiedlił się w Uzukuma. Arab Saíd obchodził się jednakże ze zdetronizowanym królem tak źle, że tenże umknął pokryjomu do francuzkich misyonarzy w Bukumbi. Dawniej misyonarzy tak angielskich, jak i francuzkich Muanga wypędził z Ugandy i obdarł ich do szczytu, nawet ze wszystkich sukien. Francuzi osiedlili się wówczas w Rukumbi, a Anglicy w Makolo w Uzambiro, na krańcu południowym jeziora Wiktorya.

Po usunięciu się Muangi, zwycięzcy muzułmanie i chrześcianie wybrali na króla Kiwewę. Przez czas jakiś było

wszystko dobrze, aż naraz wykryto, że mahometanie starali się usposobić nowego króla nieprzyjaźnie dla chrześcian. Mahometanie rozszerzali pogłoskę, że ponieważ w Anglii rządzi królowa, więc chrześcianie mają również zamiar osadzić na tronie Kiwewy jedną z córek Mtezy. Wskutek tego król oparł się na mahometanach, ale ci ostatni oświadczyli królowi, że tak długo nie będą pewni, iż król szczerze wyznaje mahometanizm, poki nie da się obrzezać. Król nie chciał zgodzić się na to, więc mahometanie postanowili ceremonii tej dokonać przemocą i w tym celu wybrali 12 *Watongoli* (pułkowników). Pomiedzy tymi pułkownikami znajdował się także i mój przyjaciel Sabađu. Ale Kiwewa, dowiedziawszy się o wszystkim, dom swój obsadził zbrojnymi, a ci wymordowali wszystkich pułkowników, gdy tylko weszli do domu. Wiadomość o tem rozeszła się po stolicy piorunem; pałac otoczono a wśród wałki Kiwewę schwymano i zamordowano.

Buntownicy osadzili następnie na tronie brata Kiwewy i Muangi, Karemę i ten jest jeszcze królem.

Chrześcianie kilkakrotnie uderzali na wojsko Karemy i sprawy swojej bronili dzielnie, ale w czwartej bitwie ponieśli klęskę, poczem pozostali przy życiu uciekli do Ankori, aby szukać schronienia u Antarięgo, który, zdaniem ich, potrzebował takiej gromady wojowników w swoich różnych wojnach z Mpororo i Ruanda. Obecnie mieszka około 2000 chrześcian w stolicy Ankori, również zaś około 2000 w rozproszeniu w Uddu.

Kiedy chrześcianie w Uddu dowiedzieli się, że Muanga został chrześcianinem i przyjął chrzest św. w czasie pobytu u misjonarzy w Bukumbi, ofiarowali mu się na poddanych, poczem on przybył w towarzystwie handlarza angielskiego Stokesa do Uddu, aby ich zobaczyć; ponieważ; atoli był za słaby, aby dawny tron odzyskać, zajął małą wyspę w pobliżu zatoki Murchison, gdzie przebywa jesz



cze z 250 wojownikami, uzbrojonymi w oszczepy, zaś Stokes, jak mówią, powrócił do Zanzibaru, aby wymienić tam kość słoniową na karabiny i amunicję dla Muangi. Łąd stały Ugandy uznaje obecnie Kareme, wyspy zaś Muangę, który rozporządza nadto całą flotyllą Ugandy, składającą się z kilkuset kanoe.

Moi goście opowiadali, że przybyli do mnie dlatego, że słyszeli w stolicy o zjawieniu się białych, a współplemieńcy kazali ich prosić mnie o pomoc, aby Muanga mógł odzyskać tron Ugandy.

Ponieważ król ten wskutek swoich wybryków i barbarzyńskiego mordowania chrześcian był głośnym i był nadto winien, że biskup Hannington wraz z 60 biednymi towarzyszami zanzibarskimi został zamordowany przez Lubę z Uzogi, nie mogłem wierzyć w istotne nawrócenie się i skruchę Muangi, chociaż opowiadanie Zacharyasza i Samuela było jasne i niezawodnie prawdziwe. Znałem zanadto dobrze dwulicowość oszukańczych Wagandów i ich zręczność w udawaniu, abym wmieszał się w proponowane awantury; ale gdybym nawet chciał podjąć się misji przywrócenia Muangi na tron, to stał mi w tem na przeszkodzie niespełniony jeszcze obowiązek doprowadzenia baszy, Casatiego i Egipcyan do morza. Ale niełatwa to rzecz wytłómaczyć Afrykańczykom, dlaczego nie możemy spełnić ich życzeń; a jeżeli natura Wagandów była taka sama, jak w r. 1876, w takim razie byliby oni w stanie uknuć z Antarim intrygę, by pochód nasz powstrzymać. Odpowiedziałem zatem Zacharyaszowi i Samuelowi, że zastanowię się nad tą sprawą i dam im stanowczą odpowiedź w pobliżu Nilu Aleksandra, gdzie będą dostateczne zapasy żywności dla ludzi, którychbym dla zadośćuczynienia ich życzeniom musiał pozostawić; byłoby zatem dobrze, aby oni powrócili do Wagauda, by dowiedzieć się, gdzie znajduje się obecnie Muanga i czy nie ma wiadomości od p. Stokesa.

W Katara zmarł Mohammed Cher, oficer egipski. Chory Abdul Wahid Effendi wolaz pozostać w Kitega, zaś Ibrahim Telbass po wymarszu z Kitega znikł ze swoimi towarzyszami w wysokiej trawie, prawdopodobnie dlatego, aby pozostać przy którymś rodaku.

Ludzie nasi odzyskiwali zwolna zdrowie po febrze.

Teraz dopiero po przekroczeniu łańcucha gór Denny, mgła ustąpiła i mogliśmy widzieć na odległość 8 km. Ale widok pastwisk Ankori nie był wcale nęcący, ponieważ było to już prawie w połowie pory suchej. Wszystkie wzgórza i równiny były już pokryte trawą dojrzałą zupełnie dla ognia. Liczba stad była wielka, a bydło tak tłuste, jakby pasterze ubiegali się o nagrodę. W dolinie pomiędzy górami Denny a Iwanda widzieliśmy przeszło 4,000 sztuk bydła o długich rogach. W kotlinie Ruizi, tworzącej serce Ankori, było kilka tuzinów stad.

D. 11 lipca obozowaliśmy w Wamaganga, której to wsi mieszkańcy składają się z pasterzy W atuzi i rolników Wanjankori. Reprezentowali oni obie klasy, z których składa się ludność Ankori, i nie tylko te dwie, ale wszystkie plemiona okolic leśnych, krajów nad Ituri aż do Unjanjembe i od zachodnich brzegów jeziora Wiktorya aż do Tanganika. Kobiety Watuzów nosiły naszyjniki z talerzyków miedzianych, zaś naramienniki z żelaznych. Mówili nareczem Unjoro, ale z pewną odmianą; w słowniku swoim mieli osobny wyraz dla uczucia wdzięczności: *Kazingi*.

D. 12-go lipca przekroczyliśmy moczar, gdzie zginęło nam 24 sztuk bydła. W godzinę później rozbiliśmy obóz w osadzie Kazari.

Matka króla przysłała nam tu cztery, a król trzy sztuki bydła, tudzież wspaniałe kiel słońiowy wraz z wyrażeniem nadziei, że zechcę zawrzeć z nim braterstwo krwi. Pomiędzy posłami znajdował się także książę krwi z Uzongora, syn króla Njika, pochodzenia tak czysto etiopskiego,

jakie tylko wyobrazić sobie można. Posłowie mieli polecenie towarzyszyć nam z wszelkimi honorami i w drodze starać się o gościnność dla nas.

Chociaż jest to rzecz bardzo tania być gościem potężnego króla afrykańskiego, to przecież ma to także i strony ciemne, ponieważ poddani bywają niezadowoleni z nakładania na nich nadmiernych podatków. Naprzykrzają się więc nam ustawicznie skargami, a także i nasi ludzie, ośmieleni danemi im przyrzeczeniami, biorą więcej, niż im się należy. Zabierali Wanjankorom mleko; uważają tu także za zbrodnię, gdy kto, pijąc mleko, naczynia ustami dotyka, bo ma to sprowadzać zarazę na bydło. Z tego powodu mieliśmy tu wiele sporów z pasterzami.

D. 14 lipca przybyliśmy do Njamatoso, wielkiej i zamężnej osady u podnóża gór Ruamparo. Z powodu wielkiej obfitości bananów w okolicy, kazałem przygotować zapas mąki z nich na 7 dni.

Na południowy zachód stąd leży Mpororo, którą Antari zdobył przed kilku laty i po wielu krwawych walkach zmusił tamtejszego króla do opłaty haraczu. Niedaleko leży Ruanda, gdzie rządzi król Kigeri. Ludność tego kraju ma być bardzo wojownicza i nie pozwala obcym na wejście w swoje granice, a gdyby już kto wszedł, tego nie chcą wypuścić.

Jeden z naszych oficerów załił się bardzo na Wanjankorów; opowiadanie jego może służyć za dowód, jak często drobna przyczyna wywołuje zły sąd o całej rasie.

— Wczoraj—mówił on—było bardzo gorącą, tak że dałbym wszystko za trochę zimnej wody. Poszedłem zatem do owej małej wioski i człowieka, który stał na progu swojej chaty i patrzył na mnie bezwstydnie, prosiłem o wodę do picia. Sądzi pan, że dał mi jej? Pokazał na błoto oszczepem, jakby chciał powiedzieć: „Oto woda, bierz, jeśli chcesz.” Jakżeż więc możesz pan uważać tych

ludzi za dobrych? Nie rozumiem, z kąd nabrałeś pan takiego o nich przekonania. Czyż to się godzi odmawiać komu wody do picia? Gdyby ten człowiek otrzymał, na co zasłużył—ale na co się przyda mówić o tem.

— Mój panie kochany—odparłem—bądź trochę cierpliwy, a ja przytoczę panu inne zdanie o tym człowieku. Zgubiłeś pan swoje zwierciadelko? W takim razie pożyczę panu swojego, a pan przyjrząwszy się w nim, ujrzysz twarz wcale niemilą, nieogoloną, wychudłą i chorobliwą. Oczy pańskie są mniejsze niż kiedykolwiek, bez blasku. Ubrany pan jeseś w strzępy. W Londynie zachwycalem się pańską powierzchownością, Adonis był niczem wobec pana, a teraz! Daruj pan, ale my wszyscy wyglądamy wcale nieszczególnie. A cóż dopiero pan, chory na febrę; proszę, przypatrz się pan w lustrze, a przekonasz się pan sam. Krajowiec ów widział, jak taki to właśnie człowiek zbliżał się do niego. Jakże się go pan pytałeś? Czy uśmiechnął się pan w właściwy panu miły sposób, któryby nawet bawołu powstrzymał od ataku? Wątpię. Byłeś pan znużony, zgorączkowany, spragniony, rzekłeś tonem rozkazującym. „Daj mi wody”, a pańskie ruchy dodały: „Natyomiast, albo...” Dlaczegoż, on, człowiek wolny, miał na własnym progu słuchać takiego rozkazu? Nie znał pana, a sądząc z pańskiego wyglądu, wnosił zapewne, że to rzecz niezbyt miła wchodzić w bliższe stosunki z panem. Aby pana zawstydzić, opowiem panu, co zdarzyło się wczoraj pańskiemu przyjacielowi. Być może, że człowiek, o którym będę mówił, jest bratem albo krewnym tego, który gniew pański wywołał.

Ten drugi oficer dostał ataku febry, zachwiał się i padł w trawę. Komendant straży tylnej przeszedł obok, nie przeczuwając, że chory kolega, nieprzytomny, leży w trawie. Wkrótce potem nadszedł krajowiec, uzbrojony w dźbę, łuk i strzały i widział, że coś leży w trawie.

Gdyby był zwierzęciem, byłby w pierś chorego wbił swoją dziędę, a my stracilibyśmy znów jednego z naszych. A tymczasem, słuchaj pan—człowiek ten nie słyszał nigdy historii miłosiernego Samarytanina, a przecież odszedł i za pół godziny przyniósł chłodnego mleka, napoił niem chorego, wskutek czego nasz przyjaciel odzyskał po chwili siły i mógł pójść za nami. Krajowiec ów nie jest członkiem Towarzystwa Czerwonego krzyża, nie słuchał nauk o miłosierdziu; nie postąpił przecież tak, jak ów misjonarz angielski, który oficerowi holenderskiemu odmówił wody do picia, i dlatego plemię, które może poszczycić się choćby tylko takim jedynym przykładem miłosierdzia, zasługuje na miano dobrej rasy.

A prócz tego pamiętaj pan o gościnności, jakiej od nich doznajemy. Tysiąc ludzi zabiera im, nic za to nie płacąc, produkta z plantacji i pół. banany, fasolę, słodkie kartofle, tytoń; droga jest wolna bez wszelkich opłat. A skąd pan wiesz, czy człowiek ten przed pańskim przybyciem nie był czem podrażniony? Może ludzie nasi obrazili go, dom mu splądrowali, rodzinie jego grozili, zanim pan przyszedł. Sprobuj pan raz jeszcze. Idź do którejkolwiek wsi w okolicy, poproś z uśmiechem o mleko, masło lub tytoń, a zaręczam, że panu nie odmówią.

Nie zapominaj pan także o tem, że Antari zdobył ten kraj dopiero niedawno. Jak słyszę, mieszkającym w okolicy naczelnikiem król porwał 40 żon i rozdał je jako podarek swoim dzielnym wojownikom; najwybitniejszych naczelników następnie wymordowano; nie dziwię się zatem, że krajowcy są rozgoryczeni, skoro król nakłada na nich taki podatek, jak zaopatrywanie w żywność tak dużej karawany, jak nasza. Przyjrzyj się pan postępowaniu wystanników królewskich, a zobaczysz, jacy to tyrani, jacy dumni, a to nie zwiększa wcale szacunku dla nas.<sup>4</sup>

D. 21 lipca poszliśmy dalej drogą, równoległą do doliny Namiandja.

Wychodząc z tej doliny, straż tylna została zaczepiona przez nieprzyjacznych krajowców, którzy wśród okrzyków wojennych z podniesionymi oszczepami dwa razy szli do ataku. Przy trzecim ataku zaczęli strzelać z łuku i rzucać oszczepy, w przekonaniu, że straż tylna przerazi się ich liczbą, ale kiedy komendant straży tylnej kazał dać kilka strzałów, krajowcy umknęli na wzgórze.

Tuż za strażą tylną, tak że ta nie wiedziała, szedł Utszunku, następca tronu z Ankori, z oddziałem zbrojnych w oszczepy, wraz z drugą deputacją chrześcian z Wagan-da. Księżę szedł na rozkaz ojca do naszego obozu, aby zawrzeć ze mną braterstwo krwi. Słyszając strzały, spytał o ich przyczynę; pasterze Wabuma opowiedzieli mu o wszystkim, poczem on wysłał swój oddział, celem ścigania napastników. Oddział ten zabił dwóch Wanjankorów, a 20 rozbroił.

O godz. 2 książe Utszunku przybył do wsi Wiaruha i prosił zaraz o rozmowę ze mną. Był to chłopak liczący lat 13 do 14, miły, łagodny, prawdziwy Mhuma o rysach abissyńskich. Towarzyszył mu oficer, dowodzący zbrojnymi w karabiny i oszczepy. Przypędził nam dwa woły, z których jeden posiadał tak olbrzymie rogi, że nie mógł chodzić. Wymieniwszy zapewnienia przyjaźni, oglądaliśmy wszystko, co było godnem widzenia w obozie, poczem umówiliśmy się, aby ceremonię odbyć zaraz nazajutrz.

D. 22 lipca ceremonia odbyła się z wielką uroczystością. Zanzibarczy, Sudańczycy i Manjemowie stanęli pod bronią i przywitani księcia kilku salwami; wytoczono także armatę Maxima.

Obrzęd braterstwa krwi rozpoczął się od rozłożenia dywana perskiego, na którym książe i ja usiedliśmy, skrzyżowawszy nogi i chwytając lewe ręce w poprzek kolau.

Następnie wystąpili profesorowie; zrobili oni na lewem ramieniu księcia i mojem wcięcie, położyli na liście, służące za talerze, trochę masła, zmieszali je z krwią z naszych ramion, poczem mieszaniną tą potarli nasze czoła. Ceremonia nie była zatem tak wstrętna, jak u plemion nad Kongo. Następnie księżę, obecnie brat mój, wziął mnie za rękę i zaprowadził do mojej chaty, gdzie musieliśmy uśmiechać się i wyglądać wesoło. Rozweseliłem jego młode serce kilku kawałkami cienkiego sukua kairskiego i naszyjnikiem z pięknych wielkich pereł, który podobał się bardzo kobietom egipskim i baszy, i zjadłem sobie tem odrazu jego życzliwość. Opiekun księcia, ów oficer, otrzymał krowę, a jego oddział wołu, celem urzędzenia uczy, poczem księżę darował naszemu profesorowi kozę, ponieważ urząd ten jest tutaj, tak samo, jak nad Kongo, w wielkiem poszanowaniu.

Następnie strzelcy dali pięć salw ku wielkiej uciesze chłopca, którego grad kul, wyrzucany przez armatkę Maxima, wprawiał w wielki zachwyt, przyczem zatykał sobie ręką usta, aby radości swojej nie wyrażać krzykiem.

Byłem teraz publicznie uznany za syna Antariego i uzyskałem pozwolenie na dowolny marsz po całym terytorjum Ankori, tudzież prawo osiedlania się i wchodzenia do każdej plantacyi. Prócz tego księżę przysięgł w imieniu ojca, który mu to polecił, że na przyszłość wszyscy biali, którzyby chcieli przybyć do Ankori, muszą posiadać rekomendacyę odemnie i w takim razie doznają tu tak życzliwego przyjęcia, jak ja sam. Wyję—to tylko woły, krowy i broń, stanowiące własność prywatną, którą król mógł rozporządzać tylko wówczas, kiedyby należały do zbrodniarzy.

Jak wspominałem, w towarzystwie księcia znajdowała się druga deputacya chrześcian Waganda. Rezultat

mojej rozmowy z nią spisałem w moim pamiętniku, jak następuje:

Kiedy poraz pierwszy słyszałem o wypędzeniu misyonarzy z Uganda, obawiałem się, czy nie działali bez zastanowienia; ale nawróceni dali im wyborne świadectwo i powtarzali mi wiele z dobrych nauk, danych im przez p. Mackaya, a co wszystko jest dowodem, że misjonarze trzymali się zdala od polityki kraju, chociaż jarzmo Muangi ciążyło im bardzo. Od czasu stworzenia misyi wydano na jej utrzymanie około 50,000 funtów sterlingów; gdyby historia jej została spisana zgodnie z prawdą, zawierałoby bardzo cenne wskazówki dla zainteresowanych w misyi. Tragiczna śmierć Smitha, O'Neila, Penrosego, biskupa Hanningtona, śmiertelne choroby, które, jak mi opowiadali dr. Smith i Zacharyasz, powaliły jeszcze dwóch mężów, a jednym z nich był Bishop, prawie bezowocny pobyt Wilsona, Pearsona i Felkina, świetne rezultaty pracy Mackaya, pilność i poświęcenie się Ashego i Gordona. Historii trudów, powodzenia i niepowodzenia tych panów nie można pisać bez wytłomaczenia przyczyn, które jednych doprowadzały do tryumfów, jeżeli byli roztropni, podczas gdy brak przeczności doprowadzał do zguby.

Przypuśćmy, że z 4,000 czy 5,000 nawróconych, którzy, wedle opowiadania Zacharyasza i Samuela, znajdują się obecnie w Ankori i Uddu, 2000 zawdzięczać należy usiłowaniom p. Mackaya i jego czcigodnych towarzyszy, naówczas nawrócenie jednego krajowca kosztowałoby 25 funtów sterlingów.

Nie należę do tych, którzy na wypadek niepowodzenia wołają zawsze o pomoc do rządu, owszem zwróciłbym się do tych, którzy mogą oddać trochę ze swego wielkiego bogactwa, do tych, którzy mówią do mnie, że najprzód myśleć muszą o ojczyźnie i odpowiadają słowy rozumnej ko-



biety: „Tak, panie, ale psy wyszukują okruchów, ze stołów swoich panów spadających.”

Owoce misyi nad Njanza okazały się w ofiarach nawróconych, w ich zdecydowanym oporze przeciw tyranowi i w złożeniu go z tronu. Czytałem gdzieś, że nie można chwalić prowadzących wojnę tak długo, póki nie dowiodą, że potrafią utrzymać się. Jeżeli to prawda, naówczas chrześcianie z Waganda dowiedli, że owoce misyi są dobre. Misyjonarze byli zmuszeni kopać głęboko, ale następnie latorośl szybko wyrosła. Po długich latach daremnej i mało obiecującej pracy nawróceni ugrupowali się dobrowolnie około kościoła w Afryce podrównikowej; książęta i poddani, naczelnicy i wojownicy śpieszyli uczyć się religii chrześcijańskiej, sztuki czytania i pisania, aby osiąść książki, drukowane w ich własnym języku, a opowiadające o Zbawicielu i jego cierpieniach dla ludzkości.

Postępy tej religii obudziły zaniepokojenie Mahometan i ich miejscowych zwolenników, ale dopiero po śmierci Mtezy odważyli się knuć plany, zmierzające do zabicia tego rozwoju. Objęcie tronu przez młodocianego księcia, zbrodnie i wyuzdanie, dały im w rękę środki, przy których pomocy chrześcianie mogli być wygubieni, a Muzułmani, powodowani niską, podłą chytrą i złośliwością, nie wahali się korzystać ze sposobności. Młody król patrzył źle na białych mimo to, że u wszystkich warstw ludności zjednali sobie dobrą opinię; jego zbałamuconym oczom misyonarze przedstawiali się, jako ludzie, którzy sprzyśnęli się, celem podkopania jego władzy, celem zajęcia całego Uganda. Rozmaite wyprawy, które, o czem każdy wiedział, krążyły po kraju, to w ziemi Massai, to w Uzoga, to znów w Uzukuma i Unjamwezi, wojna na wybrzeżu pomiędzy sułtanem Bargaszem a Niemcami, obecność okrętów wojennych w Zanzibarze, rozrzucone na wybrzeżu małe kolonie niemieckie — w jakim celu działo

się to wszystko, jeżeli nie dlatego, aby zdobyć całą Afrykę? Z tej to przyczyny rozkazem palenia i mordowania rozpoczęto epokę prześladowania; ztąd to poszło *auto da fé* w Uganda, zamordowanie biskupa Hanningtona, wymordowanie karawany w Uzoga, zmora, wisząca ustawicznie nad głową wiernego, cierpliwego Mackaya i zagrożone stanowisko misyj. Kiedy chrześciance rozproszeni byli po swoich kryjówkach, a zazdrość Muzułmanów ostygła, młody król zamienił się w nieznośnego despotę i człowieka, który mordował wszystkich bez różnicy. Wiele wybitnych osobistości w jego kraju padło ofiarą jego podejrzliwości, i na rozkaz jego zostali albo osmagani, albo zaduszeni. Nadeszła więc chwila, w której Mahometanie w obawie o własne życie prosili chrześciance o pomoc, poczem zmuszono tyrana do ucieczki z kraju, aby w podróżach nad jeziorach uczuć skruchę i w końcu chrzest przyjąć. \*)

---

\*) Z listu p. Stokesa, datowanego d. 21 listopada r. 1889 z Bukumbi na południowym krańcu Jeziora Wiktorya, widząc, że przybył szczęśliwie do wyspy Muangi. Przybywszy tam, przekonał się, że stan rzeczy jest wprawdzie pomyślny, ale żywności mało, a w obozie zagnieżdżyły się choroby. Postanowił on przedsięwziąć śmiały pochód przeciw stolicy i w tym celu wezwał naczelnika chrześciance w Uddu, aby wyruszyli z pomocą łądem. Kiedy ostatni byli odlegli od stolicy tylko o jeden dzień marszu, zostali napadnięci i już znajdowali się w wielkim niebezpieczeństwie, kiedy nadszedł im z pomocą p. Stokes, Muanga i jego wierni, poczem Karema i jego stronnictwo mahometańskie zostali pobici. D. 4 października w pobliżu stolicy Rubaga odbyła się druga bitwa, w której Karema i jego arabscy sprzymierzeńcy zostali zmuszeni do ucieczki, poczem d. 5 października Muanga i jego biały przyjaciel wkroczyli do stolicy. Karema wraz ze sprzymierzeńcami arabskimi szukał schronienia w Unjoro, ale Kabba Rega odmówił mu wstępu, jeżeli nie rozłączy się z arabami. Był zatem zmuszony zająć stanowisko w pobliżu północnej granicy Uganda, gdzie, wedle ostatnich wiadomości, znajdował się z 500 strzelcami. W ten to sposób kończy się romantyczna historia czasów obecnych. Muanga jest obecnie znów na swoim tronie, a misjonarze angielscy i francuscy osiedlili się w Uganda

Odpowiedziałem Zacharyaszowi i Samuelowi, że niepodobna opuścić tych, którzy zostali powierzeni mojej pieczy, i że dlatego najlepiej będzie, gdy zaufają pp. Stokesowi i Mackayowi; kiedy widzieli, że jestem zdecydowany maszerować dalej, pięciu chrześcian prosiło mnie o pozwolenie towarzyszenia mi do wybrzeża, na co zgodziłem się chętnie.

D. 24 lipca przybyliśmy do osady Mavona. Była tu obfitość grochu, fasoli, tomatów, słodkich kartofli, manioku, ogórków, roślin jajowatych, fig i bananów.

Nazajutrz przybyliśmy do doliny Nilu Aleksandra. O tej porze roku kraj ten wygląda wstrętnie, niema tu pól uprawnych, a wszystkie wzgórza i doliny zamienił ogień w pola czarnego popiołu.

Przez dzień 26 i 27 lipca przeprowaliśmy się łodzią przez rzekę, poczem odprawiliśmy naszych towarzyszków z Ankori, dawszy poprzednio Antariemu i każdemu z naszych przyjaciół podarki, za które nam gorąco dziękowano.

Nil Aleksandra miał w tem miejscu około 115 m. szerokości, a przeciętnie 3 m. głębokości, prąd zaś wody jego płynął z szybkością 3 węzłów na godzinę.

## ROZDZIAŁ XXIX.

Obok karłów, Wahuma są najbardziej zajmującym ple-  
mieniem w Afryce środkowej. Niektórzy filologowie na-  
zwali ich zbiorowo *Bantu*, a każdy podróżnik, który chce  
być zrozumianym przez ludzi wykształconych, przyczynia  
się do utrwalenia tej wcale nie naukowej nazwy. *Bantu*  
jest to wyraz afrykański, a znaczy tyle, co „człowiek”;  
a zatem nazwą tą starają się przekonać nas, że tak karły,  
jak Wahuma, są ludzmi.

Wahuma są przeciwieństwem karłów. Ci ostatni są  
koczownikami i zwyczaje swoje zastosowali do życia w le-  
sie; pierwsi są ludźmi o pięknych kształtach, prawie euro-  
pejskich rysach twarzy i przywykli tylko do życia na tery-  
toryach pastwiskowych. Zamieńmy ich mieszkania, a lu-  
dzie ci skarłowacieją i wymrą. Weźmy karłów z ich  
kryjówek i wiecznego zmroku w lesie, odbierzmy im po-  
żywienie roślinne, przewieśmy ich do kraju otwartego, wy-  
stawionego na wiatr i działanie słońca, karmmy, ile się  
tylko da, mięsem, zbożem i mlekiem, a będą marzli na zi-

nie, mięso odrzuca i pomrą. I przeciwnie, przenieśmy Wahumów do lasu, dajmy im najlepsze jarzyny i zawsze podostatkiem jada, a będą się czuli przygnębionymi, ich piękna brunatno czarna barwa skóry zamieni się w popielato-szarą, dumna, wyprostowana postawa zniknie, a w końcu wymrą z rozpaczy i znużenia. A przecież te dwa przeciwieństwa ludzi zowią *Bantu*, czyli ludzie, wyrazem bez znaczenia, a tak starym, jak historia stworzenia.

Wahuma są prawdziwymi potomkami plemion semickich, czyli gmin, które wyemigrowały z Azji przez morze Czerwone i osiedliły się nad wybrzeżem, i na wyżynach Abissynii, zwanych niegdyś Etyopią. Z tego wielkiego centrum pochodzi więcej, niż trzecia część mieszkańców Afryki środkowej. Kiedy plemiona te posunęły się dalej na południe i zwyciężyły murzynów, powstało pomieszanie się ras; krew semicka zanieczyściła się krwią murzyńską, plemiona mieszanców przez małżeństwa zmieszały się znów z rasą pierwotną, wyrodziły się z tego powodu jeszcze bardziej w rysach twarzy i postawie i po upływie wieków zatraciły prawie zupełnie ślad pochodzenia od ludów semickich. Jeżeli podróżnik pamięta o tym fakcie i badania swoje rozpocznie od przylądka Dobrej Nadziei, idąc na północ, będzie mógł łatwo odróżnić plemiona mniej zwyrodniałe od tych, które do prawdziwego typu murzyńskiego zbliżyły się tak bardzo, że można zaliczyć je do murzynów. Wszystkie posiadają włosy kędzierzawe, welniste, ale i pod tym względem są wielkie różnice, od włosów tak grubych, jak sierść końska, do tak cienkich, jak jedwab. Ale pozostawimy na uboczu badanie włosów; a zwrócimy się do rozległych badań kaukaskich rysów twarzy pośród murzynów. Weźmy z pośród Kaffrów, Zulusów, Matebele, Bazuto, Betszuanów i innych dzikich plemion Afryki środkowej zwykle indywiduum z tych wspaniale rozwiniętych plemion, tak nielitościwie nazwanych murzynami, po-

stawmy ich obok Afrykańczyków zachodnich, obok mieszkańców z nad Kongo, albo okolic Gabunu, i wsuńmy pomiędzy nich Hindusa, a zauważymy zaraz, że Kaffer, pod względem rysów twarzy, jest zlanieciem się typów: wschodnio-indyjskiego z zachodnio-afrykańskim. Zbliżenie się do Indyan wschodnich występuje jeszcze bardziej, kiedy przyjrzymy się dorosłemu Mhumie.

Idąc przez rzekę Zambezi do działu wód Kongo i Loangwa, zauważamy u plemion zupełne pomieszanie typów, które można klasyfikować, jako plemię pośrednie pomiędzy Afrykańczykami zachodnimi a Kafframi; są one jednakże lepsze od pierwszych, a nie rozwinięte tak normalnie, jak Kaffrowie. Typ ten obejmuje: Babizów, Barua, Batunda, plemiona, zamieszkałe w terytorjum Kongo, zaś na wschód Watszunga, Wafipa, Wakawendi, Wakonongo, Wanjamwezi i Wassukuma. U tych krajowców uderza czasem wielkie podobieństwo mieszkańców niektórych małych wiosek do najpiękniejszych Zulusów, a w pobliżu wschodniego terytorjum Kongo widać murzyńskich Afrykańczyków zachodnich, reprodukowanych w Waiau'ach, Wazagara, Wangiudo, i czarnych w Zanzibarze. Wracając od wybrzeża wschodniego do wyżyn, graniczących z jeziorem Tanganika, idąc dalej na północ do Udjidji, znajdujemy typ ten poprawny pod względem postawy i rysów. Z Udjidji dochodzi się do Urundi, gdzie zauważyć można rasę znów poprawniejszą. Idąc dalej przez kilka dni na wschód, dochodzimy do Uhha, do braci bliźniaków Zulusów, postaci wysokich, wojowniczych, o kaukaskich głowach i rysach twarzy, zabarwionej zupełnie na ciemno; idąc jeszcze na wschód do mieszkańców czystych murzynów z typem Kaffrów ze starego Ukalaganza, zwanego obecnie Uzumbwa, znajdujemy tam pasterzy wysokich, mitych, o rysach kaukaskich, ale ciemnych.

Pytajmy go, czem jest, odpowiada, że zatrudnieniem

jego jest wypasanie bydła; jest on Mtuziz z plemienia Watuzi.

— Czy jest kraj, zwany Utuzi?

— Nie—odpowiada—ale przybył z północy.

Dalej na północ idziemy wzdłuż pastwisk i przybywamy do doliny Nilu. Wyżyna ta obejmuje kraje: Ruanda, Karagwe, Mpororo, Ankori, Ihangiro, Uhaija i Uzongora, a wszystkie plemiona, kraje te zamieszkujące, posiadają bydło, ale nie wszyscy mieszkańcy są pasterzami, gdyż niektórzy trudnią się rolnictwem.

W podróżach po tych krainach uderza fakt, że wszyscy rolnicy tamtejsi podobni są do owego Mtuziego, który północ wskazywał jako swą pierwotną ojczyznę, tudzież, że rysy twarzy tych rolników są murzyńskie. Dowiadujemy się dalej, że pasterze traktują rolników z taką samą pogardą, jak subiekt wielkomijskiego handlu zwykłego robotnika wiejskiego.

Idąc jeszcze dalej na północ, spotykamy olbrzymi, śniegiem pokryty łańcuch gór, tworzący nieprzekraczalną baryerę; dalej na zachodzie znajdujemy ów typ Mtuziego barczasto, często, ponieważ osiadł on wzdłuż podnóża gór aż do lasu, w którym hodowla bydła jest niemożliwa. Tu typ kaukaski ustaje, a typy murzyńskie, o barwie skóry miedzianej, czarnej lub mieszanej, o spłaszczonym nosie, zapadłych policzkach i wystającej brodzie świadczą wymownie, że pochod ras wyższych został tu powstrzymany. Powróciwszy znów na płaskowzgórza, przybywamy do wspaniałych pastwisk w Toro, Uhaijana i Unjoro. Tu widzimy znów pasterzy o rysach delikatnych i ciemno skórych murzynów o płaskich nosach, a trudniących się uprawą roli.

Przeszedłszy góry śnieżne, dostajemy się do doliny rzeki Semliki do dalszych płaskowzgórz, ciągnących się równolegle do Unjoro; i tu żyją razem pasterze i rolnicy. W czasie naszej podróży z Usumbwa pasterze zmieniali swoje nazwy z Watuzi w Wanjambu, na Wahuma, Wai-

ma, Wawitu i Watszwezi, to znaczy, że nazwy te różne otrzymywali głównie od rolników, podczas gdy oni sami, tak w Ankori, jak wśród Baleggów i Bawirów, Uganda i Unjoro nadawali sobie mimo Watuzi, Wahuma i Watszwezi. W Karagwe, Ankori i Uzongora są oni klasą panującą; tak samo współplemieńcy ich w Ihangiro, Uhaija, Uganda i Unjoro mają władzę w swoim ręku, ale ludy tych krajów są mieszaniną Zulusów i plemion zachodnioafrykańskich i trudnią się więcej rolnictwem. Dlaczego plemionom takim, jak Waganda, Uzoga i Wakuri pozwolono rozmnożyć się i urósć w potęgę i bogactwo, przyczyny tego domyślimy się łatwo, patrząc na powierzchnię jeziora Wiktorya. Plemiona wędrowne nie mogły posuwać się tu dalej, poszły zatem na wschód i zachód, pozostawiając w drodze na południe kilku współrodaków, którzy tu swoje charakterystyczne cechy utracili.

Ponieważ wedle tradycyi z Unjoro, Watszwezi przybyli za wschodniego brzegu Nilu Wiktorya, przejdźmy tę rzekę, a przekonamy się, że pomiędzy nami a Abissynią niema poważniejszych przeszkód fizycznych, jak wielkie jeziora i długie łańcuchy gór, któreby powstrzymały prąd wędrujących na południe ludów barbarzyńskich. Dalej zauważymy, że ziemia tu uboga, klimat suchy, pastwiska mało obiecujące, a ludzie trudnią się hodowlą bydła, że rasy, jakie spotykamy w dolinie Kongo i w pobliżu wybrzeża wschodnio-afrykańskiego, zostały rozdzielone przez falę ludów wędrujących na południe. \*)

\*) Mówiąc o czarnych rasach Afryki środkowej, nie należy zapominać, że rozwinęły się one w pięć różnych typów, które można nazwać typami: karłów, murzynów, półetiopskimi, etiopskimi i berberyjskimi czyli maurytańskimi, tudzież, że wśród tych typów znajdujemy pewną liczbę innych, powstałych ze zlania się jednych z drugimi, jak karłów z murzynami, z kąd powstały plemiona, u których wysokość mężczyzny dorosłego wynosi przeciętnie tylko 1'55 metr., murzynów z Arabami, z Omanu, jak na wybrzeżu wschodnim, Etiopów z Arabami, jak na wybrzeżu w okolicy Jub, berberyjczyków z murzynami, jak w Darfurze i Kordofanie, lub jak pasterze nad górnym Nilem i mieszkańcy na wschód od Sierra Leone.



Ten krótki zarys niechaj przygotuje czytelnika do dalszego opisu Wahumów, prawdziwych potomków Etiopów, którzy od 50 wieków szukając pastwisk na wschód i zachód od jeziora Wiktorya rozlewali się po kontynencie afrykańskim i w drodze swojej od zatoki Adenu do Przyładka Dobrej Nadziei, wytwarzały plemiona lepiej rozwinięte i wogóle przyczyniały się do znacznego poprawiania pierwotnych ras afrykańskich.

Dam obraz Wahumów wedle tego, co widziałem u tych, którzy za naczelnika swojego uważają Kavallego.

Patrząc z Kavalli na zachód, widzimy terytorium, obejmujące przeszło 2,500 kilom. kwadr. Chociaż kraj ten jest dosyć gęsto zaludniony, to jednak na pierwszy rzut oka wydaje się tak olbrzymim, że w bezpośrednim pobliżu niełatwo widzi się człowieka. Czemże w porównaniu ze wzgórzami i wielkimi wyżynami kraju były małe grupy chat, o barwie słony.

*Seriba* Kavallego, do której tenże zapędzał w wieczór swoje stado bydła i kóz, leży pośrodku łagodnie spadającego stoku, pokrytego zieloną trawą. Wskutek ustawicznego spasanania przez stada jego i sąsiednich Wahumów, trawa była krótka, tak, że mieliśmy dobry widok i przechadzki po pastwisku, na których na odległość strzału widać było dokładnie wszystko. Znajdowały się tam gniazda mrówek, posiadające 1 do 4 m. wysokości, na które wchodziłi pasterze, by móc dozorować swoich stad bydła, owiec i kóz, podczas gdy gniazda te bliżej wsi były ulubionem miejscem starszych, gdzie ci wraz ze swoimi znajomymi omawiali wypadki dnia. W czasie długich rozmów z Kavallim i jego starszymi poddanymi wglądałem dokładnie w historię okolicznych wsi i plemion; istotnie też trudno było wybrać miejscowość stosowniejszą, ponieważ w około znajdowało się przeszło pół setki dystryktów.

Daleko na zachód wznosiło się Pisgah, wzgórze, królujące nad lasem, ciągnącym się przez setki mil a widoczne na widnokręgu dokładnie aż do drobnych linii, W Pisgah, które dla Kavallego było krańcem świata, ponieważ wszystko, co było po za tem wzgórzem, należało do mytów, wzrok nasz przesunął się na szczyty Kimbezzi i tuż po za niem leżących Pic kuka, następnie na górę Duki, tudzież na leżące poniżej nas równiny Batungwa, o których licznych stadach bydła Kavalli opowiadał nam wiele zajmujących rzeczy, a nie było dla niego tematu więcej zajmującego, jak hodowla bydła. Na południowy zachód wznosił się w kraju Mazamboniego łańcuch gór, trawą porosłych, który zdawał się ciągnąć aż do krańca kotliny, zamkniętej przez jezioro Alberta i graniczące z niem doliny i terassy. Nad zachodnią częścią łańcucha tych gór pauuje Mazamboni, nad wschodnią król Komubi. Równina ciągnąca się od gór aż do Kavalli, zowie się Uzauza i jest zamieszkała przez Bawirów, trudniących się rolnictwem, którzy przybyli pierwotnie z okolicy góry Duki, leżącejw pobliżu Kuka-Pic. Wielka część równiny pomiędzy Kavalli a Kimberri należy do wojowniczego Muziri'ego i jego ludzi.

Opowiedziawszy mi o właściwościach swojego kraju. Kavalli zaczął otwierać swoje serce. Obawia się o swoje życie z powodu Kadongi, sprzymierzeńca Kabby Regi, a ma także nieprzyjaciela w Katonzie. Przed kilku laty posiadał wieś w pobliżu jeziora, gdzie mieszkali jego rybacy; Kadtongo zazdrościł mu pięknej posiadłości, więc wspólnie z Kadoną i opryszkami z Unjoro zaczął go, spalił wieś, wymordował wielu z jego ludzi i porwał prawie wszystko bydło; stało się to jednej nocy. Kavalli umknął do Melindua, lecz po upływie pewnego czasu powrócił, aby żyć wśród Bawirów, gdzie dzięki oszczędności i pomysłnemu handlowi zamiennemu doprowadził do tego,

że obecnie posiada znów 80 sztuk bydła. Ale już mu doniesiono, że Kadongo ma znów zamiar napaść na niego.

Zaledwie Kavalli skończył malowniczy opis swoich nieszczęść, a już Katto, brat i Kalengo, kuzyn Mazamboniego, zaczęli opowiadać o krzywdach, jakie wyrządził im Muziri. Srogi Muziri zamordował jego brata, siostrę, wielu krewnych i przyjaciół; opowiadanie o tem illustrowali gestami, wskazującemi krwiożerczość Muzirego.

Następnie Gawira zaczął opowiadać, jak krzywdzili go Balegga z Mutundu i Muziri. Żalił się, jak zabierali mu bydło Warazura, opryszkowie z Mutundu i Muziri.

— Ach—mówił Gawira—dziś rabują nas Warazura, jutro Muziri, pojutrze Mutundu; codziennie musimy uciekać przed kimś w góry.

Ktoś patrząc na ten cudownie pięknym kraj, nad którym nie widać ani jednej chmurki, i gdzie wszystko tchnie marzeniem i spokojem, nie przypuszczałby, że ta istna Arkadya niepokojona jest napadami, rabunkami i wojną?

Większa część Wahumów, zamieszkałych na zachód od jeziora Alberta, przybyła z Unjoro, z kąd umknęli z powodu tyranii i chciwości tamtejszych królów.

Tak np. stary Rugudji, najbliższy sąsiad Kavallego, którego stado 40 sztuk bydła ocaliliśmy od porwania przez Melindę, urodził się w Unjoro. Pamiętał on jeszcze swego pradziada, który urodził się prawdopodobnie około r. 1760; Rugudji mówił, że miał może 10 lat (w r. 1829), kiedy Tszowambi, ojciec Kamraziego, ojca Kabby Regi, przysłał do jego pradziada po bydło. „Wówczas to Semliki wpadała do wielkich lagunów, zwanych Katera, a laguny te często powstrzymywały Wanjoro w pochodzie do Baleggów, ale teraz są one zamulone, a Semliki wpada do jeziora. Ponieważ Kamrazi chciał ciągle zabierać bydło, a pewnego dnia zabrał mi wszystko, będąc jeszcze młodym człowiekiem przybyłem tutaj z żonami i dziećmi.”

— A czy tu miałeś spokój, Rugudji?

— Patrz, panie, na moje blizny, które przypominają mi Baleggów, Melindua, Muzirego i Warazurów. Bawirowie przybyli z kraju Kuka również tutaj i pytali nas o pozwolenie osiedlenia się tutaj, ale oni mają grube głowy, a kiedyś będziemy mieli kłopoty także i z nimi.

Pastwiska pomiędzy jeziorem Alberta a lasem wskutek ulewy bywają często zalewane.

Liczba bydła, znajdującego się w dystrykcie, jaki widać z Kavalli, wedle mego obliczenia, nie przenosi 4000. Bydło jest mniej więcej tak wielkie, jak angielskie, bez garbów, zupełnie odmienne, aniżeli na południe i wschód od jeziora Wiktorya. Rogi są średnio-długie, ale widać także woły, odznaczające się niezwykłą długością rogów. Za to woły są w grzbiecie dobrze rozwinięte. Bydło z Uzongora i Unjoro należy do rasy, niemającej rogów i garbów, i jest barwy przeważnie płowej, podczas gdy bydło z Ankori posiada rogi niezwykle długie, a kolor różny. Jak mi opowiadano, wypalają tam wołom rogi ogniem, aby mogły swobodniej w gąszcz wchodzić. Właściciele znaczą swoje bydło na uszach.

Kavalli opowiadał mi, że bydło truje się tam nieraz, pasąc się roślinami w miejscu, którego zwykle nie odwiedza. Ale częste spalanie trawy czyni ziola owe nieszkodliwymi. Także równiny w pobliżu jeziora są bardzo niezdrowe dla bydła; w przeciągu dni 15 choroba rozwija się w ten sposób, że mleko zaczyna wysychać, bydlę nie chce jeść i ginie.

Starzy Wahuma posiadają może dobre i skuteczne lekarstwa weterynaryjne, ale trudno opisać je tutaj. Chciałem raz z przeznaczonej dla mnie porcy mleka zrobić masło, pożyczyłem sobie w tym celu maślnicę, którą następnie kazałem moim służącym wmyć; wywołało to jednak straszne oburzenie, ponieważ krajowcy sądzili, że

nalanie wody do tego naczynia zaszkodziłoby bydłu. Tak samo przy jedzeniu nie pozwalano dotykać ustami ani garnka, ani miski, ani wogóle żadnego naczynia, na które nalewano mleko.

Krowy dają tu zamało mleka, stosunkowo do swojej wielkości i wybornych pastwisk. Najlepsza krowa nie daje tu więcej mleka dziennie, jak pół gallona. Chłopy i młodzież Kavallego, dojąc krowy, wiązali jej zawsze tylne nogi i ciele jej przyprowadzali do głowy matki; w jednej ręce trzymali naczynie drewniane, drugą doili tak długo, by trochę mleka zostało dla głodnego cielęcia. Często kozy dawały tyle mleka, co krowy, ale nie zauważyłem nigdy, aby krajowcy dbali o dość duży zapas mleka, jaki mogliby mieć od tych pożytecznych zwierząt.

Chociaż kobiety w tych okolicach, jak każdy inny przedmiot w posiadaniu swoich panów i władzców, zaliczane były do majątku mężczyzn, i przedstawiały wartość 1 do 5 sztuk bydła, były szanowane i posiadały prawa, których niewolno było zaniedbywać bezkarnie. Chociaż ojciec żony otrzymał nawet wiano, to przecież mogła ona powracać do rodziców, jeżeli źle się z nią obchodzono, poczem mąż musiał kupować ją po raz drugi, a ponieważ było posiada wartość, więc musiał powstrzymać wybuchy złego humoru, pominąwszy to, że niewygoda zimnego ogniska domowego i kłopoty gospodarskie bez żony przyczyniały się do tego, że tyran staje się zawsze uległy.

Proszono mnie o wydanie wyroku w sporze, odnoszącym się do zwyczajów matrymonjalnych, a mianowicie pomiędzy Kavallim, jako właścicielem młodej niewolnicy z jednej, a Katonzą, naczelnikiem Wahumów, z drugiej strony. Ostatni chciał wziąć ową dziewczynę za żonę i zgodził się na zapłacenie za nią trzech sztuk bydła; dwie sztuki dał już nawet; Kavalli nie chciał jednak wydać dziewczyny, dopóki Katonza nie uiszczi całej ceny.

Taka była przyczyna sporu. Katonza nie odmawiał zapłaty, ale mówił, że boi się, aby mu nie zatrzymano dziewczyny mimo uiszczenia całej ceny. Wezwałem go zatem, aby trzecią krowę oddał w ręce sądu, poczem dano mu narzeczoną.

Następnie oddał mi Kavalli trzeci spór do rozstrzygnięcia. Posiadał już pięć żon, a teraz chciał pojąć szóstą, którą kupił u plemienia Bugombi. Ale rodzice dziewczyny, tłumacząc się, że o Kavallim słyszeli coś złego, odmówili wydania dziewczyny i zażądali podwójnej zapłaty. Zaproponowałem zatem Kavallemu, by dodał jeszcze krowę z cielęciem, wskutek czego sprawa została załatwiona.

Rozstrzygnięcie trzeciego sporu, który mi powierzono, było dość trudne. Kiedy naczelnik Mpigwa stanął w *Barsach* (sąd), wystąpił jakiś człowiek ze skargą na niego o to, że zatrzymał dwie krowy, do jego plemienia należące. Mpigwa tłumaczył się, że człowiek jakiś ożenił się z dziewczyną z jego (Mpigwy) plemienia i dał za nią dwie krowy; dziewczyna owa odeszła z mężem, z biegiem czasu została matką i powiła mu troje dzieci. Mąż umarł, a plemię jego oskarżyło żonę o to, że czarami spowodowała śmierć męża, poczem odpędzili ją do rodziców. Mpigwa przyjął ją wraz z dziećmi, ale zażądał zwrotu dwóch krów od owego plemienia. To było przedmiotem sporu.

— Czy to słusznie — mówił Mpigwa — żądać zwrotu krów, skoro kobieta ta została matką trojga dzieci tego plemienia i po śmierci męża została wypędzona wraz z dziećmi?

Wyrok mój potwierdził zdanie Mpigwy, ponieważ postępowanie takie było nie tylko ordynarne i bezlitosne ale przyczyniało się nadto do lekceważenia kontraktów małżeńskich.

Kobiety rządziły domem, gospodarstwem mlecznym, i w polu. Obowiązkiem męża jest zbudować dom, paść

bydło, doić krowy, naprawiać ogrodzenie i starać się o ubranie, które, rzecz naturalna, jest bardzo małe. Natomiast żona uprawia pole, robi masło i trudni się handlem. Masło i mleko, tudzież artykuły spożywcze od niej kupować trzeba; taki jest powszechnie zwyczaj w Afryce.

Ubranie mężczyzny składa się przeważnie tylko ze skóry koziej, którą zawieszają na lewym ramieniu; ale można widzieć także skóry antylopy, której brzegi na szerokość 8 do 10 cm. obdzierają z włosów. Kobiety ubierają się w skóry krowie, często pięknie garbowane i zupełnie miękkie. Niewolnice, w braku skóry koziej, noszą naokoło bioder pasek z kory, u której z przodu i z tyłu zwiesza się wąski kawałek kory, albo bardzo mały fartuszek. Dziewczyny aż do wieku, w którym mogą wyjść za mąż, chodzą zupełnie nago, podczas gdy chłopców, powyżej lat 10, trudno spotkać bez skóry jagnięcia. W czasie uroczystości każda kobieta nosi u paska z tyłu pęk liści kukurydzy lub trzciny cukrowej, albo też kawałek liścia bananu.

Szczególnie kochane żony naczelników i znachorki, „lekarki“, mają na równi z naczelnikami prawo noszenia skór tygrysich, a w braku tychże skór kocich lub małpich. Zwyczaj, że skóra lwia lub tygrysia oznacza wysokie dostojęństwo i bogactwo, jest w Afryce dość powszechny. Kiedy obcy wyraża powątpiewanie o godności naczelnika jakiego murzyna, tenże wskazuje na skórę tygrysią i mówi: Czyż mógłbym to nosić, gdybym nie był naczelnikiem?

Kiedy niedawno przeglądałem Wilkinsona „*Ancient Egyptians*“, zauważyłem konserwatywny charakter Afrykańczyków, ponieważ pomiędzy rycinami na stronie 459 zauważyłem stroje, będące w użyciu u Wahumów, Watuziów, Wanjambu, Wahha, Warundów i Wanjawingów, a które nosiły już przed 35 wiekami narody czarne, opłacające haracz Faraonom. Także instrumenta muzyczne,

wyobrażone na stronie 135 i 136, a z których jeden egzemplarz znajduje się w Muzeum brytańskim, widzieliśmy u Baleggów i Wahumów, a w r. 1876-ym u Bazogów. Z oprawy noży, rowków na mieczach i ich kształtu, z trójkątnych ozdób na tynkowanych ścianach domów i na tarczach, z ubrania kory brzoźowej, ze skrzyń, naczyń do gotowania, ich broni, oszczepów, łuków, z ich „Mundus”, które pod względem kształtu podobne są do toporów starych Egipcyan, z łyżek drewnianych i z kości słoniowej, z sandałów, bez której żaden Wahuma chodzić nie umie, z ich zamiłowania do pewnych barw, jak: czerwonej, czarnej i żółtej, z ich koszów, w których noszą dzieci, z fletów, zrobionych z trzciny, z długich lasek, ze sposobu, w jaki jękiem, biciem się w piersi i gestami wyrażają smutek, ze smutnych, melancholijnych pieśni i z setek innych zwyczajów i obyczajów wnoszą, że plemiona krajów pastwiskowych zachowały wiernie dawne zwyczaje egipskie i etyopskie.

Chłopcy mają tam podobne gry w piłki, jak u nas.

Jak starzy nosili garnki, celem zraszania pól, tak Wahuma przynoszą swoim naczelnikom mleko; olej rycynowy i masło służą do smarowania ciała, a szacunek, jaki młodzież w Afryce środkowej okazuje naczelnikom i starcom, jest wiernie przechowany z dawnych czasów. Ponieważ krajowcy pisać nie umieją, nauczyli się tylko tego, co opowiedzieli im starsi, którzy znów od przodków swoich otrzymali w spadku to, co potrzebne im jest do utrzymania życia i różnicy plemiennej. Te ciemne plemiona, zamieszkujące okolice do niedawna nieznane, posiadają zatem zwyczaje, obyczaje i przepisy, którymi odznaczyli się przodkowie tych, co w ciemnych przedhistorycznych czasach Egiptu zbudowali piramidy.

Śladu religii u Wahumów niema. Wierzą mocno w istnienie „złego wpływu“ w postaci mężczyzny, żyjącej-



go w miejscach niezamieszkanym, jak w leśnych parowach ciemnych, albo w rozległych moczarach, sitowiem porośniętych, można go jednakże przebłągać darami; szczęśliwy myśliwy pozostawia mu zatem kawał mięsa, ale rzuca je, jak psu na pożarcie, albo kładzie jaje, mały banan lub skórę z jagnięcia przed drzwiami miniaturowego mieszkania, jakie znaleźć można przed wejściem do każdej *seriby*.

Każdy krajowiec nosi jakiś talizman naokoło tułowia, ramieni lub szyi. Wierzą w złe spojrzenie i prognostyki, ale nie są tak zabobonni, jak Waganda. Boją się czarów, a kto jest podejrzany o czary, tego prędko spotyka kara.

Biedny Gaddo, piękny, wierny chłopak, który p. Jephsonowi towarzyszył w podróży do Mswa, zaraz po powrocie do wsi Kavallego wpadł w podejrzenie, że chciał zaczarować swojego naczelnika, przybył więc do mnie z doniesieniem o niebezpieczeństwie, w jakim się znajduje, poczem doradziłem mu, aby pozostał w naszym obozie aż do naszego wymarszu.

Wkrótce potem starcy udali się z kogutem w miejsce, odległe od obozu o kilkaset metrów, otworzyli tam pierś koguta i jak zauważyliśmy, szeptali coś o tem, co w piersi tej widzieli. Później opowiadano, że sąd potwierdził przypuszczenie o złych względem Kavallego zamiarach Gadda i tem też los jego został zapieczętowany. Ponieważ Gaddo był niewinny, jak dziecię nowonarodzone, posłałem do naczelnika i kazałem mu powiedzieć, że jeżeli by Gaddo'wi stało się coś złego, Kavallego pociągnę za to do odpowiedzialności. Mimo to Gaddo w pobliżu wioski, w której potępiono go publicznie, czuł się tak niebezpiecznym, że próbował uciec do Katonzy, dobiegł już nawet nad brzeg jeziora, lecz, jak mi później powiedziano, spadł tam ze skały i kark skrzył. Przykrym był widok mło-

dej żony, dzieci i siostr, oplakujących śmierć jego; a Kavalli był w tych dniach dziwnie dobry i miły.

Pożywienie Wahumów składa się głównie z mleka. Sprzedaż masła i skór wołów umozębnia im od czasu do czasu kupno słodkich kartofli, prosa i bananów, ale mówią z pewną dumą, że nie są ludźmi „od kopania“. Rośnie tu w okolicy czerwone *sorghum*, żyto indyjskie i kukurydza są tu lichego gatunku. Kukurydzę sadzą w drugiej połowie lutego równocześnie z fasolą; ostatnią można jeść już po dwóch miesiącach, kukurydza dojrzewa w przeciągu czterech miesięcy. Proso sieją we wrześniu, a w lutym jest już dojrzałe. Każda wieś posiada rozległe pola słodkich kartofli, na skrajach gajów bananowych rośnie kolokazya, ale obcy nie lubią tej ostatniej, ponieważ nie umieją jej gotować.

„Malwę“, czyli piwo, robią tu z fermentu prosa i dojrzałych bananów. Ma ono wielki popyt, tak że głównem zatrudnieniem w życiu naczelników jest odwiedzanie przyjaciół w okolicy i wypróznianie ich dzbanów malwy. Na szczęście piwo to nie bardzo upaja i posiada zaledwie tyle mocy, że wywołuje dobry humor.

Klimat tej okolicy jest przyjemny. Można nawet poza domem pracować przez pięć godzin dziennie, nie uczuwając zbyt wielkiego upału, i przez trzy dni w tygodniu od wczesnego ranka aż do zmierzchu pozostawać na wolnem powietrzu, ponieważ horyzont bywa bardzo często zachmurzony. Jeżeli jest on jednakże jasny, wówczas słońce pali tak strasznie, że mieszkańcy szukają schronienia w swoich chłodnych chatach. Wyżej położone części kraju pastwisk, jak Kavalli, góry Balegga i szczyt terytorium Ankori, leżące na wysokości 1375 do 2000 m., a wielkie przestrzenie Toro Unjoro i południowe nawet 3000 metrów ponad powierzchnią morza, byłyby przyjemnym krajem dla kolonistów europejskich, gdyby znalazły

się środki sprowadzenia ich tutaj. Gdyby się to stało, koloniści mieliby miłych, spokojnych i przyjaznych sąsiadów w owej pięknej rasie, której najlepszym typem są Wahuma; nie mieliśmy nigdy kłótai z ludźmi, którzy przypominają żywo rysy charakteru owych ludzi bez skazy, których bogowie uważali niegdyś za godnych tego, by zapraszać ich raz do roku na uczty na górach Etyopii.

---

## ROZDZIAŁ XXX.

---

Jesteśmy obecnie w Karagwe. Opuściwszy wąską dolinę, szliśmy ciągle pod górę, aż rozbiliśmy obóz przy Unjakatera pod górą tegoż nazwiska. Patrząc ze szczytu tej góry w okolice, widzimy tuzin razy powtórzone Karagwe, system głębokich, wąskich dolin, ciągnących się wzdłuż długiego wąskiego grzbietu wzgórz, jak daleko okiem sięgnąć można.

Nazajutrz przybyliśmy do źródeł gorących Mtagata, które opisałem w mojej poprzedniej książce o Afryce.

Wkrótce po przybyciu do obozu, nasi Nubijczycy wyruszyli na polowanie, ponieważ okolica słynęła z nosorożców. Jakoż zabili cztery sztuki tego zwierza i schwytali małego nosorożca.

W czasie marszu do Kirurumo d. 31 lipca Wadi Asmani, jeden z przewodników zanzibarskich, porzucił na drodze karabin i skrzynię i zbiegł, nie mówiąc nikomu ani słowa, i bez przyczyny, chociaż należało mu się wynagrodzenie prawie za 30 miesięcy, a był zdrow i ze wszystkimi żył w przyjaźni.

Kap. Casati był tak chory, że musiano nieść go w hamaku. Basza, przybywszy do mnie, mówił, że Casati jest osobliwszym człowiekiem.

— Przybywam właśnie od mego przyjaciela Casatiego; leżał w trawie, chociaż słońce piekło go w niezakrytą głowę. Ma cztery służące, prócz tego dwóch Manjemów i młodego służącego z naszej prowincyi, ale kiedy spytałem go, dlaczego swoim ludziom nie każe sporządzić sobie dachu z liści bananów, które rosną w odległości zaledwie 40 metrów, odpowiedział: nie mam służby. Spytałem go następnie: czemu nie przysyłasz pan po wannę, którą panu przyrzekłem? Powinieneś pan korzystać tu z gorących źródeł. „Istotnie— odparł — ale nie mam służby”. Ale o ile wiem, ma pan cztery silne służące. „Tak— odpowiedział, — ale nie chcę kazać im co robić, aby nie mówiły, że każę im pracować, jak niewolnicom. To wdowy, jak pan wie, mężowie ich pomarli” itd.

Ponieważ młoda karlica, która była przy nas przeszło pół roku, zaczęła okazywać symptomata choroby chronicznej, przeto musieliśmy pozostawić ją u naczelnika z Kirurumo. Mała istotka oddawała d-rowi Parkemu najniższe usługi, ponieważ swoim łagodnem obejściem się zyskał zupełnie serce karlicy. Strzegła jego namiotu, a kiedy on odszedł z powodu obowiązków służbowych, jak piesek siadała u wejścia i nie pozwoliła nikomu wejść do wnętrza. Prace swoje wykonywała z nadzwyczajną skromnością i była jedyną z całej plci swojej, która nie nadużywała przywilejów, jakich udzielaliśmy kobietom w obozie. W czasie marszu niosła tekę z książkami doktora, a po przybyciu na wypoczynek pracowała pilnie jak mrówka, aby zgromadzić paliwo i przygotować filiżankę herbaty, która służyła doktorowi wybornie do podtrzymania zdrowia. Inny znów oficer miał młodego karła, który nie przemówił słowa do nikogo, prócz do swego pana, i był prawie zawsze pierwszy w obozie, aby zbierać paliwa i rozniecić ogień dla swego pana. Chociaż w drodze dźwigał pakunki, nie widać było u niego znużenia i nigdy nie sprawiał nam

kłopotu. Nieraz, który z grubianów zabrał mu jego paliwo, karzeł spojrział tylko na niego surowo i copędzej zbierał opał na nowo, jakby czas był mu za drogi na to, by tracił go na spory. Dowodzi to, że karłowie mieli w charakterze swoim wiele cennych zalet.

U gorących źródeł Kibbobora, przewodnik Manjemów stracił żonę. Wywołało to u niego taką rozpacz, że musieliśmy powstrzymywać go od samobójstwa. Siedząc samotnie nad przepaścią Mtagata przez 24 godzin, objawiał swój żal wyciem tak głośnem, że nie mogliśmy usnąć w obozie i w ten sposób musieliśmy brać udział w jego rozpaczach. Upłynęło wiele dni, zanim biedak upamiętał się w żalu.

Po dalszych trzech dniach marszu przybyliśmy do osady Kafurro, ulubionego miejsca pobytu handlarzy arabskich.

Jak w Uganda, tak i w Karagwe zaszły zmiany Mteza, z którym zapoznali nas naprzód kapitanowie Speke i Grant, umarł, a po nim w przeciągu 3 lat tron jego zajmowali Muanga, Kiwewa, Karema i znów Muanga. Spokojny poganin Rumanika, charakterystyczny Mhuma, umarł również, aby spoczywać tylko trochę spokojniej, niż żył. Po nim nastąpił jego syn najstarszy Kjenzi, który panował tylko dziewięć miesięcy; tron po nim objął przemocą drugi syn Kakoko, który w czasie trzyletniego panowania zamordował 17 braci, a najmłodszemu bratu Lujumbie wyklął oczy. Następnie panował Kaczikondju, aż w chwili, kiedy spał, opity malwą, napadł go Kakoko, dwa razy przeszył mu serce dzidą, i kraj od tyrana uwolnił. W tymże miesiącu Hamed ben Ibrahim, który od wielu lat trudnił się handlem kością słoniową w Karagwe, zamordowany został przez syna swojego, Seida ben Hameda. Następcą Kakoko w prawach króla Karagwe jest Ndagara, czyli Unjagumbwa, posiadający dwa nazwiska.

Liczył teraz lat 16, i jako syn Kjenzi'ego jest prawowitym następcą tronu.

Gościnność, jakiej udzielono nam w pochodzie przez Ankori, stała się naszym udziałem także i w Karagwe. W drodze do Kafurro pozwolono nam zaopatrywać się dowolnie w banany i figi, a skoro tylko Ndagara dowiedział się urzędownie o naszym przybyciu, przysłał nam zaraz dostateczną ilość bananów, wołu, kury, malwę, tudzież sporo fasoli, słodkich kartofli i zboża. Ja nawzajem posłałem mu karabin winchesterowski i kilka zwojów drutu.

Kiengo, dawny przewodnik Granta i Spekego, którym towarzyszył z Unjanjembe do Unjoro, przysłał nam wołu, bananów, kury i mleko a prócz tego kap. Nelsonowi dał owcę, ponieważ był trochę podobny do „Speki”. Jedynym podarkiem, jakim musieliśmy odwzajemnić mu się, była cierpliwość w słuchaniu jego wspomnień o „Speki”, które bezustannie powtarzał.

Króla Ugandy obawiają się bardzo w Karagwe. Zanim Muanga został złożony z tronu, żaden obcy nie mógł przekroczyć granic jego kraju bez pozwolenia. Po śmierci Rumaniki Waganda stali się tak dumnymi, że nawet na arabskich gości Ndagary nakładali podatki z takim samym bezwstydem, z jakim pobieraliby je w Uganda. Dwa lata przed naszym przybyciem Waganda zjawili się z wojskiem w stolicy Ndagary i w Kitangule, aby zażądać wydania im przewozu przez Nil Aleksandra. W Kafurro znaleźli Bakari'ego, handlarza z nad wybrzeża, który zajął miejsce po Hamedzie ben Ibrahimie i zażądali od niego 20 karabinów i 20 skrzynek prochu; kiedy odmówił im, tłómacząc się, że jest gościem króla Karagwe, ale nie króla Ugandy, został zaraz na miejscu rozstrzelany wraz ze swoimi najwybitniejszymi ludźmi. Wobec tego trudno przypuścić, że pochód nasz, celem oswobodzenia Emina baszy przez Karagwe, byłby spokojny, ponieważ tak

wielkie ilości amunicyi i karabinów byłyby w Uganda wywołały taką chciwość, że tylko liczne wojsko mogłoby zmusić króla do uszanowania.

Jaką władzę posiadała Uganda w Karagwe, okazało się, kiedy na prośbę 26 ludzi baszy powiedziałem Ndagarze, że chcemy zostawić tu pewną liczbę mężczyznu i kobiet do czasu zupełnego odzyskania sił, ponieważ z powodu choroby nie są w stanie iść dalej. Ndagara odpowiedział, że pod żadnym warunkiem nie może zgodzić się na to, ponieważ gdyby król Ugandy dowiedział się o tem, że on, Ndagara, pozwala obcym pozostawać w jego kraju, rozgniewałby się i przysłałby wojsko, aby obcych pomordować, a Karagwe zniszczyć. O odpowiedzi doniosłem baszy, który zawiadomił ich o wszystkim; ale oni postanowili pozostać mimo to, a ponieważ tylko oni sami mieli prawo wybierać rodzaj śmierci, a my byliśmy już i tak zanadto obciążeni, przeto nie mogliśmy już nic więcej dla nich uczynić.

Z Kafurro d. 7 sierpnia maszerowaliśmy do Rozaka, a nazajutrz szliśmy przez smutną pustynię. Już rano powietrze było bardzo mgliste i wilgotne, a kiedy szliśmy grzbietem wzgórz, wiał zimny wiatr i padał deszcz tak przejmujący, że ludzie baszy padali z omdlenia. Straż tylna widziała to, więc komendant jej, kap. Nelson, kazał rozniecić ogień i omdlałych znosić do ognia, gdzie też oni przychodzili z wolna do siebie. Mimo to pięciu ludzi zginęło od zimna, zanim straż tylna zdołała przyjść im z pomocą.

Czoło karawany wyprzedziło straż tylną o 8 km. i szukało schronienia w gaju bananowym w kotlinie Utengę.

D. 10 sierpnia rozbiliśmy obóz na drugiej stronie jeziora Urigi i tam zabiliśmy 9 sztuk bydła na mięso, tudzież wrzuciliśmy w wodę dwie skrzynie karabinów Remingtona. Osobliwości afrykańskich z okolic leśnych i innych rzeczy zbytecznych pozbyliśmy się już dawno, obe-



nie musimy zaczynać pozbywać się amubicyi, aby móc nieść chorych zbiegów z prow. Aequatoria.

D. 11 sierpnia opuściliśmy terytoryum Karagwe i wskutek rekomendacyi Ndagary zostaliśmy dobrze powitani w Ihangiro, gdzie prowadzono nas od wsi do wsi, aż zatrzymaliśmy się w Kavari. Ale tu skończyło się używanie, odtąd bowiem musieliśmy kupować każde ziarnko zboża i każdy banan. Od jeziora Alberta aż do Ihangiro, a zatem na przestrzeni przeszło 900 km., wyprawę zaopatrywano w żywność obficie i bezpłatnie, ale odtąd każdy uczestnik wyprawy musi kupować ją w zamian za perły porcelanowe i szklane, będące tutaj monetą krajową. Ludziom, którzy przywykli zjadać w jednym dniu porcyę, przeznaczoną na pięć dni, nie można dawać zapasu perel więcej, jak na cztery do pięciu dni. Gdybyśmy mogli rozdać perły na cały miesiąc, ulżylibyśmy naszym tragarzom i ocalilibyśmy życie wielu chorym, ponieważ byłoby można nieść ich w hamakach; ale dziewięć dziesiątych naszych ludzi perły, rozdane im na cały miesiąc, zużyliby na kupno małej ilości zboża, ale za to dużej ilości malwy (piwa), kur i kóz, i już po 10 dniach zażądałoby znów perel i sukna, tak, że cała wyprawa musiałaby pójść na żebranię.

Widok jeziora Urigi z Uzeni, czyli Kavari jest bardzo piękny. Ma ono około 40 km. długości,  $1\frac{1}{2}$  do 5 km. szerokości i leży około 360 m. poniżej przeciętnej płaszczyny otaczających je gór.

Z Kavari poszliśmy wzdłuż wybrzeża do Mutara, gdzie zaraz zjawili się mężczyźni, kobiety i dzieci, aby zaopatrzyć nas w obfitość zboża, miodu, ryb, malwy, kur i bananów. Uparci Sudańczycy, nie pomni przestrogi, udzielonej im dnia poprzedniego, udali się do odległej o  $1\frac{1}{2}$  km. wsi Mutara, celem płądrowania, szczególnie zaczęli szukać malwy i fasoli. W kraju, gdzie marszu nikt nie utrudnia i gdzie wszelaki produkt miejscowy nabyć można, rabunek

oburza tak, jak w Kairo lub w Londynie; więc też krajowcy zaczęli zaraz protestować i pytać, coby takie postępowanie znaczyć miało. W odpowiedzi na to Sudańczyk, Fathel Mulla, strzelił z karabinu, jednego krajowca zabił, drugiego ranił w brodę, a trzeciego w nogę; krajowcy, zamiast zemścić się na miejscu, przysłali do obozu deputację, złożoną z 50 ludzi z prośbą o wyjaśnienia. Cała sprawa wydała mi się tak niepodobną do prawdy, że najpierw wysłałem oficera, by osobiście przyjrzał się zabitemu i rannym; kiedy następnie oficer zdał raport, że opowiadanie jest wiarogodnem, kazałem całej wyprawie stanąć do apelu, poczem wezwałem krajowców, by wskazali mi człowieka, który szalał we wsi, podczas gdy ich żony przybyły do namiotu celem handlu. Po chwili wskazali mi pięciu, a pomiędzy nimi Fathel'a Mulle, jako winnego; ponieważ nie był to dla mnie dowód dostateczny, spytałem Sudańczyków o winnego, poczem towarzysz jego Sururu opowiedział, co zaszło. Jakiś krajowiec nie chciał Fathelowi Mulle pozwolić zabierać dzbana malwy, Sudańczyk wołał na niego *Abid i Kelb* (niewolnik i pies), zabił go, poczem dał jeszcze trzy, czy cztery strzały do innych.

— Człowiek ten do was należy, możecie zabrać go. Ale jeżeli odprzedacie mi go za bydło, sukno, drut, perły lub cokolwiek innego, odkupię go od was.

— Nie, nie, nie, nie! My ludzi naszych nie sprzedajemy. Nie rozłączymy się od niego ani nawet za sto sztuk bydła.

— Ale na co przyda się wam krew jego? Jeść go nie będziecie, a on pracować dla was nie zechce. Weźcie pięć sztuk bydła za niego.

— Nie, nie, nie, nie! My chcemy jego samego, bo on zabił znakomitego człowieka z naszej wsi, a ci drudzy może także pomrą. Zabierzemy go.

— Więc dobrze, bierzcie go; on już do mnie nie należy, i nie ma prawa pozostawać w moim obozie.

Odeszli z nim, a my nie dowiedzieliśmy się już nigdy o tem, co się z nim stało.

Nazajutrz szliśmy przez okolicę bezludną, bez wody, do Ngoti.

Naczelnik miejscowy, Muengi, był to olbrzymi, młody Mhuma, wysoki, jak gwardzista, ale spokojny i stanowczy, poddani słuchali rozkazów jego nader skrupulatnie. Zatrzymaliśmy się tu przez jeden dzień dla handlu ziemniennego. Było tu tak tanio, że nie byliśmy nigdy w obawie o żywność.

Z Ngoti przybyliśmy do Kimwani, czyli Kizinga, kraju naczelnika Kadjuma. Był to także wysoki reprezentant rasy Wahumów, ale od niejakiego czasu cierpiał na zapalenie oczu. Kiedy przed rokiem Waganda wpadli do jego kraju, umknął do Unjaruwamba, dystryktu Ihangiro, gdzie ukrył się na wysepce na jeziorze, z kąd pozwolono mu powrócić do kraju w charakterze poddanego Muangi, skoro zapłacił Ugandzie haracz w bydłe; po powrocie zastał jednakże gaje bananowe powycinane, a kraj obrabowany z produktów prawie zupełnie. Za udzielony przytułek Ihangiro zażądał nadto od niego dystryktu Kimwani. Prócz tego żąda posłuszeństwa od niego Kassazura, król Uzui, który wpadł do Kimwani, porwał Kadjumbę i trzymał go przez dwa miesiące w niewoli.

Kadjumba był wobec nas bardzo szczodrym, przysłał nam bowiem 81 pęków bananów, kozę i dwa dzbany malwy. Ponieważ był już stary, zdawał się być skłonny do despotyzmu i sporów, i z małą karawaną obszedłby się zapewne inaczej, niż z nami.

W towarzystwie przewodników z Kimwani wyruszyliśmy na południe. Z odległości 5 km. od wsi Kadjumby mieliśmy wspaniały widok na jezioro Wiktorya, wyspy:

Ikuta, Madjinga, Sosua Rumondo i na odległą Mysome.

Okolo południa rozbiliśmy obóz pod Njamagodju, na południowo zachodnim krańcu ramienia jeziora, gdzie jest ujście rzeki Lohugati.

Nazajutrz szliśmy wzdłuż równiny, ciągnącej się od Njamagodju do drugiego ramienia jeziora. Wogóle szliśmy obecnie codziennie równiną, z kądem wody jeziora ustąpiły zaledwie przed 25 laty. Ziemia tu sucha, a na wielu miejscach widać osad saletry.

D. 20 sierpnia weszliśmy na szerokie pasmo gór kraju, z kądem z zatoki Kizaha poszliśmy do innej zatoki przy Itari. Tu z wysokiego wzgórzka widzieliśmy długi szereg wysp, których w r. 1875 w czasie naszej ucieczki przed krajowcami nie mogliśmy zbadać, ponieważ nie posiadaliśmy łodzi.

Przekonaliśmy się, że Wazindia nazywają jezioro Wiktorya Muta Nsige, zaś Wanjoro dają tę nazwę jezioru Alberta, a Wazongora i Wanjankori jezioru Alberta Edwarda.

Odchodząc z Itari, znaleźliśmy świeżo zabita żebnę, co dowodziło, że w nocy gościł lew w pobliżu naszego obozu. Dziwiła nas wielka liczba czaszek ludzkich, leżących wokoło. Wytłomaczono nam to tem, że w czasie ostatniego najścia Wagandów, tu właśnie pod Itari Wazindia opór im stawiali. Może Wazindia zasłużyli na te srogie odwiedziny; wiadomo bardzo dobrze, że Uzui potrzebował takiej lekcyi, ostatni kaprys Kassuzury polegał na tem, że zatrzymał karawanę, zbrojną w 150 karabinów.

Kiedy rozmyślaliśmy nad różnemi wypadkami, jakie zdarzyły się w tej okolicy od r. 1887, nad zuchwałym napadem wojsk Wagandów na Karagwe, nad rozstrzelaniem handlarzy arabskich, nad napadem na Usindia, nad zamianą terytoryów od Kiszakka aż do jeziora Wiktorya na jeden wielki teatr bitew i rozlewu krwi, mimowolnie przyszło nam na myśl, że wypadki w r 1888-ym, zdetro-

nizowanie Muangi, rewolucya i kontrrewolucya przyczyniły się do utorowania nam spokojnego marszu do wybrzeża.

Idąc przez te suche, bezwodne równiny, których nagości nie mogą zasłonić karłowate akacje i euforbie, byliśmy zdania, że mieszkańcy nie mogą być oddaleni ze swej cienistej ojczyzny. Byliśmy zmuszeni połowę naszych towarzyszy pozostawiać w drodze, chociaż nie mieli braku pożywienia i wody. W ten sam sposób Somalowie, Sudańczycy, Madiowie i Bari czuli się przygnębianymi i smutnymi, mizernieli i umierali, skoro tylko wprowadziliśmy ich do lasu. A przecież w niektórych wrzekomo naukowych książkach czytałem, że Afryka jest odpowiednią tylko dla Afrykańczyków!

Najwyższy punkt, jaki przekroczyliśmy od chwili wymarszu z Njamagodju, nie leżał wyżej jak 15 m. nad jeziorem, podczas gdy ogromne przestrzenie płaskiego kraju były tylko dawnym dnem jeziora, które długi jeszcze czas będą nieurodzajne, dopóki deszcz nie wypłucze z nich saletry.

W końcu dotarliśmy do okolic wyżej położonych, gdzie drzewa były już lepsze. Zanim dosięgliśmy wysokości 30 m. ponad jeziorem, akacje znikły, a wszędzie rosło *miombo*, drzewo, którego kora nadawała się wybornie do robienia odzieży krajowców; z drzewa jej można robić wyborne skrzynie, a może nawet łodzie. W Buanga najbliższej wsi, nie słychać już języka Wabumów, który słyszeliśmy ciągle od chwili wymarszu z nad jeziora Alberta; odtąd musimy posługiwać się tłumaczem z plemienia Wanjamwezi, co naszym sceptycznym Zanzibarczykom dowodziło, że zbliżamy się do *pwani* (wybrzeża).

Obecnie musieliśmy zwrócić się wprost na wschód, w kierunku stacji misyjnej, która, jak słyszeliśmy, ma leżeć w Uzambiro. Z Buanga do Ujombi potrzeba iść  $6\frac{3}{4}$  godzin, stąd do Kamwaga 5 g., dalej do Mpeke znów 5,

a ztąd do opuszczonej francuskiej stacyi misyjnej w Uzambiro 6 godzin. W środku okrągłego ogrodzenia palisadowego stał schludny kościół, na którego dachu znajdował się skromny krzyż, który słowa i myśli nasze skierował na Chrystusa i cywilizację, o których — obawiam się o to — wielu z nas nie myślało zapewne już od wielu miesięcy.

Trzeba przyznać, że misyonarze francuscy są nieporównani w sztuce budowy stacyj, w sztuce stworzenia z lichego materiału czegoś wygodnego i schludnie wyglądającego. Kto w towarzystwie naszym przebył 400 do 600 km., zauważył, że prawie wcale nie troszczyłem się o widoki kraju. Przebyliśmy go w porze suchej, w której trudno z miliona hektarów znaleźć choćby jeden, godny widzenia, a przecież najmniej miłem było miejsce, zajęte przez piękną stację misyjną. Składała się ona z trzech szeregów niskich, ziemią pokrytych budowli drewnianych, zajmujących trzy strony obszernego dziedzińca, a z których każda posiadała cztery do pięć pokoiów, otynkowanych z wewnątrz i zewnątrz szarą gliną. W środku pomiędzy domami stał kościół, zbudowany z materiału, znajdującego się w okolicy, i okrągłe wewnętrzne ogrodzenie palisadowe, otaczające mieszkania ludzi cywilizowanych, podczas gdy ogrodzenie zewnętrzne ochraniało wieś, zamieszkałą przez prozelitów. Zważywszy, że drzewa *miomba* i glina służyły tu za jedyne materiały budowlane, trzeba przyznać, że plan i jego wykonanie nie mogły być lepsze; widać było, z jaką cierpliwością i zamiłowaniem pracowano nad tem. Ale miejsce to miało dwie wady, które ludzie owi dostrzegliby przed rozpoczęciem budowy, gdyby wiara ich nie była tak silna. Krajowcy byli niezgodnymi, nieludzkimi Wanjanzami i brak tu było wody, tak, że misyonarze otrzymali rozporządzenie usunąć się ztąd, zanim budowa stacyi została dokończona.

Nazajutrz przybyliśmy do angielskiej stacyi misyjnej

w Makolo, wysławszy tam poprzednio posłańców, aby nie najść niespodzianie na p. Mackaya z towarzystwa misyj kościelnych. Zbudowano ją na terenie lekko wznoszącym się w środku okolicy, która pozornie była tylko puszczą, tak przynajmniej sądzić było można z ich wielkich kamieni i olbrzymich skał, tudzież z błotnistych, płaskich miejsc pokrytych zielonemi krzakami papyrusowemi, po za któremi widzieliśmy pas wody zatoki jeziora Wiktorya.

Oprócz moczarów nie było tu nic zielonego; cały widok był smutny i melancholijny, drzewa były skarłowaciałe, spróchniałe, nigdzie nie było widać choćby najmniej obiecującego pączka, ale wszystko to było następstwem suchej pory roku.

Kiedy zbliżyliśmy się do stacyi na odległość  $\frac{3}{4}$  km. wyszedł naprzeciwko nam jegomość w białem ubraniu lniennem i w szarym kapeluszu tyrolskim, niski, z silnym zarostem.

— Zapewne pan Mackay? A więc Muanga nie zrobił panu nic złego? Co też musiałeś pan doznać od tego człowieka! Ależ pan wyglądasz tak dobrze, że możnaby sądzić, że dopiero niedawno byłeś w Anglii.

— O nie, jestem tu już rok dwunasty. Muanga pozwolił mi oddalić się, poczem szanowny Cyryl Gordon zajął moje miejsce, ale nienadługo, ponieważ wkrótce wypędzono wszystkich z Uganda.

Wśród ożywionej rozmowy weszliśmy do wnętrza silnego ogrodzenia palisadowego, w którym zbudowano stację misyjną. Wszędzie widać tu było dowody pracy, cierpliwości bezgranicznej, potu wśród gorącego słońca, stanowczego postanowienia zrobienia czegoś, aby umysł utrzymać w pracy. Na dziedzińcu stała wielka szopa z maszynami i narzędziami, kowale robili kocioł do barki, zewnątrz naprawiano kanoe; widzieliśmy także wielkie pnie drzewa, kupy palów palisadowych, w rogu podwórza zewnętrznego

stado bydła i oborę dla kóz, tuziny kur, szukających małych ziarn; z połaci europejskiej wybiegła gromadka małych chłopców i dziewcząt, wyglądających nader dobrze i wesoło, robotnicy zbliżali się do nas spokojnie i witali nas, zdejmując kapelusze.

Jeżeli jest na świecie Bożym coś, co uszczęśliwia człowieka więcej, niż praca, to u niektórych natur jest niem świadomość, że dzieło zostało ukończone.

Zaprowadzono mnie do pokoju w silnym budynku glinianym, którego ściany miały może 60 cm. grubości, były gładko otynkowane i ozdobione obrazami i plakatami, odnoszącemi się do misjonarstwa. Znajdowało się tam sporo szaf, wypełnionych doborowemi i pożytecznemi książkami. „Allah ho Akbar“, mówił do mnie Hassan, przewodnik Zanzibarczyków, „książki! Mackay posiada tysiące książek, w jadalni, w sypialni, w kościele, wszędzie książki!“ Ale pijąc prawdziwą kawę i zajadając po raz pierwszy od 30 miesięcy chleb, pieczony na sposób angielski, i masło, sympatyzowałem zupełnie z zamiłowaniem Mackaya do książek, pojmowałem całkiem, dlaczego on wśród tylu książek, dzieci i pracy po za domem nie miał czasu na zły humor, na rozmyślanie nad nudami, pustynią, rozpaczą i samotnością. Niedawno napisał ktoś o człowieku, który długi czas spędził w Afryce, książkę, pełną skarg i ubolewań: i autor i bohater zostaliby wyleczeni ze swego niezadowolenia, gdyby przyjrzeni się trybowi życia Mackaya. On nie ma czasu na zły humor i skargi, chociaż żaden człowiek nie miałby więcej powodu do tego, aniżeli Mackay wówczas, kiedy Muanga wyteżał na niego wzrok swój, śmierć zapowiadający, kiedy zamordował już jego biskupa, uczniów spalił, nawróconych podusił, a jego czarnych przyjaciół bił tak długo, aż pod kijami pomarli. A przecież ten mały człowiek patrzył na owe zakusy spokojnemi oczami niebieskiemi, nawet brwiami nie drgnąwszy. Aby



widzieć i słyseć człowieka, który pracował tu przez lat 12, nie skarżąc się, aby widzieć, jak co rano wyprowadza swoich wiernych, by pokazać im miłość Boga, a wieczorem, by zwrócić ich uwagę na swoją wierność, warto przedsięwziąć długą podróż dla zadowolenia moralnego, jakie dają odwiedziny u niego.

Na stacyi misyjnej zatrzymaliśmy się od dnia 28 sierpnia do 17-go września; wpływ regularnego trybu życia i dobrze przyrządzonych potraw, tudzież miłego towarzystwa i zupełnego spokoju był u Europejczyków wyborny.

Byliśmy zasobni w bogactwa wszelkiego rodzaju, posiadaliśmy bowiem około 200 tobołów różnych przedmiotów, posiadających wartość w tym kraju, około 40 tobołów zakonserwowanych artykułów żywności, które p. Stokes sprowadził od wybrzeża w r. 1888 i które dotąd były w przechowaniu u p. Mackaya. Trzydzieści tobołów sukna obliczono po cenie kupna i rozdzielono pomiędzy ludzi, aby w czasie wypoczynku mogli wynagrodzić sobie to, czego brakowało im w ostatnich czasach. Prócz tego mieliśmy 14 osłów jucznych, które dano towarzyszom baszy, podczas gdy basza, Casati i ja mogliśmy kupić sobie osły pod wierzch w Bukumbi od misjonarzy francuskich, którzy odwiedzili nas laskawie i obdarzyli produktami ogrodowymi. Z ich to zapasów oficerowie nasi mogli zaopatrzyć się w niezbędną odzież, jak w buty, pantofle, koszule i kapelusze, tak że raz nareszcie prezentowali się znów dobrze.

Następnie byliśmy w stanie wynająć około 200 tragarzy do pomocy w niesieniu towarów, by można użyć większej ilości Zanzibarczyków do niesienia hamaków; a przecież po 19-dniowym pobycie, przy takiej ilości pożywienia, jaką tylko kto zjeść potrafił, przy takiej różnaitości, jakiej kraj źle zaopatrzony wcale dostarczyć nie może, w czasie przeglądu na dzień przed wymarszem znaleźliśmy przeszło stu ludzi, którzy skarżyli się na astmę, cierpienia pier-

si, kiszek, lędźwi itd. i mówili, że maszerować nie mogą.

Wieczorem przed wyruszeniem w dalszą podróż, pp. Mackay i Deakes—jedyni członkowie misyi, obecni w Makolo, ponieważ pp. Gordon i Walker krótko przed naszym przybyciem udali się do Ugandy—urządzili nam wspaniały obiad, na którym podali mięso pieczone, pieczone kury, ryż z *curry*, plumpudding i butelkę wina leczniczego. Tak, jak w krajach cywilizowanych, i tu uczta zakończyła się mowami. Mnie przypadło w udziale wznieść toast na cześć Emina baszy, p. Mackay pił na moje zdrowie, a w towarzystwie naszym nie było nikogo, ktoby od wszystkich innych nie otrzymał najserdeczniejszych życzeń, które, jestem mocno o tem przekonany, wypowiedziane były zupełnie szczerze.

Ostatni list p. A. M. Mackaya.

Uzambiro, 5 stycznia 1890.

Szanowny panie!

Otrzymałem od pana nie mniej, jak trzy szacowne listy, a mianowicie dwa z Uzongo, a jeden z Ugogo. Ostatni przyjął d. 1-go grudnia.

Od czasu, jak przeszli tędy księża francuscy, podążający za pańską wyprawą, nie wysłałem poczty do wybrzeża.

Słyszałem z wielką przyjemnością o tem, że pan posuwasz się szczęśliwie naprzód; w tej chwili znajdujesz się pan niewątpliwie w kraju cywilizowanym i po trudach i niewygodach podróży afrykańskiej używasz wypoczynku więcej, niż zasłużonego. Jeżeli człowiek jaki zasługuje na życzenia Europy, to pan zarobiłeś na nie w zupełności. Ale zapewne wkrótce przesyć się pan ogólnemi dowodami szacunku i usuniesz się w jaki kąt odległy, aby napisać dokładne sprawozdanie z pańskich niezwykłych przygód. Jaka dziwna samotność panowała tu pod względem fizycznym i duchowym nad tą miejscowością po pańskim

oddaleniu się, opisać trudno. Oczekiwana poczta nie przybyła, a tylko d. 23 października powrócili tragarze z Kizokwe, ale bez listów z wybrzeża. D. 1-go grudnia otrzymaliśmy pakiet listów, ale bez gazet i czasopism. Te przybędą później.

Deakes był trochę niezdrów, ale obecnie czuje się zupełnie dobrze; na początku pory deszczowej prawie cała moja kolonia Wagandów była chorą na silną febrę. Pański Ali ben Said zmarł d. 27 września, jeden z białych baszy, Mohammed Arabi, d. 20 października. Reszta, w liczbie ośmiu, jest zupełnie zdrową i już pracują.

Moją maszynę parową już umontowałem; przekonywam się, że pompy są dobre; zanitowałem kocioł.

Z kotłem mieliśmy wiele roboty, ponieważ każda płyta w przeciągu lat 14, wskutek przerzucania, wyszła z formy, a nadto żelazo, pierwotnie w najlepszym gatunku, stało się tak kruche, że przy pierwszym dotknięciu młota zaczęło pękać. Ale robota udała się przy pomocy starannego smarowania oliwą. Zakładam teraz tartak parowy, by rznać deski do fabrykacji statku nowego. Łódź parowa, którą widziałeś pan u mnie, jest już prawie gotowa, i byłaby dawno wykończona, ale byłem bardzo zajęty innymi pracami, a pomiędzy innymi drukami dla Buganda.

Słyszaleś pan może, że chrześcijanie po zaciętych walkach pobili Karemę i jego stronników Arabów i znów Muangę osadzili na tronie. Wszystkie wybitne stanowiska rozebrali dla siebie, i rozdzielili je pomiędzy katolików i protestantów. Dzielnny chłopak, Kagwa Apollo, jeden z moich uczniów, jest teraz *Katekiro*.

Muanga znajduje się obecnie zupełnie w ręku naszych naczelników chrześcijan, którzy w przyszłości prawdopodobnie nie pozwolą mu iść własnymi torami. Obecnie znajduje się tam pięciu misjonarzy francuzkich, włącz-

nie z ich biskupami, podczas gdy nasza misya jest reprezentowana tylko przez Walkera i Gordona.

O angielskiem towarzystwie wschodnio-afrykańskiem nie mogę dowiedzieć się nic więcej, oprócz starej pogłoski, jeszcze w lutym doniesionej z Zanzibaru, jakoby miało znajdować się w Ulu. Zdaje się, że potrzeba mu za kierownika człowieka odważnego i stanowczego, a ja cieszyć się będę bardzo, gdy się dowiem, że pan zechcesz dać trwałą podstawę interesom towarzystwa. Z radością dowiaduję się, że p. Mackinnon został baronem; zasługuje na ten zaszczyt zupełnie. Pisałem do agenta jego w Zanzibarze tłómacząc, że głupio byłoby uczynić zadość żądaniom Niemiec i posunąć granicę na zachód od tego jeziora, ponieważ wskutek tego królestwo Buganda zostałoby podzielone na dwie połowy; ponieważ Karagwe, Uzui i Uzindja na południe aż do Seromba są faktycznie tylko częścią Bugandy, gdyż płacą jej haracz.

Od zawisłości od Ugandy krajów tych nie uwolni na papierze żadna komisya londyńska ani berlińska.

Wielu naczelników z krajów południowo zachodnich odwiedziło mnie osobiście, inni przysłali swoich reprezentantów, a ja mam zamiar wysłać te listy przez nich do Uzui, ponieważ nikczemni Rindo nie podobają mi się.

Posłałem sukno itd. do Rindo, aby wykupić broń, odebraną pańskim posłem, ale podły Muanaugua zatrzymał i okup i broń, a to pod pozorem sporu ze Stokesem; ustępuję zatem tej bandzie z drogi.

Dowiaduje się z dobrego źródła, że Banjoro, z którymi biłeś się pan, nie są bandą opryszków, ale wojskiem Kabby Regi, [który wysłał ich celem zatrzymania pańskiego pochodu. Porażką swoich wojsk przeląkł się tak bardzo, że umknął na jedną z wysp na jeziorze Alberta. W miesiąc po pańskim wymarszu Muanga przysłał tu posłów z prośbą, abyś mu pan dał pomoc.

Arabowie uważają się za pobitych i umknęli z Nagu. Ludzie Muangi zdobyli Dhau Said ben Saifa (Kipanda), obładowane karabinami i prochem, i statek zniszczyli. To samo stało się ze statkiem Sunguru. Obecnie łódź Stokesa jest jedyną na jeziorze. „Eleanore” musiałem zniszczyć, ponieważ był nieprzydatny do użytku, ale mam nadzieję, że wkrótce ukończę budowę łodzi parowej.

Z wybrzeża nie otrzymałem żadnych zgoła pewnych wiadomości, a słyszałem tylko, że Niemcy znów obsadzili Mpuapua. Z czasem nauczą się być roztroprnymi, ale do tej pory wywołali tylko pożałowania godne zamieszanie. Mam tylko nadzieję, że wraz z Anglikami usuną proch z tego kraju. W żaden inny sposób nie zdołają zaprowadzić jakiegokolwiek kontroli nad naczelnikami w głębi Afryki.

„Być albo nie być”; oto pytanie. Czy jest droga do jeziora, czy nie? W panu widzę jedyną nadzieję dla tej okolicy, w tem mianowicie, że spowodujesz p. sir Mackinnona do zapatrywania się należytego na sprawy. Nie dałbym ani grosza za to, co towarzystwo zrobi przez lat 50, jeżeli nie połączy jeziora z wybrzeżem drogą. Gdy się to stanie, niespokojni krajowcy będą złamani.

Stokrotne dzięki za pańską przyjacielską propozycję, aby Theodolit pozostał dla mnie w Kisokwe. Zapewne przybędzie on tu w zdrowiu. Będę go cenił podwójnie, jako pamiątkę po panu.

Proszę i t. d.

A. M. Mackay”.

Z wielką przykrością dowiedziałem się, że p. Mackay, najlepszy od czasu Livingstona misjonarz, zmarł w początku lutego. Jak Livingstone, tak i on nie chciał wracać, chociaż prosiłem go bardzo, by towarzyszył nam do wybrzeża.

## ROZDZIAŁ XXXI.

---

We wrześniu minęło 15 lat od czasu, jak jezioro Wiktorya widziałem po raz pierwszy. W sześć miesięcy później „Daily Telegraph” i „New York Herald” doniosły, że największe jezioro w Afryce zostało zbadane, że na północnem jego wybrzeżu mieszka król, który panuje nad trzema milionami poddanych i że on wołał, iż żyje w ciemności, a potrzebuje światła. Pewna liczba ludzi usłyszała to wołanie i odpowiedziała na nie. Posłali misyonarzy do króla, którzy jego i jego poddanych uczyli przez całe lata, początkowo z małym rezultatem, ale ziarna padały z wolna na grunt dobry, zaczęły rozwijać się powoli i z czasem wydały dobre owoce.

Zwracając się do jeziora, przyszło mi na myśl, że na Kongo, miejscu odległym o 2250 km. od oceanu Atlantyckiego, udało mi się wprowadzić parowce, które w r. 1887 mnie i moim towarzyszom w drodze w górę rzeki oddały wielkie usługi, tudzież nad jej brzegami zbudować stacje, gdzie doznałem takiej gościnności, jak w tej stacji misyjnej, którą obecnie mamy opuścić.

Tu przekonałem się znów, że jezioro zmniejsza się stale. Pod koniec zeszłego stulecia zajmowało ono przeszło 103,000 km. kwadr., obecnie wedle moich obliczeń tylko 70,000!

Wygląd kraju poprawiał się coraz bardziej, od czasu jak opuściliśmy Makolo: nasi czarni w Genge sądzili zatem, że misjonarze źle zrobili, osiadając w Uzambiro, zapomnieli jednak o tem, że w kraju gęsto zaludnionym i utrzymać się i działać trudno.

Przykład tego mieliśmy w Ikoma, dokąd przybyliśmy d. 20 września. W Genge i Kungo trudno nam było utrzymać pokój, ponieważ drogi były zajęte przez wyjące tłumy, które wśród tańców i okrzyków wojennych na nas nacierały. Nic to nie szkodziło, ale jakiś demon zaplątał obie strony w walkę słów o to, czy my jesteśmy ludożercami, czy nie. Krajowcy blizny na twarzy Sudańczyków brali za dowód, że jesteśmy ludożercami, a ludożercy w kraju ich nie mają nic do czynienia. Kiedy budowaliśmy obóz, jeden z towarzyszków Egipcyan przybył do nas, pokazując ranę od strzały w ramieniu i drugą od topora na głowie; prócz tego zabrano mu ubranie i karabin.

Potrzeba było tylko dwu słów, aby zemścić się za to należycie, ale zniesliśmy i tę obrazę i jeszcze inne, ponieważ nazajutrz mieliśmy wkroczyć do Ikoma, dystryktu, w którym mieszkał król, a który był jeszcze gęściej zaludniony.

Interes nasz w Ikoma był bardzo prosty; p. Mackay powiedział nam, że angielski handlarz kością słoniową, Stokes, ma tam swoją stację, że jest przyjacielem króla Malissy i że w składzie swoim ma tam zapasy żywności europejskiej: pieczywa, masła, szynki, słoniny wędzonej i t. d., których chciałby się pozbyć. A było nas dziesięciu Europejczyków, wszyscy obdarzeni niezmiernym apetytem. Postanowiliśmy zatem tędy maszerować i nabyć

owe artykuły za wszelką cenę, p. Mackay dał nam w tym celu dwu zanzibarskich przewodników. Chociaż zatem krajowcy z Kungu byli bardzo zuchwali, sądziliśmy, że lepiej będzie oddać tę sprawę w ręce Malissy, przyjaciela Stokesa, bo zresztą chodziło tu tylko o psoty kilku niesfornych młokosów.

Przed nami na środku równiny wznosiło się wzgórze, które dawniej było zapewne wyspą górzystą, z którego obecnie pozostały tylko skały. Pod ochroną tych skał, w wąskiej dolinie pomiędzy nimi osiadło około 5000 mieszkańców; wokoło tej naturalnej fortecy wznosiły się chaty. Na równinie ujrzałem 23 stad bydła, co dowodziło, że Ikoma, mimo gęstego zaludnienia, jest osadą nietylko zamożną, ale także bezpieczną.

Kiedy zbliżyliśmy się do niej, wyszły naprzeciw nam gromady chłopców i dziewcząt, którzy śmiejąc się, biegali wokoło nas. Poszliśmy dalej w kierunku wsi naczelnika. Nagle pojawiła się wielka liczba wojowników biegnących, których pstre pióra, błyszczące oszczepy i ubrania przedstawiały widok imponujący. Wszyscy ustawili się w szyku bojowym, aby nas odeprzeć. Słyszeliśmy ich krzyk przeraźliwy, tudzież rozmowę z naszymi przewodnikami, którzy tłumaczyli im, że jesteśmy tylko karawaną i przyjaciółmi Stokesa, oraz Malissy; ale szaleni zagłuszali każde słowo i grozili przewodnikom, tudzież straży przedniej. Kiedy udałem się tam, aby zobaczyć, co się dzieje, zwróciłem na siebie uwagę kilku krajowców, którzy rzucili się ku mnie z podniesionymi oszczepami; jeden z nich chwycił mój karabin, poczem przybyli mi z pomocą dwaj Zanzibarczycy i karabin mu odebrali. Łuki były naciągnięte, oszczepy podniesione, dwaj ludzie nasi ranni, a my w najbliższej sekundzie byliśmy zajęci odpędzaniem tłumu. W tej walce dziesięciu ludzi zginęło, a jeden Monangua został wzięty do niewoli. Ponieważ



po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich nie było nadziei kupna żywności, a łucznicy i strzelcy zaczęli już nawet obsadzać skały, musieliśmy jaknajprędzej cofać się z wozów i gdziekolwiek rozbić obóz, zanimby nas pokonano.

Na końcu odosobnionego łańcucha skał znaleźliśmy źródło, obok którego stały dwie skały odosobnione. Uzupełniliśmy koło skrzyniami i kupami trawy i rozłożyliśmy się obozem, czekając na atak.

W drodze do obozu uprowadziliśmy stado bydła, ale puściliśmy je zaraz wolno. Jeńca naszego Monanguę, pytaliśmy, co to wszystko ma znaczyć, ale on nie mógł, czy nie chciał odpowiadać. Następnie ubraliśmy go w piękne sukno i posłaliśmy go do Malissy, aby mu powiedział, że jesteśmy białymi przyjaciółmi Stokesa, że mamy pośród siebie wielu tragarzy z plemienia Wazukuma i że nie mamy wcale zamiaru walczyć z kimkolwiek, lecz pragniemy tylko jaknajprędzej dostać się do wybrzeża. Następnie wyprowadziliśmy krajowca na odległość kilkuset metrów od wsi i puściliśmy go wolno. Nie powrócił już do nas, ale w ciągu dnia usiłowano kilkakrotnie dokuczać nam, aż około godz. 4-ej po południu na północy, wschodzie i południu pojawiły się trzy oddziały wojowników, celem przypuszczenia głównego ataku. Przygotowaliśmy zatem armatę Maxima, dającą 200 strzałów na minutę.

Wazukuma zbliżyli się, ale ostrożnie. Z oddziału, posuwającego się z południa, wyszło kilkunastu strzelców na odległość 270 metrów od nas. Jednego z nich zastrzelono, poczem armatka dała w tym kierunku około 150 strzałów. Żaden z krajowców nie został wprawdzie trafiony, ale grad kul, i odległość, na jaką padały, wystarczyły zupełnie. Krajowcy zaczęli uciekać, poczem wysłałem jeden oddział na wschód, drugi na północ. W ataku tym brało udział około 2000 wojowników.

Ale mieliśmy do czynienia coś ważniejszego, niż bić

się z Wazukuma, więc d. 21 września poszliśmy dalej ku wybrzeżu. Przykro nam było, że nie dostaliśmy zapasów szynek i słoniny, ale i Malissa stracił podarek w suknie, które już przygotowaliśmy dla niego.

Niewiele uszliśmy, gdy obok nas zaczęła gromadzić się cała ludność z Urimy. Kiedy około godz. 8-ej wieczorem uderzono na karawanę, nie potrzebowałem już mówić Egipcyanom i ich towarzyszą, aby trzymali się w zwartej masie. Zachowanie się ich sprzyjało zupełnie naszym celom. Przed nimi szły dwie kompanie, za nimi straż tył na p. Bonny'ego, złożona z Sudańczyków i kompania Szukri Agi. Wazukuma nie mogli nic zrobić naszej kolumnie, choćby ich było trzy razy tyle, ale zdaje się, pewni byli, że nam w jakikolwiek sposób dokuczą. Szliśmy mimo to dalej.

Ponieważ krajowcy otaczali nas bez przerwy, uznałem za stosowne spróbować raz jeszcze złość ich przejednać i w tym celu wysłałem przewodnika Wazukumów, Poli - Poli, aby się z nimi rozmówił. Poli - Poli znaczy dosłownie: „Idź zwolna, zwolna”. Skoro przez godzinę krzyczał do nich, udało mu się jednego Monanguę i czterech ludzi jego skłonić do zbliżenia się i przybycia do obozu. Wymieniając zapewnienia przyjaźni i zaczynając krajać sukno dla gości, by dowieść mu naszych poważnych zamiarów, pozwoliliśmy Wazukumom zbliżyć się do nas. Za ledwie upłynęło pięć minut, jak Monangua zadowolony opuścił mój namiot ze swoimi ludźmi, usłyszałem około 50 strzałów, poczem przekonałem się, że nieprzyjaciel był pośród nas. Jeden z naszych ludzi konał wskutek rany, zadanej oszczepem, nasze kozy pędzono, tylko z trudem uniknęliśmy strat wielkich; ale z drugiej strony zabito siedmiu krajowców, a zdradziecki Monangua otrzymał kulę w plecy i sukno odebrano mu także, a my odzyskaliśmy nasze kozy.

Nazajutrz wyruszyliśmy w pochód o zwykłej godzinie; po obu stronach naszej drogi leżały gęsto wsie, a ludność z południowej Nera była zgromadzona tłumnie. Krajowcy poprzestali na tem, że szli za nami w kolumnie zwartej, na trzy km. długiej; od czasu do czasu strzelano do nas z ciężkich karabinów. Szliśmy w ten sposób przez trzy godziny; kiedy mieliśmy opuścić terytoryum Nera, a wkroczyć do Mamara, usłyszeliśmy nagle okrzyki wojenne, poczem odważono się jeszcze na jeden atak. Odrzuciliśmy natychmiast toboły i wpadliśmy na nich, poczem oni zaczęli szybko uciekać; następnie poszliśmy dalej; krajowcy zgromadzili się raz jeszcze i szli za nami przez sześć godzin w czasie całego uciążliwego marszu do Seke.

Także w czasie pochodu z północnego Seke do Seke — Kwiruru, d. 23 września, krajowcy szli wciąż za nami, ale nie zważaliśmy na nich, nie chcąc wywoływać rozgoryczenia.

Cierpieliśmy wszyscy bardzo z powodu braku wody i spokoju. Nasze bydło było już od dwu dni niepojone, a woda w Seke była zła i słońce paliło strasznie tak, że skóra na ciałach naszych pękała. Trawa tak niska, że bydło musiało wrywać ją z korzeniami, aby tylko utrzymać się przy życiu.

Nazajutrz wypoczywaliśmy. Krajowcy zbliżyli się do obozu na odległość około 750 m., lecz po kilku strzałach rozproszyli się, tak, że po siedmiodniowym nieustannym marszu i walkach po raz pierwszy dopiero mogliśmy cieszyć się spokojem.

Kiedy d. 25 września przybyliśmy do Sínjanga, powitały nas kobiety okrzykami *lu — lu — lu*, a starcy, którzy słyszeli o naszych walkach z Uzukumami, przybyli do nas i wyrazili nadzieję, że zapewne wypędziliśmy złych ludzi, którzy zawsze tworzyli przekłętą bandę, napadającą na podróżników i obcych.

Idąc z jednego dystryktu do drugiego, które wszystkie były niepodległe, a pozostawały pod panowaniem własnego naczelnika, albo rady starszych, posiadały własne odrębne zwyczaje, obyczaje i namiętności, a różniły się pomiędzy sobą stosownie do wieku, inteligencji i skłonności naczelnika, podarki nasze i prawidła zachowania się naszego były wciąż odmienne, a stosowały się do żądań Tu znajdowaliśmy się w małym dystrykcie Sinjanga, posiadającym nie więcej, jak 2,000 mieszkańców. Naczelnik i jego podkomendni byli tak dumni ze swego małego państwa, jak monarcha i senat wielkiego mocarstwa, a chociaż znali swoją słabość i wiedzieli, że niemądra zaczepka może wywołać ich klęskę, mimo to w zwykły sposób zażądali daniny, którą zapłaciliśmy obficie i ze słowy przyjaźni. Naczelnik odpowiedział również grzecznie i przysłał nam podarek, aby dowieść nam swojej łaski, poczem ludzie jego przybywali do obozu, aby zboże i inne produkty wymieniać na sukno i perły, przyczem pomiędzy krajowcami a naszymi ludźmi zawarto niejedną przyjaźń i braterstwo.

Natomiast krajowcy z Urima i Nera wpadli na nas już na samej granicy, jak wilki, z okrzykami wojennymi i obrażającymi gestami. Po bokach kolumny tłoczyli się hałaśliwi wojownicy, sztydzący młodzieńcy i kpiące dziewczyny; oburzali nas swojemi ruchami, a uszy nasze obrażali bezwstydnem wyciem i dzikiemi pogróżkami. Wszystko to można znieść obojętnie; słowa nie ranią, ale czynią oględniejszym, powściągliwszym. Po przybyciu naszym do obozu, tłumy powiększyły się; grupa hałaśliwych chłopaków czepia się naszych namiotów, potrząsa bronią, dmie w przerażliwe flety wojenne; dokucza nam straszliwie. Wszystko to jest następstwem mniemania, że powolność znaczy tyle, co obawa. Oglądają się wokoło i widzą, że jest ich cztery razy tyle, co nas i szepcą do siebie: Jaka szkoda,

że nie możemy rozpocząć kłótni; porwałbym to sukno, ten karabin, albo rzeczy z tamtej skrzyni itd". Naczelnika pożera pragnienie i ufając zapewnieniom, że łatwo spór rozpocząć, daje się nakłonić do kroku nieroztropnego, a kiedy już zapóźno, żałuje błędu, ale nie samego faktu.

Kiedy przed laty 15 szedłem przez Uzukuma, zapłaciłem naczelnikom nie więcej, jak 10 do 12 kawałków sukna i w zamian za to otrzy mywałem dobrego wołu lub kilka kóz; od tego czasu jednakże szli do jeziora Wiktorya jeden misyonarz po drugim, Anglicy i Francuzi, karawany arabskie, a każdy naczelnik podniósł haracz na 300 doti sukna = 90 funt. sterl. za każdy podwładny dystrykt. W trzech dystryktach takich misyonarze francuscy musieli zapłacić 900 doti sukna = 270 funtów sterl. 270 funtów w czasie trzech dni marszu. Za to sukno można kupić karabiny, które krajowców czynią jeszcze gwałtowniejszymi wobec misyonarzy, a następstwem tych stosunków będzie to, że za niewiele lat naczelnicy małych szczepów będą żądali każdego skrawka sukna, znajdującego się u karawany i tę ostatnią zatrzymają tak długo, póki haracz nie będzie zapłacony, tak jak w Uzui zatrzymano niedawno karawanę, rozporządzającą 150 karabinami.

— Chambi Mbja—przezvisko Araba, który przed dwoma laty obozował w Nera — powracał z kością słoniową przez Uganda i zapłacił haracz. Wkrótce potem pomiędzy jedną z kobiet z obozu a pasterzem powstał drobny, osobisty spór o to, kto ma otrzymać naprzód wodę ze studni: kobieta, czy bydło. Pasterz wzniósł okrzyk wojenny, a następstwem tego było to, że wyrzućto całą karawanę, mężczyzn, kobiety i dzieci.

Opowiadano mi, że misyonarzy Ashe'go i Walkera jeden z tych małych naczelników porwał i trzymał tak długo, póki p. Mackay nie zapłacił okupu za nich. P. Stokes, który ze względu na swój handel kością słoniową, jak

niejeden Arab przed nim, musi być cierpliwym, przeżył wiele nieszczęśliwych godzin, widząc, jak tragarze jego towar porzucali i uciekali przed tłumem hałaśliwych opryszków. Misyjonarze francuscy porzucili swoją stację w Uzambiro i przenieśli się do Bukumbi; p. Mackay opuścił Msalala i założył stację w Makolo. Gdyby krajowcy ci mieli tylko trochę rozumu i wstydu, byłiby dokuczliwością i wyludzeniem nie zmuszali do usuwania się misjonarzy, którzy obchodzili się z nimi tak szlachetnie.

D. 4-go października przybyliśmy do *bomy* pana Stokesa w kraju jego przyjaciela Mittinginja. Stolica króla leży w odległości  $1\frac{1}{4}$  km. na południowy wschód i jest otoczona czworobocznem ogrodzeniem. Kule mogą tu przez całe tygodnie padać na wały, a nie zrobią nic złego ludziom, znajdującym się wewnątrz, a jeżeli obrońcy będą posiadali dostateczną ilość opału, żywności i wody, tudzież czujność, ich warownia będzie niezdobyta, chyba że nieprzyjaciel przywiezie armaty. Dystrykt Uzongo, będący pod panowaniem Mittinginja, jest dość gęsto obsiany takimi warowniami, pomiędzy którymi nie zatrzymuje oka ani krzak ani roślina, prócz kilku starych drzew.

Naczelnik albo posiada zdolność zamieszania się w spór z sąsiadami, albo też oni są nadzwyczaj niespokojni, albo obie strony są burzliwe. Na północ mieszka naczelnik Simba; na zachód mieszkają murzyni z Ujogu, po za tymi Kapera, tudzież sprzyjażnieni z nim Watuta czy Waugoni, Zulusi podrównikowi; na południe mieszkają rozbójnicy Wataturu, potomkowie Somalów, a na północny wschód Wandui; przypadkiem wpadliśmy w sam środek tego gniazda złośliwych plemion, pociągnięci pogłoskami o dobrośliwości króla Mittinginja i nadzieją, że znajdziemy tu tragarzy dla wiecznie wyrzekających Egipcyan.

Aby na panujący tu niepokój jeszcze większy nacisk położyć, naczelnik zaprosił do siebie hordę dzikich Massai

z dystryktu Lyteri na zachód od góry Kilima.—Ndjaro, aby byli mu pomocni w przeprowadzeniu ambitnego projektu. Massaiowie odznaczyli się w walce przeciw Zulusom Watuta, a plemieniu Wandui zamknięto już usta. Kiedy Massai zobaczyli, że my spokojni obcy posiadamy osły, przywłaszczyli sobie bez ceremonii cztery z nich, lecz zmusiliśmy ich do oddania zwierząt, a po ośmiodniowym wypożyczeniu mogliśmy opuścić przyjaciela p. Stokesa, tudzież jego brzęczących szerszeni i zabrać 20 tragarzy dla niesienia Egipcyan, nie wmieszawszy się w walkę.

D. 17 października przybyliśmy do Ikungu, gdzie dopędzili nas dwaj misjonarze francuscy: o. Girault i o. Schynse, \*) którzy jako chorzy powracali do domu i pragnęli korzystać z naszego towarzystwa w podróży do wybrzeża.

Naokoło krzaków euforbii, otaczających wieś naczelnika, leżało przeszło sto czaszek ludzkich, całe zaś sąsiedztwo było zasiane niezliczonemi kośćmi i ich członkami. Na pytanie, jakie nieszczęście zdarzyło się tutaj, odpowiedziano mi, że czaszki te są pozostałością przeszło 400 osób liczącego plemienia Wanjaturu, które uciekło z Ituru do

---

\*) O. Girault uważał wyświadczone mu przez nas publicznie i prywatnie grzeczności, lecz o. Schynse, jak to z przykrością wyznać muszę, przybrał ton nam nieprzyjazny. Przyjęliśmy ich z otwartemi ramionami i tak ich samych, jak i ich ludzi zaopatrywaliśmy w mięso aż do wybrzeża. Zapłaciliśmy plemieniu Wagogo haracz za nich. Zapraszani byli na każdą ucztę, w których braliśmy udział w Itagamoyo i w Zanzibarze, a angielski konsul generalny, pułkownik Euan Smith, zaszczycał ich uprzejmą gościnnością. Tymczasem o. Schynse, jak sam opowiada, skorzystał z kilku skarg, jakie basza w czasie znużenia wskutek trudu wypowiedział, aby pomiędzy baszą a mną doprowadzić do zerwania, donosząc mi o kilku krytycznych uwagach, jakie nasi oficerowie mieli uczynić o charakterze Egipcyan, a czem nader drażliwa natura Eminę czuła się dotkniętą. Wrażenie, jakie osobistość ta na mnie wywarła, sprawdziło się zatem

Ikungu, by uniknąć śmierci głodowej. To, co przynieśli ze sobą, wydali wkrótce za żywność, a kiedy tę zjedzono, musieli sprzedawać najpierw dzieci a potem żony, a kiedy nic im już nie pozostało, pomarli. Dzieci miały barwę mulatów i były o wiele inteligentniejsze od dzieci Wanjamwezi.

Spotkaliśmy tu idącą z Zanzibaru karawanę Tippu-Tiba; znajdujący się przy niej Manjemowie opowiadali, że wojna pomiędzy Niemcami a Arabami na wybrzeżu trwa dalej, lecz że Niemcy odnieśli już kilka zwycięstw.

D. 26 października przybyliśmy do Muhalala, a dnia 8 listopada do Ugogo. Niema w Afryce kraju, któryby interesował mnie więcej, jak ten; okolica to pełna sporów, waśni, które każdemu podróżnikowi codziennie życie zaturwiają. Inni murzyni nie potrafią podróżnikowi tak dokuczać, jak oni; można by sądzić, że gdzieś w Ugogo istnieje szkoła, w której naczelników, chytrych jak lisy, uczą podstępów i złośliwości. Przed 19 laty patrzyłem na kraj ten okiem pożądliwem i widziałem w nim pole, którego zyskanie godnem jest wysiłków. Byłem przekonany, że w przeciągu sześciu miesięcy Ugogo można zamienić na kraj spokojny i dobrze zorganizowany i bez wielkich trudów uczynić go rajem dla mieszkańców i obcych. Przybywszy do Ugogo, przekonałem się, że nadzieje moje spełzły na zawsze. Przeznaczeniem Niemców będzie dokonać tu tego wszystkiego i zazdroszczę im z tego powodu; dla mnie smutną była wiadomość, że nigdy nie będzie mojem zadaniem oczyszczanie tej kloaki zbrodniczych namiętności, upokorzenie zuchwalstwa naczelników Wagogo i uczynienie kraju tego czystym, zdrowym i nawet pod względem wyglądu pięknym. Chociaż usiłowaniom Niemców towarzyszą zawsze moje najlepsze życzenia, to jednak w duszy mojej odzywa się wątpliwość, czy z Ugogo będzie można



uczynić piękny kraj i spokojny, jak to wymarzyłem go sobie w snach moich.

Po dwóch dniach marszu z Ugogo dotarliśmy do niemieckiej stacyi Mpuapua, gdzie powitał nas porucznik Roch Schmidt, którego major Wissman, cesarski komisarz w niemieckiej Afryce wschodniej, wysłał dla towarzyszenia nam i który przybył tu już przed miesiącem. Zbudował on już nawet mur kamienny naokoło swego obozu, w którym znajdowało się 100 Zulusów. Obóz zbudowany był na punkcie dominującym, ale wystawionym na wiatr. Miejsce to zaszkodzi niejednemu białemu oficerowi, którego spotkało to nieszczęście, że zostanie mianowany komendantem w Mpuapua.

Tu odwiedził nas szanowny Price; obecność jego nastąpiła nam kilka korzyści, a mianowicie od niego to otrzymaliśmy rocznik tygodniowego wydania „Timesa”. Kiedy przeglądałem stronicę obszernej historii upłynionego roku, nie nie wywierało na mnie większego wrażenia, jak gładkie i równe tory, w których posuwały się wypadki, nie chwając się, ani nawet nie drgając widzialnie. Staby łoskot jadącego po szynach pociągu kolejowego przypomina uchu, że świat stoi jeszcze bezpieczny. Anglia stała jeszcze wśród szarego morza na kotwicy; państwo indyjskie było, gdzie być miało; Europa bawiła się pokojowym ćwiczeniem wojska, a Ameryka sprzątała swoje wyborne żniwa i piwnice swego skarbcza wypełniała sztabami złota i srebra.

D. 17 listopada wyprawa w towarzystwie porucznika Schmidta, w liczbie około 700 ludzi, poszła z Mpuapua do wybrzeża, a w pięć dni później widok pustyni zamieniła na obraz pięknego kraju, w którym rozchodziła się woń lilij. Wkrótce dotarliśmy do równiny Makata, której zieloność trawy, miłe cieniste drzewa i liczne grupy wsi wywołały entuzjazm u naszych oficerów. Pewien misyonarz francu-

ski, osiadły w pobliżu Ferahani u podnóża gór, przyniósł nam tu kilka pożądanych przedmiotów wraz z życzeniami misyi.

W Viansi, o dwa dni marszu dalej, otrzymaliśmy nadesłane przez majora Wissmana zapasy, składające się z takiej ilości artykułów spożywczych, jaką zebrać może tylko doświadczony badacz, który wie, co cení się najwięcej; wszystko przybyło w takiej obfitości, że odtąd stoły nasze aż do chwili przybycia do wybrzeża były zastawiane zbytkownie.

D. 23 listopada przybyliśmy do Simbamwenni, miasta, złożonego z około 400 stożkowych domów, a otoczonego murem glinianym. W czasie wypoczynku naszego naza-jutrz porucznik Schmidt towarzyszył Eminowi baszy w wycieczce, celem odwiedzenia poczciwych ojców z misyi francuskiej św. Ducha, którzy pracę swoją w Morogoro rozpoczęli z taką rozwagą, jaka osadę ich w Bagamoyo sławną uczyniła. Hodują pomarańcze, mangos, banany, wanilię, cynamon, kawę i prawie wszystkie owoce, udające się w okolicach podzwrotnikowych, a przez terytorjum swoje przeprowadzili czystą i obfitą w wodę rzeczkę.

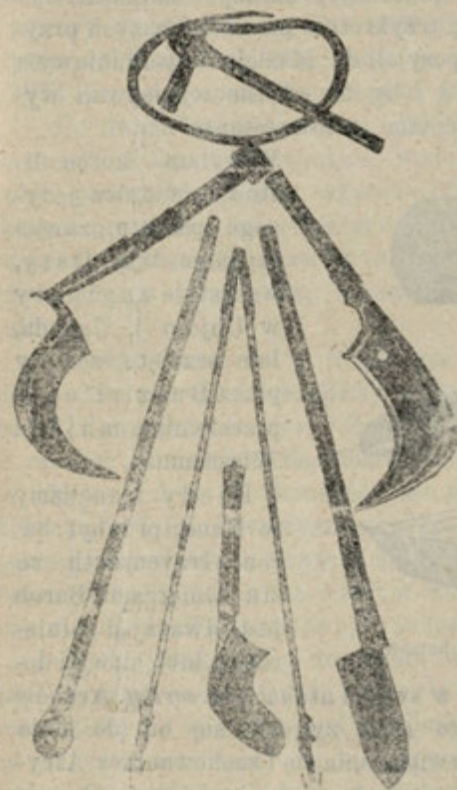
Porucznik Schmidt opowiadał mi, że zdziwiło go to, iż ojcowie w swem nadzwyczajnem oddawaniu się obowiązkom religijnym nie wiedzieli zupełnie o historyi jego słynnego towarzysza. Jeden z ojców, patrząc ze zdziwieniem na baszę, szepnął do Schmidta: „Czy on mówi tylko po arabsku?” a zdziwił się niepomiernie, kiedy z zapalem, właściwym młodemu oficerom niemieckim, powiedziano mu, że Emin mówi nietylko po arabsku, ale również dobrze po francusku, angielsku, niemiecku, turecku, włosku albo grecku, i że jest Niemcem \*) z pochodzenia.

---

\*) Emin basza pochodzi właściwie z rodziny żydowskiej, zamieszkałej na Górnym Szląsku. (Przyp. tłumacza).

— Istotnie? Czy wyprawa jego jest kupiecką, naukową czy wojskową?

Porucznik Schmidt, zdziwiony zupełnym brakiem wiadomości u pobożnych zakonników, musiał opowiadać całą historję, z której misjonarz dowiedział się dopiero poraz pierwszy, co spowodowało moje trzecie przybycie do tej okolicy.



Broń Wahumów.

nawet ludzi świeckich, którzy o Afryce wiedzą tak mało, jak biskupi jak np. ów minister angielski, który przyjmując deputacyę kupców z Manchesteru, żółnąc się na nieporozumienia, powstałe nad Nigrem, wskazał mapę Afry-

Prosiłem baszę, którego historia ta bawiła, by się pocieszył i w tym celu opowiedziałem mu, jak pewien kanonik opactwa westminsterskiego przedstawiał miie pewnemu bardzo znanemu biskupowi, jako człowieka, który zrobił trochę dobrego w Kongo. Biskup myślał przez minutę, poczem spytał:

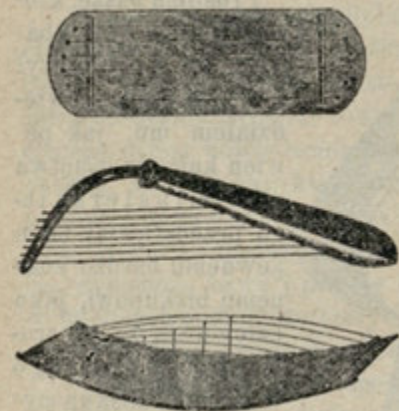
— Ach istotnie, to bardzo zajmujące. Ale powiedz mi pan, proszę, gdzie leży Kongo? Zresztą można znaleźć

ki i prosił mówcę, by był łaskaw pokazać mu rzekę, która ma takie znaczenie dla wielkiego miasta Manchesteru.

D. 27 listopada przybyliśmy do Ungerengeri, gdzie poraz pierwszy otrzymaliśmy listy. Jeszcze nigdy przesyłki pocztowe w Afryce nie były narażane na takie wypadki, jak listy do nas; trzykrotnie prosiłem naszych przyjaciół, by listy do nas posyłali do Msalala na południowym brzegu jeziora Wiktorya i by na adresie wypisywali wyraźnie, że mają pozostać tam „poste restante”.

Wysyłano korce listów, ale prócz jednego pakietu, zawierającego trzy listy, wszystkie zaginęły w Unjoro i Uganda, lub przejęte zostały przez Busziri'ego, przeciwnika majora Wissmanna.

Kiedy stanęliśmy w Msua, przybył baron Gravenreuth ze stu żołnierzami. Baron jest odważnym żołnierzem, lubi bitwy i do-



Instrumenta muzyczne Wahumów.

wiódł wielkiego sprytu w swoich atakach na *seriby* Arabów nadbrzeżnych. Pewnego razu zwrócił się on do mnie z zapytaniem co do wyekwipowania się i zachowania w Afryce, na co ja dałem mu ojcowską radę, by przeczytał moją książkę o Kongo i o utworzeniu państwa Kongo. On odpowiedział: „Rady tej, z przyjemnością wyznać to muszę, usłuchałem już”.

Wkrótce potem zjawili się dwaj korespondenci dzienników amerykańskich: p. Tomasz Stevens i p. Edmund

Vizetelly, reprezentant „New - York Herald”. Ostatni przywiózł pewną liczbę dobrze dobranych artykułów dla naszej wygody osobistej, tudzież rozmaite artykuły spożywcze a to na polecenie p. Jamesa Gordona Bennetta, wydawcy dziennika, z którego polecenia odbyłem dwie poprzednie wyprawy do Afryki, zaś w r. 1867-ym i 1868-ym towarzyszyłem sir Robertowi Napierowi do Abissynii a w r. 1873 i 1874 sir Garnetowi Wolseleyowi do Aszanti.

Po dwóch dniach marszu z Msua spotkała nas wyprawa angielskiego towarzystwa wschodnio - afrykańskiego, które przysłało na nasz użytek 170 tobołów ryżu i 25 skrzyń prowiantu europejskiego, garderobę i obuwie, tak że każdy uczestnik wyprawy otrzymał 23 funty ryżu, tudzież porcyę soli, cukru, konserwów owocowych i biscuits.

Kiedy wieczorem d. 2 grudnia bawiliśmy się przy świetle księżyca, usłyszeliśmy strzał armatni. Był to strzał, dawany co wieczór w Zanzibarze; wywołał on okrzyki radości u naszych Zanzibarczyków, gdyż zwiastował, że długa podróż po kontynencie już się kończy. Także Egipcyanie i ich towarzysze przyłączyli się do okrzyków radości, zaświtała im bowiem nadzieja, że w przeciągu 24 godzin zobaczą ocean, na którym wśród wygod i próżniactwa pojedą do Egiptu i swojej przyszłej ojczyzny.

Kiedy przybyliśmy do przeprawy przez rzekę Kingani, przybył powitać nas major Wissmann. Tu miałem poraz pierwszy zaszczyt być przedstawionym koledze, który naprzód odznaczał się w usługach towarzystwa międzynarodowego w głównej kwaterze nad rzeką Kassai, podczas gdy ja byłem zatrudniony zakładaniem stacyj nad główną rzeką. Przybywszy na prawy brzeg rzeki Kingani, zastaliśmy konie osiodłane, poczem komendę nad oddziałem oddałem porucznikowi Stairsowi, podczas gdy major Wissman i porucznik Schmidt towarzyszyli Eminowi

baszy i mnie do Bagamoyo. W tem mieście nadbrzeżnem, którego ulice przystrojone są gałązkami palmowemi, powitała nas ludność z plemion Bamiana i Hindu, tudzież wielu walecznych oficerów niemieckich, którzy dzielili trudy i niebezpieczeństwa zązartego boju, jaki major Wissmann z tak dobrze zasłużonym rezultatem prowadził przeciw niezadowolonym Arabom Afryki Wschodniej. Wkrótce potem przybyliśmy na plac bateryowy, leżący przed główną kwaterą majora; po lewej, tuż w pobliżu rozpościerał się ocean Indyjski, jedna wielka, jasna tafla niebieska.

— A więc, baszo—rzekłem—jesteśmy w domu.

— Tak, Bogu dzięki—odparł.

W teje chwili zagrzmiały strzały, dane na cześć jego przez baterję i okrętom wojennym, stojącym na kotwicy, oznajmiły, że do Bagamoyo przybył Emin, gubernator prowincyi równikowej.

Zsiedliśmy z koni przed drzwiami klubu oficerów niemieckich, poczem zaprowadzono nas na werendę, mającą 14 m. długości, a  $7\frac{1}{2}$  m. szerokości, zamienioną na altanę palmową, przyozdobioną pięknie gałązkami palmowemi i niemieckimi flagami. Stało tam kilka nakrytych stołów okrągłych, a na szerokim bufecie przygotowano wyborne śniadanie; ponieważ nie ufałem skutkom pięknego szampa na po tak długiej nieobecności, rozcieńczałem go wodą. Basza nie był nigdy tak wesół, jak tego popołudnia, kiedy otoczony swoimi przyjaciółmi i rodakami odpowiadał na tysiące pytań co do życia, jakie prowadził w czasie tak długiego wygnania w Afryce.

O godz. 4-ej po południu oddział nasz, dobrze się prezentujący, wszedł do miasta. Ludzi zaprowadzono do chat, wzniesionych w pobliżu wybrzeża. Kiedy tragarze rzucili na ziemię swoje toboły, a długi szereg hamaków, poraz ostatni wypróżnił się ze swej smutnej zawartości chorych mężczyzn i kobiet, tudzież słabowitych dzieci, za-

pewne wszyscy, tak jak ja, odejchnęli swobodniej i zrozumieli wybornie, co znaczy to przybycie na brzeg morza.

O godz. 7 $\frac{1}{2}$  wieczorem miał odbyć się bankiet. Kiedy wchodziliśmy po wschodach do szerokiej werendy, basza poszedł do swoich pokojów przebrać się. Zgromadziliśmy się w liczbie 34 osób: wicekonsul angielski, p. Churchill, konsul niemiecki i włoski, kapitan Brackenbury z angielskiego okrętu wojennego „Turquoise” i komendant Mackenzie Frazer z angielskiego okrętu „Somali”, sędzia konsularny, kapitanowie Voss i Hirschberg z okrętów niemieckich „Sperber” i „Schwalbe”, oficerowie sztabu komisarza cesarskiego, Emin basza, kap. Casati, kap. Nelson, porucznik Stairs, dr Parke, kap. Jephson i Bonny, oo. Etienne i Schmidt z misyi w Bagamoyo, Girault i Schynse z misyi algierskiej, urzędnicy niemieckiego Tow. wschodnio-afrykańskiego, baron St. Paul—Illaire, p. W. H. W. Nicoll z angielskiego Tow. wschodnio-afrykańskiego, kapitan floty komisarza cesarskiego itd.

Zjawiała się także kapela okrętu „Schwalbe”, aby uświetnić ten niezwykły w Bagamoyo wypadek.

Skoro goście zgromadzili się, major Wissmann wprowadził ich do długiej jadalni, na jaką zamieniony został środkowy pokój budynku. Podczas gdy my siedzieliśmy przy bankiecie, Zanzibarczycy, niestrudzone istoty, święcili na ulicy wprost pod werendą koniec krytycznych czasów ze zwierzęcą energią ożywionymi tańcami i głośnym śpiewem. Uczta składała się ze zwykłej ilości potraw, lecz nie jestem w stanie opisać jej; zdawało mi się, że jak na Bagamoyo, była wspaniałą i tylko przez delikatność nie spytałem Wissmana, z kąd wziął kucharza i w jaki sposób tego wszystkiego dokazał. Uczta ta była bez przesady tryumfem; wina wyborne, dobrze dobrane i ochłodzone, ale gdyby pod ręką nie było podostatkiem wody selterskiej, aby je z nią zmieszać, nie byłbym w stanie opo-

wiedzieć o jej dobroci. Zapomniałem o ceremonii, jaka po ucztach takich zazwyczaj następuje; ale kiedy zegar wskazywał godzinę 9, muzyka umilkła, a major Wissmann powstał, domyśliłem się, że osądziwszy życzliwie trudności, na jakie wyprawa nasza napotykała, zaproponuje towarzystwu, aby wypilo za zdrowie gości, Emina baszy, kapitana Casatięgo, pana Stanley'a i oficerów wyprawy, którzy w dniu dzisiejszym pracę swoją ukończyli. Dzielny major, jak się spodziewałem, wypowiedział mowę, której każde zdanie było dobrze obmyślane, nader miłe i niezrównanie serdeczne, poczem towarzystwo powstało, aby toast wzmocnić głośnym okrzykiem.

Punkty mojej odpowiedzi były następujące: najpierw, że podejmując się spieszyć na ratunek baszy, nie wiedziałem, że Emin basza jest Niemcem; myśli nasze były skierowane głównie na narażonego na takie niebezpieczeństwa gubernatora, który prowincyi swojej bronił z uporem, odwagą i roztropnością przeciw napadom dzikich fanatyków, którzy usunęli już wszelki ślad cywilizacyi z Sudanu. Po drugie, ponieważ poprzednie wyprawy dowiodły, że celu dopiąć można stanowczą a dobrą wolą, przez niez mordowane wysiłki i nieustanne starania, towarzysze moi i ja, jak ludzie, jedną myślą przejęci, bez szemrania wytężali wszelkie siły moralne i fizyczne, byle tylko dopiąć celu. Po trzecie, ponieważ świat wychowuje ludzi tak, by nie dbali o jego pochwałę lub naganę, ponieważ ani doskonałość, ani poświęcenie nie jest w stanie zyskać jego względów, najbezpieczniej zatem szukać uznania u własnego sumienia. Po czwarte, Bóg to kierował wypadkami tak, jak to uznawał za dobre. Emin jest tutaj, Casati jest tutaj; ja i moi przyjaciele jesteśmy tu wszyscy, a więc, przyznajemy, że cieszymy się najzupełniej, iż tymczasem skończyły się przynajmniej codzienne marsze i trudy".

Basza wygłosił swoją mowę ze skończoną wymową



i głosem dźwięcznym; słowa jego, jasne i gramatyczne, zadziwiły towarzystwo w sposób przyjemny i były wyrazem wdzięczności dla wspaniałomyślnych Anglików, którzy o nim pamiętali, dla niemieckich rodaków za zgotowane mu przyjęcie i dla J. C. M. cesarza Wilhelma II za jego telegram powitalny.

W towarzystwie panowała ogólna wesołość. Przewszystkiem zaś basza był wesół i szczęśliwy. Chodził od jednego końca stołu do drugiego, tu pochylając się do o. Etienne, tam znów zamieniając niewinne żarty z d-rem Parke i wielu innymi, podczas gdy ja byłem zajęty opowiadaniem Wissmanna o ostatnich wypadkach wojennych na wybrzeżu wschodnim.

Nagle mój służący Sali szepnął mi do ucha, że basza spadł. Rozumiałem to tak, że basza potknął się o krzesło; Sali widząc, że nie pojmuję powagi wypadku, dodał:

— Spadł przez mur werendy na ulicę i jest niebezpiecznie ranny.

O bankiecie natychmiast zapomniano. Sali sprowadził mnie po schodach na ulicę, gdzie w odległości 6 metrów od miejsca, w którym spadł basza, ujrzałem dwie małe kałuże krwi. Zdaje się, że nieszczęście zdarzyło się zaledwie w kwadrans po ukończeniu jego mowy, a następnie upłynęło znów kilka minut, zanim mi o tem doniesiono, ponieważ baszę już podniesiono, oblano mu głowę wodą, aby przywrócić go do przytomności, a następnie zanieśiono go do szpitala niemieckiego, gdy tymczasem tańce i śpiewy krajowców trwały dalej bez przerwy.

Śpiesząc za przewodnikiem, złamany zupełnie tem nagłym przejściem z wesołości do smutku, z radości do żałoby, z postaci wyprostowanej, jaśniejszej radością i szczęściem, do spokojnego ciała, znajdującego się nad grobem, wpadłem do szpitala, gdzie u drzwi spotkałem oficera niemieckiego, który podniesionymi rękami wyrażał wrażenie, jakie wywarł na niego nieszczęśliwy basza.

Na górze wskazano mi łóżko, otoczone przez wylęknioną grupę. Ujrzałem na niem do połowy rozebrane ciało baszy, prawy bok głowy i prawe oko przykryte mokrym bandażem. Podniosłem jeden róg wilgotnego bandaża i widziałem, że prawe oko wskutek spuchnięcia było przymknięte, a bandaż zaróżowił się krwią z ucha wypływającą.

Nikt nie mógł opowiedzieć dokładnie szczegółów wypadku; utrzymywało się jednak ogólnie przekonanie, że basza na pół niewidomy, wyszedł zanadto prędkim krokiem na werendę, na której jedliśmy śniadanie, aby przypatrzeć się tańczącym przy świetle księżyca krajowcom, przechylił się zanadto, i zanim mógł odzyskać równo wagę, spadł na dach cynkowy, a ztąd na ulicę z wysokości  $4\frac{1}{2}$  metra. Poręcznik Roch Schmidt został natychmiast zawiadomiony o wypadku i wybiegł na ulicę, gdzie zastał baszę nieprzytomnego, i oblał mu głowę zimną wodą, aby go czucić. Kiedy mu się to nie udało, kazał zanieść go do szpitala.

Nazajutrz doniósł mi d-r Parke, że basza aż do świ-tu był zupełnie nieprzytomny, że jednakże wypadku, chociaż jest poważny, nie trzeba uważać za niebezpieczny, ponieważ baszę badał, ale nie odkrył pęknięcia czaszki. Krew płynie z ucha z powodu naruszenia arteryi; jeżeli nie pojawi się zapalenie, będzie mógł jechać dalej za dni 10 bardzo wygodnie. Basza potłukł się mocno na prawym boku i na grzbiecie i cierpi wielkie bóle.

Dwaj lekarze z niemieckich okrętów wojennych orzekli jednakże, że po dokładnem zbadaniu przyszli do przekonania, że stan baszy jest bardzo niebezpieczny, ponieważ u podstawy czaszki jest nieznaczne pęknięcie, a w takich wypadkach tylko 20% chorych odzyskuje zdrowie.

W Bagamoyo nie było ani jednego Europejczyka, któryby nie zmartwił się bardzo smutnym wypadkiem. Co nie udało się emirowi Keremallah i jego fanatykom, set

kom dzikich plemion murzyńskich, sprzysiężonym i zbuntowanym żołnierzom, tudzież czterystoletniemu pobytowi wśród podnownikowych upałów, dokonała niewinna gościnność.

D. 6 grudnia ludzie nasi wsiedli na pokład okrętu angielskiego „Somali”, tudzież trzech parowców majora Wissmanna, a o godz. 9-ej rano uformowała się flota, złożona z angielskiego okrętu wojennego „Turquoise”, z kap. Brackenbury, porucznikiem Stairsem, majorem Wissmanem i pp. Jepsonem i Bonnym na pokładzie; z „Sperbera” z kap. Vossem, mną, kap. Nelsonem i czterema misyjonarzami algierskimi na pokładzie; z okrętu „Schwalbe” z kap. Hirschbergem; z okrętu wojennego angielskiego „Somali” pod komendą Frasera i z trzech parowców Wissmanna. Flota ta podniosła kotwicę i wyruszyła do Zanzibaru. Jasne, modre morze było wspaniałe. Oddychaliśmy głęboko powietrzem czystym, wolnem od zarazków choroby i miazmatów, Ach, jak lekko było mi na sercu, że nie powstawałem już co rana wśród setki chorych i rozpaczających ludzi, skarżących się na niedostatek, i żebrzących o pomoc; że ustały już codzienne sceny choroby, cierpienia i nędzy, ustawiczne męczarnie, na jakie karawana była narażona przez czas tak długi, że wydawał się nam wiekiem, dłuższym, niż myśleliśmy wówczas, kiedy lekkim sercem podejmowaliśmy się misji wyratowania Emina bazy z prowincyi równikowej.

A teraz chciałbym pomówić trochę z wyniosłością. Świadomi tego, co wiedzą moi towarzysze i ja, mamy mocne przekonanie, że cokolwiekby ludzie ze złości, zazdrości lub zawiści powiedzieli, to przecież nawet najsurowsze przesłuchanie świadków przed sądem nie wykaże nic innego, jak tylko jeszcze zupełniejsze uznanie i wyższe ocenienie ofiar i poważnych usiłowań, jakie poświęciliśmy dobrowolnie i bez wynagrodzenia, byle tylko przyjść z po-

mocą Eminowi baszy, kap. Casatiemu i kilku setkom ich towarzyszy. Poświęcając dobrowolnie i z ochotą czas, pieniądze, lata, siły, zdrowie, życie, wszystko, nie myśląc nawet o wynagrodzeniu, które, jeżeli nawet zostało udzielone, wcale na należą, te wynagrodzenie ofiar wystarczyć nie mogło. Czemże dla człowieka są bankiety? Okruszyna chleba, kawał mięsa i filiżanka herbaty są uczta dla tego, kto przez większą część 23 lat nie miał nawet tyle, by kupić sobie obiad za szylinga codziennie.

Przyjęcia? To zaszczyty, przed którymi radbym wprost umykać, ponieważ zdaje mi się, że jestem złym mówcą, a natura nie obdarzyła mnie przymiotem radowania się mowami.

Ordery? Nie mogę nosić ich, a nawet przyjemność przypatrywania się im w czasie długiej nieobecności była mi odmówioną.

Cóż więc? Nic. Żaden zgoła zaszczyt, ani nagroda, chociażby były bardzo wielkie, nie mogą równać się owemu zadowoleniu, jakie czuje człowiek, który może na dzieło swoje wskazać i powiedzieć: „Patrz, oto dzieło, jakiego dokonałem dzisiaj, wiernie i uczciwie, z potęgą i siłą, przy pomocy wszelkich zdolności moich i z wolą Bożą“. A jeżeli pracodawca przyzna wówczas, że dzieło jest dobrem, czyż może być większa nagroda od przeświadczenia własnego sumienia?

Rano odwiedziłem baszę i zastałem go wśród niepokoju i cierpień.

— Cóż, baszo — rzekłem — wszak nie przypuszczasz pan, byś mógł umrzeć tutaj, nieprawda?

— O nie! Tak źle jeszcze ze mną nie jest — odparł i potrząsnął głową.

— Po tem, co widziałem, baszo, i ja mam takie samo przekonanie. Człowiek, posiadający pękniętą czaszkę, nie mógłby poruszać głową w ten sposób. Żegnam pana.

Dr. Parke pozostanie przy panu, dopóki go pan nie uwolnisz; mam nadzieję, że codziennie odbierać będę od niego dobre wiadomości.

Podaliśmy sobie ręce; odszedłem.

Dziwne to, ale prawdziwe. Emin basza, który dopóki był we wnętrzu Afryki, był przejęty duchem kosmopolitycznym, w przeciągu kilku dni zmienił się zupełnie. Jeszcze rano, przed naszym przybyciem do Bagamoyo, powiedziałem do niego: „Wkrótce, baszo, będziesz pan pomiędzy swoimi ziomkami; ale kiedy dumnym i szczęśliwym będziesz z tego, że się znów pomiędzy nimi znajdziesz, nie zapominaj, że to Anglicy w czasie pańskich kłopotów pierwsi usłyszeli pańskie wołanie i że to angielskie pieniądze umożliwiły tym młodym Anglikom ocalić pana przed barbarzyńcami z Chartumu“.

— Nigdy, nie obawiaj się pan o to — odparł basza.

Jak słyszę, dr. Parke, musi znosić wiele nieprzyjemności. Kiedy w końcu sam zachorował, z narażeniem jego życia przewieziono go do szpitala francuskiego w Zanzibarze, gdzie leżał w stanie, tak mało budzącym nadzieję, jak Emin zaraz po wypadku. Na szczęście, wkrótce opuściła go choroba, której nabawił się w czasie opieki przy łóżu baszy.

Ponieważ z Bagamoyo nadchodziły wieści coraz bardziej niezadawalniające, posłałem tam mojego służącego Sał'ego. Tenże powróciwszy z odwiedzin baszy, powiedział, że grożono mu, iż prędko się z nim rozprawią, jeżeli jeszcze kiedy przybędzie do Bagamoyo. Od tej pory nie otrzymałem już od Emina żadnej zgola wiadomości.

Kiedy byłem zajęty pisaniem ostatniego rozdziału tej książki, doniesiono, że Emin basza wstąpił w służbę niemieckiego rządu w Afryce Wschodniej. Przekonanie, że mógłby to zrobić, było przyczyną, że w dniu 4-ym grudnia przypomniałem mu, że to angielskie pieniądze umożliwiły

naszej wyprawie pochód celem dania mu pomocy i oswobodzenia go. Że w końcu wolał służyć Niemcom a nie Anglii, zdaje się być rzeczą całkiem naturalną, a jednak doniesienie owe było niespodzianką dla jego licznych, gorących a bezinteresownych przyjaciół, do których i my zaliczać się możemy.

Pomiędzy wręczonemi mi przez angielskie ministerjum spraw zagranicznych kopiami listów, odnoszących się do Emina baszy i celów naszej wyprawy, znajduje się kopia listu, pisanego przez Emina do sir Johna, Kirk'a, w którym wystąpił on z ofertą odstąpienia prowincyi Anglii, chociaż podówczas nie otrzymał jeszcze od Kedywa upoważnienia do opuszczania tego kraju. Ogłoszenie listu tego w druku gniewało go bardzo, ponieważ pismo to rzucało nań oskarżenie, że starał się zdradzić rząd, któremu służył wrzekomo tak wiernie. Nie zjawił się jednak agent angielski, któryby miał prawo rokować z nim o oddanie prowincyi rządowi angielskiemu i zamianować go jeneralnym gubernatorem pod zwierzchnictwem angielskiem, ale przybyłem ja z doniesieniem, że rząd egipski za poradą angielskiego ambasadora w Kairo korzysta z naszej wyprawy, aby przesłać mu swoje życzenie, by z żołnierzami, którzy zechcą towarzyszyć mu, wycofał się z prowincyi równikowej, gdyż w przeciwnym razie będzie pozostawiony w tym kraju na własną odpowiedzialność. Kto interesuje się motywami, zrozumie łatwo pozorne wahanie się i niezdecydowanie się, z którymi walczył, kiedy spytałem go o jego zamiary. Dla niego bowiem nie mogło być nic mniej oczekiwanem i niepożądansem, od urzędowego pisma Kedywa i Nubara baszy, które wypowiadały postanowienie, by prowincyę opuścił, od zupełnego milczenia rządu angielskiego, angielskich filantropów i towarzystw kupieckich o przyszłości kraju, w którym on spędził tyle lat w zadowoleniu, chociaż nie w spokoju. Zamiast tego,

czego spodziewał się, przedstawiłem mu tylko ofertę króla Belgów, do której przywiązane były pewne warunki, które ofercie wszelką wartość dla niego odbierać się zdawały. Nie mógł zagwarantować dochodów, ponieważ wiedział lepiej, niż ktokolwiek inny, że w Aequatorii nie było ani rządu, ani prowincyi, a zatem nie można było zbierać tam dochodów. Następnie, jedynie na własną odpowiedzialność, zaproponowałem mu, by przyjął służbę w angielskiem towarzystwie wschodnio-afrykańskiem, ponieważ z jego listu do sir Johna Kirka wiedziałem, że moja oferta zbliża się bardziej do jego propozycyi, niż inne. Ponieważ nie będąc upoważnionym do tego, nie mogłem zapewnić mu posady, ale tylko ją przyrzec, że będę czynił wszystko, co się tylko da, byle pomysł mój urzeczywistnić, mogłem wydobyć od niego tylko to oświadczenie, że wolałby drugą ofertę, jest mu bowiem miłszą od powrotu do Egiptu lub służba w Państwie Kongo. A jednak, jak nam wiadomo, nie przyjął ostatecznie żadnej z dwóch ofert, ponieważ nie mógł powiedzieć, czy jego zbuntowani oficerowie chcą prowincyę opuścić, by pójść chociażby tylko do jeziora Wiktorya. Ponieważ misya moja polegała jedynie na tem, by Eminowi dowieźć amunicyę, lub pomódz mu w sposób, przez niego pożądanym i odpowiednim, wolno mi było przenieść oferty ze strony Włoch, Niemiec, Portugalii i Grecyi tak samo, jak z Belgii. Ale ponieważ Emin nie miał ochoty powracać do Egiptu i odrzucił ofiarowaną mu przez króla Leopolda posadę, a nie miał odwagi przyjąć służby u towarzystwa angielskiego, dopóki nie okaże się, czy ludzie jego zechcą towarzyszyć mu, był zmuszony powrócić do swojej prowincyi, by zbadać przekonania swoich oficerów i przy tej sposobności został złojony z urzędu i wzięty do niewoli. Kiedy jego oficerowie pozwolili mu udać się do naszego obozu, oddał się pod naszą opiekę i poszedł z nami do wybrzeża, tylko z tym

zwolennikami swoimi, których zmusiliśmy do tego, by mu w podróży służyli.

Dokonawszy misji naszej ze wszelkimi względami i uszanowaniem, dopóki działał, jako gubernator ważnej prowincyi i z wszelką życzliwością i pieczołowitością względem niego i jego rodziny w czasie pochodu 2,500 km., dopóki nie znalazł się w objęciach swoich ziomeków, mieliśmy powód być zdziwionymi, że wypadek w czasie bankietu w Bagamoyo zakończył znajomość naszą tak nagle i bez najmniejszego z jego strony uznania. Wiem, że trzykrotnie dotknąłem Emina. Poraz pierwszy było to dnia 5 go kwietnia, kiedy to po 52-dniowym powstrzymywaniu się, cierpliwość moja przebrała miarkę, ponieważ widziałem, że jest zupełnie niezdolny do powzięcia postanowienia, ani też do przyjęcia go odemnie. Jeszcze teraz, sama myśl o tem, wstrząsa mną. Powtóre, wyrok mój w sprawie z żoną Mohammeda nie był po myśli jego, a przecież, chociażby on był moim bratem a nawet dobrodziejem nie mógłbym postąpić inaczej, jak wydać najsurowszy wyrok, Poraz trzeci było to w Mtsora, kiedy to basza przybył do mnie, aby wytłumaczyć się z kilku zanadto gwałtownych wyrazów, jakich użył, a ja skorzystałem ze sposobności, by wypowiedzieć mu swoje zdanie.

— Tłumaczenie pańskie, baszo, przyjmuję bardzo chętnie — rzekłem — ale mam nadzieję, że pozwolisz, abyśmy ci ztąd aż do wybrzeża towarzyszyli jako gubernatorowi prowincyi Aequatoria, ale nie jako zepsutemu dziecku. Widzimy tylko z przykrością, że jesteś pan bardzo drażliwym, podczas gdy my nie chcemy zapomnieć, że to dla pana byliśmy gotowi każdej chwili życie oddać. Sposób, w jaki pan i Casati okazujecie się czułymi na urojone obrazy, jest dla nas nowym. Nie rozumiemy, dlaczego każde drobne nieporozumienie ma być przyczyną zupełnego zrywania stosunków pomiędzy nami. Przyzwyczailiśmy się



do wypowiedania naszych przekonań otwarcie, a nie obrażamy się co chwila i nie myślimy nad urojonemi krzywdami. Gdybyś pan o tem pamiętał, przekonałbyś się, że pańskie nienaturalne zamykanie się w swoim namiocie musi wydawać się nam absurdem.

— Panie Stanley, mnie przykro, że wogóle poszedłem z panem; proszę pana, abyś pozostawił mnie pan u p. Mackaya, gdy tam przybędziemy.

— Ale dlaczego, baszo?— spytałem. Powiedz pan dlaczego i co sobie życzysz? Czy kto pana obraził? Wiem o wszystkim, co dzieje się w obozie, ale przyznam się, że nie wiem, by kto pana rozmyślnie obraził. Aż do najmniejszego chłopca zanzibarskiego, wszyscy pragną służyć panu. Pozwól zatem, baszo, że powiem ci w kilku słowach, jak dziwnem wydaje się nam pańskie postępowanie. Kiedy ofiarowaliśmy się dobrowolnie spieszyc panu z pomocą, byłeś pan dla nas bohaterem; byłeś pan ostatnim namiestnikiem Gordona, znajdującym się w niebezpieczeństwie, postanowiliśmy zatem wyteńczyć wszystkie siły nasze, by uwolnić pana od fatalności, dotykającej wszystkich, co mieli cokolwiek z Sudanem do czynienia. Nie pytaliśmy, w jakim urodziłeś się pan kraju, nie pytaliśmy o historię pańskiego żywota, byłeś pan dla nas Eminem, bohaterskim gubernatorem prowincyi równikowej. Felkin, Junker i Allen z towarzystwa antiniewolniczego, listami i mową wywoływali w sercu każdego wielkie sympatyje dla Emina, ostatniego namiestnika Gordona. Powiedziano nam, że pan potrzebujesz tylko amunicyi, od dnia więc, w którym opuściłem New-York, aby objąć rozkazy nad wyprawą, jedyną myślą moją było dojść do pana, zanim będzie zapóźno. Pisałem do pana z Zanzibaru, że mamy zamiar iść przez Kongo, i że przybędziemy do Kavalli na południowo-zachodnim brzegu jeziora Alberta; prosiłem pana, byś przygotował krajowców na nasze przybycie, ponieważ posiadałeś

pan dwa parowce, łodzie i *Kanoe*. Przybyliśmy do Kavalli dnia 14 grudnia r. 1887, ale pan nie pojawił się tam przed marcem r. 1888. Ta niedbałość z pańskiej strony przyprawiła nas o stratę dzielnego, młodego Anglika, i czterech miesięcy czasu. Musieliśmy powracać do fortu Bodo i sprowadzać łódź naszą, aby dostać się do pana. Wczynie naszego 26-dniowego obcowania z panem, nie byliśmy pewni ani jednej rzeczy, prócz tego, że chciałeś pan czekać na przybycie majora i straży tylnej. Pośpieszyliśmy z powrotem, aby tę ostatnią odszukać i przekonaliśmy się, że major zginął a kolumna rozbiła się. Kiedy w styczniu, r. 1889, powróciliśmy do pana, byłeś pan złożony z urzędu, byłeś więźniem i groziło panu niebezpieczeństwo być odesłanym do Chartumu; a przecież mimo to, że pisałeś mi pan, iż pan, Casati i wielu Egipcyan, jesteście gotowi do wymarszu, po 56-gniowem cierpliwem czekaniu z naszej strony, byłeś pan niezdecydowany, co masz czynić. Moja choroba przedłużyła panu termin znów o 28 dni, a przecież pan tęskniłeś do czegoś, czego ja nie mogłem odgadnąć, a pan nie chciałeś powiedzieć. Do tej pory straciliśmy majora Barttelota i 300 ludzi; jesteśmy tu, aby życie własne położyć, jeżeli to będzie potrzebne. Cóż zatem więcej możemy uczynić dla pana? Napisz nam pan jasno, co potrzebujesz, a wówczas przekonasz się pan sam, czy nasze zapewnienia są tylko czezemi słowy“.

Od tej pory aż do godziny, w której w d. 6-ym grudnia pożegnałem się z nim w szpitalu, nie zaszło nic takiego, co by nasz miły stosunek zakłócać mogło. Była jednak trudność, która mnie smuciła, a polegała ona na tem, że chciałem redagować listy moje do komitetu ratunkowego, nie zdradzając mego zdziwienia z powodu niezwyklej chwiejności, jaką cechowało się zachowanie baszy. Byłoby to dla mnie zadaniem bardzo miłym, gdybym mógł zachować iluzye, jakie wywiozłem z Anglii; ale było to niemo-

żliwe. To, co się działo w Kavalli, widział każdy oficer wyprawy, a maska, pod którąby przyjaźń usiłowała ukryć ekscentryczności baszy, byłaby zdradzona w chwili nieostrożności. Było zatem potrzeba powiedzieć prawdę tak życzliwie, jak tylko było to możebne, aby najcięższym zarzutem było to, że jego pozorną chwiejność była tylko następstwem przesadnej uprzejmości.

Ale zachowanie się baszy w Bagamoyo od chwili, w której dostał się do szpitala niemieckiego, nie daje mi prawa przedstawiania go w świetle życzliwości. Niewdzięczne przyjęcie, jakiego doznał biedny Sali, fakt, że listy moje podał do ogólnej wiadomości oficerów niemieckich, którzy wszyscy prosili go, by zachował dobre nazwisko i opinię, rzadka niewdzięczność, jaką okazał d-rowi Parke-mu, który w całym świecie nie powinien mieć nieprzyjaciela, nagłe i niewyjaśnione zerwanie stosunków ze wszystkimi członkami wyprawy, zmuszają mnie do zakończenia tej książki, nie bez wzmianki o tem wszystkim.

W Afryce wyraził Emin basza obawę, że powróciwszy do Egiptu, nie będzie miał może posady. W pół godziny po przybyciu do Kairo, pozwoliłem sobie nalegać na Kedywa, by jaknajprędzej zapewnił Emina baszę, że otrzyma posadę. Kedyw zgodził się zaraz na to, a w 36 godzin później, Emin odpowiedział: „Dziękuję, mój władzco“.

W cztery tygodni później telegrafował do Kedywa, i prosił go o otworzenie w Kairze kredytu do wysokości 400 funtów szterlingów, poczem rząd egipski prosił pułkownika Euana Smitha w Zanzibarze, by sumę tę wypłacił Eminowi, a ten odpowiedział telegraficznie: „Ponieważ nie obchodziecie się ze mną lepiej, przesłałem wam prośbę o dymisyę“.

Ponieważ ofiarował Anglii swoje usługi, angielskie Towarzystwo wschodnio-afrykańskie zajęło się bliżej jego propozycjami; a w czasie mojego pobytu w Kairo dowie

działem się, że przedstawiano mu ofertę bardzo dobrą, nagle każdy został zaskoczony wiadomością, że przyjął służbę u Niemców w Afryce wschodniej, gdzie naturalnie, jednym z pierwszych obowiązków jego będzie: pouczyć nowych panów o wysokiej wartości, jaką dyrektorowie angielskiego Towarzystwa wschodnio afrykańskiego przywiązywali do jego talentu administracyjnego.

Jak wspomniałem, pragnienie jego służenia Niemcom, nie było dla mnie niespodzianką; ale bezwzględna obojętność na własną opinię i niezważanie na delikatne uczucia ludzkie są istotnie zdolne zmniejszyć szacunek dla niego. Dla wielu czytelników tej książki, obojętnem będzie, że wstąpił w służbę swego cesarza, i uważać to będą za zupełnie naturalne i słuszne, że dał pierwszeństwo własnej ojczyźnie i własnym rodakom; ale będą uważali za mniej naturalne, że flagę, której, jak sam mówił w Kavalli, służył przez lat 20, w sposób tak pogardliwy odrzucił, albo że ze swoim „dobrym władzcą”, który dał 14,000 funtów szterlingów na jego wyratowanie, rozstał się tak łatwo, albo, że sir Willam Mackinnon i jego przyjaciele anglicy, którzy dali 16,000 funtów szterl., aby posłać mu posiłki, o jakie prosił, musieli doznać tak gwałtownego ostudzenia swoich przyjaznych sympatyj. Tak samo, nie wydaje się nam rzeczą naturalną, że „o swoich kochanych ludziach”, o których mówił z taką emfazą w maju r. 1888, tudzież w lutym i marcu 1889, tak łatwo zapomniał, że przez cztery miesiące nie dał im wiadomości o sobie. Aptekarz, dr. Vita Hassan, jego najwierniejszy zwolennik, na kilka dni przed moim odjazdem z Kairo otrzymał list, w którym basza donosił mu, że obecnie on, Vita Hassan, i inni muszą myśleć sami o sobie, a on nie może już zajmować się nimi, ponieważ zerwał stosunki z Egiptem. Biedny Szukri Aga, wierny mu do ostatniej chwili, ze łzami w oczach przybył do mnie i pytał, co to ma znaczyć, co uczynił, że

obchodzą się z nim tak niedbale? Stronnicy baszy, którym należy się żołd zaległy od lat ośmiu, nie mogą pojąć, dlaczego ich dawny komendant porzucił ich tak zupełnie \*).

W Zanzibarze okazywano nam tyle grzeczności i gościnności, że samo wyliczenie tego zajęłoby całą stronę. P. majorowi Wissmanowi jestem wdzięczny za jego wielką, nieograniczoną gościnność, a poznanie tego szlachetnego, dzielnego dowódcy niemieckiego, za zaszczyt sobie uważam. Dzielnym kapitanom: Vossowi i Hirschbergowi, należy się wielka wdzięczność za ich uprzejmość. Co się zaś tyczy generalnego konsula pułkownika Euana Smitha i jego powabnej małżonki, którym jestem mocno zobowiązany za niezliczone przysługi, jak również chętną, książęcą a bezinteresowną gościnność i niezliczone grzeczności i zaszczyty, jestem za ubogi, aby uczynić więcej, jak zapisać to wszystko do liczby tych przysług, za które odplacić się nie jestem w stanie. Rzeczywiście też, nie było w Zanzibarze Niemca, Anglika, Włocha, lub Indyjczyka, którzyby w ten lub ów sposób, czy to ucztami, czy wyborami winami itd. nie okazali, jak mówili, uznania mnie i towarzyszącej mi żonie za nasze zasługi około Emina baszy, kapitana Casatiego i ich towarzyszków.

Kiedy agent angielskiego towarzystwa wschodnioafrykańskiego do spółki z porucznikiem Stairsem obliczyli sumy, należne pozostałym przy życiu, i ludziom należność

---

\* Nadeszły w sierpniu r. 1891 telegramy z Zanzibaru, donoszące, że Emin basza poszedł znów do Wadelai, aby zabrać z tamąd zapasy kłów słoniowych, pozostawione w swojej prowincyi w r. 1889, rzucając pewne światło na wątpliwości Stanley'a co do przyczyn nagłej zmiany u Emina, przyczyn, których wielki podróżnik pisząc swoją książkę w r. z. jeszcze nie mógł odgadnąć. Emin pragnął zdobyć kość słoniową i zapewne dla tego przyjął służbę niemiecką, która umożliwiała mu urządzenie nowej wyprawy. (*Przyp. tłumacza*).

ich wypłacili, dodali jeszcze każdemu, stosownie do zasługi po 40 do 60 rupij, z sumy 10,000 rupij, na którą Kedyw egipski dał 3000, komitet ratunkowy 3000, ja sam 3000, i Kalif Seyid z Zanzibaru 1000 rupij. General Lloyd Mathews wyprawił im wielką ucztę i okazał im w imieniu poczciwego sułtana w sposób rozmaity, jak się wynagradza zasługi. Pomiędzy wdowy i sieroty po tych, którzy zginęli w obozie pod Jambuya i w straży przedniej, rozdzielona będzie suma 10,000 rupij z funduszu komitetu ratunkowego.

Pomiędzy ludźmi, którzy odwiedzili mnie w Zanzibarze, znajdował się także mahometanin z Jndyj wschodnich, Djaffar Tarja, zamożny kupiec z Bombaju, który jest agentem wielu karawan arabskich i zanzibarskich w Afryce. Pomiędzy innemi, jest także agentem Hameda ben Mohameda, alias Tippu-Tiba. Mówił mi, że ma 10,600 funtów szterl. w złocie, sumę zapłaconą mu przez rząd państwa Kongo dla Tippu Tiba za kość słoniową, którą porucznik Becker kupił w imieniu rządu w Tippu Tiba. A zatem Djaffar Tarja, nie przeczuwając nawet tego, zachęcił mnie tem do tego, że pewnego poranku zawezwałem Tippu-Tiba przed sąd konsularny w Zanzibarze, aby oskarżyć go o przestępstwa przeciw poddanym angielskim, członkom komitetu ratunkowego i wezwać o zwrot pewnych strat, poniesionych przez nas przez to, że wobec generalnego konsula Holmwooda zobowiązał się do dostarczenia tragarzy wyprawie. Na podstawie podpisanej przez niego umowy, na mocy której miał dostarczyć wyprawie 600 tragarzy, daliśmy wolny przewóz i żywiliśmy jego samego i jego 96 towarzyszy w drodze z Zanzibaru do Banana Point=1040 funtów szterl. i z Banana Peint do wodospadów Stanley'a =1940 funtów szterl. Następnie otrzymał w Jambuja 47 bal sukna, około 50 skrzyń prochu i tyleż gotowych nabojów, karabinów Remingtona, strzelb do łowów na słonie,

rewolwerów, tudzież zapasów, wartości 128 funtów, dla jego podkomendnego Muini Somai, za to, że przyrzekł dostarczyć majorowi tragarzy, dopóki nie spotka się ze mną, albo Eminem baszą; tymczasem uczynił to tylko na odległość 145 km., przez co naraził nas na stratę prawie roku czasu, tudzież kosztów na osobne wynagrodzenie około 250 Zanzibarczyków przez prawie 12 miesięcy. Suma naszych pretensyj uprawnionych wynosiła ogółem około 10,000 funtów szterl., wskutek tego podałem wniosek, aby poddany angielski Djaffar Tarja dotąd nie wydawał Tippu Tibowi pieniędzy, dopóki trybunał angielski nie rozstrzygnie, czy komitet ratunkowy nie ma prawa do wynagrodzenia strat wymienionych. Sędzia konsularny, wysłuchawszy świadków, wniosek mój przyjął. Jeżeli zatem tego lotra dotknie surowa sprawiedliwość, nie ulega wątpliwości, że komitet ratunkowy będzie w stanie pozostałym przy życiu Zanzibarczykom uczynić podarek w sumie po 300 rupij na każdego, tudzież naszym oficerom wypłacić po 1000 funtów szterl., a będzie to uznanie, jakiego życzę im z całego serca.

---

Przybywszy do Kairo w d. 16 stycznia 1890 r. i oddawszy władzom egipskim 260 egipcyan przywiezionych, wyszukałem sobie cichy, spokojny dom, aby napisać to sprawozdanie z trzyletniego pobytu „W czeluściach Afryki” tudzież obraz „Odszukania, oswobodzenia i ocalenia Emina baszy, gubernatora prowincyi równikowej”. Znalazłem dom taki w willi „Wiktorya“ i w d. 25 stycznia chwyciłem pióro, aby dzieło swoje dokończyć. Nie wiedziałem jednakże, jak mam rozpoczynać. W myśli pełno było materiału, chciałem pisać, by ulżyć sobie, ale nie szło mi jakoś. Prawa ręka straciła zręczność, a wskutek braku wprawy ustawicznej zapomniałem sztuki budowy zdań. Broniąc się za-

tem przed nawałem wspomnień, które dopominały się zanotowania, po zmuđenem zamyśleniu, notowałem jedno po drugim. Ale podczas gdy jednego dnia mogłem pisać z łatwością bardzo dużo, drugiego zdołałem przenieść na papier zaledwie 100 wyrazów na godzinę. Nareszcie po 50-dniowej pilnej pracy, czyniąc zadość nieprzepartemu popędowi, doszedłem do ostatniej stronicy, a ponieważ przez ten czas napisałem oprócz tego 400 listów i około 100 telegramów, zużony, muszę prosić czytelnika o pozwolenie zakończenia tej książki.

Kilka scen z cudownych okolic wnętrza Afryki, które przebyliśmy razem, na zawsze wyrują się w naszej pamięci; gdziekolwiek pójdziemy, myśl o niejednej ze scen w olbrzymim lesie, zawsze cisnąć się oędzie do naszej duszy. Las wieczny pozostanie zawsze w swej odległej samotności; jak dotąd, tak i w przyszłości, drzewa rosnać będą przez niezliczone wieki i padać. W myśli nieraz słyszeć będziemy grzmoty i huk w ciszy swej i ciemnicy, widzieć ołowiane chmury i połysk zieleni, rosą okrytej, wdechać woń kwiatów.

Od czasu do czasu, przed oczyma przesuwają się będą widma ludzi, skulonych w czasie deszczu i ciemności, drżących od zimna, wychudłych i rozpaczą zdjętych; będziemy słyszeli jęki konających, będziemy widzieli sztywne ciała zmarłych i znów zadrżemy z powodu straszliwości naszego położenia. A wówczas przed oczyma duszy naszej okaże się znów widok krajów trawiastych, wzgórz i gór...

Żegnam cię, baszo, i pana, kapitanie Casati! Kiedy panowie czytać będziecie tę książkę, pojmiecie, ile życia ludzi, ile cierpień kosztowało ocalenie panów. Ja nie żałuję niczego. To, co dałem, dałem chętnie. I tak mówimy my wszyscy.

Żegnam was, panowie członkowie komitetu! Trzy lata upłynęły od czasu, jak dobroć Panów poleciła nam we-



sprzeć zbiedzonych, słabym pomódz. Do ojczyzny swojej powróciło ogółem 260 ludzi; około 150 znajduje się w miejscach bezpiecznych.

Żegnam was, moi towarzysze. Oby spotkały was godości, na jakie zasłużyliście. Polecam was gorącym sercem waszych ziomków. Gdyby na kartach tej książki rzucone było jakie powątpiewanie o naszej dzielności, lojalności lub honorze, to opis waszej wierności, w czasie, który nie miał równego sobie pod względem grozy i braku nadziei, będzie dowodem, z jak szlachetną dzielnością znieśliście wszystko! Żegnam was, panowie Stairs, Jephson, Nelson, Parke i pana, panie Bonny, żegnam was!

Bogu dzięki, zawsze i wiecznie. Amen!

---

## Rachunek kosztów wyprawy.

### *Składki na fundusz wyprawy:*

|                               |        |         |   |       |   |       |
|-------------------------------|--------|---------|---|-------|---|-------|
| Rząd egipski. . . . .         | 14,000 | f. szt. | — | szyl. | — | pens. |
| Baron sir William Mackinnon   | 3000   | "       | — | "     | — | "     |
| Piotr Mackinnon. . . . .      | 1500   | "       | — | "     | — | "     |
| Piotr Bonny z Dumbarton. .    | 1500   | "       | — | "     | — | "     |
| Baronowa Burdett Coutts . .   | 100    | "       | — | "     | — | "     |
| James Sligo Jameson . . . .   | 1000   | "       | — | "     | — | "     |
| Hrabina de Noailles . . . .   | 1000   | "       | — | "     | — | "     |
| Gray, Dawes i Sp. Londyn .    | 1500   | "       | — | "     | — | "     |
| J. Mackinnon . . . . .        | 450    | "       | — | "     | — | "     |
| H. T. Younger z Benmore . .   | 500    | "       | — | "     | — | "     |
| Duncan Mac Neil . . . . .     | 1050   | "       | — | "     | — | "     |
| Aleksander L. Bruce, Edynburg | 750    | "       | — | "     | — | "     |
| James F. Hutton, Manchester.  | 250    | "       | — | "     | — | "     |
| Król. Tow. Geograficzne. .    | 1000   | "       | — | "     | — | "     |
| W. Burdett Coutts . . . . .   | 400    | "       | — | "     | — | "     |
| J. M. Hall . . . . .          | 375    | "       | — | "     | — | "     |
| N. Mac Michael . . . . .      | 375    | "       | — | "     | — | "     |

|                                                                                                                                                                         |      |         |    |       |    |       |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------|---------|----|-------|----|-------|
| J. Siltzer. . . . .                                                                                                                                                     | 100  | f. szt. | —  | szyl. | —  | pens. |
| Sir Thomas Fowell Buxton. . .                                                                                                                                           | 250  | „       | —  | „     | —  | „     |
| Pułkownik J. A. Grant. . . .                                                                                                                                            | 100  | „       | —  | „     | —  | „     |
| W. P. Aleksander . . . . .                                                                                                                                              | 250  | „       | —  | „     | —  | „     |
| A. F. Walter, wyd. „Timesa”                                                                                                                                             | 500  | „       | —  | „     | —  | „     |
| Od dzienników za listy H. M.<br>Stanley'a: „Daili News” 500 f.<br>„Standard” 250 f., „Daily Tele-<br>graph 200 f., „Manchester Guar-<br>dian” 200 f., „Scotsman” 200 f. |      |         |    |       |    |       |
| razem. *) . . . . .                                                                                                                                                     | 1350 | „       | —  | „     | —  | „     |
| H. M. Stanley, zwrot od Beyt-<br>sa Sp. w Suezie. . . . .                                                                                                               | 597  | „       | 4  | „     | 1  | „     |
| Eastern Telegraph Comp. Zwrot<br>połowy taksy za telegramy<br>z Zanzibaru i do tego miasta                                                                              | 167  | „       | 4  | „     | 6  | „     |
| Procenta za złożone pieniądze                                                                                                                                           | 171  | „       | 6  | „     | 4  | „     |
| Gray, Dawes i Sp. zwrot ko-<br>sztów przewozu . . . . .                                                                                                                 | 489  | „       | —  | „     | 11 | „     |
| B. Edgington, zwrot. . . . .                                                                                                                                            | 5    | „       | —  | 6     | 10 | „     |
| S. Allnatt. . . . .                                                                                                                                                     | 3    | „       | —  | „     | —  | „     |
| S. Stevenson . . . . .                                                                                                                                                  | 2    | „       | 2  | „     | —  | „     |
| African Trading Comp. (za sprze-<br>dane zapasy). . . . .                                                                                                               | 152  | „       | 12 | „     | 2  | „     |
| Gray, Dawes i Sp. zwrot . . .                                                                                                                                           | 30   | „       | 15 | „     | 2  | „     |
| Lord Kinnaird . . . . .                                                                                                                                                 | 100  | „       | —  | „     | —  | „     |
| Sampson Low itd. . . . .                                                                                                                                                | 250  | „       | —  | „     | —  | „     |

Ogółem 33,268 f. szt. 12 szyl. — pens.

\*) Sumę tę należy uważać jako osobistą ofiarę Stanley'a na ko-  
szta wyprawy, pochodzi ona bowiem z honorarium, jakiego podróżnik otrzy-  
mał od wymienionych dzienników za swoje korespondencye. (Przyp. tłóm).

## W Y D A T K I:

|                                                      |           |         |       |
|------------------------------------------------------|-----------|---------|-------|
| Przewóz i koszta podróży . . . . .                   | 7202 f. 3 | szyl. 5 | pens. |
| Zapasy. . . . .                                      | 5046 „ 8  | „ 4     | „     |
| Wyekwipowanie wyprawy . . . . .                      | 2307 „ 15 | „ 7     | „     |
| Zaliczki tragarzy. . . . .                           | 2027 „ 15 | „ 4     | „     |
| Pensye i prowizye . . . . .                          | 636 „ 16  | „ 8     | „     |
| Telegramy. . . . .                                   | 518 „ 18  | „ —     | „     |
| Ubezpieczenie . . . . .                              | 30 „ 2    | „ 10    | „     |
| Honorarya lekarskie. . . . .                         | 96 „ 4    | „ 9     | „     |
| Posłaniec do Chartumu . . . . .                      | 65 „ —    | „ —     | „     |
| Dwa weksle na towary. . . . .                        | 225 „ —   | „ —     | „     |
| Wydatki drobne w Londynie. . . . .                   | 97 „ 14   | „ 10    | „     |
| „Eastern Telegraph Comp“ . . . . .                   | 35 „ 4    | „ 1     | „     |
| Druki . . . . .                                      | 1 „ 7     | „ 9     | „     |
| Drobne wydatki . . . . .                             | 10 „ —    | „ —     | „     |
| Wynagrodzenie Sudańczyków. . . . .                   | 1200 „ —  | „ —     | „     |
| Weksel na Edynburg . . . . .                         | — „ —     | „ —     | „     |
| Zaległa pensa Bonnyego . . . . .                     | 242 „ —   | „ —     | „     |
| Wydatki kap Nelsona . . . . .                        | 30 „ 9    | „ 4     | „     |
| Koszta podróży Stairsa i Jephsona . . . . .          | 44 „ 13   | „ 6     | „     |
| Wydatki na parowcach „Katoria”<br>i „Rewa” . . . . . | 24 „ 11   | „ 2     | „     |
| Weksel na wynagrodzenie wy-<br>prawy . . . . .       | 6606 „ 18 | „ 10    | „     |
| Pierwsze honorarium p. Stairsa . . . . .             | 400 „ —   | „ —     | „     |
| „ Jephsona . . . . .                                 | 400 „ —   | „ —     | „     |
| „ kap. Nelsona . . . . .                             | 400 „ —   | „ —     | „     |
| „ Dr. Parkego . . . . .                              | 400 „ —   | „ —     | „     |
| „ Bonny . . . . .                                    | 200 „ —   | „ —     | „     |

Ogółem 27,709 f. 9 szyl. 5 pens.

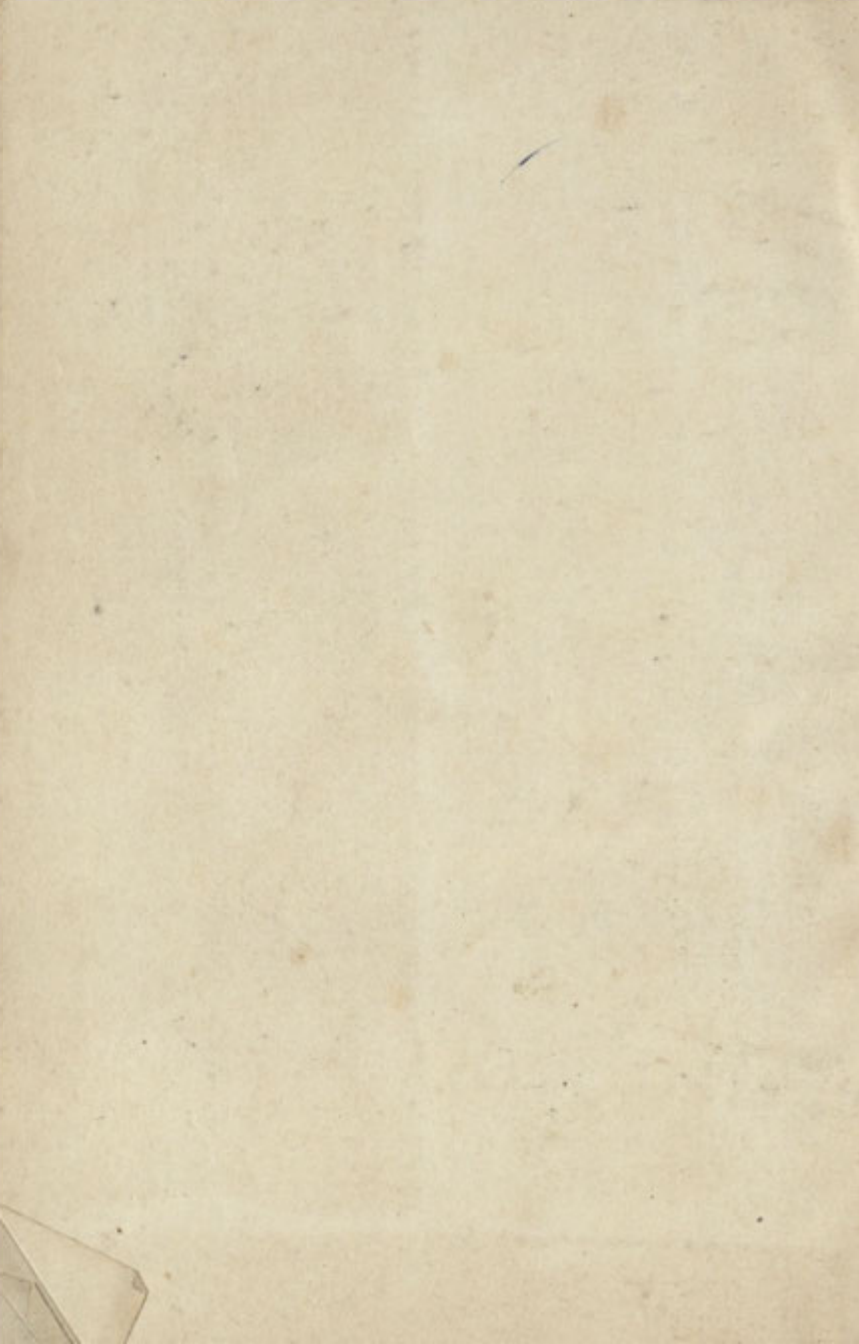
Wdowom i sierotom po umarłych  
Zanzibarezykach rozdano 10,000 rupij.













50 — ~~36~~

20. v. 70

141585



39709